

KAREN ROSE

ZABIJ

DLA MNIE

Przekład BARBARA GRABSKA-SIWEK

Prolog

Port Union, Karolina Południowa, sierpień, pół roku wcześniej)

Monica Cassidy poczuła łaskotanie w żołądku. To stanie się dzisiaj. Czekwała na to szesnaście długich lat, ale w końcu czekanie dobiegło końca. Dziś stanie się kobieta. Nareszcie. Czyż to już nie najwyższa pora?

Przyłapała się na tym, że wyłamuje sobie palce; zmusiła się, by przestać. Uspokój się. Nie ma się czym denerwować. To przecież zupełnie naturalne. Poza tym wszystkie jej przyjaciółki już to zrobiły. Niektóre nawet wiele razy.

A dzisiaj jej kolej.

Usiadła na hotelowym łóżku i starła kurz z karty otwierającej drzwi, schowanej dokładnie tam, gdzie mówił Jason. Zadrzała i uśmiechnęła się lekko. Poznała go na czacie i od razu przypadli sobie do gustu. Wkrótce pozna go osobiście. Fizycznie. On nauczy ją tych rzeczy. Obiecał to. Jest studentem college'u, czyli kimś o wiele lepszym od tych obleśnych chłopaków, którzy próbowali ją obmacywać na szkolnym korytarzu.

Wreszcie ktoś potraktuje ją jak dorosłą. Inaczej niż jej mama. Monica przewróciła oczami. Dotrwałyby w dziewictwie do czterdziestki, gdyby słuchała nakazów matki. Na szczęście wie swoje.

Uśmiechnęła się na myśl o wszystkich przygotowaniach, które poczyniła tego przedpołudnia, żeby ukryć swoje plany. Żadna z jej przyjaciółek nie wie, gdzie Monica się wybrała, więc się nie wygadają. Wróci do domu porządnie przeleciana, zanim matka przyjdzie z pracy.

Jak ci minął dzień, kochanie? - zapyta ją pewnie. Jak zwykle, odpowie Monica. A gdy tylko będzie okazja, znowu tu wróci. Przecież ma już szesnaście lat i, na litość boską, nikt jej nie będzie mówił, co ma robić. Usłyszała dzwonek i zaczęła gorączkowo grzebać w torebce w poszukiwaniu komórki. Wstrzymała oddech. To był on.

„Jesteś tam?” - przeczytała.

Dłonie jej drżały.

- Czekam na ciebie. Gdzie jesteś? - mamrotała pod nosem, pisząc odpowiedź.

„Starzy warują. Upierdliwi. Wkrótce się zobaczymy. Kocham cię”, odpisał. Rodzice go pilnują, pomyślała. Pewnie są tak samo marudni jak jej starzy. Ale on wkrótce się z nią zobaczy. Bo ją kocha. A więc nie odda się byle komu.

„Też cię kocham”, odpisała i zamknęła klapkę komórki. Był to stary telefon bez żadnych bajerów. Nie miała nawet cholernego aparatu fotograficznego. Sobie matka sprawiła nowszy. A czy jej kupiła taki sam? Skąd. Matka trzymała ją krótko. „Dostaniesz

nową komórkę, kiedy poprawisz oceny", oznajmiła. Monica prychnęła. Gdyby tylko wiedziała, gdzie teraz jestem, nie gadałaby takich bzdur. Monica wstała, nagle rozdrażniona.

- Ona mnie traktuje jak jakieś cholerne dziecko - powiedziała, kładąc torebkę na szafce i wpatrując się w swoje odbicie w lustrze. Włosy miała starannie ułożone i wyglądała świetnie, wręcz pięknie. Chciała być piękna dla niego.

No i seksowna. Sięgnęła do torebki po prezerwatywy, które zwędziła matce z jej starych, marnujących się zapasów. Data ważności jeszcze nie upłynęła, więc wciąż nadawały się do użytku. Zerknęła na zegarek.

Gdzie on jest? Bała się, że wróci do domu za późno, jeśli Jason wkrótce się nie zjawi.

Zaskrzyptały otwierane drzwi i Monica obróciła się z przećwiczonym, zalotnym uśmiechem na twarzy.

- Cześć - powiedziała i zamarła na widok umundurowanego policjanta. - Pan nie jest Jasonem.

Gliniarz pokręcił głową.

- Nie. A ty jesteś Monica?

Monica uniosła podbródek; serce jej waliło.

- A co to pana obchodzi?

- Nawet nie wiesz, jakie masz szczęście. Nazywam się Mansfield, zastępca szeryfa. A Jasonowi depczemy po piętach już od tygodni. Ten twój „chłopak” to faktycznie pięćdziesięciodziewięcioletni zboczeniec.

- Bzdura. Nie wierzę. - Monica ruszyła do drzwi. - Jason! Uciekaj, to pułapka! Tu są gliny!

Mansfield złapał ją za ramię.

- Już go aresztowaliśmy. Monica pokręciła głową.

- Ale przecież dopiero co wysłał mi esemesa.

- To ja użyłem jego telefonu. Chciałem się upewnić, że tu jesteś i że nic ci się nie stało. - Jego twarz złagodniała. - Wiele sępów poluje na dziewczyny takie jak ty, podszuwając się pod młodych chłopaków. Naprawdę ci się poszczęściło.

- Napisał, że ma dziewiętnaście lat i chodzi do college'u. Zastępca szeryfa wzruszył ramionami.

- Bujał. Weź swoje rzeczy. Zawiozę cię do domu.

Zamknęła oczy. W telewizji często mówili o takich historiach, a matka komentowała wtedy: „Widzisz? Trzeba uważać. Zboczeńcy są wszędzie”. Monica westchnęła. Że też musiało się to przydarzyć właśnie jej.

- Matka mnie zabije - jęknęła.

- Lepsza matka niż ten drań - odparł Mansfield. - On już to robił. Monica poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

- Zabijał?

- Co najmniej dwa razy. Chodź. Mama na pewno nic ci nie zrobi.

- Akurat - mruknęła, sięgając po torebkę. Była wściekła. Skoro wcześniej matka była nadopiekuńcza, teraz będzie trzymała ją pod kluczem. - Boże -jęknęła Monica. - Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę.

Poszła za zastępcą szeryfa do nieoznakowanego samochodu. Dostrzegła światelko na tablicy rozdzielczej, gdy Mansfield otworzył drzwi od strony pasażera.

- Wsiadaj i zapnij pas - polecił. Posłuchała go z ponurą miną.

- Może mnie pan podrzucić na przystanek autobusowy - oznajmiła.

- Mama nie musi się o niczym dowiadywać.

Spojrzał na nią wyraźnie rozbawiony i zatrzasnął drzwi. Usiadł za kierownicą, sięgnął za siedzenie i wyjął butelkę z wodą.

- Masz. Postaraj się trochę odprężyć. Co takiego może cię spotkać ze strony własnej matki?

- Ona mnie zabije - powiedziała Monica, odkręcając butelkę. Dużymi łykami wypila jedną trzecią wody. Zaburczało jej w brzuchu. Poczowała głód.

- Czy może pan się zatrzymać koło McDonalda przy wyjeździe? Nic dzisiaj nie jadłam. Pieniądze mam.

- Jasne. - Uruchomił silnik i wyjechał na drogę dochodzącą do autostrady między-
stanowej.

W ciągu kilku zaledwie minut przebył trasę, której pokonanie Monice zajęło rankiem pół godziny - prawie tyle czekała, nim złapała podwózkę w pobliżu stacji benzynowej przy zjeździe z autostrady.

Monica ściągnęła brwi, bo nagle świat zawirował jej przed oczami.

- Jejku. Aż mi słabo z głodu. To tu... - Przerwała, bo minęli zakręt i wjechali na międzystanówkę. - Muszę coś zjeść.

- Zjesz później - rzucił lodowatym tonem. - A na razie siedź cicho. Monica wbiła w niego wzrok.

- Niech pan się zatrzyma i mnie wypuści. Roześmiał się.

- Zatrzymam się, kiedy dojedziemy na miejsce.

Chciała chwycić klamkę, ale ręka odmówiła jej posłuszeństwa. Nie mogła nią porużyć. Nie była w stanie wykonać żadnego ruchu.

- Nie możesz się ruszyć - rzekł. - Ale nie martw się. Ten narkotyk działa tylko jakiś czas.

Już go nie widziała. Zamknęła oczy, a teraz nie potrafiła unieść powiek. Boże. Boże! Co się dzieje?! Próbowała krzyknąć, ale bez skutku. Mamo.

- Cześć, to ja - powiedział do telefonu. - Mam ją. - Zaśmiał się cicho. - O, bardzo ładna. I chyba jeszcze dziewica, tak jak twierdziła. Wiozę ją. Szykuj kasę. W gotówce, jak zwykle.

Usłyszała przerażone kwilenie, które wyrwało się z jej własnej krtani.

- Trzeba było słuchać matki - rzucił kpiąco. - Teraz jesteś moja.

1

Ridgefield House, Georgia, piątek, 2 lutego, godzina 13.30

Dzwonek komórki Bobby przerwał partię szachów.

Charles zastygł z palcem wskazującym zawieszonym nad hetmanem.

- Musisz odbierać?

Bobby zerknęła na wyświetlacz i zmarszczyła brwi. To Rocky.

- Tak. Przepraszam na chwilę. Charles skinął głową.

- W porządku. Mam wyjść z pokoju?

- Nie żartuj - odparła Bobby, a potem rzuciła do telefonu: - Po co dzwonicz?

- Bo Granville zadzwonił do mnie - wyjaśniła Rocky. W tle słychać było odgłosy ulicznego ruchu; czyli telefonowała z samochodu. - Jest nad rzeką z Mansfieldem, który twierdzi, że dostał esemesa z ostrzeżeniem, że Daniel Vartanian dowiedział się o całej sprawie i już jedzie z policją stanową. Granville zapewnia, że nie wysłał takiego tekstu. I raczej nie kłamie.

Bobby milczała. Było znacznie gorzej, niż sądziła. Po chwili Rocky dodała:

- Przecież Vartanian by ich nie uprzedził, tylko po prostu zjawił się na miejscu z jednostką specjalną. Chyba trochę za długo zwlekaliśmy.

- My? - mruknęła Bobby.

- No dobra - przyznała Rocky. - Ja się zgapiłam. Ale już po sprawie. Miejsce nad rzeką jest spalone.

- Kurwa! - zaklęła Bobby i skrzywiła się, gdy Charles spojrział na nią karcąco. - Zmiatajcie stamtąd, ale rzeką, nie szosą, żeby się nie nadziać na gliniarzy. Skontaktuj się z Jerseyem. Już organizował mi transporty.

- Granville do niego dzwonił. Już jest w drodze. Problem w tym, że do łodzi zmieści się tylko szóstka.

Bobby zmarszczyła brwi.

- Łajba Jerseya może pomieścić dwanaście sztuk towaru, i to bez problemu.

- Tamta łódź jest gdzie indziej. Mam do dyspozycji tylko tę mniejszą. Cholera. Bobby zerknęła na Charlesa, który przysłuchiwał się rozmowie.

- Zlikwiduj to, czego nie zdołasz zabrać. Upewnij się, że niczego nie zostawisz. Rozumiesz? Nic nie może zostać. Utop w rzece, jeśli nie zdążysz załatwić sprawy inaczej. Za generatorem jest kilka „pakunków”. Przywieź je. Spotkamy się koło przystani.

- W porządku, już tam jadę. Dopilnuję, żeby tamci czegoś nie spieprzyli.

- I miej oko na Granville'a. Jest... - Bobby znów spojrzała na Charlesa, który teraz wydawał się rozbawiony. - Jest trochę niepewny.

- Wiem. Jeszcze jedno. Słyszałam, że Vartanian był dzisiaj w banku. To była znacznie lepsza nowina.

- I z czym stamtąd wyszedł?

- Z niczym. Skrytka okazała się pusta. Jasne. Sama opróżniłam ją przed laty.

- Ciekawe. Ale pogadamy o tym później. Teraz już jedź. Daj znać, kiedy wszystko załatwisz. - Bobby skończyła rozmowę i popatrzyła na Charlesa. - Trzeba mnie było uprzedzić, że Toby Granville jest niezrównoważony, zanim zaczęłam prowadzić z nim interesy. To postrzelony sukinsyn.

Charles uśmiechnął się z zadowoleniem.

- I nie mieć całego tego ubawu? Nigdy. A jak się spisuje twoja nowa pomocnica?

- Jest bystra. Nadal trochę się peszy, gdy dostaje polecenia, ale nie daje tego po sobie poznać. I solidnie wykonuje swoją robotę.

- Świetnie. - Charles przekrzywił głowę. - Więc poza tym wszystko w porządku?

Bobby usiadła.

- Twój interes idzie dobrze. Pozostałymi sprawami nie musisz się interesować.

- Dopóki moje inwestycje przynoszą dochody, wolno ci mieć swoje tajemnice.

Na pewno sporo na tym zarobisz. Ten rok był bardzo dobry. Zyski Meguji i czterdziestu procent wysokości nakładów, a nowa partia towaru już jest w drodze.

- Ale wspominałaś coś o likwidacji zapasów.

- Tamten towar i tak był już prawie zużyty. Na czym stanęliśmy? Charles wykonał ruch hetmanem.

- Szach i mat. Bobby westchnęła.

- Rzeczywiście. Powinam była to przewidzieć, ale nigdy mi się nie udaje. Zawsze byłeś mistrzem szachownicy.

- Zawsze byłem mistrzem - poprawił, a Bobby musiała przełknąć irytację, jaką czuła ilekroć Charles dawał jej do zrozumienia, kto tu rządzi.

- Oczywiście nie wpadłem tu tylko po to, żeby ograć cię w szachy - dodał.

- Mam wiadomość. Dzisiaj rano w Atlancie wylądował samolot.

Bobby ogarnął niepokój.

- I co z tego? W Atlancie codziennie lądują setki samolotów. Może nawet tysiące.

- Zgadza się. - Charles zaczął wkładać figury do pudełka z kości słoniowej, z którym się nie rozstawał. - Ale ten samolot przywiózł osobę, w którą trochę zainwestowałam.

- Kogo?

Spojrzał w zwężone oczy Bobby i znów się uśmiechnął.

- Susannah Vartanian pojawiła się w mieście - odparł, sięgając po białego hetmana.

Wzięła figurę z ręki Charlesa i zacisnęła dłoń, próbując opanować wzburzenie.

- No, no.

- Właśnie. Ostatnim razem ci się nie powiodło.

- Ostatnim razem nie próbowałam na serio - zapewniła, jakby musiała się tłumaczyć.

- Była tu tylko przez jeden dzień, na pogrzebie tego sędziego i jego żony.

Susannah stała u boku brata nad grobem rodziców. Twarz miała bez wyrazu, ale szare oczy zdradzały burzę emocji. Widząc ją po tak długim czasie, Bobby pomyślała, że emocje Susannah są niczym w porównaniu z jej wściekłością.

- Nie zniszcz mojego hetmana - powiedział Charles. - Te figury zostały wyrzeźbione przez pewnego rzemieślnika spod Sajgonu. Każda z nich jest warta więcej od ciebie.

Bobby oddała mu figurkę, ignorując przytyk. Uspokój się. Popełniasz błędy, kiedy ponoszą cię nerwy.

Bardzo szybko wróciła do Nowego Jorku. Nie miałam czasu na przyholowania. - Ten argument zabrzmiał mizernie, co jeszcze bardziej zirytowało Bobby.

Samoloty latają w obie strony. Nie musiałaś czekać na jej powrót. - Charles umieścił hetmana w wyściełanym aksamitem zagłębieniu w kasetce.

Ale nadarza ci się kolejna okazja. Mam nadzieję, że tym razem przeprowadzisz całą operację skuteczniej.

- Możesz być tego pewien.

Charles uśmiechnął się porozumiewawczo.

- Wystarczy mi dobre miejsce na widowni, kiedy zaczną się fajerwerki. Uwielbiam tę orgię czerwieni.

Uśmiech Bobby był raczej ponury.

- Zapewniam cię, że czerwieni nie zabraknie. A teraz wybacz, mam pewne pilne sprawy do załatwienia.

Charles wstał.

- I tak już muszę iść. Wybieram się na pogrzeb.

- Kogo dziś chowają?

- Lisę Woolf.

- Cóż, życzę Jimowi i Marianne Woolfom dobrej zabawy. Nie będą musieli się opę-
dzać od reporterów. Zajmą najlepsze miejsca, w ławie przeznaczonej dla rodziny.

- Ależ, Bobby. - Charles pokręcił głową z udawanym oburzeniem. - Jak możesz wy-
gadywać takie rzeczy?

- Wiem, co mówię. Jim Woolf sprzedałby własną siostrę za sensacyjną historię do
wstępniaka.

Charles włożył kapelusz i sięgnął po laskę, a pudełko z szachami wsunął podpachę.

- Pewnego dnia być może powiesz to samo o sobie.

Nie, pomyślała Bobby, gdy odjechał. Nie za coś tak marnego, jak artykuł w gazecie.
A jeśli chodzi o dziedzictwo... to całkiem inna kwestia. Lecz na snucie marzeń przy-
dzie czas później. Teraz czekała ją robota.

- Tanner! Chodź tu. Jesteś mi potrzebny..

Niemal w tej samej chwili w pokoju zmaterializował się starzec.

- Słucham.

- Niespodziewani goście są w drodze. Poczyń przygotowania dla sześciu kolejnych
osób.

Tanner skinął głową.

- Oczywiście. Kiedy rozmawiałś z Charlesem, zadzwonił pan Haynes. Przyjedzie
wieczorem, żeby zapewnić sobie towarzystwo na weekend.

Bobby uśmiechnęła się. Haynes, zdeprawowany bogacz o spaczonym guście, był
pierwszorzędnym klientem. I płacił gotówką.

- Świetnie. Będziemy gotowi.

Charles zatrzymał auto u wylotu ulicy. Z tego miejsca wieżyczki Ridgefield House
były nadal widoczne. Dom liczył prawie sto lat i wyglądał równie ładnie i solidnie, jak
większość rezydencji wzniesionych w tym okresie. Charles lubił ładne domy, bo wcze-
śniej mieszkał w norach, którymi pogardziłby nawet szczur.

Bobby trzymała w Ridgefield „inwentarz”. Dom idealnie nadawał się do takich celów. Był usytuowany z dala od głównej drogi, więc ludzie prawie zapomnieli o jego istnieniu, a zarazem w takiej odległości od rzeki, żeby był do niej dogodny dostęp, a samego domu nie zalewała woda podczas powodzi. Niedostatecznie duży, piękny czy stary, by trafić na listę zabytków - stanowił po prostu znakomity punkt.

Bobby uważała go za stary, brzydki i niegodny zainteresowania, dopóki nie zrozumiała tego, co Charles pojął już przed laty. Efektowny wystrój przyciąga uwagę. Oznaką prawdziwego sukcesu jest dyskrecja. To umiejętność skrywania swoich atutów pozwoliła mu na manipulowanie tymi, którzy pysznili się błyskotliwością i bogactwem. Teraz wszyscy są marionetkami w moich rękach, pomyślał.

Poczucie ubezwłasnowolnienia irytowało ich, wciąż jednak nie doświadczyli prawdziwej bezradności. Żyli w strachu przed utratą nagromadzonych dóbr, chowali więc do kieszeni swoją dumę i poczucie przyzwoitości. Zapominali o moralności, tej religijnej bujdzie. Niektórych wystarczyło tylko lekko szturchnąć, żeby tak się stało. Traktowali Charlesa pogardliwie. Nie mieli pojęcia, co to znaczy stracić wszystko. Zostać pozbawionym nie tylko przyjemności, ale i możliwości zaspokojenia podstawowych potrzeb.

Słabi boją się stracić swoje rzeczy. Charles był wolny od tego lęku. Gdy ktoś zostanie ogołocony z człowieczeństwa, nie obawia się niczego. Więc nie czuł już strachu.

Ale miał swoje plany związane z Bobby i z Susannah Vartanian.

Bobby okazała się wyjątkowa. Charles ukształtował jej bystry umysł, gdy była jeszcze bardzo młoda, kipiąca energią i pełna nienawiści. Przekonał ją, że nadejdzie czas odwetu za dziedzictwo, którego się wypierała i któremu zaprzeczali inni. Lecz nawet ona tańczyła tak, jak jej zagrał Charles. Po prostu wierzyła, że gra jej do tańca prawdziwą melodię.

Otworzył wieczko pudełka z kości słoniowej, wyjął figurkę hetmana z zagłębienia i nacisnął guzik ukrytej sprężyny wysuwającej dolną szufladkę. Chował tam swój dziennik. W zamyśleniu przekartkował zeszyt, znalazł pierwszą czystą stronę i zaczął pisać:

„Dla mojej protegowanej nadszedł czas zemsty, bo takie jest moje życzenie. Zasiałem to ziarno przed laty, a dziś tylko je podlewam. Kiedy Bobby usiądzie do komputera, zdjęcie Susannah Vartanian będzie na nią czekało.

Bobby nienawidzi Susannah, bo ja tak chcę. Ale co do jednego ma rację: Toby Granville z każdym rokiem staje się coraz bardziej niepewny. Czasami nieograniczona władza - bądź jej złudzenie - psuje człowieka do cna. Kiedy Toby zacznie stanowić zbyt duże zagrożenie, sprawię, że zostanie zabity, tak jak jego skłoniłem do zabijania innych.

Odbieranie życia daje ogromną siłę. Gdy wbijasz nóż we wnętrza człowieka i patrzysz, jak życie gaśnie w jego oczach... to naprawdę cudowne doznanie. Ale zmuszanie

innych do zabójstw jest jeszcze lepsze. Zabij dla mnie. To jak zabawa w Boga. Wspomniała zabawa.

Tak, wkrótce trzeba będzie zlikwidować Toby'ego. Ale na jego miejsce znajdzie się jakiś inny Toby Granville. Z czasem znajdzie się także nowa Bobby. A ja nadal będę robił swoje. Charles zamknął dziennik, włożył do szuflady i umieścił hetmana w dopasowanym zagłębieniu, jak wiele razy wcześniej".

Duttori, Georgia, piątek, 2 lutego, godzina 14.00

Monica, chociaż cała obolała, czuła ponurą satysfakcję. Warto było. Wolą, żeby ją zabili podczas próby ucieczki, niż jeszcze raz wykorzystali.

Nie chce być „tracącym na wartości nabytkiem”. Tak właśnie ją nazywali, gdy kiedyś podsłuchiwała ich rozmowę przez ścianę. Wszystko, nawet śmierć, było lepsze niż jej los od... no właśnie, od ilu miesięcy?

Już dawno straciła rachubę. Minęło ich pięć, może sześć. Wcześniej Monica nie wierzyła w piekło. Teraz była pewna jego istnienia.

Na pewien czas straciła też wolę życia, ale odzyskała ją, dzięki Becky. To właśnie ona wiele razy próbowała uciekać. Tamci chcieli jej to wybić z głowy, złamać ją. Skatowali ciało Becky, lecz nie złamali jej ducha. Rozmawiały ze sobą przez ścianę, która je oddzielała, a Monice słowa Becky dodawały sił. Nigdy jej nie widziała, ale śmierć dziewczyny obudziła pragnienie życia w niej samej. Albo pragnienie śmierci podczas prób wyrwania się stąd.

Zaczerpnęła możliwie głęboki wdech, krzywiąc się, zanim płuca napełniły się powietrzem. Pewnie miała złamane żebro. Może nawet kilka. Zastanawiała się, dokąd zabrali ciało Becky po tym, jak skatowali ją na śmierć. Słyszała odgłosy bicia, bo miała je słyszeć. Pootwierali wszystkie drzwi, żeby było słychać każdy cios, każdy kopniak i każdy jęk Becky. Wszystkie miały to usłyszeć. Ku przestrodze.

Wszystkie dziewczyny z tego miejsca. Co najmniej dziesięć, w różnych stadiach „spadku na wartości”. Niektóre były nowe, inne już od dość dawna w szponach najstarszej profesji świata. Jak ja, myślała Monica. Chcę tylko wrócić do domu.

Nieznacznie poruszyła ręką i usłyszała brzęk łańcucha, którym była przykuta do ściany. Tak jak wszystkie inne dziewczyny. Nigdy nie ucieknę. Zginę. Boże, proszę, żeby to nastąpiło szybko.

- Prędeej, idioci. Nie opieprzać się.

Ktoś był w korytarzu koło jej celi. Tamta kobieta. Monica zacisnęła zęby. Nienawidziła jej.

- Jazda - ponaglała kobieta. - Ruszać się. Mansfield, zanieś te skrzynie na łódź.

Monica nie знаła jej imienia, wiedziała jednak, że jest bardzo zła, jeszcze gorsza od mężczyzn - zastępcy szeryfa i lekarza. To Mansfield, zastępca szeryfa, uprowadził ją i przywiózł tutaj. Monica długo nie wierzyła, że jest prawdziwym stróżem prawa. Myślała, że jego mundur to zwykła maskarada - ale rzeczywiście był policjantem. Kiedy zrozumiała, straciła wszelką nadzieję.

Mansfield był wrednym typem, lecz jeszcze gorszy okazał się lekarz. Sadysta lubiący patrzeć na ból. Ten wyraz jego oczu, kiedy robił najohydniejsze obrzydlistwa... Monice przebiegł dreszcz. Lekarz był nienormalny, nie miała co do tego wątpliwości.

Ale kobieta... to wcielenie zła. Dla niej cały ten horror był tylko interesem, a każda z dziewczyn w tym miejscu tracącym wartość towarem. Zastępowalnym, bo zawsze można było znaleźć nowe nastolatki na tyle naiwne, by porzucić bezpieczny dom i dać się zwabić. Zwabić tu, do piekła.

Monica słyszała posapywania, gdy przenosili skrzynie na... na co? Usłyszała też zgrzyt i od razu rozpoznała ten dźwięk. Odgłos szpitalnego wózka z zardzewiałymi kółkami. To doktor „stawiał dziewczyny na nogi”, szykując je do „nowej zabawy”, gdy jakiś „klient” skatował którąś z nich. Czasami on też uczestniczył w biciu i wtedy sam przenosił swoją ofiarę z podłogi na wózek. Monica nienawidziła go. Ale jeszcze bardziej się go bała.

- Zabrać dziewczyny z dziesiątki, dziewiątki, szóstki, piątki, czwórki i jedynek - powiedziała kobieta.

Monica raptownie otworzyła oczy. To ona była w celi numer jeden. Skrzywiła się, próbując przyzwyczaić wzrok do ciemności. Działo się coś dziwnego. Może ktoś idzie im na pomoc.

Pospieszcie się. Szybciej, proszę.

- Skuć im ręce za plecami i wyprowadzać pojedynczo - rzuciła kobieta. -I bez przerwy trzymać je na muszce, żeby nie uciekły.

- A co zrobimy z pozostałymi? - Ten głos zabrzmiał nisko. Należał do człowieka z obstawy doktora.

- Zabić je - odpowiedziała tamta stanowczo i bez wahania.

Jestem w celi numer jeden. Chcą mnie przenieść na łódź i wywieźć z miejsca, do którego zmierza pomoc. Będę walczyć. Wyrwę się stąd albo zginę.

- Ja się nimi zajmę - powiedział lekarz, jak zwykle gorliwy. I okrutny.

- Dobrze - zgodziła się kobieta. - Tylko nie zostawiaj tutaj zwłok. Wrzuć je do rzeki. Worki z piaskiem są za prądnicą. Mansfield, nie stój tak. Przenoś skrzynie i dziewczyny na łajbę, zanim gliny dobiorą nam się do tyłków. A potem oddaj wózek doktorowi. Będzie musiał przewieźć ciała nad rzekę.

- Rozkaz - rzucił zastępca szeryfa ironicznym tonem.
- Nie kpij. - Głos kobiety brzmiał ciszej, gdy się oddalała. - Jazda. Odeszła, a lekarz

odezwał się półgłosem:

- Ty zajmij się tamtą dwójką.
- To znaczy Bailey i tym klechę? - spytał ochroniarz.
- Ciszej - syknął doktor. - Tak. I zrób to bez hałasu. Bailey nie wie, że one tu są.

„Tamtą dwójką”. Monica słyszała ich, choć tylko przez ścianę. Pokój doktora sąsiadował z jej celą, więc dużo słyszała. Lekarz przez wiele dni katował kobietę, którą nazywał Bailey, domagając się jakiegoś klucza. Klucza do czego? Bił także mężczyznę, chcąc z niego coś wydusić. Co takiego mógł mu wyznać duchowny?

W następnej chwili Monica zapomniała o Bailey i duchownym, bo rozległy się wrzaski i łkania głośniejsze nawet od dudnienia krwi w jej uszach. Krzyki wdzierały się do jej umysłu, gdy dziewczyny wywlekano z celi. Musiała zachować spokój. Nie mogła się rozpraszać.

Będą musieli zdjąć łańcuchy, zanim zakują mnie w kajdanki. Przez kilka sekund będę miała wolne ręce. Jeśli się uda, wydrapię im przeklęte oczy i ucieknę.

Chociaż starała się zmobilizować, w głębi duszy wiedziała, że się nie uda. Przed ostatnim biciem może miała jakąś szansę. A teraz? Nawet jeśli ucieknie z celi, to co potem? Byli na odludziu. Zginie, zanim wydostanie się na korytarz.

Zdusiła szloch. Mam szesnaście lat i wkrótce umrę. Przepraszam cię, mamó. Powinam była cię słuchać.

Bum! Drgnęła na huk wystrzału. Rozległy się kolejne krzyki, przeraźliwe, histeryczne wrzaski. Monica była tak wyczerpana, że ledwo miała siłę się bać.

Kolejny strzał. I następny. I jeszcze jeden. Razem cztery. Słyszała głos doktora. Sztych z dziewczyny w sąsiedniej celi.

- Zmów ostatnią modlitwę, Angel - powiedział kpiąco.

Jakże Monica go nienawidziła. Pragnęła go zabić. Chciała patrzeć, jak on cierpi, wykrwawia się i umiera.

Bum! Angel już nie żyła. Tak jak cztery inne.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Mansfield. Podszedł do Moniki, rozkuł łańcuch i brutalnie przydusił ją do ściany. Skrzywiła się, gdy ściągnął okowy z jej nadgarstków.

Odzyskała swobodę ruchów. Tylko co z tego, do cholery? Wciąż znajdowała się w potrzasku.

- Idziemy - rzucił Mansfield, stawiając ją na nogi.
- Nie mogę - wyszeptwała, gdy ugięły się pod nią kolana.
- Zamknij się. - Szarpnął nią, jakby ważyła nie więcej od lalki.

- Zaczekaj! - Z korytarza dobiegł głos kobiety. Stała w cieniu, jak zwykle. Monica nigdy nie widziała jej twarzy, choć często marzyła, że pewnego dnia wydrapie jej oczy.

- Łajba jest już pełna.

- Jak to? - zdziwił się lekarz. - Łódź pomieści sześć sztuk, a na razie zabrałaś tylko pięć.

- Skrzynie zajęły dużo miejsca - odpowiedziała kobieta. - Vartanian będzie tu lada chwila z policją stanową. Musimy zniknąć. Zabij ją i pozbądź się zwłok.

Więc to już koniec. Nie ma sensu uciekać ani walczyć. Monica zastanawiała się, czy usłyszy odgłos wystrzału i czy umrze od razu. Nie będę go błagać o litość. Nie dam mu tej satysfakcji.

- Ta jest jeszcze całkiem niezła - stwierdził doktor. - Może popracować jeszcze kilka miesięcy, nawet przez rok. Wyrzucie kilka skrzyń za burtę albo spalcie, żeby zrobić dla niej miejsce. Kiedy ją złamię, będzie naszym najlepszym towarem. Oszczędźmy ją, Rocky.

Więc kobieta ma na imię Rocky, pomyślała Monica. Rocky podeszła do lekarza i Monica po raz pierwszy zobaczyła jej twarz. Monica skrzywiła się, próbując, mimo zawrotu głowy, zapisać w pamięci każdy detal. Jeżeli istniało życie po śmierci, to Monica powróci i doprowadzi tę kobietę do żalostnego obłędu.

- Skrzynie muszą pozostać na łodzi - powiedziała Rocky zniecierpliwiona.

Doktor wykrzywił się pogardliwie.

- Bo ty tak chcesz?

- Tak chce Bobby. Więc albo wytłumaczysz się przed nią, dlaczego zostawiłeś po sobie kompromitujące dowody, które zniszczą nas wszystkich, albo się przymkniesz i wreszcie zabijesz tę sukę, żebyśmy mogli stąd nawiać. Mansfield, chodź ze mną. Granville, zrób swoje. Pospiesz się i, na litość boską, upewnij się, że wszystkie nie żyją. Nie chcę żadnych krzyków, kiedy będziemy je wrzucać do rzeki. Jeżeli gliny są już blisko, mogą nas przyskrzynić.

Mansfield puścił Monice, pod którą ugięły się nogi. Opadła na kolana i chwyciła się brudnej pryczy. Mansfield i Rocky wyszli z celi, zostawiając ją wpatrzoną w wylot lufy pistoletu doktora.

- No, zrób to - szepnęła Monica. - Słyszałeś, co rozkazała pani. Pospiesz się.

Usta lekarza wykrzywiły się w żmijowatym uśmiechu, od którego Monice robiło się niedobrze.

- Myślisz, że umrzesz szybko. Myślisz, że to będzie bezbolesne. Bum. Monica krzyknęła, gdy piekące rwanie w boku przyćmiło nawet ból głowy. Postrzelił ją, ale wciąż żyła. Dlaczego?

Uśmiechnął się szerzej, patrząc, jak dziewczyna wije się z bólu.

- Byłaś mi cierniem w oku od dnia, kiedy się tu znalazłaś. Gdybym miał więcej czasu, chętnie bym cię poćwiartował. Ale nie mam, więc pożegnaj się ze mną, Monico.

Uniół broń, lecz po chwili gwałtownie poruszył głowę, a twarz pociemniała mu z wściekłości. W tym samym momencie rozległ się huk kolejnego strzału. Monica krzyknęła, czując potworny ból w skroni. Zacisnęła powieki i czekała na następną kulę. Ale strzał nie padł. Otworzyła oczy, mrugając załzawionymi powiekami.

On odszedł, była teraz sama. I żyła.

Spudłował. A niech go diabli. Spudłował i odszedł. Ale wróci.

Nie widziała jednak nikogo. „Vartanian będzie tu lada chwila z policją stanową”. Tak powiedziała kobieta. Monica nie знаła nikogo o nazwisku Vartanian, lecz kimkolwiek był, stanowił dla niej szansę na ocalenie. Spróbuj dojść do drzwi, nakazała sobie. Uniosła się na klęczki, przesunęła nieznacznie jedną nogę i dostawiła drugą. Wydostań się na korytarz i uciekaj.

Usłyszała odgłos kroków. Jakaś kobieta, pobita, zakrwawiona, w podartym ubraniu, szła niepewnie w jej kierunku. To na pewno ta Bailey, o której mówił lekarz. Wciąż więc istnieje nadzieja. Monica uniosła rękę.

- Pomóż mi. Proszę - wykrztusiła. Kobieta pomogła jej wstać.

- Chodźmy - powiedziała.

- Ty jesteś Bailey? - spytała Monica słabym szeptem.

- Tak. A teraz jazda stąd albo zginiemy.

Niepewnym krokiem przemierzyły hol, dotarły do drzwi wejściowych i wygramoliły się na zewnątrz. Światło dnia boleśnie je poraziło.

Bailey nagle się zatrzymała, a serce Moniki zamarło ze strachu. Przed nimi stał mężczyzna z pistoletem. Miał taki sam mundur jak ten, który nosił Mansfield, a na odznace na jego koszuli widniały słowa: „Szeryf Frank Loomis”. To nie był Vartanian z policją stanową. To był szef Mansfielda, który nie pozwoli im uciec.

A więc tak to się miało zakończyć. Łzy płynęły po bladej twarzy Moniki, gdy czekała na huk wystrzału.

Ku jej zdumieniu szeryf Loomis przyłożył palec do ust i odezwał się szeptem:

- Idźcie w stronę tamtych drzew. Dotrzecie do szosy. - Wskazał głową Monice. - Ile ich jeszcze zostało?

Ani jedna - odpowiedziała Bailey ochryple. - Zabił wszystkie. Wszystkie poza nią.

Lomis przełknął ślinę.

- No to ruszajcie. Pójdę po swój wóz i spotkamy się na szosie. Bailey mocniej objęła Monice.

- Chodź - wyszeptała. - Jeszcze tylko kawałek.

Monica spojrzała na swoje stopy, jakby w ten sposób chciała je zmusić do zrobienia kroku. Jednego, potem drugiego. Ku wolności. Odzyska wolność, a potem policzy się z nimi wszystkimi. Albo zginie, próbując.

Dutton, Georgia, piątek, 2 lutego, godzina 15.05

Susannah Vartanian wpatrywała się we wsteczne lusterko przy drzwiczkach samochodu od strony pasażera, a odbicie domu, w którym się wychowała, z każdą sekundą stawało się coraz mniejsze. Muszę się stąd wyrwać. Dopóki pozostawała tu, w tym domu, w tym mieście, nie była tą kobietą, jaką się stała. Nie była odnoszącą sukcesy zawodowe i budzącą respekt asystentką prokuratora okręgowego w Nowym Jorku. Natomiast tu czuła się jak dziecko, samotne, załężnione dziecko chowające się w szafie. Jak ofiara. A Susannah była już piekielnie zmęczona rolą ofiary.

- Wszystko w porządku? - To pytanie zadał mężczyzna za kierownicą. Agent specjalny Luke Papadopoulos. Kolega po fachu jej brata i jego najlepszy przyjaciel. Gdy Luke wiózł ją tutaj przed godziną, strach czający się w jej wnętrzościach rodził w niej pragnienie, by jechał wolniej. Teraz, już po wszystkim, chciała, żeby odjechał stąd możliwie najszybciej.

Zabierz mnie. Proszę.

- Tak, wszystko w porządku - odpowiedziała. Nie musiała patrzeć na Papadopoulosa, by wiedzieć, że ją obserwuje. Czuła na sobie ciężar jego spojrzenia od chwili, gdy poznali się tydzień wcześniej. Stała obok brata na pogrzebie rodziców, a Luke składał im kondolencje. Przyglądał się jej już wtedy. Patrzył na nią i teraz.

Ona utkwiała spojrzenie w bocznym lusterku wozu. Chciała je oderwać od malejącego w oddali domu jej młodości, ale oczy jej nie słuchały. Samotna postać na podwórku przed domem przykuwała jej wzrok. Nawet z tej odległości wyczuwała smutek, który ciążył na szerokich barkach tego człowieka.

Jej brat Daniel był równie postawny jak ojciec. Kobiety w ich rodzinie były drobne, za to mężczyźni barczyści i wysocy. Niektórzy nawet bardzo wysocy. Susannah próbowała opanować paniczny lęk, który paraliżował ją przez ostatnie dwa tygodnie. Simon nie żyje, tym razem naprawdę. Już nikogo nie skrzywdzi, powtarzała sobie. To, że potrafił ją dręczyć z za grobu, stanowiło paradoks, który z pewnością by go rozbawił. Bo Simon, starszy brat Susannah, był wyjątkowym sukinsynem.

Teraz już martwym, a ona nie uroniła z tego powodu nawet jednej łzy. Jej rodzice także nie żyli, bo Simon ich zabił. Zostali tylko oni dwoje: Susannah i Daniel. Tylko oni z licznej, szczęśliwej rodziny.

Jej starszy brat, agent specjalny Daniel J. Vartanian z Biura Śledczego stanu Georgia był jednym z tych dobrych. Zrobił karierę, nie wykorzystując faktu, że jest dzieckiem sędziego Arthura Vartaniana. Tak jak ona.

Pomyślała o pustce w jego oczach, gdy odchodziła, zostawiając go na podwórzu ich starego domu. Po trzynastu latach Daniel wreszcie zrozumiał, co zrobił, i - co jeszcze ważniejsze - czego nie zrobił.

A teraz chciał przebaczenia, pomyślała z goryczą. Chciał odkupienia. Po ponad dzieśięciu latach milczenia jej brat zapragnął odnowić rodzinne więzi.

Pragnął zbyt wiele. Musi żyć ze świadomością tego, co uczynił i czego zaniedbał. Tak jak ona.

Wiedziała, dlaczego przed laty wyjechał. Nie znosił tego domu prawie tak bardzo jak ona. Prawie. Jej udało się nie zajrzeć tu przed tygodniem, kiedy chowano ich rodziców. Po pogrzebie szybko wyjechała, obiecując sobie, że już nigdy nie wróci.

Ale telefon od Daniela ściągnął ją z powrotem. Do Dutton. Do tego domu. Musiała zmierzyć się z tym, co zrobiła, i - co jeszcze ważniejsze - z tym, czego nie zrobiła.

Przed godziną stała na frontowym ganku po raz pierwszy od lat. Musiała zmobilizować całą siłę woli, by przestąpić przez próg, wejść po schodach i zajrzeć do dawnej sypialni Simona. Susannah nie wierzyła w duchy, ale wierzyła w istnienie zła.

Zło mieszkało w tym domu, w tej sypialni, jeszcze długo po śmierci Simona.

Dopadło ją, kiedy tylko weszła do jego pokoju, a paniczny strach dławił ją za gardło. Resztkami sił zachowała pozorny spokój i zmusiła się do otworzenia szafy, przerażona tym, co znajdowało się za nią.

Jej największy koszmar. Coś, co wprawiało ją w największe zawstydzenie. Przez trzynaście lat to coś tkwiło ukryte w schowku za szafą w sypialni Simona. A teraz pudło zniknęło zza szafy. Tak po prostu.

Znalazło się w bagażniku samochodu agenta specjalnego Luke'a Papa-dopoulosa, kolegi po fachu i przyjaciela Daniela. Papadopoulos wiozł je do siedziby GBI w Atlancie, gdzie miało zostać włączone do dowodów rzeczowych. Technicy kryminalistyczni i ekipa prawników zbadajęgo zawartość. Zobaczą setki zdjęć, obleśnych, obscenicznych i bardzo prawdziwych. Zoba-czaje. I się dowiedzą.

Samochód skręcił i obraz domu zniknął z lusterka. Zły urok przestał działać. Susannah rozluźniła się i odetchnęła głęboko. Wreszcie było po wszystkim.

Nie, dla niej wszystko dopiero się zaczynało, a cała sprawa bynajmniej nie skończyła się jeszcze dla Daniela i jego partnera z policji. Daniel i Luke ścigali człowieka, który w ostatnim tygodniu zamordował w Dutton pięć kobiet. Człowiek ten, zabijając, próbował naprowadzić władze na trop grupy zbirów z bogatych rodzin, którzy trzynaście lat wcześniej wyrządzili tyle zła dziewczynom z Dutton. Z osobistych powodów chciał on,

aby przestępstwa zepsutych wyrostków wyszły na jaw. Nienawidził tych forsiastych drani niemal równie mocno, jak nienawidziła ich Susannah. I dwanaście pozostałych ofiar.

Wkrótce one także się dowiedzą, pomyślała. Wkrótce dowiedzą się wszyscy.

W tym współpracownik i przyjaciel Daniela. Wciąż ją obserwował, a ona czuła, że Luke Papadopoulos dostrzega więcej, niżby chciała.

Dzisiaj napatrzy się do woli. Wkrótce wszyscy inni też. Wkrótce... Poczowała ucisk w żołądku i skupiła się na powstrzymaniu mdłości. Jej najbardziej wstydliva tajemnica stanie się wkrótce tematem plotek rozgłaszanych przy automatach z napojami w całym kraju.

Dobrze wiedziała, jak to jest. Słyszeliście -powie ktoś z udawanym oburzeniem - o tych bogatych chłopakach z Dutton w Georgii, którzy odurzali i gwałcili dziewczyny trzynaście lat temu? Jeden nawet zamordował którąś z nich. Robili przy tym zdjęcia. Wyobrażacie sobie?

Inni będą kręcić głowami, niby próbując sobie wyobrazić, a po cichu licząc na to, że zdjęcia przeciekną do internetu i można będzie „przypadkiem” się na nie natknąć.

Dutton, powie ktoś inny, nie chcąc zostać w tyle. Czy to nie to miasteczko, gdzie zamordowano te kobiety, a ciała porzucano w rowach melioracyjnych? Całkiem niedawno, w ubiegłym tygodniu.

Tak, potwierdzi następny plotkarz. To także rodzinne miasto Simona Vartaniana, jednego z tych nadzianych młodych gwałcicieli. To on zrobił te zdjęcia trzynaście lat temu. I on zabił tych wszystkich ludzi w Filadelfii. Zginął z ręki jakiegoś miejscowego detektywa.

Siedemnaście ofiar, w tym jej rodzice. A ilu ludziom złamano życie? Mogłam wszystko powstrzymać, ale nie zrobiłam tego. Mój Boże. Co ja narobiłam? Susannah zachowywała kamienną twarz, ale jej myśli biegały w kółko jak przerażone dziecko.

- To było trudne - powiedział Papadopoulos.

Jego grzmiący głos wyrwał ją z zadumy. Zamrugowała gwałtownie, przypominając sobie, kim jest teraz. Szanowaną prawniczką. Stróżem praworządności. Właśnie.

Odwróciła od niego spojrzenie i znowu wbiła wzrok w boczne lustro. „Trudne” to za słabe słowo na to, co właśnie przeszła.

- Owszem - przyznała. - Trudne.

- Wszystko w porządku? - powtórzył pytanie.

Nie, wcale nie, chciała burknąć, ale powiedziała tylko:

- Tak, mam się świetnie.

I na pozór tak właśnie było. Susannah opanowała sztukę zachowywania pozorów, gdy wymagała tego sytuacja. Była przecież córką sędziego Arthura Vartaniana, a cech,

których nie odziedziczyła, wyuczyła się, obserwując swojego zakłamanego ojca przez długie lata życia pod jednym dachem.

- Postąpiła pani właściwie, Susannah - powiedział Papadopoulos. Pewnie. Tyle że o trzynaście lat za późno.

- Wiem.

- Przyskrzynimy trzech gwałcicieli dzięki dowodom rzeczowym, które pomogła pani nam odnaleźć.

Za kratki trafić powinno siedmiu. Niestety, czterech z nich już nie żyje, w tym Simon. Miała nadzieję, że wszyscy smażą się w piekle.

- Trzynaście kobiet będzie mogło stanąć twarzą w twarz ze swoimi prześladowcami, którym zostanie wymierzona sprawiedliwość - dodał.

Kobiet było szesnaście, lecz dwie zamordowano, a jedna popełniła samobójstwo. Ofiara mogła być tylko jedna, pomyślała Susannah. Wszystko powinno było skończyć się na niej.

Wtedy jednak milczała i będzie ją to dręczyć do końca życia.

- Konfrontacja z przestępcą to ważny element rozpraw tego typu - powiedziała rzeczowym tonem. To samo mówiła ofiarom gwałtu, które wahały się, czy zeznawać w sądzie. Kiedyś sama w to wierzyła. Dzisiaj nie była już tego taka pewna.

- Domyślam się, że przygotowywała pani wiele ofiar gwałtu do składania oficjalnych zeznań. - Głos Papadopoulosa brzmiał spokojnie, ale Susannah słyszała w nim nutki ledwie hamowanej furii. - Jednak wystąpienie samej w roli świadka musi być wyjątkowo trudne.

I znów to słowo... Zeznawanie nie będzie trudne. To będzie najbardziej przerażające doświadczenie w jej życiu.

- Mówiłam już, że wystąpię w sądzie wraz z innymi ofiarami, agencie Papadopoulos - odparła. - A nie rzucam słów na wiatr.

- Nigdy w to nie wątpiłem - rzekł, ale nie uwierzyła mu.

- O szóstej mam samolot do Nowego Jorku, więc muszę być na lotnisku przed czwartą. Może mnie pan podrzucić w drodze powrotnej do pracy?

Zerknął na nią spod ściągniętych brwi.

- Wyjeżdża pani już dzisiaj?

- Muszę. Zaniedbałam sporo spraw w związku z pogrzebem rodziców w zeszłym tygodniu. Muszę wracać.

- Daniel miał nadzieję, że spędzicie razem trochę czasu.

Aż zagotowała się ze wzburzenia, lecz nie okazała emocji.

- Daniel ma pełne ręce roboty przy ściganiu tych trzech pozostałych... - Głos jej się załamał -... członków klubu Simona. - Słowo, którego używała na co dzień w pracy, nie

przeszło jej przez gardło. - Nie wspominając już o śledztwie w sprawie zabójstwa tamtych pięciu kobiet z Dutton.

- Znamy już sprawcę. Dopadniemy go. To tylko kwestia czasu. A jeden z gwałcicieli już siedzi.

- No tak. Burmistrz Davis. To mnie zaskoczyło. - Trzydzieści lat wcześniej Garth Davis był typem gamonia, a nie kimś, kto mógł stać na czele młodzieżowego gangu, który zniewalał szkolne koleżanki. Ale bez wątplenia należał do paczki. Zdjęcia nie kłamały. - Jednak Mansfield zbiegł, zabijając agenta, który go śledził.

Randy Mansfield zawsze był szują. A teraz miał odznakę i broń. Myśl o tym, że wciąż pozostaje na wolności, musiała przerażać. Na zaciśniętej szczęce Luke'a zadrgał mięsień.

- Mansfield miał na ogonie cholernie dobrego agenta - rzucił ostro. - Oscar Johnson osierocił trójkę dzieci i pozostawił żonę w ciąży.

Wyraźnie przygnębiła go śmierć policjanta. Był też przyjacielem Daniela, lojalnym wobec kolegów z pracy.

- Przepraszam - powiedziała łagodniejszym tonem. - Ale trudno zaprzeczyć, że jeszcze nie całkiem opanowaliście sytuację. Nie znacie nawet tożsamości trzeciego... -No, powiedz to. Teraz. Odchrząknęła. - Nie wiadomo, kto jest trzecim gwałcicielem.

- Znajdziemy go - rzekł Papadopoulos stanowczo.

- Jestem tego pewna, ale naprawdę nie mogę tu zostać. Poza tym Daniel ma nową przyjaciółkę, która dotrzyma mu towarzystwa - dodała z nutką gorzkości. To, że Daniel znalazł szczęście osobiste w tym bagnie, wydawało jej się... niesprawiedliwe. Wiedziała, że to dziecinna reakcja. W życiu nie ma sprawiedliwości. Przekonała się o tym dawno temu. - Nie chciałabym im przeszkadzać.

- Na pewno polubiłaby pani Alex Fallon - stwierdził Luke - gdybyście tylko miały okazję lepiej się poznać.

- Nie wątpię. Ale ona też dużo dziś przeszła, oglądając zdjęcia swojej siostry. I inne fotografie.

W tym zdjęcia ze mną, dodała w duchu. Nie chciała o tym myśleć, skupiła się na osobie Alex Fallon. Jej bliźniaczka została zamordowana trzydzieści lat temu przez jednego z chłopaków, którzy napastowali dziewczyny. Susannah może i niechętnie patrzyła na szczęście Daniela, ale samej Alex nie życzyła źle. Ta kobieta sporo wycierpiała.

- Racja - przyznał Luke. - A jej przyrodniej siostry nadal nie odnaleziono.

- Bailey Crighton - powiedziała Susannah. Jednym z czterech zmarłych gwałcicieli był brat Bailey, Wade. Sporządził coś w rodzaju listownego zeznania, a Bailey została porwana wkrótce po jego otrzymaniu. Prawdopodobnie przez któregoś z pozostałych gwałcicieli, zaniepokojonego tym, czego mogła się dowiedzieć.

- Zaginęła przed tygodniem - wyjaśnił Luke.
 - Więc szanse na jej odnalezienie nie wyglądają najlepiej - rzuciła Susannah półgłosem.
 - Zgadza się.
 - Tak czy inaczej, Daniel ma mnóstwo roboty. Tak jak pan. - Westchnęła cicho. - Ponowię zatem wcześniejsze pytanie, agencie Papadopoulos. Czy może mnie pan podzucić na lotnisko? Naprawdę muszę wracać do domu.
- Luke skinął głową.
- Mam mało czasu, ale da się zrobić. Pojadę na lotnisko.

2

Dutton, Georgia, piątek, 2 lutego, godzina 15.20

Luke zerknął na Susannah, zanim skupił wzrok na krętej szosie przed sobą. Zobaczył ją po raz pierwszy, gdy stała obok Daniela na pogrzebie ich rodziców, w tradycyjnym czarnym kostiumie i tak blada, że zastanawiał się, czy zaraz nie zemdleje. Nie zemdlała. Zaimponowało mu jej opanowanie, zachwyciła go jej delikatna uroda. A od chwili, gdy pod maską spokoju dostrzegł coś mrocznego, co przyciągało go jak magnes, nie mógł oderwać od niej oczu. Ona jest taka jak ja, pomyślał. Zrozumiałaby mnie.

Teraz siedziała obok niego w samochodzie, w innym czarnym kostiumie, tym razem modniejszym. I znów była blada, a on znowu wyczuł ten mroczny nastrój. Była wściekła. I miała ku temu powody.

„Mam się świetnie”, oznajmiła mu, choć oczywiście nie było to prawda. Jak mogła czuć się świetnie, skoro dopiero co skonfrontowała się ze swoim najgorszym koszmarem w brutalnie bezpośredni sposób. Przed zaledwie godziną weszła do sypialni Simona i wyciągnęła pudło ze schowka za szafą. Zrobiła to tak spokojnie, jakby zawierało stare bilety na mecz piłkarski, a nie ohydne zdjęcia dokumentujące gwałt. Gwałt, którego ofiarą padła ona sama. Luke miał ochotę walnąć pięścią w ścianę, ale zdołał się powstrzymać. Spełniał swoje zadanie. Ona też, i to z opanowaniem, które zawstydziłoby niejednego doświadczonego policjanta.

A jednak Susannah Vartanian na pewno nie miała się świetnie.

On też nie. Szczerze mówiąc, nie miał się świetnie już od bardzo dawna. Czuł wzbierającą w sobie furie, kipiącą tuż pod powierzchnią. Miał za sobą bardzo zły rok. Tyle twarzy wpatrywało się w niego z głębin jego umysłu. A wszystkie dręczyły go, jak gdyby chciały powiedzieć: Byłeś naszą ostatnią nadzieją, ale się spóźniłeś.

Teraz znów było za późno, tym razem aż o trzynaście lat. Dreszcz przebiegł mu po plecach. Luke nie był przesądny, ale matka wpoila mu zdrową dozę respektu przed liczbą trzynaście. Trzynaście ocalałych ofiar gwałtu - przestępstwa popełnionego trzynaście lat wcześniej.

Jedna z nich siedziała w samochodzie obok niego.

Obwiniła siebie, to było jasne. Gdyby tylko wtedy coś powiedziała, pozostałych ofiar nie spotkałby taki los. Nie powstałby gang gwałcicieli, na których działający obecnie morderca szukał odwetu, a te kobiety z Dutton nadal by żyły. Gdyby Susannah wtedy coś powiedziała, Simon Vartanian zostałby aresztowany i nie zabiłby tylu osób.

Nie powinna myśleć w ten sposób. Życie nie jest takie proste, choć chyba każdy chciałby, żeby było.

Luke wiedział, że gdyby Susannah trzynaście lat wcześniej powiedziała, co ją spotkało, pudła ze zdjęciami, które wiozł teraz w bagażniku, w ogóle by nie było. Ale wiedział też, że gdyby cokolwiek wówczas zdradziła, Arthur Vartanian wstawiłby się za Simonem i uchronił go od kary, jak czynił to wielokrotnie. A wtedy Simon zabiłby siostrę. Susannah właściwie nie miała wyboru i przecież nie wiedziała wcale, że Simon zorganizował następne gwałty.

Teraz, gdy się o tym dowiedziała, wyznała wszystko, co wzbudziło w Luke'u głęboki szacunek. Była przerażona i wściekła, ale postąpiła właściwie.

- Nie powinna się pani obwiniać - powiedział cicho.
- Dziękuję, agencie Papadopoulos, ale niepotrzebne mi podnoszące na duchu frazesy.
- Myśli pani, że niczego nie rozumiem.
- Jestem pewna, że sądzi pan, że rozumie. Doceniam pańskie intencje, ale...
Do licha, wcale nie sądził, że rozumie. On naprawdę rozumiał. Puściły mu nerwy.
- Cztery dni temu znalazłem trzy martwe dzieciaki - wszedł jej w słowo. - Dziewięć, dziesięć i dwanaście lat. Przyszedłem im na ratunek o niecałą dobę za późno.

Wzięła głęboki oddech i wolno wypuściła powietrze. Zachowywała spokój, ale wściekłość w niej zaczynała wrzeć.

- Jak zginęły? - spytała.
- Zabite strzałami w głowę. - Luke widział ich twarze, ilekroć zamykał oczy. - Wcześniej molestowano je przed internetową kamerą. Przez cztery lata. Dla pieniędzy. Żeby wszyscy zbrodniecy na świecie mogli sobie pooglądać.
- Cholerne dranie. - Głos Susannah drżał. - To musiało być dla pana straszne.
- Jeszcze straszniejsze dla tych dzieci - rzekł cicho.
- Chyba powinnam powiedzieć, że to nie pańska wina. Bo najwyraźniej zadrecza się pan tą sprawą.

Zacisnął dłonie na kierownicy tak mocno, że aż zbieleły kostki.

- Najwyraźniej.

Milczeli chwilę, a potem Susannah powiedziała:

- Więc jest pan jednym z nich.

Czuł, że na niego patrzy, i zrobiło mu się nieswojo.

- Jednym z... o kogo chodzi?

- Jednym z facetów, którzy rozpracowują internetowych pedofili. Zajmowałam się kilkoma takimi sprawami w prokuraturze okręgowej. Nie mam pojęcia, jak to wytrzymujecie.

- Bywają dni, kiedy już nie daję rady - wyznał.

- Ale na ogół robi pan to, co do pana należy. I codziennie po trochu umiera.

Bardzo trafnie i zwięźle opisała stan, w jakim się znajdował.

- Tak - odparł ochryplym głosem. - Coś w tym stylu.

- Więc stoi pan po właściwej stronie. Nie powinien się pan obwiniać.

- Dzięki.

Zerknął na nią kątem oka. Wciąż była blada, ale wyraźnie się ożywiła. Luke już nie żałował, że wspomniał o zabitych dzieciakach. Dzięki temu Susannah otrząsnęła się z szoku i teraz mogli porozmawiać o czymś innym.

- Trochę mi się pokręciło - przyznała. - Sądziłam, że pan i Daniel zajmujecie się zabójstwami, a nie przestępstwami w sieci.

- Daniel jest z wydziału zabójstw. Ja nie. Od ponad roku pracuję w grupie specjalnej do spraw internetu.

- To długo. Znam ludzi, którzy przez dziesięć lat pracowali w oddziałach specjalnych, ale posypali się po zaledwie miesiącu pracy w grupach zajmujących się ściganiem pornografii dziecięcej.

- No cóż, ja jakoś sobie radzę. Na co dzień nie pracuję z Danielem, ale to jest specjalne zadanie. We wtorek, kiedy znalazłem tamte dzieciaki, poprosiłem o okresowe przeniesienie. Daniel szukał zabójcy kobiet z Dut-ton i wszędzie trafiał na ślady działalności Simona. Zabójca chciał, żebyśmy znaleźli zdjęcia i klucz.

- Klucz do sejfu, w którym spodziewaliście się znaleźć te zdjęcia?

- Tak. Morderca przywiązywał klucze do stóp ofiar, abyśmy domyślili się, że klucz jest ważny. Detektyw z Filadelfii odnalazł klucz do sejfu depozytowego wśród szpargatów Simona. Daniel był dzisiaj w banku, lecz skrytka okazała się pusta. Jeśli te zdjęcia kiedykolwiek tam były, to ktoś je zabrał. - Popatrzył na Susannah. - Ale pani wiedziała, gdzie ich szukać.

- Nie miałam pojęcia o sejfie. Wiedziałałam tylko, że Simon miał schowek za szafą.

Bo sama miała podobną kryjówkę w swojej sypialni. Simon zostawił ją tam, odurzoną narkotykami, po tym jak jego kumple použíwali sobie na niej. Nie obchodziło go, co poczuje Susannah, gdy przebudzi się w mrocznej ciasnej komórce, przerażona i obolała. Nic dziwnego, że nienawidziła tego domu, i dlatego Luke nie był pewien, czy ma prawo prosić ją o pozostanie w mieście, nawet ze względu na Daniela.

- Drań już na pewno nie żyje - stwierdził gorzko - ale działa z za grobu.

- Nawet martwy Simon potrafi znaleźć za skórę.

Uśmiechnął się; jej celna uwaga nieco rozładowała ponurą atmosferę. Susannah traktowała swoje lęki z pewnym dystansem, co Luke'owi się spodobało.

- Dobrze powiedziane. W każdym razie Daniel tropił tego zabójcę i potrzebował pomocy analityka danych komputerowych. A to moja specjalność, więc dołączyłem do jego zespołu. Wczoraj dostaliśmy informację, która naprowadziła nas na rodzinę O'Brienów. Ich najstarszy syn należał do paczki Simona.

- Jared - powiedziała cicho. - Pamiętam go. Wydawało mu się, że wszystkie dziewczyny ze szkoły szaleją za nim. Nie miałam pojęcia, że był jednym z tych... - Zostawiła to zdanie niedokończone.

Którzy ją zgwałcili. Luke opanował wzbierający gniew. Susannah jakoś sobie radziła z wściekłością, więc powinien brać z niej przykład.

- Jared zaginął kilka lat temu. Przypuszczamy, że inni członkowie klubu pozbyli się go, bo bali się, że zacznie gadać i ich wyda. Przez całą noc szukałem informacji na temat Jareda O'Briena i jego rodziny. Rano wszystko wyglądało logicznie. Dowiedziałem się, że jego młodszy brat Mack właśnie wyszedł z więzienia. Mack miał porachunki z każdą z tych zabitych kobiet. Był głównym podejrzanym. Nasi ludzie śledzili dwóch zidentyfikowanych gwałcicieli, a grupa wyspecjalizowana w poszukiwaniu kluczowych świadków przystąpiła do ścigania Macka O'Briena.

- Dlaczego po prostu nie zdjęliście burmistrza i zastępcy szeryfa?

- Z dwóch powodów. Po pierwsze, nadal nie znamy tożsamości tego trzeciego.

- Gdybyście aresztowali burmistrza i zastępcę szeryfa, może wysypaliby swojego współnika.

- Może. A może on by się gdzieś ukrył i nigdy byśmy go nie odnaleźli? Ale nie przymknęliśmy ich głównie dlatego, że Mack O'Brien za sprawą swoich ofiar prowokował pozostałych członków klubu. Zabili mu brata. Chciał się zemścić.

- Więc gdybyście zamknęli tamtych, zdałby sobie sprawę, że osiągnął cel, i zniknąłby?

- Mniej więcej. Planowaliśmy jednoczesne zdjęcie ich wszystkich po namierzeniu O'Briena, ale Mansfield pokrzyżował nam szyki. Sukinsyn.

- Zabił policjanta, który go śledził. Agenta Johnsona. Przykro mi z tego powodu. Mnie też, pomyślał Luke.

- Znajdziemy Mansfielda i wyślemy ekipę na poszukiwanie O'Briena. Mam nadzieję, że kiedy dopadniemy Mansfielda, doprowadzi nas do Bailey.

A jeśli nie, ja już zmuszę drania, żeby powiedział, gdzie ona jest.

- Powiedzieliście Alex Fallon, by nie traciła nadziei, ale czy naprawdę sądzicie, że Bailey jeszcze żyje?

Wzruszył ramionami.

- Zaginęła przed tygodniem. Jak sama pani zauważyła, sprawa nie wygląda dobrze. Zadzwoniła komórka i Susannah schyliła się, sięgając po torebkę.

- To mój telefon - powiedział Luke, zerkając na wyświetlacz. - Daniel. - Słuchał, coraz bardziej marszcząc czoło, wreszcie wyłączył telefon i zwrócił się do Susannah: - Będzie pani musiała wrócić którymś z następnych samolotów.

Uchwyciła się jego ramienia, gdy wziął ostry zakręt.

- Dlaczego? Dokąd jedziemy?

- Z powrotem do Dutton. Daniel powiedział, że dzwonił do niego szeryf Loomis.

- No i? - spytała Susannah, wyraźnie rozdrażniona.

- Loomis twierdzi, że wie, gdzie trzymają Bailey Crighton.

- Ten sam szeryf Loomis, którego prokuratura oskarża o fałszowanie dowodów rzeczowych po morderstwie siostry Alex Fallon trzynaście lat temu? - zapytała z sarkazmem. - Przeczytałam o tym na pierwszej stronie gazety z pańskiego biurka.

Luke docisnął pedał gazu.

- Szeryf Loomis, który utrudniał poszukiwania Bailey. Tak, właśnie o nim mowa.

- Na miłość boską! I wierzycie mu?

- Nie, ale nie można zlekceważyć takiej informacji. Od tego może zależeć życie Bailey. Daniel ma się spotkać z Loomisem koło zakładów papierniczych. Powiedział, że pani wie, gdzie to jest.

- Koło zakładów O'Brienów?

- Nie. Nasze ekipy przez cały dzień przeczesują nową fabrykę w poszukiwaniu Mac-ka O'Briena. Chodzi o stare zakłady. Zna pani drogę?

Przygryzła wargę.

- Tak, chociaż nie byłam tam od czasów, gdy chodziłam do czwartej klasy i zabrali nas tam na wycieczkę. Teraz nikt tam już nie zagląda: kupa gruzów, w dodatku pobliskie siarczane źródło sprawia, że cała okolica cuchnie zgniłymi jajami. Chyba nawet małolaty nie chodzą tam palić papierosów ani nie umawiają się na potajemne randki.

- Ale pamięta pani drogę?

- Tak.

- Tyle chciałem wiedzieć. Proszę się trzymać, bo może trochę nami rzucać.

Dutton, piątek, 2 lutego, godzina 15.30

Upłynęło zbyt dużo czasu. Rocky sprawdziła więzy krępujące każdą z sześciu dziewczyn, starannie unikając ich spojrzeń. Bo patrzyły na nią. Niektóre wojowniczo, ale większość z rozpaczą. Wyszła na pokład i zerknęła na Jersey Jamesona, do którego należała łódź. Przez całe życie łowił na tej rzece ryby, a przy okazji szmuglował towary modne w danym okresie. Reczne patrole nie interesowały się Jerseyem, więc stanowił dobrą osłonę.

- Dlaczego jeszcze nie odbiliśmy od brzegu? - spytała. Jersey wskazał oddalającego się Mansfielda.

- Kazał zaczekać i poszedł po doktora. Powiedziałem, że dam mu pięć minut, a potem odpływam z towarem. - Rzucił jej zniesmaczone spojrzenie.

- Przewoziłem dla ciebie mnóstwo różnego szajsu, Rocky, ale nigdy czegoś podobnego. Powtórz swojej szefowej, że robię to ostatni raz.

- Sam jej to powiedz. - Roześmiała się, widząc, jak Jersey zaciska zęby.

- Ale pewnie się na to nie odważysz. - Bobby nie była sympatyczna, kiedy jej czegoś odmawiano. - Gdzie ci faceci? Chyba muszę ich poszukać. Mieli wywlec to, czego nie zapakowaliśmy na łódź.

- Nie chcę o tym słyszeć - burknął Jersey.

Odczekali kolejne dwie minuty, a Mansfielda nadal nie było.

- Idę po nich - powiedziała. Zeszła na przystań i wtedy rozległ się odgłos wystrzału.

- Ktoś strzelił przed frontem budynku od strony drogi - stwierdził Jersey.

Rocky wskoczyła z powrotem na pokład.

- Ruszamy. Natychmiast.

Jersey już uruchomił silnik.

- A co z doktorem i zastępcą szeryfa?

- Niech sobie sami radzą. - Bobby nie będzie zachwycona, gdy się dowie, że pozostawiła zwłoki, a sama myśl o konfrontacji ze wściekłą Bobby przyprawiała Rocky o mdłości. - Zejdę pod pokład.

Dutton, piątek, 2 lutego, godzina 15.35

Susannah obserwowała przesuwającą się coraz bardziej w prawo strzałkę prędkościomierza w wozie Luke'a. To porywanie się z motyką na słońce, pomyślała ponuro, gdy najechali na wybój i koła na moment oderwały się od szosy. A potem przypomniała sobie strach w oczach Alex Fallon. Przyrodnia siostra tej kobiety zaginęła przed tygodniem, a jej zniknięcie wiązało się z całą tą zagmatwaną sprawą, którą powierzono Danielowi i Luke'owi. Skoro chodziło o Bailey, musieli sprawdzić każdy trop.

Mogła złapać następny lot jutro rano. Musiała tylko zatelefonować do hotelu dla zwierząt i poprosić, żeby potrzymano jej psa trochę dłużej. Nie miała żadnych innych pilnych spraw. Nikt na nią nie czekał. Taka była smutna prawda.

- Daniel dzwonił do szeryfa Corchrana z Arcadii - powiedział Luke, nie odrywając spojrzenia od szosy. - To niecałe czterdzieści kilometrów stąd, więc Corchrans szybko tu dotrze. Pani i Alex pojedziecie z nim w bezpieczne miejsce. Jasne?

Susannah kiwnęła głową.

- Jasne.

Uniósł jedną brew.

- Chyba nie zamierza się pani sprzeciwiać?

- A po co? - odparła spokojnie. - Nie mam broni i nie jestem z policji. Odpowiadam, że wy zrobicie, co do was należy, a ja przejmę pałeczkę dopiero w sądzie.

- Świetnie. Umie pani prowadzić?

- Słucham?

- Czy potrafi pani prowadzić samochód? - powtórzył. - Mieszka pani w Nowym Jorku. Znam paru nowojorczyków, którzy nigdy nie mieli prawa jazdy.

- Ja mam. Nie jeżdżę często, ale umiem prowadzić.

W rzeczywistości siadała za kierownicą tylko raz w roku i jechała wtedy zawsze w to samo miejsce na północy miasta. Wynajętym samochodem.

- To dobrze. Jeśli coś pójdzie nie tak, proszę wziąć do wozu Alex i jechać. Zrozumiała pani?

- Tak. Tylko... - Zamrugła, bo w pierwszej chwili nie uwierzyła własnym oczom. - Mój Boże. Luke, niech pan patrzy...

Jej głos został zagłuszony przez pisk opon podczas gwałtownego hamowania. Samochodem zarzuciło i zatrzymał się zaledwie centymetry od miejsca, gdzie na szosie leżała kobieta.

- Cholera. - Luke wyskoczył z auta, a Susannah wzięła głęboki oddech i wybiegła za nim.

Kobieta była zmalretowana i zakrwawiona. Wydawała się młoda, ale pokiereszowana twarz uniemożliwiała stwierdzenie tego na pewno.

- Wpadła pod koła? Mój Boże, czy to nasza robota?

- Nie przejechaliśmy jej - powiedział Luke, kucając przy kobiecie. - Została pobita.

Wyjął z kieszeni dwie pary lateksowych rękawic i jedną podał Susannah. Włożył rękawice i delikatnie przeciągnął dłonią po nodze kobiety. Kiedy dotarł do kostki, znieruchomiał. Susannah pochyliła się i dostrzegła tatuaż przedstawiający jagnię, ledwie widoczny pod zaschniętą krwią. Luke dotknął podbródka leżącej.

- Ty jesteś Bailey?

- Tak - wychrypiła z trudem. - Moja córka, Hope... Czy żyje? Odgarnął zmierzwiowane włosy Bailey z jej twarzy.

- Tak, żyje i nic jej nie grozi. - Podał Susannah swoją komórkę. - Proszę zadzwonić pod 911 i wezwać ambulans, a potem złapać Chase'a i powiedzieć mu, że odnaleźliśmy Bailey. Później niech pani zadzwoni do Daniela i każe mu wracać.

Pobiegł do bagażnika swojego wozu po apteczkę, a Susannah wybrała numer. Gdy po chwili próbowała zadzwonić do agenta specjalnego Chase'a Whartona, palce jej się płały w za dużych rękawicach.

Kiedy Luke bandażował ranę na głowie Bailey, która wciąż obficie krwawiła, chwyciła go za ramię i spytała:

- A Alex?

Luke spojrział na szosę, którą jechał Daniel, a w oczach Bailey znowu pojawiła się fala panicznego strachu.

- Czy ona była w tym samochodzie, który niedawno tędy przejechał? Luke zmarszczył brwi.

- W jakim samochodzie?

- On ją zabije. Na pewno. Pozabijał je wszystkie, wszystkie. „Pozabijał je wszystkie”. Serce Susannah zamarło. Wyszukała numer

Daniela w spisie telefonów. Jego komórka zadzwoniła w chwili, kiedy Luke próbował dowiedzieć się od Bailey czegoś więcej. Ujął jej podbródek.

- Kto taki? Bailey, posłuchaj mnie. Kto ci to zrobił? - Nie odpowiadała. Kiwała się tylko jak w amoku. - Bailey, kto cię tak urządził?

Zgłosiła się poczta głosowa Daniela i Susannah zostawiła krótką wiadomość:

- Odnależliśmy Bailey. Zawracaj i oddzwon. - Zwróciła się do Luke'a: - Wezwałam już ambulans, Chase stwierdził, że wysłał na pomoc agenta Haywooda, ale Daniel nie odpowiada.

Wstał, a na jego policzku zadrżał mięsień.

- Minie jeszcze z dziesięć minut, zanim Corchran tu dojedzie. Proszę jej pilnować - rzekł. - Powiem mu, żeby przysłał tylu miejscowych policjantów, ilu zdoła zebrać.

Susannah uklękła koło Bailey i wsunęła dłoń w rękawiczce pod jej włosy.

- Mam na imię Susannah. Proszę, powiedz mi, kto ci to zrobił? Bailey zamrugła.

- Oni mają Alex.

- Jest z nią Daniel - zapewniła ją Susannah. - On nie pozwoli im jej skrzywdzić. - Była o tym święcie przekonana, bez względu na własne układy z bratem. - Czy to Mansfield tak cię urządził?

Bailey ledwo zauważalnie skinęła głową.

- I Toby Granville. - Wykrzywiła usta. - Doktor Granville.

Toby Granville. Ostatni z trójki, która nadal żyła. Susannah zaczęła się podnosić, chcąc zawołać Luke'a, ale Bailey chwyciła ją za rękę.

- Dziewczyna... Jest tam - wskazała głową. - Ranna. Pomóżcie jej. Proszę.

Susannah wstała i zaczęła się wpatrywać w pobocze, nikogo jednak nie dostrzegając. Dopiero po chwili zauważyła jasną plamę między drzewami.

- Luke. Tam ktoś jest!

Nie czekając na niego, zaczęła schodzić po poboczu, potykając się w pantoflach na wysokich obcasach i w wąskiej spódnicy. Widziała leżącą postać coraz wyraźniej. Zaczęła biec.

Dziewczyna leżała bez ruchu, jak martwa. Susannah uklękła i przycisnęła palce do jej szyi, szukając tętna. Po chwili odetchnęła z ulgą. Puls był słaby, ale był. Dziewczyna żyła. Wyglądała na nastolatkę, drobną tak chudą, że jej ręce przypominały patyki. Mocno krwawiła, więc trudno było zlokalizować ranę.

Kiedy Susannah zaczęła wstawać, aby przywołać Luke'a, dziewczyna chwyciła ją za przedramię. Otworzyła oczy, pełne strachu i bólu.

- Kim...jesteś?-wykrztusiła.

- Nazywam się Susannah Vartanian. Jestem tu, żeby ci pomóc. Nie bój się. Dziewczyna osunęła się bezwładnie, z trudem chwytając powietrze.

- Vartanian... Zjawiłaś się... - Serce Susannah zamarło. Dziewczyna patrzyła na nią jak... jak na boską istotę. - Nareszcie.

Susannah ostrożnie uniosła jej podarty podkoszulek i zobaczyła na boku ranę od kuli. Zdjęta strachem, puściła okrwawiony materiał. Boże. I co teraz?

Myśl. Przypomnij sobie, co należy zrobić. Ucisk. Trzeba zastosować ucisk, by zatamować krew. Pospiesznie zrzuciła żakiet, a potem bluzkę; zadrżała, gdy poczuła na skórze zimne powietrze.

- Jak ci na imię? - zapytała, robiąc prowizoryczną opaskę uciskową.

Dziewczyna nie odpowiadała, tylko leżała z zamkniętymi oczami. Susannah odchyliła jej powiekę. Żrenica nie reagowała na światło, ale tętno wciąż było wyczuwalne. Zwinęła bluzkę w ciasny kłębek i delikatnie przyłożyła do rany.

- Luke!

Usłyszała za sobą kroki, a chwilę potem wściekle przekleństwo. Zerknęła przez ramię i jej oczy rozszerzyły się na widok pistoletu w jego dłoni.

- Mówiłem ci, żebyś nigdzie nie odchodziła... O Matko Boska! - Jego wzrok prześlizgnął się po jej koronkowym staniku, a potem skupił na leżącej dziewczynie. - Czy wiesz, kto to?

Popatrzyła na swoje dłonie przyciśnięte do boku dziewczyny.

- Nie. Bailey kazała mi jej pomóc, kiedy rozmawiałeś przez telefon. Powiedziała też, że przetrzymywali ją Granville i Mansfield.

- Granville. - Luke kiwnął głową. - Miejscowy lekarz. Widziałem go w tym tygodniu na miejscu jednej ze zbrodni. Więc to on jest trzecim gwałcicielem.

- Na to wygląda.

- Czy ta dziewczyna coś powiedziała?

- Powtórzyła moje nazwisko, a potem dorzuciła: „Zjawiałaś się. Nareszcie”. Zupełnie jakby mnie oczekiwała. - No i patrzyła na mnie jak na jakieś bóstwo. Co sprawiło, że Susannah poczuła się nieswojo. - Jest ranna i straciła dużo krwi. Daj mi swój pas. Muszę zatamować krwawienie.

Usłyszała świst pasa wysuwanego ze szlufek.

- Włóż żakiet - powiedział Luke - i zaczekaj tam, razem z Bailey.

- Ale...

Przyklęknął, spoglądając na Susannah.

- Ja się nią zajmę. Ten, kto to zrobił, może nadal znajdować się w pobliżu. Nie chcę zostawiać Bailey samej. - Zawahał się, po czym spytał: - Czy potrafisz obchodzić się z bronią?

- Tak - odparła Susannah bez wahania.

- To dobrze. - Wyciągnął pistolet z kabury na kostce. - A teraz idź. Ja przeniosę dziewczynę.

Susannah podniosła żakiet i wsunęła rękę w rękawy.

- Luke, to jeszcze dziecko. Umrze, jeśli szybko nie sprowadzimy pomocy.

- Wiem - odpowiedział ponuro, wsuwając pas pod ciało rannej dziewczyny. - Idź już. Pójdę za tobą.

3

Dutton, piątek, 2 lutego, godzina 15.45

Luke właśnie zaciągał sprzączki kamizelki kuloodpornej, kiedy nadjechały dwa wozy policyjne z Arcadii. Z pierwszego wysiadł mężczyzna w mundurze.

- Jestem Corchran. Gdzie Vartanian?

Tutaj.

Susannah klęczała między Bailey a nieznaną z imienia raną dziewczyną. Żakiet, który zapięła pod szyję, miała zaplamiony krwią, podobnie jak spódnicę. Dłonie w lateksowych rękawiczkach przyciskała do rany w boku dziewczyny.

- Gdzie ten cholerny ambulans? Corchran zmarszczył czoło.

- W drodze. Kim pani jest?

- To Susannah Vartanian, siostra Daniela - wyjaśnił Luke. - Ja nazywam się Papadopoulos.

- A gdzie jest Daniel Vartanian? - zapytał Corchran. Luke wskazał ręką.

- Pojechał tam i nie odpowiada ani przez komórkę, ani przez radio. Ściągnięte brwi Corchrana zdradzały zatroskanie.

- A te dwie?

- To Bailey Crighton - powiedział Luke - a tożsamości drugiej dziewczyny nie znamy. Obie nieprzytomne. Wezwałem już helikopter, aby przetransportował je do Atlanty. Możliwe, że ten, kto je tak urządził, nadal siedzi tam, skąd uciekły. - Westchnął niespokojnie. - Obawiam się, że Daniel ma kłopoty. Skoro pan tu jest, pojedę za nim.

Corchran wskazał dwóch policjantów z drugiego wozu.

- To Larkin i DeWitt. Mam jeszcze sześciu innych ludzi plus załogę ambulansu i ekipę rezerwową, którą postawiłem w stan pogotowia. Larkin i DeWitt mogą tu zostać i pokierować ruchem pojazdów na szosie. Ja pojedę z panem.

- Agent Pete Haywood też wkrótce tu będzie. Kiedy się zjawi, niech ruszy za nami. - Luke skinął na Corchrana. - Jedźmy.

Agencie Papadopoulos, proszę zaczekać. - Susannah oddała mu zapasowy pistolet. - Ja już go nie potrzebuję, a wam może się przydać. - Znowu zajęła się tamowaniem krwi ciekącej z rany dziewczyny.

Wykazała się spokojem, odwagą i roztropnością. Luke wiedział, że w spokojniejszej chwili znowu pomyśli o niej z podziwem. I że odtworzy w pamięci jej obraz, rozebranej do stanika. Ale teraz musiał się skupić na czymś innym. Od tego mogło zależeć życie Daniela.

- Jeśli Bailey odzyska przytomność, niech powie wszystko, co wie. Ilu tam jest ludzi, ile drzwi, kto ma broń. A Larkin niech melduje nam o wszystkim przez radio, nawet o najdrobniejszych szczegółach.

Susannah nawet nie podniosła oczu.

- W porządku.

- No to jazda.

Pojechali do starej fabryki, Luke przodem, a Corchran za nim. Kiedy Luke minął zakręt, serce po prostu mu zamarło.

- Mój Boże - wyszeptał. Zasadzka. Frank Loomis zwabił w nią Daniela. Wpatrywał się w betonowy bunkier długości ponad trzydziestu metrów.

Przed budynkiem stały trzy samochody. Dwa należały do policji z Dut-ton, trzeci do Daniela. Tył karoserii był wgnieciony po zderzeniu z jednym z wozów policyjnych tarasującym wyjazd i blokującym Danielowi drogę ucieczki.

Przednie drzwi samochodu były otwarte, a Luke dostrzegł, że boczna szyba od strony kierowcy ocieka krwią. Podeszedł tam z bronią w rękę i skinął na Corchrana, by zbliżył się do wozu z drugiej strony.

Samochód Daniela był pusty. Corchran zajrzał na fotel pasażera.

- Krew - rzekł cicho, wskazując tablicę rozdzielczą. - I włosy. - Podniósł z podłogi kosmyk. Włosy były długie i ciemne.

- To włosy Alex - powiedział Luke półgłosem. Chwilę potem dostrzegł ciało mężczyzny leżące kilkanaście metrów dalej. - Frank Loomis.

- Szeryf z Dutton. - Corchran pokręcił głową. - Więc i on jest w to zamieszany?

Luke przyłożył palce do szyi Loomisa.

- Przez cały tydzień utrudniał Danielowi prowadzenie dochodzenia w sprawie morderstw. Teraz nie żyje. Kiedy dotrą tu pańscy ludzie?

Corchran wskazał trzy radiowozy, które właśnie wyjeżdżały zza zakrętu.

- Już są.

- Niech zajmą stanowiska wokół budynku. I niech mają broń gotową do strzału, żeby mnie osłaniać. Sprawdzę wszystkie wejścia.

Luke ruszył przed siebie. Bunkier okazał się większy, niż wydawał się od frontu; miał kształt litery L, a krótsze skrzydło było skierowane ku rzece.

Na jednym końcu znajdowało się małe okno, a na drugim drzwi. Okno było za wysoko, żeby zajrzeć przez nie do środka.

Z wnętrza dobiegł huk wystrzału, a potem głosy, przytłumione i niezrozumiałe.

- Corchran - szepnął Luke do przenośnego radia.

- Słyszałem - odezwał się szeryf. - Właśnie przyjechała druga karetka, w razie gdybyśmy mieli tu rannych. Podchodzę od przeciwnej strony.

Luke usłyszał odgłos następnego wystrzału i zaczął biec. Spotkał się z Corchranem przy wejściu.

- Ja zajmę się górą, a pan dołem. - Zrobił krok, lecz po chwili raptownie się cofnął. - Ktoś idzie.

Corchran przyczaił się za węglem i czekał. Luke odczołgał się, nie spuszczać wzroku z drzwi. Po chwili drzwi się otworzyły i ukazała się w nich kobieta zalana krwią.

Ridgefield, Georgia, piątek, 2 lutego, godzina 16.00

- Prędeż! - Rocky wypchnęła z łodzi ostatnią dziewczynę. - Nie mamy całego dnia do zmarnowania.

Omiotła spojrzeniem piątkę dziewczyn, które zeszły już na ląd, szacując ich wartość. Dwie były bardzo chude, wręcz kościste. Trzecia, wysoka blondynka, miała atletyczną budowę. Za nią klienci płacili najwięcej. Dwie pozostałe spisywały się przyzwoicie, kiedy były zdrowe. Rocky musiała dokonać selekcji i wybrała te, które się nadawały. Pięć pobladłych dziewczyn klęczało na ziemi. Jedna z nich zwymiotowała na siebie pod pokładem, więc pozostałe odwracały się od niej z odrazą.

To dobrze, pomyślała Rocky. Poczucie solidarności w gronie „towarów” było niekorzystne. Ilekroć dziewczyny starały się ze sobą zaprzyjaźnić, dusiła takie próby w zarodku. Z tego powodu musiała nawet poświęcić najlepszą z nich, ale zakatowanie Becky na oczach pozostałych przyniosło zamierzony skutek. Becky zmawiała się z paroma dziewczętami, nakłaniając je do ucieczki, a tego nie można było tolerować.

Nadjechał wóz z przyczepą do transportu koni, biały i nierzucający się w oczy, z Bobby za kierownicą. Rocky przygotowała się na wybuch wściekłości, który na pewno nastąpi, gdy złoży relację z niedawnych wydarzeń.

Bobby wysiadła z szoferki i wbiła w nią wzrok.

- Zdaje się, że miałaś przywieźć szóstkę - warknęła. - A gdzie Granville i Mansfield?

Rocky z trudem wytrzymała spojrzenie zimnych oczu Bobby. Ale dziewczyny słuchały, a to, jak ona się teraz zachowa, wpłynie na to, jak będą ją postrzegały w przyszłości. Dyrygowanie tymi małolatami polegało w dziewięćdziesięciu procentach na skutecznym wzbudzaniu w nich strachu. Nie uciekały, bo bały się uciekać. Tak więc Rocky okazała hardość.

- Dokończymy wyładunek, a potem pogadamy. Bobby odstepiła o krok.
- Dobra. Tylko szybko.

Rocky zapędziła dziewczyny do przyczepy dla koni i sprawdziła, czy ich kajdany są dobrze przymocowane do ściany. Zakleiła im usta samoprzylepną taśmą do pakowania, w razie gdyby którejś przyszło do głowy wołać o pomoc, kiedy zatrzymają się na światłach.

Jersey nie patrzył nikomu w oczy, stawiając pudła na sianie. Gdy skończył, zwrócił się do Bobby.

- Będę przewoził, co tylko chcesz. Byle nie takie małolaty.
- Oczywiście - powiedziała Bobby gładko. - Nie chciałabym narażać cię na jakiegokolwiek przykrości.

Rocky wiedziała, że Bobby może go zmusić do przewozu żywego towaru, szantażując powiedzeniem komu trzeba, czym wcześniej się parał. Sądząc z wyrazu jego twarzy, Jersey miał tego świadomość.

- Mówię serio. - Z trudem przełknął ślinę. - Mam wnuczki w ich wieku.
- W takim razie radzę ci sprawdzić, z kim kontaktują się na czatach
- rzuciła zjadliwie Bobby. - Ghyba rozumiesz, że inne ładunki, które wozisz, szkodzą dzieciakom jeszcze młodszym niż te tutaj?

Jersey pokręcił głową.

- Jeśli ktoś kupuje narkotyki, robi to z własnej woli. A to tutaj to przymus.
- Bobby uśmiechnęła się kpiąco.
- Masz doprawdy specyficzne poczucie moralności, Jerseyu Jamesonie. Dostaniesz swoją dolę jak zwykle. A teraz ruszaj.

Bobby zamknęła drzwi przyczepy i Rocky wiedziała, że teraz kolej na nią.

- Granville i Mansfield nadal tam są - powiedziała, zanim szefowa zaczęła ją wypytywać. Objęła się ramionami, przymknęła powieki i dodała:

- Razem z ciałami dziewczyn, które zabił doktor.

Zapanowało milczenie, które zdawało się trwać wieczność. W końcu Rocky otworzyła oczy i krew zastygła jej w żyłach. Wzrok Bobby był ostry i podminowany wściekłością.

- Mówiłam ci, że nic nie może zostać - powiedziała bardzo spokojnie.
- Wiem, ale... - zaczęła Rocky.
- Ale co? - przerwała jej Bobby. - Dlaczego je zostawiłaś?
- Granville był nadal w bunkrze, a Mansfield poszedł, żeby go ściągnąć i pomóc w wynoszeniu zwłok. Jersey i ja usłyszeliśmy strzały od strony szosy. Pomyśleliśmy, że lepiej nie wpaść z żywym ładunkiem.

Bobby zmierzyła ją lodowatym spojrzeniem.

- Byłoby lepiej, gdybyś zrobiła, co trzeba, i nie zostawiła tam niczego. Co jeszcze? Rocky wytrzymała spojrzenie szefowej.

- Płynąc tu, słuchałam rozmów policyjnych na sprzęcie Jersey. Policja odnalazła ciało Franka Loomisa koło bunkra.

Bobby zmarszczyła brwi.

- Loomisa? A co, do cholery, on tam robił?

- Nie wiem.

- Ile?

Rocky pokręciła głową.

- Co ile?

Bobby chwyciła ją za gardło, unosząc nad ziemię.

- Ile ciał zostawiliście?

Rocky starała się za wszelką cenę zachować spokój.

- Sześć.

- Jesteś pewna, że one wszystkie nie żyją? Widziałaś zwłoki?

Nie widziała, a powinna była o to zadbać. Powinna patrzeć, jak Granville zabija każdą po kolei i wrzuca ciało do rzeki. Problem w tym, że gdy przychodziło co do czego, Rocky mdliło na widok zabijania. Ale Granville był stukniętym draniem i jeśli nic mu nie przeszkodziło, zabił je wszystkie.

- Tak, jestem pewna.

Bobby rozluźniła ucisk i stopy Rocky znów znalazły się na ziemi.

- W porządku.

Rocky z wysiłkiem przełknęła ślinę. Wciąż czuła ucisk w gardle i szczypanie na szyi, za którą chwyciła ją Bobby.

- Dziewczyn, które zostały, nie da się zidentyfikować. Nic nam nie grozi, chyba że Granville i Mansfield zaczną mówić. To znaczy, jeśli zostaną złapani.

Bobby puściła ją i odsunęła od siebie.

- Ja się nimi zajmę.

Rocky zachwiała się, ale szybko odzyskała równowagę.

- A co będzie, jak ich złapią?

- Dam sobie radę. Mansfield to nie jedyny gliniarz, któremu płacę. Co jeszcze?

- Dopilnowałam, żeby nie zostały żadne dokumenty. Granville ich nie zniszczył.

Bobby zasępiła się.

- A to sukinsyn. Powinnam była go zabić dawno temu.

- Pewnie tak.

Bobby podeszła i rzuciła cicho:

- Ciebie mogłabym załatwić teraz. Gołymi rękami. Mogłabym ci skrócić kark. Zaśłużyłaś na to. Wszystko spieprzyłaś.

Rocky zadrzała.

- Ale nie zrobisz tego - powiedziała, starając się panować nad głosem.

- A dlaczego nie?

- Bo beze mnie stracisz dostęp do czatów i przepadną ci wszystkie „ślicznotki”, które masz w sieci. Źródło dostaw wyschnie szybciej niż ślina na rozgrzanej patelni. - Zbliżyła twarz do jej twarzy, aż niemal zetknęły się policzkami. - A to popsułoby ci interesy. Dlatego mnie nie zabijesz.

Bobby wbiła w nią wzrok, a potem roześmiała się gorzko.

- Racja. Masz szczęście, że jesteś mi potrzebna bardziej, niż cię nienawidzę. Ale pamiętaj. Jeszcze jedna taka wpadka, a sama zajmę się łowieniem zdobyczy na internetowych czatach. Mogę znaleźć kogoś na twoje miejsce, a dzięki wpływom z innych interesów utrzymam się na powierzchni do chwili zorganizowania nowej siatki. Trzeba doprowadzić te dziewczyny do porządku. Mam na dzisiaj klienta. No, wsiadaj już. - Zajęła miejsce za kierownicą i sięgnęła po komórkę. - Hej, Chili, to ja. Mam dla ciebie parę robótek, ale trzeba się z nimi uporać bardzo prędko. Powiedzmy w ciągu godziny.

Rocky słyszała, jak Chili gwałtownie protestuje. Bobby skrzywiła się i odsunęła komórkę od ucha.

- Posłuchaj, Chili, jeśli nie bierzesz tej roboty, to trudno. Poszukam kogoś innego... - Uśmiechnęła się teatralnie. - Tak właśnie myślałam. Zajmiesz się dwoma domami. Kasa jak zwykle... - Bobby nieco spoważniała. - W porządku. Podwójna stawka. Tylko mają spłonąć doszczętnie, żeby nic z nich nie zostało. Nic nie może pozostać.

Dutton, piątek, 2 lutego, godzina 16.15

- Alex! - Luke popędził do drzwi, kiedy Alex Fallon wyłoniła się z bunkra cała zakrwawiona. - Ona oberwała. Corchran, niech pan sprowadzi pomoc medyczną.

Alex odsunęła ręce Luke'a.

- Nie ja. To Daniel został ranny. Jest w fatalnym stanie. Trzeba go natychmiast przewieźć na intensywną terapię. Pokażę wam, gdzie jest.

Luke chwycił ją za ramię, gdy weszła z powrotem do środka.

- Żyje?

- Ledwo - odparła. - Nie traćmy czasu.

- Przekażę Larkinowi, żeby helikopter dla tej dziewczyny zaczekał na Vartaniana - powiedział Corchran, przywołując gestem sanitariuszy.

Alex już biegła przez bunkier. Za nią ruszyli Luke i dwaj sanitariusze ze skrzypiącym wózkiem.

- Bailey uciekła - powiedziała, gdy Luke ją dogonił.

- Wiem - odparł. - Natknąłem się na nią. Jest w kiepskim stanie, ale żyje.

- Dzięki Bogu. Beardsley też jest tutaj.

- Beardsley? Ten kapelan? - Kapitan Beardsley figurował na liście zaginionych od poniedziałku, odkąd szukał Bailey w jej domu w Dutton.

- Tak. Żyje. Może nawet wyjdzie o własnych siłach, chociaż z nim też jest krucho.

Dotarli do pomieszczenia na końcu długiego holu. Dwaj sanitariusze obiegli Luke'a, żeby zająć się Danielem, który leżał na boku w kącie. Prowizoryczny opatrunek na jego piersi był dziełem Alex. Twarz miał poszarzałą, ale oddychał.

Oznak życia nie dawały natomiast trzy inne osoby. Zastępca szeryfa Mansfield leżał na plecach, dwie kule przeszły mu klatkę piersiową. Mack O'Brien był zgięty w pół, a pośrodku jego czoła widniała dziura od pocisku. Trzeciego mężczyznę pięć kul trafiło w pierś, a jedna w ramię. Ręce miał skute zakrwawionymi kajdankami. Z twarzy, zmasakrowanej pociskiem z broni dużego kalibru, niewiele pozostało.

Czwarty mężczyzna siedział pod ścianą oddychając z trudem. Twarz miał zakrwawioną i brudną a oczy przymknięte. Luke domyślił się, że to właśnie zaginiony kapelan, choć w tej chwili przypominał raczej Rambo niż duchownego.

- Matko przenajświętsza - szepnął Luke i spojrzał na smukłą kobietę, która jako jedyna uczestniczka tej jatki wciąż stała na nogach. - Czy to wszystko twoja robota?

Alex rozejrzała się wokół, jakby dopiero zdała sobie sprawę ze skali spustoszenia.

- W dużym stopniu. Mansfield postrzelił Daniela, a ja zabiłam Mansfielda. Wtedy nadszedł Granville. - Zerknęła ponuro na zwłoki bez twarzy. - Doktor Granville to ten trzeci gwałcieciel.

- Wiem - rzekł Luke. - Bailey nam powiedziała. Więc zabiłaś także Granville'a?

- Nie, tylko zraniłam. Zabił go O'Brien. Luke trącił zwłoki O'Briena czubkiem buta.

- A co z nim?

- Cóż, gdy zastrzelił Granville'a, przyłożył mi pistolet do głowy. Wtedy wielebny Beardsley odebrał mu broń, a Daniel dokończył dzieła. - Uśmiechnęła się szeroko. - Nieźle sobie poradziliśmy, prawda?

Luke odwzajemnił uśmiech, choć martwił się o ciężko rannego przyjaciela, który jęczał z bólu. Ale to, że Daniel jęczał, oznaczało, iż wciąż żyje i jest przytomny.

- Poradziłaś sobie świetnie - przyznał. - Załatwiłaś tych drani. Kapelan pokręcił głową.

- Spóźniliście się - powiedział słabym głosem. Alex natychmiast spoważniała.

- O czym pan mówi?

„Pozabijał je wszystkie”. Luke przypomniał sobie słowa Bailey.

- Zostań z Danielem - zwrócił się do Alex. - Pójdę się rozejrzeć. Alex spojrzała na sanitariuszy.

- Czy któryś z ważnych narządów został uszkodzony? - zapytała.

- Nie, ale jest bardzo osłabiony - odparł jeden z nich. - Kto opatrzył tę ranę na piersi?

- Ja - oznajmiła Alex. - Pracuję jako pielęgniarka na ostrym dyżurze. Sanitariusz spojrzał na nią z uznaniem.

- Dobra robota. Dzięki temu może oddychać. Alex skinęła głową.

- To dobrze. Idę z tobą - powiedziała do Luke'a. - Muszę się przekonać.

Luke zrozumiał. Jej przyrodnia siostra tkwiła w tym miejscu przez tydzień i choć wszyscy mówili, że Bailey to narkomanka, która pewnie gdzieś się zawieruszyła, Alex ani na chwilę nie straciła nadziei.

Beardsley wstał, przytrzymując się ściany.

- Chodźcie za mną.

Pchnął pierwsze drzwi po lewej. Nie były zamknięte, a pomieszczenie nie było puste.

Luke wstrzymał oddech przepełniony zgrozą. Na wąskiej pryczy leżała młoda dziewczyna z rękami przykutymi łańcuchem do ściany. Była potwornie wychudzona, oczy miała szeroko otwarte, a na czole widniała dziura od kuli. Wyglądała na jakieś piętnaście lat.

„Pozabijał je wszystkie”.

Luke podszedł do pryczy. Dobry Boże, pomyślał. A po chwili doznał wstrząsu, który zmroził mu wnętrzności. Cholera, gdzieś już widział tę dziewczynę. Przypomniał sobie zdjęcia, obleśne, ohydne obrazy, których nie potrafił wyrzucić z pamięci.

Znał tę twarz. To Angel. Bezwzględni dranie, którzy prezentowali jej walory na swojej stronie internetowej, nadali jej to imię.

Teraz Angel nie żyła. Najpierw wykorzystywali ją w ohydny sposób, a potem zabili. Luke poczuł, że ogarnia go furia. Zacisnął pięści, usiłując zapanować nad sobą. Nie mógł dopuścić, by wściekłość utrudniła mu wykonanie zadania.

Jako policjant miał „chronić i służyć”; te słowa brzmiały teraz jak drwina.

Nie ochronił jej. Zawiodłeś. Przybyłeś za późno.

Alex przykucnęła obok pryczy i przyłożyła palce do szyi dziewczyny.

- Nie żyje - powiedziała po chwili. - Mniej więcej od godziny.
- One wszystkie nie żyją- rzekł Beardsley ochrypłym głosem. - Wszystkie, które zostały.

- Ile ich jest? - zapytał Luke.

- Bailey i ja siedzieliśmy w celi na drugim końcu korytarza - odparł Beardsley - więc niczego nie widziałem. Ale słyszałem siedem strzałów.

Siedem strzałów. Do dziewczyny uratowanej przez Susannah strzelano dwukrotnie; jedna kula tkwiła w jej boku, a druga drasnęła czaszkę. Zostało pięć. Pięć strzałów i pięć trupów. Dobry Boże.

- Co to za miejsce? - spytała Alex.

- Melina handlarzy żywym towarem - wyjaśnił Luke, a ona popatrzyła na niego z przerażeniem.

- To znaczy, że te dziewczęta... Ale dlaczego je zabili? Po co?

- Nie zdążyli zabrać stąd wszystkich - powiedział Beardsley bezbarwnym głosem. - A nie chcieli, żeby te, co zostaną, mówiły.

- Kto to zrobił? - spytała Alex.

- Człowiek, którego nazywacie Granville. - Beardsley oparł się o ścianę i przymknął oczy.

Luke dostrzegł ciemną plamę na jego koszuli. Plamę, która się powiększała.

- Pan jest ranny. Na Boga, proszę usiąść. - Alex uklękła przy nim i delikatnie uniosła mu koszulę, odsłaniając ranę.

Luke przywołał jednego z sanitariuszy, młodzieńca, na którego plakietce widniało nazwisko Erie Clark.

- Kapitan Beardsley został ranny. Potrzebny jest jeszcze jeden wózek. - Spojrzał na Daniela. Wciąż był śmiertelnie blady, a jego pierś ledwo się poruszała. - Co z nim?

- Ustabilizowaliśmy jego stan na tyle, na ile to możliwe w tych warunkach - odparł Clark.

- Trzeba wezwać drugą ekipę - polecił Luke. - Mamy jedną martwą nastolatkę, a być może także cztery inne.

Luke i młody sanitariusz zaczęli sprawdzać kolejne cele. Było ich dwanaście, a każda mroczna, brudna i cuchnąca. Cella obok pomieszczenia biurowego była pusta, ale gdy Luke poświecił latarką, dostrzegł strużkę krwi wiodącą do drzwi. Krwawe plamy były także w korytarzu.

- To z tej uciekły - stwierdził Luke. - Sprawdźmy następną.

W następnej celi znaleźli ciało kolejnej dziewczyny, równie wychudzonej jak Angel. Luke usłyszał, jak Erie Clark wstrzymuje oddech.

- Mój Boże! - Sanitariusz wbiegł do środka, ale Luke go powstrzymał.

- Tylko ostrożnie. Trzeba sprawdzić, czy ona jeszcze żyje, ale nie wolno dotykać niczego innego.

Clark próbował wyczuć puls.

- Niestety nie żyje - rzekł po chwili. - Co, u licha, się tutaj działo? Luke nie odpowiedział, tylko przeszedł do kolejnej celi.

Znaleźli zwłoki pięciu dziewcząt. Pozostałych siedem cel było pustych, ale na materacach wyczuwało się wilgoć, a w powietrzu unosiła się woń odchodów i potu. Czyli jeszcze niedawno ktoś w nich był. Jedną z cel zajmowała dziewczyna uratowana przez Susannah, zabrano więc sześć innych.

Nie było niczego, co pozwoliłoby ustalić ich tożsamość. Tylko dziewczyna uratowana przez Susannah mogła dostarczyć cennych informacji. Jakichkolwiek informacji.

Cztery pozostałe ofiary były, tak jak Angel, przykute do ściany w swoich celach; i tak jak ona wpatrywały się martwo w sufit, mając pośrodku czoła dziurę po kuli. Clark sprawdził oznaki życia u każdej z nich. I za każdym razem kręcił przecząco głową.

Gdy dotarli do końca korytarza, Luke wziął głęboki oddech. Żadna nie przeżyła. Żadna, poza dziewczyną, którą Susannah znalazła na skraju lasu. Co widziała ocalona? Co wie?

Clark był wstrząśnięty.

- Jeszcze nigdy... O mój Boże. - Spojrzał na Luke'a i nagle poczuł się bardzo stary. - To przecież dzieci. One były jeszcze dziećmi.

Taki widok wstrząsnąłby nawet najbardziej doświadczonym policjantem. Luke wiedział, że Erie Clark już nigdy nie będzie takim człowiekiem jak dawniej.

- Chodźmy stąd - rzekł łagodnie. - Sprawdźmy tylny korytarz.

W tylnym korytarzu były tylko dwie cele, ale - o ile to możliwe - jeszcze bardziej zapuszczone. W jednej leżały zwłoki. Luke omiótł je światłem latarki. Na widok martwego mężczyzny wypatroszonego niczym wieprz z trudem stłumił odruch wymiotny.

Po chwili dostrzegł otwór w ścianie prowadzący do sąsiedniej celi. Zdał sobie sprawę, że tędy Beardsley przeciągnął Bailey, a potem razem uciekli.

- Wyłamujemy drzwi? - spytał Clark.

- Nie. Ta cela jest pusta. Proszę wracać do Vartaniana i ściągnąć ekipę medyczną. Do tego denata - Luke przełknął ślinę - i do tamtych dziewczyn.

Niewinne ofiary. Dziewczyny w wieku jego siostrzenic. Powinny chodzić na lekcje tańca i opowiadać sobie o znajomych chłopakach. Zamiast tego były głodzone, bite i gwałcone. A w końcu zginęły. Pomoc przybyła za późno.

Nie wytrzymam tego dłużej, pomyślał. Nie mogę już patrzeć na takie wynaturzenia.

Owszem, możesz. I wytrzymasz. Musisz. Dopadniesz tego, kto to zrobił. Dzięki temu pozostaniesz przy zdrowych zmysłach. Luke zacisnął zęby i wyprostował plecy.

Clark zajął się Danielem, a Luke wrócił do pierwszej celi. Alex wciąż klęczała przy Beardsleyu, przyciskając do jego boku opatrunek z gazy.

- Ile dziewczyn wywieźli? - zapytał. Beardsley z trudem uniósł powieki.
- Pięć albo sześć. Słyszałem, jak rozmawiali o jakiejś łodzi.
- Zawiadomię lokalną policję i straż przybrzeżną - powiedział Luke.

Z korytarza dobiegło skrzywienie wózka, na którym wywożono Daniela. Po chwili pojawił się drugi wózek, dla Beardsleya. Alex podziękowała kapelanowi za uratowanie życia i odeszła, by towarzyszyć Danielowi. Luke zajął jej miejsce koło Beardsleya, starając się nie przeszkadzać sanitariuszom.

- Proszę mi opowiedzieć o wszystkim, co pan widział i słyszał. Przenoszony na wózek kapelan skrzywił się z bólu.

- Trzymali mnie daleko od ich biura, więc słyszałem niewiele. Bailey i ja siedzieliśmy w celach na drugim końcu bunkra. Ale codziennie zabierali nas do biura na przesłuchanie.

- Chodzi o pomieszczenie, w którym zginęli Mansfield i inni?

- Tak. Bailey pytali o jakiś klucz. Bili ją i... - głos mu się załamał - torturowali. Granville ją torturował. A wszystko z powodu jakiegoś klucza. Nie ma pan pojęcia, jak bardzo chciałem zabić tego drania.

Luke spojrzął na martwą Angel i pomyślał o Susannah Vartanian oraz innych dziewczynach zniewolonych przez doktora Granville'a i jego gang.

- Mam pojęcie - zapewnił.

Musiał zadzwonić do szefa. Trzeba było zrobić wszystko, by dziewczyna uratowana przez Susannah przeżyła.

Wyszedł na zewnątrz za wózkiem, na którym wieziono Daniela. Tam zobaczył agenta Pete'a Haywooda, członka zespołu Chase'a.

- Co się tam wydarzyło? - spytał Pete.

Luke zdał mu krótką relację, a na koniec dodał:

- Muszę porozmawiać z tą dziewczyną. Możliwe, że tylko ona wie, kto wywiózł pozostałe.

- Jedź - odparł Pete. - Ja tu zostanę. Daj znać, jak będzie coś wiadomo o stanie Daniela.

- Zabezpiecz miejsce zbrodni. Nikogo nie wpuszczaj i utrzymuj ciszę radiową, dopóki nie zawiadomimy o wszystkim Chase'a i biura śledczego.

Biegając do samochodu, wybierał numer Chase'a Whartona.

- Cholera - zaklął Chase, nim Luke zdążył się odezwać. - Próbuję cię złapać już od dwudziestu minut. Co, do diabła, się tam dzieje?

Sanitariusze przenieśli Daniela do karetki i ambulans odjechał.

- Daniel jest w stanie krytycznym. Alex nic się nie stało. O'Brien, Mansfield, Granville i Loomis nie żyją. - Luke zaczerpnął powietrza i dodał: - Zastaliśmy tu istne piekło.

4

Dutton, piątek, 2 lutego, godzina 16.40

Susannah patrzyła, jak sanitariusze umieszczają dziewczynę na pokładzie śmigłowca.

- Mogę polecieć razem z nią? - spytała. Starszy z sanitariuszy pokręcił głową.

- To wbrew przepisom. No i nie ma miejsca. Susannah zmarszczyła brwi.

- Przecież Bailey zabrał ambulans. Wy bierzecie na pokład tylko tę dziewczynę.

Mężczyźni wymienili spojrzenia.

- Czekamy na jeszcze jednego pacjenta.

Susannah już chciała zapytać, na kogo, kiedy nadjechała następna karetka, a za nią samochód Luke'a. Papadopoulos wyskoczył z wozu, a z ambulansu wysiadła Alex Fallon. Była poplamiona krwią, ale najwyraźniej nic jej nie dolegało.

- Co się stało? - spytała Susannah. Zanim usłyszała odpowiedź, zobaczyła Daniela.

Był przypasany do noszy, a maska tlenowa zakrywała mu twarz. Patrzyła jak skamieniała, gdy sanitariusze przenosili go na pokład helikoptera.

Zawsze wydawał się taki silny, niepokonany. Teraz sprawiał wrażenie kruchego. I był jedyną osobą, która pozostała jej na świecie. Nie umieraj. Proszę, nie umieraj.

Luke objął ją i podtrzymał, a Susannah uświadomiła sobie, że uginają się pod nią nogi.

- On żyje - szepnął. - Jest ciężko ranny, ale żyje. Dzięki Bogu.

- To dobrze.

Chciała odsunąć się od Luke'a, ale chwycił ją za rękę i spytał:

- Czy ta dziewczyna coś powiedziała?

- Odzyskała przytomność tylko na chwilę. Ciągłe powtarzała: „On je wszystkie pozabijał”, a potem spytała o matkę. O co jej chodziło? Co tam się stało?

Luke, zamiast odpowiedzieć, zadał kolejne pytanie*.

- Dodała coś jeszcze? Cokolwiek?

- Nie. Zaczęła się dusić, więc sanitariusze podali jej tlen. Luke, ja muszę wiedzieć, co się tam wydarzyło. I co z Danielem?

- Opowiem o tym po drodze. - Zaprowadził ją do samochodu, posadził na fotelu dla pasażera i pomógł Alex zająć miejsce z tyłu. - Może nasza niezidentyfikowana ofiara odzyska przytomność, zanim dotrze do szpitala. Czy miała jakieś otwarte rany cięte?

- Nie - odparła Susannah. - A dlaczego pytasz?

- Znaleźliśmy tam pięć innych dziewcząt, same nastolatki. Wszystkie martwe. Wygląda na to, że mamy do czynienia z handlem żywym towarem. Ktoś wywiózł stamtąd kilka innych dziewczyn. Nie wiemy kto, a ta uratowana to jedyna osoba, która może wiedzieć.

- Mój Boże. - Susannah pomyślała o udrękach, jakie przeszła ocalona dziewczyna... A potem zrozumiała, do czego zmierzał Luke. - Mieliśmy kontakt z jej krwią - powiedziała cicho. Włożyli wprawdzie rękawiczki, ale żakiet Susannah był zakrwawiony, podobnie jak koszula Luke'a. - Jeśli jest czymś zarażona, to i my jesteśmy zagrożeni.

- W szpitalu zrobią nam wszystkie testy - wtrąciła Alex. - A że ryzyko złapania wirusowego zapalenia wątroby jest większe niż zakażenie HIV, dostaniemy zastrzyki z gamma-globuliny.

- Ile się czeka na wyniki testu na HIV? - spytała Susannah.

- Dwadzieścia cztery godziny - odparła Alex.

- W porządku.

Susannah usadowiła się wygodniej. Doba to nie tak długo. Znacznie krócej niż tydzień, a tyle to trwało, gdy ostatnim razem poddawała się badaniu.

- Luke - odezwała się Alex. - Granville powiedział coś tuż przed śmiercią.

Susannah spojrzała na nią ze zdumieniem.

- To Granville nie żyje?

- Mack O'Brien go zabił - wyjaśniła Alex, a po chwili dodała: - Ten trzeci gwałcieł. Nowa przyjaciółka Daniela jest bystra, pomyślała Susannah.

- Czyli zostało jeszcze dwóch - powiedziała. Alex pokręciła głową.

- Nie. Mansfield też nie żyje. Zabiłam go po tym, jak postrzelił Daniela.

W umyśle Susannah zadowolenie z tej wieści walczyło z frustracją.

- Czy chociaż cierpiał?

- Za krótko - odparł Luke i zwrócił się do Alex: - Co takiego powiedział Granville?

- Powiedział: „Wydaje wam się, że o wszystkim wiecie, ale to nie tak. Byli i inni”.

Luke skinął głową.

- To ma sens. Ten, kto porywał i wywoził te dziewczyny, musiał mieć pomocników.

- Nie w tym problem - stwierdziła Alex. - Granville powiedział jeszcze: „Kierowałem Simonem. Ale inni kierowali mną”. Zupełnie jakby chodziło o jakiś rodzaj kult albo czegoś w tym stylu. Paskudna sprawa.

„Ktoś kierował mną". Dreszcz przebiegł po plecach Susannah, gdy pomyślała o pewnej rozmowie, którą kiedyś podsłuchiwała.

- Czy powiedział, kim są ci inni? - dopytywał się Luke.

- Pewnie chciał powiedzieć, ale O'Brien strzelił mu prosto w twarz - odparła Alex.

- Tick - powiedziała Susannah.

Luke spojrział na nią ze zdumieniem i spytał:

- O co chodzi?

- Tick - powtórzyła. Przypominała sobie całe zdarzenie i teraz wszystko układało się w logiczną całość. - Podsłuchiwałam ich.

- Kogo?

- Simona i jakiegoś jego kolegę. Nie widziałam jego twarzy. Siedzieli w pokoju mojego brata i kłócili się. Ten chłopak ograł w coś Simona, a on zarzucił mu, że oszukiwał. Wtedy chłopak powiedział, że zawsze wygrywa, bo potrafi przewidywać posunięcia przeciwnika i manipulować jego reakcjami.

I namówił Simona na rozegranie następnej partii.

Alex pochyliła się do przodu.

- I co potem?

- Simon znowu przegrał. Był brutalem, ale miał głowę na karku. Chciał się nauczyć grać tak, jak jego rywal. Pewnie od razu zaczął kombinować, jak można wykorzystać taką umiejętność. Zażądał, żeby kolega zaprowadził go do człowieka, który nauczył go tego wszystkiego. Chłopak odparł, że to jego tick. Czyli mistrz. Pomyślałam wtedy, że żartuje. Simonowi też się tak zdawało. Ale ten chłopiec mówił poważnie. Simona to zaintrygowało.

- Co było dalej? - spytał Luke.

- Chłopak stwierdził, że jeśli Simon z nim pójdzie, zmieni się na zawsze i zacznie „należeć do kogoś innego". Dokładnie tak się wyraził. Pamiętam to, bo przebiegł mnie zimny dreszcz, chociaż tam, gdzie się akurat znajdowałam, było bardzo ciepło. Simon wybuchnął śmiechem i powiedział coś w rodzaju: „No dobra, idziemy".

- Jak zdołałaś ich podsłuchiwać? - zainteresował się Luke.

- Siedziałam w schowku.

- Tym za szafą?

- Tak - odparła. - Ale za szafą w moim pokoju. Słyszałam stamtąd każde słowo Simona i jego kolegi.

- Dlaczego schowałaś się tamtego dnia?

- Bo Simon kazał mi zostać w domu. Powiedział, że przyjdzie jego kumpel, który chce mnie poznać. Miałam dopiero jedenaście lat, ale już rozumiałam, o co chodzi. I dobrze, że się schowałam. Tamten chłopak obiecał, że zabierze Simona do swojego tic-

ka, ale wcześniej chciał zajrzeć do mnie. I bardzo się wkurzył, kiedy nie zastał mnie w pokoju.

- Kto? - spytał Luke. - Chłopak czy Simon?

- Właściwie obaj się wkurzyli.

- To Simon nie wiedział o twojej kryjówce?

- Chyba nie, chociaż nie jestem pewna. Może wiedział, ale po prostu chciał, bym się łudziła, że jestem tam bezpieczna. Simon uwielbiał takie psychologiczne zagrywki. Możliwość manipulowania reakcjami innych musiała mu się wydawać bardzo kusząca.

Luke zmarszczył czoło.

- Do licha, co właściwie ma znaczyć ten tick? Chodzi o tik nerwowy?

- Nie wiem. Następnego dnia szukałam tego słowa w słowniku, ale nie znalazłam. A bałam się pytać innych.

- Dlaczego? - zdziwiła się Alex.

Susannah zawahała się, a potem wzruszyła ramionami.

- Żeby mój ojciec się nie dowiedział.

- Zabraniał wam rozmawiać z bibliotekarzami? - spytał Luke, starannie ważąc słowa.

- Ojciec nie chciał, żebym rozmawiała z kimkolwiek. Luke powstrzymał się od komentarza.

- W porządku. Czy to możliwe, że tym chłopakiem był Toby Granville?

- Tak. Toby i Simon kumplowali się wtedy. Simon dopiero co stracił nogę. Większość kolegów patrzyła na jego protezę ze zgrozą, ale Toby uważał, że to coś fajnego.

- Załóżmy zatem, że to był Toby. Miał jakiegoś mentora, nauczyciela. Kogoś, kto uczył go sztuki manipulowania ludźmi. Kto nim kierował. Swojego ticka. To już coś.

- Minęło wiele lat - rzekła Susannah z powątpiewaniem. - Ten ktoś może już nie żyć. Ajeśli nawet żyje, to nie musiał współdziałać z Granville'em.

- Racja - przyznał Luke. - Ale dopóki nie uzyskamy nakazu rewizji w domu Granville'a, a nasza bezimienna ofiara nie odzyska przytomności, nie mamy nic więcej. - Sięgnął po komórkę. - Susannah, proszę zadzwonić do Chase'a i opowiedzieć mu to wszystko. Niech zacznie szukać tego ticka.

Susannah wyjęła z teczki swojego laptopa. Chase czekał na lądowanie śmigłowca z Danielem. Zanim wyjaśniła wszystko dyżurującemu policjantowi, jej laptop się otworzył.

- Czy wiadomo coś o Danielu? - zapytała Alex z nadzieją w głosie. Susannah poczuła ucisk w żołądku. Daniel jest silny. Wyjdzie z tego.

Stan rannej dziewczyny niepokoił ją bardziej.

- Jeszcze nie. Dyżurny na posterunku powiedział, że helikopter powinien wylądować za jakiś kwadrans. Do tego czasu możemy sami czegoś poszukać.

Luke zerknął na laptopa.

- Co robisz?

- Pomagam wam w pracy. Mogę korzystać z sieci bezprzewodowej. Luke był pod wrażeniem.

- Nieźle. No to wpiszmy w wyszukiwarce to słowo, a także hasło „mistrz”.

- Już to zrobiłam. - Czekala chwilę, a potem ściągnęła brwi na widok tego, co ukazało się na ekranie. - No cóż, „tik” to w Afryce Południowej określenie na krystaliczną metedrynę. Natomiast w Kambodży oznacza „ziemię i niebo”. Nic innego nie wyskakuje. Chyba że... - Wzmianka o Kambodży przywołała u niej inne wspomnienie: czegoś, co przeczytała w uczelnianym podręczniku.

- Chyba że...?-podchwycił Luke.

- Chyba że wymawia się to z „c”; nie „tik”, tylko „tick”. - Wpisała „mistrz tick” i po chwili pokiwała głową. - To wietnamskie słowo, wymawiane *t-h-i-c-h*. W ten sposób zwracają się z szacunkiem do buddyjskiego mnicha. - Spojrzała na Luke'a z powątpiewaniem. - Przecież buddyzm propaguje pokój i harmonię między ludźmi. To musiałby być jakiś cholernie postrzelony mnich.

- Słusznie, ale nawet jakiś postrzelony mnich to znacznie więcej, niż mieliśmy przed godziną. - Luke uniósł brwi. - Świetna robota.

Susannah odchyliła się na fotelu, czując satysfakcję.

- Dziękuję.

Dutton, piątek, 2 lutego, godzina 18.00

Charles wyłączył policyjne radio i rozparł się na sofie w saloniku na piętrze. Wiedział, że ten dzień w końcu nadejdzie. A jednak przełknięcie nowiny przyszło mu z trudem.

Toby Granville nie żył. Zginął. I to ręki takiego amatora jak Mack O'Brien. Mack wykazywał się okrucieństwem, ale nie miał za grosz wyrafinowania. I dlatego on też zginął, zastrzelony przez Daniela Vartaniana. Przynajmniej Toby'ego nie zabił Daniel. Bo to byłoby już całkiem nie do zniesienia.

Toby. Był taki zdolny. Zawsze czegoś poszukiwał. Zawsze eksperymentował. W filozofii, matematyce, religii, anatomii. Miał pierwszą lokatę na swoim roku na studiach medycznych. Jakże mogło być inaczej, skoro napisał pracę dyplomową w piwnicy domu samego Charlesa. Toby nie uczył się anatomii na trupach. O, nie. Charles dostarczał swojemu protegowanemu żywe ciała, a chłopak czerpał taką radość z zajmowania się nimi.

Charles pomyślał o człowieku przywiązany pasami do stołu w jego piwnicy. Toby nie zdążył z nim skończyć, bo facet miał jeszcze sekrety do ujawnienia. Będę zmuszony wykończyć go sam, pomyślał Charles i przyjemny dreszcz oczekiwania przebiegł mu wzdłuż kręgosłupa.

Czuł smutek z powodu śmierci Toby'ego, i to w tak okropnych okolicznościach. Nie miał pogrzebu z procesją, mszy za zmarłego, na którą przybędą tłumy, nikt nie będzie ronił łez na cmentarzu w Dutton. Toby Granville zginął w niesławie i nie spłyną nań zaszczyty po śmierci.

Charles wstał. Ja cię pożegnam, mój młody przyjacielu. Wyjął z szafy szatę, która niegdyś przyciągnęła uwagę Toby'ego. Włożył ją, zapalił w całym pokoju świece i usiadł w specjalnym fotelu, który wykonał z myślą o swoich sesjach z Tobym. Tego chłopaka łatwo było zwabić, ale znacznie trudniej zatrzymać przy sobie. Niemniej Toby dobrze służył swemu panu.

Charles zaintonował pieśń, której słowa dla niego nie znaczyły nic, otworzyły jednak świat okultyzmu przed trzynastolatkiem spragnionym wiedzy i krwi. Charles nie wierzył w takie rzeczy, lecz Toby owszem i za ich przyczyną stał się jeszcze bardziej okrutny. Żegnaj, Toby. Będzie mi ciebie brakowało.

- A teraz - powiedział na głos - muszę znaleźć kogoś na twoje miejsce.

Zawsze byli inni; czekali, gotowi, by służyć. Charles uśmiechnął się. Służyć mnie, rzecz jasna.

Wstał, zdmuchnął świece i odłożył szatę. Niebawem wykorzysta ją ponownie. Jego klienci, którzy pragnęli cudów i znaków, lubili, gdy wkładał kostium do tej roli.

Atlanta, piątek, 2 lutego, godzina 18.45

Luke stał przy szybie i zaglądał do pokoju przesłuchań, w którym przy stole siedziało w milczeniu dwóch mężczyzn. Jednym był burmistrz Dutton Garth Davis, a drugim jego adwokat. Garth miał posiniaczoną twarz, a prawy rękaw płaszcza ubrudzony charakterystyczną dla Georgii czerwona, gliniastą ziemią.

Luke zerknął na Hankę Germanio, który zaarrestował Davisa.

- Stawiał opór? - spytał. Germanio wzruszył ramionami.

- Właściwie nie.

Luke pomyślał o Susannah, o bliźniaczej siostrze Alex i o wszystkich innych dziewczynach, które Garth Davis napastował trzynaście lat wcześniej. Dobrze, że to nie on zatrzymał tego człowieka. Davis miałby wtedy więcej sińców na twarzy.

- Szkoda - stwierdził.

- Trochę szkoda. Mógłbym mu mocniej przyłożyć.

- Powiedział coś?

- Nie, tylko domagał się adwokata. Wredny sukinsyn. Ten jego prawnik też nie lepszy.

Luke spojrział na zegarek.

- Chloe mówiła, że spotka się ze mną tutaj.

- I nie skłamała. - Prokurator okręgowa Chloe Hathaway zamknęła zewnętrzne drzwi. Była wysoką, kształtną blondynką i potrafiła się gustownie ubierać, a na tym bynajmniej nie kończyły się jej zalety. Za ładną buzią krył się bystry umysł, więc Luke był zadowolony, że właśnie ona zajęła się tą sprawą. - Przepraszam za spóźnienie. Wypisywałam nakazy rewizji domów i biur Granville'a, Mansfielda i Davisa.

- Czy są już podpisane? - zapytał Luke.

- Jeszcze nie. Wolałam, żeby mój szef rzucił na nie okiem. Macie do czynienia z lekarzem, zastępcą szeryfa i prawnikiem, który został burmistrzem, mogą się więc zasłaniać różnymi tajemnicami zawodowymi. Nie chciałabym, żeby coś się wymknęło z zarzuconych sieci.

- A ja nie chcę, żeby wymknęło nam się tych pięć uprowadzonych dziewczyn - odparł Luke, usiłując poskromić zniecierpliwienie. - Im później zaczniemy przeczesywać dom Granville'a, tym dalej ucieknie jego wspólnik.

- Rozumiem - powiedziała Chloe. - Naprawdę rozumiem. Ale kiedy już złapiecie tego gościa, chyba lepiej, żeby nie oskarżył was o bezprawne postępowanie, prawda?

Luke zacisnął zęby. Oboje - i on, i ona - mieli rację.

- Ile to potrwa?

- Godzinę. Góra dwie.

- Dwie godziny?

- Tak, Luke. Skupmy się teraz na Davisie. Z siedmiu członków klubu gwałcicieli tylko on pozostał przy życiu. Co go wiąże z morderstwem tamtych pięciu dziewcząt poza zdjęciami, które znaleźliście w dawnym domu Daniela?

- Tylko kontakty towarzyskie z Granville'em i Mansfieldem. Oni stanowili miejscową elitę. Nie mamy realnej możliwości przesłuchania wszystkich jego wyborców, sąsiadów i współpracowników.

- A jego rodzina?

- Żona Davisa wyjechała z miasta z dziećmi, kiedy Mack O'Brien zamordował jedną z krewnych Gartha. Bała się o bezpieczeństwo swoje i dzieci, a wiedziała, że Garth nie pójdzie na policję. Nie wiemy, gdzie teraz jest. Jej szwagierka, Kate Davis, powiedziała nam, że pojechała „gdzieś na zachód”.

- No cóż, kiedy informacje o tutejszych wypadkach dotrą do mediów, zrozumie, że nic już jej nie grozi i pewnie wróci - stwierdziła Chloe. - A co z rodzicami Davisa i z jego rodzeństwem?

- Rodzice zmarli, żyje tylko siostra - Kate Davis. Jeszcze z nią porozmawiamy.

Chloe westchnęła.

- Więc nie mamy nic konkretnego.

- Na razie nie - przyznał Luke.

- Garth Davis mógł nie wiedzieć o sprawkach Granville'a. W przeciwnym razie jego adwokat pewnie zaproponuje jakiś układ dotyczący tamtych gwałtów sprzed trzynastu lat.

Luke'owi przyszło do głowy to samo.

- I pójdziesz na to? - zapytał łagodnie. Pokręciła głową.

- Nie mam najmniejszego zamiaru. Nie zgodzę się na żaden układ bez sprawdzenia, jakimi informacjami dysponuje Davis i czy są one prawdziwe. Muszę myśleć o sprawiedliwości dla dwunastu ofiar. Zasłużyły na zadośćuczynienie w sądzie. No, ale... - Nie dokończyła.

Dla trzynastu, pomyślał Luke. Susannah nie znalazła się na liście Daniela, bo długo nie wiedział, że i jej to wszystko dotyczy. Luke postanowił, że sam skontaktuje Susannah z Chloe. Jedna ofiara mniej nie umniejszała winy Gartha Davisa.

- A może jednak trzeba będzie zaproponować mu jakiś układ - powiedział, choć na samą myśl o tym czuł mdłości. - Musimy przeszukać jego dom i biuro. Sprawdzić, czy kombinował coś z Granville'em.

- W tym cały szkopuł, Luke - odparła. -I dlatego tak się biedziłam nad tymi nakazami. Mogę zlecić wyłącznie szukanie dowodów, które uznacie za powiązane z gwałtami, chyba że dostanę coś, co by wskazywało na współudział Davisa w handlu żywym towarem. A nawet jeśli coś takiego znajdziecie, nie będę w stanie się tym posłużyć jako argumentem.

- W każdym razie będziemy bliżej odnalezienia tych dziewczyn.

- To prawda, o ile Davis trzyma coś inkryminującego w domu albo w biurze. Trzeba to najpierw znaleźć. Wiem, że nie muszę ci o tym przypominać, Luke - dodała łagodnie - ale czas ucieka. Na razie nie możemy ani sformułować konkretnych oskarżeń, ani wycofać zarzutów.

- Nie chcę, żeby ten drań wyszedł na wolność, Chloe. Mało mnie obchodzi, co on wie.

- I nie dowiemy się tego, dopóki go nie spytamy - wtrącił rezolutnie Germanio.

Chloe poprawiła torbę na ramieniu.

- Fakt. No to zapytajmy.

Garth Davis zaczekał, aż Luke i Chloe usiądą przy stole, po czym oznajmił:

- Te zarzuty są śmieszne. Nikogo nie zgwałciłem. Ani teraz, ani trzynaście lat temu.

Luke w milczeniu przesunął po blacie folder ze zdjęciami. Zawierał cztery fotografie, na których widniał nastoletni Davis. Burmistrz spojrział na zdjęcia, wstrzymał oddech i zamknął folder z pobladłą twarzą.

Jego adwokat ściągnął brwi.

- Skąd je wytrzasnęliście? To fotomontaż. Z całą pewnością.

- Są prawdziwe - zapewnił Luke. - Natknąłem się na nie, sortując setkę podobnych, które są w naszym posiadaniu. - Wziął jedno ze zdjęć i przyjrzał mu się uważnie. - Ładnie się pan zestarzał, burmistrzu Davis. U niektórych mężczyzn brzuch widać już po trzydziestce. A pan jest w równie dobrej formie jak przed trzynastoma laty.

Davis zmierzył go nienawistnym spojrzeniem.

- Czego ode mnie chcecie?

- Garth - upomniał go adwokat. Davis zignorował go.

- Pytam, czego ode mnie chcecie? Luke pochylił się.

- Chciałbym, żeby gnił pan w więzieniu przez resztę swojego nędznego życia.

- Agencie Papadopoulos - wtrącała się Chloe, a Luke zbliżył plecy ku oparciu krzesła, nadal mierząc Davisa wzrokiem. - Mamy piętnaście ofiar. Piętnaście zarzutów dla pańskiego klienta zaangażowanego w wymuszanie kontaktów seksualnych z nieletnimi płci żeńskiej, oszołomionymi narkotykami. Zwykle za coś takiego sąd wlepią dziesięć lat od ofiary, więc może panu nie starczyć życia, by odsiedzieć wyrok, burmistrzu Davis.

- Pytam jeszcze raz - wycodził Davis przez zęby. - Czego chcecie?

- Proszę mu powiedzieć, agencie Papadopoulos - rzuciła Chloe. Luke wpatrywał się w Davisa.

- Niech mi pan opowie o Tobym Granville'u - rzekł. Przez moment widział na twarzy Davisa strach. Lecz po chwili burmistrz przybrał pogardliwą minę.

- On nie żyje. - Uśmiechnął się przebiegle. - To dla was trochę niedobrze.

Luke miał ochotę mu przyłożyć. Opanował się jednak i powiedział spokojnie:

- Można tak uznać. Ale można też stwierdzić, że śmierć Granville'a skieruje na kogoś innego pragnienie odwetu tych ofiar, które przeżyły. Silniejsza nienawiść skupi się na panu. Tylko pan pozostał z całej siódemki. Będzie pan sam dźwigał brzemień win tamtych sześciu drani, burmistrzu Davis. A gwarantuję, że wasze ocalałe ofiary są wściekłe i zechcą dobrać się panu do skóry. Tylko panu. Bo tylko pan żyje. A to dla pana trochę niedobrze.

Adwokat szepnął coś na ucho swojemu klientowi. Davis zacisnął zęby, a potem przybrał nieobecny wyraz twarzy, jakby znowu wszedł w rolę polityka.

- Granville był miejscowym lekarzem. Zajmował się leczeniem przeziębień i opatrywaniem otartych kolan. To wszystko, co mi wiadomo na jego temat.

- Proszę nie żartować, burmistrzu Davis - powiedziała Chloe. - Przecież wie pan więcej.

Davis i jego prawnik wymienili szeptem jakieś uwagi.

- Jesteśmy gotowi pójść na układ. Prokurator pokręciła przecząco głową.

- Nic z tego, dopóki nie usłyszę, co pan wie. Adwokat Davisa odchylił się na krześle.

- Wtedy nie będziemy mieć karty przetargowej. Luke rozłożył na blacie cztery zdjęcia.

- Mam ich dziesiątki, a na każdym z nich burmistrz Davis uśmiecha się, gwałcąc kolejne dziewczyny. - Znowu spojrzał Davisowi prosto w oczy. - Nie macie żadnych atutów. Może pan liczyć tylko na naszą łaskawość, o ile zechcemy ją okazać. A w chwili obecnej jakoś nie mam ochoty na wyrozumiałość. Tak więc proszę nie marnować mojego czasu.

Davis zerknął na swojego prawnika, a gdy ten skinął głową, rzekł:

- Ten klub był pomysłem Toby'ego i Simona. Zaczęło się od zabawy, ale potem klub zaczął żyć własnym życiem.

- Czy kiedykolwiek wtajemniczyliście w sprawę kogoś spoza klubu?

- Nie.

- Gdzie miały miejsce gwałty?

- Zależnie od pogody. Kiedy było ciepło, na dworze. Gdy było zimno, w zamkniętych pomieszczeniach.

- Gdzie dokładnie? - spytał Luke ostrzej

- W różnych domach, w zależności od tego, czyich rodziców akurat nie było.

- Czy zdarzyło się, że skorzystaliście z domu lub jakiegoś innego pomieszczenia, które nie należało do rodzin członków waszego klubu? - naciskał Luke.

- Raz. Zaplanowaliśmy wizytę w domu Toby'ego, ale matka Jareda O'Briena zachorowała i odwołała przyjęcie, które miała wydać tamtego wieczoru. Wszyscy nasi rodzice mieli zostać w domach i potrzebna nam była inna meta. Toby ją znalazł.

Luke sapnął.

- Co to za miejsce i do kogo należało?

- Nie wiem, co to było za miejsce i czyje. Toby zapakował nas do furgonetki, którą pożyczył od ogrodnika swojej matki. Wóz nie miał bocznych szyb, a Toby częściowo zasłonił przednią, żeby nie było nas widać. Simon pilnował z tyłu, czy nikt nie wygląda. Ale z Simonem na straży nikt by się nie ośmielił. Już wtedy był stukniętym sukinsynem.

- Jak długo jechaliście?

Coś nieszczerego mignęło w oczach Davisa.

- Nie pamiętam.

Podszyte irytacją westchnienie Chloe uświadomiło Luke'owi, że i ona się na to nie nabrała.

- Sądzę, że jednak pan pamięta, panie Davis.

- Wolałbym już skończyć na dziś. - Garth wstał i zwrócił się do swojego adwokata: - Proszę nadal szukać.

Nadal szukać? Czego? Albo kogo? - zastanawiał się Luke.

- Pewnie to przykre, że żona pana zostawiła w taki sposób - powiedział łagodnym tonem. - Nie wie pan nawet, gdzie są pańskie dzieciaki i czy mają się dobrze. Dwóch synów, prawda? Jeden ma siedem lat, drugi cztery. Bardzo mali jak na ucieczkę. Czyha na nich wiele niebezpieczeństw.

Na policzku Davisa, który nie był posiniaczony, drgnął mięsień.

- Wiecie, gdzie ona jest. Luke wzruszył ramionami.

- Niestety, nie pamiętam.

Davis ponownie usiadł.

- Chcę się zobaczyć z żoną i dziećmi.

- Może zdołam to załatwić - stwierdził Luke. - Jak długo jechaliście tamtego wieczoru?

Twarz Davisa jakby się zapadła, a jego wzrok stał się lodowaty.

- Niecałą godzinę. To była chata. W górach.

- I to wszystko? - spytał Luke. - Zdecydowanie za mało.

- To była jakaś cholerna chata w górach, jasne? - warknął Davis z płonącymi oczami.

- Miała kominek i kuchnię, tak jak wszystkie chaty w tamtej okolicy.

- Nie miała żadnych charakterystycznych ozdób? Czegoś, dzięki czemu odróżniłby ją pan od innych?

Oczy Gartha znowu zrobiły się zimne.

- Miała. Ale opiszę je wam, gdy zobaczę się z moimi dziećmi. Nie wcześniej. Nie wiem, dlaczego tak was interesuje ta chata, agencie Papadopoulos, lecz z jakiegoś powodu jest dla was ważna, a to mój jedyny atut. - Wstał. - Na razie mam dość.

Chloe milczała do chwili, gdy znaleźli się w przyległym pomieszczeniu.

- Mógłbyś mi wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi? Luke westchnął.

- Ostatnie słowa Granville'a brzmiały: „Kierowałem Simonem. Ale ktoś inny kierował mną”. Ktoś był jego mentorem. Doradzał mu. Może nawet sterował jego poczynaniami.

- To mógł być jego partner w handlu żywym towarem - powiedziała Chloe. - Albo i nie. Może właściciel tamtej chaty. - Po chwili uśmiechnęła się. - Ale dobrze to rozegra-

łeś, Luke. Coś z niego wyciągnąłeś, nie idąc na poważne ustępstwa. Może będę zmuszona pójść z nim na układ, ale wolałabym zachować do końca nasze karty atutowe.

Jeśli ten dupek wykpi się układem z prokuraturą, to tylko po moim trupie, pomyślał Luke.

- Dzięki. Mam nadzieję, że uda nam się ściągnąć tu panią Davis, zanim te uprowadzone dziewczęta znajdą się daleko i już nigdy ich nie odzujemy. - Zwrócił się do agenta Germanio, który obserwował zza szyby przesłuchanie. - Co robił Garth, kiedy go zwinąłeś?

- Dzwonił na lotnisko. - Germanio zerknął na Chloe. - Tylko proszę nie pytać...

Chloe przewróciła oczami.

- Hank, ile razy ci powtarzałam, że bez specjalnego nakazu nie wolno korzystać z czyjegoś telefonu?

Hank nie czuł się winny.

- Prosiłem, żeby nie pytać.
- No więc z kim rozmawiał? Kto odebrał, kiedy wcisnąłeś guzik ponawiający ostatnie połączenie? - dodała ciszej.
- Z niejaką Kirą Laneer. Pracuje przy odprawach na jednym z mniejszych lotnisk.
- To brzmi jak pseudonim jakiejś striptizerki - stwierdziła Chloe. -Sprawdzę, czy pani Davis i chłopcy lecieli jakimś samolotem, wczoraj albo dzisiaj. A wy trzymajcie się z daleka od tej Kiry Laneer, dopóki nie zdobędę nakazu na sprawdzenie bilingów Davisa,
- Czy mamy już dostatecznie dużo przesłanek, żeby w nakazie rewizji wspomnieć o wszystkich przedmiotach w domu Davisa, które mogą go łączyć ze sprawą handlu żywym towarem? - spytał Luke, ale nie zdziwił się, gdy Chloe przecząco pokręciła głową.
- Nie. Jednak mimo wszystko szukajcie takich rzeczy.
- Dobra. Pete Haywood czeka z grupą poszukiwawczą pod domem Granville'a na sygnał od ciebie. Kiedy tylko sędzia złoży podpis, zadzwoń do Pete'a i powiedz mu, że mogą wchodzić. Minęły już prawie trzy godziny, odkąd dowiedzieliśmy się o zaginionych dziewczynach.
- Jeżeli chcą wywieźć je z kraju, to mają nad nami sporą przewagę - zauważył Germanio.
- Wiem o tym - stwierdził ponuro Luke. - Powiadomiliśmy straż przybrzeżną i patrol graniczne, ale dopóki nie zdobędziemy rysopisów albo porywaczy, albo tych dziewczyn, na nic się to nie zda. Wrócę do tamtego bunkra i zobaczę, co ustalili Ed i technicy z kryminalistyki.

Atlanta, piątek, 2 lutego, godzina 18.45

Susannah stała przy oknie w szpitalnej poczekalni, usiłując nie tarasować przejścia ludziom nieustannie przemykającym za jej plecami. Wydawało się, że wszyscy policjanci z Atlanty dowiedzieli się o Danielu i przyszli, żeby podtrzymać na duchu jego rodzinę. Uśmiechnęła się gorzko. To ona stanowiła jego rodzinę.

Każdy, kto się zjawiał, mówił, jak wspaniały jest jej brat, jaki odważny i honorowy. Susannah bolała już twarz od ciągłego uśmiechania się, gdy dziękowała policjantom za miłe słowa. Alex dotarła pół godziny temu, po odwiedzinach u swojej przyrodniej siostry. Susannah pozwoliła jej się zastąpić w przyjmowaniu gratulacji i opowiadać, jak to Daniel poskromił złoczyńców.

A ona sama szukała spokoju koło tego okna. Widziała stąd światła miasta i zatłoczone ulice w godzinie szczytu. Gdyby się uparła, mogłaby sobie wyobrazić, że jest w Nowym Jorku, a nie w Atlancie, gdzie odżyły koszmarne wspomnienia.

Kiedy tylko dotarła do szpitala, pobrano jej krew do analizy i zrobiono zastrzyk w pośladek, tak jak Alex. Jakaś sympatyczna pielęgniarka pożyczyła jej swój zapasowy fartuch, bo ubranie Susannah nadawało się do wyrzucenia.

Szef Luke'a, Chase Wharton, przesłuchał ją na okoliczność popołudniowych wydarzeń. Ocalona dziewczyna trafiła na salę operacyjną, nie odzyskawszy przytomności w śmigłowcu.

Susannah pomyślała, że to nawet dobrze. Czowała ucisk w sercu na samą myśl o tym, co ta biedna dziewczyna widziała i przez co przeszła. Była wściekła, że współnik Granville'a zdołał umknąć. Co czeka te dziewczyny, jeśli nie uda się ich szybko odnaleźć?

Nie musiała wysilać wyobraźni, by się domyślić, co oni wyprawiają z tymi dziewczętami. Znała skutki prostytutki i gwałtów. Doświadczyła ich i jakże często widziała je w pracy. Wróciła myślami do pewnej ofiary, z którą czowała bardzo bliską więź. Tamtego dnia też było dużo krwi. I ciało skatowane tak, że nie mogło przeżyć.

Darcy, tak mi przykro. Zawiodłam cię, powtarzała w duchu. Wiedziała jednak, że te przeprosiny nie zdadzą się już na nic. Darcy ich nie usłyszy. Darcy już nigdy niczego nie usłyszy.

- Przepraszam.

Cichy głos wyrwał ją z dawnego koszmaru i przeniósł do obecnego. Susannah wyprostowała się, gotowa na przyjęcie kolejnych gratulacji. Tym razem stanęła przed nią drobna blondynka.

- Felicity Berg - przedstawiła się. - Jestem patologiem.

Susannah już otworzyła usta, lecz rozmówczyni poklepała ją uspokajająco po ramieniu.

- Nikt nie umarł - powiedziała, a potem skrzywiła się lekko. - No, niezupełnie. Właściwie to zginęło wiele osób. Ale Daniel żyje. I ta uratowana przez panią dziewczyna też.

- Skąd pani wie? - spytała Susannah. Chase i Luke mieli utrzymywać, istnienie dziewczyny w ścisłej tajemnicy.

- Luke zadzwonił i opowiedział mi, co wydarzyło się w bunkrze. Mieliśmy ciężki tydzień, wszystkie te ofiary Macka O'Briena, a teraz jeszcze to. Zaraz pewnie znowu zrobi się tu tłoczno i nie będę miała okazji z panią porozmawiać. Chcę tylko powiedzieć, że pani brat to dobry człowiek. Modłę się za niego. I za panią.

„Dobry człowiek”. Bez względu na to, co Daniel zrobił i czego nie zrobił, jest dobrym człowiekiem. Susannah nie mogła temu zaprzeczyć. Poczowała ucisk w krtani i musiała przełknąć ślinę, zanim odpowiedziała:

- Dziękuję.

Doktor Berg zerknęła na hałaśliwych policjantów.

- Gdy moja matka była tu w zeszłym roku na operacji, w poczekalni zrobiła się jedna wielka impreza z udziałem jej przyjaciół z bingo i z kursu stepowania. - Felicity Berg uśmiechnęła się. - O jej koleżankach z wieczoru panieńskiego z męskim striptizem nawet nie wspomnę.

Susannah odwzajemniła uśmiech, a doktor Berg wyznała:

- Uciekłam do kaplicy. Tam zawsze jest spokojnie. Nagle to miejsce wydało się Susannah całkiem swojskie.

- Dziękuję.

Doktor Berg uścisnęła jej ramię.

- Niech pani na siebie uważa. A ci wszyscy hałaśliwi faceci skoczyliby za panią w ogień tylko dlatego, że jest pani siostrą Daniela. Jeśli będzie pani czegoś potrzebowała, proszę bez wahania się do nich zwrócić. Sama chciałabym pomóc, ale... - spoważniała - czeka mnie robota.

Mnie też, pomyślała Susannah. Właśnie dlatego tego ranka znalazła się na pokładzie samolotu. Nadal miała przed sobą złożenie zeznania dotyczącego gwałtów sprzed trzy-nastu lat. Wszystkich tak zaaferowały wydarzenia w bunkrze, że nie było czasu zająć się wypadkami z odległej przeszłości. Przed spotkaniem z pracownicą prokuratury okręgowej Susannah musiała zatelefonować do swojego szefa w Nowym Jorku. Jej udział w obecnych zdarzeniach na pewno zostanie zauważony przez media. Szef zasługiwał na to, by dowiedzieć się o tym od niej, a nie z dziennika stacji CNN.

- Pani praca jest chyba najtrudniejsza, doktor Berg.

- Nie. Luke'a czeka jeszcze cięższe zadanie. Po zidentyfikowaniu wszystkich ofiar będzie musiał zawiadomić ich rodziny, że te dziewczęta już nigdy nie wrócą do domów... - Przerwała na chwilę, a zanim odeszła, powiedziała: - Kaplica jest na trzecim piętrze.

Piątek, 2 lutego, godzina 19.00

Muszę się stąd wydostać. Ashley Csorka owinęła się ręcznikiem. Wprawdzie nie znajdowała się już w betonowym piekle, ale jej sytuacja nie uległa poprawie. Ten dom był równocześnie więzieniem. Pokój nie miał okien. Brakowało nawet wentylatorów,

przez które mogłaby się precyzyjnie, gdyby była drobniejsza. Dom musiał mieć ze sto lat. Wanna była stara i popękana, ale, o dziwo, czysta.

Ashley wykapała się; ta kobieta zmusiła ją do kąpieli. Ojciec Ashley zawsze jej mówił, żeby zwymiotowała na siebie, gdyby ktoś ją napadł - to jedyny sposób na odstraszenie potencjalnego gwałciciela. Kiedy zapędzono ją na łódź, nie musiała wymuszać skurczów żołądka - zawsze ją mdliło na łodziach. Ojciec nieustannie się temu dziwił, bo przecież Ashley była znakomitą pływaczką.

Tata. Ashley z trudem powstrzymywała łzy. Tata na pewno jej szuka. Ale nigdy jej nie odnajdzie. Przepraszam, tatusiu. Powinna była cię słuchać. Wszystkie jego nakazy i zakazy wydawały się teraz takie rozsądne. Ale teraz było już za późno.

Zrobią ze mnie dziwkę. Zginę tutaj. Nie. Nie poddam się. Myślała o swoim ojcu i młodszym bracie. Oni jej potrzebują. Jej drużyna też jej potrzebuje. Ashley zaniósł się szlochem. Nie tu miałam trafić. Miałam pojechać na olimpiadę.

Ktoś ich jednak szukał. Słyszała rozmowę kobiety z tamtym stukniętym doktorem. Ktoś o nazwisku Vartanian ścigał ich wraz z policją stanową. Proszę, odnajdźcie nas.

Gdy obudziła się z narkotycznego snu, była przykuta łańcuchem do ściany jak zwierzę. Mimo wszystko udało jej się pozostawić ślad - rysę na metalowej ramie pryczy. Przeciągnęła językiem po zębach i wyczuła ostrą krawędź ułamanego siekacza. Odnajdźcie moje wyryte imię. Powiedzcie mojemu tatusiowi, że nadal żyję. I odszukajcie mnie. Odszukajcie nas wszystkie, zanim będzie za późno.

5

Dutton, piątek, 2 lutego, godzina 19.45

Luke stał w drzwiach bunkra, nie zwracając uwagi na natarczywe prośby reporterów o komentarz. Furgonetka ekipy dziennika telewizyjnego stała koło drogi, a w powietrzu krążył helikopter.

Za niespełną godzinę Chase Wharton miał poprowadzić konferencję prasową i powiedzieć na niej o wydarzeniach dnia, w tym o zabójstwie pięciu nastolatków i o uprowadzeniu kilku innych. Do tego czasu nie ujawniano żadnych informacji na ten temat, wspominając tylko o wytropieniu i zabiciu O'Briena, Granville'a, Mansfielda i Loomisa oraz nieznanego z nazwiska strażnika, którego zwłoki Luke znalazł na skraju bunkra.

Pięciu martwych winnych mężczyzn. Piątka martwych niewinnych dziewczyn. Matka Luke'a powiedziałaaby, że te liczby źle wróżą. On sam nie był całkiem pewien, czy tak właśnie nie jest.

A jednak częściowo im się poszczęściło, bo śmigłowiec z Danielem i dziewczyną na pokładzie zdążył odlecieć do Atlanty, zanim zjawił się pierwszy reporter. Policja liczyła na utrzymanie w tajemnicy faktu odnalezienia anonimowej dziewczyny do czasu, aż ta odzyska przytomność i opowie dokładnie, co się działo.

Po konferencji prasowej przewiozła zwłoki pięciu nastolatków do kostnicy, a dziennikarze rzucają się na tę sprawę jak rozjuszony psy. Na szczęście to Chase zajmował się kontaktami z przedstawicielami mediów. Luke zawsze miał ochotę powiedzieć reporterom, żeby się odchrzanili, a to nie wyszłoby sprawie na dobre.

- Może pan wejść, agencie Papadopoulos - powiedział funkcjonariusz przy drzwiach, jeden z kilkunastu wezwanych do zapewnienia porządku i bezpieczeństwa.

- Dzięki - odparł Luke. - Próbuję wykrzesać trochę energii.

Raczej zapanować nad nerwami, pomyślał. One wciąż tam były. Pięć martwych dziewczyn. Nie chciał znów na nie patrzeć. Na twarzy policjanta pojawił się wyraz współczucia.

- Jakież nowiny na temat agenta Vartaniana?

- Nie jest z nim tak źle.

Alex zadzwoniła do Luke'a parę minut temu i powiedziała mu o tym. Wejść tam i mieć to już za sobą, powtarzał sobie. Upłynęły trzy godziny, odkąd po raz pierwszy znalazł się w tym bunkrze. Ciało mężczyzny przewieziono już do kostnicy. Policjanci odpowiadali na pytania dziennikarzy, którzy wciąż sądzili, że to wytropienie i zabicie Macka O'Briena stanowiło główną sensację.

Sprawa O'Briena była teraz mało istotna. Ale paradoksalnie to właśnie on skończył z Granville'em i jego wynaturzeniami - i teraz, i trzynaście lat wcześniej.

Luke nadal stał przed wejściem. Przestań to odwlekać, napominał się w duchu.

Bo to właśnie robił. Ilekroć zamykał powieki, widział otwarte martwe oczy Angel. Nie chciał oglądać ich ponownie. Rzadko jednak działo się tak, jak sobie życzył. Już miał przekroczyć próg, gdy zadzwoniła jego komórka.

- Papadopoulos - powiedział do telefonu.

- Wiem - zabrzmiał znajomy głos. - Mówiłeś, że zadzwonisz. I nie zadzwoniłeś.

Luke pomyślał o swojej matce siedzącej przy telefonie i czekającej na wieści o Daniele, którego traktowała jak przybranego syna.

- Przepraszam, mam. Jestem bardzo zajęty. A z Danielem już lepiej.

- Już o tym wiem, i to nie od ciebie - powiedziała spokojnie, ale Luke czuł, że matka jest zirytowana. - Demi w końcu zjawiła się po dzieci i mogłam pojechać do szpitala.

- Naprawdę? Autostradą? - Matka Luke'a bała się jeździć autostradą w godzinach szczytu.

- Tak - potwierdziła dumą. - Właśnie siedzę w poczekalni na oddziale intensywnej terapii razem z Alex. Silna z niej dziewczyna, prawda? Będzie dobra dla Daniela.

- Też tak sędzę. Co dokładnie powiedział wam lekarz?

- Powiedział, że Daniel zostanie na oddziale intensywnej terapii, ale jego stan jest stabilny i jutro będzie można go odwiedzić.

- To dobrze. Ale jak ty wrócisz do domu? - Wiedział, że wieczorami matka nie radziła sobie zbyt dobrze za kierownicą.

- Twój brat przyjedzie po mnie, kiedy zamknie sklep. A ty rób, co do ciebie należy, Luka, i nie przejmuj się starą matką. To na razie, synu.

„Rób, co do ciebie należy”.

- Zaczekaj. Czy widziałaś się z siostrą Daniela?

- Oczywiście. Na pogrzebie jej rodziców w zeszłym tygodniu.

- Nie, nie, chodzi mi o to, czy spotkałaś ją dziś w szpitalu?

- A czyjej też coś się stało? - spytała z niepokojem.

- Nie, mamó. Ale możliwe, że czeka na pewną pacjentkę, także zabraną dziś przez pogotowie.

- Przecież Daniel to jej brat - oburzyła się. - Powinna czuwać przy nim.

Luke przypomniał sobie wyraz twarzy Susannah, kiedy wnoszono Daniela na pokład śmigłowca. Wydawała się wstrząśnięta i niewiarygodnie samotna.

- To trochę bardziej skomplikowane, mamó.

- Skomplikowane! Nie ma nic skomplikowanego... Och, zaczekaj. - Jej ton w jednej chwili zmienił się z pełnego oburzenia na pełen aprobaty. - Alex powiedziała mi, że siostra Daniela jest w szpitalnej kaplicy. To dobrze.

Luke uniósł brwi. Nie wiadomo dlaczego obecność Susannah Vartanian w kaplicy wydała mu się dziwna.

- Proszę, powiedz jej o Danielu.

- Oczywiście, Luka - zapewniła, a jej ciepły głos trochę poprawił mu humor.

- Dzięki, mamó.

Schował komórkę i wszedł do bunkra. Panowała tam przytłaczająca cisza, przerywana tylko chwilami przez stłumione głosy. Korytarze były ciemne, natomiast w pomieszczeniach, w których przebywały ekipy dochodzeniowe i techniczne, jarzyły się przenośne policyjne lampy. Ludzie Eda Randalla dobrze znali swój fach i pracowali bardzo sprawnie.

Luke zaglądał do kolejnych cel, a zgroza na widok martwych nastolatków na nowo ścisnęła mu wnętrzności. Technicy kryminalistyczni nałożyli już foliowe torebki na ich ręce i nogi, a obok każdego ciała leżał plastikowy worek na zwłoki.

Luke zmuszał się do patrzenia. Nie zdążył pomóc tym dziewczynom za życia, ale nawet martwe wymagały jego zaangażowania. Kim są? Jak się tu znalazły? Czy zostały uprowadzone, czy może - tak jak Angel - padły ofiarą przestępców na długo przed tym, zanim trafiły w to miejsce?

Luke znalazł lekarza policyjnego zabezpieczającego dłońe jednej z martwych dziewczyn. W panującej ciszy usłyszał pojedynczy stłumiony szloch, który wprost rozdarł mu serce.

- Malcolm? - powiedział cicho.

Malcolm Zuckerman zastygł w bezruchu, a potem ostrożnie odłożył bezwładną rękę dziewczyny. Kiedy podniósł wzrok, w jego oczach lśniły łzy.

- Widziałem już wiele bagna w tej robocie, ale czegoś podobnego jeszcze nigdy. Ona nie waży nawet czterdziestu kilogramów, a włosy wypadają jej garściami - powiedział ochryłym szeptem. - Jaki zwyrodnialec dopuścił się tego?

- Nie wiem. - Luke bardzo często zadawał sobie to pytanie. - Zdjąłeś ich odciski palców?

- Tak. Trey już je zawiózł do laboratorium. A ciała tych facetów do kostnicy. - Malcolm uśmiechnął się krzywo. - Rzucaliśmy o to monetą i on wygrał.

- Szczęściarz z niego. Wprowadzimy odciski palców tych dziewczyn do komputera, porównamy je z tymi z archiwum NCMEC i będziemy trzymali kciuki, żeby coś z tego wyszło.

NCMEC, ośrodek zajmujący się poszukiwaniem zaginionych nieletnich i walką z przypadkami wykorzystywania dzieci, przechowywał w swojej bazie danych odciski palców zaginionych dzieciaków - o ile takie odciski udawało się zdobyć. Wielu rodziców rozumiało potrzebę katalogowania odcisków palców swoich pociech, ale z różnych powodów zaniedbywało tę sprawę. Luke dopilnował, by szóstka dzieci jego siostry Demi poddała się tej procedurze. Przynajmniej w taki sposób ochraniał swoich krewnych.

- Już trzymam za to kciuki - rzekł Malcolm. - Kiedy będzie można zabrać stąd te dziewczyny?

- Za trzy kwadranse, najwyżej za godzinę. Po konferencji prasowej Chase'a.

Malcolm parsknął.

- Chase wyrasta na prawdziwego gwiazdora. To chyba już jego trzecia konferencja prasowa w tym tygodniu?

- Wliczając spotkanie z przedstawicielami mediów w sprawie O'Briena, nawet czwarta.

Malcolm pokręcił głową.

- Cholerny tydzień.

- Dla nas wszystkich. Dam ci znać, kiedy będzie można zabrać ciała.

- Luke? - rozległ się głos Eda Randalla. - Chodź tu, prędko.

Luke odnalazł szefa ekipy kryminologów przykucniętego koło jednej z pustych prycy. Materac leżał już na podłodze w plastikowym worku.

- O co chodzi? - spytał.

Ed spojrział na niego błyszczącymi oczami.

- Czyjeś imię i część nazwiska. Sam zobacz.

- Imię? - Luke spojrział w miejsce, które Ed oświetlał latarką. Na metalowej ramie widniał napis, ledwo widoczny na zardzewiałej powierzchni. - Ashley - odczytał. - Ashley Os... Tyle zdążyła wydrapać. Osborne? Oswald? Tylko dwie pierwsze litery nazwiska.

- Wygląda na to, że nasza Ashley próbowała ukryć tę inskrypcję. Wyżłobienia znaleźliśmy pod warstwą brudu pomieszaną z czymś jeszcze.

- Z czymś jeszcze? - Luke uniósł brwi. - A z czym?

- Trzeba będzie to przebadać - odparł Ed - ale przypuszczalnie z moczem. Przetrywano tu co najmniej trzy inne ofiary. Ich materace przesiąkły świeżą uryną.

Luke wyczuł już tę charakterystyczną woń.

- Czy uda się uzyskać DNA z któregoś z materaców albo z mieszaniny, jaką zeszkrobałeś z prycy Ashley?

- Jest spora szansa. To, że dziewczęta też przeszły już okres pokwitania, ułatwi sprawę.

- Dlaczego?

- Ponieważ DNA w moczu pochodzi z komórek nabłonkowych oderwanych w trakcie jego wydalania, a nie z samej uryny. Posłałem już próbki do laboratorium. - Ed zakłósał się na piętach. - Zanim zadasz następne pytanie, sam spytam: jak tam Daniel?

- Nieźle. Jutro będzie można go odwiedzić.

- Dzięki Bogu. Czy Daniel widział coś, zanim został ranny?

- Spytamy go o to, kiedy dojdzie do siebie. Co jeszcze znaleźliście? Chase ma za pół godziny tę konferencję i potrzebne mu najświeższe informacje.

- Pudło z ampułkami na krew, pudełko strzykawek, stary wózek szpitalny i sondę dożylną.

Luke ściągnął brwi.

- Coś tu nie gra. Te dziewczyny trzymano w brudzie i prawdopodobnie głodzono przez całe tygodnie.

- To nie wszystko - ciągnął Ed. - Znaleźliśmy także osiem sztuk broni, siedem telefonów komórkowych, dwa noże własnej roboty, jeden nóż sprężynowy i zestaw bardzo podejrzanych skalpeli.

- Co to za komórki?

- Poza tymi należącymi do Daniela, Alex i Loomisa reszta to tanie aparaty jednorazowe. Spisałem z nich numery wszystkich rozmówców oraz odbiorców i nadawców esemesów.

Luke przejrzał notatki Eda.

- Mansfield i Loomis dostali esemesy od Macka O'Briena. - Podniósł wzrok. - To on ich tutaj zwabił.

- Granville połączył się ze swojej komórki z numerem niepasującym do pozostałych. Rozmowa odbyła się około pół godziny po tym, jak Mansfield dostał esemesa od O'Briena.

Oczy Luke'a zwięzły się.

- Dzwonił do swojego wspólnika. Ed kiwnął głową.

- Prawdopodobnie.

- To więcej, niż spodziewałem się tu znaleźć. Przekażę Chase'owi najnowsze informacje, a potem pojedę do domu Granville'a. Haywood przeprowadzi przeszukanie, kiedy tylko Chloe zdobędzie nakaz rewizji. Spotkajmy się w pokoju narad u Chase'a dziś o dziesiątej wieczorem.

- Agencje Papadopoulos! - rozległo się od drzwi wejściowych. Luke i Ed podbiegli do funkcjonariusza z policji stanowej. - Pilny telefon od agenta Haywooda. Pożar w domu Toby'ego Granville'a!

Dutton, piątek, 2 lutego, godzina 20.00

Siedząc samotnie w cichej kaplicy, Susannah wreszcie uporządkowała myśli i już wiedziała, co musi zrobić. Wiedziała to właściwie już od tego ranka, kiedy weszła na pokład samolotu. Postanowiła złożyć zeznania, wystąpić w imieniu innych skrzywdzonych. Postanowiła walczyć o sprawiedliwość bez względu na cenę tej walki.

Cena na pewno będzie wysoka, lecz przeważały, i to znacznie, ostateczne zyski. Tego przedpołudnia szykowała się do konfrontacji z kilkoma mężczyznami, którzy powinni zasiąść na ławie oskarżonych. Teraz został tylko jeden z nich. Burmistrz Garth Davis był ostatnim żywym członkiem klubu Simona. I tylko on stanie twarzą w twarz z kobietami, którym zrujnował życie.

Ale jej przyjdzie zapłacić równie słono. Będzie musiała poświęcić życie osobiste, swoją pracę... wszystko zmieni się na zawsze. A jednak postanowiła zeznawać. Ze względu na pozostałe ofiary, którym mogła oszczędzić tylu zgryzot, gdyby przemówiła wcześniej. Ze względu na tych pięć dziewcząt, których zwłoki Luke znalazł w bunkrze,

i z myślą o tych, których poszukiwania właśnie podjęto. Ze względu na nieznaną z nazwiska dziewczynę, która patrzyła na nią jak na bóstwo. Czy również ze względu na siebie?

- Tak - szepnęła. - Ze względu na mnie też. Chciała odzyskać szacunek dla siebie samej.

- Przepraszam, czy mogę się przysiąść?

Susannah spojrzała na wysoką kobietę o ciemnych włosach, wyrazistych oczach i z torebką wielkości jej teczki. W kaplicy nie było nikogo poza nimi. Wolnych miejsc nie brakowało. Już otworzyła usta, żeby odmówić, ale coś w spojrzeniu tej kobiety ją powstrzymało. Może ona potrzebuje towarzystwa, pomyślała i w milczeniu skinęła głową.

Woń brzoskwiń połaskotała nozdrza Susannah, gdy kobieta usiadła obok i położyła torebkę na kolanach. Wydała jej się znajoma. Pewnie już ją gdzieś widziałam, pomyślałam.

- Jest pani katoliczką? - zapytała kobieta i spojrzała na różaniec w jej dłoniach.

- Tak. - Przeszła na katolicyzm ku oburzeniu swoich rodziców, którzy przez wiele lat nie potrafili pogodzić się z tą decyzją. - Znalazłam ten różaniec koło ambony. Chyba nikt się nie obrazi, że go na chwilę pożyczyłam.

- Proszę wziąć mój - zaproponowała kobieta, sięgając do przepastnej torebki. - Mam zapasowy.

Mówiła z wyraźnym obcym akcentem. Pewnie pochodziła z Europy Wschodniej albo... z Grecji. No tak. To by pasowało.

- Pani Papadopoulos? - zapytała cicho Susannah. Rozmawiała z matką Luke'a. - Była pani na pogrzebie moich rodziców.

- Byłam. - Kobieta wyjęła pożyczony różaniec z ręki Susannah i włożyła w jej dłoń własny. - Proszę mnie nazywać Mamą Papa. Wszyscy tak do mnie mówią.

Kąćki ust Susannah lekko się uniosły. Jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić, by ktokolwiek odważył się sprzeciwić matce Luke'a.

- Dobrze. I dziękuję za różaniec.

- Bardzo proszę. - Pani Papadopoulos wyjęła z torebki drugi różaniec i zaczęła się modlić. - Modli się pani za brata? - spytała nagle.

Susannah spuściła wzrok.

- Oczywiście.

W rzeczywistości nie modliła się za Daniela. Prosiła Boga o siłę potrzebną do tego, co zamierzała zrobić. Bez względu na wszystko.

- Danielowi już nic nie grozi - zapewniła pani Papadopoulos. - Wyzdrowieje.

Susannah odetchnęła z ulgą.

- Chwała Bogu - szepnęła. Nadal czuła na sobie badawcze spojrzenie matki Luke'a.

- Skomplikowana sprawa - powiedziała pani Papadopoulos. - Co naprawdę pani tu robi, Susannah?

Susannah zmarszczyła brwi. Wścibska baba, przemknęło jej przez myśl.

- Tu jest spokojnie, a ja musiałam trochę porozmyślać.

- O czym?

Susannah podniosła wzrok.

- To chyba nie pani sprawa, pani Papadopoulos - odparła chłodno. Myślała, że matka Luke'a się wkurzy. Ale ona uśmiechnęła się dobrotliwie i powiedziała:

- Wiem. Ale Daniel jest dla mnie jak syn. A pani jest jego siostrą. -Wzruszyła ramionami. - Dlatego pytam.

Susannah poczuła łzy napływające do jej oczu i znowu spuściła wzrok.

- Znalazłam się na rozdrożu - wykrztusiła przez ściśnięte gardło.

- Życie jest pełne takich rozdroży.

- Wiem. Ale to jest szczególne.

Pani Papadopoulos zastanawiała się chwilę, po czym spytała:

- Więc chodzi pani do kościoła?

- Nie, właściwie przysłam tu poszukać spokoju i ciszy. Ukryła się tutaj. Już kiedyś tak postąpiła. Uciekła do kościoła, gdy zrobiła coś haniebnego...

Wtedy czuła do siebie nienawiść i była zbyt zawstydzona, by wypowiadać się księdzu. Ale odnalazła w kościele azyl i jakoś zebrała siły, by żyć dalej i postępować właściwie. Dziś miała zrobić rzecz najważniejszą. Tym razem nie będzie odwrotu, wreszcie odzyska szacunek do siebie samej.

Matka Luke'a zerknęła na różaniec w dłoniach Susannah.

- I znalazła pani spokój.

- O tyle... - o ile na niego zasłużyłam, dokończyła w myślach. - Tyle, ile się spodziewałam.

Znalazła coś więcej niż spokój, odzyskała bowiem siłę, a właśnie siły potrzebowała dzisiaj najbardziej.

- Kiedy tu weszłam, myślałam, że jest pani lekarką. - Matka Luke'a wskazała kitel, który Susannah miała na sobie. - Co się stało z pani ubraniem?

- Zniszczyło się. Jedna z pielęgniarek pożyczyła mi swój fartuch. Pani Papadopoulos chwyciła swoją wielką torebkę.

- Gdzie ma pani walizkę? Dostarczę pani ubrania. Proszę zostać z Danielem.

- Nie mam walizki. To znaczy... nie przywiozłam ze sobą żadnych ubrań.

- Przyleciała pani z Nowego Jorku bez bagażu?

- Zdecydowałam się przylecieć pod wpływem impulsu.

- Impulsu. - Pani Papadopoulos pokręciła głową. - Więc raczej nie planuje pani tu zostać?

- Nie. - Susannah nagle poczuła się niezręcznie. - Czekam, aż pewna pacjentka trochę wydobrzeje, a potem wrócę do domu.

Pani Papadopoulos wstała.

- Cóż, nie może pani wyjechać w takim stroju. I bez butów. - Była to prawda. Susannah miała na nogach szpitalne kapcie. - Proszę powiedzieć, jaki rozmiar pani nosi. Moja wnuczka pracuje w sklepie z odzieżą w centrum handlowym. To prawdziwa modnisią. Wybierze jakieś ładne rzeczy.

Susannah również wstała.

- Pani Papadopoulos... - Ostre spojrzenie zmusiło ją do zmiany tonu. - Mamo Papa, nie musi pani tego robić.

- Wiem. - Pani Papadopoulos znowu popatrzyła na nią i Susannah już wiedziała, po kim Luke odziedziczył te czarne oczy, który dostrzegają zdecydowanie za dużo. - Alex od Daniela powiedziała mi, co zrobiła pani dla tej uratowanej dziewczyny.

Susannah zmarszczyła brwi.

- Myślałam, że nikt miał o niej nie wiedzieć. Pani Papadopoulos wzruszyła ramionami.

- Już o niej zapomniałam - zapewniła i uśmiechnęła się szeroko. - Nie musiała pani jej pomagać.

Susannah z trudem przełknęła ślinę. Poddała się badaniom, bo istniało ryzyko, że drogo zapłaci za dzisiejsze poświęcenie. Ale ta dziewczyna, tak jak wiele innych ofiar, też słono zapłaciła za swoją niewinność.

- Musiałam. Naprawdę musiałam.

- Więc i ja muszę pani pomóc - odparła pani Papadopoulos tak łagodnie, że Susannah znów łzy napłynęły do oczu. - Naprawdę. Proszę mi na to pozwolić i po prostu podziękować.

Potrzebę czynienia dobra Susannah potrafiła zrozumieć.

- Noszę siódmkę - powiedziała. -1 dziękuję.

Matka Luke'a obdarzyła ją mocnym uściskiem i zostawiła samą w kaplicy.

Susannah znów pograżyła się w myślach. Zrobiła, co należało, kiedy przed południem odnalazła pudło. Zrobiła co należało, gdy po południu uratowała nieznaną dziewczynę przed wykrwawieniem się na śmierć. Wieczorem miała jeszcze jedno do zrobienia. Szef Daniela podał jej numer Chloe Hathaway, prokurator okręgowej, która miała oskarżać ostatniego żyjącego członka klubu Simona.

Susannah wzięła teczkę i wyszła z kaplicy. Musiała spełnić swoją powinność. Wcześniej jednak chciała sprawdzić, jak się czuje ocalona dziewczyna.

Ridgefield House, piątek, 2 lutego, godzina 20.00

- Są gotowe - oznajmiła Rocky.

Bobby oderwała spojrzenie od danych na monitorze. Z trudem hamowała wściekłość, jaka wezbrała w niej na widok Rocky, która okazała się zwyczajnie nieudolna. Powin-
nam była sama wybrać się nad rzekę, pomyślała. Teraz musiała znaleźć nowego leka-
rza, który będzie wystawiał zaświadczenia zdrowotne świeżym towarom, i nowego gli-
niarza w urzędzie szeryfa.

Przynajmniej Chiliemu się udało. Urządzenie monitorujące wychwytywało wezwania
kierowane do wszystkich załóg strażackich, by przybyły pod dom Granville'a. Następny
powinien spłonąć dom Mansfielda. Kto wie, jakie kompromitujące dowody trzymali ci
dwaj?

Interes musi się kręcić. A dziś wieczorem była spora forsa do zarobienia.

Bobby popatrzyła na pięć młodych kobiet stojących rzędem. Dwie to świeże ślicz-
notki z placówki nad rzeką, wypucowane, wystrojone i atrakcyjne. Pozostałe pracowały
od dawna. Wszystkie miały spuszczone oczy i wszystkie drżały, dwie nawet tak bardzo,
że dzwoniły im kolczyki w uszach. To dobrze. Strach ułatwia sprawę.

Efekt dzisiejszego przedsięwzięcia wydawał się przesadzony. Haynes lubił blondyn-
ki, zdrowe, opalone, bardzo amerykańskie. A właśnie taki towar był specjalnością Bob-
by na wciąż rozrastającym się rynku zagranicznym. Oferowała swoim klientom praw-
dziwe Amerykanki.

- Haynes wybierze tę blondynę. Ashley, prawda?

- Nie. Proszę, nie - Blondynka skurczyła się, a pozostałe odetchnęły z ulgą.

Bobby zwróciła się do asystentki.

- Pamiętasz adres Ashley?

- Tak. Snowbird Drive siedemset dwadzieścia jeden w Panama City na Florydzie -
odpowiedziała Rocky. - Matka zmarła dwa lata temu, a ojciec pracuje na nocnej zmia-
nie. Po „ucieczce” Ashley zatrudnił opiekunkę, która pilnuje jej brata, kiedy on jest w
pracy. Chłopak czasem wymyka się wieczorami i zadaje z...

- Dosyć - powiedziała Bobby, gdy dziewczyna zaczęła płakać. - Wiem wszystko o
twojej rodzinie, Ashley. Wystarczy jeden fałszywy krok, jeden niezadowolony klient, a
ktoś z twoich zginie. I to w mękach. Szukałaś przygód, no to je znalazłaś. I przestań ry-
czeć. Mój klient woli uśmiechy. Rocky, zabierz je stąd. Mam coś do zrobienia.

Bobby wróciła do przeglądania akt personalnych. Właśnie czytała życiorys bardzo
obietującego medyka, gdy zabręczczała jedna z jej komórek. Ten numer dawała infor-
matorom, których skłaniała do współpracy, bo mieli na sumieniu coś, o czym ona wie-
działa, a czego oni nie chcieli ujawniać.

Informacja daje władzę. A Bobby lubiła rządzić. Wyświetlony numer wskazywał, że rozmówca dzwonił z okolic Atlanty.

- Tak?

- Miałam się odezwać, kiedy coś się wydarzy w szpitalu.

Dopiero po chwili Bobby rozpoznała głos. To Jennifer Ohman, pielęgniarka z oddziału intensywnej terapii, która miała problemy z narkotykami. Informatorzy Bobby albo zażywali narkotyki, albo uprawiali hazard, albo mieli nietypowe upodobania seksualne. Rezultat był zawsze taki sam.

- Mów. I streszczaj się, bo mam mało czasu.

- Z Dutton przywieziono helikopterem dwoje pacjentów. Jeden to agent specjalny Vartanian.

Bobby wyprostowała się gwałtownie. Według przechwyconego radiowego meldunku policyjnego Vartanian został zastrzelony podczas akcji, w której zginęli Loomis, Mansfield, Granville i Mack O'Brien oraz niezidentyfikowany strażnik. Nie było żadnej wzmianki o ciałach dziewcząt, które policja musiała znaleźć w bunkrze.

- A ta druga?

- Niezidentyfikowana dziewczyna w wieku szesnastu, siedemnastu lat. Była w stanie krytycznym, ale pomyślnie przeszła operację.

Bobby wstała, a kipiąca w niej furia zaczęła się przeobrażać w strach.

- No i?

- Jej stan jest stabilny. Nikomu o niej nie mówią, a przed drzwiami jej pokoju postawili strażnika.

Bobby wzięła głęboki oddech. Rocky zapewniła ją, że wszystkie pozostawione dziewczyny nie żyły. Więc albo tamta zoperowana to ktoś w rodzaju Łazarza, który powstał z martwych, albo Rocky zełgała. Tak czy inaczej, poważnie się przeliczyła.

- Rozumiem.

- To nie wszystko. Karetka przywiozła dwoje innych, mężczyznę i kobietę. Kobieta to Bailey Crighton. Ta, co zaginęła przed tygodniem.

- Wiem, kim ona jest. - Granville, ty gnojku. Rocky, ty idiotko. -A facet?

- Jakiś kapelan. Beasley... nie, Beardsley. Właśnie tak. Stan obojga nie budzi większych obaw. Tyle się dowiedziałam. - Ohman zawahała się i dodała: - No to teraz jesteśmy kwita, co?

Były trzy osoby do zlikwidowania, a pielęgniarka mogła się bardzo przydać.

- Obawiam się, że nie. Chcę, żeby ta dziewczyna zmarła. Otruj ją, uduś, wszystko jedno. Nie może się obudzić. Rozumiesz?

- Ale... Nie! Nie zrobię tego.

Wszyscy tak mówią na początku. Niektórych trzeba mocniej przycisnąć, lecz końcowy rezultat zawsze jest taki sam: robią to, co im się każe.

- Owszem, zrobisz.

- Nie mogę. - Ohman była przerażona. Jak wszyscy na początku.

- Zobaczmy... - Bobby zawiesiła głos. Dokumentacja na temat pielęgniarki okazała się pokaźna. Gliniarz z Atlanty jak zwykle spisał się na medal. - Ty mieszkasz z siostrą, a twój syn mieszka z ojcem, bo odebrano ci prawo opieki nad dzieckiem. Pozwoliłaś mężowi zabrać syna pod warunkiem, że nikomu nie powie o twoich problemach. Naprawdę wyrozumiały gość. Ale nie tylko on zna twoje sekrety.

- Ja... ja pójde na policję - rzuciła Jennifer w desperacji.

- I co powiesz? Że jakiś gliniarz przyłapał cię z narkotykami, które zwędziłaś ze szpitala do własnego użytku i na handel, ale puścił cię wolno, a teraz ktoś wredny cię szantażuje? Pomyśl tylko, co się stanie, kiedy prawda wyjdzie na jaw. Od dnia, kiedy mój człowiek cię wypuścił, należysz do mnie. Albo zabijesz tę dziewczynę dziś w nocy, albo jutro o tej porze kto/z twojej rodziny nie będzie już żył. Za każdy dzień zwłoki zginie kolejna osoba. Na pewno tego nie chcesz, więc zrób, co ci każe.

Bobby przerwała połączenie i wybrała inny numer.

- Paul, to ja.

Odpowiedziało jej ciche gwizdnięcie.

- Wpakowałaś się w niezłe bagno.

- Serio? - mruknęła z irytacją. - Nic mi o tym nie wiadomo. Słuchaj, jesteś mi potrzebny. Kasa jak zwykle, płacona jak zawsze. - Paul był bardzo przydatny; rozsądny gliniarz, mający rozległą siatkę informatorów, a przy tym pozbawiony jakichkolwiek zasad, poza całkowitą lojalnością wobec tego, kto płacił więcej. - Do północy chcę wiedzieć, kto z GBI, łącznie z mało ważnymi pracownikami administracyjnymi, zajmuje się sprawą Granville'a.

- Kto w tej sprawie opróżnia kosze na śmieci? Kapuję.

- Chcę też wiedzieć, który z miejscowych wydziałów z nimi współpracuje. Muszę znać każdy ich krok...

- ...zanim go zrobią - dokończył Paul. - Czy coś jeszcze?

Bobby spojrzała na zdjęcie, które Charles zostawił jej tego popołudnia. Susannah Vartanian obok swojego brata na pogrzebie rodziców. Susannah musi poczekać, a to z powodu zaniedbań, jakich dopuściła się Rocky. Ale kiedy interesowi już nic nie będzie zagrażało, przyjdzie kolej i na nią.

- Na razie nie, ale bądź w pogotowiu. Będę czekać na telefon. Nie spóźnij się.

- A czy kiedykolwiek się spóźniłem? - odparł Paul i nie czekając na odpowiedź, rozłączył się.

- Rocky! Chodź no tu.
- Kroki Rocky zadudniły na schodach.
- Coś nie tak?
 - Wszystko. Najwyższa pora, żebyś zaczęła sprzątać po sobie bałagan.

6

Dutton, piątek, 2 lutego, godzina 20.20

Luke wyskoczył z wozu i podbiegł do Pete'a Haywooda, który patrzył, jak dom doktora Granville'a - a w nim ewentualne dowody rzeczowe - płonie. Urowadzone dziewczyny były nie wiadomo gdzie, a wszelkie poszlaki prowadzące do współnika Granville'a poszły z dymem.

- Co się tu stało, do cholery? - zapytał Luke.

Pete nie odpowiadał. Nawet się nie poruszył; po prostu gapił się na płomienie jak zahipnotyzowany.

- Pete. - Luke chwycił go za ramię i musiał się odchylić, gdy Haywood raptownie obrócił się na pięcie, z pięściami zaciśniętymi przy bokach.

- Spokojnie, Pete. To tylko ja. - Luke dostrzegł rozpacz w ciemnych oczach kolegi i biegnący od skroni bandaż na jego łysej czasce. - Co tu się stało?

Pete pokręcił głową.

- Nie słyszę, co mówisz! - wrzasnął. - Wciąż dzwoni mi w uszach. To była bomba. Odrzuciło nas na kilka metrów jak kłody drewna.

Haywood miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważył ponad sto kilo. Tylko naprawdę silny podmuch mógłby go przewrócić. Bandaż na głowie Pete'a przesiąkł krwią.

- Trzeba ci założyć szwy! - krzyknął Luke.

- Ekipa medyczna zajęła się ciężej rannymi. Zach Granger oberwał odłamkiem metalu. Niewykluczone, że stracił oko. Już leci helikopter, który zabierze go do szpitala.

- A gdzie ekipa ustalająca przyczyny pożarów? - spytał Luke.

- Jeszcze nie dotarła. Szef miejscowej straży pożarnej stoi tam, przy wozie.

Luke spojrzał w tamtą stronę i zdumiał się na widok mężczyzny, który stał koło szefa straży.

- To Corchran też tu jest?

- Zjawił się jakiś kwadrans po wezwaniu. Luke zaprowadził Pete'a do swojego samochodu.

- Usiądź i opowiedz mi, co się wydarzyło. I nie musisz wrzeszczeć. Słyszę cię świetnie.

Pete klapnął ciężko na fotelu dla pasażera.

- Czekaliśmy na sygnał od Chloe, że nakaz już podpisany. Przez ten czas nikt nie wchodził do środka ani nie wychodził. Chloe zadzwoniła za piętnaście ósma. Otworzyłem drzwi i wtedy rozpętało się piekło. Dosłownie.

Luke zmarszczył brwi.

- A co z domem Mansfielda?

- Jest tam Nancy Dykstra ze swoją grupą. Zadzwoniłem do niej, kiedy tylko trochę się pozbierałem, i ostrzegłem, żeby nie wchodziła do środka. Czekają na saperów, żeby się upewnić, czy jakiś pirotechnik nie zaminował obu domów.

- Słusznie. Czy widziałeś gdzieś żonę Granville'a?

- Jeśli nawet była w domu, to nie wyszła mimo naszych wezwań. Zach z resztą ekipy był tu o siedemnastej piętnaście i obstawił wszystkie wyjścia.

- Więc ktokolwiek podłożył bombę, zrobił to między trzynastą trzydzieści osiem a siedemnastą piętnaście.

Pete zmarszczył brwi.

- Dlaczego po trzynastej trzydzieści osiem?

- Bo wtedy Granville zadzwonił do osoby, która, jak podejrzewamy, z nim współdziałała. Wiadomość o śmieci Granville'a podaliśmy reporterom o siedemnastej piętnaście. Tylko współnik Granville'a mógł wtedy wiedzieć, że doktor nie opuścił bunkra wraz z pozostałymi.

- I bał się, że Granville zacznie mówić, jeśli go złapiemy, albo że zostawił jakieś kompromitujące rzeczy w tym domu. Więc wysadził budynek w powietrze. Co teraz?

- Teraz muszą ci założyć szwy. Ja przejmę kierowanie akcją. Spotykamy się o dziesiątej u Chase'a. Jeśli będziesz w stanie, przyjdź. Jeżeli nie, postaraj się zadzwonić. - Luke lekko uściśnął ramię Pete'a, a potem ruszył w stronę Corchrana i szefa lokalnej straży pożarnej.

Tamci wyszli mu naprzeciw.

- Przyjechałem tu, gdy tylko usłyszałem pierwszy meldunek o pożarze i wezwania o pomoc przez radio - wyjaśnił Corchran.

- Dzięki - powiedział Luke. - Doceniam to. - Zwrócił się do strażaka. -Agent Papadopoulos z GBI.

- Trumbell - przedstawił się strażak. - Gasimy ogień od zewnątrz. Nie posyłałem swoich ludzi do środka. Wolałem nie ryzykować, że któryś się potknie o jakiś następny drut połączony z zapalnikiem.

- Więc w ten sposób nastąpiła detonacja? - rzekł Luke. - Poruszony drut spowodował eksplozję?

- Wasi ludzie z ekipy zajmującej się podpaleniami będą musieli to potwierdzić, ale widziałem jakiś kabel przymocowany do wewnętrznej klamki na drzwiach wejściowych. Wygląda to na prostą pułapkę. Ktoś otwiera drzwi, drut się napina, bomba wybuchą. Pożar trwał już jakiś czas, zanim przyjechaliśmy. Założę się, że wasi śledczy odkryją, że ktoś rozlał w tym domu jakiś środek łatwo palny.

- Rozumiem. Granville miał żonę, ale sądzimy, że nie było jej w środku.

- To samo stwierdził Haywood. - Trumbell zerknął przez ramię na płomienie. - Jeśli ona tam jest... Nie mogę ryzykować życie swoich ludzi, posyłając ich w ogień.

Jakby na potwierdzenie tych słów rozległ się donośny trzask i wszyscy instynktownie się skulili. Poza Trumbellem, który podbiegł w kierunku domu z radionadajnikiem w ręku, każąc swoim strażakom nieco się cofnąć.

- Chyba strop się zawalił - powiedział Corchran.

Co oznaczało zniszczenie wszelkich śladów mogących doprowadzić do współnika Granville'a.

- Cholera jasna - mruknął Luke. Corchran wskazał pobliską ulicę.

- Sępy już zwietrzyły padlinę.

Zajechały właśnie dwa wozy wiadomości telewizyjnych.

- Tego tylko brakowało - mruknął Luke półgłosem. - W każdym razie dziękuję, że przyjechałeś. Wiem, że Dutton to nie wasz rejon.

Corchran sprawiał wrażenie lekko zmieszanego.

- Niby nie, ale policja w Dutton jest trochę... zdezorganizowana.

- Szeryf i jego zastępca nie żyją, więc określiłbym to jako delikatne ujęcie sprawy.

- Jeśli będzie wam potrzebna pomoc, dajcie znać, chociaż nie chciałbym wam wchodzić w paradę.

- Dzięki. Gubernator pewnie właśnie wyznacza nowego szeryfa, więc miejmy nadzieję, że wkrótce w Dutton znów zapanuje jaki taki porządek. Teraz muszę się zająć zabezpieczeniem okolicy objętej pożarem.

Corchran spojrział w stronę wozów ekip telewizyjnych.

- Postaraj się trzymać ich z dala.

- Na pewno tak zrobię.

Luke polecił dziennikarzom się cofnąć, argumentując to ich własnym bezpieczeństwem i potrzebą umożliwienia pracy ekipom ratowniczym. Od czasu do czasu rzucał stłumione przekleństwa, choć schlebiał sobie, że żadnemu z reporterów nie kazał „spieprzać”. Rozlokowywał akurat posterunki policyjne na skraju ogrodzonego zabezpieczonego miejsca, kiedy zabręczała jego komórka.

Spojrzał spod ściągniętych brwi na cyferki na wyświetlaczu i skojarzył, że to numer Susannah. Oby tylko tamta dziewczyna nie zmarła. Spojrzał na szczątki domu Granville'a.

- Susannah, w czym mogę pomóc?
- Dziewczyna się obudziła. Jeszcze nie może mówić, ale jest przytomna.

Dzięki Bogu.

- Będę tam tak szybko, jak tylko się da.

Ridgefield House, piątek, 2 lutego, godzina 20.45

- Czas na zabawę, Ashley - powiedziała Rocky, otwierając drzwi. - Pan Haynes...

Stanął w progu jak wryta, a szok na chwilę odebrał jej mowę. Potem ogarnęła ją wściekłość, oślepiająca i głucha, i wpadła do pomieszczenia, gdzie Ashley leżała na podłodze zwinięta w kłębek.

- Coś ty, do cholery, zrobiła?! - krzyknęła, chwytając za resztkę włosów na głowie dziewczyny. - Cholera jasna, co ty najlepszego zrobiłaś?

Warga Ashley krwawiła w miejscu przeciętym zębami. Na jej zakrwawionej czaszce widniało co najmniej osiem łysych miejsc o rozmiarach dolarówki. Powyrywała sobie kępki włosów z cebulkami.

Oczy miała mokre od łez, ale wojownicze.

- Chciał blondynkę. Czy zechce mnie teraz?

Rocky uderzyła ją mocno, przewracając z powrotem na podłogę.

- Co, do cholery...? - Teraz Bobby zaniemówiła. - A niech to diabli! Rocky wpatrywała się w bezwłose placki na głowie Ashley, sapiąc ciężko.

- Powyrywała sobie włosy. Haynes jej teraz nie zechce.

- No to będzie musiał zadowolić się którąś z pozostałych. Bobby nie była zachwycona. Co oznaczało, że Rocky za to zapłaci.

- Mam ją dać któremuś z ochroniarzy?

Bobby przyglądała się leżącej dziewczynie zwięzionymi oczami.

- Jeszcze nie. Nie chcę, żeby była posiniaczona, tylko posłuszna. Zamknij ją w dziurze. Bez żarcia i wody. Jak spędzi tam kilka dni, przestanie się stawiać. A kiedy ją stamtąd wyciągniesz, ogól ją na łyso. Może zakładać perukę. Cholera, skoro gwiazdy rocka je noszą, dlaczego nie mogą tego robić nasze dziewczyny? I znajdź dla mnie szybko jakieś blondynki. Obiecałam Haynesowi jedną na dziś, więc dam mu zniżkę i niech wybiera którąś z reszty. Następnym razem muszę mu zaoferować dokładnie to, czego zechce. Jedna czwarta naszej forsy pochodzi od niego.

Rocky pomyślała o dziewczętach, z którymi kontaktowała się na czatach w internecie.

- Dwie albo trzy mogę ściągnąć od razu - stwierdziła.

- Blondynki? Kiwnęła głową.

- Sama je sprawdziłam. Tylko kto je złowi? To była robota Mansfielda.

- Umów je. Ja zorganizuję spotkania. A tę zabierz mi z oczu, zanim zmienię zdanie i sama spiorę ją na kwaśne jabłko. I nie spóźnij się na nasze zebranie. Daję ci okazję do naprawienia błędów. Tym razem nie schrzań sprawy.

Rocky przygryzła wargę. Dobrze wiedziała, że nie warto migać się od „dodatkowych zadań” przydzielanych przez Bobby. Co nie oznaczało, że jej to odpowiadało. Zerknęła na zegarek. Musi wsadzić tę dziewczynę do „dziury” i zdążyć do szpitala na nocną zmianę.

Dutton, piątek, 2 lutego, godzina 21.15

- Susannah.

Spojrzała na odbicie Luke'a w szybie, która oddzielała ją od łóżka anonimowej ofiary na intensywnej terapii. Wyglądał na zmęczonego.

- Pozwolili mi pobyc przy niej kilka minut - powiedziała.

- Czy jest przytomna?

- Tak. Poznała mnie, ścisnęła mi palce. Teraz ma zamknięte oczy, ale może nie śpi.

- Nadal jest podłączona do respiratora.

- Tak jak ci mówiłam przez telefon, nie może rozmawiać. Lekarz wykrył u niej tak zwane płuco wstrząsowe.

Luke się skrzywił.

- O, cholera.

- Wiesz, co to takiego?

- Tak. Mój brat Leo służył w piechocie morskiej i doznał takiego urazu podczas akcji. Kiedy więcej niż trzy żebra po jednej stronie zostają złamane, płuco przestaje pracować. - Luke ściągnął brwi. - Czy to ja ją tak urządziłem, kiedy ją przenosiłem? Biedna mała.

Jego troska ujęła Susannah.

- Nie sądzę. Miała posiniaczoną całą klatkę piersiową. Zdaniem lekarza kilka krwawików powstało wskutek kopniaków zadanych czubkiem buta. Powiedział, że powinna pozostać pod respiratorem jeszcze kilka dni.

- Cóż, zdarzało mi się już przesłuchiwać świadków podłączonych do aparatu tlenowego. Jeśli jest przytomna, to można się posłużyć specjalną tablicą z literami albo poprosić o odpowiadanie na pytania mrugnięciami. W każdym razie muszę ustalić, co ona wie.

Postąpił o krok naprzód i stanął tuż przy Susannah. Poczowała ciepło jego ciała na skórze i zadrżała. Pochylił się, by popatrzeć przez szybę; gdyby Susannah odwróciła teraz głowę, jej twarz znalazłaby się zaledwie centymetry od jego nosa i pokrytego twardym zarostem podbródka. Tego popołudnia w samochodzie, zanim wypadki potoczyły się lawinowo, pachniał jak cedr. Teraz śmierdział gryzącym dymem. Susannah patrzyła prosto przed siebie.

- Wygląda jeszcze młodziej niż po południu - rzucił półgłosem.

- Była zalana krwią. Teraz jest umyta. Co się spaliło? Obrócił głowę i Susannah poczowała na sobie jego wzrok.

- Dom Granville'a. Przymknęła powieki.

- Niech to szlag.

- Powiedziałem to samo. - Odsunął się, a ona ponownie zadrżała, czując przejmujący chłód. - Porozmawiam z nią. - Podał Susannah torbę z zakupami. - To dla ciebie.

W torbie były ubrania. Susannah wyjęła je i oglądała ze zdziwieniem.

- Skąd je masz? Uśmiechnął się lekko.

- Mieliśmy w holu nieformalną naradę rodzinną. Brat z bratanicą przyjechali po matkę. Leo wcześniej zabrał Stacie z pracy w centrum handlowym, gdzie kupiła te rzeczy. On odwiezie mamę do domu, a Stacie pojedzie jej samochodem, bo kiedy ostatnim razem mama usiadła wieczorem za kierownicą, została zatrzymana za jazdę z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na godzinę w strefie, gdzie dopuszczalna prędkość wynosi setkę. - Luke wzruszył ramionami. - W ten sposób drogówka będzie zadowolona i mama też. Wszystkim wyjdzie to na dobre.

Susannah zrobiło się nieswojo na myśl o policjancie wlepiającemu mandat pani Papadopoulos.

- Hm, dziękuję. Wypiszę twojej bratanicy czek.

Skinał głową i przecisnął się koło niej do izolatki. Zza łóżka dziewczyny wstała pielęgniarka.

- Dwie minuty. Nie dłużej - powiedziała.

- Dobrze. - Luke zwrócił się ciepłym głosem do pacjentki: - Hej, moja słodka. Czy mnie słyszysz?

Poruszyła powiekami, ale nie otworzyła oczu. Luke przysunął krzesło, na którym usiadł.

- Pamiętasz mnie? Jestem agent Papadopoulos. Byłem z Susannah Vartanian i razem cię odnaleźliśmy.

Dziewczyna drgnęła, a wskaźnik na monitorze ciśnieniomierza zaczął wyświetlać coraz większe liczby.

Susannah dostrzegła, że Luke zerknął przelotnie na monitor, nim znowu skupił wzrok na twarzy dziewczyny.

- Nie zrobię ci krzywdy - zapewnił - ale potrzebna mi twoja pomoc. Tętno dziewczyny podskoczyło i monitor znowu zaczął pikać szybciej.

Poruszyła głową, coraz bardziej zaniepokojona, a Luke zerknął z obawą na Susannah, bo pielęgniarka patrzyła na nich tak, jak gdyby miała zamiar za chwilę ich stąd przepędzić.

- Ja też tu jestem - powiedziała Susannah cicho. Postawiła torbę z ubraniami na podłodze i delikatnie potarła grzbietem dłoni policzek dziewczyny. - Nie bój się.

Ciśnienie bezimiennej pacjentki zaczęło się obniżać. Luke wstał.

- Posiedź tutaj, a ja zaczekam za szybą. Porozmawiaj z nią. Wiesz, czego chcę się dowiedzieć. Przygotuję dla was tablicę z literami.

- Dobrze. - Susannah zbliżyła się do łóżka i nakryła dłoń dziewczyny swoją ręką. - Wszystko już dobrze. Jesteś bezpieczna. Już nikt nie wyrządzi ci krzywdy. Ale potrzebna nam twoja pomoc. Inne dziewczyny nie miały tyle szczęścia co ty. Niektóre gdzieś zabrano i chcemy je odnaleźć. Musisz nam pomóc.

Dziewczyna otworzyła oczy, a na jej twarzy malował się wyraz bezradnego lęku.

- Ja wiem - mówiła Susannah kojącym tonem - boisz się i czujesz się bezbronna. Znam to uczucie i wiem, że jest okropne. Ale naprawdę możesz nam pomóc. Możesz się przyczynić do złapania drani, którzy cię tak urządzili. Jak się nazywasz?

Wzięła kartkę, którą Luke podał jej przez drzwi. Był na niej wypisany alfabet. Susannah trzymała kartę przed twarzą dziewczyny, powoli przesuwając palcem po literach.

- Mrugnij, kiedy wskażę właściwą.

Nie spuszczała wzroku z twarzy dziewczyny, a gdy ta wreszcie mrugnęła powiekami, zapytała:

- M? Twoje imię zaczyna się na literę M? Potwierdź dwukrotnym mrugnięciem.

Dziewczyna zamrugała dwa razy, a w jej oczach determinacja zaczęła wypierać lęk.

- Teraz następna litera...

- Przykro mi, dwie minuty już dawno upłynęły - wtrąciła pielęgniarka.

- Ale... - Luke usiłował interweniować.

Pielęgniarka pokręciła przecząco głową.

- Pacjentka jest nadal w bardzo ciężkim stanie. Jeśli chcecie uzyskać od niej jakiejś informacji, musi odpocząć.

Luke zacisnął zęby.

- Z całym szacunkiem, ale w grę wchodzi życie pięciu albo sześciu dziewczyn.

Pielęgniarka uniosła podbródek.

- Ja też nie chciałabym być niegrzeczna, ale chodzi o życie tej dziewczyny. Możecie wrócić tu jutro.

Susannah dostrzegła wściekłość bijącą z oczu Luke'a; mimo to zachowywał spokój.

- Jeszcze tylko jedno pytanie, na „tak” lub „nie”. Bardzo proszę. Pielęgniarka westchnęła.

- Ale tylko jedno.

- Dziękuję. Susannah, zapytaj, czy ona zna Ashley. Susannah ponownie pochyliła się nad dziewczyną.

- Czy znasz dziewczynę o imieniu Ashley? Mrugnij dwa razy, jeśli ją znasz. - Powieki pacjentki poruszyły się dwukrotnie. - Owszem. Zna.

Luke kiwnął głową.

- No to jesteśmy na właściwym tropie.

Susannah pogłaskała dziewczynę po twarzy. Mogła dać głowę, że piwne oczy, które się w nią wpatrywały, wyrażały złość i frustrację.

- Wiem, wiem. Wrócimy tu jutro. Nie martw się. Postawimy przed drzwiami strażnika, który nie wpuści do ciebie nikogo nieupoważnionego. A teraz śpij. Nic ci nie grozi.

Luke podniósł jej torbę z zakupami.

- Zawiozę cię do domu Daniela - powiedział, kiedy wyszli z oddziału intensywnej terapii.

Susannah pokręciła głową.

- Nie, nie trzeba. Zatrzymałam się w hotelu - odparła. - Doceniam twoją troskę, ale... to nie twoja sprawa. - Uśmiechnęła się, chcąc nieco złagodzić swoje słowa.

Wyglądał, jakby zamierzał oponować, ale ostatecznie skinął głową.

- W porządku. Chcesz się przebrać?

- Za moment. Najpierw chciałabym się umyć.

- W porządku - powtórzył, choć Susannah wyczuwała, że wcale tak nie uważa. - Odwiozę cię do hotelu, ale wcześniej zorientuję się, co z Danielem.

Ruszyła za nim szpitalnym korytarzem, wiedząc, że czułaby się winna, gdyby tego nie zrobiła. Kiedy Luke wszedł do sali, czekała w drzwiach i patrzyła, jak szeroka pierś Daniela unosi się i opada w rytm płytkich oddechów. Dziś jej brat o mały włos nie zginął. A wtedy zostałaby całkiem sama.

Była sama przez ostatnie jedenaście lat, od kiedy odszedł z domu, z jej życia, nie oglądając się za siebie. Lecz w głębi serca czuła, że kogoś na świecie jednak ma. I dziś tego kogoś niemal straciła.

- Co z nim? - spytał Luke Alex, czuwając u boku Daniela.

- Lepiej - odrzekła. - Musieli mu podać środki uspokajające. Zaczął się rzucać, próbował wyskoczyć z łóżka. O mało nie pozrywał wszystkich tych przewodów i sączków. Pozostanie na obserwacji, jutro będzie mógł się trochę przejść po korytarzu. - Zerknęła przez ramię ze zmęczonym uśmiechem. - Susannah. Jak się masz?

- Świetnie. - Zabrzmiało to trochę nerwowo, ale Alex Fallon najwyraźniej nie dosłyszała tej ostrej nuty.

- To dobrze. Chyba nie dałabym rady przeżyć drugiego takiego dnia jak dzisiejszy. Mam klucze do domu Daniela. Na pewno chciałby, żebyś się tam rozgościła.

- Przenocuję w hotelu. - Susannah zmusiła się do uśmiechu. - Ale dziękuję za propozycję.

Alex ściągnęła brwi, lecz powstrzymała się od komentarza.

- Odpocznij - powiedziała. - Ja zostanę przy nim. Pewnie, pomyślała Susannah, czując ucisk w krtani.

- I przy tej dziewczynie - dodała cicho.

- Do niej też zajrzę. Nie martw się, Susannah, jutro będzie lepiej.

Ale Susannah wiedziała swoje. Wiedziała, co przyniesie jej najbliższa przyszłość, z czym będzie musiała się uporać. Jutro będzie, jak by to ujął Luke, niełatwo. Zdecydowanie niełatwo.

- Tak. Lepiej - potwierdziła cicho, bo tak wypadało.

Luke dotknął jej ramienia, a kiedy Susannah uniosła wzrok, dojrzała w jego ciemnych oczach zrozumienie, a nie przyganę, której się spodziewała.

- Chodźmy - rzekł. - Podrzucę cię do hotelu.

Ridgefield House, piątek, 2 lutego, godzina 21.45

Bobby odłożyła telefon. Była zadowolona. Zapobiegliwość przynosiła spodziewane efekty. Wśród jej ludzi było kilka osób ze szpitalnego personelu. I jedna z tych osób otrzymała polecenie zatroszczenia się o kapelana Beards-leya i Bailey Crighton. Śmierci Bailey Bobby pragnęła z wielu powodów.

Najchętniej sama by ją zabiła. Lepiej jednak nie kierować osobistymi pobudkami. Silne emocje prowadzą do błędów, a tych jak na jeden dzień było aż nadto.

W ciągu kilku następnych godzin znowu złapie za wszystkie sznurki i sprawy zaczną się toczyć tak jak dawniej.

Na zewnątrz trzasnęły drzwiczki samochodu. A więc Haynes przyjechał... Pora zarobić trochę forsy.

Atlanta, piątek, 2 lutego, godzina 21.50

- Luke, to dla ciebie. - Leigh Smithson, prowadząca u Chase'a sprawy administracyjne, położyła na stole w pokoju narad plik teczek. - Przysłała je doktor Berg. A Latent zidentyfikował naszego martwego ochroniarza. Wyciągnęłam jego dane.

- Kim był ten tajemniczy osobnik? - zapytał Chase, stawiając na blacie dwa kubki z kawą.

- Jesse Hogan - Luke spojrział do akt. - Miał na koncie napady, pobicie i wymuszenia. Beardsley zrobił światu przysługę, zabijając go.

- Jest przytomny - wyjaśniła Leigh. - Mówię o kapelanie Beardsleyu. Jego ojciec dzwonił przez kilkanaście minutami. Beardsley twierdzi, że możesz z nim porozmawiać w dowolnej chwili. Podałam mu numer twojej komórki.

- Zajrzę do niego do szpitala, kiedy tu skończymy. Coś z kartoteki zaginionych nieletnich?

Leigh pokręciła głową.

- Nie. Mają zadzwonić do ciebie albo bezpośrednio do Chase'a, gdyby znaleźli odciski pasujące do odcisków ofiar. Mówią, że to może trochę potrwać. Większość odcisków zdjęto w szkołach i w centrach handlowych, kiedy dzieciaki były jeszcze małe, a po czwartym czy piątym roku życia...

- ...odciski palców mogą się nieco zmienić - dokończył Luke. - Miejmy nadzieję, że coś znajdą. A zaginione dziewczyny o imieniu Ashley i nazwiskach rozpoczynających się od Os...? - Podał Leigh fragmentaryczne personalia z pryczy przez komórkę, jadąc na miejsce pożaru.

- Poszukiwania trwają. Zawiadomiłem wydziały do spraw zaginionych w sąsiednich stanach.

- Dzięki, Leigh. Podeszła do drzwi.

- Zaczekam do końca narady, a potem wychodzę. Będę jutro rano. Na nocną zmianę przychodzą trzy recepcjonistki, bo telefony dosłownie się urywają od tej konferencji prasowej.

- Można się było tego spodziewać - stwierdził Chase. - Na jutro załatwiłem więcej ludzi do roboty biurowej. Musimy sprawdzić każdą informację.

Leigh przekrzywiła głowę na dźwięki coraz donośniejszej sprzeczki dwóch osób - z których jedna miała głos głęboki i grzmiący, a druga cichszy, bardziej melodyjny.

- Pete i Nancy wrócili.

Wyszła, a zjawilo się tych dwoje, przy czym Pete teatralnie puścił Nancy przodem.

- Uparty dureń - oznajmiła. - Założyli mu na tej łysej pale dziewięć szwów, a on nie chce iść do domu.

Pete przewrócił oczami.

- Na boisku piłkarskim odnosiłem poważniejsze kontuzje. Chase, powiedz tej kobiecie, żeby ucichła.

Chase westchnął. Pete i Nancy kłócili się jak stare małżeństwo.

- Co ci powiedział lekarz, Pete?

- Że mogę pełnić służbę - odparł Pete naburmuszony. - Wystawił mi nawet cholerne zaświadczenie.

Chase wzruszył ramionami.

- Przykro mi, Nancy. Słowo lekarza jest święte.

Pete usiadł zadowolony, a Luke nachylił się w jego stronę i spytał półgłosem:

- Naprawdę pokieraszowali cię bardziej na boisku?

- Do licha, nie - odparł Pete szeptem. - W dodatku łeb boli mnie jak diabli. Ale nie powiedziałem jej o tym.

- I słusznie.

Luke'a uratowało przed złością Nancy przybycie Eda, Nate'a Dyera i Chloe Hathaway z prokuratury stanowej. Chase wydawał się zaskoczony.

- Chloe? Nie spodziewaliśmy się ciebie.

Chloe usiadła, skrzyżowawszy swoje długie nogi. Luke pomyślał, że zrobiła to odruchowo, ale zarazem był pewien, że ma świadomość, jaki efekt wywiera to na zebranych.

- Szef kazał mi dołączyć do waszego zespołu. Chce mieć pewność, że wszelkie materiały dowodowe, jakie zgromadzimy, nie zostaną podważone w sądzie.

- My też tego chcemy - powiedział Luke, myśląc o pięciu zabitych, pięciu zaginionych i o dziewczynie w szpitalnym łóżku. - Czy wszyscy znają Nate'a?

Nate przeglądał już fotografie z autopsji, a teraz odsunął na bok zdjęcie Angel. Wstał i lekko się skłonił.

- Nate Dyer z ICAC. Chloe ściągnęła brwi.

- ICAC? A co ma wspólnego z tą sprawą wydział do ścigania internetowych przestępstw na nieletnich?

Luke postukał palcem w zdjęcie Angel odłożone przez Nate'a.

- Tę ofiarę widzieliśmy już wcześniej. Na razie wstrzymaj się z dalszymi pytaniami, Chloe. Zaraz wszystko wyjaśnimy. Jesteśmy w komplecie, więc zaczynamy.

- Ja zacznę - powiedział Chase. - Władze policyjne znają już całą sprawę, dowiedział się o niej nawet gubernator. Nie muszę chyba mówić, że będą bacznie się przyglądać wszelkim naszym poczynaniom. Biorę na siebie sprawy administracyjne i kontakty z prasą. Dziś wieczorem poinformowałem dziennikarzy o śmierci Macka O'Briena oraz o tych gwałtach sprzed trzynastu lat. Około dziewiętnastej wszystkie żyjące ofiary zostały zawiadomione o zakresie prowadzonego dochodzenia. To, czy któraś - lub może wszystkie - zdecydują się wystąpić w sądzie, jest już sprawą dla prokuratury okręgowej.

- Dzwoniło do mnie sześć ofiar z waszej listy. - Chloe uniosła lekko brwi. - A dziś wieczorem nagrała mi się na pocztę głosową kolejna, spoza listy.

Susannah. Luke już otworzył usta, ale się nie odezwał. Teraz to była sprawa między nią a Chloe. Susannah dotrzymała słowa. Dobrze postąpiłaś, pochwalił ją w duchu.

Chase nieznacznie skinął głową, dając Luke'owi do zrozumienia, że on także wie, o co chodzi, i nie będzie wspominał o Susannah, dopóki ona sama tego nie zechce.

- Kiedy opisaliśmy wypadki w tym bunkrze, padło mnóstwo pytań. Odpowiadaliśmy na nie najlepiej, jak potrafiliśmy, ale było jasne, że nie mamy dużo do przekazania. Musimy bardzo uważać na dziennikarzy. Wszelkie informacje podawane mediom mają przechodzić przez moje biuro. Proszę nie rozmawiać z reporterami.

- O, do licha - skrzywił się Ed. - A ja tak to uwielbiam.

Ten komentarz wywołał, zgodnie z zamiarem Eda, przelotny uśmiech u Chase'a.

- Twoja kolej, Ed. Co znaleźliście? Ed natychmiast spoważniał.

- Istne piekło, Chase. Brud, fetor... nie do opisanego. Zebraliśmy próbki krwi i innych wydzielin fizjologicznych z każdej celi. Na podstawie analizy stanu prycz i odpadków pozostawionych w tych celach doszliśmy do wniosku, że wywieziono więcej niż pięć dziewczyn. Materiał z dwunastej celi nie był taki świeży; sądzymy, że ostatnio stała pusta, ale na wszelki wypadek pobraliśmy próbki. Znaleźliśmy również próbki i strzykawki, a na niektórych da się odczytać numer serii. W ten sposób dotrzemy do producentów, a oni wiedzą, gdzie trafiają określone partie ich wyrobów. Potem trzeba będzie przekopać bunkier w poszukiwaniu dalszych śladów.

- A co wiadomo o ofiarach?

- Na tę już się natknęliśmy - powiedział Nate Dyer, wskazując zdjęcie Angel. - Na stronie internetowej, do której zamknięcia doprowadziliśmy z Lukiem osiem miesięcy temu. Wyślemy te fotografie do współpracujących z nami wydziałów na całym świecie. Może ktoś widział Angel albo dwie inne dziewczyny, które były z nią na tamtej stronie. - Nate spojrział na Luke'a. - Musimy ponownie przejrzeć nasze archiwa i sprawdzić, czy jest w nich coś, co przeoczyliśmy za pierwszym razem.

Luke kiwnął głową.

- Prowadziłem tamtą sprawę, więc wiem o tym najlepiej. Jutro zacznę przeglądać starą dokumentację.

- Popracuję nad nią już dziś w nocy - Nate westchnął. - Tak czy owak, to będzie paskudna robota.

Luke rozumiał go, ponieważ chodziły mu po głowie podobne myśli. Co będzie, jeśli znajdą coś, co przeoczyli poprzednio? Coś, dzięki czemu mogli wcześniej pomóc Angel i pozostałej dziesiątce. A jeżeli nic takiego nie uda się znaleźć? Wtedy wrócą do punktu wyjścia. Można było zwariować.

- Na razie mamy tylko dwa ślady - powiedział. - Zdjęcie Angel i wydrapane imię: Ashley Os...

- Moi ludzie dokładnie zbadają tę pryczę - wtrącił Ed. - Może w lepszym oświetleniu uda się odczytać coś jeszcze. Wiadomo już natomiast, czym wydrapała swoje imię. - Wyciągnął plastikową torebkę. - To kawałek ułamanego zęba.

Luke uniósł brwi.

- Pomysłowa dziewczyna.

- Miejmy nadzieję, że nie przestanie wykazywać się pomysłowością - stwierdził Chase. - Czy wiemy coś o dziewczynie, która uciekła? Jak się nazywa? Skąd pochodzi?

- Jej imię zaczyna się na M - odpowiedział Luke. - Na razie tylko to zdołaliśmy ustalić. Dopiero co obudziła się po operacji i jest pod respiratorem, więc nie może mówić. Przesłaliśmy jej charakterystykę i fotografię do NCMEC. Jeszcze nic nie znaleźli, ale szukają dopiero od paru godzin. W najgorszym razie trzeba będzie poczekać do jutra, wtedy sama powie, jak się nazywa.

Chase zwrócił się do Haywooda.

- Pete, co ustalił człowiek zajmujący się badaniem przyczyn pożaru?

- Nadal grzebie w pogorzeli, ale trafił na ślady substancji łatwo palnej. Jakies dwadzieścia minut temu jeszcze nie znalazł zapalnika. Kiedy znajdzie, zadzwoni do mnie.

- A co z Zachem Grangerem? - spytał Luke i poczuł ulgę na widok uśmiechu Pete'a.

- Uratowali mu oko. Mimo to może u niego dojść do częściowej utraty wzroku. Okaże się za kilka dni. Pozostali ludzie z mojego zespołu doznali lekkich urazów i są posiniaczeni, ale mogą pełnić służbę.

- Pierwsza dobra wiadomość - skomentował Chase. - Nancy?

- Oddział saperów dotarł pod dom Mansfielda równocześnie ze mną - odpowiedziała. - Jeśli oba domy były celem tego samego człowieka, to przeanalizujemy jego metodę działania. Miejmy nadzieję, że podpalacz zostawił jakieś ślady. A jak złapiemy podpalacza, zapytamy go, kto mu zapłacił.

Chase trzymał za to kciuki. Zwrócił spojrzał na Chloe:

- Jakie wieści?

- Uzyskałam zgodę na analizę bilingów Gartha Davisa. Jego samego można zatrzymać w areszcie tylko do poniedziałku. Będę wnioskować o przedłużenie aresztu, ale wątpię, czy dostanę zgodę.

- Wsadzę mu kogoś na ogon, kiedy tylko wyjdzie - zapewnił Chase.

- Byle nie Germania - mruknęła Chloe. - Chase, musisz wreszcie zabronić swoim ludziom korzystania z telefonów podejrzanych bez odpowiedniego nakazu.

Chase się skrzywił.

- Znowu?

- Tak. Trzeba mu to wybić z głowy. Zwłaszcza, że chodzi o służbowy telefon Davisa. Davis jest prawnikiem. Może akurat rozmawiał z jakimś klientem i sąd storpeduje sprawę, powołując się na naruszenie przez nas szóstej poprawki do konstytucji. Mówię poważnie, Chase. Zajmij się tym.

- Zajmę się. Daję słowo, Chloe.

- W porządku. - Westchnęła. - Sprawdziłam to nazwisko, które podał mi Germanio. Kira Laneer.

- Okazała się striptizerką? - spytał Luke z przekąsem.

- Ostatnio się tym nie trudniła, ale głowę daję, że zajmowała się czymś podobnym w latach burzliwej młodości. Teraz ma trzydzieści cztery lata, zarabia około dwudziestu pięciu tysięcy rocznie i jeździ nowiutkim mercedesem. Pożyczkę na ten wóz podżyrował jej Garth Davis, a kredytu udzielił bank Davisa w Dutton, w dodatku na bardzo mały procent. Ona może coś wiedzieć.

- Czy wie, dokąd wyjechała żona Gartha? - zapytał Luke. - Bardzo mi zależy, żeby to ustalić. Sprawdziłem w biurach linii lotniczych i nikt nie wystawił biletów na nazwiska żony Davisa albo ich dzieci. W garażu nie ma samochodu, więc przypuszczam, że dokądkolwiek wyjechała, wzięła swój wóz. Raz skontaktowała się z siostrą Davisa i może zrobi to ponownie.

- A czemu żona Davisa jest taka ważna? - spytał Ed.

- Bo Davis wie o chacie, do której Granville miał dostęp trzynaście lat temu i w której dokonali jednego z gwałtów.

- I dlatego zajmujemy się tą chatą? - zdziwił się Ed.

- Trzynaście lat temu Granville miał mentora - wyjaśnił Luke. - Kogoś, kto uczył go manipulować innymi i przewidywać ich reakcje. Właściciel chaty może nas doprowadzić do tamtego człowieka. Davis nie chce o tym mówić, dopóki nie zobaczy dzieciaków.

- Sądysz, że ten mentor to jego wspólnik? - spytała Nancy.

- Może. - Luke wzruszył ramionami. - Tak czy siak, na razie więcej nie wiemy.

- A co z żoną Granville'a? - zapytał Pete.

- Pytałem na lotniskach także o nią, ale nie odleciała żadnym samolotem - odparł Luke. - Trzeba przesłać zdjęcie pani Granville do wszystkich okolicznych dworców autobusowych.

- Daniel wiele lat mieszkał w Dutton - podsunęła Chloe. - Może wie coś o tej chacie.

- Nadal jest nieprzytomny? - spytał Pete.

- Podano mu środki uspokajające. Ale porozmawiam z jego siostrą. Zapytam, czy coś wie.

Chase kiwnął głową.

- Wygląda na to, że ustaliliśmy plan działania. Teraz...

- Chwileczkę - wtrącił Ed. - Co z Maćkiem O'Brienem? Chase zmarszczył czoło.

- Nie żyje. Daniel go zabił.

Luke na chwilę wstrzymał oddech, a potem powiedział:

- Mój Boże, masz rację, Ed. Przecież Mack O'Brien dowiedział się o istnieniu klubu gwałcicieli, bo wykradł dzienniki brata wdowie po Jaredzie. Nie ustaliliśmy, gdzie je ukrył. Wdowa powiedziała Danielowi, że Jared opisywał ze szczegółami przebieg każdego gwałtu. Może więc opisał wyjazd do tamtej chaty? Może te dzienniki zawierają informację, której Garth Davis nie chce nam ujawnić?

Chase uśmiechnął się szeroko, po raz pierwszy od dłuższego czasu.

- Odszukajmy je zatem. - Zwrócił się do Pete'a. - Ty szukaj żony Davisa, na wypadek gdybyśmy nie znaleźli tych dzienników. Musiała zostawić jakiś ślad. Nancy, wracaj do domu Mansfielda, a gdy tylko saperzy rozbiją detonator, przeszukaj go od piwnicy po dach. Ed, kontynuuj poszukiwania w bunkrze. Nate, bardzo nam pomożesz, jeżeli zdołasz ustalić personalia Angel.

- A ja ponownie przesłucham Beardsleya - powiedział Luke. - Może coś sobie przypomni, kiedy odzyska siły.

- No to do roboty. Spotykamy się jutro o ósmej rano. I uważajcie na siebie.

Atlanta, piątek, 2 lutego, godzina 22.15

To ona, pomyślała Rocky, zadowolona, że przyjechała ciut wcześniej. To trochę trwało, nim nocna zmiana podjęła pracę. Pielęgniarka musiała wyjść trochę przed czasem, a do samochodu szła żwawym krokiem. Nie takim jak kobieta, która właśnie popełniła morderstwo. Nie, to nie był dobry znak. Teraz Rocky musiała sprawdzić, czy pielęgniarka naprawdę zabiła dziewczynę. Wiedziała, że to rodzaj próby. Jeśli przejdzie ją pomyślnie, wróci do łask Bobby.

Podjechała do pielęgniarki i zwolniła, by zrównać się z jej krokiem.

- Przepraszam.
- Nie jestem zainteresowana - rzuciła kobieta.
- Owszem, jesteś. Bobby mnie przysłała.

Pielęgniarka przystanęła raptownie i odwróciła się, wyraźnie przestraszona. Ale w jej oczach nie było poczucia winy. Rocky westchnęła.

- Nie zabiłaś jej, prawda? Pielęgniarka zeszytywniała.
- Nie całkiem.
- Co to znaczy: „nie całkiem”?

W spojrzeniu kobiety pojawiła się wściekłość pomieszana z desperacją.

- To znaczy, że jej nie zabiłam - syknęła.

- Wsiadaj. - Rocky wyjęła z kieszeni pistolet i wycelowała go w rozmówczynię. - Jeżeli krzykniesz, będzie to ostatni krzyk w twoim życiu - powiedziała spokojnie, choć serce jej waliło. Wsiadaj, zaklinała kobietę w myślach. Nie zmuszaj mnie do użycia broni. Odetchnęła, gdy pielęgniarka wsiadła.

- Zamierzasz mnie zabić? - wyszeptała kobieta ochryple.
- Cóż, to zależy. Zaczynaj od wyjaśnienia, co dokładnie miało znaczyć „nie całkiem”.
- Nie mogłam tego zrobić. Nie potrafiłam jej zabić. Ale zadbałam, żeby nie mogła porozmawiać z nikim innym.
- Z nikim innym? Więc z kim już rozmawiała? - Cholera, zaklęła Rocky w duchu.
- Miała wieczorem dwoje gości. Mężczyznę i kobietę.

To pewnie byli Bailey i Beardsley. Cholerny Granville. Rocky dowiedziała się, że sprowadził ich do bunkra, dopiero Bobby powiedziała jej o tym - i zarzuciła kłamstwo. „Mówiłaś, że nie żyją. Że to sprawdziłaś. Łgałaś. Ta dziewczyna może zniszczyć nas wszystkich”.

Rocky kombinowała wtedy gorączkowo, ale jej kłamstwo, że sprawdziła, ale po prostu nie wyczuła słabego tętna rannej dziewczyny, zabrzmiało kiepsko. Bobby solidnie jej przysoliła. Szczeka wprawdzie nie była złamana, ale bolała jak diabli.

Wiedziała jednak, że zaboli znacznie bardziej, jeśli ta dziewczyna w szpitalu zacznie gadać. Rozmiar szkód zależał od tego, której z dziewczyn udało się uciec. Angel trzymali najdłużej, ale Monica była najbardziej śmiała. Oby to nie Monica wpadła w ich ręce.

- Kim byli ci goście?

- On był z GBI. Agent specjalny Papa... chyba Papadopoulos. Kobieta to ta, która ją znalazła koło bunkra nad rzeką. Jej brat także leży na oddziale intensywnej terapii.

Rocky zamrugła.

- Susannah Vartanian znalazła tę dziewczynę na poboczu? Naprawdę całkiem nieźle się ułożyło. Rocky nie wiedziała, dlaczego, ale Bobby nienawidziła Susannah Vartanian. Obok jej komputera stała fotografia córki sędziego, z twarzą przekreśloną czerwonym krzyżykiem. Załatwienie Susannah mogło być sposobem na odzyskanie zaufania Bobby. A w każdym razie gwarantowało, że gniew Bobby nie skupi się głównie na Rocky.

- Czy dziewczyna coś powiedziała?

- Ponoć kiedy ją znaleźli, powiedziała tylko, że ktoś „pozabijał je wszystkie”. Domyśliłam się, że chodzi o dziewczyny, które znaleźli w bunkrze. - Pielęgniarka zerknęła niepewnie na Rocky. - Usłyszałam o tym w dzienniku.

Szkoda, że nie widziała, jak Granville je zabijał. Ale to było ohydne.

- A później, w szpitalu? Co mówiła potem?

- Nic. Nadal jest pod respiratorem. Posłużyli się tablicą z literami i dowiedzieli się, że jej imię zaczyna się na M. Nie mogli przebywać tam długo, więc zaraz wyszli.

Monica. Niedobrze. Powinna była zawlec ją na łódź. Powinna była znaleźć dla niej miejsce. Nie należało jej zostawiać.

- Co jeszcze?

- Ten agent z GBI zapytał, czy zna dziewczynę o imieniu Ashley, a ona dała znak, że zna.

Ashley? Jakim cudem ten Papadopoulos dowiedział się o Ashley?

- Co zrobiłaś, żeby ona więcej nie mówiła? Pielęgniarka westchnęła ciężko.

- Do woreczka podłączonego do kroplówki dodałam trochę substancji paraliżującej. Kiedy dziewczyna się obudzi, nie będzie w stanie otworzyć oczu, mrugać, poruszać się ani mówić.

- Jak długo działa ten środek?

- Około ośmiu godzin.

- A co zamierzasz zrobić potem? - zapytała Rocky, a potem roześmiała się gorzko. - Nic, prawda? Chciałaś zwiąć.

Pielęgniarka patrzyła przed siebie.

- Nie mogę jej zabić. Musicie to zrozumieć. GBI pilnuje oddziału intensywnej terapii. Sprawdzają wszystkich. W chwili, kiedy ta dziewczyna przestanie oddychać, znacznie wyć alarm. Złapią mnie. I co mam wtedy im powiedzieć? Podać twój rysopis? Markę twojego samochodu? Chyba tego nie chcecie?

Rocky poczuła lęk pomieszany z wściekłością.

- Mogę cię zabić - zagroziła. Pielęgniarka wykrzywiła usta.

- A za osiem godzin środek paraliżujący przestanie działać - powiedziała - i nasz pacjentka zaśpiewa jak ptaszek. Co powie glinom? O mnie nic. Mnie nie widziała. A ciebie?

Cholera, tak, uświadomiła sobie Rocky. Dzisiaj w bunkrze wpatrywała się w jej twarz, jakby chciała zapamiętać każdy szczegół. Ta dziewczyna musi umrzeć, zanim z kimkolwiek porozmawia. A Bobby nie może się dowiedzieć, że byłam tak cholernie niedbała.

- Jak długo zostanie na oddziale intensywnej terapii? Pielęgniarka odetchnęła z ulgą.

- Do czasu odłączenia respiratora - odparła. - A respirator nie zostanie odłączony, dopóki lekarze nie będą pewni, że pacjentka nie ma problemów z oddychaniem. Ten, kto ją pobił, znał się na rzeczy. Ma złamane cztery prawe żebra. Przypadek płuca wstrząsowego. Dziewczyna spędzi w szpitalu co najmniej kilka dni.

Rocky zacisnęła zęby.

- A jak długo zostanie na oddziale intensywnej terapii? - powtórzyła pytanie.

- Nie wiem. Gdyby nie ten środek paraliżujący, może dobę albo dwie.

- Jak długo możesz jej go podawać?

- Góra dwa dni. Potem lekarze zaczęliby coś podejrzewać i zlecili elektroencefalografię. A to badanie wykazałoby obecność środka porażennego. No i pewnie by mnie przyskrzynili, a ja...

- Rozumiem - przerwała jej Rocky. - Wtedy mnie sypniesz i obie pójdziemy siedzieć.

Rozważała różne wyjścia z sytuacji. Sprawy miały się najpierw źle, potem jeszcze gorzej, a teraz przybrały dramatyczny obrót. Popęłniła dzisiaj wystarczająco dużo błędów. Jeszcze jeden i... na samą myśl o tym przeszedł ją dreszcz. Widziała, w jaki sposób Bobby „rozstaje się” z nieudolnymi pracownikami. Ostatni, który tak namieszał, dosłownie stracił głowę. Towarzyszył temu wielki rozlew krwi.

Rocky mogła uciec. Ale potem nie miałyby się gdzie ukryć. Bobby wytropiłaby ją i... Wolą sobie tego nie wyobrażać. Skupiła się na swoim zadaniu. Przypomniała sobie wszystko, co wiedziała o Monice Cassidy, i w jej głowie zrodził się pewien plan. Całkiem sensowny. I realny. Gdyby się nie powiodł, będzie musiała dostać się na oddział intensywnej terapii i osobiście załatwić pacjentkę, a na to nie miała ochoty.

- No dobrze - powiedziała do pielęgniarki. - Posłuchaj, co masz zrobić.

Atlanta, piątek, 2 lutego, godzina 23.15

„Niniejsze oświadczenie zostało złożone dobrowolnie przez Susannah A. Vartanian w obecności Chloe M. Hathaway, zastępcy prokuratora stanowego”. Dłonie Susannah, siedzącej przy biurku w pokoju hotelowym, zastygły na klawiaturze laptopa. Jeszcze raz przeczytała oświadczenie. Zawarła w nim wszystkie szczegóły, jakie zapamiętała sprzed trzynastu lat, od najbardziej odrażających po całkiem neutralne. Jutro po południu miała się spotkać z Chloe Hathaway w sprawie oświadczenia i późniejszego złożenia zeznań.

Późniejszego złożenia zeznań. Brzmiało to tak lekko, tak bezosobowo... jak gdyby chodziło o cudze życie. Jednak nie. Chodzi o moje życie, pomyślała Susannah i odsunęła się od biurka. Nie zmieni ani słowa. Nie tym razem. Tym razem postąpi tak, jak należy.

Było tylko kwestią czasu, kiedy jej związek ze sprawą, już określaną przez media jako „zmowa bogatych gwałcicieli”, trafi do dzienników telewizyjnych i radiowych i do prasy. Już widziała mężczyznę z aparatem fotograficznym, gdy meldowała się w hotelu. Pewnie dziennikarze jechali za samochodem Luke'a, gdy odwoził ją ze szpitala.

Luke. Dużo o nim myślała tego dnia, za każdym razem nieco inaczej. Był na tyle silny, by bez zadyszki wnieść po stromym zboczu ranną dziewczynę, z którą przy tym obchodził się bardzo delikatnie. Słyszała, że na świecie zdarzają się delikatni siłacze, ale z własnego doświadczenia wiedziała, że to bardzo rzadkie zjawisko. Miała nadzieję, że kobieta Luke'a potrafi docenić tę jego zaletę.

Bo w jego życiu na pewno jest jakaś kobieta. Oprócz tego, że był przystojnym brunetem, emanował tym skupionym napięciem, które większość kobiet uważa za podnieca-

jące. Susannah musiała przyznać, że w sensie fizycznym podziałało to i na nią ledwie się opanowała, gdy stał tak blisko niej w szpitalu, a ją kusilo, by przycisnąć usta do jego policzka.

Była jednakże na tyle rozsądna, żeby się nie angażować w takie historie. Wchodzenie w związku prowadziło do pytań, te zaś w ostatecznym rozrachunku wymagały odpowiedzi. A Susannah nie miała ochoty zwierzać się ani Luke'owi Papadopoulosowi, ani nikomu innemu. Przenigdy.

Z drugiej strony, pamiętała tę rozpaczliwą pustkę w jego czarnych oczach, kiedy wyszedł z bunkra. I nawet wtedy podtrzymał ją, gdy ugięły się pod nią nogi. Odczuwał wszystko bardzo intensywnie, ale wydawał się zdolny do oddzielania uczuć od obowiązków. Szanowała to, bo wiedziała, jakie to trudne.

Luke podrzucił ją do hotelu, nie próbując przekonywać; zaakceptował jej decyzję, mimo iż jej nie pochwalał. Potem pojechał na naradę ze swoimi współpracownikami, skupiony i napięty, czyli taki, jaki wydawał się zawsze.

Zazdrościła mu. Luke Papadopoulos miał do zrobienia coś ważnego, podczas gdy ona spędziła dzień beczynnie. Chociaż niezupełnie. Rano i wczesnym popołudniem była bardzo zabiegana. Dopiero wieczór okazał się jałowy - po prostu siedziała i czekała, mając za dużo czasu na myślenie. Jutro może coś zrobić. Będzie czuwała nad bezimieną dziewczyną, bo ta na nikogo innego nie mogła liczyć. A Susannah czuła się za nią odpowiedzialna. Najpierw jednak musiała przekazać oświadczenie Chloe Hathaway.

Sięgnęła po gazetę kupioną w hotelowym lobby. Artykuł na pierwszej stronie donosił o seryjnym zabójcy grasującym w Dutton. To już przestarzałe nowiny. Dalej znalazła tekst o jednej z ofiar z Dutton. Nazwisko przykuło jej uwagę. Sheila Cunningham. Przyjaźniły się kiedyś. Jutro miał się odbyć pogrzeb Sheili, a Susannah wiedziała, że powinna na niego pójść. A więc ponownie znajdzie się na cmentarzu w Dutton.

Jutro będzie trudny dzień.

Zaburczało jej w brzuchu i przypomniawszy sobie, że jest głodna. Nie jadła niczego od śniadania, a hotelowa obsługa się spóźniała. Kiedy podniosła słuchawkę telefonu, żeby spytać, co z kolacją, rozległo się pukanie do drzwi. Nareszcie.

- Dziękuję... - Umilkła z otwartymi ustami. W progu stał jej szef. - Al. Co tu robisz? Proszę, wejdź.

Al Landers zamknął za sobą drzwi.

- Chciałem z tobą porozmawiać.
- Jak mnie tu znalazłeś? Nie podawałam nikomu adresu hotelu.
- Masz swoje przyzwyczajenia - odparł. - Za każdym razem zatrzymujesz się w hotelach tej samej sieci. Wystarczyło znaleźć taki hotel w okolicy.
- Ale skąd znałeś numer pokoju? Powiedzieli ci w recepcji?

- Nie. Podśledzałem, jak jakiś reporter próbował dać portierowi łapówkę w zamian za tę informację.

- Przypuszczałam, że tak będzie. O Vartanianach głośno teraz w Atlancie. - Już Simon się o to postarał, pomyślała. - I portier mu powiedział?

- Tak, i dzięki temu się dowiedziałem. A o gadatliwym portierze powiedziałem kierownikowi hotelu. Następnym razem, jak się zjawisz w tym mieście, pomyśl o noclegu gdzie indziej.

Kiedy to się skończy, nie będzie następnego razu.

- Mówiłeś, że chcesz pogadać. Al rozejrzył się.

- Jest tu coś do picia?

- Szkocka w barku. - Nalała mu trunku do szklaneczki i usiadła na kanapie.

Al podszedł do biurka i zerknął na ekran laptopa.

- Jestem tu właśnie z tego powodu.

- Z powodu mojego oświadczenia? Jak to?

Nie spieszył się z odpowiedzią; najpierw upił nieco szkockiej, a resztę pochłonął jednym haustem.

- Czy jesteś pewna... całkowicie pewna, że chcesz to zrobić, Susannah? Kiedy znajdziesz się w roli ofiary, twoje życie i kariera zawodowa zmienią się na zawsze.

Podeszła do okna i popatrzyła na miasto.

- Zdaję sobie z tego sprawę. Mam jednak swoje powody, Al. Trzydzieści lat temu zostałam... - z trudem przełknęła ślinę - ...zgwałcona. Banda chłopaków odurzyła mnie, zgwałciła, a potem oblała whisky, tak jak piętnaście innych dziewcząt w ciągu następnego roku. Kiedy się ocknęłam, byłam w swojej kryjówce w ścianie sypialni. Myślałam, że to mój sekretny schowek, ale mój brat Simon wiedział o nim.

Usłyszała, jak Al powoli wypuszcza powietrze z płuc.

- Więc Simon w tym uczestniczył?

- Simon był szefem tej bandy.

- I nie mogłaś nikomu o tym powiedzieć? - zapytał ostrożnie.

- Nie. Ojciec wyzwałby mnie od kłamczuch. A Simon zadbał o to, żebym nie puściła pary z ust. Pokazał mi zdjęcie, na którym... no wiesz.

- Tak - odrzekł Al ze ściśniętym gardłem. - Wiem.

- Powiedział, że to się może powtórzyć. I że nie mam się gdzie schować. - Zaczepnęła powietrza, ale strach, żywy jak przed trzynastu laty, nie ustąpił. - Mówił, że muszę czasem spać, więc powinnam trzymać się z daleka od jego spraw. I tak zrobiłam. Nigdy o niczym nie powiedziałam. A oni zgwałcili piętnaście innych dziewczyn. Zrobili nam wszystkim zdjęcia. Trzymali je jako trofeum.

- Czy policja ma te zdjęcia?

- GBI. Znalazłam je dziś po południu w schowku Simona. Całe pudło.

- Zatem GBI ma niepodważalny dowód. Ale został już tylko jeden z tych drani, Susannah. Po co teraz przechodzić przez to wszystko?

Gniew błysnął w oczach Ala, człowieka, który wiele ją nauczył na temat prawa i stanowił dla niej nieskazitelnym wzór. I który był całkowitym przeciwieństwem sędziego Arthura Vartaniana.

- Dlaczego starasz się wyperswadować mi zrobienie tego, co powinnam zrobić? - spytała.

- Ponieważ wcale nie jestem pewny, że powinnaś - odparł ze spokojem. - Susannah, przeszłaś przez piekło. Niczego nie zmienisz, jeśli teraz wystąpisz. Fakty pozostaną faktami. Mają zdjęcia tego... jak on się nazywa? Ten, który został.

- Gartha Davisa - podsunęła.

Jego oczy znów błysnęły groźnie, ale mówił dalej opanowanym głosem.

- Mają zdjęcia tego Davisa gwałcącego ciebie i gwałcącego inne. Jeśli wystąpisz publicznie, staniesz się znana jako ofiara, która oskarża. Każdy obrońca, na jakiego trafisz, zarzuci ci brak obiektywności. „Czy pani Vartanian usiłuje dowieść winy mojego klienta, czy też szuka odwetu za swoją krzywdę?”

- To byłoby niesprawiedliwe - powiedziała ze łzami w oczach.

- Życie nie jest sprawiedliwe - odrzekł. W jego oczach czaił się ból i Susannah nie mogła opanować łez.

- On był moim bratem - powiedziała drżącym głosem. - Rozumiesz? Był moim bratem i pozwalał im robić to ze mną. Pozwalał wyżywać się na innych. Przez to, że milczałam, piętnaście innych dziewczyn zgwałcono, a w Filadelfii zginęło siedemnaście osób. Jak mogę to naprawić?

Al chwycił ją za ramię.

- Nie możesz. A jeśli to z tego powodu chcesz zeznawać, kierujesz się niewłaściwymi pobudkami. Nie chcę, żebyś zniszczyła sobie karierę z niewłaściwego powodu.

- Będę zeznawała, bo tak trzeba. Popatrzył jej w oczy.

- Czy jesteś pewna, że nie robisz tego ze względu na Darcy Williams? Susannah zmarła. Serce przestało jej bić, w żołądku poczuła skurcz. Poruszyła ustami, ale nie wypowiedziała ani słowa. Tamta scena znów stanęła jej przed oczami. Zobaczyła ciało Darcy. I mnóstwo krwi. A Al wiedział. On o tym wiedział.

- Zawsze o tym wiedziałem, Susannah - rzekł łagodnie. - Chyba nie sądziłaś, że inteligentny policjant w rodzaju detektywa Reiser nabierze się na anonimową informację w tak ważnej sprawie? W śledztwie dotyczącym zabójstwa?

Jakimś cudem odzyskała głos.

- Chyba się nie dowiedział, kto do niego dzwonił?

- Owszem, dowiedział się. Umówił się na powtórny rozmowę, tłumacząc, że chce zweryfikować otrzymaną informację. Ustalili, że za pierwszym razem telefonowałaś z budki, a kiedy dzwoniłaś ponownie, czekał na pobliskiej ulicy i obserwował.

- No tak, mam swoje nawyki - powiedziała głucho. - Skorzystałam z tej samej budki telefonicznej.

- Większość ludzi ulega nawykom. Przecież o tym wiesz.

- Więc dlaczego nic nie powiedział? - Zamknęła oczy pod wpływem upokorzenia zmieszanego ze zdumieniem. - Od tamtej pory współpracowaliśmy ze sobą w kilkunastu sprawach. Nawet słowem nie zdradził, że wie.

- Tamtej nocy jechał za tobą do domu. Pracowałaś dla mnie wtedy, a ja znałem się z nim od dawna, więc sam do mnie przyszedł. Byłaś na stażu, ale już się zorientowałem, że będziesz znakomitym pracownikiem. - Westchnął. - No i ten twój gniew. Zawsze byłaś miła, opanowana, ale w twoich oczach czaił się gniew. Kiedy Reiser powiedział mi, co widziałaś, domyśliłem się, że przeszłaś przez coś strasznego. Zapytałem go, czy uważa, że złamałaś prawo, lecz on uznał, że tego nie zrobiłaś.

- I poprosiłeś go o usunięcie mojego nazwiska z akt sprawy.

- Tylko pod warunkiem, że nie znajdzie dowodu, że zrobiłaś coś złego. Dzięki twojej informacji zdobył nakaz i znalazł w szafie zabójcy narzędzie zbrodni i buty z krwią Darcy na sznurowadłach. Rozwiązał sprawę bez twojego udziału.

- Ale gdyby mu się nie udało, pozwoliłbyś mu wezwać mnie na świadka.

Uśmiech Ala był ponury.

- Tak, bo tak należałoby postąpić. Susannah, odwiedzasz grób Darcy co roku w rocznicę jej śmierci. Wciąż ją oplakujesz. Ale radziłaś sobie w życiu. W sądzie oskarżałaś winnych z rzadko widywaną pasją. Niczego byś nie uzyskała, występując oficjalnie w sprawie zabójstwa Darcy Williams.

- I tu się mylisz - stwierdziła. - Codziennie mam się na baczności i staram się postępować właściwie. Naprawdę trudno mi żyć z tym, co mam na sumieniu. Więc muszę to zrobić, Al. Przez prawie połowę życia dręczyło mnie poczucie winy. Chcę przeżyć pozostałe lata, mogąc spojrzeć w oczy wszystkim ludziom, których napotkam. Jeśli trzeba będzie poświęcić karierę, zrobię to. Aż nie chce mi się wierzyć, że ty, właśnie ty, próbujesz mi to wyperswadować. Przecież pracujesz w wymiarze sprawiedliwości, na litość boską.

- W chwili, kiedy wszedłem do tego pokoju, zdjąłem togę prokuratora. Jestem tu jako twój przyjaciel.

Poczowała ucisk w gardle i głośno odchrząknęła.

- Nie brakuje oskarżycieli z przeszłością podobną do mojej. Dzięki nim cały ten system działa.

Znów ponuro się uśmiechnął.

- Ale nie noszą nazwiska Vartanian. Skrzywiła się.

- Racja. Jednak już podjęłam decyzję. Jutro o dziewiątej mam spotkanie z pracownicą prokuratury stanowej. Przyjdzie tu i przekażę jej moje oświadczenie.

- Chcesz, żebym ci towarzyszył?

- Nie - odparła odruchowo. - Tak - rzekła po chwili. Al pokiwał głową.

- Dobrze.

- Potem wybieram się na pogrzeb - powiedziała Susannah. - W Dutton.

- Czyj pogrzeb?

- Sheili Cunningham. Była jedną z ofiar bandy Simona. W ostatni wtorek miała przekazać mojemu bratu pewne informacje na temat tych gwałtów sprzed trzynastu lat, ale została zabita, zanim zdążyła z nim porozmawiać. Jeden z członków gangu okazał się miejscowym zastępcą szeryfa. Zorganizował zabójstwo Sheili, a potem uciszył jej mordercę, zabijając także jego. Dziś postrzelił mojego brata.

Al wytrzeszczył oczy.

- Twój brat został ranny? Co z nim.

- Było kiepsko, ale już lepiej się czuje. Jest z nim jego dziewczyna Alex.

- A ten zastępca szeryfa? Czy wpadł?

- W pewnym sensie. Po tym jak zranił Daniela, wycelował broń w Alex, a ona go zastrzeliła.

Al zamrugał.

- Chyba potrzebuję następnego drinka.

Susannah wyjęła z minibarku drugą buteleczkę szkockiej, a także butelkę wody dla siebie. Al stuknął szklaneczką o jej butelkę.

- Za to, co właściwe. Kiwnęła głową.

- Nawet jeśli to trudne.

- Chciałbym poznać twojego brata. Dużo o nim czytałem.

„Nawet jeśli to trudne” - powtórzyła w myślach. Bez względu na to, czy tego chciała i czy była na to gotowa, Daniel miał stanowić w przewidywalnej przyszłości część jej życia.

- Od jutra będzie można go odwiedzać.

- Chcesz, żebym poszedł z tobą na pogrzeb tej kobiety?

- Nie musisz - odparła, a on spojrzał na nią tak, jakby testował własną cierpliwość.

- A ty nie musisz przechodzić przez to sama, Susannah. Pozwól sobie pomóc.

Poczuła ulgę.

- Pogrzeb jest o jedenastej. Pojedziemy tam zaraz po mojej rozmowie z Chloe Hathaway.

- Dobrze się wyśpij. I spróbuj się tak nie przejmować.
- Spróbuję. Al... - odchrząknęła - dzięki tobie uwierzyłam w praworządność. Wiem, że prawo ma sens. Wcześniej w to nie wierzyłam, bo nie starałam się dochodzić sprawiedliwości na drodze prawnej.
- Tym razem się o to postaramy. Odprowadziła go do drzwi.
- Czekam na ciebie o dziewiątej. I dziękuję.

Atlanta, piątek, 2 lutego, godzina 25.50

Luke wszedł do hotelowej windy i poczuł wyraźny zapach potraw. Stał za nim kelner w białej marynarce i z tacą z posiłkiem dla dwóch osób. Luke tęsknie zerknął na tacę. Od dawna nie jadł porządnego posiłku, a wszystko, na co mógł liczyć dzisiejszego wieczoru, to hamburger z jakiegoś otwartego do późna przydrożnego zajazdu.

Mógłby jeść tego hamburgera już teraz. Wystarczyło zadzwonić do Susannah i zapytać o chatę. Oczywiście, że mógł, a nawet powinien był to zrobić. Wolał jednak przyjechać.

Dzwonek windy zabrzączał i drzwi kabiny się rozsunęły.

- Pan pierwszy - powiedział do niego kelner.

Luke podziękował skinieniem głowy i skierował się w stronę pokoju Susannah. Pewnie już śpi, myślał. Powiniennem był ją uprzedzić. Ale gdyby zatelefonował, z pewnością by ją obudził. A tak mógł podsłuchać pod drzwiami. Jeśli niczego nie usłyszy, pójdzie. Tere-fere, Papa. Po prostu chcesz się z nią zobaczyć. Upewnić się, czy wszystko u niej w porządku.

Owszem, tak właśnie było. Hm.

Na końcu korytarza otworzyły się drzwi i ukazał się w nich mężczyzna po pięćdziesiątce nienagannie ubrany w garnitur i krawat. Obrzucił Luke'a badawczym spojrzeniem, kiedy się mijali.

Luke odwrócił się, by za nim popatrzeć, i omal nie wpadł na kelnera z wózkiem, stojącego przy drzwiach, zza których wyłonił się ów mężczyzna.

Zdziwił się, kiedy kelnerowi drzwi otworzyła Susannah. Już miała podpisać rachunek, kiedy uświadomiła sobie, że obok stoi Luke.

- Witam, agencie Papadopoulos - powiedziała. Luke lekko odepchnął kelnera i rzekł:
- Ja to wniosę. Dobranoc.

Susannah patrzyła, jak wwozi wózek do pokoju i zamyka za sobą drzwi.

- Co ty tu robisz? - spytała.
- Muszę cię o coś zapytać.

Spojrzał na nią i zalała go fala gorąca. Wąska spódnica sięgała jej do połowy ud, a obcisły długi sweter niemal do jej rąbka. Susannah wyglądała bardzo młodo i bardzo seksownie. Pragnę jej, uświadomił sobie.

- Coś mi się zdaje, że moja siostrzenica Stacie kupiła ci to, co wcześniej wypatrzyła dla siebie - zmusił się do żartobliwego tonu. - Demi, moja siostra, nie pozwoliłaby się jej tak wystroić.

Susannah uśmiechnęła się.

- Też tak pomyślałam, ale musiałam się pozbyć tamtych szmat. - Wskazała wózek. - Zjemy razem?

- Umieram z głodu - przyznał. - Ale nie chcę pozbawiać cię kolacji.

- Nigdy tyle nie jem - odparła i skinęła w kierunku stolika w kącie. - Usiądź.

Manewrując wózkiem, uderzył udem o kant biurka. Poruszony wstrząsem ekran laptopa rozjaśnił się, a Luke przystanął, widząc wpisany tekst.

- Twoje zeznanie. Postawiła tacę na stoliku.

- Jutro rano spotykam się z zastępcą prokuratora stanowego panią Hathaway.

- Mówiła mi, że dzwoniłaś. - Spojrzał na dwa zestawy sztućców na tacy i pomyślał o mężczyźnie, który dopiero co opuścił ten pokój. - Zamówiłaś kolację dla dwóch osób.

- Zawsze tak robię. Nie chcę, by ktokolwiek pomyślał, że jestem tu sama. - Wzruszyła ramionami, lekko zmieszana. - Około trzeciej nad ranem dopadają mnie irracjonalne lęki. Jedz, zanim wystygnie.

Znał te lęki o trzeciej nad ranem. Sam o tej porze rzadko sypiał. Jedli w milczeniu, aż wreszcie Luke'a zmoogła ciekawość.

- Kim był ten mężczyzna, który stąd wyszedł?

- To mój szef. Al Landers z Nowego Jorku. Dzwoniłam do niego i powiedziałam mu o tamtym pudle i o moim zeznaniu. Przyjechał, żeby się upewnić, że u mnie wszystko w porządku. - Spojrzała na niego zaskoczona.

- Myślałeś, że...? O, nie. Al jest żonaty. To porządny człowiek.

Luke poczuł się swobodniej.

- To miłe, że przyjechał z tak daleka - stwierdził. Susannah również trochę się odprężyła.

- Podziękuj siostrzenicy, że zrobiła dla mnie zakupy. - Wstała i sięgnęła po torebkę.

- Oto czek. Przekażesz go jej?

Włożył czek do kieszeni koszuli.

- Sama pewnie kupiłabyś inne ciuchy.

- Owszem, ale i tak jestem jej wdzięczna. Kiedy wrócę do Nowego Jorku, mogę wszystkie odesłać, jeżeli jej mama się na to zgodzi. Przypuszczam, że na twojej siostrzenicy będą leżały lepiej. Ja jestem za stara na takie ciuchy.

- Usiadła i popatrzyła mu w oczy. - O co chciałeś mnie zapytać?

Przez moment nie mógł sobie przypomnieć, lecz po chwili odzyskał rezon.

- Czy kiedykolwiek byłeś w jakiejś chacie w górach? Ściągnęła brwi.

- W chacie w górach? Nie. A co?

- Rozmawiałem dzisiaj z Garthem Davisem i powiedział, że zazwyczaj dokonywali gwałtów w domu któregoś z członków bandy, ale pewnego wieczoru pojechali do chaty w górach. Zorganizował to Granville i zawiózł ich tam potajemnie.

W jej oczach zamigotało wahanie.

- Czy Davis wie, do kogo należała?

- Chyba tak, ale nie chce powiedzieć, dopóki nie zobaczy się z dziećmi. Jego żona wywozła je wczoraj, gdy uznała, że Mack O'Brien wziął na cel ich rodzinę.

- Kuzyn Gartha został zamordowany. Czytałam o tym w gazecie. -Usiadła wygodniej i zamyśliła się. - Z tego, co wiem, mój ojciec nie miał chaty za miastem. Wprawdzie kupił domek narciarski w Vale, ale chyba nigdy z niego nie korzystał.

- To po co go kupował?

- Pewnie po to, żeby dokuczyć matce. Chciała jeździć na zachód, ale on nigdy nie miał na to czasu. Więc kupił domek, z którego ona nie mogła korzystać.

- To na pewno nie chata górską gdzieś w okolicy?

- Na pewno. Ale mój ojciec jeździł na ryby z ojcem Randy'ego Mansfielda.

- Przyjaźnił się z ojcem Mansfielda? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, czy można to nazwać przyjaźnią. Ojciec Mansfielda był prokuratorem okręgowym i wpadał do nas, gdy jakaś sprawa szła nie po jego myśli. Rozmawiali w gabinecie mojego ojca, a potem w sądzie zapadał wyrok korzystny dla oskarżenia.

- Więc ojciec Mansfielda wręczał twojemu ojcu łapówki.

- Jasne. Mnóstwo osób to robiło. Mój ojciec też uciekał się do przekupstwa. A niektórych ludzi szantażował. - Jej oczy rozbliły się. - Chciałam to ujawnić, ale nikt by mi nie uwierzył.

- Komu mogłabyś powiedzieć? Nie wiedziałaś przecież, kogo twój ojciec miał w kieszeni.

Gniew w jej oczach trochę złagodniał.

- Wiem. Oni wszyscy byli w zмовie.

- Przepraszam. Nie zamierzałem wywlekać tej sprawy.

- Nie szkodzi. Pytałeś o chatę. Kiedy ojciec i Richard Mansfield jechali na ryby, zatrzymywali się w jakiejś chacie. - Spuściła oczy, myśląc intensywnie, a potem nagle podniosła wzrok i spojrzała na Luke'a. - To była chata sędziego Borensona.

- Znam to nazwisko. Słyszałem je całkiem niedawno. Czy mogę zerknąć do twojego laptopa?

- Oczywiście.

Usiadł przy biurku, a ona stanęła za nim i wpatrywała się w ekran.

- O mój Boże - powiedziała i pochyliła się, aby wskazać słowa, które właśnie się wyświetliły. - Borenson przewodniczył procesowi Gary'ego Fulmore'a.

- Oskarżonego o zabójstwo siostry Alex Fallon przed trzynastu laty - dopowiedział Luke, starając się skupić na ekranie komputera, a nie na jej obcisłym swetrze, który muskał jego bark. - Zbieg okoliczności?

- Nie. To nie może być przypadek. - Przysiadła na krawędzi łóżka. - Gary Fulmore siedział trzynaście lat za morderstwo, którego nie popełnił.

- To starszy brat Macka O'Briena, Jared, zabił siostrę Alex. - Luke czuł równocześnie ulgę i rozczarowanie z powodu odległości, jaka teraz dzieliła go od Susannah. - Ale wtedy nikt o tym nie wiedział. Wszyscy członkowie gangu myśleli, że któryś z nich zabił Alicie Tremarne, bo jeszcze żyła, kiedy zostawili ją zgwałconą. Jared O'Brien wrócił, zgwałcił ją ponownie i zabił, gdy próbowała wołać o pomoc.

- Frank Loomis był wówczas szeryfem. Sfałszował materiał dowodowy i wrobił w to morderstwo Gary'ego Fulmore'a. Dlaczego?

- Wiem, że Daniel chce to ustalić.

- Loomis traktował Daniela jak syna i dał mu pierwszą pracę na posterunku policji. Odkrycie, że szeryf zrobił coś tak nikczemnego, musiało być dla niego okropne.

Luke spojrział przez ramię.

- Mówisz, że Frank traktował Daniela jak syna. Czy mógł traktować tak samo Granville'a?

- Loomis jako *thick* Granville'a? - zastanawiała się chwilę. - To możliwe.

- Czy szeryf Loomis i sędzia Borenson przyjaźnili się?

- Nie wiem. Być może. Polityka w Dutton wymuszała różne dziwne przymierza.

Luke zerknął na inne wzmianki o Borensonie.

- Zbliża się do siedemdziesiątki. Nie ma informacji o jego śmierci, więc pewnie nadal żyje. Musimy z nim pogadać.

- Skoro do chaty Borensona miał dostęp Granville, to może również j ego współnik. - Wstrzymała oddech. - A to oznacza...

- Że te dziewczyny mogą tam być. To tylko przypuszczenie, ale warto je sprawdzić. - Znowu spojrział przez ramię. - Czy wiesz, gdzie jest ta chata?

- Gdzieś w północnej Georgii.

- Spróbuję ją odszukać. Powinno się udać, jeśli jest zarejestrowana na jego nazwisko.

- Wstukał następne hasło do wyszukiwarki i po chwili oznajmił: - Chata Borensona znajduje się koło Ellijay przy Trout Stream Drive.

- Odludna okolica. Trudno będzie znaleźć to miejsce, zwłaszcza po zmroku. Przydałby ci się przewodnik.

- Dam sobie radę. Łowiłem ryby w Ellijay.- Luke wstał, podszedł do drzwi, a tam przystanął i powiedział: - Co do jednego nie masz racji.

- Co do czego?

Nagle zaschło mu w ustach.

- Wcale nie jesteś za stara na to ubranie. Stacie dokonała znakomitego wyboru.

Kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu.

- Dobrej nocy, agencie Papadopoulos. Udanych poszukiwań.

Ridgefield, Georgia, sobota, 3 lutego, godzina 0.30

Bobby uśmiechnęła się do Haynesa.

- Interesy z panem to zawsze wielka przyjemność, Darryl. Haynes wsunął portfel do kieszeni spodni.

- I nawzajem. Muszę jednak wspomnieć, że jestem trochę rozczarowany z powodu choroby tamtej blondyny. Bardzo na nią liczyłem.

- Następnym razem. Obiecuję.

Usta Haynesa wykrzywiły się w sztucznym uśmiechu.

- Trzymam panią za słowo - powiedział.

Bobby odprowadziła klienta do drzwi i patrzyła, jak odjeżdża z nowym nabytkiem, zawiniętym we włochaty koc w bagażniku cadillaca serville. Pojawił się Tanner.

- Nie lubię tego gościa - mruknął. Bobby uśmiechnęła się.

- Po prostu nie przepadasz za politykami. Ja też nie. Ale Haynes to dobry klient, a jeśli wygra wybory, będziemy mieli następnego wpływowego pracownika.

Tanner westchnął.

- Mam nadzieję. Pan Paul dzwoni na służbowy telefon.

- Dziękuję, Tanner. Możesz iść spać. Wezwę cię, kiedy będziesz mi potrzebny.

Tanner skinął głową.

- Sprawdzę, jak bawią się nasi goście, zanim udam się na spoczynek.

- Dziękuję, Tanner. - Bobby uśmiechnęła się, gdy starzec zaczął się wspinać po schodach. Mimo swojej mętnej przeszłości miał maniery arystokraty z Południa. Był pierwszym „osobistym nabytkiem” Bobby, wtedy ledwie dwunastoletniej. Wydawał jej się stary już wtedy, był jednak na tyle młody, by nie mieć ochoty na spędzenie reszty swoich dni za kratkami. Ich znajomość trwała ponad połowę życia Bobby. I nikomu nie ufała tak jak jemu. Ufała mu nawet bardziej niż Charlesowi.

Cóż, zdecydowanie bardziej. Charles był jak kobra pełzająca wśród zarośli i czekająca na idealną chwilę do ataku.

Tłumiąc przyjemny dreszcz, Bobby podniosła słuchawkę.

- Paul. Miałeś się odezwać wcześniej.

- Ale mam informację, na której ci zależało, plus coś jeszcze. Zapisz sobie te nazwiska. Luke Papadopoulos prowadzi sprawę Granville'a. Odpowiada przed Chase'em Whartonem.

- Tyle to wiem. Kto z nim współpracuje? - Bobby zmarszczyła czoło, gdy podawał jej nazwiska. - Nie znam żadnego z tych ludzi.

- A ja owszem - powiedział Paul. - Jedna z tych osób pasuje jak ulał do twoich planów, bo ma pewien wstydlivy sekret. Mógłbym aresztować tego kogoś już dzisiaj, ale pomyślałem, że jeszcze z tym zaczekam.

- Bardzo mądrze. Ten ktoś przyda nam się bardziej w robocie niż w więzieniu. - Bobby zapisała nazwisko oraz sekret, który wyjawiał jej Paul. - Teraz mamy wysoko postawioną wtyczkę w zespole GBI. Znakomicie.

- Możesz nieźle rozegrać tę kartę nie tylko w tej sprawie, ale i w przyszłych.

- Dobrze się spisałeś, Paul. Wspomniałeś, że masz coś jeszcze.

- To cię mniej ucieszy. Rocky spotkała się z tą pielęgniarką na szpitalnym parkingu i gadały w jej wozie.

- Gdzie wtedy byłeś?

- W samochodzie stojącym dwa rzędy dalej. Musiałem być na tyle blisko, żeby mikrofon wylapał ich głosy. Okazało się, że pielęgniarka nie wykonała zadania. Za to nieźle nastraszyła twoją pomocnicę.

Bobby zacisnęła zęby.

- Tak przypuszczałam. Gdzie jest teraz Rocky?

- Jedzie na północ szosą 1-85. Jestem jakieś pół kilometra za nią.

- Dokąd jedzie?

- Tego nie wiem, bo nie powiedziała.

- Czy Rocky ustaliła tożsamość dziewczyny?

- Pielęgniarka wiedziała tylko, że jej imię zaczyna się na literę M. Cholera! To Monica.

- Rozumiem. A więc dziewczyna odzyskała przytomność i sypie?

- Nie. Pielęgniarka sparaliżowała ją, podając coś przez kroplówkę. Dziewczyna nie może otworzyć oczu, poruszać się ani mówić.

Bobby odetchnęła z ulgą.

- No to nasza pielęgniarka nie całkiem pokpiła sprawę.

- Rocky kazała jej podać dziewczynie jeszcze jedną dawkę tego środka, która będzie działać do mniej więcej drugiej po południu. Powiedziała, że zjawi się z nowymi poleceniami, a potem puściła pielęgniarkę. Trochę odczekała i pojechała za jakimś samochodem do jednego z miejscowych hoteli. Przy hotelu z wozu wysiadła kobieta, a samochód pojechał dalej. Wtedy Rocky ruszyła na północ.

- Jak wyglądała kobieta?

- Jak lekarka. Była w lekarskim fartuchu, w jednej ręce miała laptopa, a w drugiej torbę z zakupami. Czy mam nadal śledzić Rocky?

- W jej wozie jest czujnik radiowy, więc wykorzystaj GPS. Dla ciebie mam inne zadanie.

- Rocky musiała zdemontować nadajnik, bo nie łapie jej sygnału. Bobby westchnęła.

- Zawsze wiedziałam, że jest bystra. Następnym razem Tanner będzie musiał lepiej ukryć nadajnik. Jedź za nią. Chcę znać każdy jej ruch.

- Ty płacisz, twój wybór. I jeszcze jedno. Rocky bardzo się zainteresowała, kiedy pielęgniarka stwierdziła, że kobieta, która znalazła tamtą dziewczynę, to Susannah Vartanian.

- Jak wyglądała lekarka, która weszła do hotelu? - spytała Bobby.

- Koło trzydziestki. Ciemne włosy związane w kucyk. Jakies z metr sześćdziesiąt wzrostu. Bardzo ładna.

Susannah.

- Rozumiem. Odezwij się, kiedy Rocky dotrze tam, dokąd zmierza.

Bobby przerwała połączenie i popatrzyła na zdjęcie Susannah, które zostawił jej Charles. Zastanawiała się, czy wiedział, że to Susannah znalazła tę dziewczynę. Po chwili uznała, że raczej nie. Charles był tu i grał z nią w szachy, gdy dziewczyna uciekła. Wiedział naprawdę dużo, ale nie wszystko. Pomyślała o Susannah Vartanian. Ta kobieta była cierniem w jej boku, nawet nic nie robiąc, tylko oddychając. A dzisiaj coś zrobiła. To przez nią ta dziewczyna przeżyła. I teraz może ich wszystkich załatwić.

Teraz więc trzeba zlikwidować dziewczynę. Pielęgniarka musi wrócić do gry, to pewne. Ale Susannah przesadziła. Najwyższy czas usunąć i ją. Najwyższy czas, by przestała oddychać.

Najpierw jednak Bobby policzy się z Rocky. To nie będzie przyjemne. Ojciec zawsze jej powtarzał, żeby unikała rodzinnych interesów. Powinna była go słuchać.

Ellijay, północna Georgia, sobota, 3 lutego, godzina 2.15

Luke, obudź się. Jesteśmy na miejscu.

Zamrugał powiekami i otworzył oczy. Prowadząca samochód agentka specjalna Talia Scott zwolniła i zatrzymała się na skraju polnej drogi wysadzonej drzewami, która, według ich mapy, powinna prowadzić do chaty sędziego Waltera Borensona.

- Nie spałem - odparł Luke. - Tylko odpoczywałem z zamkniętymi oczami.

- W takim razie potrafisz odpoczywać tak głośno jak nikt inny. Twoje chrapanie, Papa, obudziło umarłego. Nic dziwnego, że nie masz stałej dziewczyny.

- Może rzeczywiście przysnąłem na chwilę. - Świadczyło to tylko o tym, jak bardzo ufa Talii. Przyjaźnili się od dawna. Zerknął we wsteczne lusterko po swojej stronie. Za nimi był Chase, a dalej dwie furgonetki.

W jednej znajdował się zespół jednostki specjalnej zebrany przez Chase'a, a w drugiej ekipa kryminologiczna z biura śledczego stanu Georgia.

- Czy mamy podpisany nakaz rewizji? - spytał Luke.

- Tak - odparła Talia. - Chloe narzekała, że potrzebuje więcej snu, żeby dobrze wyglądać na jakimś porannym spotkaniu, ale zdołała wszystko załatwić.

Wiedział, że chodziło o spotkanie z Susannah. Przed zaśnięciem omal nie powiedział Talii o zeznaniu siostry Daniela, ale w porę ugryzł się w język. Talia przez ostatnie dwa dni przesłuchiwała pozostałe przy życiu kobiety molestowane przez członków klubu gwałcicieli i pewnie domyślała się, że Susannah również padła ich ofiarą. Luke jednak w porę ugryzł się w język. Jednak Susannah zasługiwała na to, by chronić jej prywatność i zachować dyskrecję do czasu, aż formalnie podpisze swoje zeznanie.

- Chloe zwykle daje sobie radę - stwierdził i wysiadł z samochodu. - Jeśli wspólnik Granville'a jest tutaj, to nieźle się zamelinował. Nie ma tu żadnej innej drogi wyjazdowej oprócz tej.

Talia oświetliła drogę latarką.

- Grunt jest zbyt twardy, żeby widać było ślady opon. - Powęszyła w powietrzu. - Nikt nie pali w piecu.

Podszedł Chase, ściągając paski kamizelki kuloodpornej. W rękę trzymał dwie pary gogli noktowizyjnych i słuchawek.

- To dla was. Podejźmy przez las. Ja pójdę z lewej, Talia z prawej, a ty, Luke, przejdź naokoło i ochraniaj nas z tyłu. Jeśli tam są, nie chcę, żeby coś zauważyli.

Luke pomyślał o bunkrze, martwych oczach i dziurach po kulach w czołach ofiar. O nie, nie zamierzał w żaden sposób uprzedzać tych drani, że się zbliżają.

- Chodźmy.

Podzielili ekipę z jednostki specjalnej na trzy grupy i zaczęli przedzierać się przez las. Gdy podeszli do chaty, Luke stwierdził, że jest pusta. W domku panowała ciemność i sprawiał wrażenie opuszczonego. Od dawna nikogo tu nie było.

Luke wyszedł zza drzew z jednej strony drogi, a Chase wyłonił się z drugiej i w milczeniu wskazał gestem tył budynku. Luke ruszył w tamtym kierunku. Gdy zbliżył się do chaty na jakieś półtora metra, usłyszał warczenie.

Zobaczył buldoga, który wstał z wysiłkiem, utykając, podszedł na krawędź werandy, i obnażył zęby.

- Zajęliśmy pozycje - w słuchawkach rozległ się głos Chase'a. Luke zbliżył się ostrożnie.

- Spokojnie, piesku - rzekł łagodnie. Zwierzę zaczęło się wycofywać krok po kroku; najwyraźniej nie zamierzało atakować. - Jesteśmy gotowi, Chase...

- No to ruszamy.

Luke otworzył kopniakiem tylne drzwi, po czym zakrył ręką usta, czując odrażający smród.

- O mój Boże.

- Policja, stać! - zawołał Chase przy drzwiach frontowych, ale chata była pusta.

Luke włączył światło i od razu dostrzegł źródło paskudnego odoru. Na kuchennym blacie leżały trzy gnijące ryby. Jedna wyglądała tak, jakby była w trakcie oprawiania. Długi, cienki nóż do filetowania leżał na podłodze, pokryty zakrzepłą krwią.

- W sypialni pusto - zawołała Talia. Chase spojrzał na ryby i skrzywił się.

- Przynajmniej to nie Borenson.

- Wygląda na to, że ktoś mu przeszkodził - powiedział Luke. - Szukali czegoś.

Szuflady w pokoju dziennym były powyciągane, a ich zawartość walała się dookoła. Sofa została pocięta i wybebeszona. Książki zrzucano z półek, obrazy zdjęto ze ścian, a szkło w ramach potłuczono.

- Hej, Papa! - zawołała Talia z sypialni. - Chodź tutaj.

Luke wszedł do pokoju. Łóżko było pokryte krwią, która wsiąkła w pościel.

- Musieli kogoś nieźle zranić.

Tutaj także powyciągano szuflady, rozrzucając ich zawartość. Na podłodze koło łóżka leżało oprawione zdjęcie. Widniał na nim starszy mężczyzna z wędką w dłoni i psem u boku.

- To ten buldog, który jest na dworze - stwierdził Luke. - A ten staruszek to Borenson.

- Talio, zostań tutaj z ekipą kryminologiczną - powiedział Chase. - My przeczesujemy okolicę i sprawdzimy, czy Borensona nie porzucili gdzieś koło domu, a potem pogadamy z ludźmi z miasteczka. Może ktoś coś widział. Dziewczyn tu nie ma, nie wygląda

też na to, żeby były tutaj wcześniej. Ale najwyraźniej ktoś nie chciał, żeby Borenson zaczął mówić.

Usłyszeli skomlenie i spojrzeli w dół. Buldog położył się u stóp Luke'a.

- Co jest z tym psem? - spytała Talia.

- Znajdź mu coś do jedzenia - odparł Luke. - A potem niech ci z laboratorium wsadzą go do klatki i zawiozą do Atlanty. Może ugryzł jakiegoś podejrzanego. - Przykucnął i podrapał buldoga za uchem. - Dobry piesek. Czekał na swojego pana. Grzeczna suka - poprawił się i wzdrygnął, bo w jego kieszeni zabręczała komórka.

Serce zabiło mu szybciej, kiedy zobaczył, kto dzwoni.

- Alex, co się stało?

- Z Danielem w porządku - uspokoiła go. - Ale trzy minuty temu zabrali Beardsleya na oddział intensywnej terapii.

- Beardsley jest na OIOM-ie - powiedział Luke do reszty. - Co się stało? Był w stanie stabilnym.

- Personel nic nie mówi, ale jest obok mnie ojciec Ryana, który twierdził, że zmienili mu kroplówkę i minutę później dostał konwulsji.

- Cholera - zaklął Luke. - Myślisz, że ktoś próbował go otruć?

- Nie wiem - odparła Alex - ale jego ojciec powiedział, że Ryan przypomniał sobie coś ważnego. Dzwonił na twoją komórkę, ale odpowiadała mu poczta głosowa.

Luke zacisnął szczękę. Zasnął w samochodzie i przegapił telefon Beardsleya. Cholera!

- Jestem daleko, a dojazd zabrałby mi półtorej godziny. Zadzwoń do Pete'a Haywooda, żeby przyjechał. To jeden z ludzi Chase'a.

- Poczekam przy Danielu i będę miała oko na Beardsleya. Powiedz agentowi Haywoodowi, żeby wziął tę torebkę z kroplówką do analizy. Powinieneś się pospieszyć, Luke. Ojciec Beardsleya powiedział, że Ryan miał zapaść. Musieli go reanimować.

- Przyjadę. - Zakończył połączenie. - Wygląda na to, że ktoś próbował zabić Beardsleya.

- W szpitalu? - spytał Chase z niedowierzaniem.

- Tak - potwierdził Luke. - Muszę wracać.

- Wracajcie obaj - powiedziała Talia. - Zajmę się tu wszystkim, a o świcie zacznę szukać sąsiadów. Nie przejmujcie się. Poradzimy sobie.

- Dzięki. - Luke ruszył do drzwi, a suką podążyła za nim. - Zostań, mała - rzekł stanowczo.

Zwierzę posłuchało, choć widać było, że jest gotowe na każde wezwanie.

- Psem też się zajmę - zapewniła Talia.

W samochodzie Chase'a Luke osunął się na fotel.

- To się nigdy nie skończy. - Skrzywił się. - A poza tym śmierdzą.
- Lekki zapach potu, dymu i gnijącej ryby. Babki to uwielbiają. Luke parsknął śmiechem.

- Żadna kobieta nie podejdzie do mnie bliżej niż na kilometr. - Z wyjątkiem Susanah, pomyślał. Ona zbliżyła się na kilka centymetrów. Wciąż pamiętał, jak pachniała. Świeżo i słodko. - Zadzwoń do Pete'a. Wciąż mamy strażnika na oddziale intensywnej opieki. Wyślę też kogoś, żeby czuwał przed pokojem Bailey. Cholera, miałem nadzieję, że to już koniec. Ale minęło dziesięć godzin, a my wciąż nie wiemy, gdzie są te dziewczyny.

- Wspólnik Granville'a nadal pociąga za sznurki - rzekł Chase cicho. Luke spoglądał gniewnie na mijane drzewa.

- Cholernie mnie męczy rola jego marionetki.

- Powiedz mi - rzekł Charles spokojnie, choć wściekłość aż się w nim gotowała. Jego dłonie nadal pewnie trzymały skalpel, który dostał od Toby'ego Granville'a na ostatnią Gwiazdkę. Posiadanie dobrych narzędzi było ważne. - Powiedz mi, do czego pasuje.

Sędzia Borenson pokręcił głową.

- Nie.

- Jesteś upartym starcem. Będę musiał ciąć głębiej i może zacznę odcinać ci różne części, które pewnie chciałbyś zatrzymać. Wiem, że ten klucz pasuje do skrytki depozytowej. I wiem, że Toby dał ci w chacie niezły wycisk, a ty wciąż nie chcesz gadać. Jestem gotów zrobić coś o wiele gorszego. - Charles naciął głęboko brzuch Borensona, a ten krzyknął z bólu. - Podaj nazwę banku i miasta. Numer skrytki też by się przydał.

Borenson zamknął oczy.

- Bank Piekielny. Nigdy go nie znajdziecie.

- To zła odpowiedź, panie sędzio. Potrzebne mi zeznanie, które przygotowałeś. No wiesz, to, które mogłoby zniszczyć nas obu, gdyby wpadło w niepowołane ręce.

- Gównu ode mnie dostaniecie. Charles zacisnął usta.

- Lubisz, jak cię boli, sędzio?

Borenson jęknął, gdy ostrze sięgnęło głębiej, ale nie powiedział nic więcej.

Charles westchnął.

- Zastanawiam się, jak długo wytrzymasz.

- Zapytaj swoją kryształową kulę - wykrztusił Borenson przez zaciśnięte zęby. - Ja ci tego nie powiem.

Charles roześmiał się.

- Ona mówi, że do południa w niedzielę będziesz martwy. A ja już się postaram, żeby przepowiednia się spełniła, tak jak zawsze. Niektórzy mówią, że oszukuję, ale ja nazywam to po prostu wykorzystywaniem swoich atutów. Możesz umrzeć szybko i bezbo-

leśnie albo bardzo powoli. Wybór należy do ciebie. Powiedz mi to, co chcę usłyszeć, a dam ci spokój. Odzyskasz spokój, choć zdawało ci się, że tak się stanie dopiero wtedy, kiedy albo ja zginę, albo umrze Arthur Vartanian, prawda? Zawarłeś układ z diabłem, sędzio. Darmowa lekcja, jaka z tego wynika: diabeł zawsze wygrywa.

Susannah wstała z łóżka i zapaliła światło. Sen nie nadchodził, ale już dawno nauczyła się z tym nie walczyć. Usiadła przy biurku i włączyła laptop.

Miała do napisania kilka raportów, lecz tej nocy wydawało się to niemożliwe.

Pomyślała o Luke'u Papadopoulosie i zastanawiała się, co znalazł w chacie Borensona. Gdyby natknął się tam na zaginione dziewczyny, zadzwoniłby do niej - tego była pewna.

Przypomniała sobie, jak na nią patrzył, kiedy wychodził tego wieczoru, i dreszcz przebiegł jej po plecach. Był silnym mężczyzną. Co do tego również nie miała wątpliwości.

Nie była natomiast pewna swoich uczuć.

Ale nie to musiała rozstrzygnąć tej nocy. Luke był daleko i zajmował się ważnymi sprawami, a ona siedziała beczynn timer. Wyciągnęła z teczki komórkę i przyjrzała się zdjęciu dziewczyny, której imię zaczynało się na literę M.

Jak masz na imię, dziewczyno? - zastanawiała się. Mary, Maxine, Mona? Gdyby tylko znała drugą lub trzecią literę. Czy ta bezimienna ofiara uciekła z domu? Została porwana? Susannah wiedziała, że dziewczynie zdjęto odciski palców, gdy tylko trafiła do szpitala, ale jej tożsamość wciąż pozostawała tajemnicą.

Czy ktoś na ciebie czeka, M? Zanim wsadzili ją do śmigłowca, pytała o mamę, więc ma przynajmniej jedno z rodziców, które pewnie ją kocha.

Susannah weszła na stronę internetową poświęconą zaginionym dzieciom i przejrzała bazę danych nastolatek. Były ich setki. Skupiła się na imionach zaczynających się na M. Z ciężkim sercem przyglądała się uważnie każdej twarzy. Wszystkie te dziewczyny zaginęły.

Bez względu na to, jak źle było w domu, Susannah nigdy go nie opuściła. A przynajmniej nie na dłużej niż jedną noc, tę noc, kiedy Simon i jego przyjaciele ją... Nadal trudno było jej o tym mówić, a nawet myśleć. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie łatwiej.

Obejrzała ostatnie zdjęcie i westchnęła. Nie znalazła tu tej, której szukała. Większość dziewcząt umieszczonych w bazie danych uznano za osoby, które prawdopodobnie uciekły z domu, a dochodzenia w sprawie uciekinierek nie przebiegały tak samo jak poszukiwania uprowadzonych. To smutne, ale tak wyglądała rzeczywistość w sytuacji, kiedy policja miała napięty budżet i przepracowaną kadrę.

Susannah zastanawiała się, czy ta dziewczyna o nieznanym nazwisku uciekła z domu, była w jakiś sposób zagrożona, czy też stało się z nią coś innego. W internecie były liczne strony poświęcone nastoletnim uciekinierkom. Niektóre zawierały zdjęcia. Susannah weszła na jedną z nich i ponownie westchnęła. Mnóstwo fotografii. Wszystkie opisane osobno. Nie było możliwości wyszukiwania w oparciu o wiek lub imię zaczynające się na konkretną literę. Usadowiła się wygodniej i zaczęła po kolei otwierać pliki przy każdym zdjęciu.

Zapowiadała się długa noc.

Charlotte, Karolina Północna, sobota, 3 lutego, godzina 3.15

Rocky zwolniła i wjechała na parking, zadowolona, że ma niemal fotograficzną pamięć. Nie chciała wracać do Ridgefield House, by zajrzeć do swoich notatek. Nie miała ochoty spotkać się z Bobby do czasu, aż wszystko naprawi. Na szczęście potrafiła przypomnieć sobie fakty dotyczące dziewczyn, które wywabiła z łóżek w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy.

Zdobycz z tego wieczoru miała służyć podwójnemu celowi - Bobby dostanie nową blondynkę, a Monica Cassidy będzie milczeć, aż przeniosą ją z pilnie strzeżonego oddziału intensywnej opieki medycznej, wtedy zaś Rocky skłoni pielęgniarkę do zabicia dziewczyny.

Nie wiedziała jeszcze, jak to zrobi, ale zajmie się tym, kiedy przyjdzie pora.

Zdążyła na czas, lecz po czterogodzinnej jeździe nie czuła się gotowa działać samotnie. Zdjęła rękę z kierownicy, by pomacać kieszeń. Oczywiście jej pistolet wciąż tam tkwił. Ale dobrze było się upewnić.

Robiła takie rzeczy już wcześniej. Tyle że nie sama. Dwa razy towarzyszyła „na łowach” Mansfieldowi, lecz to on wykonywał całą robotę. Ona zajmowała się tylko prowadzeniem samochodu.

Tego wieczoru działała solo. Och, Boże, ona tu jest. Nastoletnia dziewczyna wyłoniła się z cienia i stała, czekając. Znakomicie. Tylko nie spieprz teraz sprawy.

Ridgefield House, sobota, 3 lutego, godzina 3.15

Dzwonek telefonu wyrwał Bobby ze snu. Zamrugwała kilka razy, by skupić wzrok i zobaczyć, kto ją budzi. Był to Paul.

- Tak? Gdzie jesteś, do diabła?

- Na parkingu całodobowej restauracji w Charlotte w Karolinie Północnej.
- Po co tam pojechałeś?
- Bo Rocky się tu zatrzymała. Siedzi w swoim wozie z wyłączonymi światłami i czeka. Ktoś do niej podchodzi.
- Widzą cię? Prychnął drwiąco.
- Przecież wiesz. Nikt mnie nie widzi, kiedy tego nie chcę. To dziewczyna, mniej więcej piętnastoletnia. Idzie w stronę samochodu Rocky.
- Blondynka?
- Co?
- Czy ma jasne włosy? - Bobby wypowiedziała wyraźnie każde słowo.
- Na to wygląda. Bobby ziewnęła.
- W takim razie chodzi o interesy. Rocky mówiła, że ma parę blondynek gotowych do zwinięcia. Powiedziałam jej, że załatwię odbiór, ale zdaje się, że próbuje coś sama kombinować. Wolalabym, żeby zajęła się tamtą pielęgniarką. Porachuję się z nią, kiedy wróci.
- W takim razie jadę do domu.
- Nie jedź do domu. Mam jeszcze jedną robotę. Paul westchnął.
- Jestem zmęczony.
- Nie jęcz. Chcę, żeby jutro rano znaleźli ciało.
- Kogoś, kogo znam? - spytał Paul.
- Tak, siostrę tej pielęgniarki. Ma to wyglądać, jakby broniła się przed jakimś bandytą. Ale postaraj się, żeby ją znaleźli. Wysłałam adres i zdjęcie na twoją skrzynkę pocztową w hotmailu. Powinna wyjść z domu około ósmej. Bądź tam trochę wcześniej. Daj jej do wiwatu.
- Bobby dostaje piany - stwierdził Paul rozbawionym tonem.
- Oczywiście. Zawsze dotrzymuję obietnic. Ta pielęgniarka będzie o wiele chętniej wypełniać moje polecenia w przyszłości. A jak Rocky sobie radzi z blondynką na parkingu?
- Nieźle. Dziewczyna trochę się opierała, ale twoje cudowne dziecko było na to przygotowane. Zwaliła ją z nóg świetnym prawym sierpowym. Nic dziwnego, że nazywasz ją Rocky.
- Bobby zaśmiała się cicho.
- Wcale nie dlatego tak ją nazywam. Dzięki, Paul. Dopilnuję, żebyś został dobrze wynagrodzony za ten wieczór.
- Zawsze do usług, Bobby.
- Puść mi esemesa, kiedy siostra będzie martwa. Muszę wysłać coś specjalnego tej pielęgniarce.

Leo zatrzymał samochód przed bramą parkingu siedziby GBI.

- Jesteśmy na miejscu.

Luke otworzył oczy, pokrzepiony krótkim odpoczynkiem. Podał bratu swoją legitymację, a ten przesunął ją przez czytnik i brama się otworzyła.

- Dzięki, stary, że mnie podwiozłeś. Leo wzruszył ramionami.

- Nie miałem nic innego do roboty.

Luke stęknął, siadając, i przeciągnął napiętą szyję.

- To smutne - rzekł.

- Czyżby? - Leo przypatrywał mu się zmęczonymi oczami. - Dobrze się czujesz?

- Jakoś ciągnę. - Luke nie miał zamiaru okłamywać brata. Nie potrafiłby, nawet gdyby próbował.

- No cóż, przynajmniej nie śmierdzisz już jak pies, który wytarzał się w zgniłej rybie.

- No właśnie. I dzięki za śniadanie. - Luke nie był zaskoczony, widząc brata w swoim salonie po powrocie do mieszkania. Leo oglądał konferencję prasową Chase'a i wiedział, że Luke lada moment zjawi się w domu, głodny i zmęczony. A Leo był dobry w odgadywaniu potrzeb innych. Szkoda tylko, że nie potrafił tak samo dobrze dbać o siebie.

- Masz szczęście. Te dwa jajka były jedyną rzeczą w twojej lodówce, która nadawała się do jedzenia.

- Nie robiłem zakupów od jakiegoś czasu. - Od chwili, gdy jego zespół natknął się na ślad tych trojga dzieci, do których spóźnili się w ostatni wtorek. - Mleko chyba też jest przeterminowane.

- Zsiadło się. Wpadnę i przyniosę ci trochę chleba i mleka, kiedy zabiorę twój garnitur do Johnny'ego. Nabiera wprawy w ratowaniu twoich ubrań.

Ich kuzyn Johnny miał pralnię chemiczną.

- Powiedz mu, żeby nie krochmalił tak bardzo moich koszul. Ostatnim razem były takie sztywne, że niemal starły mi skórę na karku.

Leo uśmiechnął się.

- Zrobił to celowo.

- Wiem. - Luke chciał się poruszyć, ale ciało odmówiło mu posłuszeństwa. - Jestem potwornie zmęczony.

- Widzę - odparł Leo cicho.

Luke wiedział, że jego brat rozumie, że to nie tylko znużenie fizyczne.

- Te dziewczyny mogą być wszędzie. Bóg jeden wie, co oni im zrobili.

- Nie możesz tak myśleć - rzucił Leo szorstko. - Nie możesz myśleć o nich tak, jak o Stacie i Min. A więc przestań.

Właśnie z nimi mu się kojarzyły. Z ładnymi, uśmiechniętymi córkami jego siostry Demi.

- Wiem, wiem. Muszę skupić się na celu. Tyle że...
- Jesteś człowiekiem - powiedział Leo. - Widzisz ich twarze. I to cię męczy. „I codziennie jakaś część ciebie umiera”. Susannah Vartanian miała rację.
- Całe mnóstwo twarzy. Widzę je przez cały czas. Czasami wydaje mi się, że tracę

rozum.

- Wcale nie tracisz. Ale na razie zapomnij, że jesteś człowiekiem. Jeśli będziesz myślał o nich i o ich cierpieniu, stracisz wigor i na nic im się nie przydasz.

- Jak to zrobić? Jak przestać o nich myśleć? Leo uśmiechnął się smutno.
- Nie mam pojęcia. Mówili nam to kiedyś, ale ja nigdy się tego nie nauczyłem.

Luke pomyślał o swoim bracie w pełnym rynsztunku bojowym poszukującym buntowników w Bagdadzie. To był bardzo trudny okres dla mamy i całej rodziny. Codziennie czekali na wiadomość, że Leo znalazł się wśród szczęśliwców i przetrwał kolejny dzień. Cieszyli się, kiedy wreszcie wrócił do domu. Ale wystarczyło spojrzeć w oczy Leo, by wiedzieć, że wcale mu się nie poszczęściło. Coś w nim umarło, ale nigdy o tym nie rozmawiał, nawet z Lukiem.

Leo zamknął oczy.

- Myślisz czasem, żeby odejść z GBI?
- Codziennie. Ale nie odchodzę. Leo popukał lekko w kierownicę.
- I dzięki temu jesteś lepszym człowiekiem.
- Leo.
- Przestań. Nie dzisiaj. Nie musisz moich problemów dorzucać do własnych. -

Zmienił temat. - A co z nią?

- Z kim?
- Z Susannah Vartanian. - Leo zerknął na Luke'a. - Przecież widziałem, jak na nią patrzyłeś na pogrzebie jej rodziców. Chyba nie sądziłeś, że uda ci się coś przed mną ukryć?

Nie sądził.

- Ona... - Czuje się dobrze. Była to prawda, jeśli chodziło o jej stan fizyczny. Susannah Vartanian wyglądała dobrze. Nawet za dobrze. Ale psychicznie nie mogła być chyba w gorszej kondycji. - Jakoś się trzyma.

- Dlaczego tu przyjechała?
- Nie mogę ci powiedzieć. Przykro mi.

Leo zamyślił się, a potem pokręcił głową.

- Nie, to niemożliwe. Luke westchnął.

- Co takiego?

- Na konferencji prasowej twój szef powiedział, że rozpracowaliście dziś sprawę tamtych gwałtów sprzed trzynastu lat. Ona była jedną z ofiar?

- Nie mogę ci powiedzieć - powtórzył Luke, ale nie zaprzeczając sugestii brata, potwierdził ją i obaj zdawali sobie z tego sprawę. - Przykro mi.

- W porządku. A jak ty się masz? Luke zamrugał.

- Ja?

- Interesujesz się kobietą, która dźwiga ciężkie brzemię. Poradzisz sobie z tym?

- Przed tym czy po tym, co zamierzam zrobić z tym sukinsynem, który wciąż chodzi po ziemi?

- Otworzę strzelnicę, jeśli chcesz sobie postrzelać do papierowych sylwetek.

- Dzięki. - Luke zniszczył już wiele papierowych celów na strzelnicy Leo. Nieraz tylko to pozwalało mu utrzymać wściekłość na wodzy. - Ale może nie teraz. Mam sporo spraw do załatwienia.

Pierwszą była wizyta w szpitalu, w którym leżał Ryan Beardsley, na szczęście w stanie stabilnym. Luke musiał też pojechać do kostnicy, żeby zobaczyć wyniki autopsji przed naradą o ósmej.

- Parę rzeczy przemawia na twoją korzyść - powiedział Leo, kiedy Luke wysiadł z samochodu.

- Jakich? - spytał Luke, sięgając na tylne siedzenie po torbę z czystymi ubraniami.

Leo uśmiechnął się.

- Mama ją lubi. A poza tym ona jest katoliczką. Cała reszta to tylko szczegóły.

Luke wrzucił torbę do bagażnika swojego auta i zaśmiał się.

- Dzięki. Teraz mi lepiej.

Dutton, sobota, 3 lutego, godzina 4.40

Monica się obudziła. Było ciemno i cicho. Próbowwała otworzyć oczy i... nie zdołała. Pomocy! Ratunku! Co się ze mną dzieje?

Jestem martwa. O mój Boże, umarłam. Mamo. Susannah.

- Doktorze! - rozległ się kobiecy głos.

Próbowwała zaczerpnąć powietrza, ale w jej gardle wciąż tkwiła rurka. Nie, nie jestem martwa, uświadomiła sobie. Leżę w szpitalu. To pielęgniarka. Ona mi pomoże.

- Co się dzieje? - rozległ się niższy głos. To lekarz. Lekarz!

Przestań. To prawdziwy doktor. Nie skrzywdzi cię, powtarzała w myślach. Mimo to jej tętno stało się szybkie jak uderzenia kopyt rozpędzonego dzikiego konia.

- Podskoczyło jej ciśnienie i puls.
- Uspokój ją. I zawołaj mnie, jeśli ciśnienie nie spadnie.

Nie mogę się poruszać. Nic nie widzę. Pomocy. Usłyszała szcęk narzędzi i poczuła lekkie ukłucie. Wysłuchajcie mnie. Wydawało jej się, że zawołała to głośno, ale krzyk rozległ się tylko w jej głowie. Susannah, gdzie jesteś?

Zaczęła odpływać i powoli się uspokajała. Wtedy usłyszała głos, niski i szorstki, tuż przy uchu. Męski czy kobiecy? Nie wiedziała.

- Nie umierasz. Dostałaś lekarstwo, które ma cię sparaliżować. Sparaliżować. O mój Boże! Usiłowała otworzyć oczy, żeby zobaczyć,

kto to mówi, ale nie mogła nic zrobić ani powiedzieć. O Boże!

- Ciii - zabrzmiał znowu głos. - Nie walcz z tym. Dadzą ci tylko więcej środka uspokajającego. A teraz mnie posłuchaj. Za kilka godzin lek przestanie działać. Będziesz mogła znowu się poruszać i mówić. Kiedy wrócą tu gliniarze, powiesz im, że nie pamiętasz nic, nawet swojego imienia. Nie powiesz ani słowa o swoim pobycie w bunkrze. Mają twoją siostrę, więc jeśli coś piśniesz, zrobią jej to, co zrobili tobie.

Czuła ciepły oddech przy uchu.

- Nie mów nic, a twoja siostra będzie wolna. Jeśli powiesz jedno słowo, zostanie ich dziwką tak jak ty nią byłaś. Teraz wszystko zależy od ciebie.

Ciepło znikło i Monica usłyszała odgłos oddalających się kroków. A potem poczuła wilgoć na skroniach, gdy łzy spłynęły jej z oczu.

Genie. Dopadli Genie. Ona ma tylko czternaście lat. Och, Boże, co mam robić?

Atlanta, sobota, 3 lutego, godzina 4.50

Pete Haywood czekał w szpitalnym holu, gdy przyszedł Luke.

- Jaka sytuacja?
- Beardsley się obudził, jest przytomny i pyta o „Pape”. Myśleliśmy, że chodzi mu o ojca, ale potem uświadomiliśmy sobie, że pyta o ciebie. Nie chciał ze mną rozmawiać.

- Co z kroplówką?

- Wysłaliśmy ją do laboratorium, ale jeszcze nie miałem żadnych informacji. Lekarze zrobili mu tomografie komputerową i analizę toksykologiczną. Tomografia nic nie wykazała, a wyników analizy jeszcze nie znamy. Rozmawiałem z pielęgniarką, która zmieniała kroplówkę. Załamała się. Wszyscy lekarze i pielęgniarki z oddziału za nią ręcą, ale kazałem Leigh na wszelki wypadek przejrzeć jej finanse. Nie sądzę, żeby ona to zrobiła. Pielęgniarki przygotowują kroplówki z dwugodzinnym wyprzedzeniem, więc każdy, kto wchodził do tego pomieszczenia, miał do nich dostęp.

- No to ładnie.

- Nie jest tak źle. W szpitalu działa system obserwacyjny. Widzisz te niebieskie anteny? - Pete wskazał coś, co wyglądało jak dwa błękitne stalaktyty zwisające z sufitu przed sklepem z prezentami. - Są wszędzie. Pracownicy noszą plakietki, dzięki którym można ich zlokalizować przez całą dobę.

- Coś jak u Wielkiego Brata - mruknął Luke i Pete zachichotał.

- Ochrona szpitala przygotowuje listę wszystkich osób, które znajdowały się w tym rejonie. Powinna być gotowa lada moment. Lekarz, który zajął się Beardsleyem, chyba zorientował się, że coś jest nie tak, i zabrał go na oddział intensywnej opieki, bo wiedział, że jest tam strażnik. Nikt tego nie potwierdza, ale myślę, że administracja szpitala zdaje sobie sprawę z odpowiedzialności.

- Dowiemy się więcej, kiedy zbadają tę kroplówkę. Dokąd się wybierasz?

- Dostałem właśnie wiadomość od śledczego badającego przyczyny pożaru w domu Granville'a. Znalazł zapalnik bomby. Skoro ty jesteś tutaj, ja pojedę do Dutton. Wrócę na zebranie o ósmej.

Pete odszedł, a Luke pojechał windą na piętro, gdzie spotkał policjanta stanowego stojącego na straży.

- Papadopoulos - przedstawił się, pokazując odznakę.

- Marlow. Właśnie dzwoniłem do Haywooda. Powiedział, że jest pan w drodze.

- Co się stało?

- Ta wasza bezimienna ofiara miała jakiś atak. Podskoczyło jej ciśnienie i dali jej środek na uspokojenie. Lekarz mówi, że takie rzeczy zdarzają się po operacji, ale biorąc pod uwagę stan Beardsleya, pomyślałem, że powinniście o tym wiedzieć.

- Dzięki.

Przy drzwiach powitała go Alex.

- Ryan Beardsley wciąż o ciebie pyta.

- Słyszałem. Powiedział coś?

- Nie. Czeka na ciebie.

- Co z dziewczyną?

- Była bardzo pobudzona. Czasem tak się dzieje, kiedy pacjent budzi się po operacji w obcym miejscu. Kto wie, może śniły jej się koszmary o bunkrze? Mnie trochę męczyły. Teraz odpoczywa. Jej pielęgniarka to ta wysoka kobieta z siwiejącymi włosami. Nazywa się Ella. Może powie ci też coś więcej o Beardsleyu.

- Dzięki. Jak tam Daniel?

- Wciąż śpi, ale jego stan jest stabilny. Zadzwoń do ciebie, kiedy tylko się obudzi.

Przechodząc obok, Luke zerknął na oddzielną parawanem część sali, gdzie leżał Daniel. Zastanawiał się, co jego przyjaciel wie o sędzim Bo-rensonie, jeśli w ogóle wie cokolwiek. Wątpił, czy znajdą staruszkę żywego.

Beardsley na szczęście wciąż żył. Luke podszedł do wysokiej pielęgniarki o imieniu Ella. Nie było jej na dyżurze, kiedy on i Susannah rozmawiali z dziewczyną ocalałą z bunkra.

- Nazywam się Papadopoulos. Jestem agentem specjalnym. Przyszedłem zobaczyć się z Ryanem Beardsleyem. W jakim jest stanie?

- Stabilnym. Zespół reanimacyjny szybko do niego dotarł i teraz pacjent jest w nie-
złej formie. Tutaj przeniesiono go na obserwację.

I dlatego, że mamy tu policjanta.

- Czy to znaczy, że potem wróci na zwykły oddział? Ella skinęła głową.

- Tak, ale zanim go przeniesiemy, powiadomimy was o tym.

- Dziękuję. Proszę do mnie zadzwonić, jeśli stan któregoś z naszych pacjentów się zmieni.

Luke wszedł do przegrody Beardsleya.

- Ryan, to ja, Luke Papadopoulos. Słyszysz mnie? - Kapelan otworzył oczy i skinął głową. - Agent Haywood powiedział, że chcesz ze mną rozmawiać. Mogłeś pogadać z nim. Ufam mu.

- Nie znałem go - odparł Beardsley tak słabo, że Luke ledwie go słyszał. - Ktoś próbował mnie zabić. Pomyślałem, że najlepiej będzie, jak poczekam na ciebie.

Luke pochylił się niżej.

- Rozumiem. Więc co sobie przypomniałeś?

- Telefon, który Granville odebrał trzeciego dnia. Od kogoś, kto ma na imię Rocky.

- Rocky? - mruknął Luke. - Tak jak ten bokser?

- Tak. Rocky wydawał polecenia Granville'owi. Doktorek był z tego powodu bardzo niezadowolony.

Tętno Luke'a przyspieszyło. Nareszcie.

- Był niezadowolony, że musi przyjmować rozkazy od tego Rocky'ego?

- Tak. Złościło go to. Bił mnie jeszcze mocniej.

- Jakie polecenie wydał Rocky, że Granville'owi tak się nie spodobało?

- Nie wiem, ale kiedy odłożył telefon, powiedział, że nie będzie przyjmował rozkazów od takiego śmiecia.

- Okej. To się nam przyda, Ryan. Słyszałeś coś jeszcze? Twarz Beardsleya sposepniała.

- Tak. Pierwszego dnia, kiedy tam byłem, obudziłem się i usłyszałem hałas za ścianą. Od strony zewnętrznej, nie z korytarza. Brzmiało to jak kopanie. Zagrzebywanie czegoś.

Luke poczuł mdłości.

- Czegoś czy kogoś?

- Raczej kogoś. Jeden z tych facetów nazwał ją Becky.

- Cholera. Coś jeszcze?

- Nie. To wszystko, co pamiętam.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić? Przynieść ci coś?

Beardsley nie odpowiedział od razu. Dopiero, gdy Luke'owi wydawało się, że znowu zasnął, mruknął:

- Wielkiego hamburgera. Jestem tak głodny, że zjadłbym całego prosiaka.

- Kiedy stąd wyjdiesz, przyniosę ci wszystko, co możesz jeść. - Wstał, żeby odejść, ale Beardsley chwycił go za rękę.

- Czy z Bailey wszystko w porządku? - spytał, znowu poważniejąc.

- Tak. Postawiłem strażnika przy jej drzwiach. Nie martw się. - Uścisnął dłoń kapełana i wrócił do stanowiska pielęgniarek. - On ma ochotę na hamburgera.

Ella skinęła głową.

- To zawsze dobry znak, kiedy pacjenci zaczynają domagać się jedzenia.

- Czy może mi pani powiedzieć, gdzie znajdę szefa ochrony?

Gdy ruszył we wskazanym kierunku, w jego kieszeni zabrzęczała komórka.

- Tu Chase. Zidentyfikowaliśmy jedną z zabitych. To Kasey Knight. Szesnaście lat, metr siedemdziesiąt, rude włosy. - Zawahał się. - To ta, która ważyła zaledwie trzydzieści sześć kilo.

Ta, nad którą płakał Malcolm Zuckerman; której rude włosy zostawały w jego dłoniach. Luke odchrząknął.

- Czy jej rodzice już wiedzą?

- Tak. Właśnie rozmawiałem przez telefon z ojcem. - Luke usłyszał, jak Chase nabiera powietrza. - Poprosiłem, żeby przynieśli jej szczotkę do włosów albo jakiś inny przedmiot, z którego można pobrać DNA. Chcą... ją zobaczyć.

- Boże, Chase. Niech tego nie robią. Naprawdę nie powinni.

- To pozwoli im zamknąć sprawę - odparł Chase. - Wiesz o tym równie dobrze, jak ja. Nie uwierzą, że ich córka nie żyje, dopóki sami jej nie zobaczą. Nie było jej przez dwa lata, Luke.

Dwa lata czekania i udreki. Nadziei na szczęśliwe zakończenie i wyobrażenia sobie tego, co najgorsze.

- Jadę do kostnicy. Zapytam Felicity Berg, czy może coś zrobić, żeby zwłoki tej dziewczyny wyglądały lepiej. Mam też nowe wieści. Prawdopodobnie jest jeszcze jedna zabita.

- O Chryste - mruknął Chase znużonym głosem. - Kto to taki?

- Znam tylko jej imię: Becky. Niech ekipa Eda sprawdzi, czy nie zakopano jakiegoś ciała niedaleko celi, w której przetrzymywano Beardsleya.

Chase westchnął ciężko.

- Tylko jednego?

- Sam się nad tym zastanawiam. Niech zbadają teren, zanim zaczną kopać.

- O rany, z każdą godziną robi się coraz gorzej. - W głosie Chase'a zabrzmiało przeżenie i żal.

- A co się stało?

- Zach Granger nie żyje.

Luke poczuł, jak powietrze uchodzi mu z płuc.

- Przecież był tylko ranny w oko.

- Około godziny temu dostał krwotoku mózgu. Żona była przy nim.

- Ale... byłem już w szpitalu. Nikt mi nie powiedział.

- Nie chcemy tego rozgłaszać.

- Czy Pete wie?

- Jeszcze nie. Nie mów mu. Ja to zrobię.

- Jest w drodze na spotkanie ze śledczym prowadzącym dochodzenie w sprawie tego pożaru w Dutton.

- Wolałbym nigdy nie usłyszeć o tym przeklętym mieście. - Chase wypowiedział te słowa z odrazą.

- Przystąpiłeś do klubu, którego liczebność stale rośnie. Ale mamy coś, co prowadzi do współnika Granville'a. Beardsley słyszał, jak Granville rozmawiał z jakimś gościem o imieniu Rocky.

- Niewiele nam to mówi - odparł Chase z goryczą.

- Ale przynajmniej wiemy więcej niż godzinę temu. Do zobaczenia o ósmej. Jadę do kostnicy.

Atlanta, sobota, 3 lutego, godzina 6.00

Proszę pani? Jesteśmy na miejscu. Proszę pani? To już lotnisko.

Susannah obudziła się. A więc w końcu udało jej się zasnąć. Szkoda tylko, że na tylnym siedzeniu taksówki, a nie w hotelowym łóżku.

- Przepraszam, nie spałam w nocy. - Zapłaciła kierowcy i otworzyła drzwi. - Dziękuję.

- Nie ma pani bagażu?

- Nie, właściwie jestem tu po to, żeby wypożyczyć samochód.

- Będzie pani musiała podjechać do któregoś z punktów wynajmu.

- Nie pomyślałam o tym.

Opuszczając hotel, miała jeden cel: uciec od setek twarzy, które oglądała w komputerze prawie przez trzy godziny. Ale nie było od nich ucieczki. Wciąż je widziała, niektóre szczęśliwe, inne zbolące.

Wszystkie te osoby przepadły. Co za strata potencjału i nadziei. Marnotrawienie życia.

Porównywała te twarze z twarzą bezimiennej ofiary, której imię zaczynało się na M, ale w pewnym momencie jej umysł zaczął błędzić i uświadomiła sobie, że na każdym zdjęciu widzi Darcy Williams.

Roztrzęsiona odeszła od komputera. Musiała odpocząć i potrzebowała samochodu, jeśli miała jechać do Dutton na pogrzeb Sheili Cunningham. Dlatego się tu znalazła.

- Mogę panią zawieźć - zaproponował taksówkarz. Skinęła głową i zamknęła drzwi.

- Dziękuję.

Taksówkarz milczał po drodze do punktu wynajmu, kiedy jednak się zatrzymał, westchnął głośno i rzekł:

- To nie moja sprawa, ale wydaje mi się, że powinna pani o tym wiedzieć. Ktoś za nami jedzie od chwili, gdy wsiadła pani przed hotelem.

Ogarnęło ją rozdrażnienie. Czyżby kolejny dziennikarz?

- Jaki to samochód?

- Osobowy, czarny, z przyciemnionymi szybami.

- Cóż za oryginalność - rzuciła cierpko, a taksówkarz zerknął w lusterko wsteczne.

- Pomyślałem... że może pani przed kimś ucieka. Tylko przed sobą.

- Nie sądzę, żeby to był ktoś groźny. Pewnie jakiś dziennikarz.

Taksówkarz spojrział na nią, przyjmując pieniądze.

- Czy jest pani kimś znanym?
- Nie, ale dziękuję, że mnie pan ostrzegł. To miło z pana strony.
- Mam córkę w pani wieku. Dużo podróżuje służbowo i martwię się o nią. Susannah uśmiechnęła się.
- Szczęśliwa dziewczyna. Do widzenia panu.

Gdy odjechał, obejrzała się za siebie. Rzeczywiście jakiś czarny samochód przystanął z tyłu, na tyle blisko, że go dostrzegła. Już miała wejść do biura wypożyczalni, kiedy czarne auto ruszyło powoli. Cofnęła się o dwa kroki i przystanęła. Samochód się nie zatrzymał, niespiesznie toczył się dalej. Dreszcz przerażenia przebiegł jej po plecach.

Zobaczyła tablicę rejestracyjną z Georgii o numerach DRC119. Zapamiętała numery i zwróciła się ponownie w stronę biura wypożyczalni. Wtedy skojarzyła. Odwróciła się gwałtownie, lecz czarnego auta już nie było.

DRC. Jak Darcy. Mógł to być zbieg okoliczności, gdyby nie numer: jeden-dziewiętnaście. Sześć lat wcześniej dziewiętnastego stycznia znalazła martwą Darcy, pobitą i zakrwawioną. A przed trzynastoma laty, również dziewiętnastego stycznia, obudziła się w swojej kryjówce, oblana whisky, zgwałcona i przerażona.

Charles uśmiechnął się. Wreszcie przyciągnął jej uwagę. Susannah zawsze była wyniosła i przemądrzała. W każdym razie tak wszyscy myśleli. On jednak wiedział lepiej.

On dostrzegał w Susannah Vartanian jakąś ciemną stronę. Zawsze to widział. Poznawał to po spojrzeniu, zapachu, aurze. Wiele lat temu próbował ją zwabić, ale wyjechała, daleko, bardzo daleko. Przynajmniej tak jej się wydawało. Ale on wiedział lepiej.

Wiedział wszystko o małej Susannah Vartanian. Wszystko.

Czy ludzie nie byliby wstrząśnięci, gdyby wyszło na jaw to, co wiedział? Ciii... ciii, niegrzeczna dziewczyna. Zarechotał. Wkrótce ją dopadnie, w ten czy inny sposób. Ale najpierw trochę się z nią pobawi.

Począł, aż wyjechała z parkingu wypożyczalni, całkiem niezłym zresztą wozem. Nic tandetnego ani szpanerskiego nie pasowało do porządnej córki Vartaniana. Jechał za nią do Wal-Martu. Wyleciała z Nowego Jorku poprzedniego ranka bez żadnego bagażu, więc musiała wybrać się na małe zakupy.

Zatrzymując się w sporej odległości, zaczekał, aż Susannah zaparkuje samochód i zacznie iść w stronę sklepu, a potem znowu przejechał obok niej. Zaśmiał się głośno. Widok jej przerażonej twarzy był cudowny.

Charles zamierzał czekać jeszcze rok i dopiero wtedy prowokować ją tablicą rejestracyjną z literami DRC - równe siedem lat po śmierci Darcy, ale skoro Susannah znalazła się tutaj, byłby głupcem, gdyby zmarnował tę szansę. Kiedy była w sklepie, zaparkował samochód. Nie bał się, że Susannah wezwie policję. Nigdy nikomu nie powiedziała, co

stało się dziewiętnastego stycznia, zarówno za pierwszym, jak i za drugim razem. Otworzył pudełko z kości słoniowej i wyjął z niego jeden ze swoich największych skarbów. - Była to zwyczajna fotografia, ale dla niego znaczyła bardzo dużo. Była chwilą w czasie, która zastygła na zawsze.

Czarno-białe zdjęcie przedstawiało jego -młodszego o ładnych parę lat -i Phama. Już wtedy był stary i wiedział, że wkrótce umrze. On na szczęście nie wiedział, że Pham jest chory. Po prostu cieszył się życiem. Pham zawsze uważał, że należy cieszyć się chwilą, ale także podkreślał, jak ważna jest cierpliwość. Cierpliwy ptak zjada na śniadanie najtłustszego robaka.

Charles wyznawał zasadę, że trzeba kuć żelazo póki gorące, i po pewnym czasie Pham również uznał ją za pożyteczną. Niezwykła para - szanowany mnich buddyjski i jego ochroniarz z Zachodu - była przyjmowana wszędzie, gdzie tylko się znalazła. Bez względu na to, czy Pham przepowiadał przyszłość, przeprowadzał praktyki uzdrawiające czy po prostu zajmował się misterną sztuką szantażu, domy, w których się zatrzymywali, po ich odejściu stawały się o wiele biedniejsze.

Wciąż mi Ciebie brakuje, mój przyjacielu. Mój mistrzu. Zastanawiał się chwilę, co Pham by zrobił, gdyby on zginął pierwszy, tak jak Toby. Potem roześmiał się głośno. Pham potrafił być każdym i umiał robić wszystko, co w danej sytuacji przynosiło mu najwięcej pieniędzy. Zależało mu tylko na forsie.

Charles nie potrzebował już więcej pieniędzy, więc zabawiał się kosztem Susannah Vartanian dla czystej przyjemności. Pham by to pochwalił.

Atlanta, sobota, 3 lutego, godzina 6.15

Felicity Berg uniosła na chwilę wzrok, gdy Luke wszedł do sali, i ponownie zajęła się ciałem leżącym na stole.

- Zastanawiałam się, kiedy tu dotrzesz. Już miałam do Ciebie dzwonić.

- Byłem trochę zajęty - odparł Luke, niezrażony jej szorstkim tonem. Lubił Felicity, choć wiele osób uważało ją za chłodną. Pewnie sporo ludzi sądzi to samo o Susannah, ale kto tak naprawdę ją znał? - Co ustaliłaś?

- To jedno wielkie bagno - rzuciła i westchnęła. - Przepraszam. Jestem zmęczona. Wiem, że ty też.

- Tak, ale nie musiałem patrzeć na to przez całą noc - powiedział łagodnie. - Dobrze się czujesz, Felicity?

Przełknęła głośno.

- Nie - odparła. - Mamy pięć martwych kobiet, wszystkie w wieku od piętnastu do dwudziestu lat. Dwie z nich bardzo niedożywione. Ofiara numer dwa i ofiara numer pięć, ta na stole.

- Znamy już tożsamość ofiary numer pięć - oznajmił Luke. - To Kasey Knight. Rodzice chcą ją zidentyfikować. Powinni być około drugiej.

Felicity uniosła wzrok, wyraźnie przerażona.

- Chcą ją zobaczyć? Luke, nie pozwól im na to.

- Ależ pozwolę. - Podeszedł bliżej, przygotowując się do tego, co chce powiedzieć. Przełknął żółć, która podeszła mu do gardła. - Czy możesz... czy możesz coś zrobić, żeby wyglądała trochę lepiej?

- A czy ty możesz ich przekonać, żeby jej nie oglądali? Mogę zrobić analizę porównawczą DNA w ciągu doby, żeby potwierdzić tożsamość.

- Felicity, oni czekali dwa lata. Muszą ją zobaczyć.

Przez chwilę patrzyła na niego gniewnie, po czym zaniósła się szlochem.

- Niech to diabli, Luke! - Zrobiła krok do tyłu, wyciągając przed siebie ręce w zakrwawionych rękawiczkach. - Niech to diabli!

Założył parę gumowych rękawic, odsunął okulary ochronne Felicity na czoło i wytarł jej oczy chusteczką.

- Miałaś ciężką noc - powiedział cicho. - Może pójdziesz do domu i odpoczniesz, zanim przyjdą rodzice? Ona jest ostatnia, prawda?

- Tak. I już prawie z nią skończyłam. Załóż mi z powrotem okulary, dobrze?

Zrobił, o co prosiła, i odsunął się.

- Nikomu nie powiem - rzekł konspiracyjnym tonem, a ona zaśmiała się przez łzy.

- Zwykle panuję nad emocjami, ale to...

- Rozumiem cię. Czuję to samo. Co jeszcze ustaliłaś?

Felicity wyprostowała ramiona, a gdy się odezwała, jej głos znowu był opanowany.

- Ofiara numer pięć, Kasey Knight, miała rzeźaczkę i kiłę.

- Pozostałe nie chorowały wenerycznie?

- Nie. Ofiara numer jeden ma krwinki czerwone sierpowate, co może ułatwić jej identyfikację. Ofiara druga miała złamaną rękę w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Nie zrosła się zbyt dobrze. W drugiej ręce widać ślady pęknięcia kości promieniowej, które prawdopodobnie nastąpiło w tym samym czasie. Przypuszczam, że przyczyną była przemoc. - Znowu uniosła wzrok i ściągnęła brwi. - Te dwie wychudzone dziewczyny miały wysokie stężenie elektrolitów we krwi. I znalazłam ślady po igłach na ich rękach, jakby ktoś podawał im dożylnie płyny.

- Znaleźliśmy w bunkrze kroplówki, trochę strzykawek i igieł.

- Czyżby ten lekarz, który został zabity, Granville, leczył je?

- Może próbował postawić je na nogi, żeby nadawały się do sprzedania. Coś jeszcze?
- Tak. Najlepsze zostawiłam na koniec. Podejdz tu.

Luke zbliżył się, a Felicity ostrożnie przekreśliła ciało Kasey Knight na bok. Zmrużył oczy i pochylił się, by przyjrzeć się niewielkiej powierzchni w górnej części prawego biodra.

- Swastyka. - Podniósł wzrok. - Czy to jakieś piętno?

- Tak. Wszystkie je mają, w tym samym miejscu na prawym biodrze. Wielkości dziesięciocentówki.

Luke wyprostował się.

- Czyżby neonaziści?

- Na blacie leży torebka, która pomoże ci odpowiedzieć na to pytanie. Luke uniósł torebkę do światła. Zawierała sygnety z symbolem węża

Eskulapa.

- Skąd to?

- Został zdjęty z palca Granville'a.

- Granville był lekarzem, a to symbol medycyny. Co w tym dziwnego? Felicity uniosła brwi.

- To tylko przykrywka. Trey odkrył to przypadkiem, kiedy zdejmował doktorowi sygnety. Z boku jest mały przycisk.

Luke nacisnął go przez folię i wieczko sygnety otworzyło się, odsłaniając znak swastyki.

- A niech to. Czy tym wypalali to piętno?

- Nie sądzę. Ten wizerunek jest wyżłobiony zbyt głęboko i nie wygląda na to, żeby na powierzchni pozostały reszki komórek, ale zbadamy go dokładnie w laboratorium.

- Spróbuję się dowiedzieć, skąd pochodzi ten wzór. Felicity, przy tej identyfikacji może być ktoś inny.

- Ja będę. - Zakryła Kasey Knight prześcieradłem. - Do zobaczenia o drugiej.

Atlanta, sobota, 3 lutego, godzina 7.45

Susannah stała przy drzwiach gabinetu Luke'a, próbując zapanować nad drżeniem rąk. Kiedy czarny wóz zniknął, wynajęła samochód i pojechała do miejscowego Wal-Martu, żeby kupić przybory toaletowe. Potem wróciła do hotelu, z każdym kilometrem coraz bardziej roztrzęsiona, bo samochód o numerach DRC119 pojawił się ponownie na parkingu przy sklepie i cały czas ją śledził. Przejechał nawet przed hotelem, gdy wręczała kluczyki portierowi.

Przemknęło jej przez myśl, że może to Al Landers powiedział komuś o tamtej sprawie, ale natychmiast odrzuciła taką możliwość. Poza tym, skoro Al wiedział, że Susannah co roku odwiedza grób Darcy, ktoś inny również mógł to odkryć. Musiała ustalić, na kogo zarejestrowany był samochód.

Może Luke zdoła jej pomóc? Ufała mu. Zawołała więc z powrotem portiera, wzięła od niego kluczyki i przyjechała tutaj.

Gdy weszła, Luke uniósł głowę znad komputera. Zdziwienie, jakie pojawiło się w jego oczach, szybko zamieniło się w zainteresowanie. Przez moment patrzyli na siebie i Susannah poczuła, jak zasycha jej w ustach. Potem jego oczy jakby zgasły, przybierając grzeczny wyraz, i czar tamtej chwili minął.

- Susannah?

Pomyślała, że nie ma znaczenia, jakie uczucia wzbudza w niej jego zainteresowanie, bo ono i tak zniknie, jeśli Luke pozna prawdę. Wtedy by mnie już nie chciał. Ani żaden inny porządny mężczyzna.

- Spotkałam Leigh wracającą z przerwy i przyprowadziła mnie tutaj.

- Usiądź. - Przełożył stos teczek z krzesła na drugą stronę biurka. - Mam trochę czasu przed poranną naradą, więc nadganiał papierkową robotę, która została mi z wczoraj. Przez całą noc myślałem o tym, żeby do ciebie zadzwonić, ale zrobiło się zamieszanie. Dotarliśmy do chaty Borensona. Nie było go tam. Były za to ślady walki.

- Myślisz, że nie żyje? - spytała, siadając. Luke zgarbił się.

- Te ślady są sprzed co najmniej paru dni. Jeśli został ranny, jego sytuacja nie jest dobra. Musiał stracić dużo krwi.

- Sprzed paru dni, czyli zanim wyszła ta sprawa z Granville 'em. Wtedy wciąż szukaliście O'Briena.

- Wiem, ale Borenson był zamieszany w tę historię sprzed trzynastu lat, więc i teraz może mieć jakieś powiązania. - Luke ściągnął brwi. - A skoro mowa o powiązaniach, czy zauważyłaś może jakiś znak lub ślad na ciele tej dziewczyny, której nazwiska nie znamy?

- Jakiego rodzaju? Luke zawahał się.

- Na przykład swastykę.

Po raz drugi w ciągu dwóch godzin krew w żyłach Susannah zastygła.

- Nie. Kiedy widziałam ją na oddziale, była w koszuli nocnej i przykryta kołdrą. - Dobrze, zachowujesz spokój. - Ale wydaje mi się, że personel zauważyłby coś takiego.

- Pewnie tak, Tyle że wczoraj byli zajęci ratowaniem jej życia.

- Więc może zapytać ich dzisiaj?

- Ktoś... - Znowu się zawahał. - Ktoś próbował zabić Beardsleya zeszłej nocy.

- O mój Boże. Jesteś pewien?

- Mam wyniki analiz z laboratorium. Ktoś majstrował przy jego kroplówce.

- Jak on się czuje?

- Dobrze, Miał kilka trudnych chwil, ale doszedł do siebie.

- A co z dziewczyną? I z Bailey? - I z Danielem? - dodała w myślach.

- I z Danielem - powiedział Luke z lekką przyganą. Z przyganą, na którą zasługuję, pomyślała.

- Masz rację... i z Danielem. Czy wszystko z nimi w porządku?

- Tak, ale nie wiem, komu mogę ufać. Myślałem, że może ty widziałaś ten znak na ciele dziewczyny.

Serce Susannah biło szybko, lecz jej głos brzmiał spokojnie.

- Jakie on ma znaczenie?

- Wszystkie dziewczyny z kostnicy mają taki znak na biodrze. Susannah przełknęła z trudem, starając się opanować rozszalałe serce.

To niemożliwe. To nie może się dziać naprawdę. Ale było inaczej. Działo się naprawdę. Powiedz mu. Powiedz mu teraz. Za chwilę. Najpierw powiem o DRC119.

- Więc to był znak Granville'a?

- Na to wygląda. Ale przyjechałaś do mnie w jakiejś sprawie. Co mogę dla ciebie zrobić?

Uspokój się, Susannah.

- Nie chcę zawracać ci głowy, ale jakiś samochód śledził mnie dziś rano. Jego ciemne brwi drgnęły.

- Jak to?

- Pojechałam rano na lotnisko, żeby wynająć samochód. Wybieram się do Dutton na pogrzeb Sheili Cunningham.

- Sheila Cunningham. Prawie zapomniałem o tym pogrzebie - rzekł cicho i spojrzał ponownie na Susannah. - I co z tym autem, które cię śledziło?

- Pojechałam taksówką na lotnisko i jakiś czarny samochód jechał za mną. Potem byłam w sklepie i tam też za mną pojechał. Muszę przyznać, że byłam... trochę zdenerwowana. - Kompletnie roztrzęsiona. - Czy możesz sprawdzić numery?

- Jakie?

- DRC 119. Tablica nie wyglądała tak jak inne, no wiesz, te z brzoskwinia pośrodku. Wszystkie litery i cyfry były razem.

- Pewnie to tablica indywidualna.

- Tak mi się wydaje. - Wstrzymując oddech, patrzyła, jak Luke wpisuje numer do komputera i wpatruje się w ekran z nieodgadnionym wyrazem twarzy. W końcu nie mogła dłużej wytrzymać. - Luke?

Spojrzał na nią i spytał.

- Czy znasz Darcy Williams?

Tylko nie próbuj tym razem uciekać, nakazała sobie w duchu.

- Była moją przyjaciółką. Nie żyje.

- Samochód został zarejestrowany na Darcy Williams, ale zdjęcie w jej danych z wydziału komunikacji jest... twoje.

Poczuła ucisk w gardle. Nie mogła nabrać powietrza ani wydusić słowa.

- Susannah? - Wstał, obszedł biurko i ujął ją za ramiona. - Oddychaj. Wzięła wdech i poczuła mdłości.

- Jest coś, co powinieneś wiedzieć. - Jej głos nie brzmiał już spokojnie.

- Chodzi o swastykę. Ja też mam taką. Na biodrze. To piętno.

Powoli wypuścił powietrze z płuc. Ręce wciąż trzymał na jej ramionach.

- Po tym gwałcie przed trzynastu lat. - To nie było pytanie. A powinno być.

Odsunęła się i podeszła do okna.

- Nie. To zdarzyło się siedem lat później. Dziewiętnastego stycznia.

- Jeden-dziewiętnaście - skojarzył od razu. - Tak jak na tej tablicy rejestracyjnej

- Gang Simona zgwałcił mnie również dziewiętnastego stycznia. Widziała w szybie, jak Luke znieruchomiał.

- Susannah, kim była Darcy Williams?

Oparła czoło o chłodną szybę. Jej głowa płonęła, a reszta ciała była zimna jak lód.

- Już powiedziałam. Była moją przyjaciółką, a teraz nie żyje.

- Jak zmarła? - spytał łagodnie. Utkwiła wzrok w parkingu na dole.

- Nigdy o tym nikomu nie mówiłam.

- Ale ktoś wie.

- Co najmniej trzy osoby. A teraz także ty. - Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. - Wie o tym ten, kto mnie dzisiaj śledził. Wczoraj wieczorem odkryłam, że mój szef wiedział o całej historii od początku. Oczywiście nie wszystko. Kolejna osoba to detektyw, który prowadził dochodzenie.

- W jakiej sprawie?

- Darcy została zamordowana w tanim hotelu o nazwie Hell's Kitchen. Byłam w pokoju obok. - Susannah wciąż wpatrywała się w oczy Luke'a. - Studiowałam prawo na Uniwersytecie Nowojorskim. Darcy, młodsza ode mnie o rok, była kelnerką w West Village. Poznałyśmy się w barze. Tego wieczoru spotkałyśmy pewnych facetów.

- W Hell's Kitchen? Często tam jeździłaś? Wahala się przez ułamek sekundy.

- To był jednorazowy wypad. Kłamczucha. Kłamczucha, kłamczucha.

- Ale coś się wtedy wydarzyło - stwierdził.

- Straciłam przytomność. Wydaje mi się, że ten facet wsypał mi coś do drinka. Kiedy się obudziłam, byłam sama i... - Miałam lekkie uda. On nie użył prezerwatywy. - Strasznie piekło mnie biodro.

- Od tego piętna.

- Tak. Ubrałam się i zapukałam do pokoju obok, gdzie była Darcy. Drzwi otworzyły się... same. - Nagle Susannah znalazła się tam znowu. Wszędzie krew. Na lustrze, na łóżku, na ścianach. - Darcy leżała zwinięta w kłębek na podłodze. Naga. Nie żyła. Została pobita na śmierć.

- I co zrobiłaś?

- Uciekłam. Pobiegłam do budki telefonicznej dwie przecznice dalej i zadzwoniłam na policję. Nie podałam swojego nazwiska.

- Dlaczego?

- Byłam na studiach prawniczych. Pracowałam jako kancelistka w biurze prokuratora okręgowego. Gdybym została zamieszana w taki skandal... - Spuściła wzrok. - Mówię jak moja matka. Kiedy Simonowi odbijało, mówiła do ojca: „Nie możemy sobie pozwolić na skandal, Arturze”. I ojciec wszystko „naprawiał”.

- Nie jesteś taka jak twoi rodzice, Susannah.

- Nie masz pojęcia, jaka jestem - rzuciła, po czym zamilkła wystraszona. Powiedziała kiedyś to samo Danielowi. Słowo w słowo.

Dlaczego wróciłaś? - zapytał wtedy.

Inne będą zeznawać, odparła. Byłabym tchórzem, gdybym nie zrobiła tego samego. Stwierdził, że Susannah nie jest tchórzem, a ona roześmiała mu się w twarz. Nie masz pojęcia, jaka jestem. Nie znał jej tajemnic. Chciała, aby tak było nadal, ale jej sekrety wychodziły na jaw jeden po drugim.

- A jaka jesteś? - zapytał Luke cicho.

Nabrała powietrza, chcąc skierować rozmowę z powrotem na to, co wydarzyło się w przeszłości.

- Byłam tchórzem.

Nieznacznie skinął głową. Zrozumiał, o co jej chodzi.

- Zadzwoniłaś na policję - powiedział. - To już coś.

- Tak. A potem zatelefonowałam jeszcze raz do detektywa, który prowadził śledztwo. Opisałam mu faceta, który poderwał Darcy w barze, i podałam adres tego miejsca. Powiedział, że musi zweryfikować parę rzeczy, i poprosił, żebym zadzwoniła do niego za cztery godziny. Zrobiłam to, a on mnie zobaczył.

- Korzystałaś z tej samej budki telefonicznej.

- Za każdym razem, a dzwoniłam trzykrotnie. - Zmusiła się do uśmiechu. - To dlatego łapiemy tak wielu przestępców, agencie Papadopoulos. Robią głupie rzeczy.

- Luke - odparł spokojnie. - Mam na imię Luke. Jej wymuszony uśmiech zniknął.

- Luke.

- I co się potem stało? - spytał, jakby nie opowiedziała mu niczego strasznego.

- Detektyw Reiser złapał tego mężczyznę i znalazł niepodważalne dowody jego winy. Nie musiał więc mnie wzywać, ale powiedział o wszystkim mojemu szefowi. Chyba głównie po to, żeby chronić własny tyłek. Ale moja reputacja i kariera zostały uratowane.

- To dobrze. Czemu się za to winisz?

- Bo okazałam się tchórzem. Powinnam była stanąć twarzą w twarz z człowiekiem, który zabił Darcy.

- A teraz chcesz doprowadzić do konfrontacji z Garthem Davisem. Żeby zrehabilitować to, co stało się wtedy?

Zacisnęła usta.

- Chyba wszyscy tak uważają.

Delikatnie uniosł jej podbródek, by znowu spojrzała mu w oczy. ,

- A co z tym drugim gościem? - zapytał, przypatrując się jej uważnie. - Tym, który cię odurzył.

- Zniknął. Nigdy więcej go nie widziałam.

- Zgwałcił cię?

Przypomniała sobie krew i lepkie nasienie na swoich udach.

- Tak. Ale pojechałam do tego hotelu z własnej woli.

- Czy słyszałaś to, co właśnie powiedziałaś? - spytał niemal szyderczo.

- Tak - szepnęła. - Słyszę to za każdym razem, kiedy o tym myślę. Za każdym razem, kiedy mówię którejś z ofiar, że to nie ona przyczyniła się do tego, że ją zgwałcono. Ale wtedy było inaczej, do licha. To coś innego.

- Dlaczego?

- Bo mnie przydarzyło się to ponownie - prawie krzyknęła. - Pozwoliłam, żeby zgwałcono mnie po raz drugi, a moja przyjaciółka umarła. Darcy została zamordowana, a ja stchórzyłam i uciekłam.

- Uważasz, że przyczyniłaś się do tego, że ktoś cię zgwałcił? Pokręciła głową, znużona.

- Nie. Ale nie zasługuję na to, żeby domagać się sprawiedliwości.

- Wy, Vartanianowie, jesteście kompletnie popieprzeni - powiedział Luke z błyskiem wściekłości w czarnych oczach. - Gdyby twój ojciec żył, sam miałbym ochotę go zabić.

Susannah uniosła się na palcach, wciąż patrząc mu w twarz.

- To ustaw się w kolejce. - Zrobiła krok do tyłu, opanowując emocje. - A teraz zastanówmy się, o co tu chodzi? Tej samej nocy, kiedy moja przyjaciółka została zamordowana w Nowym Jorku, ktoś mnie zgwałcił i wypalił mi piętno na biodrze. Sześć lat później w malowniczym Dutton znajdujemy pięć zabitych kobiet z takim samym znakiem. Czy to ma jakiś związek? Moim zdaniem tak.

Przyglądała się, jak Luke opanowuje gniew.

- Zobaczmy, jak to wygląda - powiedział spokojnie.

- Słucham?

- Przyjrzyjmy się temu. Skąd wiadomo, że to taki sam znak?

- Najpierw pokaż mi ten, który widziałeś, a potem ja ci powiem, czy wygląda tak samo.

- Niestety, jest w kostnicy - burknął. - Na miłość boską, Susannah, przecież widziałem cię wczoraj w staniku. Narada, na którą muszę iść, zaczęła się kilka minut temu. Po prostu pokaż mi to, proszę.

Miał rację. To nie była pora na skromność, która zresztą i tak nie miała sensu po tym, co Susannah właśnie wyjawiała.

- Zamknij oczy. - Szybko rozpięła spódnicę i zsunęła majtki na tyle, by Luke zobaczył piętno. - Spójrz.

Pochylił się, przyjrzał znakowi na jej biodrze i znów zamknął oczy.

- To taki sam wzór, tylko trochę większy. - Wyprostował się. - Czy mogę już patrzeć?

- Tak. I co teraz? Ktoś w Atlancie wie o Darcy. A jakaś osoba w Dutton posługuje się symbolem swastyki. Czy to ten sam człowiek wypalił mi piętno i zabił moją przyjaciółkę? Jeśli tak, to kto to jest i dlaczego to zrobił?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że musimy zacząć szukać wśród zwolenników supremacji rasy białej.

- Z powodu swastyki? Może tak, a może nie. Stanął przy drzwiach z ręką na klamce.

- Dlaczego nie?

Susannah łatwiej było myśleć o szczegółach, niż rozpamiętywać to, czego nie mogła zmienić.

- Moje piętno to nie jest hitlerowska swastyka. Ma zagięte końce. To symbol znany w wielu religiach Wschodu. - Uniosła brwi. - Między innymi w buddyzmie.

- Więc powracamy do *thicha* Granville'a.

- Być może. Jeśli chcesz, poszukam informacji na ten temat.

- Dobrze. Zostań tu i zrób to, kiedy będę na zebraniu. Przyjdę po ciebie.

- Niestety, nie mogę zostać. O dziewiątej mam spotkanie z Chloe Hathaway.

- Chloe jest na naszej naradzie. Możecie się spotkać, kiedy skończymy.

- Ale moje zeznanie jest na laptopie, który zostawiłam w hotelu.

- Mamy całą armię stenografów, którzy odbierają telefony na gorącej linii - odparł. - Ściągniemy jednego z nich, żeby spisał twoje zeznanie. Muszę już iść.

- Luke, poczekaj. Mój szef... ma być na tym spotkaniu. - Wykrzywiła usta w sardonycznym uśmiechu. - Jako wsparcie moralne.

- Więc zadzwoń do niego i powiedz, żeby tu przyjechał. Nie chcę, żebyś sama jeździła, dopóki się nie dowiemy, kim jest człowiek z tego czarnego samochodu. Wszystko do siebie pasuje. Musimy tylko dostrzec powiązania. - Zawahał się i dodał: - Staralem się, żeby nie łączono twojego nazwiska z tym śledztwem do czasu, aż złożysz zeznania.

- Dlaczego? - spytała.

- Bo zasługujesz na to, żeby chronić twoją prywatność. I należy ci się sprawiedliwość.

Przełknęła ślinę.

- Powiedz im, co tylko chcesz. Opowiedz, co wydarzyło się trzynaście lat temu, o Hell's Kitchen, Darcy i piętnie. Jestem już zmęczona swoją prywatnością. Duszę się od trzynastu lat. - Uniosła głowę. - Więc powiedz im wszystko. Wszystko.

Ridgefield House, sobota, 3 lutego, godzina 8.05

Bobby odebrała telefon po pierwszym dzwonku.

- Załatwione? Paul westchnął.

- Tak.

- Świetnie. Kładź się do łóżka i dobrze się wyśpij. Musisz być zmęczony.

- Tak myślisz? - spytał z ironią. - Dziś w nocy mam dyżur, więc nie dzwoń do mnie.

- Dobrze. Miłych snów. I dzięki.

Bobby otworzyła klapkę swojej komórki i popatrzyła na zdjęcie ośmioletniego chłopca. Jego matka musi zrozumieć, że nikt nie może bezkarnie sprzeciwić się Bobby. Przekaz był jasny. Rób, co każe, albo on też zginie. Wysłała wiadomość. Gotowe.

- Tanner, przynieś mi śniadanie. Starzec wyłonił się z cienia.

- Jak sobie życzysz.

Atlanta, sobota, 3 lutego, godzina 8.10

Luke zatrzymał się przy drzwiach sali konferencyjnej. Był tak wściekły, że cały się trząsał.

„Nie zasługuję na to, by domagać się sprawiedliwości”, powiedziała Susannah. Miał ochotę krzyknąć, przemówić jej do rozsądku. Ale nie zrobił tego. Mógł zrobić tylko to, co było możliwe do zrobienia. Stał więc tutaj.

Doznał wstrząsu, kiedy się dowiedział, że była jedną z ofiar gangu Simona. Ale jeszcze większy szok przeżył, gdy powiedziała, że zgwałcono ją ponownie. Kilka lat później, tego samego dnia i miesiąca.

Zastanawiał się, dlaczego nie wiązała ze sobą obu wydarzeń. I czemu, u licha, jeździła do tanich hoteli w poszukiwaniu przygód. Nie miał pojęcia, jak zdoła wyjawic jej najbardziej intymne sekrety ludziom zebranych w tym pomieszczeniu.

- Co ci jest? - Zza rogu wyszedł Ed, niosąc jakieś pudło. - Wyglądasz jak zbity pies.
- Bo tak się czuję. Co jest w tym pudle?
- Mnóstwo rzeczy. Między innymi klucze, które znaleźliśmy w kieszeniach Granville'a.

Luke wyprostował się.

- Po co je niesiesz?
- Otwórz drzwi, to wszyscy się dowiemy - odparł Ed.

W sali konferencyjnej byli już Nate Dyer z komisji antykorupcyjnej, Chloe, Nancy Dykstra i Pete Haywood oraz Mary McCrady, jedna z psycho-łóżek z ich wydziału. Kiedy Luke wszedł, Hank Germanio, siedzący obok Chloe, uniósł gwałtownie głowę. Wcześniej patrzył gdzieś pod stół, pewnie na nogi Chloe, która wyglądała na zniesmaczoną. Oboje serdecznie się nie znosili.

Chase był wyraźnie rozdrażniony.

- Spóźniliście się-burknął.
- Nie bez powodu - odparł Ed. Chase popukał w stół.
- Wszyscy już są, więc możemy zaczynać. Poprosiłem Mary Mc-Crady, żeby do nas dołączyła. Opracuje profil psychologiczny współnika Granville'a. - Podniósł oprawioną w skórę księgę w foliowej torebce. - Oto dziennik Jareda O'Briena.

Luke wybałuszył oczy.

- Gdzie go znaleźliście?
- Ostatnia ofiara Macka miała w swoim samochodzie GPS i namierzyliśmy go - wyjaśnił Ed. - Znaleźliśmy kryjówkę Macka, a ten dziennik był w jego rzeczach.

- Fascynująca lektura - stwierdził Chase. - Znalazłem wzmiankę o chacie Borensona. Wygląda na to, że wszyscy chłopcy wiedzieli, gdzie są, kiedy tam przyjechali. Toby Granville nie zadał sobie trudu, żeby zdjąć ze ścian pamiątek Borensona. Dziś będę dalej czytał ten dziennik. Może znajdę coś o nauczycielu Granville'a. Jakies nowe wiadomości? Luke?

Luke chciał wspomnieć o piętnie w kształcie swastyki, ale uznał, że odłoży to na później.

- Mam wyniki analizy płynu z kroplówki Ryana Beardsleya. Stężenie środka pobudzającego było tak duże, że mogło go zabić. Ochrona szpitala twierdzi, że w pobliżu pokoju Beardsleya kręcił się niejaki Isaac Gamble.

- Tego Gamble'a szuka czterech agentów - oznajmił Chase.

- To dobrze. Kiedy go znajdą, zostanie zatrzymany pod zarzutem usiłowania zabójstwa. Gdyby nie zdążyli reanimować Beardsleya, byłoby po nim. Na szczęście teraz czuje się dobrze. Przypomniawszy sobie, że kiedy go więzili, słyszał o kimś imieniem Rocky. To prawdopodobnie szef Granville'a.

- Imię Rocky jest dość popularne - wtrąciła Nancy z powątpiewaniem.

- Jeśli to przezwisko, może wskazywać na pokaźne rozmiary - stwierdziła Mary. - Kojarzy się z tym filmowym bokserem Rockym Balboą. Zawsze to jakaś informacja, przydatna do sporządzenia profilu poszukiwanej osoby.

- Beardsley powiedział też - ciągnął Luke - że paru facetów zakopywało kogoś za ścianą jego celi. Mówili o jakiejś Becky.

- O Boże! - westchnęła Chloe. - Więc na zewnątrz też są ciała?

- Mam ludzi z uniwersytetu, którzy przyjadą do Dutton ze specjalnym radarem - oznajmił Ed. - Przeszukają teren, żeby ustalić, gdzie jest grób.

- Rozwieście brezent - polecił Chase. - Lepiej, żeby dziennikarze nic nie widzieli. Zidentyfikowaliśmy już jedną z ofiar. To Kasey Knight.

- Jej rodzice będą tu o drugiej - powiedział Luke. - Felicity przygotowuje ciało.

- Skończyła już sekcję? - spytał Ed.

- Tak. Jedna z ofiar ma krwinki czerwone sierpowate, co może pomóc w identyfikacji. Dwie najbardziej wychudzone dziewczyny miały podwyższone stężenie elektrolitów i ślady po igłach na rękach. Jedna z nich miała też kiłę i rzeżączkę. Autopsja nie wykazała nic więcej. Chale zwrócił się do Nate'a:

- Ustaliliś coś w sprawie Angel?

- Przez całą noc przeglądałem akta, ale nie znalazłem nic nowego ani o niej, ani o dwóch innych dziewczynach, z którymi była na tej stronie internetowej. Wysłałem jej zdjęcie i rysopis do agencji, z którymi współpracujemy. Będę szukać dalej.

Nate wyglądał na wyczerpanego. Luke doskonale to rozumiał. Niewiele rzeczy tak wykańcza psychicznie, jak oglądanie zdjęć maltretowanych ludzi. A kiedy chodzi o dzieci... jest to milion razy gorsze.

- Niestety, nie mogłem ci pomóc - powiedział przeproszającym tonem. - Ale wpadnę dzisiaj i poszperamy razem.

- Przydałaby mi się krótka przerwa - odparł Nate. - Ale mogę szukać dalej, jeśli będziesz zajęty gdzie indziej.

- Wszyscy jesteśmy zajęci- skomentował Chase. - Pete, co ustalił śledczy badający przyczyny pożaru?

- Znalazł zapalnik zegarowy w domu Granville'a - odpowiedział Pete. Mówił spokojnie, ale ledwo panował nad gniewem. Członek jego zespołu zginął i Haywood był wściekły.

Luke zmarszczył brwi.

- Myślałem, że pożar wzniecono za pomocą drutu połączonego z frontowymi drzwiami.

- Tak było - przyznał Pete. - Ale ten koleś chciał mieć pewność, że bomba zapalająca wybuchnie. Potknął się na tym, że próbował zabezpieczyć się podwójnie. Śledczy powiedział, że to częsty błąd podpalaczy. Instalują dodatkowy zapalnik, tak dla pewności, i w ten sposób zostawiają ślad.

- I w tym wypadku tak właśnie było? - upewnił się Chase.

- Tak. Podpalacz założył dwa mechanizmy, jeden z urządzeniem zegarowym, a drugi połączony z drzwiami. Pierwszy miał zapalnik nastawiony na dwie godziny.

- Czy śledczy rozpoznał to urządzenie zegarowe? - spytał Chase. Pete skinął głową.

- Podejrzewa, że należy do Clive'a Peppera, który był już dwukrotnie aresztowany za podpalenia na zlecenie. Nazywają go Chili.

Nancy westchnęła.

- Chili Pepper? No nieźle. Oczy Pete'a zabłysły.

- Niech ten sukinsyn modli się, żebyśmy nie znalazł go pierwszy.

- Pete, opanuj się - upomniał go Chase i spojrzał na Chloe. - Czy możemy oskarżyć go o morderstwo?

Skinęła głową.

- Oczywiście.

- O morderstwo? - zdziwił się Germanio. - Jak to?

Wszyscy z wyjątkiem Pete'a i Chloe wydawali się zdezorientowani.

- Zach Granger zmarł dziś w nocy - powiedział Chase i przy stole zapadła cisza. - Został ranny w głowę podczas wybuchu, we krwi powstał zakrzep i... Zacha już nie ma.

Nancy zbladła.

- Pete, tak mi przykro. - Wyciągnęła rękę i położyła ją na jego zaciśniętej w pięść dłoni.

Haywood milczał. Luke nie był pewien, czy ten potężny mężczyzna zdoła sobie z tym poradzić.

- Więc oskarżymy Peppera o morderstwo - podsumował Chase. Odchrząknął i zwrócił się do Nancy: - Co znaleźliście w domu Mansfielda?

- Mnóstwo pornosów - odparła ponuro. - Bicze i łańcuchy. Zdjęcia gwałtów i pornografię dziecięcą.

- Przejrzę to - powiedział Luke.

- Pomogę ci - wtrącił Nate. - Gdzie to jest, Nancy?

- Głównie na jego komputerze. Nasi ludzie właśnie go sprawdzają. W betonowym schronie w piwnicy znaleźliśmy niezły arsenał. Broń, amunicja i tyle żywności, że można by karmić przez miesiąc całe miasteczko. Teraz przeglądam rachunki i inne dokumenty. Na razie znalazłam tylko to. - Sięgnęła po plastikową torebkę na dowody leżącą obok krzesła.

- Atlas drogowy? - zdziwił się Luke.

- Właśnie. - Był to mocno zużyty atlas z zagiętymi rogami. - Zaznaczył różne trasy na stronach Georgii, obu Karolin, Florydy i Missisipi. W sumie sto trzydzieści sześć tras. Jeszcze nie wiem, dokąd prowadzą, ale ustalę to.

- Dobra robota, Nancy - pochwalił ją Chase. - Hank?

- Chyba znalazłem żonę Granville'a - oznajmił Germanio. - Helen Granville kupiła bilet na pociąg do Savannah.

- Czy ma tam rodzinę? - spytał Luke. Germanio pokręcił głową.

- Pytałem sąsiadów, ale nikt nie wiedział, skąd pochodzi jej rodzina. Według nich to cicha kobieta, która nie mówi wiele. Niemal wszyscy są wstrząśnięci tymi wydarzeniami i tylko jedna sąsiadka nie była zaskoczona, że Granville okazał się zdeprawowany. Podejrzewała, że bił żonę.

- Czemu właśnie ona myśli inaczej? - zainteresowała się Mary.

- Pracowała w poradni prawnej, zanim odeszła na emeryturę, i miała sporo do czytania z maltretowanymi kobietami. Stwierdziła, że nigdy nie widziała na ciele Helen Granville żadnych śladów pobicia, ale coś dziwnego było w tej kobiecie. Gdy ją raz spytała, czy potrzebuje pomocy, Helen już nigdy więcej się do niej nie odezwała. To wizytówka tej prawniczki, gdybyś chciała z nią porozmawiać.

Mary zapisała nazwisko i numer telefonu.

- Pogadam z nią. Dzięki, Hank. Germanio zerknął na Chloe.

- Poprosiłem o zgodę na sprawdzenie połączeń z komórki Helen Granville, bo żadna z rozmów prowadzonych przez telefon domowy nie wydaje się podejrzana. Mam już

zgode na sprawdzenie telefonu Davisa, więc zainteresuję się Kirą Laneer, jego kochanką. A gdy dostanę pozwolenie, przejrzę wykaz rozmów z komórki pani Davis, żeby ustalić, dokąd pojechała. Trudno jej będzie tak po prostu zniknąć, bo ma ze sobą dwóch synów. Poszedłem do siostry Davisa, Kate, ale nie otworzyła drzwi. Jutro wybiorę się tam jeszcze raz.

- Najpierw jedź do Savannah - powiedział Chase. - Zależy mi, żeby pani Granville się znalazła. Ed, teraz ty.

Ed otworzył swoje pudło i wyciągnął z niego kawałek zardzewiałego metalu.

- To fragment ramy pryczy z jednej z cel w bunkrze. Wyczyściliśmy ją i obejrzelismy pod mikroskopem. To O nie jest całkiem zamknięte.

- Więc nazwisko Ashley nie zaczyna się na O, tylko na C - stwierdził Luke, a Ed przytaknął.

- Leigh przegląda listy zaginionych nieletnich i sprawdza w okolicznych wydziałach do spraw zaginionych.

- Świetnie - pochwalił Chase. - Co jeszcze?

Ed spojrzał na Pete'a, który zdołał już wziąć się w garść.

- Klucze Granville'a.

Pete przysunął pudełko do stołu.

- Być może któryś pasuje do ogniotrwałego sejfu Granville'a. - Postawił sejf na stole. - Był osmalony z zewnątrz, ale zamek pozostał nietknięty. - Śledczy prowadzący dochodzenie w sprawie pożaru znalazł to, kiedy myszkował po pokoju, który był gabinetem Granville'a. - Wziął najmniejszy klucz i wsunął do zamka. Wszyscy pochylili się do przodu, gdy kluczyk przekręcił się bez oporu.

- To mógłby być twój bilet do sławy, Pete - zażartowała Nancy. Na twarzy Pete'a pojawił się cień uśmiechu, kiedy podniósł wieko.

- Paszport. - Uniósł brwi. - Jeszcze jeden. - Otworzył je. - W obu jest zdjęcie Granville'a, ale zostały wystawione na różne nazwiska. Michael Tewes i Toby Ellis.

- Nasz doktorek był mobilny - mruknął Ed.

- Na to wygląda. Są jeszcze certyfikaty giełdowe i kolejny klucz. - Pete uniósł mały srebrny kluczyk. - Może do skrytki depozytowej.

- Simon Vartanian miał taką skrytkę w banku w Dutton - oznajmił Luke.

- Może Granville też. Miejmy nadzieję, że nie jest pusta jak sejf Simona.

- W skrytce Simona nie było obciążających zdjęć, dokumentujących gwałty popełniane przez gang, a liczyli, że je tam znajdą. - Dziś przed południem jadę do Dutton na pogrzeb Sheili Cunningham. Sprawdzę to, kiedy tam będę. Chloe, czy nakaz obejmuje kontrolę skrytki depozytowej?

- Nie, ale uzyskanie nowego nakazu nie potrwa długo, jeśli ten klucz to odbitka. Co jeszcze, Pete?

- Świadeństwo ślubu. Panieńskie nazwisko Helen brzmi Eastman. To na wypadek, gdybyście chcieli poszukać jej rodziny. Świadeństwo urodzenia, no i to. - Wyciągnął płaski amulet na srebrnym łańcuszku.

Luke zmrużył oczy. Na amulecie widniała wygrawerowana swastyka. Susannah miała rację; końce były łukowato zagięte, a z każdej strony znajdowała się duża kropka. To nie był symbol nazistów.

- O cholera - mruknął Chase. - Neonaziści.

- Nie sądzę - odparł Luke. - Ten wzór pasuje do znaku, jaki Felicity znalazła na biodrze każdej z zamordowanych kobiet.

Wszyscy podnieśli głowy.

- Ten amulet jest zbyt płaski, aby wypalać nim piętno - zauważył Pete, przyglądając się wrytemu symbolowi.

- Felicity znalazła też sygnet na palcu Granville'a. Jest tam taki sam wzór i również nie wygląda na narzędzie do wypalania piętna. - Luke nabrał powietrza. - Ten znak znajduje się w jeszcze jednym miejscu. Na ciele Susannah Vartanian.

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdumieniem.

- Lepiej wyjaśnij, o co chodzi - powiedział Chase cicho.

Ridgefield House, sobota, 3 lutego, godzina 8.20

Rocky wprowadziła samochód do garażu. Była potwornie zmęczona. Jakiś wypadek na przedmieściach Atlanty spowodował ponadgodzinny korek na drodze. Rocky cały czas siedziała jak na szpilkach, obawiając się, że ktoś usłyszy stukanie w bagażniku. Na szczęście było zimno i wszyscy tkwili w swoich samochodach z zamkniętymi oknami.

Nie potrafiłaby sensownie wytłumaczyć, co robi w jej bagażniku związana i zakneblowana nastolatka. Bobby na pewno zaprzeczyłaby, że ma z nią cokolwiek wspólnego, gdyby Rocky została złapana. Ale jej nie złapali. Może teraz Bobby znowu w nią uwierzy.

Zanim jednak wyjaśni wszystko szefowej, powinna się dowiedzieć, co nowego u pielęgniarki. Miała nadzieję, że kobieta nie podała Monice Cassidy kolejnej dawki środka paraliżującego. Im wcześniej przeniosą dziewczynę z oddziału intensywnej opieki medycznej do zwykłego pokoju, tym szybciej będzie można ją uśmiercić bez zbędnego zamieszania. A wtedy „zdobycz”, którą Rocky miała w bagażniku, stanie się po prostu kolejną pozycją w inwentarzu. Wybierając numer w telefonie, myślała o Bobby.

Przez wiele lat starała się zdobyć jej aprobatę. Na szczęście do tej pory nie musiała nikogo zabijać. Myśl o zamordowaniu kogoś przyprawiała ją o mdłości.

- Ty suko! - krzyknęła pielęgniarka, nim Rocky zdążyła coś powiedzieć. - Przecież się umówiliśmy. Ty cholerna suko.

Rocky poczuła ucisk w żołądku.

- Co się stało?

- Moja siostra - syknęła pielęgniarka. - Nie udawaj, że nie wiesz. Bobby ją zabiła. - Zaczęła płakać. - Zatlukła ją na śmierć. O Boże, to wszystko moja wina.

- Skąd wiesz, że to Bobby? - spytała Rocky, próbując zachować spokój.

- Po tym zdjęciu, które mi przysłała, ty cholerna idiotko. Zdjęcie mojego syna. Ma osiem lat.

- Bobby wysłała ci przez telefon zdjęcie syna? - zdziwiła się Rocky.

- Z wiadomością: „Rób, co każe, albo on też zginie”. Też - podkreśliła. - Przybiegłam tu... i właśnie ją znalazłam. Porzuconą na ulicy jak śmieć.

- Co zamierzasz zrobić? Kobieta zaśmiała się histerycznie.

- A jak myślisz? Zrobię wszystko, co Bobby chce.

- Czy dałaś tej dziewczynie następną dawkę środka paralizującego?

- Nie. - Rocky słyszała, jak pielęgniarka oddycha głęboko, próbując się uspokoić. - W nocy na oddziale było zbyt wielu ochroniarzy, jak przywieźli tego kapelana.

- Kogo?

- Kapelana. Ktoś próbował go zabić, ale mu się nie udało. - Prychnęła szyderczo. - O tym też nie wiesz? Twoja szefowa chyba nie bardzo ci ufa?

Ironiczna uwaga przeszła bez echa, bo Rocky doskonale wiedziała, że szefowa nie darzy jej zaufaniem. A była wystarczająco bystra, by zdawać sobie z tego sprawę. Ten gliniarz Paul znajdował się wyżej w hierarchii niż ona. Znacznie wyżej. Bobby przy wielu okazjach wyraźnie dawała to do zrozumienia. Rocky zaczynała kipieć ze złości.

- Więc rozmawiałaś z Monicą?

- Powiedziałaś jej to, co chcieliście.

Rocky otworzyła bagażnik i pstryknęła zdjęcie Genie Cassidy.

- Wysłałam ci fotkę. Pokaż ją Monice. To zamknie jej usta do czasu, aż będziesz mogła ją zabić.

- Jeśli pójde na dno, zabiorę cię ze sobą.

- Powiedz to policji. Nie zdołasz niczego dowieść i gliny pomyślą, że jesteś szurnięta.

- Nienawidzę cię. Bobby też nie cierpię. - Pielęgniarka się rozłączyła. Rocky westchnęła. Przecież ja się tym zajmowałam. Siostra pielęgniarki

wcale nie musiała umrzeć. Jej śmierć tylko ściągnie na nich więcej uwagi, a to wcale nie było im potrzebne.

W kuchni natknęła się na Tannera przygotowującego Bobby herbatę.

- Mam w bagażniku nową zdobycz - oznajmiła. - Czy możesz doprowadzić ją do porządku? Gdzie Bobby?

- W gabinecie. - Tanner uniósł krzaczaste siwe brwi. - Nie jest z ciebie zadowolona.

- Z wzajemnością - mruknęła Rocky. Zapukała do drzwi pokoju Bobby i weszła, nie czekając na pozwolenie.

Bobby podniosła wzrok.

- Za długo to trwało. Wysłałam cię z prostą sprawą do załatwienia, a ty wracasz dopiero po ośmiu godzinach.

- Kazałaś zabić siostrę tej pielęgniarki. Bobby zmarszczyła brwi.

- Oczywiście. Przecież ta dziewczyna wciąż żyje.

- Owszem. I Beardsley też.

- Co?! - zawołała z furją Bobby. Rocky roześmiała się.

- Więc *swami* nie wie jednak o wszystkim - stwierdziła i w tym momencie jej głowa gwałtownie odskoczyła w lewo, gdyż Bobby ją spoliczkowała.

- Ty suko. Jak śmiesz?

Rocky czuła pieczenie na policzku.

- Bo jestem wściekła. Mam już dość.

- Chyba nie wiesz, co mówisz. Dałam ci zadanie do wykonania, a ty nawaliłaś.

- Raczej przemyślałam sprawę jeszcze raz. Pielęgniarce nie uda się zabić Moniki Cassidy na oddziale intensywnej terapii.

- Tak ci powiedziała. A ty jej uwierzyłaś - ucięła Bobby pogardliwym tonem.

- Znalazłam inny sposób. O wiele lepszy od metody tego sługusa, któremu nie udało się zlikwidować kapelana.

Bobby usiadła z kamienną twarzą.

- Serce Beardsleya przestało bić - powiedziała.

- Najwyraźniej go reanimowali - odparła Rocky chłodno. - Teraz pilnują oddziału intensywnej opieki lepiej niż fortu Knox.

- Powiedz mi, co zrobiłaś?

- Pojechałam do Charlotte i porwałam młodszą siostrę Moniki. Jest w bagażniku mojego samochodu.

Bobby zbladła.

- Co takiego?

- Uprowadziłam jej siostrę. Nagabywałam ją przez internet od dwóch miesięcy. Monica dobrze się sprzedawała, z jej siostrą może być podobnie.

- Nie pomyślałaś o konsekwencjach? Może ktoś uwierzy, że jedna córka uciekła z facetem, którego poznała przez internet... Ale dwie? Teraz gliny się tym zajmą. W telewizji pokażą rozpaczającą matkę, modlącą się o bezpieczny powrót swojej córeczki. Równie dobrze możemy od razu zabić tę siostrę. Lepiej, żeby jej zdjęcie nie pojawiło się w każdym kiosku z gazetami.

Rocky osunęła się na krzesło.

- Nie pomyślałam o tym. Ale nie jest źle. Poszłam na dworzec autobusowy w jej bluzie z kapturem i kupiłam bilet do Raleigh, gdzie mieszka jej ojciec. Jeśli gliny zaczną szukać, będzie wyglądało, jakby do niego pojechała.

- Wyzaczyłam ci proste zadanie - rzekła Bobby chłodno. - Miałeś zmusić pielęgniarkę do współpracy. Nie wykonałaś go. I nie dość, że nie zrobiłaś tego, co trzeba, to jeszcze pozwoliłaś sobie na samowolne działanie. Sama zajmę się tą nową dziewczyną i pielęgniarką. Możesz odejść.

Rocky wstała, próbując opanować drżenie.

- Ta nowa jest jeszcze ładniejsza od swojej siostry. Można wysłać ją za granicę, gdzie pozostanie anonimowa. Jest warta dobrej ceny

Bobby postukała w biurko, zastanawiając się.

- Być może. A teraz już idź. Rocky wciąż tkwiła w miejscu.

- Co zrobisz tej pielęgniarce?

- To, co obiecałam.

- Obiecałaś, że zabijesz jej syna. On ma tylko osiem lat. Tak jak twój...

- Dość. - Bobby wstała. Jej błękitne oczy ciskały gromy i Rocky nie mogła dłużej opanować drżenia. - Zmuszę tę pielęgniarkę do posłuszeństwa i ciebie też. Możesz odejść.

Gdy Rocky wyszła, Bobby zatelefonowała do Paula.

- Mówiłem ci, żebyś dzisiaj do mnie nie dzwoniła - warknął. Bezcelny. Zabiłabym cię, ale jesteś mi potrzebny.

- Chcę, żebyś pojechał do Raleigh.

- Dziś w nocy mam dyżur.

- Idź na zwolnienie. I tak płacę ci trzy razy więcej niż wydział policji w Atlancie.
- Do diabła, Bobby! - westchnął Paul sfrustrowany. - Co mam zrobić?
- Musisz posprzątać bałagan, jakiego narobiła Rocky.
- Rocky ostatnio sporo nabałaganiła.
- Wiem. Kiedy to załatwisz, pogadamy o niej.

Atlanta, sobota, 3 lutego, godzina 8.40

Luke opowiedział o czarnym samochodzie, który śledził Susannah, o Darcy Williams i o owym dniu sprzed sześciu lat w Hell's Kitchen. Wszyscy słuchali go z zapartym tchem.

Gdy skończył, Chase oparł się na krzesło, oszołomiony.

- Chcesz powiedzieć, że Susannah została dwukrotnie zgwałcona w tym samym dniu i miesiącu, tyle że ten drugi raz miał miejsce siedem lat po pierwszym? I nikomu nie wydało się to dziwne?

Luke zawahał się.

- Nigdy nie powiedziała nikomu o tych gwałtach.
 - Dlaczego, na miłość boską? - zagrział Chase.
 - Była ofiarą - odparła Mary McCrady tonem wytrawnego psychologa.
 - To dla niej niełatwe - powiedział Luke - a teraz śledzi ją jakaś menda w czarnym wozie. Susannah zamierza pojechać na pogrzeb Sheili Cunningham i boję się o jej bezpieczeństwo. Musimy się dowiedzieć, co to za facet.

- Więc chcesz się wybrać na ten pogrzeb, żeby zobaczyć, czy czarny samochód znowu się pojawi - podsumował Ed. - Przydadzą się kamery monitorujące. Zajmę się tym.

- Dzięki - odparł Luke. Nie był to jedyny powód, dla którego chciał pojechać na pogrzeb Sheili Cunningham, ale najważniejszy. - Susannah powiedziała też, że swastyka z zagiętymi końcami to popularny symbol w religiach Wschodu, na przykład buddyzmie.

- Więc pewnie ma związek z tym *thichem*, którego szukamy - stwierdził Pete. - Teraz wszystko jakoś do siebie pasuje.

- Owszem - przyznał Chase. - Hank, jedź do Savannah i znajdź Helen Granville. Musimy poznać całą prawdę o jej mężu. Pete, chcę, żebyś przeszukał dom Mansfielda, a ty, Nancy, spróbuj wytropić tego Chiliego Peppera. Trzeba się dowiedzieć, kto go wynajął.
 - Pete otworzył usta, by zaprotestować, ale Chase rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie. - Nic nie kombinuj, Pete. Masz się nie zbliżać do tego faceta.

- Mogę sam się tym zająć - nie ustępował Pete.

- Wiem - rzekł Chase łagodnie. - Ale nie chcę pakować cię w kłopoty.

- Wciąż próbujemy ustalić, skąd pochodzą materiały medyczne, które były w bunkrze - powiedział Ed. - Badamy też próbki włosów znalezione w części biurowej. Może coś będzie pasowało do wzorów DNA, które mamy w aktach. Przeszukamy okolice bunkra, żeby sprawdzić, czy nie ma tam więcej ofiar. I zdejmujemy odciski palców z tego atlasu drogowego.

- Dobrze - rzekł Chase. - Co jeszcze?

- Chciałabym porozmawiać z Susannah Vartanian - oznajmiła Mary.

- Mam się z nią spotkać o dziewiątej w hotelu - wtrąciła Chloe. - Powiem jej, żeby do ciebie zadzwoniła.

- Nie ma jej w hotelu - rzekł Luke. - Jest w moim gabinecie. Przyjechała tu, kiedy się zorientowała, że ten czarny wóz ją śledzi. Szuka informacji na temat swastyki.

Chase zakończył odprawę.

- Spotkamy się znowu o piątej - powiedział. - Luke, zostań na chwilę. Gdy zostali sami, Chase z niepokojem spojrzał Luke'owi w oczy i spytał:

- Czemu Susannah nie powiedziała wcześniej o tych gwałtach?

- Za pierwszym razem bała się Simona, który jej groził, twierdząc, że musi przecież kiedyś spać i nie zdoła się obronić.

Chase zacisnął szczękę.

- Sukinsyn. A drugim razem? „Nie zasługuję na sprawiedliwość”.

- Bała się, a poza tym czuła się winna, że jej przyjaciółka zginęła, a ona sama przeżyła.

- Są do siebie podobni z Danielem, prawda?

- Jak diabli.

- Czy ta jej relacja została udokumentowana?

- W każdym razie nadaje się do udokumentowania. Jej szef wiedział od lat, a jest prokuratorem okręgowym.

- Właściwie po co jedziesz na ten pogrzeb?

- Co masz na myśli?

- To, że nie dysponuję tyloma ludźmi, żeby ich marnować na niańczenie Susannah Vartanian. I z tego, co widzę, ona wcale tego nie oczekuje.

- Uważasz, że marnuję czas? - Luke poczuł, że ciśnienie mu wzrasta.

- Pewnie widzisz to inaczej. Posłuchaj, ja też współczuję Susannah, ale...

Luke usiłował zachować cierpliwość. Był zmęczony i poirytowany. Chase również, a żaden z nich nie znosił dobrze takiej kombinacji.

- Wcale jej nie niańczę. Czy martwię się o nią? Owszem. Pomyśl, została zgwałcona, kiedy miała szesnaście lat. Wszyscy, którzy o tym wiedzieli, nie żyją, oprócz Gartha Dayisa. Susannah opuściła dom i wyjechała na studia, a w wieku dwudziestu trzech lat

została zgwałcona ponownie, w tym samym dniu i miesiącu. Wypalono jej piętno na ciele, a jej przyjaciółkę pobito na śmierć. Była zawstydzona i wystraszona, dlatego nikomu nie powiedziała. Sześć lat później taki sam znak pojawia się na amulecie Granville'a i na biodrach pięciu zamordowanych przez niego dziewczyn. Chase wbił w niego wzrok.

- A więc?

Dłonie Luke'a zacisnęły się w pięści.

- To wszystko jest ze sobą powiązane. Zabójca jej przyjaciółki został skazany, ale faceta, który ją zgwałcił, nie złapano. Może ten facet to Rocky? Może to wszystko zorganizował on albo Granville? Może mężczyzna, który siedzi w więzieniu za zabójstwo jej przyjaciółki, zna Rocky'ego? Może kierowca tego czarnego samochodu to właśnie Rocky? Czy mam ci wszystko przedstawić na piśmie?

Chase odchylił się do tyłu.

- Nie. Sam już to wykombinowałem. Chciałem się tylko upewnić, że ty też. Jedź na ten pogrzeb. To będzie niezła gratka dla dziennikarzy po tym, co stało się wczoraj.

Luke wstał, trzęsąc się ze złości, wkurzony na Chase'a, że potraktował go jak młodziaka.

- Dopilnuję, żeby zapakować swoje krzesło i pejcz.

Już miał zamknąć za sobą drzwi, kiedy Chase go zatrzymał.

- Dobra robota, Luke. Odetchnął.

- Dzięki.

Ridgefield House, sobota, 3 lutego, godzina 9.00

Ashley Csorka uniosła głowę, nasłuchując w mrocznej norze, w której tkwiła. Była to piwnica pod domem. Chłodna, wilgotna i tak ciasna, że nie dało się w niej wyprostować.

Ashley była przemarznięta i burczało jej w brzuchu. Czowała zapach jedzenia przygotowywanego na górze. Była taka głodna. Próbowwała policzyć, jak długo tu tkwi. Kuliła się w tej dziurze już od niemal dwunastu godzin.

Kobieta powiedziała, że potrzymano ją tutaj kilka dni. Zwariuję do tej pory. Poza tym były tu szczury. Ashley słyszała, jak przemykają za ścianami.

Nienawidziła szczurów. Lęk narastał, silny i przytłaczający. Muszę się stąd wydostać.

- Pewnie - mruknęła głośno, a brzmienie własnego głosu nieco ją uspokoiło. - Tylko jak?

Dom był blisko rzeki. Gdyby tylko zdołała dostać się na brzeg, z pewnością przepłynęłaby na drugą stronę. Jej drużyna pływacka trenowała czasem w oceanie, gdzie prądy wodne były silniejsze niż w rzekach. A nawet gdyby utonęła, i tak byłoby to lepsze od tego, co czekało ją tutaj, po wypuszczeniu z tej nory.

Jak się stąd wydostać? Na szczycie niewielkich schodów znajdowały się tylko jedne drzwi, zamknięte na klucz. Już to sprawdziła. A nawet gdyby udało się je otworzyć, na górze był ten chudy, odrażający cieć Tanner, który nosił przy sobie pistolet.

Na dworze stał strażnik. Widziała go, kiedy przyprowadzili je wczoraj. Miał jeszcze większy pistolet. Nie było możliwości ucieczki. Umrę tutaj. Nigdy nie wrócę do domu.

Przestań. Nie umrzesz. Podniosła się i na czworakach zaczęła obmacywać ściany. Zacisnęła zęby, czując w dłoni ból po gwoździu, na który nadziała się wczoraj, kiedy zepchnięto ją po schodach. Po prostu nie zwracaj na to uwagi i szukaj wyjścia.

Pierwsza ściana była z pustaków, druga i trzecia też.

Ale czwarta... Ashley poczuła pod palcami coś chropowatego. Cegła. Ktoś zamurował otwór w tej ścianie. A to znaczyło, że coś znajduje się po drugiej stronie. Drzwi? A może okno?

No i co z tego? To przecież cegła. Twarda jak kamień. Zniechęcona Ashley osunęła się, opierając plecami o ścianę. Objęła kolana rękami. Nie mogła przecież rozdrapać paznokciami cegieł, by przedostać się na drugą stronę.

Potrzebowała młota, żeby rozwalić ścianę, lub pilnika, żeby odłupać zaprawę murarską. Nie miała ani jednego, ani drugiego. Uniosła głowę, przypomniawszy sobie o wystającym gwoździu przy schodach.

Ale przecież oni mogą usłyszeć, jak skrobie.

No to co? Jeśli usłyszą, po prostu wyciągną ją stąd wcześniej. Tak czy owak, czeka ją to samo, chyba że zdoła uciec. Równie dobrze można więc spróbować.

Przypomniała sobie słowa trenera: „Nigdy się nie poddawaj. Wyznacz sobie cel, a potem dąż do niego”.

- Zrób to, Ashley - szepnęła do siebie. - Zrób to teraz.

Al Landers siedział obok w milczeniu. Trzymał Susannah za rękę, chcąc dodać jej otuchy.

- Tak - odparła. - Proszę mi dać długopis, zanim się rozmyślę.

- Jeszcze nie jest za późno, Susannah - wtrącił Al, a ona uśmiechnęła się do niego.

- Wiem, ale tu nie chodzi tylko o mnie. To wszystko wiąże się z tym, co wydarzyło się w bunkrze. Nadal nie odnaleziono pięciu dziewczyn. Muszę to podpisać.

- Dziękuję - powiedziała Chloe. - Wyobrażam sobie, jakie to trudne. Susannah zaśmiała się gorzko.

- Trudne. Tak. Można to tak określić.

- Kiedy prasa się do tego dobierze? - zapytał Al.

- My nic im nie powiemy - odparła Chloe. - Nigdy nie ujawniamy nazwisk ofiar gwałtów. Ale sprawa i tak wyjdzie na jaw. Jedna z pozostałych ofiar, Gretchen French, wspominała już o zorganizowaniu konferencji prasowej. Chce złożyć oficjalne oświadczenie.

- Nie znam jej - oznajmiła Susannah. - Ale pewnie wkrótce poznam. - Wstała i obciągnęła krótką spódnicę, próbując bardziej zakryć nogi. - Powinniśmy udostępnić agentowi Papadopoulusowi jego gabinet, a ja muszę jechać na pogrzeb. Wolałabym, żeby odbył się w południe. Sklepy otwierają dopiero o dziesiątej i nie zdążę kupić ubrań.

Chloe spojrzała na nią.

- Wyglądasz całkiem dobrze.

- Wyglądam jak nastolatka, ale moje ubranie się zniszczyło i to jest wszystko, co mam. Wolałabym coś skromniejszego. To przecież pogrzeb. Ten strój nie wyraża szacunku.

Chloe przyglądała się jej przez chwilę.

- Jestem wyższa, więc moje kostiumy nie będą na ciebie pasować, ale mam krótką czarną suknię koktajlową która tobie sięgnie za kolana. Mogłabyś założyć do niej pasek. Mieszkam kilka minut stąd. Wpadnę do domu i ją przywiozę.

Susannah już chciała grzecznie odmówić, ale zmieniła zdanie.

- Będę wdzięczna - powiedziała, a kiedy Chloe wyszła, zwróciła się do Ala: - Dziękuję, że przyszedłeś.

- Szkoda, że nie wiedziałem wcześniej o pozostałych sprawach. Pomógłbym.

- Przepraszam. - Luke zajrzał do gabinetu. - Widziałem, jak Chloe wychodziła. Skończyliście?

- Tak. - Susannah wstała. - Luke, poznaj mojego szefa Ala Landersa. Al, to jest agent specjalny Luke Papadopoulos. Przyjaciół mojego brata Daniela.

- To pana widziałem wczoraj wieczorem na korytarzu w hotelu - powiedział Al, gdy podali sobie ręce. - Co zamierzacie zrobić, żeby złapać tego faceta w czarnym samochodzie?

- Na pogrzebie będziemy prowadzić monitoring za pomocą kamer - odparł Luke. -I chcemy porozmawiać z człowiekiem, który został skazany za zabójstwo Darcy Williams.

- Mogę zorganizować widzenie. A co z tym drugim mężczyzną? - Al spojrzał na Susannah. - Z tym, który cię zgwałcił? Czy on znał zabójcę Darcy?

Susannah poczuła, że policzki jej płoną.

- Nie. Oni też się nie znali.

- Skąd to wiesz? - spytał łagodnie Luke, a Susannah zrozumiała jego sugestię.

- Właściwie nie wiem - odparła. - Jakie my byłyśmy głupie.

- Rzeczywiście niemądre - przyznał Al. - Co ty sobie myślałaś, Susannah?

- Nie zastanawiałam się. - Odwróciła wzrok, krzyżując ręce na piersi.

- Poznałam Darcy, kiedy była kelnerką w West Village, a ja studiowałam na Uniwersytecie Nowojorskim. Pewnego wieczoru przyszłam tam po jakieś jedzenie na wynos i zaczęłyśmy rozmawiać. Okazało się, że wiele nas łączy. Obie miałyśmy złe relacje z rodzicami, którzy nie zapewniali nam właściwej opieki. Darcy uciekła z domu, gdy miała czternaście lat. Brała narkotyki, poznała mroczne strony życia od podszewki.

- Która z was wpadła na pomysł, żeby spotkać się z tymi facetami?

- spytał Al, a Susannah znowu poczuła żar na policzkach.

- Darcy. Nienawidziła mężczyzn, tak samo jak ja. Powiedziała, że chce w końcu zapanować nad własnym życiem. Pragnęła być dziewczyną, która zostawia chłopaka samego w środku nocy i odchodzi, nie mówiąc nawet „dziękuję”. Na początku byłam tym zbulwersowana. A potem... po prostu poszłam z nią. - Za drugim razem było jej łatwiej. Za trzecim wydało się to przewrotnie ekscytujące. A za czwartym... wstydziła się nawet o tym myśleć.

Al i Luke popatrzyli po sobie.

- O co chodzi? - spytała Susannah.

- A jeśli Darcy została podstawiona, żeby cię poznać? - zasugerował Luke.

Susannah otworzyła usta.

- O mój Boże! Ja nigdy... - Ręce opadły jej bezwładnie po bokach. - To jakiś obłąd.

- Czy nie wydało ci się dziwne, że oba gwałty miały miejsce tego samego dnia, tyle że w innym roku? - spytał Al.

Susannah westchnęła.

- Oczywiście, ale pojechałam do tego hotelu z własnej woli. Wybrałam tę datę specjalnie. To miała być moja deklaracja niezależności. Później wmawiałam sobie, że to

był... omen. Kara boska, nazwijcie to, jak chcecie. Popeliłam błąd i musiałam za to zapłacić. Ta data to był pewien symbol. Rodzaj oczyszczenia czy coś w tym rodzaju. Głupio to brzmi, kiedy mówię o tym głośno.

- Stałaś się ofiarą- powiedział Luke. - Dwukrotnie. Nie myślałaś wtedy jak prokurator, tylko jak istota ludzka, która musi znaleźć sens w traumatycznych przeżyciach. Chociaż tak naprawdę nie ma w tym żadnej logiki. Złe rzeczy przydarzają się również dobrym ludziom. I tyle.

Nie byłam dobrym człowiekiem, pomyślała. Skinęła jednak głową.

- Wiem.

Luke zamrugał i Susannah zdała sobie sprawę, że nie uwierzył, że tak łatwo zdołał ją przekonać.

- A co z tym facetem, który cię zgwałcił? Możesz go opisać?

- Oczywiście. Nigdy nie zapomnę jego twarzy. Ale co to pomoże? To było sześć lat temu.

- Możemy sporządzić portret pamięciowy, na wypadek gdyby ten człowiek nadal kręcił się w pobliżu albo miał coś wspólnego z tym czarnym samochodem - odparł Luke, po czym zwrócił się do Ala: - Jak mogę skontaktować się z zabójcą Darcy?

- To Michael Ellis - wtrąciła Susannah. Luke zmarszczył brwi.

- Co powiedziałaś?

- Michael Ellis - powtórzył Al. - Zabójca Darcy. Czemu pan pyta? Luke przesunął dłońmi po nieogolonej twarzy.

- W ogniotrwałym sejfie Granville'a znaleźliśmy dwa paszporty. W obu było jego zdjęcie, ale każdy został wystawiony na inne nazwisko. Jedno z nich to Michael Tewes, a drugie Toby Ellis.

- Sukinsyn - mruknął Al. - A więc Granville to zorganizował.

- Razem z tym facetem z czarnego samochodu albo też powiedział mu później - stwierdził Luke.

Susannah usiadła, czując, że serce podeszło jej do gardła.

- Więc to wszystko zostało zaplanowane - powiedziała bezbarwnym głosem, spuszcżając wzrok. - Zostałam wystawiona. Polowali na mnie. Przez cały czas.

Luke ukucnął przed nią i ujął jej zimne dłonie w swoje ciepłe ręce.

- Granville za to zapłacił. Temu drugiemu facetowi też dobierzemy się do skóry. Czy mówi ci coś imię Rocky?

Pokręciła głową.

- Nie. A powinno?

- Podejrzewamy, że to imię współnika Granville'a.

Podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy, gdy zaświtała jej kolejna myśl, równie szalona jak pozostałe. Ale to nie było szaleństwo, tylko rzeczywistość.

- Simon śledził mnie w Nowym Jorku.

- Co masz na myśli? - spytał Luke.

- Daniel ci nie powiedział? - zapytała, a on pokręcił głową. - Kiedy byliśmy w Filadelfii, detektywi mieli kilka portretów Simona. Był bardzo dobry w maskowaniu się, przebierał się między innymi za staruszkę. Dzięki temu zwabiał swoje ofiary. Rozpoznałam go na jednym ze szkiców. Widywałam czasami tego starca, kiedy wyprowadzałam psa do parku. Siadał kilka metrów ode mnie i wdawał się w pogaduszki, a ja nie miałam pojęcia, że to mój brat.

- Simon nie może być współnikiem Granville'a - stwierdził Luke. - Już nie żyje.

- Wiem, ale... - Westchnęła. - Już nie mam pojęcia co. Luke uściśnął jej rękę.

- Spróbuj się trochę odprężyć, a na pogrzebie miej oczy otwarte. Będę tam również. - Spojrzał na Alę. - Pan też się wybiera?

- Jakżeby nie - odparł Al ponuro.

- To dobrze. Wszyscy musimy dobrze się rozglądać.

Ridgefield House, sobota, 3 lutego, godzina 9.45

Bobby odłożyła telefon, czując jednocześnie radość i niepokój. Analiza dokonana przez Paula okazała się jak zwykle trafna i teraz, po odrobinie perswazji, Bobby miała nowego informatora w zespole GBI. Informacje od tej osoby były jednak niepokojące. Beardsley nie tylko przeżył, ale zaczął mówić. Policja wiedziała o Rocky. A Rocky przebrała dziś miarękę, zachowując się beczelnie.

- Przyszedł pan Charles i chciałby porozmawiać - oznajmił Tanner, stając w drzwiach.

Wścibski staruszek.

- Wprowadź go. Dziękuję.

Do pokoju wszedł Charles w czarnym garniturze i z nieodłączną szkatułką z kości słoniowej pod pachą.

- Pomyślałem, że wpadnę. - Poklepał pudełko. - Może rozegramy partyjkę?

- Nie jestem w nastroju. - Bobby wskazała mu krzesło. - Usiądź, proszę.

Charles wykrzywił usta w protekcyjnym uśmiechu.

- Co cię gryzie?

- DRC jeden-dziewiętnaście - odparła Bobby i po raz pierwszy w życiu zobaczyła zaskoczenie na twarzy Charlesa.

Szybko jednak się opanował i na jego usta wrócił uśmiech.

- Skąd o tym wiesz?

- Mam źródło informacji w ekipie GBI, która prowadzi śledztwo w sprawie incyden-
tu w bunkrze. - Podejrzuwała wprawdzie, że jej informator w GBI coś ukrywa, ale
ujawnił dostatecznie dużo, aby można było opracować plan działania.

- Zawsze byłaś moją najlepszą uczennicą - stwierdził Charles.

- Nie zmieniaj tematu. Czy to ty jeździsz tym czarnym wozem?

- Oczywiście. Chciałem zobaczyć jej minę.

- A jeśli cię zatrzymają? Złapią?

- Dlaczego mieliby mnie zatrzymywać? Nie przekraczam dozwolonej prędkości.

Bobby zmarszczyła brwi.

- To niedopuszczalne ryzyko.

Łagodny wyraz twarzy Charlesa zmienił się na lodowaty.

- Zachowujesz się jak stara baba. - Pochylił się i spojrzał jej w oczy. - Miałem o to-
bie lepsze zdanie.

Bobby spuściła wzrok i poczuła się jak skarcona pięciolatka. Charles z zadowoleniem
rozparł się na krześle.

- O czym jeszcze doniosła ci ta wtyczka z GBI?

- Beardsley słyszał, jak Granville mówił o Rocky - odparła Bobby ponuro. Nienawi-
dzę cię, stary ramolu.

- Posługiwał się jej przezwiskiem czy imieniem?

- Przewiskiem, ale i tak za dużo wiedzą.

- Racja. Co zrobisz?

Dokładnie to samo, co ty byś zrobił. Zabiję ją.

- Jeszcze nie wiem.

Charles pokręcił głową z dezaprobatą.

- Przejeżdżałem koło domu Randy'ego Mansfielda. Wciąż stoi. Sukinsyn. Pokpił
sprawę.

- Tak, wiem.

- Dlaczego wciąż stoi? - Uniósł brwi, w oczach miał wyrzut. - To do ciebie niepo-
dobne, żeby przeoczyć tak ważny szczegół.

Bobby aż skręcało ze złości.

- Niczego nie przeoczyłam. Mój człowiek nie wykonał roboty tak, jak trzeba. -I dla-
tego zginie, jak tylko go znajdę. GBI już go szuka. Muszę dopaść go pierwsza. Bóg wie,
co mógłby im naopowiadać.

- Więc nawaliłaś.

Bobby znowu spuściła wzrok, przygnębiona.

- Tak, nawaliłam.

- Co się stało? - spytał Charles nieco łagodniej, jakby mówił do psa, którego przed chwilą ukarał za złe zachowanie.

Nienawidzę cię.

- Pepper chciał być za sprytny. W obu domach podłożył bomby z urządzeniem zegarowym, a potem odratował dom na wypadek, gdyby gliny weszły, zanim mechanizm się włączy. Gliniarze natknęli się na drut u Granville'a i od razu sprawdzili dom Mansfielda. Saperzy rozbroili oba mechanizmy, zanim doszło do wybuchu.

- Kiedy przejeżdżałem, koło jego domu było mnóstwo glin.

- Wiem, ale znaleźli tylko kolekcję broni i zdjęcia z pornografią dziecięcą.

- Jego ojciec był bystry - zauważył Charles. - A Randy to zwykły nieudacznik.

- Racja. Dom Granville'a spłonął doszczętnie. Znaleźli tylko ognioodporny sejf z fałszywymi paszportami w środku.

- Czemu twój podpalacz nie użył po prostu benzyny i zapalek?

- Nie mam pojęcia. Spytałam go, jak go znajdzie.

- A wiesz, gdzie teraz jest?

Nie, ale nie zamierzam się do tego przyznawać.

- Oczywiście. Tak samo jak wiem, gdzie są żony Gartha i Toby'ego, których poszukują. - To, na szczęście dla niej, było prawdą. - Gliniarzom się wydaje, że mogą ich zaprowadzić do Rocky'ego. Myślą, że to facet, i uważają go za współnika Granville'a i mózg całego przedsięwzięcia.

- Co jeszcze? Bobby zawahała się.

- Wiedziałaś, że Susannah Vartanian została zgwałcona przez klub Granville' a trzynaście lat temu?

Charles uniósł rękę.

- Powiedzmy, że to było... prywatne przedstawienie.

- Susannah właśnie podpisała zeznanie, w którym oskarża Gartha Davisa o gwałt.

- Interesujące - skwitował Charles. - Coś jeszcze?

- Z pewnością wiesz o tym incydencie z Darcy Williams?

- Oczywiście. I co jeszcze?

- Nic. - Z wyjątkiem tego, że Susannah będzie dziś na pogrzebie Sheili Cunningham.

No i jest pewnie sporo innych rzeczy, o których informator z GBI nie wspomniał.

Zaczynała się bać. Pojawiało się zbyt wiele nieoczekiwanych przeszkód. Przypominało to górę lodową powoli wyłaniającą się z wody. Zderzenie było rychłe i nieuchronne. A Bobby nie znośiła się bać. Charles zawsze potrafił wyczuć strach.

Wstał, wydawszy z niesmakiem wargi.

- Muszę iść.

- Dokąd?

- Chowają dziś tę Cunningham - odparł. - To byłoby niedbalstwo z mojej strony, gdybym nie poszedł. - Zbliżył się do Bobby tak, że jego cień padł na jej krzesło, i czekał.

Mimo szczerých wysiłków, by nie patrzeć mu w oczy, wreszcie uniosła wzrok i jak zwykle nie mogła go już odwrócić. Nienawidzę cię, staruchu.

- Zawiodłaś mnie, Bobby. Boisz się. I to głównie sprawia, że nic ci nie wychodzi.

Chciała coś powiedzieć, ale żadne słowo nie wyszło z jej ust. Charles roześmiał się gorzko.

- To nie twój człowiek nawalił w domu Mansfielda, Bobby, i nie twój personel zawiódł w szpitalu. To nie twoja pomocnica jest wszystkiemu winna, tylko ty. Siedzisz w tym zrujnowanym domu i uważasz, że pociągasz za sznurki. - W jego głosie brzmiała pogarda. - Że jesteś mistrzynią. Ale tak nie jest. Tkwisz tutaj, chowając się przed światem i przed tym, co ci się należy z racji urodzenia.

Pochylił się.

- Chciałabyś być mistrzynią, ale jesteś zaledwie cieniem tego, kim mogłabyś się stać. Zarządzasz tylko siecią objazdowych burdeli, które obsługują kierowców ciężarówek przy autostradzie. Bawisz się w luksusową dostarczycielkę najlepszego towaru, a jesteś tylko stręczycielką trochę lepszej klasy. Wydawałaś się znacznie bardziej interesująca, kiedy sama byłaś dziwką.

Serce Bobby waliło jak oszalałe. Powiedz coś. Broń się. Nie odezwała się jednak, a usta Charlesa wykrzywiły się w szyderczym uśmiechu.

- Czy dowiedziałaś się, po co Susannah tu wróciła? Oczywiście, że nie. Pozwolisz jej wymknąć się z powrotem do Nowego Jorku, daleko stąd.

- Ostatnie dwa słowa wypowiedział jękliwie, przedrzeźniając Bobby. - Mogłaś w każdej chwili pojechać do Nowego Jorku i się zemścić, ale najwyraźniej ci na tym nie zależy.

Zrobił krok do tyłu, a Bobby podążyła za nim wzrokiem niczym pies, który liczy na jakiś kąsek. Nienawidzę cię, staruchu. Charles wsunął pod pachę swoje pudełko z kości słoniowej.

- Wrócę dopiero wtedy, gdy pokażesz, że zasługujesz na mój szacunek.

Wyszedł, a Bobby siedziała nieruchomo, zdruzgotana. Miał rację, pomyślała. Odizolowałam się. Zupełnie straciłam kontakt. Decyzja była prosta.

- Tanner! Jesteś mi potrzebny. Wyjeżdżam. Musisz pomóc mi się ubrać.

Tanner zaniepokoił się.

- Czy to dobry pomysł?

- Tak. Charles miał rację. Chowam się tu od dwóch dni, próbując pociągać za sznurki, które się rwą. Mam mało czasu. Gdzie ten kufer ze starymi ubraniami?

- Chcesz włożyć strój swojej matki? Bobby!

- Oczywiście, że nie zamierzam ubierać się w jej rzeczy. Była za niska.

- I miała fatalny gust.

- To też. Babka była wyższa. Jej ciuchy powinny na mnie pasować. Gdzie jest Rocky?

- Pewnie liże rany.

- Znajdź ją. Pojedzie ze mną. Ale najpierw pokaże mi wszystkie dziewczyny, które ma pod ręką. Stręczycielka trochę lepszej klasy, a niech to szlag! Charles jeszcze się udławi tymi słowami. Dałam Rocky za dużo swobody. Od dziś sama się zajmę pozy-skiwaniem nowych zdobyczy.

Oczy Tannera zabłysły.

- Znam wszystkie jej hasła i nazwy użytkowników. Bobby zamru-gała.

- Skąd?

Tanner wzruszył ramionami.

- Jestem złodziejem i zawsze nim będę, ale nadażam za techniką. Wysłałem na jej komputer trojana, który rejestruje każde naciśnięcie klawiszy. Znam wszystkie hasła, jakimi się posługiwała przez ostatnie sześć miesięcy, i wiem, gdzie mieszkają te dziewczyny.

- Ty przebiegły staruszk. Nigdy cię nie doceniałam.

- To prawda - rzekł, uśmiechnął się jednak.

Bobby ruszyła po schodach, po czym zatrzymała się i spojrzała z góry na Tannera.

- Czy wydawałam się bardziej interesująca, kiedy byłam dziwką?

- Zdecydowanie tak. Ale nie możesz już nią być, więc zaakceptuj to i idź dalej.

- Masz rację. Dopilnuj, żeby dziewczyny były przykute kajdanami do ściany. Kto jest dziś na dyżurze?

- Powinien być Jesse Hogan, ale... - Tanner się wzdrygnął.

- Ale Beardsley go zabił. Hogan był głupi, pozwalając, żeby więzień go zaatakował. Zadzwoń do Billa. Jeśli będzie marudził o nadgodzinach, powiedz mu, że zapłacę podwójnie. - Bobby zawsze dobrze wynagradzała strażników. - Musimy zatrudnić kogoś na miejsce Hogana.

- Zajmę się tym. Coś jeszcze? Bobby rozejrzała się po holu.

- Charles powiedział, że ten dom to ruina.

- Co do tego miał rację. Pełno tu przeciągów i żadne urządzenie nie działa sprawnie, a zwłaszcza kuchenka. Trudno zaparzyć dobrą herbatę, kiedy nie można porządnie zagotować wody.

- A więc znajdziemy inny dom. Mam dostatecznie dużo pieniędzy. Rozwalmy tę rudę.

Tanner uniósł siwe brwi.

- Słyszałem, że dom Vartanianów stoi pusty. Bobby roześmiała się.

- Wszystko w swoim czasie, Tanner. Na razie pomóż mi się ubrać na pogrzeb. I dopilnuj, żeby mój pistolet był naładowany.

Odjeżdżając, Charles spojrział w lusterko wsteczne. Bobby stała się zbyt pewna siebie i potrzebowała solidnego kopniaka w tyłek. Pomyślał o tym, jak daleko zaszli od dnia, w którym się poznali. Od razu wiedział, że jest w niej coś, co warto kształtować. Brzeźnię, jakie dźwigała, znacznie ułatwiało mu zadanie. Cenił jej determinację w dążeniu do sukcesu.

Było to w dużej mierze zasługą człowieka, który wychował Bobby. Często podnosił na nią swoją żelazną pięść, a gdy w końcu uniosła swoją, zatłukła na śmierć jego i jego żonę. Tanner był w to zamieszany, ale Charles nigdy nie zdołał ustalić, jak bardzo. Wiedział tylko, że Tanner został oskarżony, a Bobby pomogła mu uciec. Od tamtej pory się nie rozstawali.

Ale Tanner był już stary i wydawał się takim samym reliktem jak ten dom. Bobby musi się przeprowadzić. Domagać się tego, co jej się należało z racji urodzenia, bo lwia część jej pragnienia dominacji była dziedziczna - bezsporny fakt dla każdego, kto zadałby sobie trud, by się temu przyjrzeć, ale, o dziwo, nikt tego nie uczynił. Nikt oprócz mnie. Charles zastanawiał się czasami, dlaczego nikt inny nie dostrzegł tego, co jemu wydało się oczywiste, kiedy tylko spojrział w niebieskie oczy Bobby.

To było niczym piętno.

A tak przy okazji, musiał przyznać, że był trochę zaskoczony decyzją Susannah. Poszła na policję i opowiedziała o Darcy Williams. Naprawdę się tego nie spodziewał. Był jednak pewien, że nie wyjawiała więcej, niż musiała. Sześć lat wcześniej przywiódł ją do miejsca, o którego istnieniu nie miała wcześniej pojęcia. Pokazał jej głębiny perwersji, do jakiej była zdolna. Nie raz czy dwa, lecz wielokrotnie, aż nie mogła dłużej udawać, że to nie jej pomysł, i zaczęła sobą gardzić, pogrążona w obsesji, od której nie umiała się uwolnić.

Na tym właśnie polega różnica między Bobby a Susannah, pomyślał. Bobby tęskni za swoim dziedzictwem, a Susannah je odrzuca. Obie z równą determinacją zmierzają do celu. A przemożne pragnienia czynią człowieka wrażliwym i podatnym na wpływy.

Rano przycisnął Susannah i to skłoniło ją do wyznań. Powinien był przewidzieć, że to nastąpi. Po epizodzie z Darcy zwróciła się ku religii. Poświęciła się pracy i wierze. I wydawało się jej, że w obu tych dziedzinach odzyskała kontrolę. Ale Charles wiedział

lepiej. Pham zawsze mówił, że kiedy raz skosztuje się zakazanego owocu, jego smak pozostaje w pamięci. I kusi.

Charles mógłby skłonić Susannah do wszystkiego, co tylko chciał. To było wyzwanie.

Parę minut temu przycisnął Bobby. Teraz musiał stanąć z boku i obserwować, jak jego najlepsza uczennica zareaguje. Naprawdę miał nadzieję, że rozprawi się z Rocky. Był jeszcze mniej zadowolony z wyboru Bobby niż z wyborów dokonanych przez Granville'a.

Kiedy Granville wybrał Simona Vartaniana, ten był jeszcze młody, ale Charles już wtedy dostrzegał w nim szaleństwo. A potem ojciec Simona oświadczył, że jego syn nie żyje. Oczywiście Simon wcale nie umarł, tylko został wypędzony. W ten sposób sędzia Vartanian chciał chronić własną karierę. Oznajmił wszystkim, że Simon zginął w wypadku samochodowym. Pochował nawet zwłoki jakiegoś obcego człowieka, twierdząc, że to Simon. Charles czuł ulgę, stojąc nad jego grobem. Simon był na swój sposób przydatny, lecz na dłuższą metę doprowadził Granville'a do zguby.

Gdy Granville wyznaczył Mansfielda, Charles patrzył na to z optymizmem. Ale Randy nie okazał się nawet w połowie tak dobry jak jego ojciec.

Jeśli chodzi o Rocky, nie była ani szalona, ani bezużyteczna. Miała jednak w sobie pewną miękkość, która stała się kulą u nogi. A teraz znała ich sekrety. I jego twarz.

Jeśli Bobby się jej nie pozbędzie, ja to zrobię.

- Obudź się.

Monica usłyszała wypowiedziane szeptem słowa i z trudem uniosła powieki.

Znowu widzę. Poruszyła ręką i z ulgą stwierdziła, że czuje przymocowaną do niej kroplówkę. Wciąż mam rurkę do oddychania. Nie mogę mówić. Ale nie jestem sparaliżowana.

Zamrugła i zobaczyła wyraźniej pochyloną nad nią kobietę. To pielęgniarka. Ogarnął ją lęk, a serce zaczęło bić jak oszalałe.

- Posłuchaj - rzekła pielęgniarka ochryplym głosem. Monica widziała jej oczy zaczerwienione od płaczu. - Oni porwali twoją siostrę. Mam zdjęcie. - Podsunęła jej telefon i serce Moniki zamarło.

Boże, to prawda. To była Genie, zakneblowana i związana. Leżała w bagażniku jakiegoś samochodu. Mogą ją zabić. O Boże!

- Twoja siostra żyje - powiedziała pielęgniarka. - Ale oni na pewno nie żartują. Kazali mi cię zabić, ale nie potrafiłam. - Łzy napłynęły jej do oczu. - A teraz moja siostra nie żyje. Pobili ją na śmierć.

Monica z przerażeniem patrzyła, jak pielęgniarka wstrzykuje jej coś w żyłę i odchodzi.

Dutton, sobota, 5 lutego, godzina 11.05

Nie mogę tego zrobić - powiedziała Rocky. - Złapią mnie.

- Boisz się - prychnęła Bobby.

- Owszem, boję się. Chcesz, żebym zastrzeliła Susannah Vartanian na cmentarzu? Na oczach wszystkich?

- W tłumie łatwiej się zgubić - odparła Bobby. - Kiedy tylko strzelisz, rzucisz broń. Zrobi się takie zamieszanie, że będziesz mogła odejść.

- To szaleństwo. Bobby zmarszczyła brwi.

- Myślałam, że mi ufasz.

- Tak, ale...

- Wymiękasz przy byle okazji - stwierdziła Bobby szorstko. - Wczoraj w bunkrze. W sprawie z pielęgniarką. Jeśli zamierzasz dalej robić uniki, nie będzie z ciebie żadnego pożytku. A wiesz, że nikt nie może tak po prostu ode mnie odejść.

- Wiem - odparła Rocky. Wiedziała, że jeśli odmówi, sama zginie. Nie chciała umierać.

Bobby przyglądała się jej uważnie.

- Boisz się. Jesteś do niczego. Na nic mi się nie przydasz. Rocky spojrzała na pistolet, który Bobby wycelowała w jej stronę.

- Zastrzelisz mnie? Tak po prostu?

- Tak. Skoro mi nie ufasz po tym wszystkim, co dla ciebie robiłam... Powinnaś okazać wdzięczność, a wciąż mnie zawodzisz. Nie potrzebuję nieudaczników. To dla ciebie ostatnia szansa, żeby się wykazać. Udowodnić, że warto cię tu trzymać.

Bobby siedziała na krześle, spokojna i pewna siebie, a Rocky miała ochotę krzyknąć. Złość walczyła w niej ze strachem. Dokąd pójdzie, gdy Bobby ją wyrzuci? Zostanie sama.

- Czy mogę przynajmniej mieć pistolet z tłumikiem?

- Nie. Aby być moją protegowaną, musisz udowodnić, że jesteś odważna. Jeśli dziś ci się uda, już nigdy nie będziesz się bać. Więc wybieraj. Możesz żyć i dalej mi służyć albo chować się ze strachu i umrzeć.

Rocky wpatrywała się w pistolet w ręku Bobby. Obie możliwości były do niczego. Ale bardziej nie podobało jej się umieranie. I miała już dosyć strachu.

- Zrobię to - powiedziała.

Ale kiedy strzelę, to nie Susannah Vartanian padnie martwa, tylko ty. Powiem im, kim jesteś i co zrobiłaś. A wtedy będę wolna.

Dutton, sobota, 3 lutego, godzina 11.35

- Czy ktoś w ogóle został w domu? - szepnął Luke. - Mam wrażenie, jakby całe miasto się tutaj zeszło.

- Na to wygląda - odparła Susannah. Stała między Lukiem a Alem na cmentarzu za kościołem baptystów. Chase ulokował się gdzieś w tłumie i obserwował, co się dzieje, wspomagany przez dziesięciu policjantów stanowych w cywilu.

- Czy widzisz kogoś, kto wydaje ci się znajomy? - zapytał Luke.

- Tylko ludzi, wśród których dorastałam. Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś o kimś konkretnym, pytaj.

- Dobrze. Kim jest ten kaznodzieja, który odprawiał mszę?

- To pastor Wertz - odparła bardzo cicho, więc Luke pochylił głowę, żeby lepiej słyszeć. Dzisiaj znowu pachniał jak cedr, pomyślała Susannah, tamten zapach dymu i śmierci zniknął. - Był pastorem, zanim się urodziłam. Mój ojciec uważał go za głupca. A to znaczyło, że pastora nie można było przekupić albo nie był dostatecznie bystry, żeby bawić się gierki ojca. Wertz prawie się nie zmienił, tylko kazania miał kiedyś o wiele dłuższe. Dzisiejsze trwało zaledwie dwadzieścia minut.

- Ostatnio sporo ich wygłasza - wtrącił Al. - Może ustalił sobie jakiś limit?

Susannah pomyślała o wszystkich, którzy zginęli z ręki Macka O'Briena.

- Pewnie masz rację.

- A ten starszy dżentelmen ze świtą? - spytał Luke.

- To kongresman Bob Bowie.

- Jego córka była pierwszą ofiarą Macka O'Briena - szepnął Luke, a Susannah skinęła głową.

- Obok stoi jego żona Rose i syn Michael.

- A ten chudy staruszek koło syna?

- To Dinwiddie, lokaj Bowiech. Pracuje u nich od lat. Mieli służących, którzy mieszkali u nich w domu, i moja matka im tego zazdrościła. Też chciała mieć lokaja, ale ojciec się nie zgodził. Mówił, że służący mają gumowe uszy i lubią paplać. Prowadził zbyt wiele potajemnych interesów, żeby obarczać się dodatkowo zarządcą posesji.

- Czy kogoś jeszcze powinienem poznać?

- Widzisz tę starszą utapirowaną panią trzy rzędy dalej? To Angie Delacroix. Może być dobrym źródłem informacji. Angie prowadzi salon piękności i wie o wszystkim, co dzieje się w Dutton. A jeśli ona o czymś nie usłyszy, dowie się tego trio spod męskiego fryzjera. To oni, o tam.

Na składanych krzesłach przy grobie siedziało trzech staruszków. Wstali równocześnie i teraz szli przez trawnik.

- Trio spod fryzjera? - zdziwił się Al, zerkając na zbliżających się starszych panów.

- Tak. Zawsze było ich trzech. Przesiadują na ławce przed męskim zakładem fryzjerskim przez cały dzień i patrzą, co dzieje się dookoła. Od poniedziałku do piątku. Robią sobie godzinną przerwę na lunch w jadalni po drugiej stronie ulicy. To taka tradycja Dutton. Inni staruszkowie z miasteczka muszą czekać, aż któryś z tej trójki umrze i zwolni się miejsce na ławce.

- A ja myślałem - mruknął Luke - że mój stryjeczny dziadek Yanni jest dziwny, kiedy pomalował oczy swoich posągów z podwórka na niebiesko. Który z tych facetów to dawny nauczyciel Daniela? Pomógł nam wczoraj w poszukiwaniach Macka O'Briena. Może znowu udzieli nam jakichś informacji.

- To pan Grant, ten z prawej. Pozostali to doktor Fink i doktor Grim. Przyprawiają mnie o gęsią skórkę - odparła.

- Nic dziwnego, skoro nazywają się Fink i Grim*¹ - powiedział Luke rozbawiony.

- Doktor Fink był moim dentystą. Wciąż nie mogę opanować strachu, kiedy słyszę dźwięk wiertła dentystycznego. Z kolei pan Grant zawsze opowiadał o zmarłych poetach. Próbował mnie namówić do chodzenia do teatru. A doktor Grim uczył mnie biologii. Wydawał się... dziwny.

- Pod jakim względem? - zapytał Luke.

- Ben Stein z *Wolnego dnia Ferrisa Buellera* sprawia przy nim wrażenie lekkomyślnego wesołka.

- Tak bardzo się wszystkim przejmuję? - spytał Luke z lekkim uśmiechem.

- Delikatnie mówiąc. - Susannah wyprostowała się, kiedy trzej staruszkowie zatrzymali się przed nią. - Panowie, pozwólcie, że wam przedstawię agenta specjalnego Papadopoulosa i zastępcę prokuratora okręgowego Ala Landersa. A to doktor Fink, doktor Grim i pan Grant.

Starsi panowie uprzejmie skinęli głowami.

- Panno Susannah. - Doktor Fink ujął ją za rękę. - Nie miałem okazji złożyć kondolencji na pogrzebie pani rodziców.

¹ * *Fink* to po angielsku „kapuś, drań”, a *grim* - „ponury” (przyp. tłum)

- Dziękuję, panie Fink - odparła cicho. - Doceniam to. Następny staruszek cmoknął ją w policzek.

- Wyglądasz cudownie, moja droga.

- I pan świetnie się trzyma, panie Grant.

- Słyszeliśmy o Danielu - rzekł z troską. - Czy już z nim lepiej?

- Nadal przebywa na oddziale intensywnej opieki medycznej, ale rokowania są dobre.

Grant pokiwał głową.

- Nie mogę uwierzyć, że zaledwie wczoraj dał mi ten tomik poezji, a teraz... Ale jest młody i silny. Wyliże się.

- Na pewno.

Trzeci staruszek przyglądał się jej bacznie.

- Wygląda pani mizernie, panno Vartanian.

- Jestem po prostu zmęczona, doktorze Grim. To były dla mnie dwa bardzo trudne tygodnie.

- Czy bierze pani witaminę B-12? Pamięta pani chyba o konieczności zażywania witamin, prawda?

- Jakże mogłabym zapomnieć o tak ważnej sprawie, panie doktorze. Twarz Grima złagodniała.

- Tak mi przykro z powodu pani rodziców. Susannah opanowała niemiły dreszcz.

- Dziękuję.

- Przepraszam - odezwał się Luke - ale pewnie słyszeli panowie o śmierci doktora Granville'a.

Wszyscy trzej się skrzywili.

- To był straszny szok - rzekł doktor Fink. - Zanim odszedłem na emeryturę, miałem gabinet obok jego przychodni. Rozmawiałem z nim codziennie. Czasami jedliśmy razem lunch. Córka przyprawiała do niego moje wnuki na szczepienia. Nie miałem pojęcia...

- Był jednym z moich uczniów - wtrącił pan Grant. - Bystry umysł. Przeskoczył dwie klasy i wcześniej skończył szkołę. Co za strata. Fink ma rację. To szok dla nas wszystkich.

Doktor Grim wydawał się najbardziej załamany.

- Był moim najlepszym uczniem. Nikt nie przyswajał biologii lepiej niż Toby Granville. Nigdy bym nie pomyślał, że tkwi w nim tyle zła. To niewiarygodne.

- Rzeczywiście - przyznał Luke. - Panowie na pewno bardzo dużo wiecie o wszystkim, co dzieje się w Dutton.

- A jakże - odparł z dumą doktor Fink. - Przynajmniej jeden z nas zawsze siedzi na ławce.

Susannah uniosła brwi.

- Myślałam, że siedzicie tam razem przez cały dzień.

- Na ogół tak. Odchodzimy tylko wtedy, kiedy mamy jakieś ważne sprawy do załatwienia - wyjaśnił Grant. - Takie jak cotygodniowa terapia mojego kolana, dializy pana Finka czy...

- Wystarczy, Grant - przerwał mu Grim. - Agenta Papadopoulosa nie interesuje nasz rozkład dnia. Czy ma pan jakieś konkretne pytania, agencie Papadopoulos?

- Owszem, mam - odparł Luke. - Czy widzieliście kiedyś, żeby doktor Granville rozmawiał z kimś innym niż zwykle?

Wszyscy trzej zafrasowali się i spojrzeli po sobie.

- Na przykład z jakąś kobietą? - zapytał Fink. - Chodzi panu o to, czy miał romans?

- Nie - odrzekł Luke. - A uważacie, że miał?

- Raczej nie - powiedział Grim. - Twierdzenie, że był bogobożny, zabrzmiałoby niedorzecznie, ale nigdy nie widziałem go w żadnej niestosownej sytuacji. Był miejscowym lekarzem. Rozmawiał ze wszystkimi.

- A więc nie miał nikogo, z kim byłby szczególnie zaprzyjaźniony albo z kim prowadziłby jakieś interesy?

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł Grant. - A wam?

Fink i Grim pokręcili głowami. Wydawało się dziwne, że nie chcą powiedzieć nic złego o człowieku, który okazał się gwałcicielem, zabójcą i pedofilem. Susannah pomyślała jednak, że ich powściągliwość może wynikać z braku zaufania do obcych.

- Dziękuję panom - rzekł Luke. - Żałuję, że nie spotkaliśmy się w innych okolicznościach.

Staruszkowie popatrzyli na Susannah i ruszyli z powrotem w stronę składanych krzesel.

Susannah odetchnęła.

- Ciekawe. Spodziewałam się, że potraktują oziębłe Ala, choćby dlatego, że jest Jankesem, ale nie ciebie, Luke, Amerykanina z Południa.

- Dobrze, że się nie odzywałem - mruknął Al, nieco urażony. Susannah uśmiechnęła się.

- Przykro mi, szefie, ale starsze pokolenie wciąż chowa urazy.

- Nie oczekiwałem innej reakcji - powiedział Luke. - Skandal związany z Granville'em rzucił cień na całe miasto. Co to za kobieta z aparatem fotograficznym?

- Marianne Woolf. Jej mąż jest właścicielem „Dutton Review”. Luke gwizdnął cicho.

- Daniel mówił, że aż za bardzo lubi męskie towarzystwo. Teraz rozumiem, o co chodzi.

Susannah poczuła ukłucie zazdrości. Mężczyźni zawsze tak reagowali na Marianne, a czas obszedł się z nią łagodnie. Zastanawiała się, czy to zasługa operacji plastycznych; w końcu stwierdziła, że nie będzie się głowić nad takimi bzdurami.

- Pewnie szykuje reportaż do „Dutton Review” - stwierdziła. - Nie ma tu jej męża ani jego braci. Wczoraj pochowali siostrę.

- Lisa Woolf była jedną z ofiar O’Briena - wyjaśnił Alowi Luke. Susannah nie chciała myśleć o ofiarach Macka. Ich śmierć miała zbyt bliski związek z Simonem, a także z nią samą.

- Ten mężczyzna koło pastora Wertza to Corey Presto, właściciel pizzerii, w której zastrzelono Sheilę - powiedziała.

- Znam go. Byłem z Danielem na miejscu zbrodni. - Luke rozejrzał się po zgromadzonych. - Dwie trzecie tych ludzi to dziennikarze. Na pogrzebie twoich rodziców pojawiło się wielu łowców sensacji, ale to tutaj to prawdziwe szaleństwo.

- To prawda - przyznała Susannah i dodała po chwili wahania: dziękuję, że byłeś na ich pogrzebie. Dla Daniela wiele znaczyło, że przyszedłeś. Ty i twoja rodzina.

Uścisnął jej rękę.

- Nie mogliśmy pozwolić, żeby Daniel przechodził przez to wszystko sam.

Zadrżała, czy to pod wpływem jego dotyku, czy uczucia, którego nie była do końca pewna. Przez chwilę przyglądała się ludziom w tłumie. Nagle ściągnęła brwi.

- Dziwne - powiedziała. Al Landers od razu się spiął.

- Co takiego?

- Popatrzcie na tę samotną kobietę z tyłu. To Kate, siostra Gartha Davisa. Nie spodziewałam się, że przyjdzie. Przecież Sheila to jedna z ofiar Gartha.

- Może po prostu chciała pożegnać zmarłą - podsunął Al.

- Może - odparła Susannah z powątpiewaniem.

- Ciii... - szepnął Luke. - Za chwilę zaczną.

Ceremonia była krótka i przygnębiająca. Corey Presto, stojący obok pastora Wertza, cicho płakał. Susannah nigdzie nie widziała przyjaciół ani rodziny zmarłej. Zastanawiała się, ilu z zebranych naprawdę znało Sheilę Cunningham.

Widząc niezdrowa ciekawość na wielu twarzach, doszła do wniosku, że nieliczni. O Sheili było głośno. W najbliższych dniach będą o niej plotkować ludzie spotykający się przy automatach z napojami. A kiedy rozejdzie się wiadomość o jej zeznaniu, ona stanie się tematem takich rozmów.

Pastor Wertz zmęczonym głosem odczytał fragment z Biblii. W ostatnich dniach odprawił dwa pogrzeby, a szykowały się kolejne.

Kiedy Corey Presto położył czerwoną różę na trumnie Sheili, Susannah pomyślała o Danielu. Jej brat wczoraj omal nie zginął. Gdyby Alex nie zareagowała tak szybko, ona za parę dni znowu znalazłaby się na tym cmentarzu, chowając ostatniego ze swoich bliźnich.

Wtedy stałabym się samotna jak Sheila Cunningham. Może nawet bardziej, bo Sheila miała przynajmniej Coreya Presta, ja nie mam nikogo. Susannah przełknęła z trudem, zaskoczona łzami spływającymi jej po twarzy. Szybko wytarła policzki i zeszywniała, kiedy dłoń Luke'a dotknęła jej włosów, a potem spoczęła na jej plecach, ciepła i mocna. Uległa pokusie, by odchylić się i oprzeć o niego głowę.

I przez moment pozwoliła sobie zatęsknić za mężczyzną takim jak Luke Papadopoulos, uczciwym i dobrym. Nie to jej było pisane. Nie po tym, co o niej wiedział. Okazywał jej uprzejmość, bo była siostrą Daniela, i może nawet mu się podobała, ale człowiek, którego mama nosi w torebce różaniec, nigdy nie będzie chciał... kobiety takiej jak ona. Czy można go za to winić?

Gdy pastor Wertz powiedział „amen”, Susannah odsunęła się od Luke'a, fizycznie i psychicznie. Al podał jej chusteczkę.

- Tusz ci się rozmazał - szepnął. Wytarła twarz.

- Czy już w porządku?

- Tak. Dobrze się czujesz? Nie.

- Tak - odparła i zwróciła się do Luke'a: - Nie musisz mnie pilnować. Poradzę sobie. Nie uwierzył, ale skinął głową.

- Muszę wracać. Mam spotkanie o drugiej. Zadzwoń, gdybyś mnie potrzebowała albo jeśli zobaczysz kogoś, kto wygląda znajomo. - Rozejrzał się. - Chciałem porozmawiać z Kate Davis. Widzisz ją gdzieś?

Susannah nigdzie nie dostrzegła Kate.

- Pewnie już poszła. To dla niej niezręczna sytuacja. Luke spojrział na Alę.

- Jest tu sporo policjantów. Zawołajcie ich, gdyby byli potrzebni. Kiedy Luke odszedł, Al zwrócił się do Susannah.

- On jest bardzo... miły. Pozostawiła tę uwagę bez komentarza.

- Wracajmy. Nie byłam jeszcze u tej rannej dziewczyny.

Zrobiła zaledwie kilka kroków, gdy drogę zastąpiła jej wysoka blondynka o smutnej twarzy.

- Dzień dobry - powiedziała. - Susannah Vartanian, prawda? Al otoczył Susannah ramieniem.

- Tak, to ja - odparła. - Czy my się znamy?

- Nie sądzę. Nazywam się Gretchen French.

Ofiara gwałtu, która chce zorganizować konferencję prasową.

- Co mogę dla pani zrobić?

- Kilka dni temu poznałam pani brata Daniela. Słyszałam, że został postrzelony przez Randy'ego Mansfielda.

Napięcie w piersi Susannah zelżało.

- To prawda, ale wyjdzie z tego.

Gretchen uśmiechnęła się z wyraźnym trudem.

- Chciałam tylko prosić, żeby podziękowała mu pani w moim imieniu. Dzięki niemu i Talii Scott łatwiej mi przejść przez to wszystko. Pani brat to wspaniały człowiek.

Susannah skinęła głową.

- Przekażę mu.

- To miło, że pani przyszła pożegnać Sheilę w zastępstwie brata. Susannah poczuła, że Al mocniej zaciska rękę na jej ramieniu, chcąc dodać jej otuchy.

- Nie dlatego tu jestem.

- Więc znała pani Sheilę?

- Nie.

Po prostu powiedz to. Powiedz. Za drugim razem będzie ci łatwiej. Gretchen ściągnęła brwi.

- To dlaczego pani przyszła? Susannah wzięła głęboki oddech.

- Z tego samego powodu co pani. - Wypuściła powietrze z płuc. - Ja też byłam ich ofiarą.

Gretchen zaniemówiła na dłuższą chwilę.

- Ale ja... - wykrztusiła wreszcie - naprawdę nie wiedziałam.

- Ja też nie wiedziałam o pani ani o innych do czasu, aż Daniel powiedział mi o wszystkim. Myślałam, że tylko mnie się to przydarzyło.

- Ja też tak myślałam. O Boże. - Gretchen wzięła głęboki oddech, próbując się uspokoić. - Wszystkie tak myślałyśmy.

- Złożyłam dziś oficjalne oświadczenie - powiedziała Susannah. - Będę zeznawać w sądzie.

- To będzie trudne - szepnęła Gretchen.

Trudne. Susannah zaczynała nienawidzić tego słowa.

- To będzie piekło dla nas wszystkich.

- Pewnie zdaje sobie pani z tego sprawę lepiej niż reszta z nas. Słyszałam, że pracuje pani w prokuraturze.

- Tak-powiedziała Susannah i Al znowu ścisnął jej ramię. Teraz tak, ale już wkrótce nie. Al miał rację. Ofiary przestępstw rzadko stać na obiektywną ocenę wydarzeń, a obrona w każdym procesie będzie się starała wykorzystać ten fakt. - Chloe Hathaway

wspominała, że organizuje pani konferencję prasową. Jeśli zawiadomi mnie pani, gdzie i kiedy się odbędzie, przyjdę.

- Dziękuję.

- Proszę nie dziękować. Dam pani swoją wizytówkę. Proszę do mnie zadzwonić, kiedy wszystko będzie ustalone. - Susannah pochyliła głowę, żeby zajrzeć do torebki, i wtedy rozległ się huk wystrzału.

W jednej chwili została powalona na ziemię, a powietrze uszło jej z płuc, gdy Al na niej wylądował. Na cmentarzu rozpętało się istne piekło. Przerażeni ludzie krzyczeli i biegali wkoło, a policja próbowała zaprowadzić porządek.

Susannah podniosła głowę i jej wzrok spoczął na kobiecie, która stała nieruchomo pośród całej tej gorączkowej bieganiny. Była ubrana na czarno - miała kapelusz z woalką, staroświecką suknię i rękawiczki. Woalka zasłaniała jej twarz, lecz Susannah czuła, że kobieta na nią patrzy.

Wpatrywała się w nieznajomą zahipnotyzowana.

Ona ma czerwone usta, pomyślała. Jaskrawa czerwień prześwitywała przez czarną koronkę, tworząc przerażający efekt. Nagle kobieta zmieszała się z tłumem i znikła.

- Nic ci nie jest? - zawołał Al, przekrzykując wrzaski wystraszonych ludzi.

- Wszystko w porządku.

- Nie podnoś się jeszcze przez kilka... O cholera! - Al poderwał się, by podtrzymać Gretchen French, która osuwała się na ziemię. - Ktoś ją postrzelił.

Susannah dźwignęła się na kolana i po raz drugi w ciągu ostatniej doby usiłowała zatamować krew wypływającą z rany postrzałowej. Gretchen była przytomna, ale bardzo blada. Kula przeszła przez jej ramię i kobieta silnie krwawiła.

- Nie ruszaj się - powiedziała Susannah. - Zwinęła chusteczkę Ala w kulkę i przycisnęła do ramienia Gretchen. - Al, podaj mi... - Podniosła wzrok i zobaczyła, jak Al wpatruje się w coś z przerażeniem. Serce jej zamarło. - O nie!

Kate Davis leżała między dwoma grobami. Jej nieruchome oczy spoglądały w niebo, a biała spódnica była czerwona od krwi. W wyciągniętej ręce trzymała pistolet.

Podeszli do niej dwaj policjanci. Jeden sięgnął po broń. Susannah wpatrywała się w leżącą, zszokowana. Nie słyszała drugiego strzału. Ale Kate Davis była martwa.

- Ona strzeliła do Gretchen - powiedział Al.

- Proszę nas przepuścić. - Załoga karetki pogotowia odsunęła Susannah z drogi, po raz drugi w ciągu ostatniej doby. Wstała, czując, że ma nogi jak z waty.

- Al...

Podtrzymał ją, a gdy zaczęły błyskać flesze aparatów, zasłonił własnym ciałem.

- Chodź - wysapał. - To miasto to jedno wielkie piekło.

- Wiem - odparła, z trudem łapiąc oddech.

Tanner zwolnił i Bobby wślizgnęła się na miejsce obok kierowcy.

- Jedź.

Po kilkunastu sekundach znaleźli się za bramą cmentarza.

- Załatwione?

- Oczywiście. Dokładnie tak, jak zaplanowałam.

- Czy ktoś cię rozpoznał?

- Nie.

Gdy Bobby zdjęła kapelusz z woalką, Tanner się skrzywił.

- Ten kapelusz jest okropny, ale szminka jeszcze gorsza. - Podał jej chusteczkę. - Zetrzyj ją.

- Sheila zawsze używała pomadki w takim kolorze. Pomyślałam, że to będzie miły akcent.

Tanner przewrócił oczami.

- Gdzie twój pistolet?

- Ten, z którego strzelałam do Rocky, rzuciłam na ziemię. A drugi wciąż mam przy sobie. - Dotknęła niewielkiej dziury w kieszeni. - Ten trening z Charlesem opłacił się. Dwie ręce, dwa cele i dwa trafienia. Spece od balistyki będą mieli sporo roboty.

- Więc Susannah Vartanian też nie żyje?

- Oczywiście, że żyje.

Na twarzy Tannerà pojawił się wyraz zaskoczenia.

- Powiedziałaś, że wszystko załatwione? Chybiłaś? Spojrzała na niego spode łba.

- Ja nigdy nie chybiam. Gdybym chciała trafić Susannah, zrobiłabym to. Ale to byłaby szybka i bezbolesna śmierć. A ja nie tego pragnę.

- Więc kogo postrzeliłaś?

- Nie mam pojęcia - odparła Bobby pogodnie. - Jakąś kobietę, która miała pecha i stała obok Susannah. - Roześmiała się. - Nie czułam się tak od... nie pamiętam. Chyba od czasu, kiedy zabiłam tego sukinsyna Lyle'a.

- Twój ojciec dostał za swoje - rzekł Tanner stanowczo.

- Tak jak Rocky. Wracajmy do Ridgefield. Muszę załatwić parę spraw, zanim wyruszymy do Savannah.

- Schył się - powiedział Tanner. - Przed nami wóz policyjny. Bobby schowała głowę pod deską rozdzielczą.

- Nie widziałam żadnego policyjnego auta.

- Nie był oznakowany - wyjaśnił Tanner. - Zmiatajmy stąd.

Dutton, sobota, 3 lutego, godzina 12.05

Luke wyskoczył z samochodu. Serce waliło mu jak oszalałe. Strzelanina na cmentarzu w Dutton. Kiedy tylko usłyszał te słowa przez radiotelefon, natychmiast zawrócił.

Susannah siedziała na fotelu pasażera w swoim wynajętym wozie, dwaj policjanci usiłowali zapanować nad tłumem, a zdenerwowany Al Landers krążył tam i z powrotem.

- Co się stało? - zapytał Luke. Al pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia. I nie sędzę, żeby twój szef już wiedział.

Luke zajął się samochodem. Susannah siedziała z rękami złożonymi na kolanach. Jej twarz i przód czarnej sukni były poplamione rdzawą gliną.

- Nic ci nie jest? Spojrzała na niego.

- Mnie nic. Ale Kate Davis nie żyje.

Luke zmarszczył brwi.

- Kate Davis? Chyba żartujesz?

- Chciałabym. Któryś z policjantów zabił ją po tym, jak strzeliła do Gretchen French.

Luke potrząsnął głową, aby odzyskać jasność myślenia.

- Kate Davis strzelała do kogoś? Na cmentarzu?

- Tak - potwierdziła Susannah spokojnie. - Do Gretchen French. Z pistoletu.

- To ta zgwałcona kobieta, o której wspominała Chloe? Która organizuje konferencję prasową?

- Tak. Na szczęście jest tylko lekko ranna. Zajął się nią lekarz. Al wysunął głowę zza samochodu.

- Susannah zapomniała wspomnieć, że stała tuż obok niej. Luke poczuł ucisk w żołądku. Susannah mogła zginąć.

- Pójdę sprawdzić, co z Gretchen French - rzucił szorstko - a potem pojedziesz ze mną.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Kate postrzeliła Gretchen, nie mnie. A teraz nie żyje. Więc chyba nie będzie strzelać do kogokolwiek.

- Jedź ze mną, proszę - powiedział łagodniej.

- Doceniam twoją troskę, Luke, ale nie musisz mnie niańczyć. Poradzę sobie sama.

- Pojedź ze mną - poprosił ponownie. - Zrozum, jestem tak wykończony, że trudno mi się skupić. A będzie mi jeszcze trudniej, kiedy zacznę się o ciebie martwić.

Skinęła głową.

- Zgoda. Czy mam z tobą iść?

- Nie. Poczekaj, aż wrócę. - Luke spojrział na Ala i spytał: - Czy mógłby pan odprowadzić ten wynajęty samochód?

- Tak. Garth Davis, brat Kate, to ostatni żyjący członek klubu Simona. Czy to możliwe, żeby wiadomość o zeznaniach Susannah wydostała się na zewnątrz?

- I dlatego ktoś chciał ją zabić? - Luke już się nad tym zastanawiał. - Dowiem się.

Odnalazł Chase'a w chwili, gdy ten przyglądał się zwłokom Kate Davis. Szef spojrział na niego kwaśno.

- Mam wyjątkowo zły dzień.

- Tak jak Kate - stwierdził Luke. - Kto ją zastrzelił?

- Nie wiadomo - rzekł Chase. - W każdym razie nikt z nas. Luke ściągnął brwi.

- Masz na myśli, że nie zrobił tego nikt z GBI?

- Nie, chodzi mi o to, że nie był to żaden z funkcjonariuszy znajdujących się na cmentarzu. Żaden z policjantów nie użył broni. Dlatego nie wiem, kto zastrzelił tę kobietę - odparł Chase cierpko.

Luke rozejrzał się zafrasowany.

- Czyli strzelał ktoś jeszcze?

- Na to wygląda.

- Pocisk trafił Kate prosto w serce. Ten ktoś miał dobre oko.

- Na szczęście Kate nie potrafiła tak dobrze strzelać. Gretchen dojdzie do siebie.

- Tak właśnie stwierdziła Susannah. Zabieram ją z powrotem do Atlanty. Więc co właściwie się stało?

- Kate Davis była w grupie osób stojących wokół grobu. Mnóstwo samochodów czekało na wyjazd z cmentarza i ludzie zaczęli się niecierpliwić.

- Zaparkowałem przy drugiej drodze dojazdowej - oznajmił Luke. - Musiałem kawałek podejść, ale za to szybko się stąd wydostałem.

- Nie tylko tobie się to udało i właśnie to jest nasz problem. Kiedy zaczęła się strzelanina, ludzie już zaczęli się rozchodzić i nie zdołaliśmy zablokować całego terenu.

Na cmentarzu wciąż było sporo osób, a wiele z nich ustawiło się wzdłuż żółtej policyjnej taśmy, mając nadzieję, że zobaczą na żywo, jak pracują detektywi badający miejsce zbrodni.

- Jacyś świadkowie?

- Trzej starszaki, którzy siedzieli na składanych krzesłach, mieli dobry widok na wszystko. Widzieli Kate. Stała z żakiem przewieszonym przez ramię i wyglądała na zdenerwowaną. - Wskazał żakiet leżący na ziemi nieopodal zwłok. - W następnej chwili rozległ się strzał i ludzie zaczęli krzyczeć. Al Landers rzucił się na Susannah i powalił ją na ziemię, ale to Gretchen French została trafiona. Kilka sekund później dwaj policjanci wyciągnęli pistolety i wycelowali w Kate. Jeden z nich kazał jej rzucić broń. Po-

noć wyglądała na zaskoczoną. - Chase spojrział Luke'owi w oczy. - I potem powiedziała: „Chybiłam”.

- Psiakrew.

- Po chwili Kate zwała się jak kłoda. Była martwa, zanim upadła na ziemię. Jak sam stwierdziłeś, ktoś miał dobre oko.

- I pistolet z tłumikiem.

- Zgadza się.

- I ten drugi strzelec uciekł. - Luke starał się opanować lęk, który ścisnął go za gardło. Kate chybiła i Susannah nic się nie stało, a Gretchen była tylko lekko ranna. - Dobrze, że to ty będziesz rozmawiał z szefostwem i z prasą. Wyszliśmy na cholernych durniów.

- Można to tak określić. Ale nie musisz tu zostawać, Luke. Ed zbada miejsce zbrodni, a ja poradzę sobie z dziennikarzami. - Chase się skrzywił.

- Wszyscy mają wspaniały materiał do swoich relacji.

- Dobrze, że tu byliśmy - rzekł Luke i Chase przewrócił oczami.

- Miałeś rację. Wcale nie chodziło o niańczenie Susannah.

- Dzięki, że to mówisz. A więc ja wracam. O drugiej muszę się zobaczyć z rodzicami Kasey Knight. No wiesz, tej martwej dziewczyny, którą udało nam się zidentyfikować. Nie palę się na to spotkanie.

- Chwileczkę - zatrzymał go Chase. - Czy już sprawdziłeś, czy Granville miał skrytkę depozytową w banku Davisa w Dutton?

- Pojechałem tam przed pogrzebem, ale bank był zamknięty - odparł Luke. - Dziś w Atlancie jest pogrzeb wnuka dyrektora banku, Roba Davisa.

- Rob Davis wkurzył Macka O'Briena, który w odwecie zabił jego wnuka. - Chase westchnął. - Jego kuzyn Garth jest w areszcie, żona Gartha i jego synowie zaginęli, a Kate nie żyje. Strach należeć do tej rodziny.

- Tak jak do rodziny Vartanianów - rzekł Luke cicho.

- To prawda - przyznał Chase.

- Przepraszam panów. Czy można na chwilę? - Odwrócili się i zobaczyli pastora Wertza.

- Tak, pastorze? - spytał Chase. - W czym możemy pomóc? Wertz wyglądał na oszołomionego.

- Dziś po południu odprawiam jeszcze jeden pogrzeb. Co mam robić?

- Czyj to pogrzeb? - zapytał Luke.

- Gemmy Martin - odparł pastor. - Och, Boże, tu się naprawdę źle dzieje.

- Trzeciej ofiary Macka O'Briena - stwierdził Chase. - Czy spodziewa się pan wielu osób?

- Rodzina wynajęła firmę ochroniarską, żeby nie dopuścić dziennikarzy. Ale oni wszędzie się wcisną. To straszne. Po prostu straszne.

- Otoczymy kordonem całą tę część cmentarza - oznajmił Chase. - To teraz miejsce zbrodni. Pogrzeb trzeba będzie opóźnić.

- O mój Boże - zmartwił się Wertz. - Powiadomię o tym panią Martin, babkę Gemmy. Nie będzie zadowolona.

- Ja mogę jej to powiedzieć - zaproponował Chase i pastor skinął głową.

- Z pewnością tak będzie lepiej. - Spojrzał z westchnieniem na ziemię.

- Biedna Kate. Była ostatnią osobą, którą bym podejrzewał o coś takiego. Ale chyba każdy mógłby stracić trzeźwość myślenia, gdyby oskarżono jego brata o gwałt. Jej rodzice byliby zrozpaczeni, gdyby wiedzieli, kim okazali się Kate i Garth. To smutne. To takie smutne.

Dutton, sobota, 3 lutego, godzina 12.45

Luke zerknął na Susannah i znowu przeniósł wzrok na drogę. Od chwili wyjazdu z cmentarza wpatrywała się w ekran swojego laptopa.

- Co robisz?

- Przeglądam strony o uciekinierach i szukam tej dziewczyny, której nazwiska nie znamy. W nocy siedziałam nad tym prawie trzy godziny.

- Mamy ludzi, którzy sprawdzają te strony. Czemu nie posiedzisz spokojnie albo się nie prześpisz?

- Bo zależy mi na niej - odparła Susannah cicho. - Poza tym wasi ludzie mają tylko zdjęcie jej posiniaczonej twarzy z zamkniętymi oczami. Ja widziałam ją, kiedy miała oczy otwarte. Mogę zobaczyć coś, czego oni nie zauważą. A poza tym zwariuję, jeśli będę siedzieć beczynn timer.

- To rozumiem. Czego dowiedziałaś się o swastykach?

- Znak swastyki występuje w hinduizmie, dzinnizmie i buddyźmie. Może symbolizować wszystko, od rozwoju życia po szczęście i harmonię, w zależności od tego, czy ramiona swastyki są zagięte w lewą czy w prawą stronę. W mojej swastyce skierowane są w prawo, co oznacza siłę i mądrość. Zagięte w lewo symbolizują miłość i współczucie - oznajmiła cierpko.

Luke zastanawiał się nad tym, co powiedziała.

- Żadna swastyka na piętnach nie ma ramion zagiętych w lewo.

- Nie. Swastyka nazistów też jest prawoskrętna.

- Więc może jednak ma to związek z jakąś grupą neonazistowską.

- Możliwe, ale nie wydaje mi się, żeby tak było. Swastyka nazistowska ma ramiona załamane pod kątem prostym. Nigdy nie są zakrzywione łukowato.

- Dlaczego jej nie usunęłaś? - spytał Luke po chwili.

- Pewnie chciałam wszystko odpokutować. - Wzruszyła ramionami. - Poza tym nikt nie miał jej oglądać, więc co za różnica.

Ściągnął brwi.

- Co masz na myśli?

- To, że nie zamierzam nikomu jej pokazywać. Luke zafrasował się jeszcze bardziej.

- Na plaży czy komuś bliskiemu?

- W obu przypadkach - odparła stanowczo.

- Dlaczego nie? Westchnęła z rozdrażnieniem.

- Jesteś bardzo wścibski, agencie Papadopoulos.

- Mów do mnie Luke - poprawił ją ostrzej, niż zamierzał. - Wcześniej byłem miły, a teraz jestem wścibski. - Czekał, aż Susannah coś powie, ale się nie odezwała. - Czy to wszystko, co chciałaś mi powiedzieć?

- Tak. To wszystko.

Poczuł ulgę, gdy w jego kieszeni zabrzęczała komórka. Powoli tracił już cierpliwość, a to nie było potrzebne ani jemu, ani Susannah.

- Papadopoulos - powiedział do telefonu.

- Luke, tu Leigh. Mam dla ciebie kilka wiadomości z poczty głosowej. Czy dzwonię w porę?

- Tak - odparł i pomyślał: nie, to niedobry moment. - Co to takiego?

- Pierwsza wiadomość jest od Knightów. Miałaś spotkać się z nimi o drugiej, ale przyjadą dopiero o wpół do czwartej. Po drugie, znalazłam coś, co pasuje do tej Ashley o nazwisku na „Cs”. Jacek Csorka z Panama City na Florydzie zgłosił zaginięcie córki. Nie ma jej w domu od zeszłej środy. Nie skończyła jeszcze osiemnastu lat.

- Czy możesz mi dać jego telefon? A właściwie podaj go Susannah. - Wręczył jej komórkę. - Susannah, proszę, zapisz numer, który Leigh ci podyktuje.

Spełniła prośbę i oddała Luke'owi telefon.

- Co jeszcze?

- Dzwoniła Alex. Daniel odzyskał przytomność. Luke odetchnął z ulgą po raz pierwszy od wielu godzin.

- Świetnie. A co z tą bezimienną dziewczyną?

- Wciąż śpi.

- Nie można mieć wszystkiego naraz. A co z informacjami z gorącej linii?

- Są setki telefonów, ale nic mamy nic wiarygodnego.

- Dzięki, Leigh. Daj mi znać, jak tylko ta dziewczyna się obudzi. - Zakończył połączenie i zwrócił się do Susannah: - U naszej bezimiennej na razie bez zmian. - Wpatrywała się nieruchomo w ekran laptopa. - Może jej tu nie ma, Susannah.

- Wczoraj pytała o mamę. Matka na pewno ją kocha i robi wszystko, co się da, żeby odnaleźć córkę.

W jej głosie brzmiała tęsknota. Luke zastanawiał się, czy Susannah zdaje sobie z tego sprawę. Było to dla niego bardzo ważne.

- Mam jeszcze jedno wścibskie pytanie. Westchnęła.

- Jakie?

- Czy miałaś kiedyś chłopaka? Zrobiła srogą minę.

- To wcale nie jest zabawne.

- Nie miałem zamiaru żartować. Czy miałaś jakiegoś chłopaka na studiach, zanim poznałaś Darcy?

- Nie - odparła chłodno, ale Luke'a to nie zraziło.

- A w szkole średniej, przed tą historią z Simonem i Granville'em?

- Nie - burknęła, tym razem już porządnie rozgniewana.

- A po śmierci Darcy?

- Nie! - zagrzmiała. - Czy możesz przestać? Jeśli mam tego słuchać, żeby przeżyć, już lepiej rzuć mnie na pożarcie temu straszemu Rocky'emu i skończmy z tym.

- Dlaczego nie miałaś nikogo po tej sprawie z Darcy? - spytał, nie zwracając uwagi na jej wybuch. - Dlaczego?

- Bo... - warknęła i ramiona jej opadły. - Chcesz mojej duszy, agencie Papadopoulos? - spytała z rezygnacją. - Dobrze, powiem ci. Bóg wie, że na to nie zasługuję. A co ważniejsze, nie zasługuję na to żaden porządny mężczyzna.

- Czy ja jestem porządny? - zapytał łagodnie.

- Obawiam się, że tak, Luke - odparła tak smutno, że aż poczuł ucisk w sercu.

- Więc zamierzasz zawsze być sama? Czy to ta pokuta, którą odprawiasz?

- Tak.

Pokręcił głową.

- Tak nie można, Susannah. Karzesz się za to, że ktoś cię skrzywdził. Byłaś ofiarą.

- Nie wiesz, kim byłam - odparła gorzko.

- To mi powiedz. Porozmawiaj ze mną.

- Dlaczego?

- Ponieważ muszę wiedzieć. Chcę ci pomóc. - Westchnął. - Pragnę cię poznać, do licha. - Zacisnął ręce na kierownicy, jakby próbował ją zgnieść. - Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy... chciałem... cię poznać. - Nagle zaczął się jąkać, choć zwykle bez tru-

du wypowiedział słowa, które kobiety chciały usłyszeć. - Pragnąłem cię - dokończył cicho.

Nie odzywała się przez dłuższą chwilę.

- Wcale mnie nie pragniesz, Luke. Uwierz mi.

- Bo umówiłaś się z kimś na jedną noc? No i co z tego, do cholery?

- Zrobiłam to niejedną raz - szepnęła tak cicho, że ledwie ją usłyszał, a potem przeknęła z trudem. - Naprawdę nie chcę już dłużej o tym rozmawiać. To naprawdę trudne. Proszę.

Jej głos drżał tak rozpaczliwie, że Luke przestał nalegać.

- Dobrze. Czy możesz zadzwonić na ten numer, który podała ci Leigh?

Susannah zrobiła, o co prosił, i Luke porozmawiał z panem Csorką, który postanowił niezwłocznie przyjechać z Florydy i przywieźć próbkę DNA swojej córki Ashley. Luke miał nadzieję, że uda mu się w końcu zidentyfikować jedną z zaginionych dziewczyn. Pan Csorka miał być w Atlancie około szóstej wieczorem.

Luke głowił się nad szczegółami całej sprawy, próbując zagłuszyć myślami ciszę panującą w samochodzie, ale co parę minut zerkał na Susannah. Żałował, że nie wie, co powiedzieć; w końcu postanowił uszanować jej prośbę i milczał. Kiedy dojechali do szpitala, miał nadzieję, że Susannah się odezwie, ale ona bez słowa zniknęła laptopa i odeszła.

Pozwolił jej na to, choć czuł się przybity i bezradny.

Zaparkował samochód i już miał wejść do szpitala, gdy jego telefon znowu zadzwonił.

- Luke, tu Nate. Przeglądam zdjęcia na komputerze Mansfielda. Luke'a ogarnęło poczucie winy.

- Przepraszam, że cię z tym zostawiłem, Nate. Mam trochę czasu, zanim przyjadą rodzice Kasey Knight. Porozmawiam tylko z Danielem i wpadnę, żeby ci pomóc.

- Coś znalazłem - oznajmił Nate z przejęciem. - Przyjedź teraz.

13

Atlanta, sobota, 3 lutego, godzina 13.25

Susannah miała zamiar iść prosto do dziewczyny ocalałej z bunkra, ale zwolniła, przechodząc obok pokoju Daniela. Był sam. Leżał przytomny, oparty na poduszkach.

Spojrzeli na siebie; oczy Daniela były intensywnie niebieskie. Susannah nie wiedziała, co powiedzieć i czego oczekuje od brata. Wtedy on wyciągnął rękę i coś w niej pę-

kło. Podeszła niepewnym krokiem i chwyciła jego dłoń, a on przyciągnął ją do siebie. Rozplakała się, opierając twarz o jego ramię.

Niezgrabnie gładził ją po włosach i zdała sobie sprawę, że on również roni łzy.

- Tak mi przykro, Suze - wychrypiał. - Nie mogę cofnąć czasu i zmienić tego, co było.

- Ani ja.

- Nic złego nie zrobiłaś - odparł z przekonaniem. - Powiniennem być cię chronić.

- A ja powiedzcie ci o wszystkim - rzekła cicho i Daniel znieruchomiał.

- Dlaczego tego nie zrobiłaś? - spytał z udręką w głosie. - Czemu mi nie powiedziałaś?

- Simon mi nie pozwolił. Stwierdził, że wyjechałeś i... - Wzruszyła ramionami. - Mówił wiele innych rzeczy. Lubił manipulować ludźmi.

- Wiem. Tak samo jak ojciec. - Westchnął. - Powiniennem się domyślić. Oni obaj zawsze byli dla ciebie okrutni. A kiedy wstawiałem się za tobą, było jeszcze gorzej.

- Więc trzymałeś się z daleka.

- Nie powiniennem być.

Wybaczam ci. Powiedz to. Wypowiedz te słowa. Utknęły jej jednak w gardle.

- Co się stało, to się nie odstanie, Danielu - rzekła tylko. - Rozumiem to.

Wstała i odwróciła głowę, szukając chusteczki. Wytarła twarz i usiadła obok łóżka, po czym skrzywiła się.

- O rany! Pielęgniarki wściekną się na mnie.

Uśmiechnął się słabo. Jej makijaż poplamiał jego szpitalną koszulę nocną, a rdzawa glina z sukienki zostawiła ślady na pościeli.

- Jesteś brudna, mała.

- Upadłam. Byłam na pogrzebie Sheili Cunningham. Zamrugał powiekami, zaskoczony.

- Pojechałaś tam? - spytał. Skinęła głową.

- Poznałam Gretchen French. Przesyła ci pozdrowienia i podziękowania. Nie zdziwię się, jeśli wpadnie do ciebie, kiedy założą jej opatrunek na ostrym dyżurze.

Daniel otworzył szeroko oczy.

- Gretchen jest w szpitalu? Susannah opowiedziała mu, co się stało.

- Mój Boże. Kate Davis pomogła nam wytropić Macka O'Briena. Powiedziała, że żona Gartha wyjechała z dziećmi, bo bała się o własne życie. Myślałem, że jest bezpieczna, skoro Mack i inni nie żyją, ale teraz...

- Danielu, muszę coś powiedzieć i chcę, żebyś mnie wysłuchał. Wczoraj powiedziałam ci, że nie wiesz, jaka jestem.

- Pamiętam. Nie zrozumiałem tego wtedy. I nadal nie rozumiem.

- Wyjaśnię ci i jeśli będziesz chciał, żebym odeszła, zrobię to. Stojąc nad grobem Sheili, uświadomiłam sobie jednak, że gdybyś wczoraj zginął, zostałabym zupełnie sama. Nie chcę być sama.

- Nie zostawię cię ponownie - odparł ochrypłym głosem. Uniosła smutno kącik ust.

- Zobaczymy, co powiesz, kiedy usłyszysz całą historię. Pewnie Luke i tak by ci ją kiedyś opowiedział, ale wolę, żebyś dowiedział się wszystkiego ode mnie.

Atlanta, sobota, 3 lutego, godzina 13.25

Luke zastał Nate'a Dyera w pokoju, który służył do oglądania materiałów przyprawiających porządnych ludzi o mdłości. „Czy ja jestem porządny?” - przypomniał sobie pytanie zadane Susannah.

„Obawiam się, że tak”, odparła wtedy. O sobie myślała inaczej, ponieważ nawiązywała przelotne znajomości z mężczyznami. I to nieraz. Chciał, żeby mu to powiedziała, tylko po to, by mógł ją zapewnić - on, przyzwoity facet - że wcale nie jest beznadziejna. Że zasługuje na swoją duszę.

Ale Susannah będzie musiała poczekać. Od chwili, gdy poprzedniego dnia rozpoznał twarz Angel, wiedział, że bez względu na to, jak długo będzie zwlekać, wróci do tego pokoju, gdzie przeglądali zdjęcia.

W pomieszczeniu nie było okien i tylko jedne drzwi. Wstęp tutaj mieli jedynie ci, którzy musieli zobaczyć to, co było tak straszne. Luke wolałby nie znać kodu, który właśnie wystukał. Zbyt wiele godzin tutaj spędził. I każdego dnia coś w nim umierało.

Otworzył drzwi.

- Cześć, Nate.

Nate spojrzał na niego bez uśmiechu.

- Lepiej usiądź, zanim ci to pokażę.

Luke przysiadł na krześle, szykując się na mdlący skręt żołądka, który pojawiał się za każdym razem, kiedy otwierał nową stronę internetową lub przeglądał kolejny zbiór sprośności. Żadne przygotowania nie czyniły tego łatwiejszym.

- Okej. Jestem gotowy.

- Dopiero zacząłem przeglądać materiały z komputera Mansfielda - powiedział Nate.

- Ten facet miał pięć zewnętrznych twardych dysków. Każdy po pięćset giga.

- Setki tysięcy zdjęć - mruknął Luke.

- Oglądanie tej kolekcji zajmie nam miesiąc. Spece od komputerów z naszej dochodzeniówki skopiowali te dyski. Odebrałem kopie zaledwie parę godzin temu. Dyski Mansfielda są starannie uporządkowane, a większość folderów ma rozbudowane nazwy.

Jeden z nich opatrzył tytułem: *Piękne młode Amerykanki S.A.* Zobacz, co tam znalazłem.

Luke usiadł przed komputerem i zaczął przeglądać zdjęcia. Na każdym znajdowała się dziewczyna w prowokującej pozie. Wszystkie były nagie i trzymały w jednej ręce małą amerykańską flagę, a w drugiej symbol stanu, z którego pochodziły.

Przy każdej fotografii podano imię, opis i „osobistą wiadomość” od dziewczyny. „Cześć, jestem Amy - przeczytał Luke. - Urodziłam się i wychowałam w Idaho”. Amy trzymała w ręku ziemniak, który jakiś chory łajdak przekształcił komputerowo tak, że bulwa przypominała męskie genitalia. Była tam też Jasmine ze słonecznej Kalifornii i Tawny z Wisconsin. Wszystkie dziewczęta uśmiechały się uwodzicielsko. Luke zastanawiał się, jak zmuszono je do takiego uśmiechu.

- Na końcu jest cennik - oznajmił Nate.

- To katalog - stwierdził Luke ponuro.

- No właśnie. A logo firmy to swastyka z zagiętymi łukowato ramionami.

- „Kupuj Amerykanki” - przeczytał Luke. - Mam wrażenie, że to jakaś grupa zwolenników supremacji rasowej.

- Zajrzyj na stronę dwudziestą czwartą. Luke poszedł za radą Nate'a.

- To Angel. - Nazwali ją tam jednak Gabrielą.

- I na stronę pięćdziesiątą drugą. Tętno Luke'a skoczyło.

- Nasza bezimienna ofiara. Dali jej przydomek Słodka. Przypadkiem nazwałem ją wczoraj tak samo. To dlatego zrobiła się taka niespokojna. Czy są inne wydania tego katalogu, wcześniejsze?

- Tak, są jeszcze dwa. Wygląda na to, że wydawano go co kwartał, a ten jest sprzed około dwóch miesięcy. Dalej są dwie dziewczyny, które były razem z Angel na tej stronie internetowej zamkniętej przez nas przed ośmioma miesiącami.

- Nie mogliśmy ich nigdzie znaleźć w internecie. Nate wskazał na ekran.

- Teraz wiemy, co się z nimi stało.

- Więc Mansfield miał jakiś związek z tą stroną albo wiedział, kto się nią zajmuje. Inaczej skąd by wziął te trzy dziewczyny?

- Nie mam pojęcia. George i Ernie przyjdą tutaj, żebyśmy mogli trochę się przespać. Może znajdą coś, co zaprowadzi nas do tego zbrojnicę, który prowadzi stronę. Oddałbym wiele, żeby go dopaść. - Nate przyjrzał się uważnie twarzy Luke'a. - Wyglądasz, jakbyś był tak samo zmęczony jak ja. Odpocznij.

- Nie mogę. Za godzinę mam się spotkać z rodzicami Kasey Knight. Daj mi jeden z tych dysków. - Luke poprawił się na krześle i zamknął oczy, przygotowując się psychicznie na to, co zobaczy.

- Potrzebujesz czegoś? Może chcesz coś na lunch? - zapytał Nate i Luke uświadomił sobie, że nic nie jadł od dwunastu godzin.

- Tak, dziękuję. Zapomniałem o jedzeniu.

- Zawsze zapominasz - odparł Nate, podając mu pojemnik, który wyjął z małej lodówki. - Musaka.

Luke zamrugał.

- Skąd...

Nate uśmiechnął się.

- Twoja mama wpadła wczoraj do biura. Martwiła się, że nie odżywiamy się prawidłowo, od kiedy pomagasz w sprawie, którą prowadził Daniel.

Luke poczuł ciepło w sercu. Kocham cię, mamo.

- Moja mama to dobra kobieta.

- I świetnie gotuje. Zjedz, Papa. A potem przejrzyj te pliki. Masz bystrzejsze oko niż ja.

Jedząc musakę przygotowaną przez swoją rodzicielkę, Luke przeglądał katalog. Starł się zapamiętać słowa i hasła, jakie wyskakiwały. Niektóre nazwy folderów mówiły sporo o ich zawartości: „Pejczy i łańcuchy”, „»Nie« znaczy »tak«”, „Chłopaki to lubią”... Dobrze wiedział, co znajdzie w tych folderach. Naraz jego wzrok zatrzymał się na jednym z haseł.

„Groszek, moja dupeczka.” Otworzył folder i serce podeszło mu do gardła. Odstawił pojemnik z jedzeniem na blat.

- O mój Boże. Nate, chodź tutaj. Nate spojrzał nad ramieniem Luke'a.

- Te zdjęcia są fatalnej jakości - zauważył. Owszem, były ziarniste, niewyraźne i źle wykadrowane.

- Mansfield robił je pewnie z telefonu komórkowego albo ukrytej kamery. Patrz, to Granville. Z jakąś dziewczyną.

- Co on robi? - Nate pochylił się niżej i westchnął. - Do diabła, Papa.

- Cholerny łajdak. - Luke przewijał zdjęcia; każda następna fotografia była jeszcze potworniejsza od poprzedniej. Granville bez wątpienia torturował te dziewczyny. A Mansfield utrwalił to wszystko na fotografiach.

- Co ma znaczyć „Groszek, moja dupeczka”? - spytał Nate, przysuwając sobie krzesło.

- Słyszałeś o klubie gwałcicieli, prawda?

- Tym sprzed trzynastu lat, którego inicjatorem był Simon, brat Daniela?

- Tym - odparł Luke - ale wydaje nam się, że szefem był Granville, a Simon tylko jego współnikiem. Daniel rozmawiał z wdową po facecie, który należał do tego klubu, i powiedziała mu, że oni wszyscy mieli przyzwiska. Groszek to Mansfield.

- A skąd ta „dupeczka”?

- Nie wiem. Zrobiło się zamieszanie i Daniel został ranny, zanim zdołałem zdobyć więcej informacji. Pojadę do niego i zapytam, ale wydaje mi się, że Mansfield robił te zdjęcia, żeby w razie potrzeby mieć coś na Granville'a.

Luke dalej przeglądał fotografie. Nagle poczuł, że zaraz zwymiotuje tę odrobinę jedzenia, które zdołał przełknąć. Zobaczył zdjęcie Angel. Było chyba najgorsze ze wszystkich.

- O rany, Nate.

Nate zerknął, po czym zamknął oczy.

- Cholera. - Przełknął z trudem, zaciskając usta. - Cholera jasna.

- Nie nakryliśmy tych dupków, którzy prowadzili stronę - rzekł Luke - ale Granville'owi i Mansfieldowi to się udało. Dlatego te trzy dziewczyny pojawiły się tak nagle, jakby spadły z księżyca. Granville miał je tutaj. Robił im te wszystkie rzeczy. Skąd je wzięli?

- Nie mam pojęcia. Ale się dowiemy, jeśli to jest na którymś z tych dysków.

Pięć twardych dysków. Dwa i pół tysiąca giga. Tysiące zdjęć.

- Niech to diabli.

- Ustalimy to, Luke.

- Ale kiedy? Czy dla tych pięciu dziewczyn, które zabrał ze sobą wspólnik Granville'a, nie będzie już za późno? Zajmujemy się tym od dwudziestu godzin i jak na razie nic nie mamy. Dowiedzieliśmy się o piętnach w kształcie swastyki i o uprowadzeniu sędziego. Znamy jedno pieprzone imię, Rocky, które nie oznacza absolutnie nic. Wiemy o zabójstwie w Nowym Jorku sprzed sześciu lat, o gwałtach sprzed trzynastu, a także o tym, że to wszystko jest jakoś ze sobą powiązane. Mamy dziewczynę, która nie może oprzytomnieć i powiedzieć nam, co się stało. - Zamilkł, czując, że zaraz wybuchnie.

Siedzący obok Nate odetchnął głęboko.

- I mamy zwłoki dziewczyny o imieniu Angel, którą powinniśmy byli uratować - rzekł cicho.

Luke poczuł ucisk w gardle i przerażony próbował nad sobą zapanować.

- Cholera, Nate - wykrztusił. - Zobacz, co on jej zrobił. Co robił im wszystkim.

Nate ścisnął jego ramię.

- Już dobrze - mruknął. - Nie po raz pierwszy kogoś z nas ponosi. To dlatego ten pokój jest dźwiękoszczelny.

Luke pokręcił głową, powoli odzyskując kontrolę nad sobą.

- Już w porządku.

- To nieprawda.

- No dobrze, masz rację. Ale zrobię to, co trzeba. - Zerknął na zegarek. - Mam wystarczająco dużo czasu, żeby zobaczyć się z Danielem, zanim przyjadą Knightowie. Może wie coś więcej.

- Musisz się zdrzemnąć, Luke.

- Później. Nie mogę teraz zamknąć oczu, bo dalej będę widział to wszystko.

Atlanta, sobota, 3 lutego, godzina 14.30

- Witaj, Susannah.

Odwróciła się na krześle stojącym obok łóżka dziewczyny i ujrzała panią Papadopoulos z wielką torbą na zakupy w każdej ręce.

- Dzień dobry pani.

- Przypuszczałam, że zastanę cię przy tej dziewczynie. Susannah uśmiechnęła się.

- Myślałam, że już pani o niej zapomniała. Ciemne oczy kobiety zabłyśły.

- Przyniosłam ci to. Luka powiedział mojej córce Demi, co moja wnuczka dla ciebie kupiła. Demi nie była zachwycona.

- To i tak bardzo miło z jej strony - odparła Susannah, ale matka Luke'a pokręciła głową.

- Więc wysłałam dziś rano moją najmłodszą córkę, żeby wybrała ci coś odpowiedniego. - Podała jej torby. - Spodobają ci się, to kupisz. A jeśli nie, Mitra je jutro zwróci.

Susannah przejrzała zawartość toreb i uśmiechnęła się.

- Piękne. Naprawdę odpowiednie.

- Wszystko z wyprzedaży. - Pani Papadopoulos przyjrzała się Susannah uważniej. - Płakałaś.

- Byłam na pogrzebie. Zawsze płaczę, kiedy kogoś chowają. - Skłamała, ale musiała zachować trochę godności. - Proszę, niech pani pozna naszą bezimienną.

Matka Luke'a ujęła ręce dziewczyny w swoje dłonie.

- Miło cię poznać, bezimienna - powiedziała łagodnie. - Mam nadzieję, że wkrótce się obudzisz. - Pochyliła się i pocałowała dziewczynę w czoło, a Susannah poczuła, że znowu zbiera się jej na płacz. Nikt nigdy nie całował jej w ten sposób. Pani Papadopoulos odwróciła się do niej. - Chodź, zdejmiesz tę brudną sukienkę. Od razu poczujesz się lepiej.

- Dobrze. - Susannah odgarnęła włosy z twarzy dziewczyny. - Niedługo wrócę.

Atlanta, sobota, 3 lutego, godzina 14.45

Monica nie mogła się poruszać, ale żyła. To, co podała ci wtedy ta pielęgniarka, po pewnym czasie przestało działać. I znowu przestanie. Więc zachowaj spokój. Paraliż ustąpi.

I jak wtedy postąpisz? Czy powiesz policjantom? Jeśli to zrobisz, tamci sprzedadzą Genie.

Jeżeli nie powiesz, i tak mogą ją zabić. Nie pozwolą jej odejść. Musisz więc im powiedzieć.

Na szczęście Susannah już wróciła. Przebrała się i teraz siedziała na krześle przy łóżku, ale coś było nie tak. „Zawsze płaczę na pogrzebach”, powiedziała do tej kobiety, która przyniosła jej ubrania. Tej, która pocałowała mnie w czoło.

Czyj pogrzeb? Nie mogli przecież już chować tamtych. Zabito je zaledwie wczoraj. Więc kto umarł? Susannah wyszła z tamtą kobietą, a po paru minutach wróciła sama. Była cicha, przygaszona i bardzo smutna.

Monica poczuła napięcie. Był tu jeszcze ktoś.

- Jak ona się czuje? - spytał jakiś mężczyzna.

To agent, ten z czarnymi oczami. Luke. W jego głosie wyczuwało się irytację i niepokój.

- Rano obudziła się na chwilę - odparła Susannah - ale potem znowu zasnęła. Wydaje mi się, że w ten sposób ucieka przed bólem.

Krzesło zaskrzypiało i Monica poczuła ciepło bijące od ciała Luke'a.

- Mówiła coś, kiedy oprzytomniała?

- Nie wiem. Nie było mnie tutaj.

- A wczoraj?

- Nie. Patrzyła tylko na mnie, jakbym była Bogiem.

- Uratowałaś ją.

- Nie zrobiłam nic specjalnego - odparła Susannah i Luke westchnął.

- Susannah. To nie ty jesteś wszystkiemu winna.

- Trudno mi się z tym zgodzić.

- Porozmawiaj ze mną - poprosił takim tonem, jakby mówił to już wcześniej.

- Po co?

- Bo... bo chcę wiedzieć.

- Co chcesz wiedzieć, agencie Papadopoulos? - Głos Susannah stał się chłodny.

- Dlaczego uważasz, że to twoja wina.

- Bo wiedziałam - odparła beznamiętnie. - Wiedziałam i nic nie powiedziałam.

- Co wiedziałaś? - spytał miękko.

- Wiedziałam, że Simon to gwałcieł. Simon. Kto to jest Simon? Kogo zgwałcił?

- Myślałem, że Simon nikogo nie gwałcił, tylko robił zdjęcia. Nastąpiła chwila ciszy.
- Zrobił to przynajmniej raz.

O nie. Monica już zrozumiała. Kimkolwiek był ten Simon, zgwałcił również Susannah.

Luke nabrał powietrza w płuca.

- Czy powiedziałaś o tym Danielowi? Kim jest Daniel?

- Nie - odparła Susannah gniewnie. - I ty też tego nie zrobisz. Wiem tylko, że gdybym wtedy to wyjawiała, można byłoby uniknąć tego, co zdarzyło się później. Ona nie leżałaby tutaj.

Przez długi czas milczeli, ale Monica słyszała ich oddechy. W końcu Luke odezwał się:

- Zidentyfikowałem jedną z wczorajszych ofiar.

- W jaki sposób? - spytała Susannah.

- Na podstawie informacji związanych ze sprawą, którą prowadziłem osiem miesięcy temu. Nie udało mi się wtedy uchronić tej dziewczyny. Nie zdołałem postawić przed sądem sadysty, który molestował dzieci. Chcę pociągnąć tę sprawę.

W drżącym głosie Luke'a brzmiał gniew.

- Granville nie żyje - powiedziała Susannah.

Nie żyje? Granville nie żyje. Hura! Nie będzie mógł skrzywdzić Genie.

- Ale jest ktoś inny - odparł. - Ktoś, kto pociąga za sznurki. Kto wprowadził Granville'a w tajniki tej roboty. Muszę go dopaść. Chcę, żeby przez całą wieczność smażył się w piekle.

Ktoś inny. Ta kobieta, która kazała lekarzowi pozabijać dziewczyny. To ona ma Genie. Euforia Moniki minęła.

- Po co mi to mówisz? - W głosie Susannah brzmiało zniecierpliwienie, jakby mówiła: „Już to wszystko wiem, powiedz mi coś nowego”.

- Ponieważ ty pragniesz tego samego. Znow zapadła cisza.

- Czego ode mnie oczekujesz? - spytała wreszcie Susannah.

- Jeszcze nie wiem. Zadzwoń do ciebie, kiedy się dowiem. - Wstał. - Dziękuję ci.

- Za co?

- Za to, że nie powiedziałaś Danielowi o Simonie. Luke wyszedł i Susannah westchnęła ciężko. Tak, pomyślała Monica. Opowiedz mi o tym.

Luke stanął w drzwiach i zobaczył, że Daniel ma zamknięte oczy. Pewnie śpi, pomyślał.

- Nie śpię - odezwał się Daniel, otwierając powieki. Jego głos brzmiał ochryple, lecz silniej, niż Luke się spodziewał. - Zastanawiałem się, kiedy wpadniesz.

Wzrok Luke'a spoczął na poplamionym rękawie jego szpitalnej koszuli nocnej.

- Za takie pieniądze, jakie płacimy na służbę zdrowia, powinni dać ci przynajmniej czystą koszulę.

Daniel uniósł kącik ust, zupełnie jak Susannah. Poza tym w żaden sposób nie byli do siebie podobni.

- Wczoraj rozpętało się istne piekło.

- To prawda. Mam tylko trochę czasu, a potrzebuję paru informacji.

- Wal. - Daniel skrzywił się. - A właściwie lepiej tego nie rób. Luke od razu poczuł się lepiej.

- Cieszę się, że nie dałeś się wczoraj zabić - rzekł z uśmiechem.

- Ja też. Ale muszę przyznać, że ty wyglądasz tak źle, jak ja się czuję.

- Dzięki - mruknął Luke i powiedział już poważnie: - Pewnie jeszcze nie słyszałeś, że ktoś zastrzelił dziś Kate Davis.

- Mówiła mi o tym Suze - odparł Daniel. - Ale to wszystko nie ma sensu. Kate nie wyglądała na osobę, która może strzelać do ludzi.

- W tej sprawie chyba nic nie jest takie, jak się wydaje.

- Alex mówiła mi o zwłokach, które znaleźliście, i o tych uprowadzonych dziewczynach. Podobno Mansfield i Granville zajmowali się handlem żywym towarem.

- Zgadza się. W ciągu ostatniej doby wiele się wydarzyło. Nie mam teraz czasu, żeby opowiedzieć ci o wszystkim, ale znaleźliśmy pewien plik na komputerze Mansfielda. Są tam bardzo drastyczne zdjęcia, na których Granville torturuje te dziewczyny. Plik nosi nazwę „Groszek, moja dupeczka”.

- Groszek to Mansfield. Granville nadał mu to przezwisko, a Mansfield go nie znosił.

- Tak właśnie myślałem. Co wiesz o sędzim Borensonie? Daniel był zaskoczony tym pytaniem.

- Prowadził proces Gary'ego Fulmore'a, oskarżonego o morderstwo. Sekretarka Franka Loomisa powiedziała, że Borenson odszedł na emeryturę i zaszył się gdzieś w górach.

- Co jeszcze o nim wiesz? Może pamiętasz coś z dzieciństwa.

- Czasami przychodził do nas na obiady, a potem zamykali się w ojca gabinecie i rozmawiali aż do świtu. Czemu pytasz?

- Borenson zaginał. Znaleźliśmy jego chatę. Została splądrowana, wszędzie była krew. Talia czeka na psy, żeby poszukać ciała.

- Cholera - zmartwił się Daniel. - Więc wszyscy uciekli. Ojciec Randy'ego Mansfielda był oskarżycielem w sprawie Gary'ego Fulmore'a i nie żyje. Podobnie kornet, który przeprowadzał autopsję, i pierwszy adwokat Fulmore'a. A tak przy okazji,

śmierć tego ostatniego nastąpiła w zagadkowych okolicznościach. Miał wypadek samochodowy na suchej drodze w ciągu dnia.

- A teraz zginął także Frank Loomis - stwierdził Luke. Daniel spojrzał na niego z udręką.

- Wiem. Wciąż mam to przed oczami. W ostatniej chwili próbował mnie ostrzec. Nie mam najmniejszego pojęcia, czemu Frank sfałszował dowody rzeczowe. Przez niego Gary Fulmore spędził trzynaście lat w więzieniu za zbrodnię, której nie popełnił.

- Loomis nie był zamożny, więc raczej nie brał żadnych łapówek - stwierdził Luke.

Daniel przymknął oczy.

- Był dla mnie jak ojciec.

- Przykro mi, że tak się stało.

- Dzięki. - Daniel przez dłuższą chwilę zastanawiał się nad czymś intensywnie z zamkniętymi powiekami. - Pięćdziesiąt dwa - rzekł wreszcie i otworzył oczy. Luke dostrzegł w nich ożywienie. - Frank podszedł, żeby mnie ostrzec przed pułapką. Potem usłyszałem strzał i po prostu osunął się na ziemię po oknie mojego wozu.

Luke przypomniał sobie czerwone smugi na szybie.

- Co to znaczy „pięćdziesiąt dwa”?

- Numer łodzi. Próbowałem zawrócić, ale Mansfield zablokował mi drogę i stuknąłem w jego samochód. Przez chwilę myślałem, że Alex nie żyje, ale była tylko ogłuszona. Mansfield kazał mi zanieść ją do bunkra, a kiedy szliśmy do drzwi, zobaczyłem przepływającą łódź. Były na niej te cyfry.

- Powinno być GA, cztery cyfry, a potem dwie litery.

Daniel znowu przymknął powieki, próbując się skupić, a potem pokręcił głową.

- Niestety, pamiętam tylko pięćdziesiąt dwa. Łódź mignęła mi przed oczami, płynęła naprawdę szybko.

- To najbardziej szczegółowa informacja, jaką mamy do tej pory - zapewnił go Luke.

Daniel opadł ciężko na poduszki.

- Cieszę się.

- Jeszcze tylko jedno pytanie i już sobie idę. Czy coś ci mówi imię Rocky?

Daniel zamyślił się i ponownie pokręcił głową.

- Niestety nie. Czemu pytasz?

- Podejrzewamy, że to imię wspólnika Granville'a.

- Nie ma jego zdjęć w plikach „Groszka” Mansfielda?

- W tych, które przejrzałem, nie, ale mam do sprawdzenia pięć twardych dysków, więc może na coś trafimy. - Luke wstał. - Odpocznij trochę. Ta pielęgniarzka, która czeka na zewnątrz, wygląda, jakby zamierzała urwać mi głowę.

- Zaczekaj. - Daniel przełknął. - Powiedz mi, co się dzieje z Susannah.

- Co masz na myśli? - spytał Luke ostrożnie.

- Nic z tych rzeczy. - Daniel zacisnął szczękę. - No, chyba że masz kolejny romans, tym razem z nią, ale wtedy pogadamy już mniej przyjaźnie.

- Bez obaw. Susannah dała mi jasno do zrozumienia, że nie jest zainteresowana.

- A ty jesteś?

Luke pomyślał chwilę i doszedł do wniosku, że zbyt długo przyjaźni się z Danielem, żeby kłamać.

- Od chwili, gdy zobaczyłem ją na pogrzebie waszych rodziców, ale nie w taki sposób, jak myślisz.

- Więc nie chodzi o przelotny związek? - zapytał Daniel poważnie.

- Nie. Ona zbyt dużo przeszła.

- Wiem. Opowiadała mi. Luke otworzył szeroko oczy.

- Tak? Kiedy?

Daniel dotknął rdzawej plamy na szpitalnej koszuli.

- Zanim tu przyszedłeś. Powiedziała mi o swojej przyjaciółce Darcy i o wszystkich innych sprawach.

Nie, mój przyjacielu, pomyślał Luke. Wcale nie o wszystkich. Nie powiedziała ci, że Simon ją zgwałcił.

- Ona jest silna - powiedział.

- Jak nikt. Ale czuję, że czegoś mi nie wyjawiała. A ty o tym wiesz.

- Susannah jest bezpieczna. Na razie tylko tyle mogę ci powiedzieć.

- Dlatego, że nie wiesz, czy dlatego, że nie możesz mi powiedzieć? Luke wstał.

- Nie nalegaj, proszę. Po prostu przyjmij do wiadomości, że nad nią czuwam.

- Dziękuję. - Daniel podniósł wzrok i na jego ustach pojawił się uśmiech. - Mama Pa-pa przyszła.

Pani Papadopoulos weszła do sali z szeroko rozpostartymi ramionami.

- Właśnie dowiedziałam się od pielęgniarki, że się obudziłeś. - Spojrzała na Luke'a z wyrzutem. - Niektórzy to nic nie mówią swoim mamom.

Objęła Daniela, a on zrobił taką minę jak człowiek, który wreszcie ogrzał się po kilku miesiącach chłódów. Luke przypomniał sobie tęsknotę, jaka zabrzmiała w głosie Susannah, gdy mówiła, że bezimienna dziewczyna z pewnością ma matkę, która bardzo ją kocha

- Przyjechała pani sama? - spytał Daniel z żartobliwym wyrzutem w głosie.

- Nie. - Kobieta usiadła, kładąc na kolanach swoją okazałą torebkę.

- Leo mnie przywiózł. - Zerknęła na Luke'a spod zmarszczonych brwi. - Twoja lodówka to coś okropnego, Luka.

Luke skrzywił się. Najwyraźniej Leo ściągnął siły specjalne, by zaprowadzić porządek w jego kuchni.

- Wiem. Umyłaś ją?

- Owszem. I zaopatrzyłam. - Spojrzała na niego znacząco. - Gdybyś miał jakichś gości, przynajmniej nie pomyślą, że mieszkasz w chlewie.

Uśmiech znikł z twarzy Luke'a. Wiedział, co matka sugeruje, i zdawał sobie sprawę, że to raczej nigdy się nie zdarzy.

- Dzięki, mam. - Pocałował ją w czubek głowy. - Zobaczymy się później.

Atlanta, sobota, 3 lutego, godzina 15.30

- Rodzice tej dziewczyny nie powinni oglądać jej w takim stanie - powiedziała Felicity stanowczo.

Luke spojrzał na wymizеровaną twarz Kasey Knight. Kości policzkowe niemal przebijały skórę, a na czole widniała dziura po kuli.

- Bardzo nalegali. Zaginęła dwa lata temu. To dla nich swego rodzaju pożegnanie.

- Więc miejmy to już za sobą-warknęła, ale jej oczy błyszczały od łez.

- Wprowadź ich.

Czekający w korytarzu państwo Knight wstali na widok Luke'a.

- Od dwóch lat czekaliśmy na taki telefon. - Pana Knight ujął żonę za rękę. - Chcemy wiedzieć, co stało się z naszą córką.

Pani Knight była bardzo blada.

- Niech pan nas do niej zaprowadzi - szepnęła.

- Proszę tędy. - Luke wprowadził ich do pomieszczenia przy prosektorium, w którym odbywała się identyfikacja ofiar. Pokój był utrzymany w ciepłych barwach i wygodnie umeblowany, a drobne detale służyły łagodzeniu cierpienia rozpaczających bliskich. - Czy żona nie potrzebuje lekarza? - spytał cicho Luke, kiedy pani Knight opadła ciężko na sofę, cała drżąc. Wyglądała, jakby miała zemdleć.

Pan Knight pokręcił głową.

- Nie - odparł ochryłym głosem. - Chcemy mieć to już za sobą. Luke chciał ich jakoś przygotować, ale wiedział, że nie ma na to sposobu.

- Ona nie wygląda jak Kasey ze zdjęcia, które państwo przekazali policji.

- Minęły dwa lata. Dzieci się zmieniają.

- Nie tylko o to chodzi. Waży zaledwie trzydzieści sześć kilo przy wzroście metr siedemdziesiąt.

Pani Knight zeszywniała.

- Kasey ważyła pięćdziesiąt osiem kilogramów.

- Wiem, proszę pani - powiedział Luke łagodnie i zorientował się, że zrozumieli.

Pan Knight przełknął głośno.

- Czy ona była... molestowana... - Głos mu się załamał.

- Tak - odparł Luke. - Wiele razy, pomyślał, ale tego już nie powiedział. Rodzice Kasey i tak przeżywali zbyt wielki ból.

- Agencie Papadopoulos - zapytał Knight - co oni zrobili naszej córce?

Nie mógł przecież powiedzieć, że potworności, które trudno opisać. Milczał chwilę, a potem rzekł:

- Chcieliście zobaczyć jej twarz i lekarka sądowa spełni państwa prośbę, ale proszę, skupcie się na innych częściach jej ciała. Rękach, stopach, znamionach czy bliznach. - Zdawał sobie sprawę, że dalsze oczekiwanie tylko pogorszy sprawę, nacisnął więc guzik interkomu. - Jesteśmy gotowi, doktor Berg.

Gdy Felicity rozsunęła zasłony, ojciec Kasey mocno zacisnął powieki.

- Panie Knight - powiedział Luke łagodnie - jesteśmy gotowi. Knight otworzył oczy, a zduszony jęk, jaki wydobył się z jego gardła,

ugodził Luke'a w samo serce. Felicity przykryła tułów ofiary prześcieradłem, chcąc zaoszczędzić rodzicom dodatkowego bólu.

- Och, Kasey - wyszeptał Knight. - Dziecinko, czemu nas nie słuchałaś?

- Skąd pan wie, że to wasza córka? Knight ledwo oddychał.

- Na kolanie miała bliznę po upadku z roweru. A jej środkowy palec u nogi był dłuższy od pozostałych. Pamiętam też pieprzyk na lewej stopie.

Luke skinął na Felicity, a ta zaciągnęła z powrotem zasłonę. Pan Knight ukląkł przy żonie. Po jej twarzy spływały łzy.

- To Kasey - wykrztusił, a ona pochyliła się i objęła go. Jej cichy płacz przeszedł w rozpaczliwy szloch. Zsunęła się z sofy i przyklekła obok męża. Płakali, wtuleni w siebie, próbując choć odrobinę ukoić ból.

- Zaczekam w korytarzu - powiedział Luke.

Knightsowie przypominali mu własnych rodziców, którzy pobrali się przed blisko czterdziestoma laty i od tamtej pory byli dla siebie oparciem, razem potrafili pokonać każdy kryzys. Luke bardzo ich kochał, a jednocześnie bardzo im zazdrościł. Teraz, słysząc stłumiony płacz dobiegający z pokoju obok, współczuł Knightom i zarazem patrzył na nich z zazdrością. Nigdy nie spotkał kobiety, której ufałby na tyle, by obnażyć przed nią swoją duszę i ukazać się jej w stanie całkowitej bezbronności. Kobiety, która by go rozumiała.

Do czasu, aż poznał Susannah. Ale ona nikogo nie chce. Nie, to nieprawda. Ona nikomu nie wierzy. To też nie było prawdą. Obdarzyła go dzisiaj zaufaniem: przyszła do niego, kiedy się bała; oparła się o niego na cmentarzu.

Susannah nie ufała samej sobie. Luke przypomniał sobie plamy na szpitalnej koszuli Daniela. Makijaż Susannah. To był dobry znak.

Łkanie ucichło i po chwili drzwi się otworzyły. Pan Knight odchrząknął.

- Jesteśmy gotowi, żeby z panem porozmawiać, agencie Papado-poulos.

Jego żona spojrzała na Luke'a.

- Czy złapaliście człowieka, który to zrobił?

- Nie wszystkich. Oboje wzdrygnęli się.

- Było ich więcej? - spytał Knight przerażony. Luke przypomniał sobie zdjęcia Groszka.

- Wiemy o dwóch. Obaj nie żyją.

- Czy cierpieli? - zapytała pani Knight.

- Nie tak, jak powinni - odparł Luke szczerze. - Wciąż szukamy trzeciego mężczyzny.

- Ilu agentów prowadzi tę sprawę? - spytał ojciec Kasey.

- Kilkunastu, nie licząc dodatkowego personelu, który zajmuje się odbieraniem telefonów na gorącej linii. A teraz, jeśli można, chciałbym zadać państwu parę pytań.

Zgodnie skinęli głowami.

- Oczywiście, proszę pytać - odparł Knight.

- Czy Kasey była zaangażowana w jakiś związek, który wzbudzał wasz niepokój? Spotykała się z jakimiś chłopcami, przyjaciółmi ze szkoły?

Pani Knight westchnęła.

- Policja pytała nas już o to wtedy... Kasey miała grupę koleżanek, z którymi przyjaźniła się od czwartej klasy. Tego dnia, kiedy zaginęła, nocowały u jednej z nich. Dziewczyny mówiły, że poszły spać, a gdy się obudziły, Kasey nie było.

- Policjantom wydało się to dziwne - dodał pan Knight znużonym głosem - ale nie zdołali skłonić jej koleżanek, żeby powiedziały, co się naprawdę stało.

- Proszę podać mi nazwiska tych dziewcząt.
- Chce je pan przesłuchać? - zapytała pani Knight słabym głosem.
- Chcę z nimi porozmawiać - odparł Luke. - Oto moja wizytówka. Gdybyście mieli państwo jakieś pytania, nie wahajcie się i dzwońcie. A ja dam wam znać, kiedy tylko się czegoś dowiem.

Pan Knight wstał.

- Chcemy panu podziękować. Przynajmniej możemy pochować nasze dziecko. - Pomógł żonie dźwignąć się na nogi, a ona oparła się o niego.

- Musimy potwierdzić identyfikację. Czy przynieśliście jakieś przedmioty, o które prosiłem?

Pani Knight skinęła głową.

- Rzeczy Kasey są w samochodzie.

- Więc pójdę z wami.

Odprowadził ich do auta i poczekał, aż Knight otworzy bagażnik.

- Zdaję sobie sprawę, że to niewiele pomoże, ale chcę, żebyście państwo wiedzieli, jak bardzo mi przykro.

- To pomaga - odparła szeptem pani Knight. - Pan okazuje nam troskę. Znajdzie go pan, prawda? - spytała z naciskiem. - Tego człowieka, który zabił Kasey i wciąż jest na wolności.

- Znajdę.

Trzymając pudełko z rzeczami należącymi do córki Knightów, Luke patrzył, jak odjeżdżają. Pomyślał o czterech niezidentyfikowanych ciałach w kostnicy, o pięciu uprowadzonych dziewczynach i o bezimiennej ofierze w szpitalu. Muszę go znaleźć.

14

Dutton, sobota, 3 lutego, godzina 15.45

Charles spojrział ze złością na telefon, który zadzwonił po raz dziesiąty w ciągu ostatniej godziny. Cholerni dziennikarze. Chcieli dowiedzieć się czegoś na temat strzelaniny, w której zginęła Kate Davis, a Gretchen French została ranna. Pewnie liczyli, że on rzuci im jakiś ochłap. Nic z tego.

Ten telefon jednak odebrał, widząc znajomy numer na wyświetlaczu.

- Paul, gdzie jesteś?

- W Raleigh. Bobby wymknęła się spod kontroli. Pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć. - Głos Paula brzmiał ostro.

- Co takiego jest w Raleigh? - spytał Charles.

- Ojciec tej rannej dziewczyny, która uciekła z bunkra. Rocky uprowadziła jej siostrę i postarała się, żeby wyglądało na to, że dziewczyna przyjechała tutaj do taty.

- Więc Bobby próbuje naprawiać błędy Rocky. To świadczy o poczuciu odpowiedzialności.

- Raczej o braku opanowania - warknął Paul. - Doktor Cassidy wcale nie musi umierać.

- Pojadę do Ridgefield House i porozmawiam z Bobby.

- To dobrze, bo jestem już zmęczony całą sytuacją. Bobby wysługuje się mną, bo myśli, że zależy mi na pieniądzach. O mało jej nie powiedziałem, że pracuję wyłącznie dla ciebie. Że to ty wszystko rozkręciłeś, a ja udaję, że jestem jej chłopcem na posyłki, bo ty mi kazałeś. Mam tego dosyć, Charles. Naprawdę.

Paul już jako mały chłopiec robił się złośliwy, kiedy był zmęczony.

- Nie jesteś moim uczniem, Paul, tylko moją prawą ręką - zapewnił Charles. - Wynajmij pokój w hotelu i się zdrzemnij. Zadzwoń do mnie, kiedy wrócisz do Atlanty.

- Zgoda, tylko przywołaj Bobby do porządku, dobrze?

- Na pewno to zrobię. - Charles zamilkł na chwilę. - Dziękuję ci, Paul. Paul westchnął.

- Nie ma za co, mistrzu. Przepraszam, że byłem nieuprzejmy.

- Przeprosiny przyjęte. Odpocznij.

Charles odłożył słuchawkę podwójnie zaniepokojony. Najpierw Bobby chybiła, strzelając do Susannah Vartanian, i to z odległości zaledwie sześciu metrów. A teraz marnuje cenne zasoby, takie jak Paul. Myślał, że jest lepsza. Przyszła pora na kolejną lekcję.

Atlanta, sobota, 3 lutego, godzina 16.00

Monica uniosła powiekę. Dziwnie było patrzeć na sufit tylko jednym okiem. Zobaczyła pielęgniarkę i chciała krzyknąć.

Pielęgniarka miała w ręku strzykawkę. Jej oczy nie były już zaczerwienione, lecz wyczuwało się w niej napięcie. Zamknęła palcem powiekę Moniki.

- Nie zabiję cię - szepnęła jej do ucha. - Ale dopóki mój syn nie będzie bezpieczny, nie mogę ryzykować, że powiesz coś policji. To ostatni raz. - Pochyliła się i dodała: - Kiedy przestanie działać, mnie już tutaj nie będzie.

Nikommu nie ufaj. W tym szpitalu jest jeszcze ktoś, kto pracuje dla ludzi, którzy cię skrzywdzili. Wczoraj próbowali zabić mężczyznę, który też wydostał się z bunkra.

Beardsleya. Pomógł im w ucieczce. Bailey powiedziała o tym Monice, kiedy przedzierały się przez las. Monica słyszała też rozmowę pielęgniarek. Beardsleya przewieziono w nocy na oddział intensywnej opieki medycznej. Miał szczęście. Uratowali go i wrócił do zwykłej sali, przy której postawiono strażnika.

- Kiedy przeniosą cię z tego oddziału, staniesz się bezbronna - ciągnęła pielęgniarka.
- Próbowałam cię chronić tak długo, jak mogłam. Ale mój syn jest w niebezpieczeństwie, więc już nie mogę ci pomagać. Wydaje mi się, że warto zaufać Susannah i pielęgniarce Elli. A teraz muszę już iść.

Raleigh, Karolina Północna, sobota, 3 lutego, godzina 16.15

Agent specjalny Harry Grimes rozglądał się z upodobaniem po Stanowym Biurze Śledczym Karoliny Północnej w Raleigh. Rok wcześniej przeniesiono go do Charlotte i tęsknił za dawnymi kolegami, a zwłaszcza za szefem, od którego tyle się nauczył.

Jego szef zajmował teraz nowe biurko, bo został awansowany na agenta specjalnego. Harry zapukał i twarz Stevena Thatchera rozpromieniła się w uśmiechu.

- Harry Grimes. Co u ciebie? Wchodź, wchodź.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - powiedział Harry, kiedy Steven wyszedł zza biurka i wyciągnął rękę na powitanie.

- Ależ skąd - zapewnił Thatcher. - To tylko papierkowa robota.

- Więc masz nowe biurko?

- Tak, ale częściej bywam teraz w domu i Jenna jest zadowolona, zwłaszcza że spodziewa się kolejnego dziecka. - Steven wskazał Harry'emu krzesło. - Jak ci leci w Charlotte?

Harry usiadł.

- Świetnie. Nie tak jak tutaj, ale dobrze. Steven przyjrzał się mu badawczo.

- Nie wpadłeś na pogaduszki, prawda?

- A chciałbym. Zadzwoiła dziś do mnie jakaś zdenerwowana kobieta. Jej czternaastoletnia córka zniknęła w nocy z własnego łóżka.

Steven spoważniał.

- Została porwana czy uciekła?

- Nie ma śladów włamania. Miejscowi policjanci początkowo myśleli, że związała.

- Ale teraz już tak nie myślą?

- Nie. Trudno im było się z tym pogodzić, ale w końcu trafili na właściwy trop.

- No to wprowadź mnie w szczegóły i powiedz, jak mogę pomóc.

- Starsza siostra tej dziewczyny przepadła jakieś pół roku temu. Jej personalia umieszczono w bazie danych ośrodka poszukującego zaginionych nieletnich, uznając, że prawdopodobnie uciekła z domu. - Harry wyjął z aktówki zdjęcie i podał Stevenowi.

- Beatrice Monica Cassidy - odczytał Thatcher.

- Mówią na nią Monica. Jej matka twierdzi, że ich relacje były normalne. Kłóciły się o stroje, godziny powrotu do domu i szkołę. Pewnego dnia pół roku temu Monica powiedziała matce, że idzie odwiedzić przyjaciółkę, i już nie wróciła. Ta przyjaciółka w końcu wyznała, że Monica prosiła ją o dyskrecję, bo tak naprawdę poszła się spotkać z jakimś chłopakiem. I tu ślad się urywa. Monica zniknęła, a jej matka uparcie twierdzi, że nie uciekła z domu.

- Rodzice na ogół tak myślą - zauważył Steven.

- Wiem. Wygląda na to, że Monica spędzała dużo czasu przy komputerze.

- Niech zgadnę: czaty internetowe?

- Oczywiście. Matka nie potrafiła odtworzyć listy rozmówców Moniki i wtedy ja wkroczyłem do akcji. Dyrektorka szkoły poprosiła mnie, żebym udostępnił program, dzięki któremu można śledzić rozmowy prowadzone w internecie. Gdy rodzice dobrze zainstalują taki program, nawet dzieci nie wiedzą, że został wgrany. Jak zawsze w takich sytuacjach, przyprowadziłem przedstawiciela miejscowego sklepu komputerowego, żeby rodzice mogli od razu kupić program.

- Bardzo rozsądnie, Harry. Rodzice często myślą o takim zakupie, ale zwlekają, aż w końcu jest za późno.

- Właśnie. Pani Cassidy była tego wieczoru na prezentacji i kupiła pakiet z programem, bo ma jeszcze młodszą córkę, Eugenie Marie. Wołają na nią Genie.

- I dziś rano Genie zaginęła.

- Pani Cassidy obdzwoniła wszystkie jej przyjaciółki, a potem wezwała policję. Przyjechali i sporządzili raport. Potem matka włączyła internet i przeczytała rozmowy prowadzone przez Genie. Dziewczyna kontaktowała się z kimś o imieniu Jason. Podawał się za studenta.

- Myślisz, że porwał ją pedofil?

- Tak. Przyjaciółki Moniki twierdzą, że rozmawiała przez internet z jakimś studentem. Domyślasz się, jak miał na imię?

Steven skinął głową.

- Jason.

- Otóż to.

- Czy z tych rozmów wynika, że Genie planowała spotkać się z Jasonem? I gdzie?

- Nie było nic wczoraj ani dzisiaj, ale czasem następuje przerwa, bo dzieciaki przerywają się na komórki i wysyłają esemesy. Ten program, o którym mówiłem, rejestruje tylko rozmowy internetowe. Zrobiło mi się żal tej kobiety, poszedłem więc na dworzec autobusowy, żeby zasięgnąć języka. Tam dowiedziałem się, że jakaś nastolatka w bluzie z kapturem - takiej, jakie noszą uczniowie szkoły, do której chodziła Genie - kupiła w nocy bilet na autobus do Raleigh. Dlatego tu jestem.

- Jak udało ci się dostać tę sprawę? - spytał Steven. Harry uśmiechnął się.

- Nie jestem kowbojem - odparł. - Wszystko odbyło się oficjalnie. Pani Cassidy mieszka jakieś czterdzieści kilometrów od Charlotte. Tamtejsza policja poprosiła nas o pomoc, a szef sam przydzielił mi sprawę, bo zrobiłem parę wstępnych ruchów.

- A dlaczego interesuje cię Raleigh?

- Bo tu mieszka jej ojciec. Nie odpowiadał na moje telefony, więc przyjechałem. Nie zastałem go w domu, a samochodu nie widać.

- Może po prostu wyjechał?

- Jest lekarzem. Nie pojawił się dziś na dyżurze, a pracownicy szpitala mówią, że to do niego niepodobne. Zawsze można było na nim polegać, miał niemal obsesję na tym punkcie.

- Masz nakaz na wejście do jego domu?

- Właśnie go podpisują. Pojedziesz ze mną? Steven skinął głową.

- Wezmę tylko płaszcz.

Ridgefield House, sobota, 3 lutego, godzina 16.55

- Gdzie Tanner? - spytał Charles.

W drodze powrotnej z Savannah, pomyślała Bobby, ale nie powiedziała tego głośno.

- Pomaga mi. - Usiadła za biurkiem, nie udzielivszy dokładniejszych wyjaśnień. Charles usadowił się na krześle.

- Mogli cię złapać.

- Wiem - przyznała z uśmiechem. - Dlatego to było takie zabawne.

- Skąd masz tę okropną suknię?

- Należała do mojej babki. Powiedziałeś, że zachowuję się jak stara baba, więc ubrałam się odpowiednio.

- Ale chybiłaś - stwierdził. Bobby uniosła brew.

- Ja nigdy nie chybiam. Przecież wiesz, że uczył mnie strzelać snajper.

- Tak, wiem - odparł Charles. - Uczestniczyłem w każdej z tych lekcji.

- Wiesz zatem, co potrafię. Zawsze trafiam tam, gdzie chcę. Charles uniósł brwi.

- Chciałaś postrzelić Gretchen French?
- Więc to ją trafiłam? - Bobby zaśmiała się.
- Nie wiedziałaś o tym? - spytał z niedowierzaniem.
- Nie. Chciałam trafić kogokolwiek, kto stał koło Susannah Vartanian w chwili, gdy Rocky pociągnęła za spust. Myślałam o agencji Papadopoulosie, ale Gretchen French to jeszcze lepszy wybór, biorąc pod uwagę okoliczności.

- Co stało się z kulą, którą wystrzeliła Rocky?
- Strzelała ślepakami. Nie chciałam, żeby kogoś trafiła. Miała fatalne oko. Kazałam jej zabić Susannah Vartanian. Zginęła, wierząc, że spełniła moje polecenie.

- Raczej martwiąc się, że chybiła.
- Jeszcze lepiej. Posłuchała mnie, ale jej się nie udało. Nie zasłużyła na nic innego.
- Zapewne - przyznał Charles. - Co zamierzasz robić dalej? Chodzi mi o Susannah Vartanian.

- Działać, ale powoli i rozważnie. Sprawię, że będzie bardziej samotna, niż ja byłam kiedykolwiek. Będzie się bała własnego cienia. A gdy w końcu zdecyduję się ją zabić, będzie mnie błagać, żebym zrobiła to szybko.

- Kiedy zaatakujesz ponownie?

Parę minut przed przybyciem Charlesa Bobby odbyła rozmowę telefoniczną ze swoją wtyczką w GBI. Informacje, jakie otrzymała, zirytowały ją, ale postanowiła mimo wszystko je wykorzystać. A Charles mógł w tym pomóc.

- Za jakąś godzinę. Chciałabym pożyczyć twój samochód. Ten czarny z tablicą rejestracyjną z Darcy.

- Co zamierzasz?

- Dać lekcję krnąbrnej pielęgniarce, która nasłała na mnie gliny.

- Więc wciąż sprzątasz bałagan po Rocky? Bobby ściągnęła brwi.

- Co masz na myśli?

- To, że zbyt wiele zabójstw naraz przyciąga uwagę. Powinnaś wymyślić coś lepszego.

- Wiem, najlepiej działać z ukrycia. Ale można to robić na różne sposoby. Udowodnię, że nie warto mi się sprzeciwiać, i ponownie zaatakuję Susannah Vartanian. Zaufaj mi.

Charles zastanawiał się chwilę.

- No dobrze - rzekł wreszcie. - Możesz wziąć mój samochód.

Atlanta, sobota, 3 lutego, godzina 16.55

- Luke, obudź się.

Luke otworzył oczy i uniósł głowę. Zorientował się, że zasnął przy biurku.

- O rany - mruknął. Stała przy nim Leigh.

- Dochodzi piąta. Zaczynają zbierać się na naradę. - Podała mu filiżankę gorącej kawy. - Napij się.

Jednym haustem wypił prawie połowę.

- Dzięki, Leigh. Czy coś się wydarzyło, kiedy spałem?

- Nie. Było mniej telefonów niż ostatniej nocy. Jak na razie żadnych istotnych informacji.

- Masz coś o tej łodzi, którą widział Daniel?

- Kilkaset trafień. Ale zawęziłam poszukiwania do tych, które mogą pomieścić co najmniej pięć osób plus załogę. - Podała mu kartkę. - Oto lista.

- Dobra robota, Leigh. Dziękuję, że zgodziłaś się zostać po godzinach.

- Luke potarł twarz. - Muszę się ogolić. Może wtedy poczuję się bardziej jak człowiek. Powiedz Chase'owi, że będę za parę minut.

Pięć minut później wszedł do sali konferencyjnej. Usiadł między Chase'em a Edem i powiódł wzrokiem wzdłuż stołu. Zobaczył Pete'a, Nancy, Chloe i Nate'a. Talia Scott, która wróciła z Ellijay, i psycholog Mary McCrady wyglądały na bardziej wypoczęte niż reszta zebranych.

- Możemy zaczynać? - spytał Chase'a.

- Tak. Germanio wciąż szuka Helen Granville, więc czekaliśmy tylko na ciebie.

Luke wyprostował się na krześle.

- Mamy potwierdzenie tożsamości Kasey Knight, jednej z zamordowanych. Zidentyfikowaliśmy też jedną z uprowadzonych dziewczyn. To prawdopodobnie Ashley Csorka. Jej ojciec jest już w drodze z Florydy. Ma przywieźć rzeczy córki, z których będzie można pobrać próbki do badania DNA.

- Trzeba się pospieszyć z analizą próbek moczu z materacy w bunkrze - powiedział Ed. - Jeśli ojciec Ashley przywiezie przedmioty, z których zdołamy pobrać materiał genetyczny, będziemy mieć potwierdzenie identyfikacji jutro o tej porze.

- Świetnie - ucieszył się Chase. - Co jeszcze?

- Daniel widział część numeru rejestracyjnego łodzi, kiedy odpływała

- powiedział Luke. - Leigh zawęziła liczbę potencjalnych właścicieli do kilkudziesięciu nazwisk.

Chase wziął kartkę z listą nazwisk.

- Sprawdzimy ich. Coś jeszcze?

- To, co znaleźliśmy z Nate'em. - Luke wskazał swojego współpracownika.

- Natknęliśmy się na katalogi z dziewczynami na sprzedaż. Firma nazywa się „Piękne młode Amerykanki”, a jej logo to swastyka - wyjaśnił Nate.

- Udało mi się wyszukać zdjęcia trzech z pięciu zamordowanych. Kasey Knight nie było w żadnych z tych katalogów.

- Ile w końcu znalazłeś? - zapytał Luke.

- Tylko te trzy, na które trafiłem, kiedy przyszedłeś. Czemu pytasz?

- Ponieważ Kasey zaginęła dwa lata temu. Katalogi w tych trzech kwartalnikach obejmują niecały rok.

- A więc? - spytał Chase.

- Kasey nie była „towarem” tej firmy - odparł Nate. - Ale znalazła się w bunkrze.

- Kolejna zagadkowa sprawa - stwierdził Luke.

- Przypomina puzzle, gdzie wszystkie elementy mają identyczny kolor - rzekł Chase.

- Przejrzelście już zdjęcia z twardego dysku Mansfielda?

- Pracuje nad tym jedna trzecia wydziału do spraw korupcji - oznajmił Nate - ale na dwóch i pół tysiąca giga mieści się mnóstwo zdjęć.

- Najbardziej interesują mnie te, które Mansfield zrobił z ukrycia - powiedział Luke.

- Nie były pozwane, jest więc większa szansa, że dostarczą nam jakichś użytecznych informacji.

Nate skinął głową.

- Ale są niewyraźne, więc wolno to idzie. Jeśli już mnie nie potrzebujecie, wrócę do swoich zajęć.

- Ed? - zapytał Chase, kiedy Nate zamknął za sobą drzwi.

- Och, mam mnóstwo rzeczy, które tylko wprowadzą jeszcze więcej zamętu. - Ed położył na stole dwie foliowe torebki, z których każda zawierała broń. - To - powiedział, wskazując rewolwer - znaleziono w dłoni Kate. A ten drugi w trawie. - Wstał i narysował na tablicy trójkąt. - Kate stała tutaj, u szczytu trójkąta. Tu - wskazał lewą krawędź trójkąta - znaleźliśmy pistolet półautomatyczny z tłumikiem. A w tym miejscu na dole stała pani French.

- Pewnie dalej będzie to, co najbardziej lubię - wtrącił z ironią Chase.

- Gdzieś tutaj znaleźliśmy kulę, która przeszła przez ramię Gretchen. - Ed wskazał miejsce po prawej stronie, daleko poza trójkątem. - Łapiecie?

Luke ściągnął brwi.

- Jak to możliwe? Jeśli to nie był rykoszet, strzał w żaden sposób nie mógł zostać oddany z broni Kate.

- Kulą, która trafiła Gretchen French, nie pochodziła z jej rewolweru. Została wystrzelona stąd. - Ed wskazał miejsce, gdzie znaleziono broń półautomatyczną.

- Więc to z tego pistoletu strzelano do Gretchen? - spytała Nancy.

- Nie - odparł Ed. - Były trzy sztuki broni: rewolwer Kate, półautomatyczny i trzecia, której nie odnaleźliśmy. Z tej trzeciej strzelano do Gretchen, z półautomatycznej zabito Kate, a Kate nie trafiła nikogo.

Pete pokręcił głową.

- Teraz to już kompletnie zgłupiałem.

- Witamy w klubie - zazartował Chase. - Specjaliści od balistyki mówią, że Kate prawdopodobnie strzelała ślepymi nabojami.

Chloe zamrugała.

- Dlaczego?

- To kto postrzelił Gretchen? - spytała Talia Scott.

- Tego jeszcze nie wiemy - odparł Ed. - Przeglądamy taśmy wideo z tego miejsca, ale po pierwszym strzale ludzie zaczęli biegać we wszystkie strony.

- Jeśli to nie Kate postrzeliła Gretchen - zastanawiał się Luke - to co miała na myśli, mówiąc: „Chybiłam”?

- Na taśmach nie widać jej dobrze - powiedział Ed. - Kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że strzelała ślepymi nabojami, przejrzelśmy je jeszcze raz. Kate nie celowała do Gretchen ani do Susannah, tylko tutaj. - Wskazał na miejsce, gdzie znaleziono półautomatyczny pistolet. - Celowała do kogoś, kto strzelił do niej.

- Gdyby to nie było dostatecznie zagadkowe, mam jeszcze jedną rzecz. - Chase przesunął po stole zdjęcie. - Fotografia z sekcji zwłok Kate. - Wszyscy wstrzymali oddech. - Miała na ciele piętno w kształcie swastyki.

- Trzeba zdobyć więcej informacji o Kate Davis - stwierdził Luke. - Pora na kolejną wizytę u burmistrza Gartha. Wybierzesz się ze mną, Chloe?

- Oczywiście. Czy wiadomo coś nowego o jego żonie?

- Nie namierzono jeszcze jej furgonetki marki Chrysler - odparł Pete - ale wiemy, że się przemieszcza. Mam wykaz rozmów z jej komórki. Od chwili, gdy wyjechała w czwartek, dzwoniła kilka razy dziennie na komórkę Kate. Zmierza w kierunku zachodnim. Dzisiaj była w Reno. Ostatnio dzwoniła do Kate dziś o drugiej po południu. Rozmowa trwała pięć minut.

Luke zmarszczył brwi.

- O drugiej? Kate już wtedy nie żyła.

- Wiem - odparł Pete. - Czy znaleziono komórkę przy ciele Kate?

- Nie - powiedział Chase. - Ale ktoś odebrał telefon, bo inaczej włączyłaby się poczta głosowa. Niech podłączą pod ten numer któryś z naszych telefonów. Chloe, czy możesz to załatwić?

- Tak, ale to trochę potrwa.

- Dzięki - odparł Chase. - Pete, czy żona Gartha ma rodzinę na zachodzie kraju?

- Nie. Ma ciotkę, która mieszkała w Dutton, ale jej sąsiedzi mówią, że wyprowadziła się, kiedy Kate wyszła za Gartha. Nikt nie zna nowego adresu tej ciotki. Wciąż szukamy.

- Czy rozmawiałeś z tą fryzjerką Angie Delacroix? - zapytał Luke. - Susannah twierdzi, że Angie wie o wszystkim, co dzieje się w mieście.

- Jeszcze nie, ale porozmawiam. - Pete przesunął ręką po łysej głowie i zebrało mu się na żarty. - Przy okazji podetnę włosy.

Wszyscy się uśmiechnęli, ale smutno.

- Sprawdziłem karty kredytowe pani Davis - ciągnął Pete. - Korzystała z nich we wszystkich miejscach, z których dzwoniła. Skontaktowałem się z lokalną policją w miasteczkach, gdzie się zatrzymywała. Przyślą mi taśmy z kamer monitorujących z tych miejsc. Może uda nam się przynajmniej ustalić, czy nadal jedzie swoją furgonetką. Ktoś, kto ma komórkę Kate, mógł jej powiedzieć, że Kate nie żyje. To jeszcze bardziej by ją wystraszyło.

- Może ta fryzjerka będzie wiedzieć, do kogo jeszcze dzwoniła - powiedział Chase. - Nancy?

- Przez cały dzień szukałam informacji o Chilim Pepperze, tym podpalaczu - odparła. - Jego rodzice mówią, że nie widzieli go od lat, bo jest okropnym synem. Sąsiedzi to potwierdzają. Znalazłam dom jego dziewczyny; twierdzi, że nic nie wie o podpaleniach. A przewali go Chili, bo jest gorący w łóżku. - Skrzywiła się. - To było naprawdę ordynarne, wierzcie mi.

- Niezły przyjemniaczek - stwierdziła Chloe. - Czy ma jakieś nałogi albo bierze jakieś leki?

- Tak. W domu jego dziewczyny znalazłam strzykawki. Spytałam, czy mogę skorzystać z łazienki, i zajrzałam tam do apteczki. Wiem... - dodała, gdy Chloe spojrzała na nią oburzona. - Widziałam opakowanie insuliny z nazwiskiem.

- Jak się nazywa ta dziewczyna? - zapytała Chloe, kręcąc głową.

- Lulu Jenkins - odparła Nancy i zapewniła: - Niczego nie dotykałam.

- Taa - mruknęła Chloe - ale jeśli go znajdziemy, stanie się to w wyniku postępowania niezgodnego z prawem.

- A kto mu to powie? - spytała Nancy. - Ty?

Chloe zwróciła się do Chase'a:

- Twoi ludzie próbują mnie usadzać.

- Uspokój się, Nancy, i nie rób tego więcej. Chloe, Nancy już nie będzie tak postępować.

- Skoro Pepper ma cukrzycę - stwierdził Luke - wkrótce będzie musiał się gdzieś pojawić, żeby dostać insulinę.

- Świetnie - powiedział Chase. - Ed, przeszukaliście dokładnie teren, na którym znajduje się bunkier?

Becky, przypomniał sobie Luke. To imię słyszał Beardsley, gdy kogoś zakopywali.

- Nie. Ci ludzie z uniwersytetu mieli przyjść o trzeciej, a ja byłem wtedy zajęty na cmentarzu - odparł Ed. - Przepraszam, Chase. Teraz jest ciemno, więc zaczniemy jutro o świcie.

- Mam dla was kilku pomocników - oznajmił Chase. - Czterech nowych agentów.

- Kiedy zaczynają? - spytał Luke.

- Niektórzy już zaczęli. Jeden zlokalizował Isaaca Gamble'a, pielęgniarza, który znajdował się ostatniej nocy najbliżej Beardsleya, gdy zdarzyła się ta historia z kroplówką. Gamble twierdzi, że był wtedy w barze, co potwierdza barman i taśmy ochronny.

- Czyli to nie on próbował zabić Beardsleya - stwierdził Pete.

- Na to wygląda. Dwaj z tych nowych agentów przeglądają taśmy wideo z cmentarza, próbując namierzyć tego, kto strzelał.

Mary McCrady pochyliła się do przodu.

- Czemu ta osoba porzuciła broń?

- Popełniła błąd - odparł Ed - albo nie chciała, żeby złapano ją z pistoletem.

Mary wzruszyła ramionami.

- Może masz rację. Ale jeżeli Kate Davis posługiwała się ślepymi nabojami, strzelający musiał poczekać na moment wystrzału, żeby trafić Gretchen French. I musiał wiedzieć wcześniej, że Kate zamierza nacisnąć spust. Nie sądzę, żeby ten ktoś wyrzucił broń pomyłkowo. Raczej chciał, abyście ją znaleźli.

- To jakaś gra - wtrącił Luke. - On się z nami bawi.

- Tak myślę - stwierdziła Mary. - Czy Kate Davis wiedziała, że w jej rewolwerze są ślepe naboje?

- Tylko jeden był ślepy - wyjaśnił Ed. - Reszta amunicji w komorze nabojoyej okazała się ostra.

- Zupełnie jak układanka cała w jednym kolorze - powtórzył Chase. - Masz rację, Mary. Gdyby Kate zamierzała zranić Gretchen, zanim ta zacznie rozprawiać publicznie o gwałtach, nie miałyby żadnych ślepych nabojoyów.

A jeśli celowała do kogoś innego, to brakuje nam jakiegoś elementu naszej układanki.

- Ten, do kogo celowała, wiedział, że Kate przyjdzie na cmentarz z bronią - stwierdził Luke. - Był dobrze przygotowany.

Rozległo się pukanie i do pokoju wsunęła głowę Leigh.

- Chase, dzwoni Germanio z Savannah. Mówi, że to pilne. Chase włączył głośno-mówiący telefon.

- Hank, jesteśmy tutaj wszyscy. Co się dzieje?

- Znalazłem Helen Granville - oznajmił Germanio. - Nie żyje. Chase zamknął oczy.

- Jak to się stało?

- Powiesiła się. Odszukałem dom jej siostry, ale policja już tam była. Siostra znalazła panią Granville zwisającą z krokwi w sypialni.

- Czy wezwałeś naszego lekarza sądowego z biura w Savannah? - zapytał Chase.

- Jest w drodze. Siostra Helen Granville powiedziała, że Helen przyjechała do niej zeszłej nocy bardzo wystraszona. Siostra musiała iść dzisiaj do pracy. Kiedy wróciła, Helen już nie żyła.

- Czy uważa, że żona Granville'a wyglądała na kogoś, kto chce popełnić samobójstwo? - spytał Luke.

- Nie, tylko że była bardzo wystraszona. Siostra Helen jest w szoku. Może dowiem się od niej więcej, kiedy się uspokoi.

- Informuj mnie na bieżąco. - Chase zakończył rozmowę i westchnął. - Mamy bardzo zły dzień. Kończmy to zebranie. Wszyscy musimy się wyspać. Talia, czego dowiedziałś się w Ellijay?

- Psy nie złapały tropu. Borenson mógł zostać wywieziony samochodem. - Spojrzała na Luke'a. - Przebadali tę buldożkę w laboratorium i nie znaleźli nic, co mogłoby się nam przydać. Chcesz ją?

- Ja? - zdziwił się Luke. - Czemu ja?

- Bo inaczej pójdzie do schroniska. Wzięłabym ją, ale mam już cztery psy, a moja współlokatorka twierdzi, że nie możemy mieć ich więcej.

- Swojego ostatniego psa podarowałem Danielowi - odparł Luke. - Nie mogę wziąć następnego.

- To bardzo miła suka - powiedziała Talia. - Mam nadzieję, że ktoś ją weźmie ze schroniska.

Nikt się nie poruszył. Luke westchnął.

- Wezmę tego cholernego psa. Talia uśmiechnęła się.

- Wiedziałam, że to zrobisz.

- Ale pojedziesz ze mną jutro do Poplar Bluff. Trzeba porozmawiać z tymi nastolatkami, które przed dwoma laty nie chciały wyjawić okoliczności zaginięcia Kasey Knight. A rozmowy z dziewczynami lepiej idą tobie niż mnie.

- Dobrze - zgodziła się Talia. - Pojadę, ale przyniesiesz mi trochę jedzenia od swojej mamy.

- Chwileczkę - odezwała się Nancy. - Powiedziałeś Poplar Bluff?

- Tak - potwierdził Luke. - To jakieś dwie godziny stąd na południe. Nancy wyjęła z kieszeni swoją listę.

- To jedno z miejsc, które Mansfield zaznaczył na mapie. Chase pochylił się do przodu.

- Co jeszcze jest na tej liście? Nancy uniosła wzrok.

- Panama City na Florydzie - odparła.

- Ashley Csorka - mruknął Luke, a Nancy skinęła głową.

- To lista miejsc, w których działał Mansfield - powiedziała. - Jeździł tam, żeby porywać dziewczyny.

- Możemy ją porównać z informacjami z bazy danych o zaginionych nastolatkach - stwierdził Luke. - I ze zdjęciami z katalogu. Ta lista to żyła złota.

- Musimy się dowiedzieć, czy Mansfield je porwał, czy też zwabiał w jakieś miejsce - powiedziała Talia. - A jeśli zwabiał, to jak. Kiedy poznamy jego sposób działania, może zaprowadzi nas to do Rocky'ego.

- I pozwoli znaleźć zaginione dziewczyny - dodał Luke.

- Dobra robota - pochwalił Chase. - A teraz odpocznijmy trochę. Wezwę stenografów, żeby w nocy popracowali nad tą listą i porównali ją ze spisem z bazy danych. Kiedy poznamy personalia, będzie można zawiadomić rodziców. Spotkamy się jutro o ósmej rano.

Wszyscy już wstali, kiedy Leigh znowu zajrzała do środka. Na jej twarzy malowało się zmęczenie.

- Telefon na gorącej linii do Luke'a. Jakaś kobieta twierdzi, że ma informacje na temat dziewczyny, która leży na oddziale intensywnej opieki.

Luke spojrzął na Chase'a.

- Nie zawiadamialiśmy prasy o jej istnieniu. Czy ta kobieta wciąż jest na linii, Leigh?

- Nie. Chce spotkać się z tobą za dwadzieścia minut przed izbą przyjęć. Masz być sam.

- Pojadę, ale ojciec Ashley Csorki ma być tutaj o szóstej.

- Ja z nim porozmawiam - zaproponowała Talia - i zaniosę próbki DNA jego córki do laboratorium.

- Dzięki - odparł Chase. - A reszta z was niech się wyśpi. Zadzwoń, gdyby coś się działo.

Harry Grimes przykucnął koło plamy na drzwiach garażu należącego do doktora Cassidy.

- To krew.

Steven zwrócił się do starszej sąsiadki.

- O której widziała pani jego samochód?

- Około południa. Doktor zawsze przystaje i pyta, jak się miewam. Dzisiaj tego nie zrobił. Myślałam, że jest bardzo zajęty. - Załamana ręce. - Powinnam była zadzwonić na policję.

Harry wstał.

- Czy to mógł być ktoś inny?

- Sama nie wiem. Mam nie najlepszy wzrok. Bardzo mi przykro.

- Dziękujemy pani. Bardzo nam pani pomogła. - Kiedy odeszła, Harry spojrzął na Stevena. - Nikt nie pamięta Genie Cassidy w tamtym autobusie.

- Steven, Harry! - zawołał jeden z techników. - Kent coś ma.

Kent Thompson z ekipy badającej miejsca zbrodni siedział przy komputerze doktora,

- Cassidy dostał e-maila od Genie około jedenastej. Napisała, że jest na dworcu autobusowym, i pytała, czy by jej stamtąd nie odebrał. Odpisał, że tak i że ma bilety lotnicze do Toronto.

- Zamierzał wywieźć ją z kraju? - zdziwił się Steven.

- Raczej ktoś chciał, żebyśmy tak myśleli. Popatrzcie, skąd zostały wysłane oba maile.

Harry od razu zrozumiał, do czego zmierza Kent.

- Wysłano je przez bezprzewodowy internet - powiedział. - Z komputera z tego domu.

- Czyli autor wiadomości był w tym domu - stwierdził Steven.

- Właśnie - rzekł Kent. - Wiadomość od Genie wyszła z komputera kieszonkowego albo z laptopa. Tak czy owak, Genie nie była na dworcu autobusowym, kiedy ją wysyłała.

Harry kiwnął głową.

- Ogłoszę alarm.

Atlanta, sobota, 3 lutego, godzina 18.05

- Pani Vartanian, proszę się obudzić.

Susannah drgnęła. Przysnęła na krześle przy łóżku bezimiennej pacjentki. Zamrugła i spojrzała w twarz Elli, pielęgniarki opiekującej się Monicą na nocnej zmianie.

- Która godzina?

- Parę minut po szóstej. Jest do pani telefon w pokoju pielęgniarek. Dzwonią z policji.

Susannah znowu zamrugła.

- Co pani tu robi, skoro dopiero minęła szósta? Gdzie Jennifer?

- Rozchorowała się i musiała wyjść, więc przyszłam wcześniej. Telefon czeka.

Susannah wzięła słuchawkę od pielęgniarki siedzącej przy biurku.

- Tu Susannah Vartanian.

- Nazywam się Brianna Bromley, pracuję w GBI jako stenograf. Mam wiadomość od agenta Papadopoulosa. Chce się z panią spotkać przed wejściem na izbę przyjęć. Sprawa jest pilna.

Serce Susannah zaczęło bić szybciej.

- Kiedy?

- Przekazał mi tę informację przed kwadransem. Powinien już tam być.

- Dziękuję. - Susannah wybiegła z budynku i zadrżała, czując na twarzy chłodne powietrze. Rozglądała się za wozem Luke'a, ale zamiast niego dostrzegła znajomą twarz. - Jennifer? Podobno jesteś chora.

Pielęgniarka z dziennej zmiany miała zaczerwienione oczy.

- Czekam na podwiezienie.

- Kiepsko wyglądasz. Od dawna czekasz? Jennifer skinęła głową.

- Ponad godzinę.

- To fatalnie - stwierdziła Susannah.

W tym momencie oślepiły je przednie światła jakiegoś samochodu. Zamrugła, żeby lepiej się przyjrzeć, i zorientowała się, że wóz jest czarny, z przyciemnionymi szybami. Gdy nadjeżdżał, szyba od strony pasażera zaczęła się odsuwać. Susannah dostrzegła błysk metalu.

- Padnij! - krzyknęła, obalając pielęgniarkę na ziemię. Usłyszała huk wystrzału i uniosła głowę, by zobaczyć rejestrację. DRC119.

Przerażona patrzyła za odjeżdżającym wozem, kiedy pod jej stopami rozległ się charkoczący odgłos.

- Cholera. O, cholera. - Z trudem zaczerpnęła powietrza, nie odrywając wzroku od szybko powiększającej się czerwonej plamy na kitlu pielęgniarki. - Jennifer. Jennifer. Pomocy!

Powieki Jennifer Ohman uchylły się.

- Bobby - szepnęła. - To Bobby.

Na bruku rozległy się odgłosy kroków. Susannah nachyliła się nad ranną.

- Jaki Bobby? - spytała.

Za sobą usłyszała pisk opon i huk zatrząskiwanych drzwiczek samochodu.

- O mój Boże!

To był Luke, ale Susannah nie odrywała oczu od twarzy pielęgniarki.

- Kim jest Bobby?

- Proszę się odsunąć - rzucił ostro jeden z sanitariuszy. Luke pomógł jej wstać.

- Nic ci się nie stało?

- Nie. - Przywarła do niego, gdy objął ją silnymi ramionami. Słyszała, jak wali mu serce. Chwyliła się klap jego marynarki i wtuliła policzek w jego pierś. Był mocny i twardy, ale on też drżał.

- Usłyszałem strzał i widziałem, jak upadasz - powiedział. Głos miał ochrypły. - Na pewno nie jesteś ranna?

Pokręciła głową. Chciałaby pozostać bezpieczna w jego objęciach, ale musiała opowiedzieć mu o wszystkim. Szarpnęła lekko za klapy, aż Luke rozluźnił uścisk. Popatrzyła w jego czarne oczy, w których znowu odnalazła wsparcie.

- Ona powiedziała, że to Bobby. Zdumiony Luke zmarszczył brwi.

- Bobby? Kto to taki?

- Nie wiem, ale dwa razy wymieniła to imię. Powiedziała: „Bobby. To Bobby”.

Jego dłonie przesunęły się z jej pleców na ramiona.

- Możesz stać?

- Tak. - Zmusiła się, by puścić jego marynarkę. - Nic mi nie jest. Luke nachylił się nad szpitalnym wózkiem.

- Jennifer, kim jest Bobby? I co z tamtą dziewczyną?

- Ruszamy. Prędko - polecił lekarz pogotowia pielęgniarkom. Luke podążył za nimi. DRC119, przypomniała sobie Susannah.

- Luke, zaczekaj. - Ruszyła jego śladem, ale potknęła się, wciąż oszołomiona.

- Susannah. - Chase wyrósł jak spod ziemi i chwycił ją za rękę. - Co tu się stało?

- Ja tylko stałam koło pielęgniarki, która opiekuje się tą dziewczyną o nieznanym nazwisku. Ktoś miał po nią przyjechać i wtedy pojawił się tamten wóz. To był czarny samochód z rejestracją DRC119. - Zwilżyła językiem wargi, usiłując uspokoić oddech. - Przewróciłam ją na ziemię, ale za późno.

- Spokojnie. Poczekaj chwilę. - Chase zawiadomił przez radio patrole, polecając im szukać czarnego auta, a potem zaprowadził Susannah na ostry dyżur.

Tam podszedł do niego Luke.

- Jennifer Ohman nie żyje - powiedział. Susannah z trudem zaczerpnęła powietrza.

- Ona zginęła przeze mnie. Stała tuż obok mnie. Tak jak Gretchen. O Boże. O Boże.

Luke ujął jej chłodne ręce w swoje ciepłe dłonie.

- Susannah, postaraj się opanować i opowiedz mi dokładnie, co się wydarzyło.

- To był czarny wóz. Przejeżdżał, szyba poszła w dół i zobaczyłam broń. Próbowałam przewrócić Jennifer i wtedy usłyszałam strzał. Kiedy samochód odjeżdżał, zobaczyłam tablicę rejestracyjną DRC119.

- To samo auto śledziło cię dziś rano? - spytał Luke.

- Jesteś tego pewna, Susannah? - dodał Chase. Obrzuciła ich ponurym spojrzeniem.

- Jak amen w pacierzu. Sama ledwie mogę w to uwierzyć, a przecież tu byłam.

- Ale po co tu przysłaś? - spytał Luke. Uniosła brwi.

- Jak to po co? Bo mnie prosiłeś, żebym spotkała się z tobą. Mężczyźni wymienili spojrzenia, a Susannah poczuła, jak dreszcz przebiega jej po plecach.

- Czyżby... Więc to nie byłeś ty?

- Kto do ciebie dzwonił? - zapytał Luke bardzo cicho.

- Jakaś kobieta. Nazywała się tak jakoś dźwięcznie. Brianna... Bromley. Tak, właśnie tak. Powiedziała, że pracuje u was jako stenograf i że kazałeś jej do mnie zatelefonować.

- Nikomu nie kazałem do ciebie dzwonić - powiedział Luke.

- I nie pracuje u nas nikt o takim nazwisku - dodał Chase. Serce Susannah biło teraz wolniej, głucho i boleśnie.

- Więc mnie zwabiono?

- Namierzę tę rozmowę - rzekł Chase. - Luke, czy ta pielęgniarka powiedziała coś, zanim zmarła?

- Tylko to, co usłyszała Susannah.

- „Bobby” - powtórzyła Susannah. - „To Bobby”. Luke, skoro do mnie nie dzwoniłeś, to co ty tutaj robisz?

- Ktoś zawiadomił policję, że ma informacje na temat naszej bezimiennej ofiary. Pewnie ta pielęgniarka.

- Ale jeżeli to Jennifer telefonowała do was, kto dzwonił do mnie? I dlaczego?

- Znamy teraz dwa imiona: Bobby i Rocky. Jedna lub obie te osoby były w tamtym czarnym samochodzie. Chyba chodziło im o zabicie Jennifer.

- W takim razie musieli wiedzieć, że będzie tu czekała - powiedział Chase. - Albo mieli ją na oku... - Zawahał się i dorzucił ponuro: - ...albo mamy przeciek informacji.

- Dziwne - powiedziała Susannah. - Stałam obok pielęgniarki zajmującej się ranną dziewczyną i ktoś ją zastrzelił. Wcześniej na cmentarzu Kate Davis postrzeliła Gretchen French, którą stała koło mnie. Czy to ja byłam celem, czy raczej one?

- Nie wiem - stwierdził Luke. - Ale to nie Kate Davis postrzeliła Gretchen. Na cmentarzu strzelał ktoś jeszcze. I zabił Kate.

- Przecież - Susannah patrzyła to na Luke'a, to na Chase'a - widziałam policjantów sięgających po broń.

- Nie oni strzelali - wyjaśnił Chase. - Znaleźliśmy broń, z której zabito Kate Davis. Ktoś stał między tobą a nią.

- Trochę z lewej - powiedziała Susannah cicho. Twarz Luke'a znalazła się o centymetr od jej głowy.

- Skąd o tym wiesz? Popatrzyła mu w oczy.

- Kobieta w czerni. Gdy Al przewrócił mnie na ziemię, spojrzałam do góry i zobaczyłam kobietę ubraną na czarno, z woalką na twarzy. Gapiała się na mnie. A potem znikła w tłumie.

- Czemu nie wspomniałaś o niej wcześniej?

- Myślałam, że to ktoś z żałobników. No i byłam pewna, że to Kate strzelała do Gretchen, a policja zastrzeliła Kate.

- Możesz opisać tę kobietę w czerni? Susannah zastanawiała się chwilę.

- Była bardzo wysoka. Wokół niej stali ludzie, ale wyróżniała się wśród nich, także... spokojem. Nie wiem, jak długo wpatrywała się we mnie. Może sekundę czy dwie. To było takie niesamowite. No i miała czerwone usta. Dostrzegłam tę czerwień przez woalkę. Jej suknia była długa. I stara. Tak mi się w każdym razie wydawało. Podniszczona. - Przymknęła oczy, odtwarzając w pamięci tamtą scenę, gorączkowe poruszenie wokół kobiety, która stała nieruchomo jak posąg. - Na głowie miała toczek obszuty czarnym futrem. Wyglądała jak ze starej fotografii.

- A buty? - spytał Chase.

- Niebieskie. - Otworzyła oczy. - Miała niebieskie sportowe obuwie. Suknia sięgała jej trochę powyżej kostek, jakby była na nią za krótka.

- Albo na niego - podsunął Luke.

- Bobby - powiedziała półgłosem. - I Rocky. Do diabła! Kim jest Bobby?

- Jedną wielką zagadką - odrzekł Luke. Chase ponuro pokiwał głową.

- O co w tym wszystkim chodzi? - zapytała Susannah. Luke westchnął.

- O to, że ilekroć odkrywamy jakąś tajemnicę, pojawia się następna. Znowu jesteś zabrudzona krwią. Odwiozę cię do hotelu.

- Muszę wrócić na oddział po moje rzeczy.

- Pójdę z tobą.

Już chciała mu powiedzieć, że nie musi się tak o nią troszczyć, ale pomyślała o Gretchen i Jennifer i ugryzła się w język. Może jednak musiał.

Atlanta, sobota, 3 lutego, godzina 18.30

- Czy to prawda? - spytała nerwowo Ella. - Czy Jennifer nie żyje? Monica spięła się, czekając na odpowiedź.

- Niestety. - To był głos Susannah. - Została zastrzelona przed szpitalem kilka minut temu.

Boże. Jennifer starała się utrzymać mnie przy życiu, a teraz zginęła. Poczula dotyk na swojej ręce.

- To tylko ja, Susannah. Muszę już iść, ale wrócę jutro rano. Szkoda, że się nie obudziłaś. Jest tyle rzeczy, których musimy się dowiedzieć.

Jestem przytomna. Do cholery, jestem przytomna. Gniew zagotował się w niej, lecz po chwili nieco przycichł, gdy poczuła ciepło na twarzy. Ciepło warg. Susannah przycisnęła usta do czoła Moniki, w której poczucie bezsilności zmieszało się z tęsknotą tak mocną, że aż zakłuło ją w piersi.

- Śpij - powiedziała cicho Susannah. - Wrócę jutro.

Nie! Monica pragnęła to wykrzyknąć. Nie odchodź. Nie zostawiaj mnie. Proszę, nie zostawiaj mnie. Ale Susannah już poszła.

Łzy zakręciły się w oczach Moniki, a potem spłynęły po skroniach, gdzie wyschły niezauważone.

Susannah wyszła z pokoju dziewczyny o imieniu na literę M i zobaczyła, że Luke na nią czeka.

- To jeszcze dziecko - powiedziała. - Pewnie bardzo się boi.

Ujął jej twarz w dłonie, a ona znowu do niego przyłgnęła.

- Dobry z ciebie człowiek - szepnął. - Wiesz o tym, prawda? Poczula ucisk w gardle. Powiedział to tak, że niemal uwierzyła. Odsunęła się, napięta, uśmiechając się sztucznie.

- Miły jesteś.

Luke westchnął ciężko. Zjechali windą i w milczeniu przeszli do jego samochodu. Kiedy zapięli pasy, Luke popatrzył przed siebie.

- Obiecałem Danielowi, że będę nad tobą czuwał. Mogę cię pilnować w hotelu albo w moim mieszkaniu. Nie oczekuję niczego poza tym, że pozwolisz mi dotrzymać obietnicy.

Poczula rozczarowanie. Co było małostkowe i... bardzo ludzkie. Jakaż kobieta nie chciałaby, żeby mężczyzna taki jak Luke starał się o jej względy? On jednak spasował. Za łatwo.

Sama mu kazałaś. I nie miej pretensji, że cię posłuchał. Mimo to była zawiedziona. I zbyt zmęczona, by protestować.

- Jeśli pojedziemy do ciebie, gdzie będę spała?
- W moim pokoju. Ja prześpię się na sofie.
- W porządku. Jedźmy więc.

Atlanta, sobota, 3 lutego, godzina 18.45

- Poszli? - zapytała Bobby, kiedy Tanner wrócił do samochodu.

- Wreszcie. - Podał jej przez siedzenie tablice rejestracyjne z literami DRC. - Założyłam nowe. Jak teraz nas zatrzymają, to nazywam się George Bentley. Dobrze się bawiłaś?

- O, tak - odparła Bobby z przekonaniem. - Cieszę się, że wróciłeś z Savannah na czas i mogłeś mnie podwieźć. Trudno byłoby ustrzelić tę Ohman zza kierownicy.

- Wracamy do Ridgefield House?

- Jeszcze nie. Mam nowy meldunek od mojej wtyczki. GBI interesuje się Jerseyem Jamesonem. Najwyraźniej Daniel Vartanian zauważył część oznakowania na burcie jego łodzi.

- Gdzie znajdziemy pana Jamesona? - spytał Tanner.

- Znam kilka miejsc, w których bywa. Jesteś gotowy na mały objazd po knajpach?

Tanner się zaśmiał.

- Będzie jak za dawnych lat.

- Tak, to były czasy. Namierzałeś chętnych, a ja ich wabiłam. Niektórzy z tych gości nadal mi płacą. Co miesiąc dostaję przelewy na zagraniczne konto.

- Była z ciebie niezła dziwka, Bobby.
- A tobie nieźle szło szukanie klientów, którzy płacili za utrzymywanie ich zboczonych skłonności w tajemnicy. Tęsknię do tamtych czasów.
- Moglibyśmy gdzieś wyjechać. Zacząć od nowa.
- Moglibyśmy, ale teraz czuję się w swoim żywiole. Jak wszystko przycichnie, chcę odzyskać ten dom na wzgórzu. Jest mój.
- Arthur Vartanian zapisał go swoim prawowitym dzieciom.
- Ten dom mi się należy. A prawowite dzieci już niedługo spoczną u boku sędziego i tej suki, jego żony.
- Kiedy do tego dojdzie - powiedział Tanner - wiesz, czego ja będę chciał.
- Srebrnej zastawy deserowej babci Vartanian. - Bobby się zaśmiała.
- Tak, pamiętam.

Atlanta, sobota, 5 lutego, godzina 19.15

- Ładnie tu - stwierdziła Susannah, rozglądając się po mieszkaniu Luke'a.
- Czysto dzięki mojej... - Urwał, kiedy zobaczył stół nakryty białym obrusem, z talerzami i sztuczkami dla dwóch osób. Od razu się zorientował, że porcelana należy do jego matki, podobnie jak srebrny kandelabr ze świecami, które wystarczyło tylko zapalić.
- Susannah popatrzyła na stół i kącik jej ust uniósł się lekko.
- Dzięki twojej matce?
- Tak.
- Uśmiechnęła się tęsknie.
- Prawie udusiła Daniela w objęciach. Polubiłam ją.
- Wszyscy lubią moją matkę.
- A co powiesz o ojcu?
- O, jemu także nie szczędzi uścisków - odparł. - Papa prowadzi restaurację razem ze swoimi braćmi. Grecką, oczywiście. Kiedyś mama szefowała w kuchni. Teraz gotują moi kuzyni. Tata i wujowie mogą się wreszcie nacieszyć życiem, ale mama potrzebuje zajęcia. I folguje sobie, gotując dla wszystkich moich przyjaciół. - Wyjął z szafy garnitur i pociągnął nosem.
- Już prawie nie czuć swądu dymu i zgniłych ryb.
- Pralnia dostarcza ci ubrania do domu?
- Pralnię prowadzi mój kuzyn Johnny. Ma klucz do tego mieszkania. W zamian za darmowe dostawy pozwalam mu oglądać płatne kanały sportowe na moim plazmowym ekranie.

- Ciekawe, czy udałoby mu się usunąć błoto z czarnej sukni Chloe Hathaway.

- Jeżeli Johnny nie da rady, to nikomu innemu się to nie uda. - Poglądził brzuch, w którym mu zaburczało. - Umieram z głodu.

- Ja też - powiedziała i dodała niepewnie: - Potrafię gotować. Troszkę.

- Mama mówiła, że zostawiła jedzenie w lodówce. - Luke poszedł do kuchni, a Susannah ruszyła za nim.

- Czy mogłabym coś zrobić?

- Przebierz się - odparł z uśmiechem, otwierając lodówkę. - Znowu. Spojrzała na swoją bluzkę poplamioną krwią.

- Zaraz wrócę.

Beztrouski uśmiech na jego twarzy zniknął w momencie, gdy Susannah wyszła.

- Mam nadzieję - mruknął pod nosem i zaczął podgrzewać jedzenie, które zostawiła mu matka. Nie przestawał przy tym rozmyślać o Susannah.

W drodze do jego mieszkania odebrała telefon od Gretchen French, która zaplanowała konferencję prasową jutrzejsze popołudnie.

- Powinieneś z nią pogadać - powiedziała do Luke'a, kiedy skończyła rozmawiać z Gretchen. - Ona nadal sądzi, że to Kate Davis ją postrzeliła.

- Jesteś pewna, że chcesz iść na tę konferencję? - spytał. - Kiedy usiądziesz razem z tymi kobietami przed mikrofonami reporterów, nie będzie odwrotu.

- Nie ma dla mnie odwrotu - odparła - odkąd wczoraj przed południem wysiadłam z samolotu, którym tu przyleciałam. Wiedziałam o tym już wtedy. Dam sobie radę. Postąpię tak, jak należy.

Poczuł do niej głęboki szacunek i zarazem pożądanie tak silne, że niemal go dławilo. Nie chodziło o jej piękną twarz, o stonowaną elegancję ruchów. Było to coś znacznie głębszego. Ujmując rzecz krótko, Susannah była po prostu kobietą, której szukał od zawsze.

Teraz, stojąc we własnej kuchni, wiedział, że nie ma znaczenia to, czego pragnął i co odnalazł. Przed szpitalem drżała jak liść na wietrze. Wtuliła się w niego, pełna ufności. Pozwoliła mu zawieźć się do siebie, bo wierzyła, że nic złego jej tu nie spotka. Jednak dopóki nie powierzy mu sekretów swojej duszy, których tak się wypierała, nic innego nie będzie się liczyło.

Właśnie otworzył butelkę z winem, kiedy zabrzmiał dzwonek u drzwi. Odstawił butelkę na blat, podszedł do drzwi, wyjrzał przez wizjer i westchnął.

- Witaj, Talio - powiedział, gdy otworzył.

Talia Scott trzymała na smyczy buldożkę sędziego Borensona.

- Zapomniałeś o psie.

- Byłem trochę zajęty. Uśmiechnęła się współczująco.

- Słyszałam, co się stało przed szpitalem. Przykro mi. Westchnął znowu.

- Chyba powinienem zaprosić cię do środka.
- O, dziękuję - powiedziała Talia z lekką ironią. - To się nazywa gościnność.

Uchylił szerzej drzwi. Talia weszła z psem, a ten klapnął u stóp Luke'a z jeszcze głośniejszym westchnieniem. Talia roześmiała się.

- To suczka. Wabi się Darling. Przewrócił oczami.
- Od razu widać. Czy masz dla niej jedzenie?

Talia wyciągnęła z plecaka torbę suchej karmy dla psów.

- Na jakiś czas wystarczy. A to jej smycz i miska.
- I nikt jej nie chce? - dopytywał się Luke, gdy Talia wciskała mu rzeczy psa.
- Nie. Psy myśliwskie Borensona wzięli jego sąsiedzi, ale na Darling nikt się nie sku-
sił. Czuję jakieś smakowite zapachy -powiedziała Talia i wtedy dostrzegła zastawiony
stół. - Widzę, że masz towarzystwo. Pójdę już.

Zanim wyszła, wyjaśnił:

- Jest u mnie Susannah Vartanian. Popatrzyła na niego zaskoczona.
- Naprawdę?
- To nie tak, jak myślisz. Zostań, proszę. Otworzyłem butelkę wina. Poszedł do
kuchni, a suka nie odstępowała go na krok. Ilekroć Luke
przystawał, kładła mu się na stopach. Kiedy robił krok, czyniła to samo.
- Nie mogę jej zatrzymać - stwierdził. - Prawie nie bywam w domu. Talia przysiadła
na blacie.
- W takim razie pójdzie do schroniska. A potem... kto wie? Luke spojrzał na nią
spode łba.
- Jesteś okrutna. Roześmiała się.
- A ty słodziutki. Pokręcił głową.
- Tylko nie zacznij o tym rozpowiadać. Widziałaś się z panem Csorką? Talia spo-
ważniała.

- Owszem. Zjawił się z kartą dentystyczną Ashley, próbkami jej DNA i zdjęciem ze sportowymi trofeami. Jest pływaczką. College, do którego chodziła, przyznał jej pełne stypendium na następny rok.

- Minęła ponad doba. Porywacze mogą być już daleko.
- To prawda, ale rozesłaliśmy podobiznę jednej z zaginionych dziewcząt do wszyst-
kich wydziałów policji na południowym wschodzie. Ashley jest niepełnoletnia, więc
wszczęliśmy alarm w systemie informującym o zaginięciach nastolatków. - Nachyliła
się i uściśnięła dłoń Luke'a. - Nasza sytuacja wygląda lepiej niż wczoraj. - Skorzysta-
łam z twoich... - Susannah urwała. Stała w drzwiach, trzymając porządnie złożone wil-
gotne ręczniki i wpatrywała się w ich złączone dłonie. - Przepraszam. Nie wiedziałam,
że masz gościa.

Talia uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę na powitanie.

- Jestem Talia Scott. Pracuję z Lukiem i Danielem.

Susannah przełożyła ręczniki do lewej ręki, aby móc uścisnąć dłoń Talii.

- Miło cię poznać. To ty rozmawiałaś z Gretchen French.

- I z pozostałymi ofiarami - odpowiedziała Talia. - Z wyjątkiem ciebie
- dodała.

Susannah oblała się rumieńcem.

- Złożyłam zeznanie prokurator Hathaway.

- Nie to miałam na myśli. Rozmawiałam z tymi kobietami, żeby przedstawić im ich prawa oraz formy pomocy, z jakiej mogą skorzystać.

Susannah uśmiechnęła się niepewnie.

- Pracuję w prokuraturze, więc znam swoje prawa. Ale mimo wszystko dziękuję.

- Na pewno potrafisz przedstawiać innym ich prawa - nie rezygnowała Talia. - Ale może nie myślisz tak samo o własnych. Zadzwoń do mnie o dowolnej porze, jeśli chcesz porozmawiać. - Podała swoją wizytówkę.

Susannah wzięła kartonik.

- Gretchen wyraża się o tobie w samych superlatywach - powiedziała, po czym uniosła brwi na widok torby z karmą dla psów leżącej na stole.

- Czy to ma być kolacja?

Luke popatrzył na swoje stopy.

- Nie nasza. Jej.

Twarz Susannah rozjaśnił promienny uśmiech.

- Ojej! - Odłożyła ręczniki, przyklękła i zaczęła głaskać psa. - Czy to twój piesek, Talio?

Talia zaśmiała się i puściła oko do Luke'a.

- Nie mój. Jego.

- Podpadłaś mi - mruknął pod nosem, a Talia znowu się roześmiała. Susannah spojrzała na niego, nie przestając się uśmiechać.

- Twój? Serio? Westchnął.

- Tak. Chyba tak, do czasu, aż znajdę tej psinie nowy dom. Należała do sędziego Borensona. Jeżeli okaże się, że on żyje, suka do wróci niego.

Susannah wróciła do głaskania wyraźnie z tego zadowolonej buldożki.

- Ja też mam psa. W domu, w Nowym Jorku.

- Jakiej rasy? - spytała Talia.

- Szetland. Suczka. Wabi się Thor.

Talia wybuchła śmiechem.

- Suka rasy szetlandzkiej o imieniu Thor? To dopiero historia!

- Właśnie. Jest teraz w hotelu dla zwierząt i pewnie zastanawia się, kiedy po nią wrócić. - Buldożka polizała Susannah po twarzy, doprowadzając ją _ tym do śmiechu.

- A ona jak się wabi? - zapytała.

- Darling - odpowiedział Luke.

Susannah popatrzyła na niego i ich spojrzenia się spotkały.

- Ładnie. - Przestała się uśmiechać. - Zawsze przygarniasz bezpańskie psy, Luke?

- Zazwyczaj nie - odparł i uświadomiwszy sobie, że zbyt intensywnie wpatruje się w Susannah, odwrócił wzrok.

- Mamy wino, Susannah - odezwała się Talia. - Napijesz się?

- Nie piję alkoholu, ale wy napijcie się za moje zdrowie. Kolacja pachnie wspaniale.

Zostajesz z nami, Talio?

- Tak - odpowiedział Luke.

- Nie - rzekła w tym samym momencie Talia. - Muszę wracać do domu.

- Jesteś pewna, że nie chcesz tego psa? - zapytał ją Luke.

- Nic z tego - odparła. - Moja współlokatorka się zbuntowała, kiedy przyprowadziłam czwartego psiaka. Powiedziała, że na więcej absolutnie się nie zgadza. Tak więc padło na ciebie, Luka. - Poklepała go po policzku. - Pomyśl tylko, jak pies ożywi twój dom.

Luke aż się zaśmiał na widok psotnych iskierek w jej oczach.

- Wyraźnie cię to bawi - zauważył.

- Odprowadź mnie do drzwi. Miło było cię poznać, Susannah. Zadzwoń do mnie, kiedy zmienisz zdanie.

Luke odprowadził Talię, a Darling podreptała za nim.

- O co chodzi? - spytał cicho, gdy znaleźli się w holu. Talia pokręciła głową.

- Ale ci się trafiło. Przecież ona nie jest Greczynką. Co na to powie twoja mama?

- A myślisz, że kto nakrył do tego cholernego stołu?

- Interesujące. - Talia spoważniała. - Przypomnij Susannah, żeby zadzwoniła, kiedy będzie mnie potrzebować.

- Ona jest taka sama jak Daniel - stwierdził. - Dusi wszystko w sobie.

- Rozumiem - odrzekła. - Kiedy chcesz się wybrać do Poplar Bluff?

- Byłoby łatwiej skontaktować się z przyjaciółkami Kasey Knight w tygodniu, kiedy pracują szkoły, ale nie możemy czekać do poniedziałku. Wyjedziemy zaraz po porannej naradzie. Powinniśmy dotrzeć na miejsce koło jedenastej.

- Czyli w czasie mszy - zauważyła Talia. - Poplar Bluff to małe miasteczko. Skontaktuję się z tamtejszym pastorem i zapytam, czy koleżanki Kasey chodzą do kościoła. To może być najlepsza okazja do spotkania ich w jednym miejscu. Do jutra. Weź dla mnie jakies resztki z kolacji, dobrze?

- Przecież możesz zostać. Uśmiechnęła się.
- Nie, naprawdę nie mogę. Powodzenia, Luka.

Przewrócił oczami i wrócił do kuchni, gdzie Susannah właśnie rozdrabniała sałatę. Oparł się o lodówkę, wciąż z Darling u stóp.

- Ona nie odstępuje mnie na krok-poskarżył się.

Kącik ust Susannah uniósł się w uśmiešku, który Luke zdążył już polubić.

- Znalazłeś ją w lesie.
- W pewnym sensie tak.

Odsunęła go delikatnie, żeby wyjąć jarzyny z lodówki.

- Więc nie ma się co dziwić. Darling jest dla ciebie kimś takim, jak bezimienna dziewczyna dla mnie. I, do pewnego stopnia - dodała, odkrawając końcówki ogórka nieco zbyt energicznie - kim ja jestem dla ciebie.

Chciał chwycić ją za ramiona i zmusić do spojrzenia mu w oczy, ale nie poruszył się.

- Takie postawienie sprawy jest niesprawiedliwe dla nas obojga - powiedział cicho.

Spuściła głowę.

- Masz rację. Przepraszam. - Z wysiłkiem przełknęła ślinę, skupiając wzrok na warzywach, które siekała szybkimi, wprawnymi ruchami. - Talia mówiła do ciebie „Luka”.

- Matka mnie tak nazywa.

- Wiem. Ty i Talia się przyjaźnicie? - zapytała jak gdyby nigdy nic. Odpowiedział spokojnie, choć serce zaczęło mu walić.

- Ona jest Greczynką.

- No to co? Znasz wszystkich Greków z Atlanty? Uśmiechnął się.

- Większość. To zżyta społeczność. Mój ojciec i jego bracia organizują catering na wesela i przyjęcia, więc wszyscy dobrze się znamy.

Wrzuciła pokrojone ogórki do sałatki.

- Nazwisko Scott nie brzmi z grecka.

- Ma je po byłym mężu.

- Dziwię się, że twoja matka nie wybrała jej dla ciebie - powiedziała beztrósco.

- Próbowwała. Ale dała sobie spokój. Talia i ja jesteśmy przyjaciółmi, nic więcej.

Susannah odwróciła się i spojrzała na Luke'a z taką tęsknotą że nagle tak prosta czynność jak oddychanie zaczęła sprawiać mu kłopot.

Po chwili spuściła wzrok i przeszła obok niego, aby postawić sałatkę na stole. Stała za nią.

- Susannah...ja...

- Muszę iść - przerwała mu. - Przebiegnę się w pokoju naszej bezimiennej na OIOM-ie, ze strażnikiem przy drzwiach, żebyś się nie denerwował.

- Poczujęm się lepiej, gdybyś na mnie popatrzyła.

Nie poruszyła się, więc delikatnie ujął ją za ramiona i obrócił. Czekał w milczeniu, aż wreszcie spojrziała mu w oczy. Poczuli się, jakby ktoś uderzył go pięścią w brzuch. Jej oczy, wcześniej tak ostrożne, skryte, teraz kipiały emocjami, były dzikie i gwałtowne. Widniało w nich pragnienie i ciekawość. Zaprzeczenie i konsternacja. Świadomy, że jego następny ruch będzie miał decydujące znaczenie, ujął jej twarz w dłonie, tak jak kilka godzin wcześniej.

Przytuliła policzek do jego ręki, i nabrała powietrza, jakby chciała zapamiętać jego zapach, a całe ciało Luke'a stężało. Uzmysłował sobie, że jeszcze nigdy nie pragnął nikogo tak bardzo.

- Od jak dawna, Susannah? - spytał chrapliwym szeptem.

- Co od jak dawna?

Zrozumiał, że tym pytaniem trafił w samo sedno.

- Od jak dawna nikt cię nie dotykał? - Powiódł kciukiem po jej policzku. - Kiedy ostatni raz ktoś pocałował cię w czoło?

Czuł, jak wszystko się w niej gotuje.

- Nikt nigdy tego nie zrobił - odpowiedziała wreszcie. Zakłuło go w sercu.

- Nawet matka?

- Nawet ona. Nie była wylewna.

- Susannah, czy twój ojciec?... - Nie mógł dokończyć tego pytania. Nie po tym, przez co przeszła.

- Nie, chociaż chciał to zrobić. To zawsze widać. Ale nigdy się nie odważył. - Nerwowo zwilżyła usta. - Czasami się chowałam. W ten sposób znalazłam tę kryjówkę za szafą. Nie uciekałam wtedy przed Simonem. Uciekałam przed ojcem.

Luke miał ochotę krzyknąć. Cisnąć czymś o ścianę. Albo zabić jej ojca. Jak na ironię, Simon zrobił to za niego.

- Bił cię?

- Nie. Na ogół w ogóle nie zwracał na mnie uwagi. Jakbym nie istniała. A czasami patrzył na mnie tak dziwnie. - Zadrżała.

- A matka?

Susannah wykrzywiła usta.

- Była dobrą gospodynią, ale nie afiszowała się z uczuciami. Danielowi i mnie nie poświęcała specjalnej uwagi. Tylko Simonowi. Jego wręcz uwielbiała. Kiedy stracił nogę, zrobiło się jeszcze gorzej. A kiedy myśleliśmy, że umarł, gdy ojciec go wygnał i oznajmił światu, że jego syn nie żyje... to było straszne.

- Co się wtedy stało?

- Matka wpadła w histerię. Mówiła, że nas nienawidzi, mnie i Daniela. Że wolałaby, żebyśmy się w ogóle nie urodzili. Że żałuje, że to nie któreś z nas umarło.

Jak można powiedzieć coś takiego własnej córce? - zastanawiał się Luke.

- Więc gdy Simon cię skrzywdził, nie mogłaś nic jej wyznać. Susannah odwróciła wzrok.

- I tak wiedziała.

- Co takiego? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem jak, ale jakoś się dowiedziała. Powiedziała mi, że jestem latawicą. Że mam to, na co zasłużyłam. W rzeczywistości było inaczej. Nigdy nie umawiałam się na randki.

- To straszne - powiedział drżącym głosem. Popatrzyła mu w oczy.

- Dziękuję ci - szepnęła.

Był przerażony. Matka obwiniała Susannah za to, że została zgwałcona przez własnego brata, a teraz dziękuje jemu, że to potępił. Znowu miał ochotę krzyknąć, lecz opamiętał się i delikatnie pocałował ją w czoło.

- Sądzisz, że jesteś sama, ale to nieprawda. Myślisz, że tylko ty robiłaś rzeczy, których się wstydzisz, ale to też nieprawda.

- Ty nie robiłaś takich rzeczy jak ja, Luke.

- Skąd wiesz? Sypiałem z kobietami, które ledwo znałem, czasami tylko po to, żeby zapomnieć o tym, co widziałem wcześniej w ciągu dnia. Nie chciałem budzić się samotnie o trzeciej nad ranem. Wstydzę się tego. Pragnąłem miłości, jaka łączy moich rodziców, ale nie znalazłem jej.

- Nic nie rozumiesz. - Zaczęła się odsuwać. - I mam nadzieję, że nigdy nie zrozumiesz.

- Nie odchodź - wyszeptał i musnął ustami jej wargi. - Nie odchodź. Wstrzymał oddech i czekał.

Po chwili, która wydawała się wiecznością, Susannah obróciła głowę. Lekko, ale to wystarczyło.

Jego usta przywarły do jej warg, ostrożnie i delikatnie. Nareszcie. Z cichym jękiem poddała mu się, przesuwając dłonie po jego piersi i odwzajemniając pocałunek. Jej usta były miękkie i znacznie słodsze, niż przypuszczał.

Wtedy cała delikatność gdzieś się ulotniła i Luke zrobił to, czego pragnął. Uniósł Susannah i przyciągnął ku sobie, tam gdzie jego ciało pulsowało pożądaniem.

Natychmiast przerwała pocałunek. Przycisnęła policzek do jego szyi i odsunęła się. Luke zwolnił uchwyt, a jej stopy znów znalazły się na podłodze.

Wyciągnęła rękę, aby go powstrzymać przed ponowną próbą. W jej oczach dostrzegł rozpacz.

- Nie mogę tego zrobić - powiedziała, cofając się, a potem pobiegła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi.

Luke przeklinał sam siebie. Przecież obiecał, że nie będzie domagał się od niej niczego poza umożliwieniem mu dotrzymania obietnicy danej Danielowi. Wykorzystał jej słabość, tak jak wcześniej zrobili to inni.

Wściekły na siebie, chwycił smycz.

- Chodź, Darling. Idziemy na spacer.

16

Ridgefield House, sobota, 3 lutego, godzina 19.30

Ashley Csorka była bardzo zmęczona. Od wielu godzin skrobała zaprawę murarską i gwóźdź całkiem się stępił. Aby wyciągnąć następny, musiała poluzować kolejny schodek, a to zabrało sporo czasu. Wreszcie wysunęła pierwszą cegłę znajdującą się jakieś pół metra nad podłogą. Wstrzymała oddech i pchnęła ją. Nic. Trzeba pchnąć mocniej. Jeśli narobię hałasu, oni tu przyjdą, pomyślała.

Ale przecież skrobała od kilku godzin, a do tej pory jakoś nie przyszli. Może ich nie ma. Pospiesz się, szybciej. Pchnęła mocniej i o mało się nie rozplakała, gdy cegła wypadła, a ona poczuła na twarzy powiew świeżego powietrza. Powiew wolności.

Musi jeszcze tylko obluzować cztery lub pięć kolejnych cegieł. Prędezej. Prędezej.

Charlotte, Karolina Północna, sobota, 3 lutego, godzina 21.35

Harry Grimes zapukał do drzwi Nicole Shafer, trzeciej osoby z listy przyjaciółek Genie Cassidy, którą otrzymał od matki tej ostatniej. Drzwi otworzyła młoda dziewczyna. Pokazał jej odznakę.

- Agent specjalny Harry Grimes. Czy rodzice są w domu?

- Mamo! - zawołała dziewczyna i po chwili w przedpokoju ukazała się kobieta wycierająca ręce w kuchenną ścierkę.

- W czym mogę pomóc? - spytała, a on znów pokazał odznakę.

- Prowadzę dochodzenie w sprawie zaginięcia Genie Cassidy. Kobieta zmarszczyła czoło.

- Słyszałam, że uciekła z domu.

- Nie, proszę pani. Uważamy, że została porwana. Byłbym wdzięczny, gdybym mógł zadać pani córce kilka pytań.

- Oczywiście. Proszę wejść.

Zaprowadziła Harry'ego do pokoju, w którym pan Shafer oglądał telewizję.

- Wyłącz to, Oliver. Ten pan jest z policji stanowej. Proszę usiąść, agencie Grimes.

Harry usiadł, nie spuszczać wzroku z Nicole, która z kolei wpatrywała się w czubki swoich butów.

- Nicole - zwrócił się do dziewczyny. - Genie kontaktowała się przez internet z chłopakiem o imieniu Jason. Czy wiedziałaś o tym?

Nicole spojrzała niepewnie na rodziców.

- Tak - odparła. - Ale ona nie chciała, żeby jej mama się o tym dowiedziała. Jej mama jest nadopiekuńcza. Genie w ogóle nie miała w domu luzu. Naprawdę.

- A czy wiedziałaś, że jej siostra Monica także zniknęła po skontaktowaniu się z pewnym Jasonem? - zapytał Harry.

Nicole kiwnęła głową.

- Połowa chłopaków z naszej klasy ma na imię Jason - powiedziała. - To popularne imię.

- Wiesz, gdzie Genie miała się z nim spotkać? Nicole milczała.

- Niki - upomniał ją ojciec. - Jeśli wiesz, to powiedz panu. Dziewczyna westchnęła.

- U Mela. To taka knajpa.

- Znam ją - powiedział Harry i zadał Nicole kolejne pytanie: - Czy ty też kontaktowałaś się przez internet z Jasonem?

Dziewczyna przypatrywała się swoim paznokciom pomalowanym czerwonym lakierem.

- Czasem - odparła, nie podnosząc wzroku. - Jak byłam z Genie, pozwalala mi coś do niego napisać. Ten Jason to równy facet. Pisał jej, że jest piękna.

- Prosił cię o spotkanie? - spytał Harry. Znowu kiwnęła głową.

- Tak, ale ja się bałam. Genie powiedziała, żebyśmy poszły razem, ale miałam pietra.

- O Boże! - westchnęła zatrwożona pani Shafer. - Niki, przecież to mogło spotkać ciebie.

Oczy Nicole zaszczyły łzami.

- Czy ona naprawdę zaginęła? To znaczy porwano ją?

- Tak nam się wydaje - rzekł Harry. - Uważaj na siebie, Niki. To, co wypisują ci fa-ceci na internetowych czatach, rzadko pokrywa się z rzeczywistością. A kontakty z nimi bywają niebezpieczne.

- Odnajdziecie ją, prawda? - zapytała Niki z płaczem.

- Na pewno się postaramy. Powiedz, czy on czasami do ciebie eseme-suje... albo ty do niego?

- Tak, puszcza mi esemesy. To student. - Niki zawahała się. - On myśli, że ja też chodzę do college'u.

- Muszę poznać wszystkie hasła i pseudonimy, jakimi posługujesz się na czatach - powiedział Harry, a krew zaczęła szybciej krążyć mu w żyłach. Jeżeli dobrze to rozegrają, może przyskrzynią tego sukinsyna. - A ty musisz mi dać słowo, że nikomu nawet o tym nie piśniesz. Nie chcę, żeby twoje przyjaciółki go uprzedziły.

- Mam mówić, że policja mnie wypytywała, ale ja nic nie powiedziałam, tak?

Harry uśmiechnął się, słysząc nutkę nadziei w jej głosie.

- Właśnie. Jak gdyby nigdy nic.

Pan Shafer rozwiął wszelkie nadzieje córki.

- Oddasz mi swoją komórkę. Chwilowo będziesz uziemiona, moja panno. Nicole zrobiła taką minę, jakby chciała zaprotestować, ale posłusznie wyjęła z kieszeni telefon i położyła go na wyciągniętej dłoni ojca.

- To mogłam być ja - powiedziała cicho. Ojciec objął ją i mocno uściśnął.

- Dziękujemy - rzekł do Harry'ego nad głową córki. - Gdybyśmy byli jeszcze potrzebni, proszę się do nas zgłosić.

Atlanta, niedziela, 4 lutego, godzina 0.15

Obudził go płacz. Luke zamrugał na widok światła, które zostawił zapalone. Czuł się jak na kacu, choć nawet nie tknął wina. Po tamtym katastrofalnym pocałunku długo nie mógł zasnąć, obwiniając się za wszystko, do czego doszło.

W końcu wstał i zaczął myśleć o człowieku zwanym „Bobbym”. W tej sprawie wszyscy wywodzili się z Dutton, więc poszedł tym tropem: sporządził listę mieszkańców, którzy nosili imię Bobby. W końcu, zbyt zmęczony, by dalej myśleć, przesłał listę Chase'owi pocztą elektroniczną i wrócił na sofę. Spał cztery godziny, a mógłby spać dłużej, gdyby nie ten płacz. Zastanawiał się, czy mu się nie przyśnił. Czasami w jego snach pojawiali się płaczący ludzie.

Jednak tej nocy usłyszał prawdziwy płacz. Nadal go słyszał, stłumione ciche łkanie. Widząc uchylone drzwi sypialni, zajrzał tam i poczuł się jak kompletne zero. Susannah siedziała na podłodze w jego starej, o wiele za dużej na nią bluzie, i tuliła buldożkę. Jej ramiona trzęsły się spazmatycznie. Luke podszedł, objął ją i posadził na łóżku.

Myślał, że będzie się opierała, ale ona chwyciła się jego koszuli i kurczowo się jej trzymała. Tak jak wcześniej, kiedy obejmował ją przed szpitalem.

Wsunął dłoń pod jej włosy i ujął tył głowy. Po pewnym czasie uspokoiła się. Próbowała się odsunąć, ale jej nie puszczał.

- Musisz odpocząć - powiedział cicho.
- Wyplakałam dzisiaj więcej łez niż w całym dotychczasowym życiu.
- Moja siostra Demi mówi, że czuje się lepiej, jak się porządnie wypłacze. Powinnaś więc czuć się wspaniale - zażartował i pocałował ją w czoło.

- Dlaczego płakałaś?

- Dzwonili ze szpitala w sprawie wyników naszych badań.

Sens jej słów dotarł do niego dopiero po chwili. Kontakt z krwią bezimiennej. Testy na HIV, którym się poddali.

- Wynik dodatni? - zapytał, siląc się na spokój. Odsunęła się i popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Nie. Ujemny. Myślałam, że i ciebie zawiadomili.

- Jeśli tak, pewnie nagrali mi się na pocztę głosową. - Odetchnął z ulgą.

- Aleś mnie wystraszyła.

- Przepraszam. Myślałam, że obudziłeś się, bo dzwoniли do ciebie.

- Obudziłem się, bo usłyszałem, że płaczesz. - Popatrzył na nią. - Wynik jest ujemny, czyli nic nam nie jest. Skąd więc te łzy?

Westchnęła.

- Trudno to wytłumaczyć.

- Spróbuj - poprosił. Spuściła wzrok.

- Uważam, że jesteś bardzo miły. Brwi Luke'a powędrowały do góry.

- I z tego powodu wyplakujesz oczy? To bez sensu.

- Próbuję ci wyjaśnić. Chodzi o to, że jesteś pierwszym facetem, który się mną zainteresował. Pierwszym przyzwoitym facetem. Sympatycznym, ciekawym, inteligentnym, otwartym i...

- Przystojnym? - podsunął z nadzieją w głosie. - Piekielnie seksownym?

Roześmiała się, na co liczył.

- Tak. - Spoważniała. - Każdej kobiecie schlebiałoby twoje zainteresowanie. I pewnie by je odwzajemniła.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Tak - odparła bardzo cicho, nie patrząc mu w oczy. - Więc kiedy zadzwonili ze szpitala, najpierw pomyślałam: „Rety, nie umrę”, a zaraz potem: „O rany, teraz Luke mógłby być mój”.

Odchrząknął.

- Co to znaczy „mógłby”?

- Przecież wiesz. Nie mogę cię mieć.

- Z powodu swojej dramatycznej przeszłości? Susannah, jesteś mądrą kobietą, a powiedziałaś najgłupszą, najbardziej nielogiczną rzecz, jaką w życiu słyszałem.

Zacisnęła zęby.

- Nie powiedziałam nic głupiego.

- Mądre to też nie było - stwierdził poirytowany. - Gdyby przyszła do ciebie ofiara gwałtu z podobną historią, poklepałabyś ją po policzku, a potem skierowała na terapię i poradziła, żeby zaczęła nowe życie. Mam rację, prawda?

- Nie poklepałabym jej po policzku - odparła.

- No dobra. Ale na pewno poradziłabyś jej, żeby rozpoczęła nowe życie. Powinnaś zrzucić z siebie to poczucie winy.

- Nie chodzi tylko o poczucie winy.

- A o co jeszcze?

- Nie potrafię tego zrobić - wycedziła przez zęby.

- Owszem, potrafisz. Powiedz, w czym problem. Przecież jestem otwarty i sympatyczny.

- Nie potrafię się w to zaangażować. W seks - rzuciła i zamknęła oczy. - Boże. Jakie to upokarzające.

Luke milczał chwilę, a potem spytał:

- Czy chodzi o jakąś... ułomność fizyczną?

- Nie. - Zakryła twarz dłońmi. - Puść mnie, proszę.

- Nie. Najpierw musisz mi powiedzieć. Pragniesz mnie, sama to przyznałaś. Czy nie chciałabyś rozwiązać problemu, który cię dręczy, żeby spełnić swoje pragnienie?

- Ależ z ciebie altruista - burknęła.

- Jestem też sympatyczny. I przystojny. No i piekielnie seksowny. Uśmiechnęła się smutno.

- Jesteś niepoprawny.

- Mama ciągle to powtarza. - Spoważniał i potarł kciukiem brzeg jej ust. - Powiedz mi, Susannah. Nie będę się śmiał. Daję słowo.

- Nie mogę z tobą w ten sposób rozmawiać. Proszę, puść mnie. Rozwarł ramiona, a ona znowu usiadła na podłodze.

- Tęsknię za moim psem - oznajmiła, głaszcząc Darling. - Thor pewnie się boi, że już nie wrócę.

- Powiedz, dlaczego nazwałaś sukę męskim imieniem.

- Thor to skandynawski bóg błyskawic i gromów - wyjaśniła. - Tej nocy, gdy ją znalazłam, szalała burza z piorunami. Pojechałam na cmentarz na grób Darcy. Robię to co roku dwudziestego stycznia.

- Burza w styczniu?

- To się zdarza, chociaż rzadko. Padał śnieg, więc jechałam bardzo wolno, kilkanaście kilometrów na godzinę. Gdybym jechała szybciej, potrafiłabym ją. Nagle rozbłysła

błyskawica i zobaczyłam na środku drogi psa, mokrego i zziębniętego, który zdawał się mówić: „Przejedź mnie albo uratuj, ale nie zostawiaj na pastwę losu”.

- I zatrzymałaś się.

- Tak. Chciałam zawieźć sukę do weterynarza i zostawić ją u niego, ale polizała mnie po twarzy, a ja... ja bardzo to lubię.

- Zauważyłem - stwierdził, a ona zaśmiała się.

- Okazało się, że suka ma wszczepiony mikroczip. Kilka miesięcy wcześniej uciekła od jakiejś rodziny z północy i przez cały ten czas błąkała się samotnie.

Luke zaczął rozumieć sens tej historii.

- Dzielny piesek.

- Tak. Jej właściciele kupili już innego psa, więc powiedzieli, że tego mogę zatrzymać. I tak zrobiłam. Przynajmniej nie wracałam co wieczór do pustego domu. Thor dostrzymywała mi towarzystwa podczas wielu nocy, kiedy nie mogłam zasnąć do trzeciej nad ranem. To dobra psina. Cieszę się, że ją mam.

- Wygląda na to, że jej również się poszczęściło.

- No proszę, znowu starasz się być miły.

- Susannah, powiedz mi, dlaczego nie możesz uprawiać seksu. Westchnęła ciężko.

- Dobrze. Właściwie mogę, ale nie w pozycji klasycznej.

- A co uważasz za pozycję klasyczną?

- To takie krępujące...

- Masz na myśli pozycję na misjonarza?

- Tak. To nie dla mnie. Ja nie mogę... patrzeć na mężczyznę... w trakcie.

- Podczas stosunku?

- Tak. Czuję się jak w potrzasku. Duszę się. Wpadam w panikę.

Przysiadł na krawędzi łóżka i pogładził ją po włosach.

- Po tym wszystkim, co przeszłaś... Nic dziwnego. Więc jak to robiłaś?

Zaśmiała się nerwowo.

- Odwrócona tyłem.

Wziął głęboki oddech, nie chcąc zdradzić, jak bardzo go to podnieciło.

- I to wszystko? To twój jedyny problem?

- Nie. Jeden z wielu.

- A jakie są inne?

Wydała z siebie zdławiony jęk.

- To musi odbywać się... nietypowo. Inaczej nie potrafię. Ściągnął brwi.

- Czy to ma coś wspólnego z zadawaniem bólu?

- Czasami. Ale ma boleć tylko mnie. Nikogo innego.

- Więc lubisz...

- Trochę brutalności. A jednocześnie tego nie cierpię - dodała szybko. Boże miłosierny, pomyślał. Już otworzył usta, by coś powiedzieć, ale wtedy Susannah wyrzuciła z siebie:

- To koszarne, że potrzebuję tego właśnie tak. Wkurza mnie, że to jedyny sposób na... - urwała.

- ...na osiągnięcie orgazmu. Spuściła głowę.

- To chore. Nienormalne.

- I uważasz, że przez to, że musiałś robić to w ten sposób, zginęła twoja przyjaciółka.

- Nie jestem aż taka pokręcona, Luke.

Owszem, jesteś, pomyślał. Przesunął się na brzeg łóżka.

- Chodź do mnie.

- Nie.

- Nie musisz na mnie patrzeć. Chodź. Chcę ci coś pokazać, a jeśli ci się nie spodoba, więcej nawet o tym nie wspomnę. Obiecuję.

- Już raz mi coś obiecałeś - wytknęła mu, ale wstała z podłogi.

- Teraz usiądź. Nie, nie patrz na mnie - powiedział, gdy chciała się obrócić. Pokierował ją tak, że usiadła między jego nogami. - Patrz tam. - Wskazał lustro. - Oplótł ręce wokół jej talii i przyciągnął ją bliżej. - Jestem ubrany. Ty też. Nic się wydarzy z wyjątkiem tego.

Odgarnął jej włosy z karku i pocałował w szyję, a to, jak gwałtownie zaczerpnęła powietrza, przyprawiło go o dreszcz.

- Tylko ty, ja i to lustro - powiedział.

- To głupie - odrzekła, ale przechyliła głowę, by ułatwić mu dostęp.

- Czy coś cię boli? Albo czujesz lęk?

- Nie. Właściwie nie. Czuję się tylko trochę spięta.

- Rozluźnij się. Za dużo myślisz. - Obsypał pocałunkami jej szyję i musnął językiem bark. - Czy nie robię tego lepiej niż Thor? - Zaśmiała się zmysłowo. - Masz bardzo długą szyję - szepnął jej do ucha. - To trochę potrwa.

- Ale przecież... Chyba ci to nie...

- Nie odpowiada? Susannah, trzymam w ramionach piękną kobietę, która uważa, że jestem piekielnie seksowny i pozwala mi całować swoją szyję. Czego jeszcze mógłbym chcieć?

- Seksu - powiedziała wprost, a Luke roześmiał się.

- Nie jestem łatwym facetem. Trzeba mi postawić drinka, zanim wejdę na ostatnią prostą.

Dostrzegł w lustrze, jak Susannah zamyka oczy.

- Nie do wiary, że to mówisz.

- Przecież jestem otwarty. Poza tym byłaś gotowa na takie wyznanie. A ja się cieszę, że je usłyszałem. Nikomu nie powtórzę. Możesz mi wierzyć.

- Wierzę - odpowiedziała i Luke z trudem się zmusił, by nadal pieścić ją powoli i delikatnie.

Zajął się drugą stroną jej szyi, gdy zabręczała jego komórka. Oboje niemal podskoczyli. Luke, nie puszczając Susannah, sięgnął po telefon wolną ręką.

- Papadopoulos. Słucham.

- Tu Chase. Jesteś mi potrzebny. Luke wypuścił Susannah z objęć.

- Co się stało? - spytał.

- Mnóstwo rzeczy - odparł Chase. - Przyjedź jak najszybciej. I przywieź ze sobą Susannah.

Luke zakończył połączenie i schował komórkę do kieszeni.

- Musimy jechać - oznajmił. - Chase chce się widzieć także z tobą. Ubierz się, a ja wyprowadzę psa. - Już trzymał dłoń na klamce, gdy postanowił zrobić coś ryzykownego. Wyjął z szafy zakurzone pudełko i postawił je komodzie. - Zdziwisz się, jak zobaczysz, co niektórzy ludzie uważają za normalne - rzucił i cmoknął na sukę. - Idziemy, Darling.

Susannah przez długą chwilę tylko wpatrywała się w pudełko. Wreszcie ciekawość zwyciężyła. Chyba od dawna nikt go nie otwierał, bo wieczko było mocno zakurzone.

- Wielkie nieba - szepnęła, gdy je uniosła. W pudełku znajdowały się rozmaite erotyczne akcesoria. Niektóre dość niewinne, inne nie, ale widok ich wszystkich pobudził ją do tego stopnia, że poczuła zażenowanie. Zamknęła wieczko.

Serce biło jej jak oszalałe, kiedy się ubierała. Luke najwyraźniej podzielał jej upodobania. Ale przecież to nie w porządku. A może jednak... Zapukał do drzwi i Susannah drgnęła.

- Czy jesteś... gotowa?

Użył tego słowa rozmyślnie, wiedziała to.

- Możesz wejść.

Wszedł, zerknął na nią i bez słowa schował pudełko z powrotem do szafy.

- Zbierajmy się. Pora wracać do pracy.

Atlanta, niedziela, 4 lutego, godzina 1.45

Susannah przechadzała się pod drzwiami sali konferencyjnej. Luke był tam od dwudziestu minut, a w niej z każdą chwilą narastał lęk. Kiedy przyjechali, wystarczył rzut oka na minę Chase'a, by się zorientować, że stało się coś bardzo złego.

Wreszcie drzwi się otworzyły i Luke wyszedł na korytarz. Na jego twarzy nie było uśmiechu.

- Możesz już wejść - powiedział i wziął ją za rękę. - Miejmy to z głowy.

Zawahała się, zanim weszła do sali. Wszyscy zebrani się dowiedzą. I co z tego? Po jutrzejszej konferencji prasowej Gretchen dowie się o tym cały świat.

Ale ci tutaj wiedzą o Darcy.

To nie ma znaczenia. Koniec z tajemnicami, pomyślała, wchodząc do zatłoczonego pomieszczenia. Był tu Chase, były Talia i Chloe. I Ed Randall, którego spotkała na pogrzebie Sheili Cunningham. A także, ku zaskoczeniu Susannah, Al Landers. Wskazał wolne krzesło obok siebie, a Chase przedstawił członków zespołu, których jeszcze nie знаła: Pete'a, Nancy, Hanka oraz Mary, psycholog policyjną.

Hm, więc sprowadzili nawet psychologa, pomyślała Susannah. Musi być źle.

- Co się stało?

- Dużo - odparł Chase. - Ale niewiele spraw dotyczy bezpośrednio ciebie, Susannah.

- Chloe i ja wysłaliśmy kogoś na rozmowę z Michaellem Ellisem, zabójcą Darcy - wyjaśnił Al.

- Wspominałeś o tym wczoraj przed południem. I co powiedział Ellis?

- Nic - odrzekła Chloe - a to wydaje się dziwne. Dostał dożywocie z zastrzeżeniem, że nie wyjdzie wcześniej niż po dwudziestu latach. Zaproponowaliśmy mu układ, zdjęcie kilku lat z wyroku, ale nie pisnął ani słowa.

- Po sześciu latach za kratkami nadal się boi - dodał Al. - No i ma tatuaż.

- Swastykę z zagiętymi końcami - domyśliła się Susannah. Chloe skinęła głową.

- Na udzie. Ale nie to jest najciekawsze. - Przesunęła po blacie fotografię. - To jedno ze zdjęć z sekcji zwłok Darcy.

Żołądek Susannah skurczył się ze strachu, bo wiedziała, co zobaczy, zanim jeszcze spojrzała na zdjęcie. Było to zbliżenie kobiecego biodra.

- Piętno - powiedziała. - Ona też miała takie.

- Wspomniałaś o tym, składając rano zeznanie, a ja zapamiętałem ten szczegół z materiałów procesowych - stwierdził Al. - Chciałem rzecz potwierdzić, zanim ci o niej powiem.

- Czy ta sprawa wyszła na jaw podczas procesu? - zapytał Chase.

- Ellis nie stanął przed sądem - rzekł Al. - Przyznał się do winy. Policja nie ujawniała informacji o tym znaku, na wypadek gdyby odnaleziono inne ofiary. Nie chciano, aby ktoś skopiował tę zbrodnię, piętując swoje ofiary w taki sam sposób.

- Więc to była taka wyrafinowana pułapka? - spytała Susannah z niedowierzaniem. - Ktoś zabił Darcy tylko po to, żeby dopaść mnie? Dlaczego? Nie jestem aż tak ważną osobą.

- Dla kogoś najwyraźniej jesteś - powiedział Chase. - Na tyle ważną, że zorganizował maskaradę siedem lat po pierwszej napaści. Ten ktoś uważał, że nie zgłosisz sprawy na policję.

- To niewiarygodne. - Susannah pokręciła głową. - Kto mógł to zrobić?

- Chwileczkę - rzucił Chase. - Ed?

- Znaleźliśmy w bunkrze kilka włosów - powiedział Ed. - Przebadaliśmy DNA i odkryliśmy coś nieoczekiwanego. - Podsunął Susannah dwa dokumenty.

Zapoznała się z ich treścią.

- Te osoby są ze sobą spokrewnione - stwierdziła. - Mam rację?

- Tak, to rodzeństwo - potwierdził Ed. - Jedna z tych próbek to DNA Daniela.

Susannah była wstrząśnięta.

- Czy chcecie powiedzieć, że był tam Simon?

- Policja filadelfijska przesłała nam faksem profil genetyczny Simona - odparł Ed. - Ten ktoś to nie on. Poza tym chodzi o osobę płci żeńskiej.

- Ale ja nie wchodziłam do tamtego bunkra - powiedziała Susannah.

- Ten włos nie jest twój - wtrącił cicho Luke. - Był krótki i jasny.

Odruchowo dotknęła swoich długich, ciemnych włosów.

- Czyli mamy rodzeństwo, o którym nic nie wiemy?

- Na to wygląda - przyznał Ed. - Chcieliśmy ustalić, czy coś wiesz o kimś takim, za nim spytamy o to Daniela. To będzie dla niego szok.

Luke odchrząknął.

- Ed przebadał również DNA mitochondrialne. Ten sam ojciec, ale inna matka.

- To znaczy, że mój ojciec miał nieślubną córkę - powiedziała Susannah bardzo cicho. - Właściwie nie powinno mnie to dziwić. Mam gdzieś przyrodną siostrę. Cholera.

- To może być motyw - rzekł Luke. - Jeśli chodzi o Darcy i inne sprawy.

Susannah przymknęła powieki.

- Mam przyrodną siostrę, która nienawidzi mnie tak bardzo, że dopuściła się tego wszystkiego. Która straszy mnie tablicami rejestracyjnymi z literami DRC i strzela do osób, które... - Nagle otworzyła oczy. - O, mój Boże! Tamta kobieta w czerni przy grobie Sheili.

- Jeden z agentów Chase'a odszukał ją na nagraniu wideo - powiedział Luke.

- To tylko migawka - stwierdził Chase. - Nie widać twarzy przez czarną woalkę, ale wydaje się, że to kobieta, a nie mężczyzna.

- Nie Bobby ani nie Rocky - stwierdziła półgłosem Susannah.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Luke.

- I tak, i nie. To znaczy nie jestem pewna, czy poprawiła mi samopoczucie wiadomość, że ktoś o sadystycznym usposobieniu nastaje na moje życie. Do tej pory myślałam, że to Simon był wcieleniem zła. - Potarła czoło.

- Mam przyrodnią siostrę - powtórzyła, nadal wstrząśnięta. - To, że mój ojciec miał romans, jakoś mnie nie zaskakuje, tylko... Zastanawiam się, czy moja matka o tym wiedziała.

- A jeśli tak, to kto jeszcze może wiedzieć? - spytał Al.

- Angie Delacroix - odpowiedziała Susannah błyskawicznie. - Jeżeli matka wiedziała, mogła powiedzieć Angie. Przyjaźniły się. O ile można to nazwać przyjaźnią.

- Chodzi o tę kobietę, która prowadzi salon piękności - wyjaśnił Luke.

- Pogadajmy z nią.

- Teraz, w nocy?

- Tak - odrzekł Luke. - Tamta kobieta była w bunkrze. Współdziałała w jakiś sposób z Granville'em i Mansfieldem. Jeśli nawet nie jest bezpośrednio zamieszana w uprowadzenie dziewczyn, to przynajmniej musi wiedzieć, gdzie one teraz są.

- Może i ją torturowano. Może sama jest ofiarą?

- Niewykluczone - przyznał Luke. - Tyle że ta kobieta w czerni prawdopodobnie zabiła Kate Davis.

Chase spojrział na Susannah.

- Uważamy, że człowiek, który cię zgwałcił - powiedział - ma związek z tą sprawą, a może nawet jest tym Rockym lub Bobbym. Chcemy, żebyś porozmawiała z naszą specjalistką od portretów pamięciowych. Już czeka.

- Oczywiście - zgodziła się Susannah. Luke odprowadził ją do drzwi.

- Spisałaś się wspaniale - rzucił półgłosem. - Specjalistka, o której mówił Chase, jest tam. - Wskazał kobietę, która siedziała w milczeniu na krześle. - Kiedy skończycie, idź do mojego biura. Wróć tak szybko, jak się da, a wtedy wybierzemy się do tej fryzjerki.

- Dobrze.

Luke zamknął drzwi pokoju konferencyjnego.

- Poszło lepiej, niż się spodziewałem.

- Ona przeszła piekło - powiedział Al, wyraźnie wytrącony z równowagi. - Wolałbym nie zostawiać jej samej, ale mam ważny proces, który zaczyna się w poniedziałek rano. Jeszcze dziś muszę wracać do Nowego Jorku.

- Zatrościmy się o nią - przyrzekł Luke. - Proszę się nie martwić.

- Dzięki, Al - powiedział Chase. - Bardzo nam pan pomógł. Życzę bezpiecznego lotu.

- Zajmie się pan tą drugą sprawą, o której rozmawialiśmy? - spytał Luke, a Al skinął głową.

- Na pewno. Szczegóły wyjaśnię przez telefon.

- Jakie szczegóły? - zapytał Chase, kiedy Al już wyszedł.

- Chodzi o pewną sprawę związaną z Susannah - odparł Luke. - Osobistą.

- Myślę, że ona ma prawo do odrobiny prywatności - stwierdził Chase z zadumą.

Luke westchnął.

- Teraz zajmijmy się pozostałymi sprawami. Mamy troje martwych świadków, a osoby te mogły nas doprowadzić do człowieka, który współdziałał z Granville' em. Nancy?

- To nie był przyjemny widok. Odnalazłam Chili Peppera w domu jego dziewczyny. Oboje byli martwi, z poderżniętymi gardłami. Ekipa techniczna jest już na miejscu, szuka śladów.

- Dzięki, Nancy - rzekł Chase. - Hank, co z Helen Granville?

- Koroner znalazł na jej szyi odcisk, który nie pasuje do znalezionej sznura. Została uduszona czymś cieńszym, a następnie upozorowano samobójstwo.

Luke potarł czoło.

- Człowiek wynajęty przez współnika Granville'a do podpalenia jego domu nie żyje. Żona Granville'a, która mogła znać tego współnika, również jest martwa. A także pielęgniarka, która pewnie widziała osobę współdziałającą z Granville'em. Niech to diabli !

- Wspólnik Granville'a zaciera ślady - stwierdził Chase. - Helen Granville nie żyje. Żona Davisa może być następna. Pete, czy odnalazłeś tę Davis i jej dzieciaki?

- Nie, ale wpadłem na coś innego. Mam nagrania wideo z trzech stacji benzynowych, z których pani Davis dzwoniła na komórkę szwagierki. Na nagraniu nie widać żony Gartha, za to pojawia się ten facet. - Postukał palcem w fotografię tęgiego mężczyzny ze zmierzwioną brodą, stojącego obok dziewięcioosobowego TIR-a.

- Kierowca ciężarówki - powiedział Luke i coś mu zaczęło świtać. - To on ma komórkę żony Gartha. Czy także przetrzymuje ją i jej dzieci?

- Zarządziłem obserwację tego gościa - stwierdził Pete. - Na razie nic nie ustalono, ale jeżeli jeździ między stanami, to jakiś policjant prędzej czy później się na niego natknie.

- Miejmy nadzieję, że prędzej niż później - wtrącił Chase.

- A może ona wcale nie chce, żeby ją odnaleziono - podsunęła Mary McCrady, która dotąd przysłuchiwała się wszystkiemu w milczeniu. - Jeśli uważa, że jej dzieciom grozi niebezpieczeństwo... Matka zrobi bardzo wiele, żeby ochronić swoje dzieci.

- Możliwe - powiedział Chase - ale nie dowiemy się tego, dopóki jej nie odszukamy. Co z tą babką, która pracuje na lotnisku?

- Z Kirą Laneer? Jeszcze z nią nie rozmawiałem - przyznał Hank.
- A pielęgniarka? - zapytał Luke. - Czy znaleziono coś w jej rzeczach?
- Komórkę, klucze, plakietkę z nazwiskiem. Wszystko to miała w torebce - odparł Chase, wskazując zawartość plastikowego woreczka leżącego na stole.
- Na komórce były wyłącznie jej odciski palców - powiedział Ed.
- Chwileczkę. - Nałożył lateksowe rękawice i wyjął telefon z woreczka.
- Coś tu jest. Chodzi o ten numer. Ktoś do niej dzwonił o ósmej dwadzieścia wczoraj rano. Z tego samego numeru telefonował Granville, zanim w piątek rozpętało się piekło.
- Wspólnik Granville'a - odezwała się Chloe. - To on do niej dzwonił. Straszyl ją?
- „To Bobby” - zacytował Luke. - Więc jakiś Bobby jej groził, a potem ją zabił.
- A kim jest Rocky? - zastanawiał się Pete.
- Może to jedna i ta sama osoba? - podsunęła Nancy. - Rocky brzmi jak przezwisko.
- Mamy listę wszystkich mieszkańców Dutton o imieniu Bobby - powiedział Chase, mając na myśli spis sporządzony przez Luke'a. - Jest tu wielu Bobbych, Robertów, Bobów, Robów...
- Podaj mi ją - poprosiła Chloe, a po chwili zamrugnęła zdumiona. -Kongresman Robert Michael Bowie? Jego syn Robert Michael Bowie, Rob Davis junior, wuj Gartha...
- Syn tego kongresmana jest mniej więcej w tym samym wieku co Granville i Mansfield - stwierdził Ed. - Poznałem go, kiedy przeszukiwałem pokój jego siostry, która została zabita przez Macka O'Briena. Nie utrudniał nam pracy, ale to było dochodzenie w sprawie zabójstwa jego siostry, a nie jego prywatnych interesów. Sam kongresman ma około sześćdziesiątki. Ale dobrze się trzyma.
- Na tyle dobrze, żeby poderżnąć gardła dwóm osobom dwa razy młodszym od niego? - zainteresowała się Nancy.
- Mógł to komuś zlecić - podsunął Hank.
- Luke myślał o mieszkańcach Dutton, którzy nosili imię Bobby. Sporządzając listę, jedną z tych osób celowo pominął, teraz jednak...
- Czy Bobby może być kobietą? - spytał i wszyscy zeszywnieli. - Kobieta w czerni zabiła Kate Davis. Kobieta była też w bunkrze.
- Ale Bobby to przecież imię męskie - rzekł Germanio.
- Luke zerknął na Pete'a, którego mina zdradzała, że wpadło mu do głowy to samo co jemu.
- Pani Davis - powiedział Pete powoli - nosi imiona Barbara Jean. Zdrobniale Bobby Jean.
- Ed? - spytał Luke. - Jak wysoka jest kobieta na tym nagraniu?
- Ma jakieś metr siedemdziesiąt pięć - stwierdził Ed.
- Tyle co pani Davis - stwierdził Pete.

Przez dłuższą chwilę nikt się nie odzywał. Ciszę przerwało głośne pukanie do drzwi, które otworzyły się sekundę później. Ukazała się w nich Susannah z otwartym laptopem w rękach i oczami błyszczącymi z podekscytowania.

- Znalazłam ją - powiedziała.

- Kogo? - zapytał Luke. - Bobby? Susannah zamrugała.

- Nie.

- Gdzie nasza specjalistka od portretów pamięciowych? - spytał Chase.

- Już skończyłyśmy - odparła niecierpliwie Susannah. - Przekazała szkic Leigh, żeby mogła zrobić kopie. Cholera, posłuchajcie mnie. Odnalazłam naszą bezimienną dziewczynę w spisie zaginionych nastolatk. - Postawiła laptop na stole. - Szukałam dziewcząt o imieniu na literę M. I wtedy pomyślałam sobie tak: A jeśli M to pierwsza litera drugiego imienia lub przezwiska? Zaczęłam od początku i znalazłam ją w spisie zaginionych o pierwszym imieniu na B.

Luke wpatrywał się w ekran.

- Nie przypomina dziewczyny z oddziału intensywnej terapii.

- Dlatego, że waży teraz o kilkanaście kilogramów mniej, a całą twarz ma posiniaczoną. Mówiłam, że wasi ludzie nie rozpoznają jej na podstawie obecnego wyglądu. Przyjrzałam się jednak jej oczom, Luke. Spojrzała na mnie wtedy w lesie i zapamiętałam te oczy. To na pewno ta sama dziewczyna. Ma na drugie imię Monica. M jak Monica. Popatrzcie. Beatrice Monica Cassidy.

- Świetna robota, Susannah - pochwaliła Chloe.

- Jest coś jeszcze. Wrzuciłam ją na Google'a. - Wyszukała kolejną stronę internetową, w którą Luke wbił wzrok.

- Zarządzamy stan pogotowia - powiedział. - Jej siostra Eugenie Cassidy została uprowadzona z miejscowości Charlotte między piątkiem o północy a ósmą rano w sobotę. Trzeba się skontaktować z agentem specjalnym Harrym Grimesem. Nancy, czy Charlotte było zaznaczone na mapie Mansfielda?

- Tak. Mansfield zaznaczył drogę do Port Union w Karolinie Południowej, kawałek na południe od Charlotte.

Susannah rozejrzała się po twarzach obecnych.

- I co? Na co czekacie? Dzwońcie do niego. Ja pędzę do szpitala. - Skierowała się do wyjścia, ale Luke chwycił ją za ramię.

- Zaczekaj. - Ze stosu zdjęć na stole Luke wyjął stop-klatkę, na której były widoczne kobieta w czerni i Davis. Zacisnął zęby, gdyż dostrzegł coś, czego nie zauważył wcześniej. - Spójrz na to.

Susannah zamarła w bezruchu.

- To ona. Jej usta miały właśnie taki kształt. Były bardzo czerwone i widziałam je przez woalkę. Ale... to Barbara Jean Davis, żona Gartha. Och! - westchnęła. - Bobby Jean. Była w Dutton wczoraj rano. Nigdzie nie uciekła.

- Przyjrzyj się dokładniej - powiedział Luke. - Spójrz na jej oczy. Twarz Susannah zrobiła się blada jak kreda.

- To oczy Daniela. Oczy naszego ojca.

17

Atlanta, niedziela, 4 lutego, godzina 3.00

Ella wprowadziła Susannah i Luke'a na OIOM.

- Ona się obudziła.

- Świetnie. - Susannah spojrzała przez stanowisko pielęgniarek i zauważyła, że pokój Daniela jest pusty.

- Przeniesiono go do sali opieki monitorowanej na piętrze - wyjaśniła Ella. - To dobrze.

- Przydzielono mu ochronę - szepnął Luke do ucha Susannah. - A to jeszcze lepiej.

Monica wciąż była podłączona do różnych przewodów i sączków, ale oczy miała przytomne. Susannah uśmiechnęła się do niej.

- Cześć. - Kiedy pielęgniarka odeszła, pochyliła się nad łóżkiem i szepnęła: - Witaj, Monico.

Oczy dziewczyny rozszerzyły się, a potem zaszyły łzami.

- Ciii - uspokajała ją Susannah. - Wiemy, kim jesteś. Mrugając gorączkowo, Monica strząsnęła łzy z powiek.

- Czy utrzymasz w dłoni ołówek? - zapytał Luke.

- Ona wciąż nie może poruszać rękami - rzekła Susannah zatroskanym tonem. - Weźmy tablicę z literami. Luke, ty wskazuj litery, a ja będę obserwowała, kiedy Monica zamruga. Monico, czy wiesz, kto uprowadził dziewczyny?

Odcyfrowywanie odpowiedzi szło sprawnie.

- Twoja siostra - powiedział w pewnym momencie Luke. - Wiesz o swojej siostrze? - spytał.

Monica zaczęła znowu zaznaczać mrugnięciami wskazywane litery.

- Pielęgniarka mówiła, że ją porwali. Zdjęcie - odczytał Luke i delikatnie uściśnął jej rękę. - Pielęgniarka zrobiła zdjęcie czy pokazała ci je?

- Komórka.

- Na komórce tej pielęgniarki nie było żadnych zdjęć - stwierdził Luke - ale mogła je wykasować. Każę dać ten telefon do zbadania. Może uda się odtworzyć plik.

- Genie nadal nie odnaleziono?

- Obawiam się, że nie, moja słodka - odparła Susannah, a Monica drgnęła i jej oczy znowu zaszyły łzami.

- Nazywali ją Słodką w katalogu, który znaleźliśmy w komputerze Mansfielda - wyjaśnił Luke.

- Beatrice Monica - powiedziała Susannah, delikatnie ocierając łzy z twarzy dziewczyny. - Słodka Bea. Och, Monico, musiałaś się okropnie bać.

- Pielęgniarka nafaszerowała mnie prochami. Nie mogła mnie zabić. Nie chciała żebyś mówiła.

Luke ściągnął brwi.

- W jaki sposób?

- Środki paralizujące.

Susannah popatrzyła Luke'owi w oczy nad łóżkiem Moniki.

- Dlatego nie mogła się ruszać.

- Środki paralizujące przestają działać po upływie określonego czasu - stwierdził Luke. - Monico, czy widziałaś Bobby?

- Nie. Rocky. Luke pochylił się.

- Widziałaś Rocky'ego? Jak on wyglądał?

- Ona.

Luke wyprostował się, zdumiony.

- Powiedziałaś „ona”?

- Tak. Rocky to kobieta.

- Mój Boże! - westchnęła oszołomiona Susannah. - A my przez cały czas zakładaliśmy, że...

Luke zacisnął zęby.

- Kobieta. Do diabła. Od dwóch dni uganiamy się za własnym ogonem.

W oczach Moniki ponownie błysnęły łzy.

- Przepraszam.

Luke uśmiechnął się do niej.

- Nie, nie, Monico. To nie twoja wina, dziecino. To ja przepraszam. Nie chciałem cię zdenerwować.

- Luke - odezwała się półgłosem Susannah - czy masz zdjęcie Bobby? Pogrzebał w teczce i wyjął zdjęcie, które pokazał na naradzie.

- Monico, czy to tę kobietę widziałaś?

- Nie. Młoda. Z ciemnymi włosami. I wystającym podbródkiem. Spojrzenie Susannah napotkało wzrok Luke'a; zorientowała się, że oboje myślą o tym samym.

- Masz fotografię Kate Davis? - zapytała.

Ze ściągniętymi brwiami znowu sięgnął do teczki.

- Tylko takie.

Susannah aż się skrzywiła. Zdjęcie przedstawiało Kate leżącą w kostnicy. Ale przynajmniej twarz nie była zmasakrowana ani zakrwawiona. Kula wystrzelona przez Bobby trafiła ją w serce.

- Monico, czy to jest Rocky?

- Tak.

Luke wypuścił powietrze z płuc.

- A niech mnie diabli - zaklął cicho. - Rocky to Kate Davis.

- A Bobby ją zabiła. - Serce Susannah zadudniło w piersi. - Mój Boże.

- Nienawidzę jej. Kazała zabić dziewczyny. I zabić mnie.

- Jednak ty uciekłaś - powiedziała Susannah, ujmując dłoń Moniki. - A teraz nic ci nie grozi.

- Nie. Są inni. Skrzywdzili kapelana.

- Kapelana? - rzekł Luke. - Więc to nie Jennifer Ohman próbowała zabić Beardsleya?

- Nie. Inni. Niebezpieczeństwo. Zabili siostrę Jen.

- To siostra tej pielęgniarki nie żyje? - spytała Susannah.

- Pobita na śmierć. Jen płakała. Martwiła się o syna.

- Zajmiemy się tym chłopcem - obiecał Luke. - Ale Rocky nie żyje. Zadowolenie zamigotało w oczach Moniki, a Susannah dobrze to rozumiała.

- Monico - spytał Luke - jak wpadłaś w ich ręce? Radość znikła z oczu dziewczyny.

- Moja wina.

- Nic z tego nie jest twoją winą - oznajmiła Susannah stanowczo. - Jesteś tylko ofiarą przestępstwa.

- Poznałam chłopaka. Przez internet. Jasona. Ale to nie on. To był zastępca szeryfa.

Oczy Luke'a zwięzły się.

- Więc Mansfield cię zwabił, podszywając się pod Jasona?

- Tak. Zmusił mnie... - Urwała i zamknęła oczy. Spod powiek wyłoniły się łzy i spłynęły po skroniach na jej włosy.

- Wiemy - powiedziała Susannah, ocierając te łzy. - Tak mi przykro.

- Jason - powtórzył Luke cicho.

- Właśnie o kimś o tym imieniu wspomniał agent Grimes - odezwała się Susannah równie cichym głosem. Harry Grimes powiedział im wcześniej o zapisie rozmowy, który znalazł w komputerze u Cassidych. Dodał też, że ojciec Moniki gdzieś przepadł, co

źle wróżyło, ale nie należało jej o tym informować. Jeszcze nie teraz. Przeszła dostatecznie dużo.

Monica otworzyła oczy i znowu zaczęła szybko zaznaczać litery mrugnięciami.

- Kto to Simon? Susannah drgnęła.
- Skąd ty...? Byłaś przytomna. Wszystko słyszałaś.
- Simon. Kto to?
- Mój brat - odpowiedziała Susannah, a Monica zatrzepotała gwałtownie powiekami.
- Już nie żyje.
- To dobrze.

Susannah uśmiechnęła się smutno.

- Też tak uważam.

- Monico. - Luke nachylił się nad nią. - Czy znasz Angel? Nazywali ją Gabriellą.

- Tak.

- A Kasey Knight?

- Przydrożna dziwka.

Twarz Luke'a pociemniała, a na jego policzku drgnął mięsień.

- Bobby, Granville i Mansfield wysyłali prostytutki na przydrożne parkingi dla kierowców ciężarówek? - zapytał.

- Kasey uciekła. Zastępca szeryfa ją złapał. Doktor trzymał Kasey nad rzeką. Głodzili ją.

- Znaleźliśmy w bunkrze nad rzeką igły i strzykawki - powiedział Luke. - Myśleliśmy, że on leczył te dziewczyny.

Monica zamrugwała.

- Szprycował nas. Znęcał się. Chciałam umrzeć.

Luke poczuł, jak krew się w nim gotuje, ale zapanował nad sobą i odezwał tak łagodnie, że Susannah aż zachciało się płakać.

- Nie możesz umrzeć, Monico - rzekł. - Jeśli umrzesz, oni zwyciężą. Przeżyj i pomóż mi posłać ich wszystkich do piekła.

Monica zamrugwała przez łzy.

- I nie wypuszczaj ich stamtąd. Na to Luke się do niej uśmiechnął.

- Masz na to moje słowo.

- Chcę pomóc.

- Będziesz miała okazję - obiecał. - Teraz musimy iść, ale przyślemy jeszcze jednego policjanta, żeby jeden był na oddziale, a drugi na zewnątrz. Nic złego ci się nie stanie.

- Dziękuję.

- To my tobie dziękujemy. Dzielna z ciebie dziewczyna. A teraz spróbuj pospać. Będziemy szukać twojej siostry i wszystkich innych.

- A mama?

- Jest w drodze - odparła Susannah. - Kazała ci powiedzieć, że cały czas za tobą tęskniła. - Poglądziła Monice po włosach, a potem pocałowała w policzek. - Ona cię kocha.

Po wyjściu z OIOM-u Luke przyciągnął Susannah do siebie.

- Poszło nieźle. Dobrze ze sobą współpracujemy. Miał rację. Oparła czoło na jego piersi.

- Powinnam przy niej zostać.

- Przywiozę cię tu, kiedy porozmawiamy z Angie Delacroix. Odchyliła głowę, żeby spojrzeć mu w twarz.

- Już wiemy o Bobby. - Myśl o wizycie w Dutton nappełniała ją niepokojem. - Po co nam Angie?

- Nie wiadomo, gdzie Bobby przetrzymuje dziewczyny... No i gdzie są jej synowie.

- No dobrze, jedźmy.

Atlanta, niedziela, 4 lutego, godzina 3.25

Luke usiadł za kierownicą, a Susannah zaczęła grzebać w swojej aktówce.

- Co robisz? - zapytał, gdy wyciągnęła puderniczkę.

- Poprawiam makijaż. Moja matka zawsze szła do salonu piękności starannie uczesana i umalowana. Ja też taka jestem.

- To po co w ogóle tam chodzić? Wzruszyła ramionami.

- Nawet nie próbuj tego zrozumieć, Luke. To babskie sprawy. Tak już jest.

- Moja siostry mówią to samo. Miałem nadzieję, że tylko one. Uśmiechnęła się kąci-kiem ust.

- Przykro mi, że cię rozczarowałam.

- Wcale nie - odpowiedział poważnie. - Nie mogłabyś mnie rozczarować.

Dłoń, w której trzymała szminkę, zadrżała na moment.

- Jeszcze zobaczymy - rzekła zagadkowo. Rzuciła mu poirytowane spojrzenie. - Nie masz się czym zająć?

- Mogę równocześnie dzwonić do Chase'a i zerkać na ciebie - powiedział, przebierając palcami po przyciskach swojej komórki. - Nie dość, że jestem piekielnie seksowny, to jeszcze mam podzielną uwagę.

- To, że jesteś piekielnie seksowny, stwierdziłeś sam. - Zamknęła z trzaskiem puderniczkę. - Ja tego nie powiedziałam.

- Ale i nie zaprzeczyłaś. A ponieważ jestem szczery i otwarty, oprócz tego, że i piekielnie... - Urwał, kiedy odezwał się Chase. - Cześć, tu Luke.

- Mam nowiny - oznajmił Chase, zanim Luke zdążył wypowiedzieć kolejne słowo. - Ed zbadał odciski palców na atlasie samochodowym Mansfielda. Zgadnij, kto jeszcze dotykał tego atlasu?

- Kate Davis - odparł Luke. - Monica Cassidy zidentyfikowała ją jako Rocky.

- Naprawdę? Myślałem, że nie będzie nowych niespodzianek w tej sprawie, jednak się myliłem - stwierdził Chase. - Nadal zamierzasz porozmawiać z tą babką z salonu piękności?

- Tak. Ale trzeba też sprawdzić, co z synem Jennifer Ohman. Monica słyszała od tej pielęgniarki, że jej siostra została zamordowana i że Ohman martwiła się o swojego syna.

- To dlatego mieli ją w garści. Zajmę się tym.

- Poza tym pielęgniarka twierdziła, że ktoś jeszcze nastaje na życie Ry-ana Beardsleya.

- Wierzysz w to?

- A dlaczego miałyby kłamać? Isaac Gamble ma mocne alibi, więc to nie on był u Beardsleya w piątek w nocy.

- Przecież przy obu pokojach stoi strażnik.

- Nie jestem pewien, czy to wystarczy. Zostawiliśmy obstawę na oddziale intensywnej opieki, a mimo to Jennifer Ohman podała Monice Cassidy środek paraliżujący.

- Żartujesz?

- Ani mi to w głowie. Po prostu nie ma pewności, że nikt się do nich nie przedostanie. Trzeba dopilnować, żeby nie podano im niczego, co nie zostało zlecone przez lekarzy.

- Niech to szlag - mruknął Chase. - Czego jeszcze dowiedziałeś się od Moniki?

- Tego, że Kasey Knight zmuszano do prostytucji na przydrożnych parkingach.

Chase znowu zaklął.

- Tyle razy je przeganiaлиśmy...

- Wiem. Ale one zmieniają rejon działania. Po prostu przenoszą się na inne parkingi. Przyszło mi na myśl, że ten kierowca, który używał komórki Bobby Davis, właśnie tak wszedł w jej posiadanie. Mógł być klientem.

- Jeśli dokumentował wszystkie swoje trasy i wyjazdy, to może uda się ustalić, gdzie się zatrzymywał - powiedział Chase. - Obserwacja tego człowieka jeszcze nie przyniosła rezultatów. Dam znać, jak coś się pojawi.

- Na północy kraju zjawisko przydrożnej prostytucji również się nasiliło - powiedziała Susannah, kiedy Luke skończył rozmawiać z Chase'em. - To poważny problem.

- Źródłem problemów jest szosa 1-75 - odparł Luke, wyjeżdżając z przyszpitalnego parkingu. - To od dawna trasa przerzutu narkotyków z Miami. A narkotykowy biznes często wiąże się z prostytutką i tysiącem innych ciemnych spraw.

- Rodziców Kasey nie ucieszy taka wiadomość.

- Na pewno. Ale jak dowiedzą się o tym rzekome przyjaciółki Kasey, które nie chciały pomóc policji dwa lata temu, może Talii uda się w końcu coś z nich wydobyć.

- Wierzę, że Talia zdoła je skłonić do mówienia. - Susannah poruszyła się na siedzeniu i zmarszczyła brwi. - Dlaczego zabójca Darcy nie chce zeznawać? Czego się boi?

- Może zacznie mówić, jak złapiemy Bobby. Może czymś mu grozi, tak jak groziła Jennifer Ohman.

- Niewykluczone, ale... przyszło mi coś do głowy. Bobby Davis nie jest dużo starsza ode mnie, może o rok czy dwa. Miałam dwadzieścia dwa lata, kiedy poznałam Darcy, i dwadzieścia trzy, kiedy ją zamordowano. Barbara Jean nie mogła mieć wtedy więcej niż dwadzieścia cztery. Trudno uwierzyć, że całą tę szajkę zorganizowała dwudziestoczterolatka.

- Prowadziłem śledztwo w sprawie pewnego czternastolatka, który założył stronę internetową i pokazywał na niej nieprzyzwoite zdjęcia swojej siedmioletniej siostrzyczki. Dopadliśmy go, ale nie było to wcale takie proste. Nawet dzieciaki potrafią tak korzystać z serwera, żeby nie było łatwo ich wytropić.

- Czy jest szansa, że on wyjdzie na ludzi? - spytała cicho. - Może czternastolatkowi jeszcze da się pomóc?

- Może - stwierdził Luke. - Tyle że jego siostra ma już złamane życie. Susannah zmarszczyła czoło.

- Wcale nie - rzuciła. - Przecież ona... - Urwała i spojrzała na Luke'a. - Wydaje ci się, że jesteś taki mądry.

- I otwarty. - Zerknął na nią kątem oka i poczuł ulgę, widząc, że poirytowanie na jej twarzy ustąpiło miejsca zadumie. - Wiedziałem, że nie pozwolisz żadnej z ofiar myśleć, że jej życie jest złamane. Czemu nie pomyślisz tak o sobie?

- Może jest inaczej, niż sądzisz - odparła, budząc w nim nadzieję.

- Głowę daję, że nie. Zaprzeczanie temu byłoby arogancją z twojej strony.

- Nie przeginaj, Papadopoulos - rzekła bardzo poważnie. Kiwnął głową, zadowolony, że wyraził swoją opinię.

- Prześpij się. Obudzę cię, jak dojedziemy na miejsce.

Charles odebrał po pierwszym dzwonku. Od dawna czekał na telefon od Paula.

- I co tam?

- Bobby załatwiła tę pielęgniarkę na oczach jakichś dziesięciu świadków - powiedział Paul z niesmakiem.

- Złapali ją? - spytał Charles, mocno zawiedziony. Sądził, że Bobby stać na większą finezję.

- Nie, na razie się gdzieś schowali. Wyprowadziła gliny w pole, żeby móc uciec.

- Więc kim zajęła się policja?

- Jamesem Jamesonem, tym handlarzem narkotyków.

- Bobby kazała Rocky zatrudnić go do wywiezienia „inwentarza” z bunkra. Czy Jersey jest martwy?

- Oczywiście. Bobby wymyka się spod kontroli, Charles. Trzeba ją powstrzymać.

- Simon był inteligentny, ale przy tym nieobliczalny. Miałem nadzieję, że Bobby odziedziczyła intelekt, a nie szaleństwo Vartanianów.

- Z całym szacunkiem, uważam, że jest inaczej.

- Wiem. Zajmę się Bobby. Bądź w pogotowiu, w razie gdybym cię potrzebował.

Ridgefeld House, niedziela, 4 lutego, godzina 3.55

Jeszcze trochę wysiłku. Ashley Csorka wsunęła głowę w wylom, który zrobiła w murze i poczuła na rozgrzanej twarzy chłodny powiew. Dyszała ciężko, łapczywie chwytając świeże powietrze. Dziura była nieduża, ale Ashley nie miała już siły powiększać jej gołymi rękami. Do wbijania gwoźdźcia w zaprawę posłużyła się drugą z obłuzowanych cegieł. Robiła przy tym więcej hałasu, niż gdy pracowała samym gwoździem, ale ogarnęła ją desperacja, która przytłumiła strach, że ten parszywy lokaj ją nakryje. Wyjęła trzecią cegłę, potem jeszcze dwie, a on nie przyszedł.

Przechyliła głowę i dostrzegła przyćmiony blask. Prawdopodobnie poświatę księżyca. Więc po drugiej stronie są drzwi lub rodzaj okna. Spięła się; nadjeżdżał samochód, którego opony zachręściły na podjeździe. Ashley usłyszała trzaśnięcie drzwiami i śmiech, cichy i złośliwy.

- Za nami udana noc, Tanner.

- Racja.

To były głosy tej kobiety, na którą wołali Bobby, i jej odrażającego lokaja.

- Jersey Jameson nie powinien był mi wmawiać, co do niego należało, a co nie. Wtedy zginąłby bezboleśnie.

- Niech jego marny koniec będzie przykładem dla innych - podsumował Tanner. - A więc poradziliśmy sobie ze wszystkimi naszymi drobnymi problemami?

- Tak mi się zdaje. Och, jestem wykończona. Mogłabym spać do końca świata.

Ashley na to liczyła. Ich głosy przycichły, gdy odeszli w stronę frontowego wejścia. To dobrze, pomyślała. Znajduję się na tyłach domu. Od strony rzeki.

Nagle coś ją zastanowiło. Nie rozmawiali ze strażnikiem. Gdzie on się podział? Nie mogła dłużej czekać. I tak miała sporo szczęścia, że zdołała wykorzystać ten czas na zrobienie wylomu w ścianie. Teraz nadeszła pora, by działać.

Wstrzymała oddech i wystawiła głowę przez dziurę. Zobaczyła, że to druga część pomieszczenia; było tam okno. Prędszej. Ostre krawędzie odłupanych cegieł rozcięły jej skórę, gdy próbowała precyzyjnie ramiona przez otwór. Wygięła tułów, wdzięczna swemu trenerowi, że kazał jej ćwiczyć jogę. Dzięki tym ćwiczeniom była giętka.

Przecisnęła się na drugą stronę, choć piekły ją barki i ramiona. Skórę miała zadrapaną do krwi.

Mniejsza o to, pomyślała. Jeśli się nie pośpieszę, zginę, a wtedy zadrapania i tak nie będą miały żadnego znaczenia. Poruszyła biodrami, jak podczas pływania żabką, i dotknęła dłońmi podłogi po drugiej stronie muru. Chwilę później znalazła się na kłęczkach na podłodze. Ciężko dysząc, rozejrzała się wokoło. Niemal roześmiała się na głos. Po tej stronie ściany znajdowały się wszelkie akcesoria, których potrzebowała do wyrwania się na wolność. Na stole zobaczyła około setki klamek i gałek, niektóre szklane, inne marmurowe, jeszcze inne przymocowane do staroświeckich żeliwnych płytek pasujących do drzwi. Wzięła jedną z marmurowych i schowała w dłoni. Leżała w ręku lepiej niż kawałek cegły. Z zestawu narzędzi wybrała szydło z ostrą, groźnie wyglądającą końcówką.

Potem uchyliła drzwi. Zaskrzypiały głośno; Ashley zastygła w bezruchu.

- Kto tam? - rozległ się zaspany, bełkotliwy głos strażnika. Uciekaj. Pobiegnij w noc, przerażona tym, jak jasno świeci księżyc. Było

ją wyraźnie widać. Czowała się bezbronna. Bała się, że ją złapią.

- Stać! - Po tym rozkazie wydanym grzmiącym głosem rozległ się suchy odgłos wystrzału.

To ten strażnik. Strzela do mnie. Muszę uciekać. Przebiegła przez trawnik na tyłach posesji. Kroki i ciężki oddech strażnika stawały się coraz głośniejsze i bliższe.

Jęknęła z bólu, upadając na ziemię, przygwożdżona przez niemal stukilowego mężczyznę.

- Mam cię, złotko. Ulżę sobie na tobie za darmo - powiedział strażnik i Ashley wyczuła w jego oddechu odór piwa. Więc pił i dlatego nie przeszkodził jej wcześniej w rozbijaniu muru. Teraz jednak odzyskał siły. -A potem cię zabiję.

Zginę. Nie! Nie! Z okrzykiem rozpaczony wyrwała rękę z uścisku i wbiła szydło w jego bark.

Zawył z bólu i puścił ją.

- Tanner! - zawołała ta kobieta.

Kątem oka Ashley dostrzegła lokaja wyłaniającego się zza domu ze strzelbą w dłoniach. W tej samej chwili strażnik znowu się na nią rzucił. Uniosła rękę i mocno zdzieliła go marmurową gałką do drzwi.

Na moment, jakby zdumiony, zamarł w bezruchu.

Ten moment był wszystkim, czego potrzebowała. Uciekaj. Uciekaj. Uciekaj. Rzuciła się w stronę drzew, które oddzielały dom od rzeki. Boże, dopomóż mi. Leżące na ziemi gałęzie i kamienie raniły jej stopy, spowalniając ucieczkę. Oni się zbliżają. Dopadną mnie. Biegła dalej. Widziała już taflę wody. Na pewno lodowatej.

Już, już. Głęboki wdech. Weź się w garść. No, już. Skacz.

Boże, pomóż mi, pomyślała, nurkując w zimnej wodzie. Wynurzyła się kilka sekund później, drgnąwszy odruchowo na huk strzału. Pocisk trafił w wodę tuż za Ashley.

Ścigali ją.

Ale nie mieli łodzi. A ja pojedę na olimpiadę.

Prędeż. Zmusiła ramiona do wysiłku i popłynęła z prądem rzeki. Udało się. Uciekam. Uciekam, tatusiu. Wracam do domu.

Dutton, niedziela, 4 lutego, godzina 4.10

Susannah obudziła się, czując czyjeś usta na swoich wargach, nie mogąc oddychać. Zdjęta panicznym lękiem, cofnęła się raptownie, a jej pięść trafiła na coś twardego i ciepłego. To coś miało zapach cedru.

- Auu! - Luke odchylił się, rozcierając szczękę. - To bolało.

- Nie rób tego więcej - wydyszała. - Mówię serio. Poruszył zuchwą w obie strony.

- Przepraszam. Wyglądałaś tak słodko. Nie mogłem się powstrzymać.

- Nie jestem słodka - rzuciła ponuro, a on się zaśmiał.

- Teraz rzeczywiście nie. - Spowaźniał. - Coś ci się śniło i nie mogłem cię dobudzić.

Dotknęła warg czubkiem języka.

- Więc mnie pocałowałeś.

- A wtedy się obudziłaś. Jesteśmy na miejscu. To dom Angie Delacroix.

- Pewnie śpi.

- Mam nadzieję, że budzi się łatwiej niż ty - powiedział cicho i wysiadł z samochodu, żeby otworzyć Susannah drzwi z drugiej strony. - Pozwól, że porozmawiam z nią pierwszy. Jak będzie mi potrzebna twoja pomoc, dam ci znać.

- Jak? Dasz mi jakiś sygnał?

- Nie, zawołam: „Susannah, pomocy!” - zażartował i zadzwonił do drzwi. - Jesteś gotowa?

- Nie. Ale zrobmy to, co trzeba.

Angie, z lokówkami na głowie, otworzyła im drzwi.

- O co chodzi? Susannah Vartanian, co ty, na litość boską, robisz tutaj w środku nocy?

- Przepraszamy za najście - odpowiedziała Susannah spokojnie - ale sprawa jest pilna. Możemy wejść?

Angie popatrzyła na Susannah, potem na Luke'a i w końcu wzruszyła ramionami.

- Proszę.

Wprowadziła ich do pokoju, w którym wszystkie meble były przykryte lśniącoymi plastikowymi kapami.

Luke bez wahania usiadł na kanapie, a potem poklepał poduszkę obok siebie.

- Agent specjalny Papadopoulos - przedstawił się.

- Wiem, kim pan jest - rzekła Angie. - Przyjacielem Daniela Vartaniana.

- Pani Delacroix - powiedział - potrzebujemy pani pomocy w pewnej delikatnej sprawie.

Angie opuściła powieki.

- W jakiej? - spytała.

- Właśnie się okazało, że w rodzinie Vartanianów jest jeszcze jedna osoba - oznajmił Luke. - Przyrodnia siostra.

Angie westchnęła.

- Zastanawiałam się, kiedy to wyjdzie na jaw. Jak na to wpadliście?

- Więc pani wiedziała? - zapytała Susannah, a Angie uśmiechnęła się gorzko.

- Kochana, wiem o sprawach, o których wiedzieć nie powinnam, i słyszałam o rzeczach, o których wolałabym nie usłyszeć. Owszem, wiedziałam. Wystarczyło na nią popatrzeć, nawet za młodu.

- Gdzie ona jest? - spytał Luke. Angie pokręciła głową.

- Teraz? Nie mam pojęcia. Była jeszcze dzieckiem, kiedy jej rodzice się wyprowadzili. Kontakt urwał się przed laty.

- Pani Delacroix - podjął Luke. - Kto jest jej matką?

- Terri Styveson. Susannah zamrugła zdumiona.

- Żona tego kaznodziei?

- Myślałem, że to Wertz był tu pastorem - powiedział Luke.
- Pan Styveson był w Dutton przed pastorem Wertzem - wyjaśniła Angie.
- To znaczy, że pani Styveson miała romans z moim ojcem?
- Romans to chyba za duże słowo. Terri nie była nawet w typie twojego ojca. Ale twoja mama była w ciąży z Simonem i zrobiła się gruba jak szafa. To dziedziczne, wiesz?

- Wielkie dzięki - mruknęła Susannah. - Więc skoro moja matka była gruba, mój ojciec po prostu...

- Mężczyźni mają swoje potrzeby. To znaczy poza pastorem Styvesonem. Terri chodziła sfrustrowana, bo jej mąż poświęcał się wyłącznie sprawom duchowym. Pewnego razu zapytała mnie, co ma zrobić, żeby bardziej mu się podobać. Chyba zakłóciło to przebieg niedzielnych mszy.

- Pewnie tak - powiedziała Susannah. - Zatem ona i mój ojciec...

- Owszem. - Angie westchnęła. - Nie zapomnę, jak zraniło to twoją matkę, kiedy się o wszystkim dowiedziała.

- Więc matka wiedziała? Jak to odkryła?

- Tak jak mówiłam: wystarczyło tylko spojrzeć na tę małą. Pewnego przedpołudnia twoja matka odbierała Simona z przykościelnego żłobka i dobrze się przypatrzyła. Dziewczynka była wtedy bliźniaczo podobna do Daniela.

- I co się stało? Angie milczała chwilę.

- Złożyła wizytę pastorowi - rzekła wreszcie - i szczerze z nim pogadała. Pastor się... zdenerwował. Czuł się upokorzony. Przyjaźniłam się z twoją matką prawie czterdzieści lat, ale muszę przyznać, że było w niej coś wrednego. Postawiła Styvesona przed wyborem: albo on zniknie z miasta, albo dziecko. Zagroziła, że może zapomnieć do końca życia o prowadzeniu nabożeństw, jeżeli ona będzie musiała oglądać bękarta jego żony co tydzień w kościele. A nie rzucała słów na wiatr.

- I Styvesonowie wyjechali - domyślił się Luke.

- Z tego co wiem, nie kontaktowali się już później z sędzią Vartanianem i jego żoną. Ona nie wie o Barbarze Jean Davis, pomyślała Susannah.

- Dziękuję za szczerść - powiedziała.

Zacząła się zbierać do wyjścia, ale wtedy Angie usiadła, zwilżyła usta językiem i rzekła:

- Więc ta kobieta pewnie chce odzyskać część spadku.

Susannah zamrugała zdumiona. Ta myśl nie przyszła jej wcześniej do głowy.

- Tak - odparł Luke bez wahania.

- Chciwość popycha ludzi do strasznych czynów. - Angie przekrzywiła głowę. - Wściekłość też.

- Co to znaczy? - zapytała Susannah.

- To, że może sama powinnaś poddać się badaniom, aby ustalić, kto jest twoim biologicznym ojcem.

Zszokowana Susannah otworzyła usta.

- Angie, proszę mnie nie zwodzić, tylko powiedzieć wprost.

- Dobrze. Kiedy twoja matka dowiedziała się, że jej mąż zrobił skok w bok, odegrała się na nim.

Susannah wyprostowała się.

- Z kim?

Angie patrzyła na swoje dłonie. Minę miała nietęgą.

- Z Frankiem Loomisem. Susannah zatkało.

- To znaczy, że... szeryf Loomis jest... to jest był... Angie kiwnęła głową.

- Twoim ojcem.

Susannah ukryła twarz w dłoniach. Luke pogładził ją po plecach. Jego dotyk był ciepły i mocny.

- O mój Boże - wyszeptała.

- Musisz to zrozumieć - podjęła Angie. - Frank kochał się w twojej mamie od lat.

- Czy wiedział, że jest biologicznym ojcem Susannah? - spytał Luke.

- Dowiedział się dopiero później, kiedy Simon wpakował się w takie kłopoty, że nawet Arthur Vartanian nie mógł go z nich wyciągnąć. Matka Susannah błagała Franka o pomoc, a on się zgodził. Ale pewnego dnia Simon zrobił coś tak strasznego, że nawet Frank nie mógł nic wskórać. Właśnie wtedy powiedziała mu o Susannah. Był w szoku, jednak w końcu załatwił sprawę. I przez następne trzynaście lat prześladowały go koszmary, bo wpakował do więzienia niewinnego człowieka.

- Gary'ego Fulmore'a - powiedział Luke, a Angie przytaknęła. - Skąd pani o tym wszystkim wie?

Wykrzywiła usta.

- Nie tylko Frank cierpiał z powodu nieodwzajemnionej miłości.

- Pani i Frank byliście razem? - spytał Luke z bólem w oczach.

- Przez dwadzieścia pięć lat byliśmy kochankami. Zjawiał się na noc, wychodził przed świtem. Ale nie ożenił się ze mną. Kochał Carol Vartanian.

- Musiała jej pani nienawidzić - szepnęła Susannah.

Angie pokręciła smutno głową.

- Nie. Była moją przyjaciółką. Ale jej zazdrościłam. Miała wysoko postawionego męża i miłość mężczyzny, który zaprzedałby własną duszę, byle ją szczęśliwić. Jednak nie uczynił jej szczęśliwą. Rok po tym, jak Gary Fulmore poszedł do więzienia, Simon przepadł, a Carol Vartanian nie była już tą samą osobą. Frank też nie. Kiedy się dowie-

dział, że ona nie żyje... że Simon ją zabił, prawie postradał zmysły. I myślę, że to go wykończyło.

- Pani Delacroix - powiedział Luke - mamy jeszcze jedno pytanie. Ten pastor, który wyjechał... Czy zostawił jakiś kontakt do siebie, adres? Czy w jakiś sposób można do niego dotrzeć?

- Bob Bowie i jego żona mogą to wiedzieć. Rose zawsze aktywnie działała w kościele. - Oczy Angie się zwięzły. - Czy to naprawdę takie ważne, żeby budzić mnie w środku nocy?

- Wczoraj ktoś strzelał do Susannah - oznajmił Luke. Angie wydawała się zaskoczona.

- Myślałam, że strzelano do tej French, która chciała wystąpić publicznie w sprawie... no, sami wiecie.

- Susannah stała tuż obok niej. Analizujemy wszelkie możliwości.

- Sądzicie, że nieślubna córka Terri Styvenson strzelała do Susannah, aby odziedziczyć majątek Vartanianów?

- Codziennie giną ludzie z bardziej błahych powodów. - Luke wstał i pomógł Susannah się podnieść. - Proszę przyjąć przeprosiny za najście oraz nasze podziękowania. Mam nadzieję, że uda się pani ponownie zasnąć.

Angie odpowiedziała słabym uśmiechem.

- Nie mogę spać od kilku dni. Odkąd zginął Frank. Susannah spojrzała na nią, wyraźnie wzburzona.

- Dlaczego mi pani powiedziała o tym wszystkim? Dlaczego akurat teraz?

- Od dawna zastanawiałam się, co się dzieje z waszą rodziną. I co się kryje w tych twoich pustych oczach. Powinnam była powiedzieć wcześniej, ale... Frank tego nie chciał. Postawiłoby to twoją matkę w krepującej sytuacji. Kiedy w końcu poznał prawdę i dowiedział się, że jesteś jego córką, było już za późno. Było za późno, prawda?

Susannah kiwnęła głową oniemiała. Więc ludzie o wszystkim wiedzieli. Wiedzieli od dawna. I nic nie zrobili.

- Tak.

Angie przymknęła oczy.

- Przepraszam. Bardzo cię przepraszam.

Nie szkodzi. Trudno, powinna teraz powiedzieć. Ale nie powiedziała.

- Czy mój ojciec... Czy Arthur Vartanian wiedział, że nie jestem jego dzieckiem?

- Tego nie jestem pewna. Wiem za to, że dla matki byłaś rodzajem pokuty. Tak jak teraz dla mnie. Nie powiedziałam wtedy nic i żyłam z tym ciężarem przez te wszystkie lata. Teraz muszę żyć ze świadomością, że mogłam ci pomóc, a tego nie zrobiłam.

Siedziała z żalną miną na nakrytej plastikiem kanapie. Nie było już nic dopowiedzenia.

- Chodźmy - szepnął Luke.

Susannah zdołała dojść do samochodu, ale tam nogi odmówiły jej posłuszeństwa, i Luke usadowił ją w środku, jakby była małym dzieckiem.

- To musiał być dla ciebie szok. Uśmiechnęła się kącikiem ust.

- Tak, to było niełatwe.

Schylił się i ujął jej twarz w dłonie.

- Czy gdybym cię teraz pocałował, uderzyłabyś mnie?

Jego oczy, bardziej czarne niż noc, która ich otaczała, były wpatrzone w oczy Susannah. Nie odwróciła wzroku, szukając w nich wsparcia. I pociechy.

- Nie.

Jego pocałunek był gorący, ale delikatny, pozbawiony pożądliwości. Nagle Susannah zatęskniła do tej żądy. Luke odsunął się i wodził opuszką kciuka wokół jej ust.

- Dobrze się czujesz?

- Nie - odparła szeptem. - Całe moje życie... było kłamstwem.

- Nie twoje. Kłamali wszyscy wokół ciebie, a ty jesteś tą samą osobą co przed kwadrans. Dobrym człowiekiem, któremu mimo wszystko zależy na innych. Myślisz, że podjęłaś pracę w prokuraturze tylko po to, aby wyzbyć się piętna, jakim jest bycie córką Arthura Vartaniana? Nie. Wybrałaś ten zawód, bo chcesz dla innych tego, o co nikt nie zatroszczył się dla ciebie. Mimo wszystko wciąż życzysz innym dobrze.

Przełknęła z wysiłkiem.

- Nienawidziłam go, Luke. A teraz wiem, dlaczego on nienawidził mnie.

- Arthur Vartanian był złym człowiekiem. Ale już go nie ma, a ty wciąż jesteś. Zastępujesz na takie życie, jakie starasz się zapewnić pokrzywdzonym, których reprezentujesz w sądzie.

- Zawsze marzyłam, aby się okazało, że Arthur Vartanian nie jest moim prawdziwym ojcem, że wykradzono mnie Cyganom albo komuś takiemu... Tylko że wcale nie wiem, czy Frank Loomis był od niego lepszy.

- Zginął, próbując ratować Daniela. A kiedy Bailey i Monica uciekły, mógł wydać je w ręce Granville'a, żeby ocalić własną skórę, on jednak im pomógł. Okazał się nie taki najgorszy.

- Daniel musi poznać prawdę. To, że Frank sfałszował dowody w sprawie Fulmore'a, nie daje mu spokoju.

- Pewnie poczuje się lepiej, wiedząc, że Franka też to dręczyło - stwierdził Luke i pocałował Susannah w czoło. - Wracajmy do Atlanty, powinnaś odpocząć.

- A co ty będziesz robił?

- Postaram się dowiedzieć, gdzie ukrywa się Bobby. Angie udzieliła ważnych informacji, które mogą okazać się przydatne. - Wyprostował się, gdy zabręczała jego komórka. - Papadopoulos, słucham.

Po chwili jego oczy rozbłysły.

- Gdzie ona jest? - Obiegł samochód i usiadł za kierownicą, słuchając odpowiedzi. Kiedy skończył rozmowę, uśmiechnął się. - Zgadnij, kogo pewna rodzina z łodzi mieszkalnej wyciągnęła z rzeki?

- Bobby?

- Nie, kogoś cenniejszego. Siedemnastolatkę Ashley Csorkę.

- Tę dziewczynę z bunkra? Tę, która wydrapała swoje imię na pryczy? Luke zawrócił gwałtownie i z maksymalną prędkością ruszył przez miasto.

- Właśnie ją. Mówi, że uciekła z miejsca, gdzie trzymają pozostałe dziewczyny.

Dutton, niedziela, 4 lutego, godzina 4.30

Charles obserwował z okna sypialni, jak Luke i Susannah odjeżdżają. Potem wybrał jeden z numerów wpisanych do swojej komórki.

- No i? Co im powiedziałaś?

- Prawdę - odparła Angie. - Tak jak mi kazałeś.

- Dobrze.

18

Dutton, niedziela, 4 lutego, godzina 4.45

Luke bez trudu odszukał bar Jock's Raw w Arcadii - jego neonowy szyld świecił się przy głównej ulicy. Nad przenoszeniem Ashley do karetki pogotowia czuwał szeryf Corchran.

- Jak ona się czuje? - zapytał go Luke.

- Jest w szoku termicznym. Na podstawie temperatury jej ciała sanitariusze uznali, że przebywała w zimnej wodzie przez około dwudziestu minut. Właściciel tej knajpy, Jock, usłyszał bębnienie w kadłub swojej łodzi mieszkalnej. Wyciągnął ją z wody i zadzwonił do mnie. Pamiętałem jej nazwisko z meldunku, który nam przysłaliście. Jest przytomna, ale ucieczka kosztowała ją mnóstwo wysiłku.

- Dzięki. - Luke wszedł do ambulansu. - Ashley, czy mnie słyszysz?
 - Tak - powiedziała słabo, szcękając zębami.
 - Nazywam się Papadopoulos. Jestem agentem. Czy pozostałe dziewczyny nadal żyją?
 - Nie wiem. Tak mi się wydaje.
 - Gdzie one są?
 - W domu. Starym domu. Z oknami zabitymi deskami.
 - Czy w pobliżu znajduje się przystań?
 - Nie.
 - Musimy ją przewieźć do szpitala - powiedział jeden z sanitariuszy.
 - Albo jedzie pan z nami, albo proszę wysiąść.
 - Dokąd ją zabieracie? - spytała Susannah, stając w otwartych drzwiach karetki.
 - Do szpitala ogólnego w Mansfield. Jest najbliżej - padła odpowiedź.
 - Luke, zostań z nią i spotkamy się na miejscu - powiedziała Susannah.
 - Pojadę tam twoim wozem.
- Rzucił jej kluczyki, a potem spojrzał na Corchrana, który stał za nią.
- W ciągu ostatniej doby strzelano do niej już dwa razy. Pilnuj jej.
- Susannah odsunęła się i ambulans odjechał na sygnale. Popatrzyła na Corchrana.
- Czy ma pan w komputerze dane na temat szybkości, z jaką płynie woda w tej rzece? - spytała.
- Przesłałem już te informacje patrolom rzeczny. Jeśli przebywała w wodzie dwadzieścia pięć minut, to przepłynęła jakieś osiemset metrów. Odgrodzili brzeg na długości około półtora kilometra i już rozpoczęli poszukiwania.
- Czy któryś z pańskich ludzi może mnie podrzucić do szpitala? Corchran wydawał się zaskoczony tą prośbą.
 - Nie ma pani prawa jazdy?
 - Mam, ale muszę czegoś poszukać na swoim laptopie. A czas bardzo się liczy.
 - Larkin! - zawołał szeryf. - Trzeba podwieźć tę panią. Ruszajcie.
- Luke nachylił się nad twarzą Ashley. - Czy widać ten dom z szosy?
- Nie. Musiałam biec. I to długo. Między drzewami.
 - Ma pokaleczone stopy - wtrącił sanitariusz.
 - Proszę, opisz mi ten dom.
 - Naprawdę stary. W środku ciemno. Stare klamki.- Mówiąc to, uśmiechnęła się z jakiegoś powodu.
 - A jak wygląda z zewnątrz, Ashley?
 - Zwyczajnie. Nic specjalnego.
 - Jak się tam znalazłaś?

- Najpierw wieźli nas rzeką, na łodzi. Potem w przyczepie.
- Takiej od ciężarówki?
- Nie. W przyczepie dla koni. W środku było siano. Luke zmarszczył czoło.
- Czy ta przyczepa wyglądała jakoś szczególnie? Miała coś charakterystycznego?
- Była cała biała. Doczepiona do niewielkiej furgonetki. Też białej. Przepraszam, ale nic więcej nie pamiętam.

Luke uśmiechnął się do niej.

- Nie przepraszaj. Uciekłaś i przeżyłaś. Odnajdziemy pozostałe dziewczyny.
- Gdzie mój tata? Pewnie strasznie się martwi.
- Jest tutaj. Znaleźliśmy twoje imię wydrapane na pryczy. Zadrżała i łzy napłynęły jej do oczu.

- Tak bardzo się bałam.
- Ale poradziłaś sobie świetnie, Ashley. Jak oni cię dorwali?
- Wpadłam tak głupio. Poznałam chłopaka przez internet. - Skrzywiła się, szczękając zębami. - Jasona.

- Słynnego Jasona - mruknął Luke. - Nie ty jedna dałaś się nabrać. W jej oczach błysnęło przerażenie.

- Zabrali pięć z nas. Potem... zastrzelili pozostałe.
- Wiem. Znaleźliśmy je. Ashley, na pewno widziałaś tych, którzy was przetrzymywali.

- Dwie kobiety, młode. Jedna koło trzydziestki, druga miała ze dwadzieścia lat. Mniej więcej. I facet. Obłeśny.

- Więc był też mężczyzna? Opisz go.
- Stary i odrażający. Nazywa się Tanner.
- Miał śniadą cerę?
- Nie, to nie przezwisko od opalenizny, tylko nazwisko. Tanner. - Powoli zapadała w sen. - I strażnik. Chyba nie żyje.

- Ashley, nie zasypiaj jeszcze - poprosił Luke, a ona z wysiłkiem uniosła powieki. - Co z tym strażnikiem?

- Młody. Wielki. Biały. - Znów się uśmiechnęła, ale słabo. - Mam nadzieję, że go zabiłam.

- Ashley, nie zasypiaj - rzucił Luke ostro. - Jak daleko jest do tego domu? Zamrugła ciężkimi powiekami.
- Nie wiem. Płynęłam szybko. Ale woda była zimna. Przeciągnął ręką po jej przerzedzonych włosach.

- Co oni zrobili z twoimi włosami?
- Ja to zrobiłam - odparła, dzwoniąc zębami.

- Po co?

- Haynes. On lubi blondynki. Nie chciałam trafić w jego łapy, więc sama się oszpeciłam.

Haynes, zapewne klient. Tacy klienci często wydawali handlarzy żywym towarem, w każdym razie tych prowadzących strony internetowe z pornografią dziecięcą. Wszystko za pieniądze - ta prawda była stara jak świat.

- I ten Haynes cię nie chciał?

- Nawet mnie nie zobaczył - odpowiedziała tak cicho, że Luke musiał zbliżyć ucho do jej ust. - Bobby wrzuciła mnie do piwnicy. Wydostałam się stamtąd. Drapałam cegły, aż...

Urwała. Luke spojrzał na sanitariusza.

- Straciła przytomność. Jej ciało bardzo wychłodziło się w wodzie. Gdyby nie była taka sprawna fizycznie, mogłoby jej wysiąść serce.

Dutton, niedziela, 4 lutego, godzina 5.20

Susannah krążyła niecierpliwie w tę i z powrotem, gdy Luke wyłonił się z izby przyjęć.

- Lekarze mówią, że nic jej nie będzie - oznajmił. - Zaczekam tu na jej ojca.

Pociągnęła go za rękaw.

- Lekarze mogą z nim porozmawiać. Jedźmy.

- Dokąd?

- Znalazłam akt ślubu Terri Styveson w oficjalnej dokumentacji dostępnej w sieci. Jej panięskie nazwisko to Petrie. To adres domu, który należał do jej matki.

- Czyli babki Bobby.

- W sądzie odbyła się sprawa spadkowa po odnalezieniu zamordowanych Styvesonów w ich domu w Arkansas. Władze uznały, że Styvesonowie przyłapali włamywaczy na gorącym uczynku i dlatego zginęli. Babka Barbary zmarła we śnie kilka miesięcy później. I Barbara Jean odziedziczyła dom. Jest stary, zbudowany w tysiąc dziewięćset piątym roku. Nosi nazwę Ridgefield House.

Popatrzył na nią zdumiony.

- Przecież nie widzieliśmy się przez zaledwie pół godziny. Uśmiechnęła się z wyrazem triumfu w oczach.

- Chase wysłała tam swoją ekipę. Corchran był najbliżej, więc pewnie już dotarł na miejsce - oznajmiła. - A ty co? Czekasz na oficjalne zaproszenie do udziału w akcji?

Otoczył ją ramieniem i pobiegli w kierunku samochodu. Luke'owi serce waliło jak młotem.

- Mówiłem ci już, że jesteś niesamowita?

- Nie. Zdaje się, że nie.

Zaśmiał się - z nadzieją, po raz pierwszy od wielu dni.

- Jesteś niesamowita. Wsiadaj. Uśmiechała się, gdy wyjeżdżali z parkingu.

- Podoba mi się to. Może nawet bardziej niż rozprawy w sądzie. To diabelnie ekscytujące.

- Pod warunkiem, że nie jest już za późno na działanie - odparł, poważniejąc.

Susannah także spoważniała.

- Corchran zorganizował poszukiwania z użyciem psów w odległości półtora kilometra od miejsca, w którym wyciągnięto Ashley z wody, ale ten dom stoi dwa razy dalej. Nie mam pojęcia, jak ona zdołała przepłynąć taki kawał.

- To pływaczka - wyjaśnił Luke. - Jej ojciec pokazywał Talii nagrody, które zdobyła.

- W takim razie pewnie musiała pobić swój rekord życiowy - stwierdziła Susannah.

- Lepiej i my się pospieszmy.

Gdy zostało im jakieś dziesięć minut jazdy do celu, zadzwieczyła komórka Luke'a.

- Papadopoulos, słucham.

- Mówi Corchran. Byli tu na pewno, ale już ich nie ma.

- Psiakrew - zaklął Luke. Za późno. Znowu za późno. - Co zastaliście?

- To stary dom. Podpalili go, zanim się stąd wynieśli, ale przybyliśmy na tyle wcześnie, że pożar nie zdążył strawić całej posesji. I jeszcze jedno: za winkiem leży martwy strażnik.

- Ashley naprawdę go zabiła? - zapytał Luke, powtarzając w myślach: Za późno. Za późno.

- Raczej nie, chyba że miała strzelbę. Ktoś mu odstrzelił połowę bebechów. Na barku ma płytką ranę kłutą, a na głowie wielkiego guza. Obok zwłok znaleźliśmy zakrwawioną marmurową gałkę do drzwi.

Luke przypomniał sobie uśmiezek na twarzy Ashley.

- Pewnie Ashley go nią uderzyła, strażnik stracił przytomność, a potem Bobby zastrzeliła go, nie chcąc zostawiać na miejscu żywego. Nie można jej odmówić konsekwencji. Natknęliście się gdzieś na białą furgonetkę i przyczepę dla koni?

Wcześniej, w karetce, polecił patrolom rozglądanie się za takimi pojazdami.

- Nie. Znaleźliśmy mikrobus zarejestrowany na Gartha Davisa i volvo należące do jego siostry Kate. I czarnego LTD.

- Zarejestrowanego na Darcy Williams - domyślił się Luke, zaciskając szczękę. - Z tablicami o numerze DRC119.

- Tak - potwierdził Corchran. - Tablice znajdowały się pod przednim siedzeniem.
- Wprowadźmy do akcji wszystkie dostępne ekipy poszukiwawcze.
- Już to robimy. Luke schował komórkę.
- Cholera! Wciąż przybywam za późno. Mam już tego dość. Susannah nie odzywała się przez dłuższą chwilę.
- Dokąd mogli pojechać? - powiedziała w końcu. - Skoro to była ich baza wypadowa, to gdzie pojechali?
- Bobby musiała gdzieś ukryć swoje dzieciaki - odparł Luke. - Może wybrała się do nich?
- Luke, patrz! - Susannah wpatrywała się w coś przed sobą. - Tam, z przodu. Ten pojazd, który właśnie wjechał na autostradę. Wygląda na przyczepę.
- Miała rację. Luke dodał gazu, wywołując przez radiotelefon wszystkie jednostki policyjne działające w okolicy.
- Przyspieszają - rzucił w napięciu. - Schowaj się. Susannah pochyliła się, chowając głowę pod oknem.
- Co oni robią?
- Na pewno nie zwalniają. Nie wychylaj się.
- Nie jestem głupia, Luke - mruknęła poirytowana. Nie, nie była głupia, była niesamowita.
- Wiem o tym.
- Zauważył nas - powiedział Tanner, zaciskając dłonie na kierownicy. - Nie powinniśmy wyjeżdżać na autostradę międzystanową. Mówiłem ci, że to zbyt ryzykowne.
- Zamknij się, Tanner. Nie poprawiasz sytuacji. - Bobby zerknęła w boczne lusterko.
- Przyspiesza. Ostrzelajmy go albo porzućmy tę przyczepę i wiejmy.
- Jest za blisko. Nie zdążymy zwać. Strzelaj do niego. I to już.
- Bobby wyczuła panikę w głosie Tannera. Rozważyła wszelkie możliwości, plusy i minusy każdej opcji. Wiedzą o tej przyczepie, ale nie mają pojęcia, kim jestem. Muszę zyskać na czasie. Potrzebowała czasu, by się stąd wyrwać i zacząć wszystko od nowa. Na koniec pomyślała o najważniejszym - co na jej miejscu zrobiłby Charles? I obmyśliła plan działania.
- Tanner, zatrzymaj się na tym parkingu przed nami i stań w poprzek, blokując drogę. Wskoczmy z wozu i wsiądziemy do któregoś z zaparkowanych samochodów. Kiedy się zatrzymają, żeby zobaczyć, co jest w przyczepie, my będziemy z powrotem na autostradzie i skreścimy w bok przy pierwszej okazji.
- Tanner kiwnął głową.
- To się może udać.
- Jasne, że się uda. Zaufaj mi.

Susannah zaczęła odczuwać mrowienie w szyi.

- Co teraz robią?

- To samo, co poprzednio - odpowiedział Luke. - Nie zwalniamy. Susannah przechyliła się nad konsolą oddzielającą fotel kierowcy od siedzenia pasażera i wyjęła zapasowy rewolwer z kabury na łydce Luke'a.

- Co ty, u licha, wyprawiasz?

- Szykuję się do walki. I nie podnoszę głowy - dodała, zanim zdążył ponownie ją upomnieć.

- Trzymaj się - rzucił półgłosem Luke. Samochód ostro zarzuciło w prawo. - Zjeżdżają na postój. Cokolwiek się stanie, nie wychylaj się. Daj mi słowo.

- Nie będę głupia - odparła tylko.

Zduślił w ustach przekleństwo i nacisnął na hamulec. Susannah usłyszała pisk opon. Luke wyskoczył z wozu, krzycząc:

- Policja! Wszyscy na podłogę! Wy w samochodzie, nie ruszać się! Rozległ się huk wystrzału. Luke! Zaciskając palce na jego rewolwerze,

otworzyła drzwi i wysunęła się z auta. Luke'a nigdzie nie było widać. Chciała za nim pobiec, ale zatrzymała się koło przyczepy.

Teraz liczyły się przede wszystkim uprowadzone dziewczyny.

Opony zapiszczały gdzieś przed przyczepą z drugiej strony, i Susannah usłyszała, jak Luke klnie. Po chwili wrócił.

- Bobby wzięła jakiś samochód - zawołał. - Zostań tu i czekaj na wsparcie. Z drogi!

Susannah odskoczyła na bok, gdy wyjechał na pobocze, by ominąć porzucony furgon stojący w poprzek szosy. Silnik furgonetki nadal pracował na wolnych obrotach. Przyczepa była wyładowana, a łańcuch oplatał klamki drzwiczek. Wspięła się na tylny zdeznak, by zajrzeć do wnętrza przez brudną szybę. Widok, który ujrziała, sprawił, że powietrze wstrzymywane dotąd w płucach uszło z nich teraz ze świstem.

Wielki Boże! Ashley powiedziała, że jedna z dziewcząt została sprzedana człowiekowi o nazwisku Haynes, Susannah spodziewała się więc zobaczyć cztery dziewczyny: trzy z pięciu wywiezionych z bunkra i młodszą siostrę Moniki. Zobaczyła ich co najmniej dwa razy więcej, związanych i zakneblowanych. Zaczęła tłuc pięścią w szybę.

- Jesteście ranne?!-wołała.

Jedna z dziewczyn podniosła wzrok i nawet przez warstwę brudu na szkle Susannah mogła dostrzec rozpacz w jej oczach. Dziewczyna pokręciła przecząco głową, a potem skinęła potakująco.

Na łańcuchu na drzwiach była kłódka, więc Susannah obiegnęła furgonetkę. Nagle stanęła jak wryta na widok tego, co ujrziała.

- O, cholera - zaklęła cicho.

Za kierownicą siedział martwy mężczyzna. Krwawa miazga z jego głowy rozprysła się po szoferce. Susannah wyjęła pęk kluczyków ze stacyjki i dopasowywała je po kolei do kłódki, aż wreszcie ją otworzyła.

Zdjęła łańcuch, zamasyście otworzyła drzwi przyczepy i nabrała powietrza w płuca, gdy dziesięć par oczu wbiło w nią wzrok.

- Mam na imię Susannah - wydyszała. - Teraz już jesteście bezpieczne.

Autostrada międzystanowa 1-75, niedziela, 4 lutego, godzina 6.20

Luke podszedł do końskiej przyczepy w chwili, kiedy Susannah nakazywała jakiemuś człowiekowi wyłączyć kamerę. Stojąc tuż przed niefortunnym ciekawskim z pięściami na biodrach, wyglądała jak początkujący bokser gotowy stoczyć walkę z championem. Gdyby Luke nie czuł się taki sfrustrowany, uśmiechnąłby się na ten widok.

W czasie jego nieobecności ktoś uwolnił dziewczyny z przyczepy. Teraz policjanci odprowadzali je do czekających karettek.

To był sukces. I zarazem porażka, ponieważ Bobby znowu kogoś zabiła i uciekła. Za późno. Znowu za późno.

- Jak tak można? - Susannah besztła mężczyznę z kamerą. - Zostawił pan w samochodzie dzieci... córki. Jak pan by się poczuł, gdyby jakiś cwaniak próbował zarobić parę dolców na nieszczęściu pańskich córek, sprzedając ich zdjęcia stacji CNN? Proszę mi oddać tę kasetę. I to już! - warknęła, kiedy facet próbował protestować.

Mężczyzna wyjął taśmę z kamery i wycofał się, bąkając słowa przeprosin.

- Dupek - mruknęła pod nosem.

Luke, pełen podziwu dla determinacji Susannah, objął ją. Aż podskoczyła.

- Ciii - szepnął, uspokajając w ten sposób zarówno ją, jak i siebie. - To tylko ja.

Natychmiast się rozluźniła, a jej twarz rozpromienił ciepły uśmiech.

- Tym razem się nie spóźniłeś. - Spoważniała, widząc, że nie odwzajemnił uśmiechu.

- Co się stało, Luke? Dlaczego tak długo cię nie było? Gdzie Bobby?

- Uprowadziła samochód stojący na końcu w głębi parkingu. Silnik pracował, a pasażer spał. Kierowca wysiadł na chwilę i nie zablokował drzwi.

- Porwała auto z pasażerem?

- Tak i wypchnęła go z wozu przy prędkości stu kilometrów na godzinę. Wiedziała, że się zatrzymam. Oczywiście zrobiłem to, ale on już nie żył. Wcześniej go zastrzeliła.

- Tak mi przykro - szepnęła, ściskając jego dłoń.

- Mnie też. - Spojrzał na mężczyznę, który siedział na tylnym fotelu radiowozu. - Muszę mu powiedzieć, że jego syn nie żyje.

- Niech zrobi to ktoś inny. Chase wkrótce tu będzie.

- Nie. Ja to zrobię.

- W takim razie pójdę z tobą.

Chciał zaprotestować, ale po wszystkim, co się wydarzyło, potrzebował wsparcia.

- Dzięki.

Na widok zbliżającego się Luke'a mężczyzna wysiadł z radiowozu. Zbladł, ujrawszy jego minę.

- Nie - pokręcił głową. - Nie!

- Bardzo mi przykro. Pańskiego syna zastrzeliła kobieta, która porwała samochód.

Mężczyzna cofnął się o krok.

- Jak to? - wykrztusił z trudem. - Przecież jechaliśmy do Six Flags. Dziś są jego urodziny. Skończył czternaście lat.

- Bardzo mi przykro - powtórzył Luke. - Czy mógłbym zadzwonić do kogoś z pańskiej rodziny?

- Do żony. Muszę zawiadomić żonę. - Oszołomiony, ogłuszony, patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem. - Ona jest w domu z naszym młodszym dzieckiem. To ją zabije.

Policjant, który czekał obok, delikatnie wyjął mu z dłoni komórkę.

- Ja się tym zajmę, agencie Papadopoulos. Proszę wracać do pozostałych ofiar.

Odgłos żałosnego szlochu ojca zabitego nastolatka przeszył wnętrza Luke'a niczym nóż.

Poczuł na plecach drobną dłoń Susannah, która dotknęła go zrazu niepewnie, a potem mocniej.

- Ocaliłeś te dziewczyny - szepnęła. - Dziesięć dziewcząt.

- Ale ten ojciec myśli o swoim synu, któremu nie przyszedł na pomoc na czas.

- Przestań - upomniała go. - Przestań się obwiniać. - Chwyliła go za ramię i obróciła ku sobie. - W tej przyczepie było dziesięć dziewczyn, które zmuszano do prostytucji, zastraszano i dręczono. Teraz wrócą do domów. Przestań myśleć o jedynej osobie, której nie uratowałeś, i policz te, które ocaliłeś.

Kiwnął głową.

- Masz rację.

- Oczywiście, że mam. A teraz wracaj do samochodu. Pojedziesz do Atlanty, naradzisz się ze swoim zespołem dochodzeniowym i wykombinujecie, jak złapać Barbarę Jean Davis.

Ruszył przed siebie, a ona go objęła.

- Jestem bardzo zmęczony - wyznał.

- Wiem - powiedziała łagodnie. - Ja cię zawiozę. Będziesz mógł się zdrzemnąć. Oparł policzek na jej głowie.
- Dziękuję.
- Nie ma sprawy. Jestem ci winna przysługę. Teraz będziemy kwita.
- Licytujemy się? - spytał poważnie.
- Nie. Widzę, że potrzebujesz kogoś tak samo jak ja.
- Dopiero teraz na to wpadłaś? Objęła go mocniej.
- Nie bądź taki sprytny, agencie Papadopoulos.

Autostrada międzystanowa 1-75, niedziela, 4 lutego, godzina 6.45

Bobby w końcu zdołała uspokoić oddech. Porzuciła uprowadzony samochód i teraz jechała nowym, ukradzionym z innego parkingu koło autostrady. Co dalej? Co teraz? - zastanawiała się.

Tanner nie żyje. Pociągnięcie za spust wycelowanej w niego broni okazało się o wiele trudniejsze, niż przypuszczała. Została sama. Sama jak palec. Wprawdzie był jeszcze Charles, ale on nigdy nie należał do... rodziny.

Tanner był jej rodziną. Ale musiał umrzeć, bo nie mógłby uciekać dostatecznie szybko. Zdała sobie z tego sprawę, gdy mówiła mu, że może jej zaufać. Bał się więzienia; zresztą był już za stary, żeby znieść życie za kratkami. Pewnie wolałby właśnie taki koniec.

Co teraz? Tylko Susannah Vartanian jeszcze nie oberwała. Była z tym Papadopoulosem, wszystko popsula. Teraz Charles w końcu dostanie to, czego chce. Z jakiegoś powodu zawsze nienawidził Susannah, chyba nawet bardziej, niż nienawidziła jej ona, Bobby.

Mogła ją zabić już dawno, ale odwlekanie tego irytowało Charlesa - Bobby tylko tak była w stanie choć trochę na niego wpłynąć, kiedy nieustannie chciał kierować jej poczynaniami.

Dobra, Charles. Dostaniesz to, czego chcesz. Zabiję ją dla ciebie. A potem zniknę.

Atlanta, niedziela, 4 lutego, godzina 8.40

W pokoju narad panowała atmosfera podszyta napięciem oraz mieszaniną euforii, wyczerpania i rozpacz. Zjawili się Ed i Chloe, Pete i Nancy, Hank, Talia i Mary McCrady. Na prośbę Luke'a w zebraniu uczestniczyła także Susannah. Wcześniej tej nocy

dzięki jej spostrzegawczości odnaleziono uprowadzone dziewczyny. Zasłużyła więc na to, by znaleźć się wśród tych, którym należy się pochwała.

- A więc to jeszcze nie koniec - powiedział Pete, kiedy Chase przedstawił aktualną sytuację. - Bobby nadal jest na wolności.

- Mamy dziewczyny, i to żywe - podkreślił Chase. - W dodatku nie tylko te z bunkra, ale także Genie Cassidy i sześć innych wywabionych z rodzinnych domów. To bardzo dużo.

- Znaleźliśmy również w przyczepie Bobby pudła z dokumentacją - dodał Luke. - Dowody transakcji finansowych między nią a jej klientami. Mamy nazwiska i adresy. Możemy postawić w stan oskarżenia kilkunastu zboczeńców, którzy kupowali osoby nieletnie dla nierzędu.

Chase uśmiechnął się kwaśno.

- Przekazaliśmy FBI namiary na bajzle w pobliżu parkingów, na obszarze od Karoliny Północnej po Florydę. Agenci GBI właśnie w tej chwili dokonują nalotów na dziecięć melin, żeby uwolnić dziewczęta sprzedane niedawno przez Bobby, w tym tę sprzedaną w piątek Darrylowi Haynesowi.

Ed wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- Temu facetowi ze stanowego senatu, który głosi poszanowanie wartości rodzinnych?

- Właśnie jemu - potwierdził Chase.

- Haynes chciał blondynkę - stwierdził Luke. - No i blondynka przyczyniła się do jego wypadki. Ucieczka Ashley Csorki stanowiła przełom w sprawie.

- Co z nią? - spytała Talia.

- Odzyskała siły i właśnie rozmawia ze swoim ojcem - odparł Luke z uśmiechem. - A on przekazał nam podziękowania i wyraził życzenie, żeby człowieka, który próbował kupić jego córkę, spotkał w więzieniu taki los, jaki był udziałem Ashley.

- Wszyscy spisaliście się na medal - podjął Chase poważnym tonem. - Granville zabił pięć dziewcząt w bunkrze, ale Monica wyjawiała, że zrobił to na polecenie Rocky, czyli Kate, a ta zaś z kolei powoływała się na rozkaz Bobby. Kiedy dopadniemy Bobby Davis, postawimy jej zarzut doprowadzenia do zabójstwa pięciu osób i oskarżymy o zamordowanie dziesięciu innych, które zginęły z jej ręki. Dojdzie jeszcze próba zabójstwa Ryana Beardsleya i Moniki Cassidy...

- Oraz porwanie Bóg jeden wie ilu nieletnich, zmuszanie do prostytucji i pornografia dziecięca - wtrącił Luke.

- Wygląda na to, że grozi jej wyrok około miliona lat więzienia - podsumował Chase.

Chloe zmarszczyła brwi.

- Chwileczkę. Dlaczego dziesięciu innych? O ile wiem, zabiła Rocky, czyli Kate, i Jennifer Ohman, tę pielęgniarkę.

- I jej siostrę - dodała Susannah.

- No tak - Chloe kiwnęła głową. - To na razie trzy. Helen Granville jest czwarta.

- Chili Pepper i jego dziewczyna to już sześć - wtrąciła Nancy.

- Chłopak wyrzucony z porwanego samochodu plus Tanner, czyli mężczyzna, który kierował furgonem z przyczepą, to razem osiem osób - rzekł Luke i zerknął na Pete'a. - I Zach Granger, dziewiąta ofiara.

- Cholera, Pete, przepraszam - powiedziała Chloe do Haywooda, zmieszana, że akurat ta ofiara wyleciała jej z pamięci.

- Nic nie szkodzi - odparł Pete. - Ale musimy dorwać tę sukę, żeby zapłaciła za swoje zbrodnie.

- Dziesiąta ofiara to strażnik, którego zwłoki znaleziono na tyłach jej domu - uzupełnił Luke.

- Gdybyśmy doliczyli Darcy, byłoby jedenaście ofiar - stwierdziła Susannah.

- Doliczymy Darcy - zapewnił Chase. - Przykro mi z jej powodu, Susannah. Wciąż jednak nie odnaleźliśmy czterech osób: sędziego Borensona, ojca Moniki Cassidy i dwóch synów Bobby.

Luke westchnął.

- Mam nadzieję, że nie wyrządziła krzywdy własnym dzieciom, ale sam widziałem, co zrobiła dzisiaj z tym chłopcem. Ona jest zdolna do wszystkiego.

- Co właściwie wiemy na jej temat? - zapytała Mary McCrady. - Na podstawie tego, co usłyszałam, sporządziłabym portret psychologiczny brutalnego, inteligentnego, wyzutego z ludzkich uczuć potwora. Chciałabym pomóc ją schwytać.

- Mężczyzna, który prowadził furgonetkę, to Roger Tanner, lat sześćdziesiąt osiem - powiedział Luke. - Od lat osiemdziesiątych ciężą na nim wyroki za napad, kradzież i podwójne morderstwo.

- Jaki to ma związek z Barbarą Jean Davis? - spytała Mary.

- Ofiarami tego mordu byli rodzice Bobby - wyjaśniła Susannah - pastor Styveson i jego żona Terri. Oboje zostali pobici na śmierć na plebanii małego kościoła w Arkansas, gdzie Styveson był kaznodzieją.

- Tanner pracował tam wtedy jako kościelny - powiedział Luke. Tę informację udało mu się zdobyć w czasie drogi powrotnej z parkingu, na którym uwolniono dziewczyny. Zbyt pobudzony, by odpoczywać, rozmawiał podczas jazdy z pracownikami wydziału policji w Arkansas, a Susannah przeszukiwała dane dostępne w sieci. - Jego odciski palców znaleziono w wielu miejscach na plebanii. Nikogo to nie zdziwiło, skoro był kościelnym, ale policję zainteresowała jego kartoteka.

- Przypuszczano, że to on dokonał zabójstwa - podjęła Susannah - nie było bowiem ani innych podejrzanych, ani śladów włamania. Poza tym Tanner miał klucze do plebani. Bobby nie odniosła wtedy żadnych obrażeń, choć na policji zeznała, że Tanner ją obezwładnił.

Luke wzruszył ramionami.

- Jej zeznanie nie bardzo pasowało do znalezionych dowodów rzeczowych, ale nie wskazywało na jej udział w zbrodni. Teraz, gdy wiadomo, że działała razem z Tannerem, można podejrzewać, że już wtedy byli w zмовie. Po pogrzebie Styvesonów Tanner uciekł i wszelki ślad po nim zaginął. A Bobby wysłano do Karoliny Południowej, gdzie zamieszkała z siostrą swojej matki.

- Jak znaleźli się w Dutton? - spytała Nancy.

- Licho wie. Może Bobby się dowiedziała, kto jest jej prawdziwym ojcem, i zmusiła ciotkę, by zawiozła ją do Dutton? Może ta ciotka obwiniała matkę Susannah o wypędzenie Styvesonów i przywiozła dziewczynę do miasta, żeby zagrać jej na nerwach. Tego pewnie się już nie dowiemy.

- Nie miałam pojęcia, że rodzice Bobby zostali zamordowani, ani o tym, że ona jest córką starego pastora - powiedziała Susannah. - O takich sprawach w małych miasteczkach zwykle krążą różne plotki, ale na ten temat panowała cisza. Nawet Angie Delacroix nie wiedziała, że Bobby to córka Styvesonów. Barbara Jean przyjęła nazwisko swojej ciotki, Idy Mae Brown. Było to nazwisko po mężu, więc nikt nie skojarzył żadnej z nich ze Styvesonami. Ciotka z jakiegoś powodu utrzymywała w sekrecie pochodzenie Bobby.

- Wyprowadziła się z Dutton wkrótce po tym, jak Bobby wyszła za Gartha Davisa - dodał Pete. - I tu ślad po niej się urywa. Żadnego miejsca pracy, żadnych kart kredytowych, kont bankowych.

- Może Bobby zabiła także ją? - podsunęła Talia.

- Być może - odparła Mary. - Ale w takim razie kto zajmował się synami Bobby, kiedy ona dyrygowała przydrożnymi dziwkami i sprzedawała dziewczyny bogatym facetom?

- Daviesowie mają nianię - wyjaśnił Pete. - Imigrantkę, prawdopodobnie bez prawa pobytu w Stanach. Słabo mówi po angielsku. Rozmawiałem z nią, gdy próbowałem wytropić ciotkę. Pracuje od dziewiątej rano do piątej po południu, bez weekendów. Powiedziała, że Bobby codziennie wychodziła z domu, bo pracowała jako dekoratorka wnętrz. Czasami opiekunka zostawała na noc, kiedy Bobby miała jakieś spotkanie, a Gartha nie było akurat w domu. Wydaje się szczerze oddana chłopcom Davisów, a jeśli ma jakiegokolwiek pojęcie, czym naprawdę Bobby się zajmuje, nie dała tego po sobie poznać.

- Pozostali krewni Bobby to wuj Gartha, Rob Davis, i jego rodzina-powiedział Chase.

- Spytałem Roba Davisa, czy widział ją ostatnio - rzekł Pete. - Zaprzeczył. Nie przeszukiwaliśmy jego domu.

- Ale czy Rob ukrywałby dzieci Gartha? - zapytała Chloe. - O ile wiem, szczerze się nie znosili.

- Tak stwierdziła Kate, kiedy przyszła tu w czwartek po południu. - Kolejny fragment układanki znalazł się na miejscu. Luke spojrział ponuro na Chase'a. - To Kate doprowadziła nas do Macka O'Briena.

Chase potarł czoło.

- Zatańczyliśmy tak, jak nam zagrała.

- Kate chciała odsunąć podejrzenia od Gartha i reszty tej paczki, bo im bliżej Daniel był wykrycia ich sprawek, tym większe istniało ryzyko, że wyjdzie na jaw to, co działo się w bunkrze. Rzuciła więc O'Briena na pożarcie, żeby ona i Bobby mogły zachować swoje sekrety. Daliśmy się zwieść.

- To Kate powiedziała, że żona Gartha uciekła z dziećmi, gdy wnuk Roba Davisa został zabity przez Macka - zauważył Ed. - A niech to diabli.

- Uwierzyliśmy jej na słowo - podsumował Luke.

- I nic dziwnego - stwierdziła rezolutnie Susannah. - Przecież nie mieliście pojęcia, co się dzieje. Trzeba zdobyć nakaz przeszukania domu Roba Davisa. Może tam znajdziemy chłopców.

- Następną sprawą - powiedział Chase. - Przed godziną na moją komórkę zadzwoniła Kira Laneer, kochanka Gartha, która pracuje na lotnisku. Twierdzi, że jest w stanie doprowadzić nas do Bobby, bo Garth zna wszystkie miejsca, gdzie ona może się ukrywać. Niewykluczone, że ta Kira szuka taniego rozgłosu, ale mimo wszystko zlecę komuś sprawdzenie tego tropu. Nancy, nad czym się zastanawiasz?

- Myślałam o Bobby. Zamordowała dziesięć osób w ciągu dwóch dni. Ale chyba ktoś musiał jej w tym pomagać.

- Mógł to robić Tanner - stwierdził Luke. - Ashley Csorka powiedziała, że zarządzał Ridgefield House. Nazwała go obleśnym lokajem.

- No, nie wiem - odparła Nancy. - Ten lokaj musiałby być muskularnym bydlakiem, żeby poderżnąć gardło Chiliemu Pepperowi. Chili to kawał chłopca.

- Może Bobby ma jakichś innych pomagierów - rzucił kwaśno Pete.

- Innych - powtórzyła Susannah. - Wiecie, czegoś tu jeszcze brakuje. Mam na myśli tego *thicha*. Tamtą rozmowę Simona z Tobym Granville'em podsłuchałam, kiedy miałam jedenaście lat. Bobby miała wtedy dwanaście i mieszkała w Arkansas.

- Tam, gdzie Tanner - wtrącił Luke - więc nie mogło chodzić o niego.

- „Ktoś inny mąkierował” - zacytowała Susannah. - Był ktoś jeszcze.
- Wysłaliśmy na Manhattan portret pamięciowy wykonany na podstawie twojego opisu - rzekł Chase. - Ktoś z tamtejszej prokuratury okręgowej pokaże go zabójcy Darcy. Na razie skupmy się na Bobby Davis i jej zaginionych synach. Pete, jedź do Roba Davisa i poszukaj tych chłopców. Hank, ty i Nancy przetrząśnijcie jeszcze raz dom Davisów. Talia, wyszukaj, co tylko się da, na temat znajomych Bobby, obecnych i byłych. Chloe, ile jeszcze możemy trzymać Gartha?
- Jutro może wnieść oficjalną skargę.
- Po zwolnieniu będziemy go śledzić, na wypadek gdyby był zamieszany w tę sprawę bardziej, niż sądzymy. Ed?
- Znaleźliśmy ciało Becky zakopane niedaleko celi, w której siedział Beardsley. Została pobita na śmierć.
- A więc mamy kolejne niezidentyfikowane zwłoki - westchnął Chase. - Dajcie mi zdjęcie tej Becky. Poproszę media o pomoc w ustaleniu jej prawdziwej tożsamości. I jeszcze jedno. - Popatrzył na Susannah. - Gretchen French zaplanowała swoją konferencję prasową czwartą po południu.
- Zgadza się. W Grand Hotelu.
- Trzeba tam zainstalować kamery wideo i zapewnić ochronę z wykrywaczami metalu. Bobby może się okazać na tyle bezczelna, żeby się tam zjawić i znowu narobić bigosu.
- Na przykład znowu strzelać do Susannah - dodał Luke. Chase znowu na nią spojrział.
- Dokąd się wybierasz po naradzie?
- Do szpitala - odparła. - Muszę omówić pewne sprawy z Danielem.
- Luke wiedział, że jedną z nich jest kwestia jej biologicznego ojca, a drugą przyczyny, dla których Frank Loomis trzynaście lat temu sfałszował materiał dowodowy.
- Pojadę z nią. Muszę w końcu ustalić, kto dobrał się do kroplówki Beardsleya. Może to ta „inna osoba”, której szukamy.
- Uważajcie na siebie - powiedział Chase. - Będziemy w kontakcie i spotkamy się tu o wpół do trzeciej, przed konferencją prasową Gretchen French.
- Gdy zebrani zaczęli wychodzić, dał Luke'owi znak, żeby został jeszcze na chwilę.
- Przez ostatni tydzień pracowałeś po dwadzieścia cztery godziny na dobę - stwierdził. - Odnalazłeś te dziewczyny.
- Bobby wciąż działa - zaczął Luke, ale Chase uciszył go gestem.
- Wszyscy agenci z tego wydziału uczestniczą w jej poszukiwaniach.
- Odbierasz mi sprawę? - spytał ostro Luke.

- Uspokój się. Nie odbieram ci sprawy, tylko chcę, żebyś zachował zdrowie i postępował rozsądnie. Na razie zepchnęliśmy Bobby do defensywy. Pewnie teraz zbiera siły. Więc i ty wracaj do domu i podładuj baterie. Jak wrócisz wypoczęty, łatwiej ją wytropisz.

- Zgoda. Zawiozę Susannah do Daniela, a potem pojedę do siebie i zasnę kamiennym snem.

19

Dutton, niedziela, 4 lutego, godzina 9.00

Bobby energicznie zamknęła wieczko komórki. Jej wtyczce w GBI wydawało się, że koniec z ich układem, tylko dlatego, że ona musiała przejściowo ustąpić pola. Ale tajemnice nadal się liczyły, zwłaszcza teraz. Wiedzą, kim jestem, pomyślała. A to znaczy, że muszę postępować ostrożniej.

Sapnęła drwiąco. Kira Laneer twierdzi, że może ją namierzyć. Akurat! Ale tego, że Garth sporo wiedział, Bobby nie mogła zignorować. Jej mąż nie był głupcem. Woląla nie ryzykować.

Zadzwoiła do Paula.

- Jesteś mi potrzebny.

- Nic z tego, moja droga. Właśnie oglądałem telewizję. Dobierają ci się do tyłka. Susannah Vartanian wyglądała całkiem atrakcyjnie. Wykradła ci „inwentarz” tuż spod nosa.

Bobby aż zagotowała się ze złości.

- Nie bądź taki cwany. Mam dla ciebie robotę. - Podała mu adres Kiry Laneer. - Niech nie cierpi. Ostatecznie to dzięki niej Garth nie dobierał się do mnie. - Nie znosiła męża, nienawidziła, jak ją dotykał. Urodziła mu dwoje dzieci, spełniając w ten sposób swoją powinność. Synowie byli świetnym atrybutem wzorowej żony i gospodyni, której rolę odgrywała, więc traktowała ich dobrze. Ale noszenie na co dzień maski zdrowej, przyjacielskiej osoby sporo ją kosztowało. - Załatw tę Laneer, zanim powie GBI to, co wie.

- Przeginasz - odparł Paul. - Nie możesz pozabijać wszystkich.

- Rób, co ci każe, albo doniosę na ciebie policji. - Po raz pierwszy otwarcie mu groziła. Po raz pierwszy uznała, że musi. Roztrzęsiona przerwała połączenie. Tego popołudnia ofiary Gartha miały rozmawiać z dziennikarzami. Będzie tam Susannah. I ona też.

GBI zorganizowało silną obstawę, co trochę komplikowało sprawę. Ale Bobby wiedziała, jak sobie poradzić z tym problemem. Susannah, szykuj się na śmierć.

Dutton, niedziela, 4 lutego, godzina 9.03

- Mówiłem ci - rzucił Paul do Charlesa, zamykając z trzaskiem komórkę. - Ona wymyka się spod kontroli.

Charles napełnił filiżanki kawą.

- Ale przy okazji skutecznie cię nastraszyła, a ja chcę, żebyś działał nadal. Przydasz mi się.

Paul zacisnął zęby.

- Nie będzie gadać, jeśli ją zabijesz. Albo pozwól mi to zrobić. Brwi Charlesa powędrowały w górę.

- Jeszcze z nią nie skończyłem.

- Nie mam zamiaru zabić kochanki Gartha. Charles spojrzął na Paula znad swojej filiżanki.

- Owszem, zrobisz to. Oczy Paula błysnęły.

- Nie mamy nawet pojęcia, czy ta Laneer rzeczywiście coś wie.

- To prawda. - Charles się zadumał. - Nie wiadomo, co Garth jej powiedział. - Chcę, żeby Bobby znalazła się na tej konferencji prasowej.

- Po co? - zapytał Paul.

- Bo będzie tam Susannah. Bobby nie zdoła się pohamować.

- To dlatego chciałeś, żebym wypomniał Bobby, że Susannah ukradła jej inwentarz. Charles wskazał talerz Paula.

- Zjedz jajka, synu. Stygną. A potem zajmij się Kirą Laneer. Możesz wziąć mój wóz. Paul wbił widelec w jajecznicę.

- Niech choć raz Bobby odwali za siebie brudną robotę.

- Nie chcę, żeby tam jechała - odparł Charles. - Jest w takim stanie, że na pewno by ją złapali, a ja straciłbym najlepsze przedstawienie w moim życiu.

Atlanta, niedziela, 4 lutego, godzina 9.30

Zdjęta niepewnością Susannah stanęła w drzwiach sali Daniela. Kiedy widziała go ostatnio, był na oddziale intensywnej terapii.

Teraz czuła się trochę niezręcznie. Daniel leżał z zamkniętymi oczami, a obok niego siedziała Alex i czytała jakieś czasopismo.

- Jak on się miewa? - spytała ją Susannah.

- Świetnie - odpowiedział Daniel. Otworzył oczy, które potrafiły być lodowato zimne, ciepłe lub smutne. Teraz były pełne ciepła. - Widziałem cię w telewizji. Odnalazłaś te dziewczyny. Gratuluję.

- Dziękuję. - Susannah usiadła na brzegu krzesła, chociaż miała ochotę stąd uciec. Luke stanął za nią i położył jej dłonie na ramionach. - Danielu, muszę ci coś powiedzieć, coś... wstrząsającego.

Luke delikatnie zacisnął ręce na jej barkach.

- Nie pogarszaj sprawy - rzekł. - Po prostu mu powiedz. Daniel popatrzył na przyjaciela.

- O co chodzi? - spytał.

- Spokojnie - odparł Luke z uśmiechem. - Jeszcze jej nie uwiodłem. „Jeszcze nie”.

Susannah oblała się rumieńcem - nie z zażenowania czy

z obawy, ale z podniecenia. Pomyślała o pudełku w jego sypialni. „Jeszcze nie”. To było jak zapowiedź tego, co ma nadejść. Odegnęła od siebie tę myśl, szykując się do wypowiedzenia słów, które miały zarówno ukoić, jak i zranić jej brata.

- Chodzi o Franka Loomisa - wyrzuciła z siebie.

- Co z nim? - spytał Daniel, zastygając w bezruchu.

- Dziś nad ranem odwiedziliśmy Angie Delacroix, bo mieliśmy nadzieję, że czegoś się od niej dowiemy. I dowiedzieliśmy się znacznie więcej, niż się spodziewaliśmy»Okazało się, że Angie przez lata romansowała z Frankiem Loomisem. On jednak nie ożenił się z nią, bo kochał kogoś innego. Naszą matkę.

Daniel zamrugał gwałtownie oszołomiony.

- Naszą matkę?

- Tak. Doszło między nimi do zbliżenia, co najmniej raz. - Susannah wzięła głęboki oddech. - Arthur Vartanian nie był moim biologicznym ojcem. Jestem córką Franka Loomisa.

Daniel wbił spojrzenie w Luke'a, a potem w Susannah.

- Jesteś tego pewna?

- Przekazałam Edowi próbkę DNA - powiedziała. - Wyniki będą jutro.

- Ale wiele na to wskazuje - dodał Luke. Susannah ujęła brata za rękę.

- Angie powiedziała, że gdy trzynaście lat temu Simon zrobił coś strasznego, matka błagała Franka, aby się tym zajął. Frank się zgodził. Zrobił to dla naszej matki.

- Sfałszował materiał dowodowy i wrobił Gary'ego Fulmore'a - rzekł Daniel cicho. - To dlatego zniknął w zeszłym tygodniu. Mówił, że potrzebuje oddechu. W rzeczywistości opłakiwał ją.

Susannah milczała, dając bratu czas na zastanowienie. Już po chwili zrozumiał to, czego w domu Angie ona nie pojęła od razu, oszołomiona nowinami. Otworzył oczy i wbił w nią przerażone spojrzenie

- Ona wiedziała - szepnął chrapliwie. - Wiedziała, że Simon maczał palce w morderstwie siostry Alex. Mój Boże, Suze. Wiedziała o tym od początku.

- Jeżeli nawet nie o morderstwie - odparła Susannah spokojnie - to na pewno o gwałcie.

- Też tak przypuszczałem - wtrącił Luke, a Susannah obróciła się, by na niego spojrzeć.

- To dlaczego milczałeś?

- Byłaś taka poruszona. Uznałem, że sama do tego dojdiesz w swoim czasie.

Wytrzymała jego spojrzenie przez kilka sekund, a potem przeniosła wzrok na brata.

- Jest coś jeszcze - powiedziała cicho. Daniel zbladł.

- Coś jeszcze?

- Tak. Ed znalazł w bunkrze włos, który należy do kogoś blisko z tobą spokrewnionego, do kogoś, z kim miałeś wspólne jedno z rodziców. - Powiedziała to oficjalnym, prokuratorskim tonem. Tak było łatwiej. - Masz przyrodnią siostrę. To żona Gartha Davisa, Barbara Jean. Znana jako Bobby.

Alex otworzyła szeroko oczy.

- To ta „inna osoba”, o której Granville mówił przez śmiercią - wykrztusiła.

Daniel milczał chwilę, wreszcie zapytał:

- Czy to pewne?

- Tak - odparł Luke. - Twój ojciec miał przelotny romans z żoną pastora. Barbara Jean to owoc tej przygody.

- Ona jest... zła, Danielu - powiedziała Susannah. - Niegodziwa. Zabiła jednaście osób i zleciła zamordowanie tamtych pięciu dziewczyn. Zastrzeliła też Kate Davis.

Oddech Daniela stał się szybki i płytki.

- Ale dlaczego? Po co zabiła Kate?

- Pamiętasz, jak pytałem cię, czy znasz kogoś o imieniu Rocky? - przypomniał mu Luke. - Myśleliśmy, że to mężczyzna. Tymczasem okazało się, że Rocky to Kate Davis, siostra Gartha. Współpracowała z Granville 'em i z Bobby.

Daniel był kompletnie skołowany.

- Przecież Kate sama do nas przyszła. Powiedziała, że ten, kto zabijał kobiety w Dutton, wysyłał Garthowi listy, w których groził, że zabije także ją. Twierdziła, że Garth

bał się o tym mówić, bo gdy kilka lat wcześniej Jared O'Brien zaczął opowiadać o tym ich klubie, został zamordowany. Namierzyliśmy Macka O'Briena dzięki jej zeznaniom. Pogrywała z nami?

- Jak z dziećmi - potwierdził Luke. - Chase'a i mnie też to wkurzyło.

- Musimy być ostrożni - powiedziała Susannah. - Bobby wciąż jest na wolności.

- I dlatego mam strażnika przed drzwiami - domyślił się Daniel. - Mój Boże, to...

- .. .kompletny obłęd - dokończyła Susannah półgłosem.

- Cieszę się, że mi powiedziałaś o tym wszystkim. - Daniel przeczesał palcami włosy. - To wiele wyjaśnia. Nie podobają mi się te wyjaśnienia, ale, jak stwierdziłaś, tak po prostu jest. Musisz się ukryć na jakiś czas, Suze. Dla własnego bezpieczeństwa.

Już wcześniej rozważała tę opcję i ją odrzuciła.

- Na jak długo, Danielu? - spytała. Zaniepokoił go jej ton.

- Aż złapiemy Bobby - odparł.

- A jeśli potrwa to całe tygodnie? Albo miesiące? Straciłam przez Simona, Granville'a i Bobby trzynaście lat. Więcej nie chcę tracić.

- Możesz stracić życie - powiedział Daniel z naciskiem.

- Zabezpieczę się na wszelkie sposoby. Wydawało się, że zaraz się pokłócą.

- Będziesz przynajmniej nosiła kamizelkę kuloodporną? Na to już się zdecydowała.

- Tak. Teraz zamierzam odwiedzić Monice Cassidy, a potem się przespać. Czeka mnie pracowite popołudnie.

Była już w drzwiach, gdy Daniel odezwał się ponownie:

- Suze, obiecaj mi, że nie będziesz ryzykować jak podczas procesu Rublonsky'ego.

Odwróciła się, robiąc wielkie oczy.

- Skąd o tym wiesz? Uśmiechnął się niewinnie.

- Znam wszystkie sprawy, jakie prowadziłaś w prokuraturze okręgowej. Interesowałem się każdą z nich.

Wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

- Ale...

- Zostawiłem cię, bo sądziłem, że dzięki temu będziesz bezpieczna. Nie miałem niezbitych dowodów, że ojciec prowadzi brudne interesy, a nie chciałem ciągać cię ze sobąo świecie. Nie miałem pojęcia, że już wtedy... - Głos mu się załamał i podjął dopiero po dłuższej chwili. - Wiedziałem, że w college'u należałaś do najlepszych studentek i że rozpoczęłaś praktykę w prokuraturze. Śledziłem wszystkie sprawy, w których występowałaś jako oskarżyciel.

- Nie miałam o tym pojęcia. Myślałam, że w ogóle cię nie obchodzę.

- Zawsze mnie obchodziłaś - zapewnił. - Zawsze. Przez te wszystkie lata. - Jego oczy rozbliły. - Więc teraz obiecaj mi, że nie postąpisz tak, jak podczas sprawy Rublonsky'ego.

Poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

- Obiecuję - szepnęła, z trudem tłumiąc płacz. - A teraz muszę już iść.

- Będę nad nią czuwał - usłyszała za sobą słowa Luke'a. Dogonił ją, gdy była już przy windzie.

- Jak to było z tym Rublonskim? Wbiła wzrok w drzwi windy.

- Ludzie powiązani z rosyjską mafią dokonali zbiorowego gwałtu na studentce i ją zamordowali. Umówiłam się na spotkanie z informatorem, który znał nazwiska, adresy... miał dowody. Nie mógł się zjawić u nas w biurze, więc wyznaczyłam mu spotkanie przed pewną tawerną. Śledzili go i zastrzelili, kiedy stał tuż obok mnie.

- Czy zdobyłaś te informacje?

- Nie, ale policjanci złapali zamachowca, a ten wsypał pozostałych.

- A co się stało z tym informatorem?

- Zmarł od ran - odparła, czując głęboki żal. I silne poczucie winy.

- Nie mogłaś wiedzieć, że do tego dojdzie. - Nie odpowiadała, więc wziął głęboki oddech i spytał: - Prawda?

- Miałam pewne... podejrzenia.

Winda się otworzyła. Susannah weszła do środka, ale Luke stał nieruchomo, patrząc na nią. Wskoczył w ostatniej chwili, ujął jej podbródek i zmusił ją, by spojrzała mu w oczy.

- Sama się wystawiłaś zamachowcom - powiedział ochrypłym głosem. Wzruszyła ramionami.

- To nie było aż takie dramatyczne. Obawiałam się, że coś może się wydarzyć, więc poprosiłam policję o ochronę. Ten informator był gangsterem, Luke. Ryzykownie pogrywał, na dwie strony. Powiedział mafii o tym spotkaniu.

- Więc jednak się wystawiłaś - powtórzył. - Mogłaś zginąć. Znowu nie odpowiedziała, a on zaklął przez zęby i rzekł:

- Postrzelili cię wtedy.

Kącik jej ust uniósł się lekko.

- Miałam kamizelkę kuloodporną. Ale i tak bardzo zabolęło - dodała beztrąsko. - Miałam wielkiego siniaka.

Przymknął oczy i zbladł.

- Matko Boska.

- Muszę przyznać, że najadłam się strachu - powiedziała. - Ale sprawę wygraliśmy. Wymierzylimy sprawiedliwość za mord na tej dziewczynie i za kilkanaście innych przestępstw.

Drzwi windy się otworzyły. Luke wziął ją pod ramię i wprowadził do poczekalni przy oddziale intensywnej terapii. Zanim zdążyła zaprotestować, jego usta przywarły do jej ust, gorączkowo i... jakby przerażone. Luke bał się o nią. Po chwili przerwał pocałunek, dysząc ciężko.

- Nie rób tego więcej - upomniał ją, oplatając ramionami i przyciągając ku sobie. Serce mu waliło.

Susannah pogładziła go uspokajająco po plecach.

- Już dobrze - szepnęła. - Daję słowo. - Musnęła ustami jego podbródek pokryty ciemną szczeciną. - W końcu wracam do życia, Luke. Nie zmarnuję go tak głupio. A teraz mnie puść. Muszę się zobaczyć z Monicą, zanim padnę z nóg ze zmęczenia.

Zwolnił uścisk i pocałował ją delikatniej.

- Cieszę się - powiedział szeptem.

- Z czego? Z tego, że jestem wykończona?

- Nie. Z tego, że wracasz do życia. I chcę być częścią tego życia. Spojrzała zdumiona i odparła żartobliwym tonem.

- Działasz na podstawie domysłów, a nie niezbitych dowodów, agencie Papadopoulos.

Położył dłoń między jej piersiami.

- Serce bije ci jak szalone. Więc albo masz stan przedzawałowy, wobec czego dobrze, że jesteśmy akurat w szpitalu, albo jesteś mną zainteresowana. - Wygiął brwi w łuk. - Bo wydają ci się pociągający.

Uśmiechnęła się krzywo.

- I piekielnie seksowny. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Wiedziałem, że w końcu sama to powiesz. To część mojego perfidnego planu uwiedzenia ciebie. - Jego uśmiech stał się nieco mniej promienny. - I jak ten plan działa?

Krew nadal tętniła gwałtownie w jej żyłach.

- Znakomicie - odparła szeptem. Pocałował ją w czoło.

- To dobrze. Chodźmy zobaczyć się z Monicą.

Matka Moniki, która siedziała akurat przy córce, wyszła im naprzeciw.

- Nie wiem, jak wam dziękować. Susannah pogładziła kobietę po ramieniu.

- Wcale nie trzeba.

- Ona nie wie o swoim ojcu. Proszę jej o tym nie mówić. Jeszcze nie teraz.

- Rozumiemy. Jakieś nowe wieści? - spytał cicho Luke, chociaż wiedział, że takich wieści brak. Był w kontakcie z Harrym Grimesem, działającym w Karolinie Północnej od czasu, gdy odnaleziono Genie Cassidy. Doktor Cassidy przepadł bez śladu, a to nie wróżyło niczego dobrego.

- Na razie żadnych - odparła pani Cassidy. - To jakiś koszmar.

- Wiemy - rzekła Susannah. - Jak tam Genie?

- Śpi w pokoju Moniki. Nie zamierzam spuszczać z nich oczu.

- To zrozumiałe - stwierdził Luke. - Widzę, że lekarze odstawili już respirator. Monica wygląda o wiele lepiej.

- I lepiej się czuje. Kiedy lekarze się dowiedzieli, że faszerowano ją narkotykami, przeprowadzili kilka testów i doszli do wniosku, że może oddychać samodzielnie. Chciała się z wami zobaczyć.

Monica wskazała swoją siostrę drzemiącą na krześle.

- Dziękuję - wyszeptała.

- Dopiero co odłączono cię od respiratora - powiedziała Susannah z uśmiechem. - Nie powinnaś jeszcze rozmawiać.

- Muszę - zachrypiała Monica. - Muszę słyszeć własny głos. Bałam się, że już nigdy go nie usłyszę.

- Chyba to rozumiem. - Susannah pogłaskała dziewczynę po policzku. - Jak się czujesz?

- Lepiej. Ale wciąż jestem strasznie obolała. - Monica zaczerpnęła powietrza i milczała chwilę. - Muszę wam coś powiedzieć. Pytaliście o Angel. I o Becky. To kuzynki. Przywieźli obie w tym samym czasie.

Luke pochylił się nad łóżkiem.

- Jesteś tego pewna?

- Tak. Kumplowałam się z Becky. Tamten doktor ją zabił. Ciągle próbowała uciekać. Porozumiewaliśmy się szeptem... przez dziurę nad podłogą. Wydrążyliśmy taki mały otwór.

Jak Beardsley i Bailey.

- Kiedy ją zabił?

- Dzień przed tym, jak przywieźli tego duchownego. Doktor ją pobił. Dla przykładu.

- Dlaczego? - zapytał Luke.

- Nie mógł jej złamać. - Oczy Moniki zaszły łzami, które spłynęły po policzkach. - Zabierał ją do tego biura i kazał klęczeć całymi godzinami.

Zawiazywał jej oczy, żeby nic nie widziała. Przystawiał jej pistolet do głowy i mówił, że strzeli. No i potem ją skrzywdził. - Spojrzała na Susannah. - Tak jak Simon panią. Rozumiecie?

Susannah drżącą dłonią otarła łzy z policzków Moniki.

- Tak.

- To wszystko już się skończyło - powiedziała pani Cassidy. - Teraz jesteś bezpieczna.

Monica pokręciła głową.

- To się nigdy nie skończy. Ciągłe o tym myślę. - Odwróciła głowę. - Po jej śmierci zrobili to samo ze mną.

- Tak mi przykro, Monico - odezwał się cicho Luke. Nadal patrzyła w bok.

- Przecież to nie wasza wina. - Wzięła się w garść i zwróciła ponownie w stronę Luke'a. - Pewnego razu ten doktor wezwał kogoś, żeby pomógł mu mnie złamać. Był taki wściekły, że go nie słucham.

- Czy tym kimś była Bobby? - spytał Luke.

- Nie, mężczyzna, tego jestem pewna. Ten lekarz mówił do niego „proszę pana”. Skarżył się, że ma nieposłusznych więźniów. - Monica wydawała się zmieszana. - A potem zapytał go, co VC robił w takiej sytuacji. Nie rozumiałam tego.

Luke zrozumiał. VC. Vietcong. Znowu coś wspólnego z wietnamskim słowem *thich*, oznaczającym mistrza.

- Więc Granville i ten jego *thich* wciąż trzymali się razem - stwierdził cicho. - Monico, co powiedział tamten człowiek?

- Wpadł w szal. Uderzył doktora w twarz. Zabronił mu więcej o tym wspominać. Potem powiedział, że aby mnie złamać, trzeba ze mnie zrobić zwierzę. Sprawić, żebym zapomniała, że jestem człowiekiem. Ale to im się nie udało - dodała z dumą.

- Jesteś silna - rzekł Luke, patrząc jej prosto w oczy. -I taka pozostań. Kiwnęła głową wyczerpana.

- Mówiliście, że wiecie o Angel i że ci, co ją skrzywdzili, nie ponieśli jeszcze kary. Więc Monica słyszała wczoraj.

- Zgadza się. Czy Becky mówiła ci, jak znalazły się w bunkrze?

- Przez jej ojczyma. Sprzedał je Mansfieldowi. Były już za duże na zdjęcia do stron internetowych. Dorwali nowe, młodsze dziewczyny. Siostry Becky. To dlatego ona ciągle uciekała. Chciała je wyrwać z ich łap.

- Znasz nazwiska Becky i jej ojczyma?

- Snyder. Oboje się tak nazywali. Mieszkali w Atlancie. - Zmrużyła oczy. - Czternaście dwadzieścia pięć, Candra.

Luke wstrzymał oddech.

- Od jak dawna tam mieszkali?

- Może od pół roku. Nie wiem dokładnie.

- Skąd ojczym Becky wiedział, że Mansfield je kupi? - spytała Susannah.

- Przydrożne prostytutki... - Oddech Moniki zrobił się świszczący. Zaniepokojona Ella interweniowała:

- Musicie już wyjść. Pacjentka nie powinna z nikim rozmawiać.

- Zaczekajcie - wydusiła Monica. - Ojczym Becky poznał Mansfielda na jakimś postoju dla ciężarówek. Sprzedał mu ją i Angel, i jeszcze jedną dziewczynę. Chyba ta trzecia była ich sąsiadką. Nie jestem pewna.

- Dostyc - rzekła Ella stanowczo. - Dajcie jej odpocząć. Możecie wrócić później.

- Spisałaś się na medal, Monico - powiedział Luke. - Wypoczywaj. Ja sprawdzę ten adres w Atlancie. Może znajdę tam ojczyma Becky. Wreszcie mam kogoś, kogo mogę posłać do piekła.

Monica chwyciła go za rękę.

- Proszę, uratujcie siostry Becky. Ona za nie zginęła.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Atlanta, niedziela, 4 lutego, godzina 12.15

Luke zaparkował przed strzelnicą, ale nie wysiadł, tylko siedział nieruchomo w samochodzie, patrząc gniewnie przed siebie. Od czasu, gdy wyszli z pustymi rękami z obskurnego mieszkania przy Candra 1425, Susannah wyczuwała w nim narastającą wściekłość. Ojczym Becky i jej siostrzyczki już tam nie mieszkali. Nikt nie wiedział, dokąd się wyprowadzili. W każdym razie tak twierdzili sąsiedzi.

- Dlaczego tu przyjechaliśmy? - zapytała w końcu Susannah.

- Ta strzelnica należy do mojego brata, Leo. Tutaj czasami przychodzi.

- Kiedy złość tak cię rozsądza, że nie możesz robić nic innego? Spojrzał na nią oczami ciemniejszymi niż noc.

- Gdy tylko cię zobaczyłem, wiedziałem, że mnie zrozumiesz.

- Taka sama złość kipi we mnie.

- To też wiedziałem.

- Luke, to nie twoja wina. - Położyła mu dłoń na ramieniu, ale ją odsunął.

- Nie teraz - ostrzegł. - Wyrzuciłbym ci krzywdę.

- Nie, ty nie jesteś takim mężczyzną. - Milczał, a ona westchnęła. -Więc idź i postrzelaj do czegoś albo zawieź mnie gdzieś, gdzie będę mogła się przespać.

Odwrócił wzrok.

- Nie mogę cię zabrać do mojego mieszkania. Jeszcze nie.

- Dlaczego? - zapytała.

- Bo cię pragnę - odparł ochryplym głosem. Dreszcz przebiegł wzdłuż jej kręgosłupa.

- Mogę ci odmówić.

Znowu na nią spojrzął; poczuła ucisk w piersi i dławienie w płucach.

- Ale tego nie zrobisz - rzekł - bo pragniesz mnie właśnie takiego. Groźnego ryzykanta, który ledwie się kontroluje. To daje ci władzę nad sytuacją. Tak samo jak wtedy, gdy wynajmowałaś pokój w obskurnym hotelu, żeby uprawiać seks z nieznanym facetem.

Pomyślała o Luke'u i o sobie. A potem opanowała złość.

- I co z tego?

- To, że ja cię nie osądzam, bo rozumiem potrzebę panowania nad sytuacją. Po prostu nie chcę być z tobą w takich okolicznościach. Jeśli zdecydujesz się na seks ze mną, chciałbym, żebyś zrobiła to dlatego, że pragniesz mnie, a nie kogoś takiego, kim jestem w tej chwili.

- Jin i jang - rzekła cicho. - Mrok i jasność. Oboje mamy w sobie jedno i drugie. A jeśli będę się z tobą kochać, to dlatego, że cię pragnę. Ciebie całego. Nie tylko tego, co w tobie łagodne i miłe. - Wsiadła z samochodu.

- Chodź, postrzelamy trochę.

Przy drzwiach budynku natknęła się na młodszą kopię Luke'a.

- Ty pewnie jesteś Leo. A ja mam na imię Susannah.

- Wiem. Wejź. - Leo popatrzył na Luke'a, który wciąż siedział w wozie. - Znowu wpadł w zły humor?

- Ma za sobą kilka ciężkich dni. - Susannah spojrzała na szafę z bronią.

- Mogę spróbować?

- Strzelałaś już kiedyś?

- Tak. Chciałabym ten. - Wskazała półautomatyczny pistolet kaliber 9 milimetrów, który, jak wiedziała z doświadczenia, dobrze leżał w jej małej dłoni.

- Trafny wybór - ocenił Leo.

Po jej pierwszej serii był pod wrażeniem. Spojrzała na papierowy kontur przedstawiający sylwetkę człowieka, którego głowa wisiała teraz w strzepach.

- Mogę powtórzyć?

- Jasne. - Patrzył, jak Susannah przeładowuje broń. - Gdzie się nauczyłaś strzelać?

- Pewien policjant był mi winien przysługę i udzielił mi paru lekcji. Uważam, że strzelanie bardzo odpręża.

- Ja też - odparł Leo. - Nosisz broń?

- W Nowym Jorku tak. Rok temu miałam pewne nieprzyjemne zdarzenie, po którym wystarałam się o pozwolenie. Ale tutaj nie przywiozłam broni. I żałuję.

- Rozumiem. Co z Lukiem?

- Dostał cynk o dzieciakach, których zdjęcia wystawiono w internecie. Pojechaliśmy pod wskazany adres, ale nikogo już tam nie było.

- Takie historie ostatnio często mu się przytrafiają - stwierdził Leo ze smutkiem. Susannah skinęła potakująco.

- Za ostro pracuje - odparła. - Prędzej czy później pęknie.

- To się zdarza. Luke zaharowuje się, pęka, wyżywa się, a potem wraca do domu i znowu zbiera się do kupy. - Leo uśmiechnął się. - Taka to już rodzina.

Poczuła ukłucie tęsknoty.

- Macie szczęście.

- Wiem o tym - rzekł Leo i wskazał na cel. - Spróbuj jeszcze raz. Na koszt firmy.

Pierwsza seria miała charakter beznamiętnej rozgrzewki. Tym razem jednak Susannah myślała o konferencji prasowej, która czekała ją za kilka godzin. Poczuła się, jakby strzelała do żywego celu.

- Dobre oko - stwierdził Leo, kiedy skończyła. Odstrzeliła sylwetce na tarczy całą okolicę krocza.

- Wyobrażałam sobie, że to Garth Davis. W końcu dołączył do nich Luke.

- Naprawdę nieźle się przymierzyłaś - rzekł cierpko. Leo rzucił bratu klucze.

- Zamknij szafę, kiedy skończycie. Obiecałem mamie, że zajmę się jej pralką przed obiadem. Susannah, oczywiście ciebie również zapraszamy.

- Nie dziś - odparł Luke. - Ona musi się wyspać.

Susannah dostrzegała ból i zmęczenie w jego oczach. Naprawdę musiał się pozbierać.

- Przed ważnymi procesami sypiam jeszcze mniej. Powiedz mamie, że przyjdę - rzuciła do Leo. - Dzięki za zaproszenie.

Leo wyszedł, machając ręką na pożegnanie, a Luke oparł się o ścianę, z dala od Susannah.

- Gdy siedziałem w wozie, zadzwonił Chale, Pete odnalazł synów Bob-by u rodziny Roba Davisa. Kate podrzuciła ich tam kilka dni temu i kazała Robowi milczeć. Dzieciakom nie stało się nic złego.

Odetchnęła z ulgą.

- To dobra wiadomość. Potrzeba nam więcej takich.

- Chodźmy. Zawiozę cię do siebie, żebyś mogła się przespać.

- Przecież mamy jechać do twojej mamy - powiedziała i zapytała ostrożnie: - Czy jesteś już mniej groźny?

Spuścił wzrok wyraźnie zmieszany.

- Tak.

- Och, daj spokój, Luke. Masz gwałtowniejszy temperament niż większość ludzi. Ale przecież panujesz nad sobą.

Oczy mu rozbłysły.

- A jeśli kiedyś mi się nie uda? Jeżeli któregoś dnia miarka się przebierze i zrobię komuś krzywdę? - Zamilkł na chwilę. - Jeśli skrzywdzę ciebie? - dokończył cicho.

- Czy troszczyłeś się tak o wszystkie kobiety, z którymi byłeś?

- Nie. Zresztą z żadną nie byłem długo. To były tylko przelotne znajomości.

- Więc tak naprawdę nie miałeś nikogo, poza kobietami, które brałeś do łóżka na jedną noc, żeby nie budzić się samotnie o trzeciej nad ranem?

Wzruszył ramionami, zniesmaczony samym sobą.

- Mniej więcej.

Dotknęła jego policzka, aż spojrzał jej w oczy.

- Próbujesz mnie zniechęcić, Luke?

- Może? Nie. Do diabła. - Westchnął. - Nie ty jedna czujesz się niepewnie.

Zaczynała to rozumieć.

- Więc co zrobimy? - spytała szeptem. Przyciągnął ją do siebie delikatnie.

- Teraz? Pojedziemy do mamy. Zdaje się, że przygotowała pieczeń jagnięcą.

Dutton, niedziela, 4 lutego, godzina 12.30

- Cholera, to boli - Paul zgrzytnął zębami.

- Nie bądź dzieckiem - powiedział Charles. - Ledwie cię tknąłem.

- Do diabła, jestem gliną od dwudziestu lat i nigdy dotąd nie byłem nawet draśnięty.

- To tylko powierzchowna rana - stwierdził Charles. - Widywałem o wiele gorsze.

Na sobie, pomyślał. Musiał nauczyć się opatrywać własne rany.

- Wiem - mruknął Paul. - Masz blizny, które o tym świadczą. Charles uniósł brwi.

- Słucham?

Paul spuścił wzrok.

- Nic takiego. Przepraszam.

- Tak też sądziłem - powiedział Charles ukontentowany. - Pozszywam cię. Nic ci nie będzie.

- Nie doszłoby do tego, gdybyś trzymał krótko swojego psa - rzucił półgłosem Paul i skrzywił się ponownie, kiedy Charles ukłuł go igłą. - Przepraszam.

Charles znowu wbił igłę.

- Z całym szacunkiem - dodał Paul potulnie.

- Już dobrze. Nie musisz być zazdrosny, Paul. Bobby to mój atut. Ale ty jesteś kimś więcej. - Rozległ się dzwonek do drzwi i Charles zmarszczył czoło. - Następny dziennikarz... Schowaj się gdzieś.

Był to nie dziennikarz, lecz dziennikarka, przedstawicielka miejscowej prasy.

- Marianne Woolf? Czym mogę pani służyć, moja droga? Spojrzała na niego, a Charles zamrugał, kiedy się zorientował, kto to taki.

- Proszę wejść - powiedział sztywno. Zamknął za sobą drzwi, a potem chwycił Bobby za podbródek. - Co ty wyprawiasz, do cholery?

- Chciałam się przekonać, czy kogoś nabiorę w tym przebraniu. Nabrałam ciebie, więc bez trudu dostanę się do hotelu na konferencję prasową Gretchen French.

Charles cofnął się o krok i obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

- Skąd masz tę perukę?

- Zwędziłam Marianne. Jej włosy nie są prawdziwe, ale o tym nie wie nikt z wyjątkiem mnie i Angie Delacroix.

- A te jej wizyty u fryzjera? - zainteresował się Charles. - Przecież odwiedza salon co czwartek.

- Przejaw próżności. Marianne jest prawie łysa. Ale cycki ma prawdziwe. - Bobby poklepała własne piersi. - To są silikonowe wkładki. Faceci tak się będą na nie gapić, że nawet nie spojrzą na moją twarz.

- Gdzie jest Marianne?

- Ogłuszyłam ją i wpakowałam do bagażnika jej wozu. Potrzebna mi była jej legitymacja dziennikarska.

- Kto ci zrobił ten makijaż?

- Sama go zrobiłam. To jedna z umiejętności, które nabyłam jako droga dziwka. Od wczorajszego wieczoru nic nie jadłam i wprost umieram z głodu...

- Stała jak wryta w drzwiach kuchni, gapiąc się to na Paula, to na Charlesa.

- Co to znaczy, do cholery? Nic nie rozumiem.

- Nie przypuszczałaś, że się znamy? - spytał Paul z irytacją w głosie.

- A może nie rozumiesz, dlaczego zostałem ranny, wykonując robotę za ciebie?

Bobby szybko odzyskała rezon.

- Czy Kira Laneer nie żyje?

- Oczywiście. Odstrzeliłem jej głowę.

- W takim razie za pieniądze, jakie za to dostaniesz, będziesz mógł sobie kupić dużo bandaży. - Zwróciła się do Charlesa. - Co on tu robi?

- To mój człowiek. Pokręciła głową.

- Nie. Paul pracuje dla mnie.

- Ty mu płacisz - uściślił Charles - ale zawsze był na moich usługach. Nigdy nim nie kierowałaś.

W oczach Bobby błysnął gniew.

- Ja go znalazłam. I ja go ukształtowałam.

- Znalazłaś go, bo kazałem mu ci się podstawić. Nigdy do ciebie nie należał. Tak jak nie należała Rocky i wszyscy inni. Z wyjątkiem Tannera, ale jego zabiłaś.

Bobby cofnęła się o krok, z trudem panując nad wzburzeniem.

- Przyszłam się pożegnać. A teraz powiem to, co zawsze chciałam powiedzieć. Nie-nawidzę cię, staruchu. Chrzanię twoje kierownictwo. Chrzanię twoje gierki. I chrzanię ciebie.

Paul zerwał się na równe nogi, ale Charles powstrzymał go gestem.

- Zostaw ją. Ona zawiodła na wszystkich frontach. Straciła nawet prawo do dziedziczenia po swoich przodkach, bo teraz wszyscy wiedzą, kim jest. - Zwrócił się do Bobby: - Już nigdy nie przejmiesz ani domu na wzgórzu, ani rodzowego nazwiska. To wszystko przypadnie w udziale Susannah. - Popatrzył jej w oczy. - Zostałaś z niczym. Straciłaś nawet godność.

- Mam mnóstwo godności, staruchu. A ty udław się swoją. Zatrzasnęła za sobą drzwi z taką siłą, że aż zadrżały szyby w oknach.

- Nieźle poszło - powiedział Paul.

- Rzeczywiście, nieźle. Teraz ona wciśnie się na tę konferencję prasową.

- Będzie tam obstawa. Jeśli zjawi się z bronią, złapią ją.

- To gra o bardzo wysoką stawkę, mój chłopcze. Bobby da sobie radę.

- Ona jest niezrównoważona. Naprawdę chcesz, żeby weszła z bronią w rękę do pomieszczenia pełnego ludzi?

Charles uśmiechnął się szeroko.

- Owszem.

- Nie wyjdzie stamtąd żywa. Uśmiech Charlesa stał się jeszcze szerszy.

- Wiem.

20

Atlanta, niedziela, 4 lutego, godzina 13.30

Kontrolowany chaos, pomyślała Susannah. Wszędzie pełno ludzi.

Kobiety zebrały się w kuchni, a mężczyźni w saloniku. Początkowo wszyscy okazali uprzejmą ciekawość, kiedy Luke ją przedstawił. Ściszyli nawet telewizor, żeby się jej lepiej przyjrzeć.

Ale mama Luke'a zaraz otoczyła Susannah ramieniem i zaprowadziła ją do kuchni, do „reszty dziewczyn”. Telewizor w pokoju znowu zaczął huczeć, a wszyscy mówili głośniej, żeby go przekrzyczeć.

- Tatuś słyszy coraz gorzej - wyjaśniła siostra Luke'a, Demi, szatku-jąc warzywa. Jako najstarsza z sióstr grała w kuchni drugie skrzypce. Prym wiodła naturalnie pani Papadopoulos, czyli mama Papa.

Mama wzruszyła ramionami.

- Tatko tak nie uważa, więc nie jest tak źle. Susannah musiała się uśmiechnąć.

- Urok wypierania. Jesteście pewne, że mam wam nie pomagać?

- Mamy swój system pracy - powiedziała Demi. Jej dwie młodsze siostry krzątały się po kuchni, a Darling plątała się im pod nogami.

- Pewnie Luke się cieszy, że suka drepcze za kimś innym - stwierdziła Susannah.

- On tylko udaje gbura - powiedziała Mitra, odwracając się od kuchenki. - Luke ma miękkie serce.

- Wiem - odrzekła Susannah, a Demi spojrzała na nią i zamyśliła się, mrużąc oczy.

- Wiesz? - spytała i lekko pacnęła dwunastoletniego może chłopca. - Nie dotykaj moich czystych warzyw brudnymi łapami. Idź umyć ręce. No, już. - Popatrzyła na Susannah, znowu nad czymś się zastanawiając. - Lubisz dzieci?

- Sama nie wiem. Nie miałam z nimi wiele do czynienia. Mitra roześmiała się.

- Ona chce cię zapytać, czy planujesz mieć własne. Wszystkie kobiety w kuchni spojrzały na Susannah.

- Właściwie jeszcze o tym nie myślałam.

- Lata lecą - powiedziała Demi, a Susannah zaśmiała się trochę speszona.

- Wielkie dzięki.

Demi tylko się uśmiechnęła.

- Żyję z udzielania porad.

Mama podniosła wzrok znad jagnięciny.

- Daj jej spokój, Demitro. Ona jest jeszcze młoda. Susannah popatrzyła na siostry.

- Masz na imię Demitra? - skierowała to pytanie do Demi.

- Tak. I ona też. - Demi wskazała Mitrę. - W greckich rodzinach najstarsze dziecko nosi imię dziadka ze strony ojca albo matki ojca. Matka taty nazywała się Demitra. A drugie dziecko dostaje imię po rodzicu matki i tak dalej.

- Matka mamy też miała na imię Demitra - wyjaśniła Mitra.

- A więc w jednej rodzinie może być dwoje dzieci o tym samym imieniu?

Mitra skinęła głową.

- To się zdarza bardzo często. Znam pewną rodzinę, w której trzech synów ma na imię Peter. Właściwie ich greckie imię brzmi inaczej, ale to odpowiednik Petera.

- A jak się nazywają twoi rodzice, Susannah? - spytała Demi.

- Demi - syknęła Mitra z cierpiętniczą miną.

- O co chodzi? - zdziwiła się Demi, a potem oblała się rumieńcem. - Przepraszam, zapomniałam. Twoi rodzice byli... Nie miałas z nimi zbyt dobrych układów.

Demi wydała się Susannah mistrzynią eufemizmów, ale ponieważ sprawiała wrażenie szczerze zmieszanej, odparła jej z uśmiechem:

- Nic nie szkodzi. Wątpię, czy nadałabym własnym dzieciom imiona po moich rodzicach.

- Więc jednak chcesz mieć dzieci. - Usatysfakcjonowana Demi wróciła do krojenia jarzyn.

Susannah już chciała zaproponować, ale widząc uśmieszek na twarzy Mitry, zamknęła usta.

- Jak pasowały ubrania, które wybrałam dla ciebie? - zapytała Mitra, zręcznie zmieniając temat rozmowy. - Swoją drogą, Stacie była zachwycona, że oddałaś jej tamten strój.

- Nie dziwię się. Ubrania od ciebie leżą jak ulał. Ale szybko je zużywam. Mitra spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami.

- Jak to? Kupiłam ci pięć kompletów odzieży. Susannah skrzywiła się.

- Ciągłe brudzą się krwią.

- Ach, rozumiem. - Mitra znów skinęła głową. - Cóż, Johnny może je wyczyścić.

- Johnny potrafi wyczyścić wszystko - powiedziała Demi. - Wszy-ściut-ko.

Rozmowa zesłała na rodzaje plam, które usunął kuzyn Johnny, a potem na innych krewnych i tak licznych członków rodziny, że Susannah dała sobie spokój z ich zapamiętywaniem. Po prostu cieszyła się pobytem w ciepłej kuchni zamiast w restauracji, i czynnym udziałem w pogaduszkach zamiast przysłuchiwania się rozmowom przy sąsiednich stolikach.

Sam posiłek miał podobny przebieg. Usadowiona między Lukiem a Leo, Susannah przypatrywała się, z jaką czułością ich ojciec traktował mamę. No i było tyle śmiechu, że Susannah chciała, by obiad się nigdy nie kończył.

- Co oznacza Lukamou? - spytała szeptem Leo. Mama nazwała tak Luke'a kilkakrotnie, sprawiając mu tym wyraźną przyjemność. Susannah uzmysłowiła sobie, że Luke odzyskuje siły dosłownie z minuty na minutę.

- To takie zdrobnienie - odparł Leo cicho. - Tak jakby ciebie ktoś nazywał Suzy Q.

- Nikt tego nie robi - stwierdziła ponuro, a Leo zachichotał.

- Swoją drogą, jego prawdziwe imię brzmi Loukaniko. Luke to tylko przydomek.

- Loukaniko - powtórzyła półgłosem. - Postaram się zapamiętać. Niebawem obiad dobiegł końca. I pomyśleć, że takie cudowne spotkanie

rodzinne odbywało się w każde niedzielne popołudnie. Nic dziwnego, że Danielowi tak się tutaj podoba.

- Odwiedź nas znowu za tydzień - powiedziała Demi - nawet jeśli Luke będzie zajęty w pracy.

- Dziękuję. Z przyjemnością.

Cała rodzina, niczym hałaśliwe stadko, skierowała się w stronę drzwi. Leo już czekał z płaszczem i torebką Susannah. Pomógł jej się ubrać i podał jej torebkę. Popatrzyła mu w oczy. Torebka ważyła jakieś półtora kilograma więcej niż wcześniej, a Susannah od razu zrozumiała, z jakiego powodu.

- Leo...

Mocno ją uściskał.

- Poczujesz się bezpieczniej - powiedział szeptem i odsunął się. Oczy miał równie czarne jak Luke i równie gorejące. - Zapraszamy ponownie.

Poczuła ucisk w gardle.

- Przyjdę na pewno. Dziękuję. Mama też wzięła ją w objęcia.

- Sprawa, o której rozmawialiśmy w piątek wieczorem - powiedziała. - Życiowe rozdroże. Czy już wiesz, którą drogę wybrać?

Susannah pomyślała o konferencji prasowej, która miała się odbyć za kilka godzin.

- Wiedziałam to już wtedy - odparła. - Tylko nie byłam tym zachwycona.

- W takim razie wybór musiał być właściwy - stwierdziła matka Luke' a. - Tak jak mówił Leo, odwiedź nas znowu. Luka, tylko nie zostawiaj tego psa w moim domu.

Luke westchnął jak cierpiętnik.

- Dobrze. Chodź, piesku.

- Mów do niej Darling - upomniała go Susannah. Przy rodzinie nie zwracał się tak do niej.

Leo parsknął śmiechem.

- Darling. Też coś.

Luke zmierzył go surowym spojrzeniem.

- Wystarczy, że muszę zabrać tego przekłętego psa - mruknął. Kiedy wsadził sukę na tylne siedzenie w swoim wozie, pogłaskał japo łbie. - Dobra dziewczynka - powiedział. - Grzeczna Darling.

Susannah mało serce nie pękło. Pragnę go. Pragnę tego. Oni są tacy szczęśliwi. Ja też chcę zaznać szczęścia.

Luke wsiadł do samochodu i popatrzył na dom rodziców.

- Chase kazał mi jechać do domu i odzyskać siły - powiedział. - Właśnie to zrobiłem. Dziękuję, że zrezygnowałaś z drzemki. To spotkanie było mi potrzebne.

Ujęła jego dłoń, a ich palce splotły się ze sobą.

- Mnie też.

Podniósł jej rękę do ust.

- Zawieźmy Darling do domu. Mam naradę przed twoim spotkaniem z dziennikarzami. Czujesz się na siłach?

- Tak. Jestem gotowa. - Nie były to puste słowa. - Jedźmy.

Dutton, niedziela, 4 lutego, godzina 15.15

Chase siedział na ławce na podwórzu, wpatrzony ponuro w parę kaczek skubiących coś chciwie na ziemi. W jednej dłoni trzymał torebkę z prażoną kukurydzą, a w drugiej zapalonego papierosa.

- Przecież ty nie palisz - zauważył Luke, podchodząc do niego. Chase spojrzął na papierosa.

- Ale kiedyś paliłem. Przez dwanaście lat. Rzuciłem cztery miesiące temu.

- Co się stało? - spytał Luke, szykując się na nową falę złych wieści. Chase popatrzył na niego bez cienia uśmiechu.

- Bobby właśnie ustrzeliła diabelski tuzin.

Czyli trzynastkę. Trzynasta ofiara. Serce Luke'a zamarło.

- Ojciec Moniki?

- Nie, on nadal jest poszukiwany, tak jak sędzia Borenson.
- Dzieciaki Davisa zostały odnalezione, więc kto?
- Jersey Jameson. To on przetransportował dziewczyny z bunkra do Ridgefield House. Próbował posprzątać łódź, ale znaleźliśmy tam włos Ashley Csorki i ślady wymiocin.

- Mówiła, że zemdlilo ją na łodzi - powiedział Luke. - A kto jest trzynastą ofiarą?

- Kira Laneer.

Luke usiadł ciężko na ławce.

- Kochanka Gartha Davisa. Nie żyje?

- Teoretycznie. W rzeczywistości żyje.

- Co ty wygadujesz? Chase westchnął.

- Jestem zmęczony. A teraz wiem już na pewno, że mamy w zespole wtyczkę. Celowo wspomniałem o Kirze na porannej naradzie. Faktycznie nie dała nam cynku.

Luke ściągnął brwi.

- Podejrzewałeś kogoś z nas?

- Żywiłem pewne podejrzenia. Kazałem przewieźć tę Laneer do policyjnej kryjówki i dobrze zrobiłem. Kilka godzin temu ktoś strzelał przez okno jej domu. Trafił w manekina, którego posadziliśmy na kanapie. Moi agenci dopadli napastnika, ale otworzył ogień.

Luke przymknął oczy.

- No i?

- Jeden jest ranny, ale przeżyje. Drugi jest w stanie krytycznym. Napastnik uciekł. Sądzymy, że oberwał w rękę.

- Boże, Chase.

- Właśnie. Wcześniej starannie podlaliśmy grządkę kwiatów pod oknem. Mamy wyraźny odcisk buta. Męskiego, rozmiar czternaście.

Luke pokręcił głową.

- Bobby na pewno nie ma tak dużej stopy. Nawet ja nie noszę czternastki.

- Ona nosi damską dziesiątkę. Nie zdołałaby tak szybko uciekać w za dużych butach, poza tym odcisk na podłożu jest równy. Ten but musiał pasować do stopy. Mamy zdjęcie napastnika, ale był zamaskowany.

- Czyli za każdym razem, kiedy wspominamy o kimś na naradzie, ten ktoś obrywa.

- Tak to mniej więcej wygląda.

- Nie wyobrażam sobie, żeby to mógł być ktoś z nas. Nawet Germanio.

- Hanka nie było z nami, kiedy rozmawialiśmy o Jennifer Ohman. Zawiadomiłem przełożonych i ściągnęliśmy OPS.

Luke skrzywił się. Udział wewnętrznego wydziału śledczego był w tej sprawie złem koniecznym, ale każdy glina, dobry czy zły, instynktownie nie znosił ludzi z OPS.

- Co zamierzają?

- Dokładnie prześwietlić każdego z nas. Dochodzenie trwa dalej, ale wszystkie nasze rozmowy przez komórki i telefony stacjonarne będą rejestrowane.

- Po co mi to mówisz? Czy to znaczy, że mnie nie podejrzewasz? - Luke starał się powściągnąć irytację, ale serdecznie nie cierpiał tych z OPS.

- Nie podejrzewam nikogo - odparł Chase. Zaciągnął się papierosem i zakaszłał. - Cholera, dziś nawet palenie mi nie idzie.

- Od jak dawna nie spałeś, Chase?

- Od bardzo dawna, ale w takiej sytuacji... Nie zasnąłbym ze świadomością, że mamy zdrajcę w naszych szeregach.

- Czego ode mnie oczekujesz? - spytał Luke.

- Chcę, żebyś miał oczy szeroko otwarte. To jeden z powodów, dla których odesłałem cię do domu. Skoro Bobby zabiła tę pielęgniarkę, to równie dobrze mogła zabić Susannah. Właściwie zastanawiam się, dlaczego tego nie zrobiła.

- Czy tylko ja o tym wiem?

- Tak. A jeśli zginę w tajemniczych okolicznościach, OPS dobierze ci się do tyłka.

- Dzięki - rzucił Luke. - Zrobię, co w mojej mocy, żeby nic ci się nie stało.

Chase rzucił kaczkom garść popcornu.

- Napchajcie się tym - powiedział.

- Będzie dobrze - rzekł Luke. - Rozwiążemy tę sprawę.

- Tak, tylko ilu agentów mi zostanie, kiedy do tego dojdzie?

Dutton, niedziela, 4 lutego, godzina 15.55

Bobby starannie wybrała miejsce. W sali nie było krzeseł dla dziennikarzy, ustawiono je tylko przy stole na podwyższeniu. Siedziało przy nim pięć kobiet zgwałconych kiedyś przez Gartha oraz słodka Susannah, która zajmowała miejsce na lewym skraju, koło okapu. Los się do Bobby uśmiechnął.

Ale sześciu kobietom za stołem nie było do śmiechu. Wszystkie były poważne, a niektóre wyraźnie podenerwowane. Gretchen French miała rękę na temblaku. Ten widok sprawiał Bobby satysfakcję, natomiast fakt, że Susannah wyglądała ha spokojną, doprowadzał ją do wściekłości. Susannah musiała bardzo umiejętnie nałożyć makijaż, bo nie widać było cieni pod jej oczami, a przecież Bobby wiedziała, że nie spała dobrze od wielu dni.

Zresztą to i tak bez znaczenia. Już niebawem Susannah zginie. Kula z pistoletu kaliber 9 milimetrów, ukrytego w kieszeni Bobby, trafi ją prosto w serce.

Parę minut wcześniej Bobby z uśmiechem na ustach przeszła przez bramkę z wykrywaczem metalu; plakietkę z legitymacją prasową miała zawieszoną na szyi. Nawet najbardziej uważny obserwator musiał uznać ją za Marianne Woolf - za sprawą odpowiedniego makijażu, wypchanego biustonosza i należącej do Marianne peruki. Mimo to Bobby poczuła ucisk w żołądku na myśl o Charlesie. Przeklęty staruch. Mam gdzieś, co on sobie myśli.

Przez ponad pół życia obchodziło ją to jednak, a takie nawyki trudno wykorzenić. Wciąż chciała coś sobie udowodnić. To, że ma swoją dumę. Że potrafi czegoś dokonać. Wkrótce Charles przekona się o tym, tak jak wszyscy inni - najpierw oglądający telewizję na żywo, a później niezliczone rzesze, zaintrygowane sensacyjnymi wiadomościami sieci CNN.

Bobby oparła się pokusie dotknięcia broni w swojej kieszeni. Pistolet był prawdziwy. I naładowany. Sprawdziła to w damskiej toalecie kilka minut po tym, jak podano go jej; był owinięty w żakiet i wciśnięty do plecaka. Miała bowiem wtyczkę w GBI.

Tę osobę podsunął jej Paul. Ale samego Paula wyszukał Charles, co napawało ją niesmakiem. Zastanawiając się nad przeszłością, zdała sobie sprawę, że była zabawką w cudzych rękach. To, że poznała Paula dokładnie wtedy, gdy był jej potrzebny glina z Atlanty, wydawało się szczęśliwym zrzędzeniem losu. Teraz wiedziała, że sama jest jak jeden z szachowych pionków, które Charles nosił w swoim pudełku z kości słoniowej.

Na razie jednak musiała się skoncentrować. Przez następną godzinę miała odgrywać rolę Marianne Woolf, znakomitej dziennikarki. Prawdziwej Marianne własna tożsamość nie była potrzebna do chwili, aż odzyska przytomność. Przecież nie zginęła; Bobby ogłuszyła ją tylko. Nie było potrzeby zabijać Marianne, a Bobby nie zabijała bez potrzeby, wbrew temu, co Paul myślał na ten temat. Paul, ten sukinsyn.

Nie myśl o nim, bo tylko się zdenerwujesz. Pomyśl lepiej o... Szukała w myślach stosownego obiektu. O Marianne. Bobby zawsze lubiła Marianne. Była jedyną nadętą damulką z prywatnej szkoły, która zniżała się do tego, by rozmawiać z Bobby. Koleżanki dokuczały Marianne, że jest dziewczyną, która „daje wszystkim”, więc bardzo potrzebowała jakiejś przyjaciółki.

Ich przyjaźń trwała przez lata, a od czasu, kiedy Garth został burmistrzem, te bogate sukienki, które wcześniej prawie jej nie zauważały, stały się nagle grzeczniejsze. Chodziła na wydawane przez nie dobroczynne przyjęcia, rozkoszując się świadomością, że zapraszają do swoich salonów morderczynię i drogą dziwkę.

Dzień, w którym otrzymała zaproszenie na podwieczorek do domu sędziego Vartaniana, okazał się dla niej naprawdę bardzo trudny. Siedzenie pośród całego tego ele-

ganckiego bogactwa wymagało wielkiego opanowania, bo cały czas miała ochotę krzyknąć TO WSZYSTKO MOJE! i rzucić się do gardła Carol Vartanian. Wcześniej spotkała się z Charlesem, który ją trochę uspokoił. Zapewnił, że jej czas nadejdzie, że pewnego dnia to ona zamieszka w tym wielkim domu i będzie korzystać ze srebrnej zastawy prababki Vartanianów.

Na razie do tego nie doszło. I już nie dojdzie. Policja zna jej prawdziwą tożsamość. Susannah wszystko popsukała, znajdując w lesie tę cholerną dziewczynę. Teraz Bobby będzie musiała wyjechać z Dutton, z Georgii, opuścić ten przeklęty kraj.

Nawet Charles ją porzucił.

Nie myśl o Charlesie. Podsycaj w sobie nienawiść. Pomyśl o Vartanianach. Kiedyś pragnęła skrócić kark żonie sędziego, bo to przez nią Styvesonowie musieli się wynieść z bogatej parafii w Dutton. To interwencja Carol sprawiła, że ojciec Bobby utknął w jakimś nędznym kościółku na pustkowiu. Carol Vartanian zrujnowała jej życie. Bobby usłyszała to od swojej matki.

A miejsce Bobby zajęła Susannah. W tym wielkim domu, wśród drogich rzeczy, ubrań szytych na miarę i sznurów pereł dziedziczonych przez sześć kolejnych pokoleń. Dziś Susannah Vartanian miała stracić wszystko. Najpierw swoją godność, a potem życie.

Bobby musnęła dłonią zawieszoną na szyi plaketkę. Tego ranka Marianne natychmiast zareagowała na jej prośbę o pomoc. Garth został aresztowany, ich konto bankowe zablokowane i co teraz będzie ze mną? - lamentowała Bobby. Marianne nabrała się na to: połknęła haczyk razem z żyłką i szałwikiem. Niewątpliwie obietnica wywiadu z wyłączością dodatkowo poruszyła serce tej „miłosiernej samarytanki”.

Agentka GBI Talia Scott przechadzała się po scenie, dodając otuchy wszystkim kobietom za stołem. Gdy z zatroskaną miną nachyliła się nad Susannah, ta stanowczo skinęła głową. Potem Scott odeszła na bok, a Gretchen French przysunęła do siebie mikrofon.

Odchrząknęła i rzekła:

- Dzień dobry państwu. Dziękuję za przybycie. - Szmer rozmów ucichł i oczy wszystkich skupiły się na scenie. - Reprezentujemy szesnaście kobiet zgwałconych przez mężczyzn z Dutton, których media określiły mianem „nadzianych gwałcicieli”. Proszę zrozumieć, że w całej tej sprawie dla nas sześciu tu obecnych, a także dla siedmiu innych, które z różnych powodów nie wystąpiły, nie ma nic śmiesznego. Trzy ze zgwałconych kobiet już nie żyją. To nie jest zabawne. Ani sensacyjne. To coś, co przydarzyło się nam naprawdę.

Kilku reporterów wyglądało na lekko zmieszanych. Całkiem nieźle sobie radziła Gretchen, pomyślała Bobby.

- Miałyśmy po szesnaście lat - podjęła Gretchen - i zostałyśmy zgwałcone przez młodych mężczyzn, którzy wykorzystali nasz wstyd i strach, aby zmusić nas do milczenia. Żadna z nas nie wiedziała, że były inne, które spotkał taki sam los. W przeciwnym razie wystąpiłybyśmy publicznie już wtedy. Chcemy przemówić obecnie. Prosimy o zadawanie pytań, ale proszę zrozumieć, że na niektóre z nich nie zechcemy odpowiedzieć.

Już wkrótce, pomyślała Bobby, a krew zaczęła szybciej płynąć w jej żyłach. Anonimowy telefon do pewnego dziennikarza „Journafu”, znanego z przekraczania granic dobrego smaku, miał wywołać zamieszanie, które Bobby wykorzystała do własnych celów. Ostrożnie precyzyjnie się ku miejscu, z którego miała dobrą pozycję do strzału. Zamierzała strzelić trzy razy. Pierwszy pocisk zabije Gretchen French i spowoduje ogólny chaos. Drugi trafi drogą małą Susannah. A trzeci był przeznaczony dla pechowca, który znajdzie się najbliżej Bobby. Zamieszanie i popłoch powinny ułatwić jej ucieczkę. To udawało się już wcześniej, a Bobby trzymała się sprawdzonych metod. I jak zawsze miała opracowany w najdrobniejszych szczegółach plan ewakuacji.

Omiotła spojrzeniem zebrany tłumek. Reporter z „Journalu”, do którego dzwoniła, stał w trzecim rzędzie, czekając z dzikim błyskiem w oku na idealny moment do ataku.

Ja też na to czekam.

Susannah była spokojna. Zaskakująco spokojna. Nie miała wątpliwości, że podjęła właściwą decyzję, choć zarazem zdawała sobie sprawę, że plotki gruchnęły już w chwili, kiedy usiadła przy tym stole. Dziennikarze wiedzieli, że ofiary chcą przemówić publicznie, nie mieli jednak pojęcia, że ona, Susannah, jest jedną z tych ofiar. Poznali ją od razu, a szmer zaskoczenia przeszedł po sali. Wyciągnęli swoje palmtopy i komórki, by jak najszybciej przekazać w świat tę sensację.

Marianne Woolf stała z boku, jako wysłanniczka gazety swojego męża. Tego ranka jej zdjęcia ilustrujące dramatyczne zdarzenia podczas pogrzebu Sheili zajęły większość pierwszej strony „Dutton Review”. Susannah wiedziała, że jutro ona znajdzie się na czołowych stronach gazet.

Luke stał z tyłu, czujny i spięty. Susannah i pozostałe ofiary weszły tylnymi drzwiami, aby uniknąć przeciskania się przez tłum, ale wszyscy inni musieli przejść przez bramkę z wykrywaczem metalu. Ludzie z GBI woleli nie ryzykować. Susannah wiedziała, że Luke przypatruje się każdej twarzy, wszelkim ruchom i gestom. Pocieszało ją, że czuwa również nad nią.

Talia przeszła po scenie ze słowami otuchy dla każdej z kobiet i zatrzymała się przy Susannah, pytając po raz ostatni, czy jest pewna, że chce wystąpić. Susannah nie miała wątpliwości.

Kiedy Gretchen zaczęła mówić, wszyscy umilkli. Przed konferencją odczytała pozostałym kobietom swoje oświadczenie, pełne pasji i zarazem poruszające. Teraz całkowicie opanowane, czekały na pytania.

Pierwsze zadała jakaś reporterka telewizyjna.

- Jak panie się dowiedziały o sobie nawzajem?

Talia podsunęła Gretchen przygotowaną na piśmie odpowiedź na takie pytanie.

- W trakcie zakrojonego na szeroką skalę dochodzenia w jednym z innych stanów natrafiono na zdjęcia dokumentujące te gwałty. W ubiegłym tygodniu GBI ustaliło naszą tożsamość na podstawie tych zdjęć.

Błysnęły flesze, a Susannah usłyszała wypowiedziane szeptem słowa: „Simon Vartanian”, „Filadelfia”, swoje imię oraz imię Daniela. Lata mieszkania pod jednym dachem z Arthurem Vartanianem nauczyły ją zachowywania kamiennej twarzy mimo kamer i aparatów fotograficznych wycelowanych w jej twarz.

Podniósł rękę jakiś mężczyzna.

- Jaki wpływ wywarła ta tragedia na wasze życie? Odpowiedziała Carla Solomon, siedząca koło Gretchen.

- Każda z nas przeżywała to trochę inaczej, ale generalnie borykamy się z takimi samymi problemami jak inne ofiary gwałtów. Mamy trudności z nawiązywaniem i utrzymaniem związków z mężczyznami. Niektóre z nas wpadły w różne uzależnienia. Jedna z ofiar popełniła samobójstwo. Ten gwałt był przełomowym, dramatycznym momentem w naszym życiu, który pozostawił trwałe urazy.

Zgłosił się mężczyzna z trzeciego rzędu i Susannah doznała nieprzyjemnego uczucia. Wpatrywał się w nią bowiem z miną wyrażającą... zadowolenie.

- Troy Tomlinson z „Journalu” - przedstawił się. - Mam pytanie do Susannah Vartanian.

Mikrofon powędrował ponad stołem z rak do rąk. Susannah usiłowała kątem oka wypatrzeć Luke'a, ale nie było go z tyłu sali i jej niepokój się wzmógł.

- Ta tragedia spotkała was trzynaście lat temu - zaczął Tomlinson - i myślę, że wypowiedział zdanie ogółu, twierdząc, że wszyscy wam współczujemy i rozumiemy, dlatego wtedy nie zawiadomiłyście policji o gwałcie. Miałyście po szesnaście lat i byłyście zbyt młode, by udźwignąć przytłaczający ciężar takiej tragedii. - W jego głosie pobrzmiewała jakaś fałszywa nuta, która sprawiła, że Susannah zacisnęła zęby, a Gretchen obok niej zeszywniała. - Chciałbym jednak spytać Susannah Vartanian, znaną z nakłaniania ofiar gwałtów z Nowego Jorku do zgłaszania tych przestępstw władzom, jak może wyjaśnić fakt, że nie poinformowała policji o innym podobnym przestępstwie, do którego doszło siedem lat później, a w trakcie którego brutalnie zamordowano jej przy-

jaciółkę. - Przez salę przeszedł szmer, więc Tomlinson podniósł głos. -1 jak pani skomentuje to, że Garth Davis wypiera się udziału w gwałcie na pani?

Serce Susannah zaczęło walić jak młotem. Skąd on wie o Darcy? Po drugim pytaniu Tomlinsona zagotowało się w niej ze złości, a wzburzenie przytłoczyło strach. To Garth wypiera się, że nas gwałcił? A co ze zdjęciami, które stanowią niezbity dowód? Cholerny sukinsyn.

Uspokój się. Powiedz im prawdę.

- Panie Tomlinson, insynuuje pan, że każda ofiara gwałtu, która nie donosi o popełnionym przestępstwie, popełnia karygodne zaniedbanie albo jest niedojrzała, a to niegodziwe i oburzające. - Pochyliła się lekko, bez cienia uśmiechu na twarzy. - Gwałt to coś więcej niż napaść fizyczna, a ofiary, w tym ja sama, muszą radzić sobie później z poczuciem utraty bezpieczeństwa, kontroli nad własnym życiem i wiary we własne siły. Bez względu na to, czy mają lat szesnaście czy sześćdziesiąt. Po rym, jak sześć lat temu zamordowano moją przyjaciółkę, współdziałałam z policją najlepiej, jak potrafiłam. Ujawniłam znane mi fakty, mimo iż znowu mnie napadnięto. Morderca mojej przyjaciółki został schwytany i zapłacił za popełnioną zbrodnię. - Tomlinson otworzył usta, ale Susannah nie dopuściła go do głosu. - Jeszcze nie skończyłam, panie Tomlinson. Chcę odpowiedzieć na drugie pytanie. Pan Davis nie jest w stanie wyprzeć się swojego udziału czy też współudziału w popełnionych przestępstwach. Potwierdzają to niezbite dowody. Ohydne i poruszające, ale niepodważalne.

Tomlinson uśmiechnął się.

- Rozmawiałem z burmistrzem Davisem. Nie wypiera się udziału w gwałtach. Twierdzi tylko, że nie zgwałcił pani. Domaga się pokazania zdjęcia, na którym rzekomo panią gwałci.

Następny cholerny sukinsyn, pomyślała Susannah, ale nie straciła zimnej krwi.

- Pan Davis musi odpowiedzieć przed Bogiem i przed mieszkańcami stanu Georgia za swoje przestępstwa. Wiem, co mnie spotkało. To, co mówi pan Davis, nie ma znaczenia. Jak już stwierdziłam, dowody są niepodważalne. Dziękuję, panie Tomlinson. Skończyłam z panem rozmawiać.

Bobby wzięła głęboki oddech, aby się uspokoić. A to suka. Susannah przeszła przez pole minowe jak przez łąkę porośniętą makami. Niechjadiali. Niech ją szlag trafi. Znowu pokazała swoją wyższość. Dostyc tego! Najwyższy czas z tym skończyć.

Spokojnie. Oddychaj głęboko. Albo zrealizujesz swój plan, albo wyprowadzą cię stąd w kajdankach. Najpierw Gretchen. Potem Susannah. Któryś z gapiów będzie trzeci.

Sięgnęła do kieszeni, ustawiając pistolet tak, by można było strzelić przez materiał. Wycelowała i pociągnęła za spust. Pyknięcie tłumika zagłuszyły krzyki reporterów

chcących zadać kolejne pytania. Bobby uśmiechnęła się ponuro, widząc, że Gretchen opada bezwładnie na blat. Następna kula trafiła Susannah prosto w serce, zwalając ją do tyłu na podłogę.

Trzeci pocisk przeszył plecy mężczyzny z kamerą wideo na ramieniu. Upadł jak wór, a kamera roztrzaskała się o posadzkę.

W sali rozległy się krzyki. Na szczęście dla Bobby.

Ruszyła przez falujący tłum, czując się niczym gwiazda filmowa na czerwonym dywanie. Wokół błyskały flesze, tyle że obiektywy kamer i aparatów fotograficznych były skierowane w stronę podium. Policjant, który czuwał pod sceną, ruszył naprzód i przyklęknął obok kamerzysty.

Bobby ominęła podium, kierując się do tylnego wyjścia. I wtedy się zatrzymała. Pod stołem leżała na brzuchu Susannah Vartanian. Oczy miała szeroko otwarte i czujne, a w drobnych dłoniach trzymała bardzo duży pistolet.

Ludzie wrzeszczeli. Susannah słyszała, jak Gretchen za jej plecami jęczy, a Chase wzywa lekarza. Czowała piekący ból w klatce piersiowej. Cholera. Bolało bardziej niż poprzednim razem. Instynktownie przetoczyła się pod stół, jej ręka powędrowała do torebki po pistolet, który dostała od Leo Papa-dopoulosa.

Zapomniała o bólu w piersi, gdy dostrzegła parę niebieskich oczu o zimnym spojrzeniu. W ułamku sekundy zorientowała się, że coś tu nie gra. Włosy i biust tej kobiety należały do Marianne Woolf. Ale oczy były oczami Barbary Jean Davis.

Oczy te zwęziły się, usta ułożyły w pogardliwy grymas, a dłoń, którą Barbara Jean trzymała w kieszeni płaszcza, poruszyła się i pod materiałem zarysował się wyraźny kształt lufy pistoletu.

Susannah celowała przez chwilę między niebieskie oczy, ale rozmyśliła się. Śmierć to dla ciebie za mało, suko. Wycelowała w prawe ramię Bobby i strzeliła.

W oczach Bobby pojawiło się zdumienie, a potem ból i wściekłość. Huk strzału wywołał jeszcze większą panikę, na scenie rozległo się dudnienie dziesiątek stóp.

- Rzuć broń! - usłyszała Susannah, a fala błysków fleszy sprawiła, że przed jej oczami zatańczyły ciemne plamy. Nadal jednak widziała ironiczny grymas na twarzy Bobby, gdy ta zrobiła kilka kroków w tył i zniknęła w tłumie.

- Ale...

Susannah krzyknęła z bólu, kiedy stopa w ciężkim bucie przydusiła jej przedramię.

- Rzuć broń i połóż ręce tam, gdzie będzie je widać! - ryknął jakiś inny mężczyzna.

Susannah położyła pistolet na podeście i wyciągnęła ręce przed siebie. Sześciu policjantów w cywilu wycelowało broń w jej głowę.

- Posłuchajcie... Cholera jasna! - Skrzywiła się, gdy w miejscu obutej stopy poczuła na nadgarstku chłód kajdanek. - Ona...

Policjant chwycił ją za drugą rękę. W tym momencie ktoś wskoczył na scenę i za-
grzmiał:

- Odsunąć się. I to już!

Luke. Nareszcie. Susannah odetchnęła z ulgą, kiedy policjanci odstępili, a on uklęknął przy niej.

- Co się stało, do cholery? - zapytał ostro Chase gdzieś za jej plecami.

- Nie wiem - odparł Luke. - Susannah, jesteś ranna?

Chwyciła się go i dźwignęła na klęczki, z kajdankami zwisającymi z nadgarstka. Sala zawirowała przed jej oczami, więc przymknęła powieki.

- To była Bobby. Ma broń. Jest gdzieś w tłumie.

- Co?! - zawołał Luke.

- Gdzie? - spytał Chase.

- Tam - wskazała palcem. Teraz, gdy najgorsze minęło, drżała jak osika. - Ona ma perukę. Perukę Marianne Woolf. Wyglądała jak Marianne. I ma na sobie czarny luźny płaszcz.

- Ja się tym zajmę. - Chase ruszył biegiem, aż zatrzęsała się pod nim scena. - Ty zostań z nią.

Susannah z trudem przełknęła ślinę; w głowie jej wirowało, a żołądek skurczył się ze strachu. Luke zacisnął dłoń na jej ramieniu.

- O mój Boże, Susannah!

Zmusiła się do otwarcia oczu i zobaczyła, że z przerażeniem wpatruje się w jej pierś. Powoli opuściła wzrok i zamrugowała, widząc dziurę po kuli na swoim swetrze, tuż nad sercem.

- Cholera - zaklęła cicho. - To było moje ostatnie czyste ubranie.

Bobby rozpięła płaszcz, przeklinając Susannah Vartanian. Niech ją wszyscy diabli. Pociski odbijały się od tej małej suki, w sensie dosłownym i przerośnym. Susannah Vartanian powinna już nie żyć. Powinna była zginąć. Kamizelka. Miała na sobie kamizelkę kuloodporną. Cholera. Powinna była się domyślić, przewidzieć to. Pokpiła sprawę.

Przestań myśleć o Susannah. Zabieraj się stąd. Susannah podniesie alarm, gdy tylko gliny dopuszczają do głosu. Na razie myślą, że to ona strzelała. W tej paradoksalnej sytuacji było coś zabawnego.

Pośród napierającego tłumu Bobby zdjęła z siebie płaszcz i owinęła nim ranne ramię. Miała drogę ucieczki dzięki swojej wtyczce w GBI, która wcześniej podała jej broń zawiniętą w kurtkę. Policyjna kurtka z literami GBI na plecach była wprawdzie trochę na

nią za ciasna, ale nadawała się do wykorzystania. Bobby pospiesznie wsunęła pod koszulę plaketkę z legitymacją prasową Marianne Woolf.

- Przepraszam - mówiła głośno. - Proszę mnie przepuścić. - Wystarczył rzut oka na kurtkę, by ludzie schodzili jej z drogi. - Proszę zachować spokój.

Policjanci kierowali zebranych na środek sali, z dala od drzwi. Bobby ruszyła pewnym krokiem ku jednemu z tylnych wyjść. Kiwnęła głową gliniarzowi, który pilnował drzwi. Odpowiedział jej krótkim skinieniem i wrócił do obserwowania tłumu.

Gdy mijala policjantów przeszukujących hol przylegający do sali, jeden z nich spytał:

- Znaleźliście coś? Skinęła głową.

- Złapaliśmy, jednego z zamachowców, ale nadal szukamy drugiego. Przepraszam, muszę przejść.

Pod przewieszonym przez ramię płaszczem sięgnęła prawą ręką do kieszeni, w której miała broń. Ramię bolało ją piekielnie, ale wciąż mogła nim poruszać. Już widziała drzwi wiodące na zewnątrz. Jeszcze tylko kilka kroków i będzie wolna.

- Stać! Policja!

Cholera. Obróciwszy się w biegu, Bobby zaczęła strzelać.

- Strzelała do ciebie. - Luke klęczał na scenie, a serce podchodziło mu do gardła.

Susannah przyłożyła dłoń do piersi, zasłaniając dziurę w swetrze.

- Wiem. Boli mnie jak diabli. - Zmarszczyła brwi, usiłując pozbierać myśli. - Bobby oberwała. Trafiłam ją w prawe ramię. Miała pistolet w kieszeni płaszcza. Chciała mnie zastrzelić. Znowu. Niech to lichy.

Luke zdusił dławiący go strach. Policjanci wciąż wpatrywali się w nich groźnie, a z prawego nadgarstka Susannah nadal zwisały kajdanki. Strzelała do kogoś. Popatrzył na pistolet leżący na podeście i od razu domyślił się, skąd się tu wziął. Leo. Będą z tym problemy, ale z nimi upora się później. Teraz skupił się na Susannah. Była blada jak ściana, jej oczy błyszczały i cała drżała.

A flesze nadal błyskały. Luke musiał ją stąd zabrać.

- Dasz radę wstać? Skinęła głową.

- Tak. - Kiedy pomógł jej stanąć, odwróciła się do sanitariuszy, którzy położyli Gretchen French na wózek. - Co z nią?

- Nie miała kamizelki kuloodpornej - odparł Luke. - Ale jest przytomna, a to dobrze.

- Zerknął na jednego z policjantów i ignorując jego podejrzliwe spojrzenie, przeczytał nazwisko na plakietce identyfikacyjnej. - Swift, zabieram ją stąd. Proszę ją rozkuć, tu, na oczach fotoreporterów. Przejmuję dochodzenie w sprawie tej strzelaniny.

Susannah wyciągnęła rękę, a Swift rozpiął kajdanki.

- Działalam w obronie własnej - powiedziała spokojnie. Policjant rzucił okiem na dziurę w swetrze Susannah.

- Zapewne, ale otworzyła pani ogień w sali pełnej niewinnych ludzi, pani Vartanian.
- Gdybym tego nie zrobiła, teraz byłabym martwa - wyjaśniła, z trudem panując nad głosem.

Swift oblał się rumieńcem.

- Opiszę wszystko w raporcie i dopilnuję, żeby trafił do moich przełożonych - oznajmił.

- Mnie również proszę go przesłać - powiedział Luke. Podniósł broń i torebkę Susannah, a potem ujął ją pod ramię. - Chodź. Wyjdziemy przez tylne drzwi.

- Co z pozostałymi kobietami? - spytała.

- Talia zabrała je na zaplecze. Nic im nie jest.

Wyprowadził ją z sali i zamknął drzwi. Hałas natychmiast przycichł. Susannah trochę się odprężyła.

- Teraz mogę przynajmniej zebrać myśl...

- Stać! Policja!

Krzyk dobiegł zza rogu. Po chwili rozległy się dwa wystrzały i kolejne okrzyki. Luke dosłyszał zatrważające słowa, że jeden z policjantów oberwał. Chase!

Wyciągnął zza paska miniaturowy radionadajnik.

- Tu agent specjalny Papadopoulos. Agencje Wharton, gdzie jesteś?

- próbując wywołać Chase'a, poczuł, że serce znowu zaczyna mu łomotać.

- Chase, podaj swoją pozycję.

Usłyszał stłumione odgłosy dwóch następnych strzałów. Gdy wreszcie zgłosił się Chase, Luke odetchnął z ulgą.

- Strzelano do policjanta z Atlanty. Podejrzana osoba uciekła. Uciekła. Znowu. A niech to szlag.

- Idę do ciebie.

Poprowadził Susannah przez następny korytarz. Za rogiem zobaczyli Chase'a, który właśnie wbiegł do środka. Rozmawiał z kimś przez radio, a minę miał grobową. Nieco dalej siedział mundurowy policjant, blady jak kreda. Trzymał się zakrwawionymi dłońmi za udo, a kolega przystąpił do udzielania mu pierwszej pomocy.

Na podłodze koło tylnych drzwi leżał czarny płaszcz.

- To była Bobby - powiedział Chase. - Strzeliła do policjanta, a potem zwała. Czekal na nią samochód. Podjęliśmy pościg. - Spojrzał na dziurę w swetrze Susannah. - Oberwałaś?

- Tak, ale Bobby też - odpowiedziała. - Trafiłam ją w prawe ramię, zanim zdążyła strzelić do mnie ponownie. Miała na sobie ten płaszcz.

- I najwyraźniej potrafi strzelać z obu rąk. Pierwsze dwie kule wystrzelone do policjanta zablokowała kamizelka kuloodporna, ale trzecia trafiła go w udo. Wezwałem pogotowie. On też strzelił trzy razy, ale Bobby była już na zewnątrz.

- Ostrzelałeś jej samochód? - zapytał Luke.

- Tak. Niestety, spudłowałem. Wywijiała zakręty jak na pokazie kaskaderskim.

Luke wyjął z kieszeni lateksowe rękawiczki, włożył je i kucnął koło porzuconego płaszcza.

- Trzy dziury po pociskach w kieszeni - stwierdził po chwili i spojrzał na Susannah. - Jedna dziura w rękawie. Sporo krwi.

- Jest ranna - powiedział Chase. - Na pewno nie pojedzie do żadnego szpitala. Więc dokąd?

- Nie wróci do domu nad rzeką ani do swojego domu w Dutton - powiedział Luke. - Susannah, co o tym myślisz?

- Nie mam pojęcia, kto mógłby jej pomóc. - Zwróciła się do Chase'a. - Widziałeś, kto prowadził samochód?

Chase westchnął.

- Niestety nie. Zauważyłem tylko, że Bobby miała na sobie kurtkę GBI. Luke poczuł skurcz w żołądku.

- A więc jest przeciek. Bobby ma współnika w policji.

- W policji? - zdumiała się Susannah.

- Myślę, że jednak rozpoznałeś kierowcę - powiedział Luke. Chase pokręcił głową.

- Nie, ale poznałem samochód. To wóz Leigh.

- Leigh? Leigh Smithson? Skradziono jej służbowe auto? - Luke spojrzał na Chase'a i wszystko zrozumiał. - To Leigh kablowała. Niech to diabli, nigdy bym nie przypuszczał... Cholera jasna.

- Właśnie. - Chase potarł czoło. - Zarządziłem poszukiwania na drogach, kiedy tylko spostrzegłem jej odjeżdżający wóz.

- To zaczyna się układać w logiczną całość - rzekł Luke powoli. - Zwłaszcza jeśli chodzi o sprawę tamtej pielęgniarki. To Leigh przekazała mi informację, że mam się z nią spotkać.

Susannah odezwała się po chwili milczenia.

- Jennifer Ohman stwierdziła, że czekała przed szpitalem przez godzinę.

- Dostatecznie długo, żeby Leigh zawiadomiła Bobby, a potem wyciągnęła cię przed szpital, przekazując rzekome wezwanie ode mnie - rzucił półgłosem Luke. - Cholera. Tylko dlaczego? Dlaczego Leigh to robi?

- Szantaż? - podsunęła Susannah. - Jakie ma tajemnice, skoro dała się w to wszystko wciągnąć?

Chase wypuścił powietrze z płuc.

- Nie wiadomo. Luke, zbierzmy naszych ludzi na odprawę. Musimy wykombinować, dokąd pojedzie Bobby. Gdzie twój pistolet, Susannah?

- Luke go wziął.

- Skąd go miałaś?

- Należał do mojego ojca - skłamała bez zajknięcia. - Zabrałam go z domu rodziców.

Luke powstrzymał westchnienie ulgi. Susannah kryła Leo i kłamała bardzo przekonująco. Sam nie był pewien, co o tym sądzić. Postanowił zastanowić się nad tym później.

Chase tylko kiwnął głową i ograniczył się do przestrogi:

- Niech to się więcej nie powtórzy. Susannah wojowniczo zadarła podbródek.

- Złapcie Bobby Davis, to nie będzie takiej potrzeby. Chase uśmiechnął się kwaśno.

- Uczciwe postawienie sprawy.

Bobby zarzuciło na drzwi, gdy Leigh wzięła ostry zakręt. Stłumiła jęk, bo ostry ból w ramieniu się nasilił.

- Widzę, że nadal beznadziejnie prowadzisz - rzuciła przez zęby, a Smithson zerknęła na nią z ukosa.

- Nienawidzę cię.

- Wiem. Ale to nie ja zabiłam troje małych dzieci.

- Jasne, że ty - odpowiedziała Smithson z goryczą. Bobby zachichotała.

- Możesz mnie tutaj wysadzić.

Leigh zatrzymała wóz i chwyciła Bobby za rękę.

- Postrzel mnie.

- Żebyś mogła udawać, że do wszystkiego cię zmusiłam? O, nie. Ale to ci się może przydać. - Zdjęła perukę Marianne Woolf i rzuciła ją Leigh. - Zrób się na bóstwo.

Wysiadła, trzasnęła drzwiami i dalej ruszyła pieszo. Było jej zimno, bo porzuciła płaszcz, kiedy tamten gliniarz zaczął do niej strzelać. Wciąż miała przy sobie broń, ale brakowało jej komórki. Musi skołować jakiś telefon i inny wóz. To nie powinno być trudne.

Ramię bolało coraz bardziej. Bobby zatamowała krwotok, czuła jednak, że pocisk wciąż tkwi w ranie.

Potrzebowała lekarza. Szpital nie wchodził w grę, a Toby Granville nie mógł jej pomóc, bo nie żył - z winy Daniela Vartaniana. Niech go piekło pochłonie.

Pomyślała o Paulu siedzącym w kuchni Charlesa. Jego Charles jakoś pozszywał. Nie chciała dzwonić do Charlesa. Nienawidziła go. Nie miała jednak wyboru. Tanner, który mógłby opatrzyć ranę, też nie żył. Sama go wykończyła. Z powodu Susannah Varta-

nian. Gdyby nie ścigała i nie dopadła ich koło tamtego parkingu... Niech piekło pochłonie tę kobietę. Susannah należało zabić. I to szybko.

Ale najpierw potrzebuję jakiejś kryjówki, gdzie odzyskam siły, pomyślała.

Znała takie miejsce. Postanowiła wrócić do domu.

21

Atlanta, niedziela, 4 lutego, godzina 18.15

Oboje, kamerzysta i Gretchen, są w stanie ciężkim, ale stabilnym - powiedział Chase, kiedy się zebrali. - Policjant, którego Bobby postrzeliła, jest już w domu i dochodzi do siebie.

- Dzięki Bogu - odetchnęła Talia. - Biedna Gretchen tyle przeszła w ostatnim tygodniu.

- Tak jak my wszyscy - wtrąciła cicho Susannah, teraz bardzo przygaszona. Luke dostrzegł u niej oznaki spadku poziomu adrenaliny i wiedział, że wkrótce będzie miał podobne. Na razie wciąż był spięty, a tętno mu przyspieszało, ilekroć pomyślał o dziurze w swetrze Susannah tuż nad sercem.

Teraz miała na sobie bluzę GBI, bo Luke dołączył sweter do dowodów rzeczowych razem z pistoletem, z którego strzelała. Wiedział, skąd pochodzi broń, ale był pewien, że Leo dopilnował, by żadne ślady do niego nie prowadziły.

Będzie wdzięczny bratu do końca życia.

- Ten operator jest wniebowzięty - stwierdził Ed. - Kiedy rzucił kamerę, upadła obiektywem do góry. Ma materiał, na którym widać twarz Bobby. Już go pokazują w CNN.

- Znaleźliśmy samochód Marianne Woolf. Leżała w bagażniku, związana i zakneblowana - oznajmił Luke. - Była tam przez kilka godzin. Bob-by zadzwoniła do niej, prosząc o spotkanie, a kiedy Marianne przyjechała, obezwładniła ją, wpakowała do bagażnika i zabrała jej legitymację prasową.

- Skąd Bobby wzięła broń? - spytał Paul. - Przecież wszystkich sprawdzano wykrywaczem metalu.

Luke i Chase wymienili spojrzenia. To nie było przyjemne dla żadnego z nich.

- Broń pochodzi z naszego magazynu z dowodami rzeczowymi - odparł Chase.

Zapadła głucha cisza. Wszyscy popatrzyli na Chase'a najpierw z niedowierzaniem, a potem z przerażeniem.

- Kto pilnował dowodów? - spytał Pete ponuro.

Twarz Hanka Germanio stężała, kiedy Pete i Nancy rzucili nieufne spojrzenia. Nic nie powiedział i Luke poczuł, że robi mu się go szkoda. Chloe spojrzała na Chase'a, a potem na Luke'a.

- Wiecie, kto to jest. Powiedzcie nam. Oczy Chase'a wyrażały ból.

- Policjanci z Atlanty znaleźli ciało Leigh w jej domu, w wannie. Miała... - przełknął głośno - miała lufę w ustach.

Przez kilka sekund nikt się nie odzywał. Wszyscy wstrzymali oddech.

- Leigh? - wydusiła wreszcie Talia. - Leigh Smithson?

- Nasza Leigh? - wyszeptał Pete. Chase skinął głową.

- Tak.

- Ale dlaczego? - zapytała Nancy łamiącym się głosem. - Dlaczego to zrobiła?

- Nie wiemy - odparł Chase. - Ale się dowiemy.

- Teraz wszystko jasne - wtrącił Luke. - Świadków i podejrzanych uśmiercano, zanim zdołaliśmy ich znaleźć, bo Leigh przekazywała Bobby informacje. Z jej wykazu rozmów wynika, że dzwoniła na komórkę, którą znaleźliśmy w płaszczu Bobby.

Talia westchnęła.

- Ale skąd wiedziała, co się tutaj dzieje?

- Założyła pluskwę w pokoju narad - oznajmił Ed.

- Będę was informował na bieżąco o wynikach dochodzenia na temat motywów Leigh - obiecał Chase. - A teraz musimy się skupić na odnalezieniu Bobby. Zniknęła. Mamy pod obserwacją Ridgefield House, bunkier przy rzece i dom, w którym mieszkała z Garthem.

- Sprawdziliśmy jej komputer - powiedział Luke. - I jej głównych klientów. Nie wygląda na to, żeby była u któregoś z nich. Pytaliśmy też wszystkich krewnych Davisa i nikt jej nie widział.

- A co z tym *thichem* Granville'a? - spytała Susannah. Chase westchnął znużony.

- Nie zaprzeczam, że on istnieje, ale dopóki nie będziemy mieć jakichś dowodów, że własnoręcznie kogoś skrzywdził...

- Zrobił to - przerwała mu. - Monica powiedziała, że był w bunkrze i rozmawiał z Granville'em, a Granville radził się go, jak ją złamać. Obojętnie, czy ten człowiek krzywdził własnoręcznie Monice, czy też nie, wiedział, że ona tam jest. Brał udział w zмовie dotyczącej porwania.

- Susannah ma rację - stwierdziła Chloe.

Zgadza się, pomyślał Luke, pełen podziwu dla jej opanowania. Mimo tego, co przeszła, jej umysł wciąż działał z zegarową precyzją.

- Poza tym - dodała Susannah - może właśnie u niego Bobby się ukrywa. Chase potarł skronie.

- Racja. Jakies sugestie?

- Zmusimy do mówienia zabójcę Darcy - zaproponowała Susannah. - Wie, kim jest tamten, ale się boi.

- Zadzwoń do Ala Landersa - powiedziała Chloe. - Postaramy się dotrzeć do mordery Darcy.

- Wysłaliśmy zdjęcie Bobby do wszystkich agencji w najbliższych trzech stanach i do punktów odprawy celnej na wypadek, gdyby próbowała wyjechać z kraju - oznajmił Chase.

- To coś da tylko, jeśli ona podróżuje pod własnym nazwiskiem - zauważyła Susannah.

- I znowu racja - przyznał Chase. - Ale dopóki nie dowiemy się czegoś więcej, to wszystko, co możemy zrobić. Spotkamy się ponownie jutro rano o ósmej.

- Susannah - spytała Chloe - Czy możesz mi poświęcić parę minut? Muszę z tobą porozmawiać.

Susannah została w sali. Gdy wyszli wszyscy oprócz Luke'a, Chloe uniosła brwi. Luke pokręcił głową, niezadowolony z jej miny, i oznajmił:

- Zostaję, Chloe.

Wzruszyła ramionami. Kiedy drzwi się zamknęły, zwróciła się do Susannah:

- Co to była za broń?

- Mojego ojca - odparła Susannah.

- Nie jest zarejestrowana - stwierdziła Chloe - a numer seryjny został usunięty.

- Nie pomyślałam, żeby sprawdzić numer seryjny. Przykro mi. Chloe pokręciła głową.

- Och, przestań. Jesteś zbyt bystra, żeby popełnić taki błąd. Ale nieważne. Miałaś przy sobie broń bez pozwolenia.

- Ona ma pozwolenie - zaprotestował Luke. - W Nowym Jorku.

- Tutaj nie jest uznawane - odparła Chloe. - Nowojorskie u nas nie obowiązuje.

- Właściwie o co ci chodzi? - spytał, chociaż dobrze znał odpowiedź.

- Chodzi o to, że wszyscy dziennikarze w sali widzieli, jak Susannah strzela do tej kobiety z broni, na którą nie ma pozwolenia i która nie jest zarejestrowana. Nie mogę tego tak zostawić.

- Na miłość boską, Chloe - burknął Luke, ale Susannah położyła dłoń na jego ręce.

- W porządku. Wkładając pistolet do torebki, zdawałam sobie sprawę z tego, co robię. Wiedziałam, że Bobby nic nie powstrzyma. Czułam się bezbronna. Nie chciałam

zginąć. Wzięłam więc jeden z pistoletów ojca, schowałam w torebce i strzeliłam do kobiety w pomieszczeniu pełnym kamer.

- Spojrzała Chloe w oczy. - Wniesiesz oskarżenie?

Chloe popatrzyła na nią zmieszana.

- Do diabła, Susannah.

- Gdybym nie miała przy sobie broni, nie rozmawiałybyśmy teraz - odparła Susannah spokojnie. - Bobby wystrzeliła trzy kule, z których jedna trafiła mnie. Więc ja strzeliłam do niej i wcale tego nie żałuję.

- Nie zamierzam aresztować cię za to, że strzelałaś - odrzekła Chloe. - To było działanie w samoobronie. Ale jaki dam innym przykład, jeśli pozwolę ci bezkarnie łamać prawo? Jak postąpiłabyś na moim miejscu? Powiedz szczerze.

- Oskarżyłabym cię - odparła Susannah. Luke zmarszczył brwi.

- Susannah.

- Prawo jest jasne, Luke. Chloe naprawdę nie ma wyjścia.

- Właśnie. - Chloe przymknęła oczy. - Do diabła.

- Już to mówiłaś - stwierdziła Susannah i uniosła kącik ust. - Chcesz się z tym prześpać?

Chloe zaśmiała się lekko, zaskoczona, ale natychmiast spoważniała.

- Możesz stracić uprawnienia adwokackie. Uśmiech Susannah zbladł.

- Wiem. Ale już wolę to, niż stracić życie.

Luke znowu pomyślał o dziurze w jej swetrze i musiał wziąć głęboki oddech.

- Ja zrobiłabym to samo - wyznała Chloe. - Dlatego to takie trudne.

- Chloe, zrobiłam to, co musiałam. A ty rób to, co powinnaś. Nie będę się z tobą spierać.

- Poczulałabym się lepiej, gdybyś to zrobiła - stwierdziła Chloe.

- Nie jest moim zadaniem wprawiać cię w lepszy nastrój - odparła Susannah spokojnie.

Chloe spiorunowała ją wzrokiem.

- Do cholery. Czy zupełnie nic cię nie rusza?

- Owszem, wiele rzeczy - odrzekła Susannah z goryczą. - A zwłaszcza jedna. Co, u licha, miał na myśli ten dziennikarz, kiedy stwierdził, że Garth Davis zaprzecza, jakoby mnie zgwałcił?

Chloe westchnęła.

- Anonimowy informator powiedział Tomlinsonowi o Darcy Williams i o tym, że Garth Davis wcale cię nie zgwałcił. Poradził mu, żeby spytał o to samego Davisa. Tomlinson zapytał, a Garth kategorycznie zaprzeczył, aby kiedykolwiek w jakikolwiek sposób napastował cię seksualnie.

- A to zdjęcie... - Susannah nie dokończyła.
- Jest w pudle razem z innymi - wtrącił Luke
- Wiem - przyznała Chloe. - Rozmawiałam z osobą, która przeglądała te fotografie.

Były tam ujęcia nagich kobiet i sceny gwałtów. Szesnaście ofiar sfotografowano nago, lecz tylko piętnaście zostało zgwałconych. Ty nie, Susannah.

Susannah zeszywniała, ale nie odezwała się i Luke przypomniał sobie ich rozmowę z poprzedniego dnia w pokoju Moniki. „Zrobił to przynajmniej raz”, powiedziała wtedy, mając na myśli Simona. Skąd wiedziała?

- Garth kłamie - odparła cicho. Za cicho. Jej dłoń drżała.
- Porozmawiamy z nim - obiecał Luke. - Ale nie dzisiaj. Zabiorę cię do domu.

Chloe wstała.

- Prześlę się z tym. Powiem wam jutro o swojej decyzji. Kiedy wyszła, Luke przyciągnął Susannah do siebie i objął.

- Wszystko będzie dobrze - szepnął w jej włosy. - Tak czy inaczej. Przywarła do niego, drząc na całym ciele.

- Skąd wiesz?

Pocałował ją w czoło, a potem ujął ją za podbródek, by spojrzeć mu w oczy.

- Ponieważ przeszedłeś samotnie przez o wiele gorsze rzeczy. A teraz już nie jesteś sama.

W jej oczach kłębiły się emocje. Gniew i lęk Luke potrafił zrozumieć. Wdzięczność go irytowała. Ale to nadzieja, jaką w nich ujrzał, sprawiła, że zachciało mu się płakać. Susannah uśmiechnęła się i stanęła na palcach, by musnąć wargami jego usta.

- Więc wszystko będzie dobrze. A teraz chodźmy stąd. Jestem taka zmęczona, że mogłabym spać chyba cały rok.

Dutton, niedziela, 4 lutego, godzina 19.45

- Cholera - syknęła Bobby; jej usta pobladły z bólu. - Uważaj. Charles spojrzął na nią spod uniesionych brwi.

- Jeśli wolisz, mogę zadzwonić po pogotowie. Spiorunowała go wzrokiem.

- Powiedziałam już, że przepraszam cię za to, co wydarzyło się rano, i dziękowałam tysiące razy, że przyszedłeś mi z pomocą, choć sporo czasu ci zajęło, żeby tu dotrzeć.

- Nie mogłem wszystkiego natychmiast rzucić. Byłem z klientką.

- Którą? - spytała. Spojrzął na nią ostro.

- A od kiedy to twój interes? Spuściła wzrok.

- Przepraszam. Po prostu zapomnij o tym, dobrze?

Zaśmiał się, przypomniawszy sobie minę Rose, kiedy jej komórka zaczęła wibrować na stole dokładnie w chwili, gdy zaczął komunikować się ze światem duchów.

- Zadzwońska w samą porę. Myślałem, że Rose Bowie dostanie zawału.

- Rose Bowie? Czego chce ta stara baba?

- Bała się, że jakaś rozróżba zepsuje jutrzejszy pogrzeb jej córki - odparł, ciągnąc Bobby za rękę mocniej, niż sytuacja tego wymagała. - Rose nie chce takich scen jak ta, która rozegrała się na pogrzebie Sheili Cunningham. A skoro byłem pewien, że nie zamierzasz już strzelać do żadnych swoich pomocników, powiedziałem jej, że wszystko będzie dobrze.

- I zapłaciła ci?

- Tak, i za przepowiednię, i za utrzymanie naszych sesji w tajemnicy. Wyborcom jej męża i jej przyjaciółkom z kościoła baptystów nie spodobałoby się, że Rose bawi się w okultyzm.

Rose była jedną z jego najlepszych klientek.

Chociaż Carol Vartanian płaciła kiedyś o wiele więcej. Charlesowi brakowało sesji z Carol. Kto mógł przypuszczać, że za chłodną fasadą bije serce kobiety, która szczerze gardzi swoim mężem? Zaczęła przychodzić do Charlesa, chcąc poznać swoją przyszłość. A on zadbał, żeby jego przepowiednie sprawdzały się na tyle często, aby Carol wciąż wierzyła w każde jego słowo. Przychodziła do niego powodowana przewrotnym pragnieniem, by postępować w sposób, który najbardziej złości jej męża.

Charles wykorzystywał fakt, że seks był jej najlepszą bronią. O tak, tęsknił za Carol Vartanian. Susannah była bardzo podobna do matki. Przyjemnie byłoby sprawić, by chłonęła każde jego słowo. Ale nie to było zapisane w kartach. Nigdy nie miał wątpliwości, że Susannah zginie gwałtowną śmiercią. A to, że także bolesną, stało się oczywiste tej nocy, kiedy zniszczyła jednego z jego najlepszych i najbystrzejszych ludzi.

„Oko za oko, zęb za zęb to zasada głupców”, mawiał Pham. A on nigdy się nie mylił. Charles pochylił się nad ręką Bobby, wydłubując kulę.

- Rzykowałaś, przyjeżdżając tutaj.

- Nie będą mnie tu szukać, a gdyby nawet, jest tu mnóstwo miejsc, w których można się ukryć. Do diabła! - syknęła. - To boli.

Potrafił to sobie wyobrazić. Podał jej butelkę najlepszej szkockiej Arthura Vartaniana.

- Napij się. Odsunęła butelkę.

- Nie chcę się upić. Jeśli tu przyjdą, muszę jasno myśleć.

- Powiedziałaś, że nie będą cię tutaj szukać. - Znowu dźgnął ją mocniej i znowu usłyszał kilka przekleństw.

- Kto cię uczył wyciągania kul, czyżby doktor Mengele? - syknęła.

- Tak naprawdę nauczyłem się tego, kiedy musiałem wyjąć kulę z własnej nogi - odparł spokojnie.

Zerknęła na laskę, którą oparł o stół.

- Och!

Charles wyciągnął kulę wprawnym ruchem skrętnym. Miał ją w zasięgu już kilka razy, ale bawienie się z Bobby sprawiało mu przyjemność. Położył pocisk na dłoni, żeby jej pokazać.

- Chcesz to zatrzymać na pamiątkę? - zażartował.

- Wyciągnąłeś kulę z własnej nogi, kiedy postrzelił cię żołnierz Wiet-kongu? - spytała.

Miał ochotę ją uderzyć, ale nie musiał tego robić. Nie było sensu łamać Bobby, skoro i tak ledwie potrafiła się opanować. Trzymała się jednak i gdzieś w głębi duszy podziwiał ją za to, odparł więc:

- Tak. I zatrzymałem ją, żeby mi przypominała, jak wielką czułem wtedy nienawiść. Chciałem, żeby ten gniew przetrwał. Ale nie postrzelił mnie Wietnamczyk - dodał.

Przymknęła oczy i odetchnęła głęboko.

- Więc kto?

Nigdy wcześniej o to nie pytała. Nie miała odwagi. Pytał natomiast Toby Granville, dawno temu. Miał wtedy zaledwie trzynaście lat i o wiele większą pewność siebie niż Bobby. Charles udzielił mu odpowiedzi. A teraz postanowił odpowiedzieć Bobby.

- Inny amerykański żołnierz. Uciekaliśmy razem.

Otworzyła oczy i zmrużyła je ponownie, gdy Charles przemył jej ranę.

- Skąd?

- Z jakiejś dziury w południowej Azji, zwanej obozem jenieckim.

- To wiele wyjaśnia. - Wzdrygnęła się, kiedy wbił igłę w jej ciało. - Czemu do ciebie strzelił?

- Żeby zdobyć skórę chleba - odparł spokojnie, choć mówienie o tym sprawiło, że znów zaczynało się w nim gotować. - A potem zostawił mnie, żebym zdechł.

- Ale nie umarłeś.

- Nie umarłem - przyznał, nie o tym jednak chciał jej opowiedzieć. Jęknęła, kiedy zaczął zszywać jej ranę.

- A co z zemstą?

- Zemsta nadchodzi powoli. - Pomyślał o człowieku, który siedział w nowojorskim więzieniu za zbrodnię, której nie popełnił, chroniąc swoją rodzinę, która nie miała o niczym pojęcia. Człowiek ten zasłużył na każdy dzień swej udręki, a nawet na więcej. - Ale warto na nią czekać. Codziennie się uśmiecham, wiedząc, że on cierpi. Fizycznie i psychicznie. I że będzie się tak męczył przez resztę życia.

Zaciskała zęby, gdy zakładał jej szew.

- Dlaczego po prostu go nie zabiłeś? - spytała w końcu.

- Bo w tym wypadku śmierć byłaby zbyt szybka.

Skinęła głową. Zagryzła zębami dolną wargę, ale nawet nie jęknęła. Twarda dziewczyna, taka, jaką poznał przed laty. Nareszcie wykazywała hart ducha, którego ostatnio w niej nie dostrzegał. Pociągnął mocno za nić chirurgiczną. Bobby wciągnęła gwałtownie powietrze, lecz nadal milczała, więc poluzował.

- Z kolei Susannah...

- Chcę, żeby umarła - wycedziła Bobby przez zęby. - Ale jej śmierć nie będzie szybka.

- To dobrze - stwierdził z wyraźnym zadowoleniem, więc spojrzała na niego zwężonymi oczami.

- Też jej nienawidzisz. Dlaczego? Zmarszczył brwi, zły na siebie, że tak się odsłonił.

- Mam swoje powody. Popatrzyła na niego gniewnie.

- Przez wszystkie te lata rozbudzałeś we mnie nienawiść do niej. Namawiałeś, że bym odebrała to, co moje.

Zabandażował jej rękę.

- Tak powinnaś zrobić. Susannah wiodła życie, do którego ty miałaś prawo. - Umieścił jej rękę na temblaku i odsunął się. - Skończyłem.

- Ale ja jeszcze nie skończyłam. Od lat namawiasz mnie, żebym ją zabiła. Dlaczego nienawidzisz Susannah Vartanian? Co takiego ci zabrała? - Nie odpowiadał, więc chwyciła go wolną dłonią za rękę. - Powiedz mi - zażądała.

Jej niebieskie oczy błyszczały zimno i przez ułamek sekundy Charles poczuł strach.

Nieźle, pomyślał ze szczerym uznaniem. Ostrożnie odsunął jej rękę.

- Usiądź, zanim upadniesz. Straciłaś dużo krwi. Usiadła posłusznie, ale nadal rozemocjonowana.

- Powiedz mi - powtórzyła ciszej. - Jeśli mam ją zabić dla ciebie, zasłużyłam przynajmniej na to, żeby wiedzieć dlaczego. Co takiego ci zabrała?

Charles spojrzał jej w oczy. Dobrze to ujęła, pomyślał.

- Zabrała mi Darcy Williams - odparł.

Dutton, niedziela, 4 lutego, godzina 19.45

- Susannah, obudź się. Nie możemy się spóźnić.

Susannah z trudem uchyliła powieki, po czym usiadła prosto, rozglądając się wokoło.

- Co my tutaj robimy?

Byli na lotnisku, a Luke zatrzymał samochód na podziemnym parkingu.

- Niespodzianka - powiedział tylko. - Ale spodoba ci się. Zobacysz.

- Po co tu przyjechaliśmy? - spytała ponownie, kiedy zaprowadził ją do hali odbioru bagażu i podeszli do stanowiska, w którym wydawano niewymiarowe pakunki.

- Kazałeś przysłać moje ubrania? Ale jak... - Przerwała, gdy wziął ją za ramiona i odwrócił. Patrzyła przez chwilę i nagle poczuła ciepło w sercu. - Och!

Podbiegła do klatki stojącej przy ścianie i przykucnęła, żeby zajrzeć przez druciane drzwiczki. Zobaczyła znajomy pyszczek, wyraźnie uradowany na jej widok. Thor.

- Jak to zrobiłeś?

- Al skontaktował się z hotelem dla zwierząt i jakoś udało się to zorganizować.

Uchyliła druciane drzwiczki, by pogłaskać jedwabistą sierść suki.

- Dobra dziewczynka - powiedziała. - Tęskniłam za tobą. Niedługo będziesz mogła stąd wyjść. - Zamknęła drzwiczki, spojrzała na Luke'a i poczuła ucisk w gardle, widząc czułość malującą się na jego twarzy.

- Tęskniłeś za nią - rzekł. - Pomyślałem, że będzie ci łatwiej, kiedy się tutaj znajdzie.

Susannah przełknęła z trudem.

- Jesteś taki dobry. Uniósł brwi.

- I?

Roześmiała się.

- I piekielnie seksowny.

Taki właśnie był. Z kilkuniedniowym zarostem, ciemnymi oczami i dia-bolicznym uśmiechem przypominał jej pirata. Susannah, zaskakując samą siebie, zarzuciła mu rękę na szyję. Jego najwyraźniej też zaskoczyła, bo aż sapnął. Przyciągnął ją jednak do siebie i mocno przytulił.

Gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy poczuła, jaki jest twardy. Jej ciało zareagowało natychmiast.

Nie musisz się już powstrzymywać. On wszystko wie. I wcale mu to nie przeszkadza. Więc przestań być tchórzem. Odsunęła się, by mu się przyjrzeć, i jej dudniące serce zaczęło bić jeszcze szybciej. Z jego twarzy zniknęła czułość, a na jej miejscu pojawiło się pożądanie.

- Dziękuję ci. - Pocałowała go namiętnie i poczuła, że cały drży. Luke jej pragnął. Ta świadomość sprawiła, że miała ochotę znowu go pocałować. Zrobiła to, a wtedy z jego gardła wydobył się jęk ulgi połączonej z frustracją.

- Nie tutaj - powiedział, odchylając głowę.

Susannah musnęła wargami jego szyję, wyczuwając tętno. Z tyłu za nimi Thor zaskamlała w klatce, przywołując ich do rzeczywistości.

Usta Luke'a drżały, gdy wypuścił ją z objęć i delikatnie odsunął od siebie.

- Czy możesz podziękować mi później, kiedy będziemy gdzie indziej, a nie na tym zatłoczonym lotnisku?

Uśmiechnęła się.

- Tak.

Rozłożył ramiona, jakby miał objąć ją znowu, ale zamiast tego wsunął ręce do kieszeni i wyjął stamtąd smycz.

- To smycz Darling. Będziemy musieli zatrzymać się po drodze i kupić drugą dla....

- Podniósł małą klatkę i na jego twarzy pojawił się grymas.

- Thor - podpowiedziała. - Coś nie tak?

- Owszem. Pies o imieniu Thor powinien ważyć więcej niż dziesięć kilo. Uśmiechnęła się szerzej.

- A czy pokraczny buldog powinien nazywać się Darling? Luke naburmuszył się.

- Ona wcale nie jest pokraczna.

- Po prostu masz miękkie serce. - Susannah zaśmiała się.

- Podziękuj mi, jak wrócimy do domu, a nie będę już taki miękki. Serce Susannah znowu zaczęło bić szybciej i przeszedł ją dreszcz podniecenia. Już nie mogła się doczekać.

- Jesteśmy umówieni.

Dutton, niedziela, 4 lutego, godzina 19.45

Bobby przyglądała się, jak Charles czyści swoje narzędzia chirurgiczne. Miał całym niezłą kolekcję, ale przecież wydobywanie z ludzi niektórych sekretów wymagało sporo wysiłku. Poddając się dziś jego zabiegom, zrozumiała, dlaczego Charles z powodzeniem przełamywał opór swoich przeciwników.

- Kim była Darcy Williams? - zapytała.

- Moim człowiekiem. Rano użył podobnych słów.

- Tak jak Paul? Przytaknął.

- Jak Paul.

- Czy on jest twoim synem? Uśmiechnął się.

- W pewnym sensie.

- Wychowałeś go?

- Tak.

- I Darcy też?

- Mniej więcej.

- Ale Susannah nie zabiła Darcy Williams. Jego oczy stały się zimne.

- Owszem, nie pobiła jej na śmierć. Ale sprawiła, że Darcy musiała umrzeć.
- Nie rozumiem.
- Nie musisz. - Zapiął swoją torbę. - Zadzwoń do mnie, kiedy będziesz gotowa na następny ruch. Chcę tam być.

Patrzyła, jak odchodzi, opierając się na lasce.

- Charles?

Odwrócił się z kamienną twarzą.

- O co chodzi?

Dotknęła opatrunku na ramieniu.

- Chcę spłacić swoje długi. Oto kilka informacji. Dowiedziałam się od mojej wtyczki w GBI, że Susannah Vartanian opisała mężczyznę, który zgwałcił ją w Nowym Jorku, i policja zrobiła portret pamięciowy. Moją informatorkę poproszono o przesłanie portretu faksem do prokuratury okręgowej w Nowym Jorku, żeby pokazać go facetowi, który siedzi w więzieniu za zabicie Darcy Williams.

Po raz pierwszy w życiu zobaczyła, jak Charles zbladł.

- Czy przesłała ten portret?

- Nie. Kiedy zapytałam ją, dlaczego, powiedziała, że facet na portrecie to gliniarz, który ją złapał, ale nie wydał jej przestępstwa, trzymając ją w ten sposób w garści. To Paul mi ją podsunął, więc nietrudno połączyć jedno z drugim. A że Paul jest dla ciebie kimś ważnym...

Charles skinął głową.

- Dziękuję ci, Bobby.

Pierwszy raz wreszcie jej podziękował. Ale po trzynastu latach to o wiele za mało i o wiele za późno.

- Powiedzmy, że odwdzieczyłam się za wyjęcie tej kuli.

Atlanta, niedziela, 4 lutego, godzina 20.45

- Jakie to uroczę. - Susannah stała w drzwiach sypialni Luke'a i patrzyła z uśmiechem na Thor, która zwinęła się w kłębek obok Darling w koszu z ubraniami.

Chińskie dania kupione na wynos zjedli na porcelanowej zastawie stołowej mamy Papa, rozmawiając na neutralne tematy. Za obopólną milczącą zgodą żadne nie wspominało o Bobby, o *thichach* ani o oskarżeniu o nielegalne posiadanie broni. Nie mówili też o pocałunkach na lotnisku, chociaż ich wspomnienie było przez cały czas obecne. Nasilało się przyjemne uczucie oczekiwania.

Teraz Susannah z mocno bijącym sercem zastanawiała się, co będzie dalej.

Luke stanął za nią.

- Wcale nie urocze - zaprotestował. - To były rzeczy prosto z pralni.

- Następnym razem chowaj swoje ubrania.

- Chowaj swoje ubrania - powtórzył nosowym głosem. - Mówisz jak moja mama.

Objął Susannah, krzyżując ręce na jej brzuchu, co sprawiło, że poczuła w środku przyjemne łaskotanie. Kołysał ją delikatnie z boku na bok, a ona oparła głowę na jego piersi. Po raz pierwszy w życiu czuła się dobrze w towarzystwie mężczyzny.

- Miło spędziłam czas z twoją rodziną.

- To dobrze. Cieszyli się, że mogą cię gościć.

- A ty? Czy ty też się cieszysz, że mnie gościsz? - Chciała powiedzieć to lekkim tonem, ale jej głos zabrzmiał ochryple.

Zapadła pełna napięcia cisza. Wreszcie Luke zsunął kołnierz bluzy z jej szyi i odparł:

- Jeszcze nie wiem.

Odszukał ustami jej krągłe ramię, a ona zadrżała, przechylając głowę na bok, aby miał lepszy dostęp.

- Ale się dowiesz? - spytała.

- Nic nie mów - wyszeptał, muskając wargami jej skórę i masując delikatnie. - Jesteś taka spięta. Chcę, żebyś się rozluźniła, odprężyła. Nie myśl o tym, co się stanie, czy też nie stanie. Po prostu czuj. Poczuj to, - Nawinał jej włosy na dłoń i delikatnie pociągnął, a gdy pochyliła głowę, zaczął całować jej kark. - Dobrze? - spytał.

- Tak - szepnęła.

- Tak właśnie powinno być - rzekł. - Powinnaś odczuwać przyjemność i pragnąć jej więcej. Czy chcesz więcej?

Sprawa, że wszystko stawało się takie proste. Takie miłe. Powoli skinęła głową. Znieruchomiał na chwilę, a potem wsunął ręce pod jej bluzę. Mięśnie jej brzucha zacięsnęły się i wyczuła na szyi, jak Luke się uśmiecha.

- Masz łaskotki?

- Raczej trochę się denerwuję. - Napięła się, gdy jego palce przesunęły się w górę jej klatki piersiowej.

Luke cofnął dłonie.

- Myślę, że musimy przestać.

- Dlaczego?

- Bo cię pragnę, ale nie chcę cię poganiać. Nie chcę, żebyś się mnie bała.

- Wcale się nie boję - odparła, ale usłyszała drżenie w swoim głosie.

- Nie musisz się mnie bać. I wkrótce przestaniesz.

Jego dłonie pozostały tam, gdzie były. Kciuki znajdowały się zaledwie kilka centymetrów od szczytu jej piersi, kuszące i zniewalające.

Nie chciała się bać. Skoro dziś bez lęku stanęła oko w oko z zabójczy-nią, strach przed własną seksualnością wydawał się po prostu niedorzeczny. Znalazła się w ramionach dobrego, porządnego człowieka, który wiedział o niej wszystko, a mimo to jej pragnął. Zbyt długo już uciekała. Przed innymi i przed sobą samą.

Najwyższy czas z tym skończyć.

Zanim zdążył powiedzieć coś jeszcze, przesunęła jego ręce w górę. Westchnęła, kiedy Luke przykrył dłońmi jej piersi w koronkowym staniku. To było takie przyjemne. Ale pragnęła więcej. Przywarła do niego i poczuła, jak napiera na nią, twardy i gotowy. Poruszyła się lekko, sprawiając, że z jego piersi wydobył się jęk.

- Nie - szepnął z ustami przy jej szyi. - Jeszcze nie. - Naparła mocniej. Jego kciuki dotknęły brodawek i po jej skórze przebiegł dreszcz. - Jeszcze nie pora - wydyszał, ale jego biodra poruszały się w rytmie, który rozbudzał w niej szalone pożądanie. - Do licha, Susannah. Powiedz mi, żebym przestał.

Powstrzymałby się, gdyby o to poprosiła. Ale wcale nie chciała go powstrzymywać.

- Dziś o mało co nie zginęłam.

- Wiem. I cały czas myślę o tym, że wciąż coś ci grozi. Ale to nie jest dobry moment, naprawdę. Mamy przecież czas. Mnóstwo czasu.

- Czekałam tak długo. Przyjechałam tu, żeby odzyskać swoje życie. Pomóż mi.

Zawahał się.

- Jak chcesz to zrobić? - spytał ochryple.

Pomyślała o zakurzonej pudełku schowanym w szafie Luke'a. Ale to była nowa sytuacja. I ona była inna.

- Chcę zobaczyć, czy mogę to zrobić... normalnie.

- Każdy sposób, w jaki to zrobimy, będzie normalny. Daję ci słowo.

- Chcę... widzieć twoją twarz.

Znieruchomiał z policzkiem opartym na szczycie jej głowy.

- Daj mi minutę.

Liczyła uderzenia swojego serca; w końcu Luke wysunął ręce spod jej bluzy i poprosił:

- Idź i usiądź na łóżku.

Posłuchała. Luke podniósł kosz, w którym spały psy, wyniósł go na korytarz i zamknął drzwi. Potem ukląkł przed nią.

- Jesteś pewna, że chcesz właśnie tego? Skinęła głową, patrząc mu prosto w oczy.

- Jestem pewna.

- To dobrze.

Myślała, że Luke wstanie, ale pozostał tam, gdzie był, gładząc jej łydki.

- Co się stało?

- Jesteś niecierpliwa jak typowy nowojorczyk - zażartował. - Nie tak szybko, Susannah. Poczekaj chwilę. - Spojrzał na nią błyszczącymi oczami. - Ja nie zamierzam się spieszyć.

Westchnęła, a on się uśmiechnął.

- Kiedy zobaczyłem cię pierwszy raz, miałaś na sobie taką samą spódnicę.

- Na pogrzebie moich rodziców - wykrztusiła. - W zeszłym tygodniu.

- Zastanawiałem się wtedy, jak byłoby mi z tobą. Co musiałbym zrobić, żebyś zdjęła tę spódnicę.

Przełknęła.

- Poproś mnie. Grzecznie.

Przysiadł na piętach.

- Zdejmij dla mnie tę spódnicę. Proszę.

Wstała. Dłonie Luke'a pieściły jej nogi, poruszając się w górę i w dół, gdy zmagала się z guzikiem. W końcu po prostu oderwała go.

- To twoja ostatnia czysta spódnica - skomentował.

- Widzę, że dobrze się bawisz - stwierdziła. Uniósł brwi.

- A ty nie?

Uświadomiła sobie, że sprawia jej to przyjemność.

- Tak.

Stała z rękami na suwaku, tym razem każąc Luke'owi czekać. Gdy jego oczy pociemniały, a dłonie pociągnęły za brzeg spódnicy, wreszcie spełniła jego prośbę. Rozpięła spódnicę i zsunęła ją z bioder.

Wbił pożądlive spojrzenie w koronkowe figi, które Mitra wybrała dla Susannah.

- Ładne - powiedział ochryplym głosem. Susannah zaczęła zdejmować figi, ale ją powstrzymał.

- Jeszcze nie. - Posadził ją na łóżku i zaczął pieścić ustami wewnątrz jej ud, jednego, a potem drugiego.

- Luke - szepnęła, czekając, aż dotknie ją tam, gdzie czuła pulsowanie. Nie zrobił tego, podciągnął tylko do góry jej bluzę i pocałował ją w brzuch.

- Wciąż widzę cię, jak kłęczysz w lesie w samym staniku - powiedział pełnym emocji głosem. - Pokaż mi się taka teraz. Proszę.

Znowu posłuchała, wiedząc, że Luke podnieca w ten sposób i siebie, i ją. Ściągnęła bluzę przez głowę i rzuciła na podłogę. Wziął głęboki oddech i wolno wypuścił powietrze.

- Pięknie. Bardzo pięknie.

Delikatnie rozsunął jej kolana i przykucnął między nimi. Całował jej brzuch, posuwając się w górę aż do miejsca między piersiami. Czekala, wstrzymując oddech, ale on

całował ją dalej. Gdy dotarł do zagłębienia u podstawy szyi, z jej gardła wydobył się zduszony śmiech.

- Czy dobrze się bawisz, Susannah? - spytał. Miała ochotę go udusić.

- Tak. Nie. Do licha, Luke, na co czekasz?

- Zalecam się do ciebie - odparł lekkim tonem. - Nie chcę się spieszyć. Tak długo na ciebie czekałem. - Musnął wargami jej pierś.

- Poznałeś mnie w zeszłym tygodniu.

- Ale czekałem na ciebie od zawsze. - Nagle spowaźniał i spojrzał jej w twarz. - Naprawdę. Wiem, że to brzmi jak banał. Ale to prawda.

Przesunęła kciukiem po jego szczęce, wyczuwając szorstki zarost.

- Wiem. - Pochyliła się i dotknęła wargami jego ust. - Czuję to samo.

- Pragnę cię - wyszeptał drżącym głosem.

- Więc przestań się ze mną drażnić i zrób to wreszcie. Mięsień na jego policzku drgnął.

- Jak mam to zrobić?

- Chcę, żebyś mnie całował.

- Gdzie?

- Wszędzie.

Czuła się, jakby miała eksplodować. Położyła dłonie na policzkach Luke'a i przyciągnęła jego głowę do swoich piersi. Rozpiął stanik ze zdumiewającą łatwością, ale nie zastanawiała się, gdzie posiadał tę umiejętność, bo przywarł wargami do jej ciała. Jęknęła z rozkoszy.

Odsunął się tylko na tyle, by widzieć jej twarz.

- Susannah - wyszeptał. Spojrzała mu w oczy.

- Tak?

- Patrz - wychrypiał. - Patrz na nas.

Spojrzała w lustro wiszące nad komodą i wstrzymała oddech na widok jego ciemnej głowy przy swoich piersiach. Luke chwycił ją za uda i wsunął kciuki za koronkowy brzeg majtek, które nasiąkały jej sokami.

Znów uniósł głowę.

- Chcesz tego?

Drżała tak bardzo, że nie była w stanie wykrztusić choćby słowa. Spojrzał na jej figi, a potem znowu popatrzył jej w oczy.

- Tak - zdołała wyszeptać.

- Poproś mnie - powiedział.

Jej ciało płonęło, ale on się nie poruszał. Czekał. Pochyliła się i szepnęła mu do ucha:

- Zobacz, jak smakuje. Proszę.

Zarzucił sobie jej nogi na ramiona, mruknął z zadowoleniem i wszystko, co Susannah miała do powiedzenia, wyparowało, bo wreszcie dotknął jej ustami tam, gdzie pragnęła. Pieścił ją przez koronkowy materiał, aż w końcu ściągnął jej figi i sięgnął językiem głęboko. Jęknęła przeciągle. Ale orgazm, choć bliski, nie nadchodził.

- Luke. Nie mogę. Wsunął w nią dwa palce.

- Ależ możesz. Zrób to dla mnie, Susannah. Pozwól, żebym to zobaczył.

Zaczął ją całować, wolno i delikatnie. Była już na samej krawędzi. Tak blisko i zarazem wciąż daleko.

- Nie mogę. - Łzy napłynęły jej do oczu.

Podniósł się gwałtownie, ściągnął spodnie i otworzył opakowanie z prezerwatywą.

- Wstań.

Zamrugła, powstrzymując łzy, i spojrzała na niego.

- Co?

Chwyił ją za rękę i przyciągnął do komody.

- Patrz na mnie - powiedział, owijając jej włosy wokół pięści i zmuszając ją, by uniosła głowę. - Patrz mi w twarz.

Patrzyła w lustro, jak kolanami rozchyła jej nogi i wchodzi w nią głęboko jednym zdecydowanym ruchem. Zaczęła szczytować, zaciskając się wokół niego. Twarz Luka stężała, gdy wykonywał mocne pchnięcia, jedno, drugie, wreszcie trzecie, przy którym odchylił głowę i wyszeptał jej imię, po czym opadł na nią ciężko, przyciskając do komody.

Oparła policzek na chłodnym drewnie.

- O mój Boże.

Dyszał ciężko, z każdym oddechem napierając na nią mocniej.

- Udało się - powiedział.

- Tak. - Podparła się na łokciach i spojrzała na niego w lustro. - Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Naprawdę. Roześmiała się.

- Udało mi się. O mój Boże, udało mi się bez... - urwała.

- Bez żadnych akcesoriów - dokończył. - Żadnych pejców, łańcuchów czy kajdank.

Oblała się rumieńcem.

- No właśnie. Uniósł brwi.

- Pomogłem ci w tym. Roześmiała się znowu.

- Tak. A teraz chyba umrę, jeśli natychmiast nie pójde spać. Wyprostował się, wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.

- Gdzie mam spać? - spytał, otuliwszy ją kołdrą. Spojrzała na niego.

- Chcesz być sam o trzeciej nad ranem? Zamrugął powiekami.

- Nie.
- Więc śpij tutaj. Nie będę cię niepokoić. Obiecuję. Zachichotał.
- Biorę cię za słowo.

Dutton, poniedziałek, 5 lutego, godzina 0.45

Bobby obudził rwący ból. Nalała wody do filiżanki ze srebrnej zastawy babki Vartanian i połknęła tabletkę ibuprofenu, którą zostawił jej Charles. Leżała w śpiworze Daniela Vartaniana znalezionym w piwnicy. Na metce widniały inicjały Daniela i numer jego drużyny skautów. Ktoś taki jak Daniel musiał w dzieciństwie należeć do skautów.

Śpiwór pachniał stęchlizną, ale był czysty. Rozłożyła go na łóżku w dawnej sypialni Susannah, usunąwszy wcześniej resztki materaca. Ktoś zdemolował cały dom, tnąc wszystkie poduszki i materace z metodyczną dokładnością. Pewnie Toby Granville albo Randy Mansfield. Szukał klucza Simona do tego cholernego sejfu.

Toby i Simon ukryli w nim obciążające ich zdjęcia. Bobby zabrała je już kilka lat temu. Dzięki Rocky, która pracowała w banku swego wuja, wiedziała, co znajduje się w skrytkach depozytowych należących do mieszkańców Dutton. Świadomość, że zna ich sekrety, podczas gdy oni wciąż traktowali ją jak miernotę, która miała szczęście wyjść za bogacza, dawała jej poczucie władzy.

Teraz to bez znaczenia. Potrzebowała tylko pieniędzy, żeby stąd uciec. Mogłaby sprzedać niektóre pamiątki rodzinne Vartanianów, choćby srebrny serwis należący niegdyś do ich babki. Na myśl o tym uśmiechnęła się. Po tylu latach wreszcie weszła w posiadanie rodzinnych sreber. Wiedziała, że takich skarbów jest więcej. Kiedy dobierze się do Susannah, zmusi ją do pokazania wszystkich schowków w tym starym domu.

A za pieniądze, które dostanie za kosztowności Vartanianów, kupi sobie paszport z fałszywym nazwiskiem. I ze zdjęciem kogoś innego. Musi zmienić wygląd. Jej zdjęcie pokazywano teraz we wszystkich wiadomościach w całym kraju. Może nawet za granicą.

Cholera. Co mi strzeliło do głowy? Mogli mnie złapać.

Zrobiła dokładnie to, czego chciał Charles. Ogarnięta obsesyjnym pragnieniem upokorzenia Susannah Vartanian, próbowała ją zabić na oczach ludzi. Bo tak życzył sobie Charles, który nienawidził Susannah. Ale jego życzenia i uczucia teraz nie mają znaczenia. Teraz liczy się tylko to, czego ja sama pragnę.

A pragnę śmierci Susannah Vartanian. Nawet gdyby miała nastąpić na uboczu. Skoro nie może się stać publicznym przedstawieniem, niech i tak będzie.

Lecz teraz Bobby wiedziała także, że Susannah jest o wiele silniejsza, niż jej się wydawało. Musi dojść do siebie. A potem skończy to, co zaczęła. Niech Charles myśli, że

zabije Susannah dla niego. Ona знаła prawdę. Zabije Susannah, bo tego pragnie. A potem ucieknie.

Atlanta, poniedziałek, 5 lutego, godzina 2.45

Susannah obudził płacz. Uniosła głowę znad poduszki, zdezorientowana. Nie leżała we własnym łóżku i była cała obolała. Jednak zapach cedru i ciche pochrapywanie Thor natychmiast ją uspokoiły.

Przypomniała sobie, że leży w łóżku Luke'a. Tyle że jego w nim nie było.

Odsunęła kódrę i sięgnęła po koszulę Luke'a leżącą na podłodze. Narzuciła ją na siebie.

W piątek rano wsiadłam do samolotu z nadzieją, że to odmieni moje życie, pomyślała, podwijając rękawy koszuli. I tak właśnie się stało.

Darling leżała przed gościnną sypialnią. Drzwi były uchylone, więc Susannah otworzyła je i zajrzała do środka. W rogu pokoju wisiał worek treningowy. Luke obejmował go, a jego ramiona drżały. W ostatnich dniach wiele razy był poruszony, ale to... To była rozdzierająca duszę rozpacz i Susannah poczuła ból w sercu.

- Luke.

Jego nagie plecy zeszywniały. Odsunął się od worka i stanął prosto, ale się nie odwracał.

- Nie chciałem cię obudzić - powiedział sztywno.

- Dochodzi trzecia - odparła. - I tak często się budzę o tej porze. Czy mogę wejść? - Skinął głową, nadal na nią nie patrząc. Poglądziła go po plecach, czując, jak wszystkie jego mięśnie się napinają. - Co się stało? - spytała cicho.

- Dzwonił Nate.

- Nate z komisji do spraw korupcji. - Poczowała ukłucie strachu. - Znaleźli młodsze siostry Becky Snyder? Przyjaciółki Moniki, która zginęła, żeby je chronić.

- Tak. Na płatnej stronie. Nate rozesłał ich zdjęcia, gdy zastaliśmy tamto mieszkanie puste. - Chodziło o mieszkanie, którego adresu Monica Cassidy nauczyła się na pamięć, dotrzymując obietnicy danej Becky, że pomoże jej młodszym siostrze. - Jeden z naszych współpracowników w Europie skontaktował się z Nate'em. Widzieli te dziewczyny. Nate zobaczył je dzisiaj w nocy w internecie. - Luke oparł czoło o worek. - Jest kompletnie załamany.

- Rozumiem.

- Widzimy te dzieciaki, Susannah... Wiemy, że gdzieś tam są i cierpią, ale nie możemy ich odnaleźć.

Przytuliła policzek do jego pleców i objęła go rękami w pasie. Milczała, nie próbując łagodzić jego rozpaczki za pomocą frazesów.

- Nate przez ostatnie dni oglądał taśmy i zdjęcia - mówił dalej. - Powinienem tam być i przeglądać je razem z nim. Zostawiłem go z tym samego.

- I poleciałeś na wakacje na Bali - powiedziała. - Luke nie zdręczaj się. Uratowałeś dziesięć dziewczyn niecałą dobę temu.

- Wiem. Ale to za mało.

- Nie mów tak. Przecież dajesz z siebie wszystko, nie potrafisz inaczej. Musisz się tego trzymać.

Położył ręce na jej dłoniach.

- Tak, muszę.

Znajdziesz Bobby Davis, a potem pomożesz Nate'owi odszukać dziewczynki Snydera i inne dzieci, przez które nie możesz spać. Czy Nate namierzył ojczyzna Becky?

- Nie, ale wiemy, że Snyder przetrzymywał kiedyś dzieci w tym mieście. Nate zamierza pokazać ich zdjęcia w okolicznych szkołach. Może w ten sposób je odnajdzie. Ale one mogą być teraz w każdym miejscu na świecie. Snydera nic nie trzyma w Atlancie.

- Amoże jednak jest coś takiego. Może ta kanalia ma jakieś powiązania, o których nie wiecie. Na jakiej podstawie twierdzisz, że był w Atlancie, kiedy wciąż miał Angel i Becky?

- Na podstawie przedmiotów, które widzieliśmy na zdjęciach. W pokoju, w którym trzymano te dzieciaki, była czapka baseballowa, tomahawk, różne wakacyjne pamiątki. Tego typu rzeczy.

- Przedmioty pochodzące nie wiadomo skąd, które znajdują się w posiadaniu tysięcy ludzi - stwierdziła cicho.

- Tak - przyznał. - To jedno słowo zabrzmiało gorzko i bezradnie.

- Wracaj do łóżka - powiedziała. - Musisz odpocząć. Będziesz jaśniej myśleć.

- Nie mogę spać.

- To chociaż się połóż.

Wzięła go za rękę. Ruszył za nią, ale się zatrzymał, kiedy dotarli do łóżka. Miała na sobie jego koszulę, która rozchyliła się, ukazując ciemne siniaki po kuli wystrzelonej przez Bobby. Znowu ogarnęła go wściekłość, gdy przypomniał sobie, jak niewiele brakowało, aby ją stracił.

- Ty idź spać - powiedział. - Ja pooglądam telewizję. - Znał swoje reakcje, wiedział, że jest zbyt rozjuszony, by ryzykować znalezienie się z nią w jednym łóżku. Była posiniaczona. Pewnie bardzo ją to bolało.

Jestem gotowy do drugiej rundy. Przełknął, kiedy uklękła na materacu i wyciągnęła ku niemu swoje drobne dłonie. Całkiem gotowy.

- Nie zamykaj się przede mną - powiedziała łagodnie. - Ja cię nie odepchnęłam.

- To nie to samo. Ściągnęła brwi.

- Bo jesteś teraz po ciemnej stronie? - Wsunęła palce za pasek jego dżinsów i przyciągnęła go do siebie. - To nie ma dla mnie znaczenia.

Odsunął ją bardzo delikatnie.

- Ale dla mnie ma.

Odwrócił się, żeby odejść, ale ona dobiegła do drzwi wcześniej niż on. Oparła się o nie i uniosła podbródek, patrząc wyzywająco.

- Susannah - ostrzegł. - To nie jest dobra pora.

- Tak samo mówiłeś zeszłej nocy. Wtedy też się myliłeś.

Próbował usunąć ją z drogi, ale zarzuciła mu ręce na szyję i oplótła nogami w pasie.

- Nie odpychaj mnie - szepnęła. Oparł dłonie na drzwiach.

- Przecież sprawię ci ból. Pocałowała go w policzek.

- Chcę ci pomóc.

- Nie możesz.

- Popatrz na mnie - powiedziała cicho.

Pocałowała go w oba policzki, a potem w usta, które trzymał szczelnie zamknięte. Niezrażona, przesunęła głowę w stronę jego ramienia i zaczęła muskać je wargami. Wciąż się opierał, aż w końcu zatopiła zęby w jego ramieniu i mocno ugryzła.

Powściągliwość Luke'a znikła w jednej chwili. Z jękiem ściągnął z siebie dżinsy i drżącymi rękami wyjął z szuflady kolejną prezerwatywę. Bez słowa rzucił się na łóżko razem z Susannah, która wciąż obejmowała go rękami za szyję i nogami w pasie, i mocno w nią wszedł.

Była ciasna i wilgotna. Poruszał się w niej bez opamiętania, aż cała jego złość wyparowała i świat pograżył się w ciemnościach. Jego ciało się naprężyło, wyginając w łuk, gdy doznał najsilniejszego w życiu orgazmu. Zbyt późno uświadomił sobie, że Susannah nie szczytowała razem z nim.

Drżący i przerażony, opuścił głowę, nie mogąc spojrzeć jej w oczy. Nikczemnie ją wykorzystał.

- O Boże! - wykrztusił, gdy odzyskał mowę. - Tak mi przykro. Przepraszam.

- Dlaczego?

Nie wyglądało na to, żeby Susannah była zła lub urażona. Podniósł głowę i spojrzał na nią. Uśmiechała się do niego. Zakłopotany, ściągnął brwi.

- Czy sprawiłem ci ból?

- Troszeczkę. Ale przeżyję. Jak się czujesz?

- Dobrze - odparł oględnie. Przewróciła oczami.
- Proszę. Nie zapominaj, że byłam tutaj. To sprawiło mi cholerną przyjemność.

Odetchnął.

- Mnie też. Ale zachowałem się samolubnie. Nie zatroszczyłem się najpierw o ciebie.

- Wiem. Jestem pewna, że następnym razem nadrobisz to przeoczenie. Więc jak się czujesz?

Jego uśmiech stał się zaraźliwy.

- Cholernie dobrze.

Pochyliła się i pocałowała go w podbródek.

- Widziałam twoją twarz - dodała triumfalnym głosem.

- Widziałas ją już wcześniej.

- Lustra są zdradliwe. Teraz zobaczyłam ją naprawdę. - Jej promienny uśmiech zbladł. - Myślisz, że pozbawiłeś mnie przyjemności. Nie masz pojęcia, co to znaczy, Luke.

- Więc mi powiedz - poprosił cicho.

Jej uśmiech całkiem znikł, a w oczach pojawiła się tęsknota.

- Wiesz, czym było dla mnie siedzenie przy stole z twoją rodziną? Wiesz, że nigdy wcześniej czegoś takiego nie zaznałam? Nigdy. Ani razu w całym moim życiu nie jadłam rodzinnego obiadu z ludźmi, którzy się kochali. Ty mi to dałeś. - Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale położyła mu palec na wargach. - Dałeś mi jeszcze więcej. Pozwoliłeś mi coś dla ciebie zrobić. Jeśli okazałeś się samolubny, to dlatego, że bardzo się o to starałam.

- Nie chciałem sprawić ci bólu. Przyjrzała mu się uważnie i pokręciła głową.

- Nie, nie chciałem się poczuć zraniony. Odwrócił wzrok.

- Masz rację.

- Wiem - odparła sucho. Pochylił głowę.

- Jestem taki zmęczony. A to wszystko nie może się skończyć.

- Wiem - powtórzyła. - Idź spać. Nic się nie zmieni, zanim się zbudzisz.

- A ty? - spytał, unosząc kąćki ust.

- Czy będę tutaj, kiedy się obudzisz? A dokąd mam iść? Nie mam się w co ubrać.

Niechętnie wycofał się z ciepłego wnętrza jej ciała i ułożył ją tak, żeby mogła przytulić się do niego plecami.

- Są jeszcze ubrania, które Stacie dla ciebie kupiła.

- Oddałam je jej. Poza tym nie wyobrażam sobie, żebym mogła pokazać się w nich w sądzie, gdyby Chloe zdecydowała się mnie oskarżyć. Sędzia pomyślałby, że zapuszkowano mnie za ćpanie.

Nie nabrał się na jej ironiczny ton.

- Co zrobisz? - spytał, obejmując ją mocniej. - Czy naprawdę mogą pozbawić cię uprawnień adwokackich?

- Pewnie. Mogę się odwoływać, ale Chloe ma rację. Sala pełna dziennikarzy to złe miejsce na łamanie prawa. Za kilka godzin znajdę się na pierwszych stronach porannych gazet. Wieczorem mówili o mnie we wszystkich telewizyjnych wiadomościach. - Westchnęła. - Stanę się tematem rozmów prowadzonych na przerwach przy automatach z napojami. Kiedy wsiadałam w piątek do samolotu, wiedziałam, że tak będzie. Poradzę sobie. Najgorsze, co może mi się przydarzyć, to duży rozgłos i oskarżenie o popełnienie wykroczenia.

- Nie znalazłaś tej broni w domu swojego ojca, prawda? - spytał cicho, a ona nic nie odpowiedziała. - Susannah?

- Lepiej, żeby niektóre pytania pozostały bez odpowiedzi, Luke. Jeśli będziesz to wiedział, mogą wezwać cię na świadka. A wtedy będziesz musiał powiedzieć. Tak czy owak, drugi raz postąpiłabym tak samo. A ty?

- Też. Tyle, że Leo będzie teraz dostawał na gwiazdkę ładniejsze prezenty. - Odsunął koszulę, którą Susannah miała na sobie, i pocałował jej obnażone ramię. - Czym się zajmiesz, kiedy nie będziesz już mogła być prawnikiem?

- Nie wiem. Myślałam o tym, co powiedziałam dziś temu dziennikarzowi. Że każda kobieta ma prawo decydować, czy chce ujawnić fakt, że została zgwałcona. Jako oskarżyciel namawiałam te kobiety do ujawnienia sprawy.

- Twoja praca polega na tym, by doprowadzić do skazywania przestępców.

- Wiem, że dobrze służę społeczeństwu. Ale podczas procesu... Zawsze myślę o tym, jak by to było, gdybym to ja wystąpiła z taką sprawą. Byłabym taka przerażona. One też są. Muszą przeżywać to wszystko jeszcze raz. Państwo potępia sprawcę, ale tak naprawdę nikt nie opowiada się za osobą pokrzywdzoną.

- Myślisz o tym, żeby bronić ofiar.

- Jeśli nawet zachowam uprawnienia adwokackie, trudno mi będzie występować w sądzie, bo uwaga będzie skupiała się na mnie, nie na ofiarach. Chyba zajmę się czymś zupełnie innym, bez względu na to, co zdecyduje Chloe. Może otworzę sklepik z napojami.

Ziewnął szeroko.

- Czy będziesz sprzedawać napój o smaku wiśniowym?

- Winogronowy - usłyszał jej senną odpowiedź. - Wszyscy lubią winogrona. Śpij, Loukaniko.

Otworzył oczy.

- Co powiedziałaś?

- Że wszyscy lubią winogrona. I żebyś już spał - mruknęła. - No śpij.

- Chodzi mi o tego Loukaniko. Wyciągnęła szyję, by spojrzeć na niego.
- Leo powiedział, że to twoje prawdziwe imię. Dlatego twoja mama mówi na ciebie Lukamou.

Zagryzł wargi, aby powstrzymać śmiech.

- Hm. *Lukamou* znaczy „mój drogi”. A *loukaniko* to wielka tłusta kiełbasa.

Skrzywiła się.

- Och, przepraszam. To wina Leo.

- Mój brat dostanie ode mnie różgę pod choinkę. Przyłgnęła do Luke'a plecami.

- Chociaż Loukaniko też ma sens. Zachichotał.

- Dziękuję.

- Śpij, Lukamou - powiedziała cicho.

Objął ją mocniej i westchnąwszy z zadowoleniem, zapadł w sen.

22

Atlanta, poniedziałek, 5 lutego, godzina 7.45

Co jest w tych pudłach? - spytała Susannah następnego ranka w gabinecie Luke'a.

Spojrzał na nią znad swoich raportów. Wyglądała świeżo i pięknie w czarnej sukience, którą Chloe pożyczyła jej w sobotę. Sukienka pojawiła się w magiczny sposób w szafie Luke'a, kiedy spali, pozbawiona plam z ziemi, krwi i gliny, które pozostały po pogrzebie Sheili Cunningham. Dobrze mieć w rodzinie kogoś, kto prowadzi pralnię chemiczną.

- Księgi pamiątkowe ze wszystkich szkół znajdujących się w promieniu czterdziestu kilometrów od Dutton - odparł. - Korzystaliśmy z nich w zeszłym tygodniu przy identyfikacji ofiar ze zdjęć Simona.

Przykucnęła na podłodze i otworzyła jedno z pudeł.

- Czy jest tutaj księga mojego rocznika?

- Nie. Dałem ją Danielowi. Pewnie jest w jego gabinecie. Czemu pytasz?

- Po prostu jestem ciekawa, czy naprawdę wyglądałam tak, jak zapamiętałam. Z perspektywy czasu często wszystko wydaje się inne.

- Nie masz żadnych zdjęć z ostatniej klasy?

Spojrzała na niego.

- Po co mi one? Chciałam zapomnieć o tamtych czasach.

- A ja mam twoje zdjęcie. - Nieco zakłopotany, wyjął z kieszeni portfel. - Przeglądałem roczniki i zobaczyłem twoją fotografię. Dużo o tobie myślałem od chwili, gdy zobaczyłem cię na pogrzebie twoich rodziców, więc sobie zrobiłem... fotokopię. Myślałem nawet, żeby pojechać do Nowego Jorku i się z tobą spotkać. Sprawdzałem, ile kosztuje bilet na samolot i tak dalej.

Przysiadła na piętach, uśmiechając się z zadowoleniem.

- Nieprawda.

- Prawda. - Podał jej złożoną kartkę i przyglądał się, jak Susannah rozkłada ją niepewnie.

Jej uśmiech przygasł.

- Wyglądam smutno.

- Wiem - odparł cicho. - Tak właśnie pomyślałem. Przełknęła z trudem i oddała mu kartkę.

- Czemu to skopiowałeś?

- Ponieważ wydałaś mi się najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem, mimo że byłaś smutna.

Oblała się rumieńcem.

- To miłe.

Susannah wróciła do przeglądania ksiąg, a Luke do swojej papierkowej roboty. Przez kilka minut panowała cisza, a potem Susannah odezwała się znowu.

- Luke, już wiem, dlaczego Kate Davis przezywano Rocky. - Położyła księgę pamiątkową na jego biurku i zaglądała mu przez ramię, gdy przyglądał się zdjęciu. Na fotografii widniała młoda dziewczyna z nieprawidłowym zgryzem i okularami o grubych szklach. - To Kate Davis.

Luke nie mógł uwierzyć, że tak nieatrakcyjna dziewczynka wyrosła na przystojną kobietę, którą znał.

- Żartujesz.

- Nie. Aparat korekcyjny i makijaż potrafią zdziałać cuda. Dopiero gdy zobaczyłam to zdjęcie, przypomniało mi się, że dzieciaki nazywały ją „Rocky”. Od tej wiewiórki. No wiesz, z tej kreskówki. Z Bullwinkle'em - dodała, gdy Luke spojrział na nią zdezorientowany.

- Och, już wiem. Ale dlaczego?

Susannah ściągnęła brwi, sięgając pamięcią wstecz.

- To się zaczęło na jednym ze szkolnych przedstawień teatralnych. W naszej szkole było dwanaście poziomów, więc chodziły tam też małe dzieci. Wystawiali *Królową Śnieżkę* i do ról leśnych stworzeń wzięli maluchy. Jakaś bezmyślna nauczycielka wybrała Kate do roli wiewiórki. Kate miała wtedy nie więcej niż osiem czy dziewięć lat.

Luke spojrział na zajęcze zęby małej Kate.

- To było okrutne.

- Potem zaczęli nazywać ją wiewiórką Rocky, a Gartha, jako że był duży, przezywali Bullwinkle'em. On nie miał nic przeciwko temu, ale Kate wcale się to nie podobało. Pamiętam, jak płakała. - Susannah westchnęła. - Powinnam była wtedy coś powiedzieć, ale to było zaraz po... po tym, jak Simon i inni zrobili to, co zrobili. Zamknęłam się wtedy w sobie.

- To zrozumiałe. - Luke obrócił się na krześle i postanowił wreszcie zadać jej pytanie, które go dręczyło. - Susannah, skąd wiedziałaś, że Simon cię zgwałcił?

Skrzywiła się.

- Pokazał mi zdjęcie. Wyraźnie widać na nim protezę Simona.

- Co się stało z tym zdjęciem?

- Nie wiem. Pokazał mi je, a potem zabrał. Ale je widziałam, a Garth Davis zarzuca mi kłamstwo... To jeszcze pogarsza sprawę.

Luke zawahał się, a gdy spojrziała na niego wyjaśnił:

- Dziwne, że tego zdjęcia nie było w kolekcji Simona. Ani tej odnalezionej przez Daniela, ani w pudle, które ty znalazłaś.

Zmrużyła oczy.

- Nie wierzysz mi?

- Wierzę - zapewnił i mars na jego czole złagodniał. - Oczywiście, że ci wierzę. Zastanawiam się tylko, kto je zrobił i co się z nim stało. - Ujął jej dłoń w swoje ręce. - Nie przejmuj się tym. Pogadamy z Garthem po porannej naradzie. Może wie, gdzie ukrywa się Bobby: A teraz muszę iść. - Cmoknął ją w usta.

- Luke. - Susannah miała oczy szeroko otwarte, a dłonie zaciśnięte tak mocno, że aż zbiały jej kostki. - Powiedz Chloe, żeby podjęła decyzję. Chciałabym wiedzieć, co postanowiła.

Atlanta, poniedziałek, 5 lutego, godzina 7.55

- Wyglądasz lepiej - powiedział Chase do Luke'a, kiedy ten usiadł przy stole konferencyjnym.

- Ty nie - odparł Luke. - Są jakieś wieści o Leigh?

- Nie. Rozmawiałem z jej rodziną. Nikt nie ma pojęcia, dlaczego to zrobiła.

W pokoju zebrała się reszta zespołu. Z wyjątkiem Eda i Chloe wszyscy wyglądali na wyspanych, lecz znużonych. Gdy Luke przechodził koło Eda, ten wsunął mu do ręki karteczkę z informacją: „Ojcostwo Loomisa potwierdzone”.

A więc mieli odpowiedź przynajmniej na jedno ważne pytanie. Luke spojrzał Edowi w oczy i skinął głową.

- Podzielisz się wiadomością z tej kartki z resztą klasy? - spytał Chase.

- Tak - odparł Luke. Teraz, gdy Susannah powiedziała o wszystkim bratu, zgodziła się, by przekazał tę informację innym. - Angie Delacroix, fryzjerka z Dutton, wyjawiała Susannah, że Arthur Vartanian nie był jej biologicznym ojcem, a jej matka miała romans z Frankiem Loomisem. Ed przeprowadził badania i uzyskał potwierdzenie. Biologicznym ojcem Susannah był Frank Loomis.

Chase zamrugał.

- No cóż, tego się nie spodziewałem.

- Ona też nie - stwierdził Luke. - Wygląda na to, że Frank Loomis rozwiązał wiele problemów Simona, między innymi fałszując dowody rzeczowe w sprawie Gary'ego Fulmore'a.

- To sporo wyjaśnia - wtrąciła Chloe. - Dopilnuję, żeby ta informacja znalazła się w aktach. Śledztwo w sprawie Loomisa rozpoczęliśmy na dzień przed tym, jak został zabity.

- A tak przy okazji, Chloe - powiedział Luke - Susannah chciałyby się dowiedzieć, co postanowiłaś.

Chloe spojrzała na niego z nietęgą miną.

- Przez całą noc nie zmrzyłam oka, Luke. Bardzo mi przykro, ale muszę wnieść oficjalne oskarżenie.

Powstrzymał się przed ostrym komentarzem.

- Przynajmniej sprawa jest jasna - rzekł tylko. - Powiedz im, o co chodzi - dodał, widząc konsternację na twarzach zebranych.

- Susannah Vartanian miała wczoraj przy sobie broń bez pozwolenia - wyjaśniła Chloe.

- O mój Boże! - westchnęła Talia.

- To niemądre - wtrącił Pete. - Mam na myśli dolewanie oliwy do ognia.

- Ale odsiadka jej nie grozi. Prawda, Chloe? - spytał Chase.

- Nie. Praca społeczna na rzecz społeczności lokalnej, ale bez odsiadki - Spojrzała na Luke'a i po raz pierwszy w życiu zobaczył butną Chloe bliską łez. - Przykro mi.

Poklepał ją po dłoni.

- Ona nie ma o to pretensji. Powiedziała, że sama postąpiłaby podobnie.

- Mimo wszystko to jest obrzydliwe - wybuchła Chloe.

- Tak jak wszystko, co wydarzyło się w zeszłym tygodniu - rzekł Chase.

- Ed, byłeś zajęty w nocy. Powiedz, czego się dowiedziałeś.

- Kilku rzeczy. Zdjęliśmy odciski palców ze strzykawek znalezionych w bunkrze i okazało się, że pasują do tych ze szpitala. - Wyciągnął ze swojej teczki zdjęcie. - Jeff Katowsky, lat trzydzieści dziewięć. Jest pielęgniarzem. Znaleźliśmy go dziś rano. Ukrywał się w piwnicy swojej matki.

- To on próbował zabić Ryana Beardsleya? - spytał Luke.

- Przyznał się - odparł Chase. - Jakaś kobieta się z nim skontaktowała i groziła mu, że ujawni, iż jest uzależniony od narkotyków, jeśli on nie zabije Beardsleya. Tak jak w przypadku tej pielęgniarki Jennifer.

- Skąd Bobby zna tajemnice tych ludzi? - zastanawiała się Nancy. - Musi mieć jakieś źródło informacji. Kto wiedział o problemie Jeffa Katowsky'ego z narkotykami?

- On tego nie powie - odparł Chase. - Chloe zaproponowała mu ugodę, ale nadal nie chce mówić.

- Był naprawdę przerażony - wtrąciła Chloe. - Gdy zapewniliśmy, że będziemy go chronić, tylko się roześmiał.

- Tak jak Michael Ellis, zabójca Darcy - stwierdził Luke. - To nie przypadek.

- Chloe, czy poprosiłaś Alę Landersa, żeby jeszcze raz przycisnął Ellisa? - zapytał Chase.

- Dzwoniłam do niego przed naradą, ale jeszcze go nie było. - Wyciągnęła z torebki palmtopa. - Po wczorajszym wieczornym zebraniu wysłałam mu maila. - Zaczęła przeglądać wiadomości; po chwili uniosła wzrok, zafrasowana. - Jest odpowiedź. Píše, że wybiera się dziś do więzienia, ale nie dostał tego portretu pamięciowego, który wysłaliśmy faksem.

Luke zmarszczył brwi.

- Susannah powiedziała, że plastyczka dała ten portret Leigh.

- Cholera. - Chase zatelefonował do nowej sekretarki. Rozmawiał z nią chwilę, a potem skrzywił się z niezadowoleniem. - Nie ma żadnego potwierdzenia o wysłaniu faksu do Nowego Jorku. Leigh nie wysłała portretu, nie ma go też w jej biurku.

- Plastyczka ma kopię - powiedział Pete. - Możemy wysłać portret teraz.

- Tak, możemy - przyznał Luke. - Ale dlaczego Leigh tego nie zrobiła? Wygląda na to, że grała na obie strony, udzielając informacji Bobby i nam. Zastanawiam się, co jeszcze przed nami zataiła.

- Przez całą noc przeglądałem wykaz rozmów z jej telefonu służbowego i gorącej linii - oznajmił Chase. - Wydaje się, że mówiła nam o wszystkim, czego się dowiedziała.

- Może знаła tego mężczyznę - rzekł Luke. - A może Bobby zabroniła jej wysłać portret.

Chase zastanawiał się chwilę.

-

Chyba masz rację. Poproszę nową sekretarkę, żeby skontaktowała się z tą plastyczką. Wyślemy portret i zobaczymy, co się stanie. A teraz skupimy się na ustaleniu tożsamości tego mężczyzny, którego Monica słyszała w bunkrze. Może być jedyną osobą, która zechce pomóc Bobby w ucieczce.

- Mansfield robił Granville 'owi zdjęcia, aby mieć zabezpieczenie na wypadek, gdyby doktor wszedł mu kiedyś w drogę - przypomniał Ed. - Może ten facet jest na jednym z nich?

Luke'owi zrobiło się niedobrze na myśl o ponownym oglądaniu tych fotografii.

- Przejrzyj.

Chase spojrział na niego ze współczuciem.

- Mogę zlecić komuś innemu.

- Nie. Sam to zrobię. Muszę znaleźć tego człowieka. - Gdyby okazało się to ponad jego siły, miał do kogo się zwrócić. Zastanawiał się, czy Susannah jest do końca świadoma, z czym się zaoferowała, a potem przypomniał sobie pierwsze popołudnie w jego samochodzie. „I z każdym dniem coś w tobie umiera”. Zdawała sobie z tego sprawę. Wiedziała o tym z własnego doświadczenia. To sprawiało, że jej pomoc wydawała mu się jeszcze cenniejsza. -Ale najpierw chcę porozmawiać z Garthem Davisem. Może wie, gdzie ukrywa się jego żona.

- Dziś po południu usłyszysz zarzuty - powiedziała Chloe. - Przewiozą go około jedenastej.

- Czy możesz się postarać, żeby pozostał w areszcie? - spytała Talia.

- Spróbuję, ale nie sądzę, żeby mi się udało. Prawdopodobnie jednak ustalą wysoką kaucję, więc pewnie wyjdzie na jedno. Konto Davisa jest puste. Wygląda na to, że Bobby wyczyściła je tuż przed ucieczką.

- Garth odzyska te pieniądze? - spytała Nancy Chloe wzruszyła ramionami.

- Jeśli zdołamy oddzielić jego fundusze od dochodów Bobby - odparła niewinnie. - Znaleźliśmy stan jej lokat bankowych na twardym dysku, nie ma więc problemu.

- Na dysku Bobby jest mnóstwo różnych informacji - oznajmił Ed. - Wzbogaciła się, sprzedając dzieci zamożnym zbrodźcom. Jesteśmy zbyt zajęci dokumentowaniem jej transakcji, żeby się zastanawiać, które pieniądze należą do Gartha. Davis może pognić sobie trochę w areszcie.

- I bardzo dobrze - podsumował Luke. - Czy to wszystko? Chciałbym zobaczyć się z Garthem, zanim go przewiozą.

- Jeszcze chwileczkę - odparł Chase. - Pete, weź kopię tego portretu pamięciowego i przejdź się z nim w parę miejsc. Pokaż go przyjaciołom Leigh i jej rodzinie i spytaj, czy poznającego człowieka. Musimy ustalić, kto to jest. Talio, skontaktuj się z policją w Ar-

kansas. Dowiedz się wszystkiego, co się da, o dzieciństwie Bobby i ewentualnych ludziach, do których mogła się zwrócić o pomoc. Ed, czym się teraz zajmujesz?

- Sprawdzamy producentów betonu.

- Po co? - spytał Pete.

- Pamiętajcie, jak wam mówiłem, że podłoga w bunkrze jest stara, ale ściany są, nowe, z prefabrykatów? No więc zgadnijcie, kto miał w domu betonowe ściany z prefabrykatów o identycznym składzie.

- Mansfield - odparła Nancy, pstrykając palcami. - W tym pomieszczeniu w piwnicy, gdzie trzymał cały swój arsenał i pornografię dziecięcą.

- Zgadza się. Mam listę zakładów wyrabiających beton, które stosują takie same składniki - powiedział Ed. - Może ktoś poza Mansfieldem korzystał z usług tych firm.

- A co z kluczem do skrytki depozytowej Granville'a? - spytała Nancy.

- Sprawdźcie to - polecił Chase. - Wszystkie banki są dziś otwarte. Sprawdźcie, czy Granville nie miał sejfu w którymś z nich. Germanio bądź w Dutton na dziesiątą. Pogrzeb Janet, córki kongresmana Bowiego, jest w południe.

- To pierwsza ofiara Macka O'Briena z zeszłego tygodnia - powiedziała Chloe. - Media będą miały ucztę. Wszędzie pełno polityków i dziennikarzy. Może Bobby też się pokaże.

- Może. Zorganizowałem monitoring, a na nabożeństwie i potem na cmentarzu będą agenci w cywilnych ubraniach. - Chase spojrzał na Germanio. - Dam ci listę agentów, którzy się tam wybierają. Chcę, żebyś nimi zawiadywał. Będziemy prowadzić obserwację w kościele, ale cmentarz trudniej kontrolować. Po pogrzebie szykuje się jakiś lunch dla przedstawicieli mediów. Postaram się dla ciebie o wejściówkę.

Germanio skinął głową.

- Będę tam.

- Dobrze. Spotkamy się znowu o piątej. Możecie iść. - Chase wskazał Luke'a i Chloe.

- A wy dwoje zostańcie.

- O co chodzi? - spytał Luke, kiedy pozostali wyszli.

- Dziś w nocy, kiedy przejrzałem wykaz rozmów telefonicznych Leigh, dokończyłem pamiętnik Jareda O'Briena. Opisał ze szczegółami wszystkie gwałty, jakich dokonali ci chłopcy. Nie ma jednak nic na temat zgwałcenia Susannah. - Chase westchnął. - Jared był takim dupkiem, że gdyby do tego doszło, z pewnością przechwalałby się tym w swoim pamiętniku. Chciał... wybrać Susannah, ale Simon się na to nie zgodził.

- Ponieważ sam to wcześniej zrobił - mruknął Luke Chase ściągnął brwi.

- Co o tym wiesz? - spytał. Luke westchnął.

- Simon pokazał Susannah zdjęcie, na którym ją gwałci. Chase pokręcił głową.

- Jared wyraźnie napisał, że Simon nigdy nie brał udziału w gwałtach. Gdzie jest to zdjęcie?

- Ona nie wie.

- Więc to był Simon i przynajmniej jeszcze jedna osoba - powiedział Chase. - Ten, kto zrobił zdjęcie.

- Granville - wycodził Luke przez zęby. - To mógł być Granville.

- W takim razie możliwe, że Garth Davis mówi prawdę - stwierdziła Chloe.

- Wiem - odparł Luke. - A skoro on...

- ..nie zgwałcił Susannah - powiedział Chase - i jest jedynym z tych siedmiu, który przeżył...

- ..to ona zgłosiła się na darmo - dokończyła Chloe. - Niech to diabli.

- Wcale nie na darmo. - Głowy całej trójki obróciły się w stronę drzwi, w których stała Susannah, trzymając przy piersi szkolną księgę pamiątkową. - Zgłosiłam się dla siebie, po to, by odzyskać własne życie. - Napotkała wzrok Luke'a i uśmiechnęła się. Odwzajemnił uśmiech, choć serce mu pękało. Susannah odchrząknęła. - Znalazłam coś, co powinniście zobaczyć. - Położyła księgę na stole i otworzyła ją. - Byłam zbyt zdeenerwowana, żeby siedzieć spokojnie, więc zaczęłam przeglądać księgi z pudła. Ta jest ze Springfield High, które znajduje się około trzydziestu kilometrów od Dutton. - Wskazała jakieś zdjęcie. - Spójrzcie.

- Marcy Linton. - Chase popatrzył na nią lekko skonsternowany. - Nie rozumiem.

- Nie znałam jej pod imieniem Marcy Linton, ale Darcy Williams - odparła Susannah.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym wszyscy westchnęli.

- Więc ona dorastała trzydzieści kilometrów od miejsca, gdzie mieszkałaś, ale poznałaś ją w Nowym Jorku - powiedział Luke.

- To nie mógł być przypadek - odparła Susannah. - Ona była w jakiś sposób częścią planu. Chcę wiedzieć, co poszło nie tak tamtej nocy, kiedy została zamordowana.

- Racja - rzekł Chase. - Musimy dowiedzieć się więcej o pannie Marcy Linton. Talia ma dzwonić na policję w Arkansas, żeby zasięgnąć informacji na temat przeszłości Bobby. Kiedy to zrobi, poproszę ją, żeby poszukała czegoś o rodzinie Lintonów.

- Chciałabym się tym zająć razem z nią - oznajmiła Susannah. - Proszę cię, Chase. Darcy, którą znałam, powiedziała, że uciekła z domu i nie ma rodziny. Była moją przyjaciółką, w każdym razie tak mi się wydawało. Pochowałam ją w Nowym Jorku.

- Zapłaciłaś za jej pogrzeb? - spytała Chloe.

- Nie mogłam pozwolić, żeby pochowali ją w kwaterze dla bezdomnych. Jeśli miała rodzinę, ci ludzie powinni się dowiedzieć, co jej się przydarzyło. Proszę, pozwólcie mi jechać z Talią.

- Dopóki nie znajdziemy Bobby, wolałbym, żebyś pozostała w tym budynku, gdzie nic ci nie grozi - powiedział stanowczo Luke.

Susannah pokręciła głową.

- A jeśli ona uciekła? Jeśli nigdy jej nie znajdziecie? Nie mogę wiecznie się ukrywać, Luke. Talia to dobra policjantka. Będę z nią bezpieczna i obiecuję, że zachowam ostrożność. Ale najpierw muszę porozmawiać z Garthem Davisem.

Charlotte, Karolina Północna, poniedziałek, 5 lutego, godzina 8.45

Agent specjalny Harry Grimes właśnie kończył raport na temat uprowadzenia i odnalezienia Eugenie Cassidy, gdy zadzwonił telefon.

- Grimes.

- Harry, tu Steven Thatcher. Znaleźliśmy samochód doktora Cassidy. Ojca Genie i Moniki.

- O rany, Steven. Gdzie?

- W jeziorze Gordon. Wczoraj był tam konkurs wędkarski i jakiś wędkarz natknął się na samochód Cassidy'ego. Zadzwonił do nas, kiedy usłyszał w wiadomościach, że odnaleziono Genie, ale nadal nie wiadomo, gdzie jej ojciec. Wysłaliśmy ekipę, żeby przeszukała jezioro.

- W takim razie już jadę.

- A jak tam Genie? - zapytał Steven.

- Nikt jej nie tknął - odparł Harry. - Ale wciąż jest w szoku. Monica... to inna historia. Rozmawiałem dziś rano z jej matką. Monica ma przed sobą trudne zadanie. Szkoda, że nie udało nam się zapobiec tej tragedii.

- Ona żyje - rzekł Steven. - Nie zapominaj o tym. Co wiadomo o tym Jasonie?

- Rzekomy „Jason” okazał się grupą złożoną z dwóch kobiet, lekarza i zastępcy szeryfa. Wszyscy nie żyją oprócz starszej z kobiet. Genie rozpoznała tę młodszą; twierdzi, że to ona ją uprowadziła.

- Czy to możliwe, żeby ktoś z tej czwórki zabił doktora Cassidy, zakładając, że to jego samochód znaleźliśmy?

Harry zerknął do swoich notatek.

- Nie - odparł. - Biorąc pod uwagę czas, w którym sąsiad Cassidy'ego widział jego odjeżdżający samochód, nie mogła to być żadna z kobiet. Młodsza została zastrzelona w południe w Georgii, a starszą widziano na miejscu zbrodni. Prawdopodobnie właśnie ona zabiła tę młodszą.

- A co z tym zastępcą szeryfa?

- Zginął w piątek, w dniu, kiedy Monica uciekła. Tego lekarza też zastrzelono.
- Cholera! - zaklął Steven - Mają tam niezłe zamieszanie.
- Nie sądzę, żebyśmy wiedzieli o wszystkim. Rozmawiałem z Lukiem Papadopoulosem z Atlanty. Mówi, że szukają przynajmniej dwóch osób - tej starszej kobiety i kogoś jeszcze.
- Co wiesz o uprowadzeniu Genie?
- Porwano ją z nocnej knajpy o nazwie Mel's.
- Na twoim miejscu sprawdziłbym ten lokal.
- Już to zrobiłem na kilka godzin przed znalezieniem Genie. Zresztą Genie stwierdziła, że porwała ją ta młodsza kobieta, a ona już nie żyje.
- Powiedziałeś, że ta młodsza nie mogła być zamieszana w uprowadzenie ojca Genie, więc mamy co najmniej jeszcze jednego gracza. Może to ten sam, którego szuka Papadopoulos z Atlanty. Czy w tej knajpie mają kamery?
- Tylko przy kasie. Ale... - Harry znowu zajrzał do notatek - po drugiej stronie drogi jest bankomat. Może kamera stamtąd obejmuje interesujący nas teren.
- Jedź tam i sprawdź to, chłopcze. Dam ci znać, gdy znajdziemy doktora Cassidy'ego.

Atlanta, poniedziałek, 5 lutego, godzina 9.35

Stojąc przed pokojem przesłuchań, w którym czekał Garth Davis, Susannah czuła, jak przewraca jej się w żołądku.

- Boję się, Luke - wydusiła. Objął ją.
 - Nie musisz tam wchodzić. Ja z nim pogadam.
 - Powinnam to zrobić. - Wzięła głęboki oddech. - Miejmy to wreszcie za sobą.
- W pokoju była już Chloe. Siedziała naprzeciwko Davisa i jego adwokata.
- Garth - powiedziała cicho Susannah i opadła na krzesło, które podsunął jej Luke.
 - Susannah - odparł. - Dawno się nie widzieliśmy.
 - Owszem, dawno. - Przyglądała się jego twarzy, ale nie okiem oskarżycielki, lecz kobiety, w której życiu przez długi czas panował zamęt. Garth był mizerny, blady. Miał zaledwie trzydzieści dwa lata, a wyglądał... staro. Tak staro, jak ona się czuła. Davis spojrzał na Luke'a.
 - Znaleźliście moich synów. Dziękuję. Luke skinął lekko głową.
 - Powiedzieliśmy, że ich odnajdziemy.
 - Oglądałem wiadomości. Przysięgam, że nie miałem pojęcia, czym zajmowała się Barbara Jean.

- Próbowala mnie wczoraj zabic - oznajmila Susannah. Garth popatrzył na nią udręczonym wzrokiem.

- Wiem.

- Czy wiedziałeś, że ona mnie nienawidzi?

- Nie.

- A że jest córką Arthura Vartaniana? Otworzył szeroko oczy.

- Naprawdę?

- Tak. - Susannah już wiedziała, o co chce zapytać. - Czy zgwałciłeś piętnaście dziewczyn?

- Nic nie... - zaczął adwokat, ale Davis uciszył go gestem.

- Wystarczy. Nie wywinę się z tego. Mają zdjęcia i pamiętnik. Moja siostra nie żyje, podobnie jak wiele innych osób. Już wystarczająco dużo ludzi zginęło za grzechy garstki głupich podrostków.

- Moja pierwsza oferta jest wciąż aktualna, panie Davis - wtrąciła Chloe. - Piętnaście lat.

- Ta umowa jest do niczego - oznajmił adwokat Davisa. - On był młodociany, na miłość boską.

- Miał siedemnaście lat.

- Tylko w przypadku połowy zarzutów - zaproponował prawnik. Chloe przewróciła oczami.

- Być może. Ale jeśli sędzia nakaze odbywać te kary kolejno, twój klient spędzi w więzieniu resztę życia.

- Żaden sędzia tego nie robi - prychnął adwokat. Garth pokręcił głową.

- Przestań, Sweeney. Nie zdołasz mnie z tego wyciągnąć.

- Będziemy się domagać zmiany miejsca rozprawy - oświadczył prawnik. Garth zaśmiał się gorzko.

- Na jakie? Na Marsie? Nie ma takiego miejsca, gdzie nie słyszeli o klubie nadzianych gwałcicieli. - Wykrzywił usta. - Przyjmę propozycję pani Hathaway. Wyjdę akurat na czas, żeby zobaczyć swoje wnuki. Tak, Susannah, trzynaście lat temu zgwałciłem piętnaście dziewczyn. Uwikłałem się w to, bo... uważałem, że dzięki temu staniemy się mężczyznami. Ale przysięgam, że nie zgwałciłem ciebie.

Wierzyła mu. Jednak mimo wszystko...

- Może raz zostałeś pominięty.

- Nie sądzę. - Wzruszył ramionami. - Inni by się przechwalali. Wszyscy byli wtedy na ciebie napaleni. Byłaś super, z klasą i... taka nieosiągalna.

- Raczej zamknięta w sobie i zniszczona psychicznie - odparła spokojnie. - Byłam ofiarą gwałtu.

- Naprawdę mi przykro. Ale to nie ja ani nie tamci. Na pewno by się tym chwalili, zwłaszcza Jared O'Brien. - Przerwał i westchnął. - To mógł być Granville.

- Dlaczego pan tak sądzi, panie Davis? - spytała Chloe.

- On zawsze wszystkim kierował i wiedzieliśmy o tym, chociaż nikt nie powiedział tego głośno. Za bardzo baliśmy się Simona, żeby twierdzić, że to nie on jest przywódcą. Ale to Toby Granville dyktował warunki. On wybierał dziewczyny, daty i miejsca.

- To jednak nie wyjaśnia, dlaczego pan uważa, że Granville to zrobił - powiedziała Chloe.

Garth przymknął oczy.

- Nie chcę o tym mówić.

- Panie Davis - rzekła Chloe - jeśli nie zależy panu na mniejszym wyroku. ..

- Zależy mi, do cholery - warknął. - Zawsze chcieliśmy dorwać Susannah, rozumie pani?

Susannah chwyciła Luke'a za rękę i mocno ją ścisnęła. Garth mówił, jakby zapomniał, że ona też jest w pokoju.

- Co was powstrzymywało? - spytała Chloe chłodno.

- Granville. Simon powiedział: „Tylko nie moją siostrę”, jakby bronił swojego terenu. Swojej własności. Zawsze uważaliśmy, że Simon zgwałciłby nawet własną matkę, bo był do tego zdolny. I zrobił to.

Susannah popatrzyła na niego z przerażeniem.

- Czy chce pan powiedzieć, że Simon utrzymywał stosunki seksualne z własną matką? - spytała Chloe, wciąż zachowując chłodny ton.

- Tak, właśnie o tym mówię, ponieważ tak twierdził Simon. Zresztą miał zdjęcia - dodał zdegustowany. - Simon nie dbał o Susannah. Myślał tylko o sobie.

- Ale reszta chłopaków chciała Susannah?

- Tak. Aż pewnego dnia Granville odciągnął nas na bok i powiedział, żebyśmy przestali się tego domagać, bo jak to określił: „Susannah jest już zdobyta”.

- Przez kogo?

- Przez niego. Toby'ego Granville'a. Tak to zrozumieliśmy. - Ramiona Davisa opadły, gdy zwrócił się ponownie do Susannah: - Przykro mi. Myśleliśmy, że dopadł cię Granville. Że wiesz o tym. Byłem zaskoczony, kiedy mnie oskarżyłaś. Taka jest prawda.

Susannah nagle wydało się, że w pokoju brakuje powietrza. Nie powiedziała ani słowa, tylko mocniej zacisnęła dłoń na ręce Luke'a.

- Mam kilka pytań, panie Davis - powiedział Luke. - Po pierwsze, czy wie pan, gdzie ukrywa się pańska żona?

- Gdybym wiedział, powiedziałbym wam. Powinna opiekować się chłopcami, kiedy ja tkwię tutaj i nie mogę ich bronić. Tak więc gdybym wiedział, gdzie ona jest, powiedziałbym wam ze względu na moje dzieci.

- Z kim się przyjaźniła?

- Z Marianne Woolf, ale mój adwokat powiedział, że Barbara ją też uprowadziła. Raz w tygodniu chodziła do salonu Angie. Może Angie wie, z kim moja żona się kontaktowała. Ponoć ma przyjaciół w Atlancie. Często umawiała się z nimi na lunch. - Podał kilka nazwisk.

Luke pokręcił głową.

- To nazwiska klientów, które znaleźliśmy na jej komputerze. Garth wzruszył ramionami.

- To chyba normalne, że umawiała się na lunch z klientami.

- Co to byli za klienci? - spytała Chloe. Garth przeniósł wzrok z Luke'a na nią.

- Barbara mówiła, że zajmuje się dekoracją wnętrz - odparł.

On nie ma o niczym pojęcia, pomyślała Susannah. Gdyby sam nie był takim potworem, współczułaby mu.

Po minie Luke'a poznała, że on też nie żałuje Gartha. Wydarł kartkę ze swojego notosu i narysował na niej swastykę o półkolistym zagiętych krawędziach.

- Poznaje pan to? Garth zamrugał.

- Tak. - Spojrzał na Chloe. - Zanim powiem coś więcej, domagam się złagodzenia wyroku żadanego przez oskarżenie. Wtedy będę z wami współpracował. I chciałbym odsiadywać karę gdzieś blisko, żeby móc się widywać z synami.

- To zależy, co chce pan powiedzieć - odparła Chloe. - Wiemy już, że Granville miał sygnet i naszyjnik z takim symbolem. Czy mam pan do wyjawienia coś jeszcze?

- Owszem, mam - rzekł Garth. Chloe skinęła głową.

- W takim razie mogę wniesić o to, żeby odsiedział pan karę gdzieś bliżej.

- Gdzieś bliżej. - Davis skrzywił się, słysząc jej wymijającą odpowiedź. - Uwielbiam te prawnicze zagrywki. Nie wiedziałem, że Granville też miał taki pierścień. Moja żona miała podobny. Był to duży męski sygnet. Twierdziła, że należał do jej ojca. Po-

wiedziałem jej, że nie powinna trzymać go w domu. Nie chciałem, żeby zobaczyły go dzieci. Przyznała mi rację i obiecała, że pozbędzie się sygnetu. Nigdy więcej go nie widziałem.

- Proszę go dokładnie opisać - zażądał Luke.

- Masywny i srebrny. Sam symbol, o ile dobrze pamiętam, był wypukły.

- A jakiej wielkości?

- Dziesięciocentówki, może trochę większy. - Jego oczy się zwęziły. - Czemu pan pyta?

- Czy pan wie - wtrąciła Chloe - że Kate miała taki znak wypalony na biodrze?

Wyraźnie się zdziwił.

- Co? Niemożliwe.

- Jakie były stosunki pańskiej żony z pańską siostrą? - zapytała Chloe. Szczeka mu opadła.

- Sugeruje pani, że one utrzymywały ze sobą... stosunki seksualne?

- Nie - odparła Chloe. - A pan tak uważa?

- Ależ skąd - zaprzeczył przerażony. - Były jak siostry. Barbara bardzo troszczyła się o Kate. Dbała, żeby ubierała się stosownie, uczyła ją, jak zachowywać się w towarzystwie. Mój Boże. - Garth wydawał się załamany.

- Moja żona z moją siostrą?

- Wie pan chyba, że pańska żona prowadziła interes związany z prostytutką i sprzedawała klientom nieletnie dziewczęta? - spytała Chloe spokojnie.

- Owszem, czytałem o tych dziewczynach... - Ramiona mu opadły. - Ale wcześniej o niczym nie wiedziałem. Nie miałem pojęcia, co się dzieje w moim własnym domu. Czy ona... molestowała moich synów?

- Na razie nic na to nie wskazuje - odparła Chloe. - Gdy zostanie im przyznana opieka prawna, sąd zaleci, aby chłopców zbadał psycholog. Był pan z nami szczery, więc i ja nie będę niczego przed panem ukrywać. Mamy dowody na to, że pańska żona pracowała jako droga prostytutka, zanim został pan wybrany na burmistrza Dutton.

Garth osunął się na krzesło.

- Co takiego?

- Znaleźliśmy informacje na ten temat w jej komputerze. Brała pięćset dolarów za godzinę. Jeden z jej klientów zgłosił, że go potem szantażowała. Nazwiska kilku jej „przyjaciół” z Atlanty pokrywają się z nazwiskami z listy jej klientów.

Susannah spojrzała na Luke'a. On również wyglądał na zaskoczonego.

Garth zbladł.

- Przez cały ten czas... - wyszeptał. - Mówiła, że prowadzi firmę zajmującą się dekoracją wnętrz. Mój wuj Rob zawsze twierdził, że Barbara to żdzira. Powiniennem być go posłuchać.

Susannah potarła skronie.

- Garth, przeglądałam dziś rano szkolne księgi pamiątkowe - powiedziała. - W liceum Bryson tylko kilkoro uczniów nie pochodziło z zamożnych rodzin. Barbara mieszkała ze swoją ciotką, prawda? Nie przelewało im się.

- Miała stypendium - wyjaśnił. - Jeden z nauczycieli pomógł jej je dostać. Nie mam już siły rozmawiać. Zabierzcie mnie stąd.

Kiedy go wyprowadzono, Chloe pokręciła głową.

- Jego żona sprzedawała dzieci zboczeńcom, zabiła jego siostrę, a jego najbardziej poruszył fakt, że go zdradzała.

Luke ujął Susannah za rękę.

- Twoja matka i Simon. To był dla ciebie szok.

- Owszem, ale to wiele wyjaśnia - odparła z goryczą. - Daniel i ja pochodzimy z nie-
złej rodziny, prawda?

- Całe to miasto wygląda na jedno wielkie kłębowisko żmij - stwierdziła Chloe. - Ale podobno dzikie kwiaty rosnące wśród chwastów są odporniejsze niż jakiegokolwiek róże.

Susannah uśmiechnęła się smutno.

- Dzięki, Chloe. Chloe wstała.

- Idę na kolejne przesłuchanie. Jeśli się pospieszycie, może spotkacie Daniela w ho-
lu.

- Daniel jest tutaj? - zdziwił się Luke.

- Wypisali go dziś rano ze szpitala - powiedziała Susannah. - Ale nie wiedziałam, że tu będzie.

- Alex ma jakąś niedokończoną sprawę ze swoim ojczymem - wyjaśniła Chloe. - Pewnie wam o tym opowiedzą. Zobaczymy się później.

Kiedy wyszła, Luke pomógł Susannah wstać.

- Odprowadzę cię do Talii i pojedziecie szukać informacji o rodzinie tej Marcy-
Darcy. - Zawahał się. - Chyba nie traktujesz poważnie tych bzdur o pochodzeniu z ze-
psutej rodziny?

- Nie wiem. Ale w tym przypadku nie ma znaczenia, czy to kwestia pochodzenia czy
wychowania, bo jedno i drugie było do niczego. Nic dziwnego, że Simon stał się potwo-
rem.

- Ale ty i Daniel wyrosliście na porządnym ludzi.

Uśmiechnęła się, choć czuła się jeszcze gorzej niż przed rozmową z Garthem.

- Dwoje z trojga to jeszcze nie tak źle?

Dutton, poniedziałek, 5 lutego, godzina 10.00

Charles właśnie szykował swój czarny garnitur, kiedy zadzwonił telefon.

- Paul. No i co?

- Załatwione. Wolę grę w otwarte karty. Ta plastyczka wykonała dobrą robotę. Każdy policjant z Atlanty, który zobaczył ten portret, rozpoznałby mnie w ciągu dwóch sekund.

- Masz oryginalny szkic i wszystkie kopie?

- Tak. Ściągnęła je na serwer GBI, ale wykasowała, zanim ja skasowałem ją. A dziś dostałem nowe zadanie - dodał.

Charles przestał głowić się nad wyborem krawata.

- O czym ty mówisz?

- No cóż, jednostka dochodzeniowa GBI cierpi na braki kadrowe, skoro tylu ich agentów nie żyje albo jest w szpitalu.

- Wyobrażam sobie, że mają mało ludzi. A więc?

- Więc poprosili wydział policji w Atlancie o pomoc w ochronie osób, które są nadal zagrożone przez Bobby. Zgłosiłem się do tej roboty.

Charles uśmiechnął się.

- Będziesz pilnował Susannah?

- Niezupełnie. To zadanie Papadopoulosa. Ale prawie trafiłeś. Mam chronić dzielnego Daniela Vartaniana.

Charles uśmiechnął się szerzej.

- Wspaniale. Gdzie będziesz?

- Stacjonuję przed jego domem. Mam odprawiać dziennikarzy, a także wszelkich potencjalnych bandytów.

- Zadbamy o to, żeby miał dużo ciszy i spokoju - powiedział Charles. Jego uśmiech zniknął. - Rozumiem, że jest przy nim osobista pielęgniarka, ta Alex Fallon.

- Tak przypuszczam.

- Zabili Toby'ego Granville'a.

- Mack O'Brien go zastrzelił, a nie Daniel ani Alex.

- Vartanian i ta jego pielęgniarka doprowadzili do tego. Zabili jednego z moich ludzi i zapłacą za to. Muszę już kończyć. Dziś jest kolejny pogrzeb.

- Kogo tym razem chowają?

- Janet, córkę kongresmana Bowiego. Dziennikarze ściągną tam jak szarańcza. Będzie ruch jak w godzinach szczytu. Nabożeństwo, pogrzeb, a potem stypa na plebanii

zajmą pewnie cały dzień. Wyślij mi esemesa, gdybyś mnie potrzebował. W kościele nie będę mógł rozmawiać przez telefon.

- Dobrze.

Charles spojrział na zestaw narzędzi chirurgicznych - prezent gwiazdkowy od Toby'ego Granville'a. Często z nich korzystał w ostatnim tygodniu, od historii z sędzią Borensonem po incydent, jaki przydarzył się Bobby Davis. Toby pewnie byłby zadowolony, że się przydały.

- I jeszcze jedno, Paul. Nie zabijaj Vartaniana sam. Zostaw go mnie.

- Zawieźć go w to miejsce, co zawsze?

- Tak. Ale najpierw będziesz musiał usunąć stamtąd Borensona. Paul jęknął z obrzydzeniem.

- Od dawna nie żyje?

- Może jeszcze żyje. Nie sprawdzałem od paru dni.

- Wyciągnąłeś z niego wszystko, co chciałeś wiedzieć?

- Tak. Jeśli jeszcze nie wykorkował, zrób z nim, co chcesz. I niech Daniel na to patrzy.

- A co z jego siostrą?

- Sam się nią zajmę.

- Zrób to szybko. Kiedy GBI odkryje, że ta plastyczka nie żyje, wezmą kogoś innego do naszkicowania portretu pamięciowego według opisu Susan-nah. Mogłaby mnie wkopać.

- Nie zrobi tego.

- Powinieneś był ją zabić już dawno.

- Zginie dzisiaj - zapewnił Charles. - No, muszę iść. Będziemy w kontakcie.

Atlanta, poniedziałek, 5 lutego, godzina 10.45

Luke i Susannah zastali Chase'a w jego gabinecie, gdzie rozmawiał z młodym umundurowanym policjantem ze szkicownikiem pod pachą.

- Jesteśmy - oznajmił Luke.

- Wejdźcie - rzucił Chase.

Susannah spojrzała na niego zaniepokojona.

- Co się stało? - spytała.

- Nasza plastyczka nie przyszła dziś rano do pracy. Pete znalazł ślady krwi w jej mieszkaniu. Jest tam teraz Ed.

- Cholera - mruknął Luke. - Domyślam się, że jej szkice zniknęły? Chase skinął głową.

- Z jej mieszkania i z naszego serwera. Zostały wykasowane, zanim serwer zrobił nocną kopię zapasową. - Wskazał mężczyznę w mundurze. - A to pan Greenburg, portrecista z policji w Atlancie. Susannah, chcemy, żebyś jeszcze raz opisała tamtego człowieka. Możecie skorzystać z pokoju konferencyjnego.

- Nie ma problemu - odparła. - Chodźmy.

- Czy Garth coś wam powiedział? - zapytał Chase Luke'a, kiedy Susannah i Greenburg wyszli.

- O Barbarze Jean właściwie nic, czego nie wiedzielibyśmy już wcześniej, z wyjątkiem tego, że miała sygnet ze swastyką, którym prawdopodobnie wypalono piętna dziewczynom z kostnicy. Swastyka, którą Susannah ma na biodrze, jest dwa razy większa, więc została wykonana innym narzędziem.

- Co jeszcze? - spytał Chase. - Bo jest coś jeszcze, prawda? Luke westchnął.

- Garth nie brał udziału w gwałcie na Susannah. Powiedział to samo co ty: że Jared O'Brien chwaliłby się tym, gdyby to oni ją zgwałcili. Prawdopodobnie to Granville ją dopadł. Twierdził ponoć, że Susannah należy do niego, a inni mają się trzymać od niej z daleka. - Odwrócił wzrok. - Garth powiedział też, że stosunki Simona z Carol Vartanian były bliższe, niż być powinny.

- O Boże - jęknął Chase. - Jakim cudem Susannah i Daniel wyrosli na normalnych ludzi?

- Nie mam pojęcia - odparł cicho Luke. - Nawet wilki lepiej by sobie poradziły. I to mniej więcej wszystko. Garth podał nam nazwiska ludzi, z którymi Bobby umawiała się w Atlancie, ale to głównie jej klienci. Tak więc nie zrobiliśmy żadnych postępów w szukaniu Bobby. Pójdę do gabinetu Nate'a i przejrzę twarde dyski Mansfielda. Może zrobił zdjęcie temu człowiekowi, którego słyszała Monica Cassidy. Nate potrzebuje przerwy. Miał ciężką noc.

- Słyszałem, że znalazłeś te dziewczyny na płatnej stronie.

- Tak - powiedział Luke. - Ale nie mogę zajmować się wszystkim naraz. Gdybyś mnie potrzebował, zadzwoń do pokoju, w którym przeglądamy materiały. Moja komórka nie zawsze tam działa. I jeszcze jedno, Chase... - Pokręcił głową. - A właściwie nic.

- Tak, wiem. Talia nie będzie podejmować żadnego niepotrzebnego ryzyka.

- Mam nadzieję. - Luke przymknął oczy. - Wciąż widzę, jak Susannah spada z krzesła postrzelona w pierś. Bobby Davis nadal na wolności.

- Więc weź się do roboty i znajdź ją. - Słowa Chase'a były ostre, ale jego głos brzmiał łagodnie.

Atlanta, poniedziałek, 5 lutego, godzina 11.05

Nienawidzę tej roboty - mruknął Luke. Jeszcze nie wszedł do pokoju, w którym przeglądano drastyczne materiały, a już doznał uczucia kłauastro-fobii.

Nagle drzwi się otworzyły i Luke odskoczył do tyłu.

Nate, z dzbankiem do kawy w ręce, powiedział drżącym głosem:

- Nie rób tego więcej. O mało nie dostałem zawału. Luke spojrzał na dzbanek.

- Ile kawy dziś wypiełeś?

- Za dużo, a i tak niewiele mi to dało. Co tu robisz?

- Chcę przejrzeć twarde dyski Mansfielda. Pliki Groszka. Przypuszczamy, że Mansfield mógł zrobić zdjęcie temu człowiekowi, którego słyszała Monica Cassidy.

- Tajemniczemu *thichowi* Granville'a. - Nate skinął głową. - Zaparzę świeżą kawę.

Luke zawahał się. Poczł tak silny ucisk w piersi, że trudno mu było oddychać.

- Nie znajdziesz go, stojąc tutaj - powiedział Nate cicho. - Będzie ci łatwiej, kiedy wejdiesz do środka.

Luke spojrzał w zmęczone oczy kolegi.

- Ty też tak masz?

- Dzień w dzień.

„I codziennie coś w tobie umiera”.

- Zrób mocną kawę - powiedział Luke. Wszedł do pokoju i otworzył pliki Groszka. Było mu trudniej niż za pierwszym razem, bo wiedział, co tam znajdzie. Przygotował się na to, co zobaczy, i starał się nie zwracać uwagi na brutalność scen, tylko przyglądał się szczegółom, jakimś cieniom i przedmiotom, które mogły należeć do osób zajmujących pokój w tym cholernym bunkrze. Patrzył na wszystko z wyjątkiem ofiar i ich cierpienia.

Ale nigdy nie potrafił dostrzegać jednego bez drugiego. Na tym polegał jego problem. Wiedział zarazem, że właśnie dzięki temu jest dobry w tej przeklętej pracy.

Drzwi za nim otworzyły się i zamknęły i Nate postawił na biurku dzbanek parującej kawy.

- Czego właściwie szukasz?

- Mężczyzny, prawdopodobnie koło sześćdziesiątki. Monica słyszała, jak Granville pytał go, jak Wietkong łamał swoich więźniów. Podobno ten człowiek spoliczkował Granville'a za to, że zadał to pytanie.

- Emocjonalna reakcja - skomentował Nate. - Myślisz, że był żołnierzem, który trafił do obozu jenieckiego?

- Niewykluczone. Granville wspominał o nim, kiedy Susannah była mała, więc pewnie mieszkał wtedy w okolicy Dutton. Mam zdjęcia z pogrzebu Sheili Cunningham. - Rozłożył fotki.

- Do licha, Luke, przecież połowa mieszkańców jest powyżej sześćdziesiątki.

- Tak. Wygląda na to, że wszyscy, którzy mieli głowę na karku, wyjechali z tej dziury po ukończeniu szkoły średniej.

Luke wybrał zdjęcia starszych mężczyzn i przypiął je na tablicy nad monitorem.

- Być może szukamy któregoś z tych facetów. Granville miał kontakt z tym człowiekiem w młodości. Traktował go jak mistrza duchowego.

- Jak w buddyzmie.

- Tak. - Luke zmarszczył brwi. - Ale w Dutton nie ma żadnych buddystów. Sprawdziłem.

- On wcale nie musiał być prawdziwym buddystą - zauważył Nate.

- Tylko kimś, kto mógł kontaktować się z nastolatkami bez wzbudzania podejrzeń.

- Na przykład nauczycielem, kaznodzieją lub lekarzem.

- I musiał mieszkać tutaj, kiedy Susannah była mała. Mam spis wszystkich mieszkańców. Był mi potrzebny, kiedy szukałem mężczyzn o imieniu Bobby. Sprawdziłem przebieg służby wojskowej wszystkich mężczyzn powyżej pięćdziesiątki.

Nate spojrział na Luke'a zaskoczony.

- Kiedy to zrobiłeś?

- W nocy. Właśnie nad tym siedziałem, kiedy do mnie zadzwoniłeś i powiedziałeś, że znalazłeś w sieci młodsze siostry Becky Snyder.

Oczy Nate' a pociemniały.

- Czy któryś z tych facetów służył w Wietnamie?

- Żaden. Gdybym znalazł choć jednego, zwałbym się tu jeszcze w nocy. Zamiast tego znalazł ukojenie w ramionach Susannah. Potrzebował tego bardziej, niż przypuszczał.

- No cóż, teraz jesteś tu, czy tego chcesz, czy nie. - Nate przysunął sobie krzesło. - Zaczynamy. Dwie pary oczu to nie to samo co jedna.

Luke spojrział na niego z wdzięcznością.

- Dzięki.

Charlotte, Karolina Północna, poniedziałek, 5 lutego, godzina 11,45

Harry Grimes siedział obok Mandy'ego Penna z ekipy ekspertów kryminalistycznych i przeglądał nagrania z kamery koło bankomatu znajdującego się naprzeciwko restauracji Mel's.

- Czego konkretnie szukasz? - spytał Mandy.

- Sam nie wiem. - Harry pochylił się do przodu. - Volvo porywacza mija kamerę i wjeżdża na parking. Jest tam jeszcze jeden samochód. Stoi i obserwuje volvo.

- To ford crown vie - stwierdził Mandy.

Na nagraniu widać było dwie postacie mocujące się ze sobą. Mniejsza została wciągnięta na tylne siedzenie volvo. Ford wciąż zajmował tę samą pozycję. Mandy gwizdnął cicho.

- Masz rację, Harry. On obserwuje.

- Czy możesz zrobić zbliżenie?

- Spróbuję. - Mandy powiększył obraz i odchylił się na krześle, zadowolony z siebie.

- Gotowe.

Harry zerknął na ekran.

- Czy ten facet w fordzie rozmawia przez telefon?

- Na to wygląda. Może dzwoni po policję?

- Nie było żadnego wezwania z tego miejsca. Sprawdziłem. Możesz zobaczyć, na kogo zarejestrowany jest ten ford?

Mandy wklepał numery do komputera i po chwili znieruchomiał z szeroko otwartymi oczami.

- On nie wzywał glin. Sam jest gliniarzem. Harry spojrział na ekran.

- Paul Houston, wydział policji w Atlancie - odczytał. - Po prostu siedział tam i patrzył, jak porywają Genie.

- Może to kradziony samochód.

- Mam nadzieję. - Harry wstał. - Dzięki, Mandy. Masz u mnie drinka.

Springdale, poniedziałek, 5 lutego, godzina 12.00

Talia zaparkowała przed domem Carla Lintona, ojca Marcy.

- Jesteś gotowa, Susannah? Susannah wpatrywała się w budynek.

- Darcy powiedziała mi, że pochodzi z Queens, że ojciec bił ją i jej matkę. Dlatego uciekła z domu.

- Lintonowie zgłosili jej zaginięcie, kiedy miała dziewiętnaście lat.

- Wyjechała wtedy do Nowego Jorku. Poznałam ją dopiero dwa lata później. Dlaczego uciekła? Dlaczego mnie okłamała?

- Nie dowiemy się tego, siedząc tutaj - rzekła Talia. - Chodźmy. Zapukała do drzwi, które otworzył starszy mężczyzna o siwiejących włosach.

- Pan Linton? - spytała.

- Tak. - Przyglądał się uważnie Susannah. - O co chodzi?

- Nazywam się Talia Scott. Jestem agentką specjalną z biura śledczego stanu Georgia. A to zastępca prokuratora okręgowego Susannah Vartanian z Nowego Jorku. Musimy z panem porozmawiać.

- Proszę wejść - odparł Linton i otworzył szerzej drzwi.

Z kuchni wyszła kobieta i zastygła w bezruchu, wpatrując się w Susannah.

- Poznaję panią - powiedziała. - Oglądaliśmy wiadomości. Strzeliła pani do tej kobiety, która porywała dziewczyny.

- Zgadza się.

- Po co panie tu przyjechały? - zapytał Linton szorstko. Talia przechyliła lekko głowę.

- Chcemy porozmawiać o waszej córce Marcy. Lintonom aż zaparło dech.

- Proszę dalej - wykrztusił wreszcie Carl.

Gdy wszyscy czworo usiedli w salonie, Talia spytała:

- Czy po zgłoszeniu zaginięcia córki mieliście od niej jakieś wiadomości?

- Nie - odparł Carl. - A dlaczego pani pyta? Na miłość boską, proszę nam powiedzieć, o co chodzi.

- Wasza córka nie żyje - powiedziała Susannah. - Bardzo nam przykro.

Rodzice Marcy spuścili głowy. Przez chwilę oboje milczeli.

- Jak to się stało? - zapytała szeptem pani Linton. Susannah wzięła głęboki oddech.

- Wychowałam się w Dutton - zaczęła.

- Wiemy- odparł Carl chłodno.

- Kiedy studiowałam w Nowym Jorku, poznałam dziewczynę, która powiedziała mi, że nazywa się Darcy Williams. Zostałyśmy przyjaciółkami. Darcy twierdziła, że pochodzi z Queens i uciekła z domu, bo ojciec bił ją i jej matkę. Dziś zobaczyłam zdjęcie Marcy w szkolnej księdze pamiątkowej. To dziewczyna, którą znałam jako Darcy. A Darcy została zamordowana.

- Zamordowana? - Pani Linton zbladła jeszcze bardziej. - W jaki sposób? Gdzie? Kiedy?

- Została pobita na śmierć. - Susannah poczuła ucisk w żołądku na widok zboliałych twarzy Lintonów. - Pojechaliśmy razem do pewnego hotelu w mieście. Kiedy znalazłam Darcy... było już za późno. To się stało sześć lat temu, dziewiętnastego stycznia. Jej zabójca przyznał się do winy i odsiadyuje karę. Tak mi przykro. Gdybym wiedziała, jak się naprawdę nazywała, skontaktowałabym się z państwem już dawno.

Carl pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Czemu Marcy wymyśliła te wszystkie kłamstwa?

- Podejrzewam, że ktoś ją wynajął - odparła Talia. - Albo zmusił do tego.

Usta pani Linton zadrżały.

- Gdzie została pochowana?

- Na cmentarzu, który znajduje się około godziny drogi na północ od Nowego Jorku. To ładne i spokojne miejsce. - Susannah z trudem powstrzymywała łzy. - Myślałam, że ona nie ma rodziny.

- Pani prokurator Vartanian zapłaciła za pogrzeb - powiedziała Talia.

- Marcy musi tu wrócić - rzucił Carl gniewnie.

- Oczywiście - odparła Susannah. - Zaraz to wszystko zorganizuję. Talia położyła dłoń na jej ręce.

- Chwileczkę - powiedziała spokojnie. - Tej nocy, kiedy zamordowano waszą córkę, pani Vartanian również została napadnięta. A później zapłaciła za jej pogrzeb z własnej kieszeni, sądząc, że Marcy nie ma rodziny.

Carl zmarszczył brwi.

- Marcy musi tu wrócić - powtórzył.

- Szczerze państwu współczuję - powiedziała Talia - ale nie rozumiem pańskiej wrogości.

Carl wyprostował się.

- Zabrano nam córkę, zmuszono ją do Bóg wie czego i potem zamordowano, a pani ma czelność mnie krytykować?

- Nie krytykuję pana - odparła Talia.

- Nie?! A co pani robi, do cholery? - Carl poderwał się na nogi i wymierzył drżący palec w Susannah. - Moja córka miała przed sobą przyszłość, ale pani ojciec wszystko zepsuł. Spotkała panią, a teraz nie żyje. Oczekuje pani wdzięczności za ten cholerny pogrzeb? Niech pani idzie do diabła!

Susannah milczała chwilę, oszołomiona.

- Co mój ojciec miał wspólnego z waszą córką? - spytała wreszcie. Carl położył ręce na biodrach, a jego twarz poczerwieniała.

- Niech pani nie udaje, że nic o tym nie wie i że zależało pani na mojej córce. Tyle już wycierpiałem przez Vartanianów, że wystarczy mi do końca życia. - Wybiegł z domu, trzaskając frontowymi drzwiami tak mocno, że aż szyby w oknach zadrżały.

Susannah wpatrywała się w drzwi, nie wiedząc, co powiedzieć. Pani Linton została na miejscu. Susannah nie była pewna, czy uczyniła to z wyboru, czy po prostu nie miała siły się poruszyć.

- Co łączyło waszą córkę z sędzią Vartanianem? - spytała Talia. - Czytałam jej akta. Nie ma tam nic o aresztowaniu ani o występowaniu w sądzie.

- Marcy była wtedy nieletnia - odparła cicho pani Linton. - Jej akta zostały utajnione.

- O co została oskarżona? Oczy pani Linton błysnęły.

- O nagabywanie mężczyzn w celu nierządu. Ale ona tego nie robiła. Była wzorową uczennicą, a po szkole zajmowała się dziećmi. Nauczyciele twierdzili, że zasługuje na stypendium. Jej życie legło w gruzach, gdy została aresztowana.

Talia zmarszczyła brwi.

- Chodziło o prostytutkę?

- Tak - potwierdziła pani Linton. - Właśnie to miałam na myśli. Spędziła sześć miesięcy w poprawczaku. Nie było nas stać na to, żeby ją przed tym uchronić.

Susannah przeszedł zimny dreszcz.

- Nie było was stać? Jak to?

- Pani ojciec powiedział, że skaże ją na dwa lata - wyjaśniła pani Linton. - Zażądał pieniędzy za łagodniejszy wyrok. Zastawiliśmy dom, ale uznał, że to nie wystarczy i Marcy musi odsiedzieć rok.

Susannah była wstrząśnięta. Wiedziała, że jej ojciec brał łapówki, ale dopiero teraz uświadomiła sobie w pełni skutki jego ohydnych procederów. Talia poklepała ją po ręce i zwróciła się do matki Marcy.

- Powiedziała pani, że gdy wasza córka miała zostać skazana na dwa lata, zapłaciliście sędziemu i zmniejszył karę do roku. Ale Marcy spędziła w poprawczaku tylko sześć miesięcy. Co takiego się stało?

Pani Linton zerknęła niepewnie na Susannah.

- Pomógł jej ktoś z opieki społecznej. Miała nowy proces, z innym sędzią, który wypuścił ją na wolność.

- Co to był za sędzia? - zapytała Susannah, chociaż знаła odpowiedź.

- Borenson. Teraz jest już na emeryturze. Talia wzięła głęboki oddech.

- Kiedy odbył się ten drugi proces?

- Trzydzieści lat temu. Susannah spojrzała na Talię.

- To nie przypadek - powiedziała.

- Jasne, że nie - odparła Talia i zwróciła się do pani Linton: - Kto pomógł Marcy w doprowadzeniu do nowego procesu?

- Adwokat z pomocy prawnej. Inny, nie ten, którego Marcy miała na początku. Nazywał się Alderman.

Susannah przymknęła oczy.

- To on prowadził sprawę Gary'ego Fulmore'a - szepnęła.

- Zginął wkrótce po tym, jak wyciągnął Marcy z więzienia - powiedziała pani Linton.

- Miał wypadek samochodowy.

- Czy ktoś jeszcze przyczynił się do wypuszczenia pani córki na wolność? - spytała Talia.

- Chyba nie, ale musiałabym zapytać męża. Pewnie poszedł na spacer. Zawsze tak robi, gdy się denerwuje w związku ze sprawą Marcy. Spytam go, kiedy wróci.

- Dziękuję. - Talia podała pani Linton swoją wizytówkę. - Proszę do mnie zadzwonić, jeśli pani sobie coś przypomni, nawet gdyby wydało się to pani mało ważne. Same wyjdziemy, proszę nas nie odprowadzać.

Susannah ruszyła za Talią, ale odwróciła się, kiedy pani Linton zawołała ją po imieniu.

- Tak?

- Dziękuję, że pochowała pani moją córkę. Susannah poczuła ucisk w gardle.

- Nie ma za co. Dopilnuję, żeby przeniesiono ją tutaj. Proszę wybrać miejsce i dać mi znać.

Czekała, aż Talia uruchomi silnik, świadoma, że pani Linton przygląda się im przez okno.

- Wróc na Main Street - powiedziała. - Pojedziemy za miasto.

- Dokąd? - spytała Talia.

- Do domu moich rodziców. Szybko, bo za chwilę mogę zmienić zdanie.

Charlotte, Karolina Północna, poniedziałek, 5 lutego, godzina 12.05

Harry, zaskoczony faktem, że jeden z policjantów z Atlanty przyglądał się beczynie porwanemu Genie, skontaktował się z jedynym człowiekiem, który mógł mu poradzić, co zrobić z tą śmierzącą sprawą.

- Właśnie miałem do ciebie dzwonić - powiedział Steven, gdy odebrał telefon.

Harry zamarł.

- Znaleźliście doktora Cassidy'ego w jeziorze?

- Tylko jego samochód. Teraz przeszukujemy brzeg. Coś się stało?

- O rany, Steven. Wpadłem w jakieś cholerne bagno - odparł Harry i opowiedział szefowi o fordzie crownvie.

- A niech to diabli. Jesteś pewien?

- Samochód jest zarejestrowany na Houstona. Ale nie potrafię powiedzieć, kto był za kółkiem.

- Dzwoniłeś do policji w Atlancie?

- Jeszcze nie. Zastanawiam się, z kim się skontaktować. Mógłbym zadzwonić do szefa tego Houstona, ale nie wiem, czy on dobrze rozegra sprawę, a nie chcę ryzykować, że gość dostanie cynk. Myślałem też o wydziale wewnętrznym, ale... Do cholery, Steven, co mam robić?

Steven milczał chwilę.

- Ufasz temu Papadopoulosowi?
- Tak. W każdym razie bardziej niż tym z wydziału wewnętrznego.
- Więc zadzwoń do niego i powiedz, co odkryłeś. Niech on coś wymyśli.
- To wygląda na tchórzostwo.
- No cóż, zawsze możesz zgłosić sprawę do wydziału wewnętrznego.
- Zadzwonię do Papadopoulosa.
- Tak będzie lepiej. Odezwij się, gdybyś jeszcze czegoś potrzebował.

Springdale, poniedziałek, 5 lutego, godzina 12.25

Gdy znalazły się na głównej drodze, Talia spytała:

- Po co jedziemy do domu twoich rodziców, Susannah?
- Mój ojciec prowadził notatki. Borenson często do nas przychodził. Popierali się nawzajem.
 - Ale w sprawie Marcy Borenson przyczynił się do uchYLENIA wyroku twojego ojca.
 - To było zaraz procesie Gary'ego Fulmore'a, a jak wiemy, proces przeprowadzono nieuczciwie. Mój ojciec z pewnością nie był zadowolony, że uchylono jego decyzję.
 - Czy pamiętasz, jak się o to kłócili?
 - Nie. Ale kiedy znaleziono w rowie martwą Alicie Tremarne, moja matka skądś wiedziała, że Simon jest w to zamieszany. Poszła do Franka Loomisa i błagała go, żeby jakoś temu „zaradził”. Więc on wrobił Gary'ego Fulmore'a, włóczęgę, który znalazł się w złym czasie w nieodpowiednim miejscu i był zbyt odurzony narkotykami, żeby wiedzieć, co się dzieje. Alderman bronił Fulmore'a. Jedyńm dowodem, jaki miał Loomis, był pierścionek, który jakoby znaleziono w kieszeni Fulmore'a, i odrobina krwi Alidi na jego ubraniu. W tej sprawie było wiele nieścisłości. Sędzia Borenson musiał to widzieć.
 - To ława przysięgłych uznała Fulmore'a za winnego, Susannah. Borenson niekoniecznie był w to zamieszany.
 - Obie wiemy, że ława przysięgłych wydaje wyrok na podstawie przedstawionych dowodów. Kto wie, czy Borenson pozwolił przedstawić Aldermanowi właściwy przebieg wypadków?
 - Kilka miesięcy później Alderman znowu pojawił się w sądzie w obecności Borensona i doprowadził do uwolnienia Marcy Linton.
 - Zastanawiam się, czy Alderman wiedział, że sprawa Fulmore'a jest brudna, i groził w jakiś sposób Borensonowi.
- Susannah wyjęła z teczki laptopa.
- Ciekawe, ile spraw wygrał Alderman od czasu historii z Marcy Linton do dnia swojej śmierci.

Zaczęła szukać informacji w internecie.

- Wygląda na to, że Alderman bronił w tym czasie pięciu osób. Dwie sprawy, prowadzone przez Borensona, wygrał. Pozostałe trzy przegrał.

- Nic rozstrzygającego z tego nie wynika - stwierdziła Talia. - A nie możemy go zapytać, bo nie żyje.

- Załóżmy, że Alderman coś wiedział. Dlaczego tego nie wykorzystał, żeby wybronić Fulmore'a? To była głośna sprawa. Mógłby odnieść wielki sukces.

- Może odkrył to dopiero potem albo postanowił wykorzystać to, co wiedział, w późniejszych sprawach.

- Tak właśnie mi się wydaje. - Susannah zeszywniała, gdy dostrzegła w oddali swój dawny dom. Żółć zaczęła podchodzić jej do gardła. Przełknęła głośno.

Talia zerknęła na nią zaniepokojona.

- Dobrze się czujesz?

- Nie. Ale i tak tam wejdziemy. Bo nawet jeśli Alderman wiedział, że Borenson prowadził proces nieuczciwie, nie wyjaśnia to śmierci Darcy ani faktu, że ten *thich* Granville'a był w bunkrze w ciągu ostatnich kilku tygodni. A te sprawy wiążą się ze sobą. Czuję to.

- Mam nadzieję, że znajdziemy coś konkretnego na poparcie tego przecucia.

- Mój ojciec prowadził szczegółowe zapiski na temat wszystkich spraw, a Daniel i ja znamy większość jego schowków. Wiedziałam, że będę musiała tu wrócić i znaleźć jego notatki. Boję się tego, tak jak Luke boi się oglądać te zdjęcia z dysku Mansfielda.

- Masz klucz? - spytała Talia. Susannah skinęła posępnie głową.

- Frank Loomis dał mi go po pogrzebie rodziców. Talia westchnęła.

- Zadzwoń i powiem, gdzie jesteśmy, a potem zaczniemy szukać.

Bobby zamarła z ręką na ramie cennego obrazu wiszącego w salonie na piętrze. Znalazła cztery ścienne sejfy za równie cennymi malowidłami w różnych częściach domu i jeden w podłodze sypialni sędziego. Teraz cofnęła dłoń, słysząc na podwórzu odgłos zamykanych drzwi samochodu.

Kobiece głosy. Ostrożnie podeszła do okna i pokiwała z zadowoleniem głową. Jedną z przybyłych pamiętała z konferencji prasowej; stała wtedy obok kobiet na scenie. Była z GBI. A druga to nikt inny, tylko Susannah.

Po plecach Bobby przebiegł dreszcz emocji. Zastanawiała się właśnie, jak zmusić Susannah do otwarcia sejfów, a teraz ona sama wpadała jej w ręce. Trzeba będzie pozbyć się jakoś agentki, ale to żaden problem. Bobby była nieźle wyposażona, znalazła bowiem na strychu schowek z bronią, szukając pamiątek rodzinnych. Znajdowały się tam

różnego rodzaju pistolety, noże sprężynowe, paralizatory elektryczne, a wszystko to schowane pod wielometrowym zwojem bożonarodzeniowych girland.

Prawdziwy pokój na ziemi.

Atlanta, poniedziałek, 5 lutego, godzina 12.25

Luke nadal przeglądał zdjęcia z komputera Mansfielda. Po godzinie widział już tylko Granville'a i jego ofiary. Tyle ofiar. Musiał skupiać się na szczegółach w tle, żeby nie zwariować.

- Robił je ukrytym aparatem - rzekł, by usłyszeć własny głos, a nie krzyki torturowanych kobiet, jakie rozbrzmiewały w jego wyobraźni.

- Ubrania, które ma Granville, zmieniają się kilka razy, jakby w zależności od pory roku - zauważył Nate. - Ustawienie obiektywu również się zmienia. Zastanawiam się, gdzie Mansfield ukrywał aparat.

- Prawdopodobnie w długopisie zatknętym za kieszeń. Szkoda, że nie umieszczał dat na tych cholernych zdjęciach. Moglibyśmy od razu przejść do tych z ostatnich dwóch tygodni.

- Ze wszystkimi jego zdjęciami jest ten sam problem. Są poukładane według upodobania, a nie według dat. Trudno będzie określić, kiedy zostały zrobione i ile lat miałyby teraz te dziewczyny.

Luke zeszywniał, gdy jego mózg zarejestrował pewien szczegół na kolejnej fotografii.

- Spójrz na to.

Nate pochylił się do przodu, skupiając wzrok. Na brzegu zdjęcia widniały nogi ugięte w kolanach, odziane w męskie spodnie.

- Ten, kto miał na sobie te spodnie, na czymś siedział.

- Popatrz na buty. - Luke wskazał długopisem. - Na podeszwy.

Nate przyjrzał się uważniej.

- Mają różną grubość. Buty ortopedyczne. Luke uniósł wzrok na tablicę nad monitorem, na której wisiały zdjęcia*

Wskazał fotografię trzech mężczyzn siedzących na składanych krzesłach i przy grobie Sheili.

- Ten na skraju, z laską, to Charles Grant. Kiedyś uczył Daniela angielskiego. - Szybko wybrał na telefonie numer Chloe. - Tu Luke. Chyba wiem, kim jest człowiek, którego Monica Cassidy słyszała w bunkrze. Nazywa się Charles Grant.

- Grant? - powtórzyła Chloe oszołomiona. - Czy to nie nauczyciel Daniela? Ten, który udzielił nam informacji na temat Macka O'Briena?

- I to dokładnie wtedy, gdy ich potrzebowaliśmy - stwierdził Luke. - Podobnie było z informacjami, których dostarczyła nam Kate Davis.

- Daniel się załamał - odparła Chloe.

- Pogadamy z nim, to nic takiego się nie stanie - rzekł Luke. - Potrzebny mi nakaz rewizji.

- Jesteś pewien, że to on?

- Nie mam na zdjęciu jego twarzy, tylko buty.

- Nie wiem, czy zdołam uzyskać nakaz na podstawie samych butów.

- Do cholery, Chloe...

- Luke! - zawołał Nate. Kliknął na kilka następnych zdjęć. - Spójrz. Ujęcie było inne.

- Poczekaj chwilę - powiedział Luke do Chloe i zrobił zbliżenie. - A co powiesz na fotografię laski, takiej samej jak ta, którą Charles Grant miał na pogrzebie Sheili?

- To już lepiej. Możesz jechać do Dutton. Będziesz miał gotowy nakaz, kiedy tam dotrzesz.

- Dzięki, Chloe. - Luke zakończył rozmowę, po czym zadzwonił do Chase'a i opowiedział mu o wszystkim.

- Świetna robota - pochwalił Chase. - Skontaktuję się z Germanio. Wszyscy powinni być teraz na cmentarzu, miejmy nadzieję, że Grant też tam jest. Germanio może go obserwować, a ty przeszukaj jego dom. Kto wie, czy Bobby się tam nie ukrywa. Aha, Luke, właśnie rozmawiałam z tym agentem z Karoliny Północnej, Harrym Grimesem. Od ponad godziny usiłuje się dodzwonić na twoją komórkę.

- Mój telefon komórkowy nie działa w tym pokoju.

- Mówiłem mu to. Nie chciał mi powiedzieć, o co chodzi. Stwierdził tylko, że to pilne.

- Zadzwonię do niego. Chase, czy masz jakieś wieści od Talii i Su-sannah?

- Tak, wszystko w porządku. A teraz jedź.

Luke zwrócił się do Nate'a:

- Możesz przesłać te fotki Chloe? Są potrzebne do uzyskania nakazu rewizji.

- Właśnie wysłałem jej maila. Idź już. Powodzenia.

- Dzięki. - Luke zerknął na listę nieodebranych telefonów w swojej komórce. Harry Grimes próbował połączyć się z nim sześć razy. Luke wybrał jego numer, zbiegając po schodach do samochodu.

- Harry, tu Papadopoulos.

- Mam dla ciebie wiadomość. To delikatna sprawa i nie bardzo wiem, komu mogę zaufać.

- O co chodzi?

- Trafiłem na taśmę wideo, na której widać, jak porwano Genie Cassidy. Ktoś obserwował całe to zajście. Mężczyzna za kierownicą forda crown vie, zarejestrowanego na policjanta z Atlanty. Nazywa się Paul Houston.

- Policjant? - Luke uświadomił sobie, że spory fragment układanki właśnie trafił w odpowiednie miejsce. - Mój Boże. Teraz to ma sens.

- Czyżby? - spytał Harry.

- Tak. - Luke już wiedział, w jaki sposób Bobby zdołała zmusić Jennifer Ohman do zamknięcia ust Monice, a Jeffa Katowsky'ego do próby uśmiercenia Beardsleya. Stało się też jasne, jak udało się jej skłonić Leigh Smithson do pomocy. Bobby po prostu współpracowała z policjantem, który znał różne ludzkie sekrety, a nieuczciwy gliniarz mógł wykorzystywać te informacje do szantażu. - Mam teraz pilną sprawę do załatwienia. Zadzwoń jeszcze raz do mojego szefa i powiedz mu, co mi przekazałeś. Dzięki, Harry. Masz u mnie drinka.

- Cieszę się, że mogłem pomóc. Powodzenia.

Dobrze by było, pomyślał Luke, kiedy dotarł do samochodu, gdyby dopisało mi szczęście.

Dutton, poniedziałek, 5 lutego, godzina 13.00

Susannah siedziała w gabinecie swojego ojca sfrustrowana.

- Na pewno prowadził notatki, Talio, ale nigdzie ich nie ma - powiedziała. - Coś mi się poplątało. Przecież nie przechowywałyby ich w miejscu, gdzie łatwo je znaleźć. Pamiętam, jak w dzieciństwie ukrywałam się na szczycie schodów, kiedy ojciec przyjmował różnych ludzi w gabinecie. Już wtedy zdawałam sobie sprawę, że dzieje się coś złego.

- Byłaś dzieckiem - odparła łagodnie Talia. - Nie mogłaś nic na to poradzić.

- Wiem, tak samo jak zdaję sobie sprawę, że nie jestem winna śmierci Darcy. Ale świadomość tego to co innego niż przekonanie. - Susannah zamknęła oczy. - Siedziałam na szczycie schodów i słuchałam, a potem oni wychodzili i mój ojciec zamykał na klucz frontowe drzwi.

- Co robił później?

- Wracał do gabinetu. Pewnego razu zebrałam się na odwagę i zeszłam ze schodów, żeby podsłuchać. Usłyszałam szelest, a potem trzask. - Rozejrzała się po pokoju i jej

wzrok spoczął na grubym perskim dywaniku, który leżał tu, odkąd pamiętała. Wiedziała, że w podłodze w sypialni rodziców znajduje się sejf, ale tutaj posadzka była z twardego drewna i pokryta wykładziną. A jednak... Susannah podeszła do dywanu i pociągnęła za brzeg.

- Nie szeleści - rzekła Talia. - Pociągnij mocniej.

Susannah wykonała polecenie i dało się słyszeć szeleszczący odgłos zwijanego dywanu.

- To był właśnie taki dźwięk. - Uklękła i przyjrzała się wykładzinie. - O rany, niezły był z niego kombinator. Ta wykładzina pod spodem jest nacięta. - Odsunęła ją ostrożnie. - Kolejny sejf w podłodze.

- Potrafisz go otworzyć? - spytała Talia.

- Prawdopodobnie tak, jeśli się skupię. Ojciec wykorzystywał daty urodzin swoich krewnych w kodach do zamków szyfrowych. Myślał, że jest sprytny i nigdy tego odkryjemy. - Wprowadziła datę urodzin swojej matki, następnie Simona, a potem wszystkie inne, które pamiętała: babek, dziadków, ciotek i wujów. Nic nie działało.

- Może na szyfr do tego sejfu wybrał coś innego? - podsunęła Talia.

- Może, ale on często działał nawykowo. A ja mam to po nim. - Teraz już wiedziała. - Mówię serio - dodała, po czym przekreśliła tarczę i otworzyła drzwiczki. - Data urodzin Daniela. Daniel będzie tym bardzo zaskoczony.

Sędzia Vartanian, pomyślała, użył jako szyfru daty urodzin jednego z ludzi, których nie potrafił skorumpować, człowieka, który zadreślał siebie za grzechy swego ojca. Uważał, że Daniel jest słaby. To samo myślał o niej. Mylił się.

Wyciągnęła ze schowka kilka oprawionych ksiąg i zeszytów. Talia usiadła obok niej na podłodze.

- Trzymał tu zapiski i dokumenty z wielu lat. Czemu nie korzystał ze skrytki depozytowej?

- Nie ufał bankom. Sprawa Marcy powinna być gdzieś opisana. - Susannah przerzuciła kilka kartek i znalazła wpis, którego szukała. - Mój Boże. Zażądał od Lintonów siedemdziesięciu pięciu tysięcy dolarów. Nic dziwnego, że nie zebrali takiej sumy.

- A co się stało z Borensonem? - spytała Talia.

- O rany! - Susannah przesunęła palcem po kartce. - Napisał tu, że „alfons” od dziewczyn wkroczył do akcji i zagroził Borensonowi, a ten „rozsywał się jak domek z kart”.

- „Alfons”? - zdziwiła się Talia. - Więc ona naprawdę się prostytutowała?

- Na to wygląda. - Susannah czytała dalej. - Marcy nagabywała mężczyzn, ale nie chodziło tylko o seks. Wybierała bogatych, którzy lubili młode dziewczyny, uwodziła ich, a potem groziła, że powie o wszystkim żonie, jeśli jej nie zapłacą. Przekazywała

pieniądze swojemu alfonsowi, a on wypłacał jej część. - Spojrzała na Talię. - Bobby przez lata robiła to samo w Atlancie. Chloe znalazła dowody podobnych transakcji.

- Kolejne powiązanie - stwierdziła Talia. - Czy twój ojciec napisał, kto był tym alfonssem?

Susannah przeczytała jakiś fragment i wpatrywała się w stronę z oszołomieniem.

- Twierdzi, że alfonssem Marcy był Charles Grant. To... to przecież nie ma sensu.

- Wszystko pasuje. Chase dzwonił do mnie, kiedy wyjechałyśmy od Lintonów. Na jednym ze zdjęć zrobionych przez Mansfielda w bunkrze Luke znalazł człowieka z taką samą laską jaką ma Grant.

Susannah zmarszczyła brwi.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Byłaś taka blada, myślałam, że zemdlejesz. A zrobiłaś się jeszcze bledsza, kiedy dojeżdżałyśmy tutaj. Stwierdziłam, że lepiej będzie, jeśli najpierw poradzisz sobie z jednym stresem, zanim wpakuję cię w następny.

- Racja. Ale Charles Grant? - Susannah wciąż nie mogła w to uwierzyć. - Był ulubionym nauczycielem Daniela. Wszyscy go uwielbiali.

- Być może jest też zabójcą. Co jeszcze znalazłaś w tym dzienniku? Susannah czytała dalej, już otrząsnąwszy się z szoku.

- „Ten dupek próbuje mnie przyciskać. Może zdoła wystraszyć Carol tymi wszystkimi swoimi azjatyckimi voodoo, ale mnie nie przerażają jego opowieści o okultyzmie i wszystkich tych *thichach*. Grant to pieprzony oportunistą. Zrobi wszystko, żeby tylko dostać to, co chce. Myślał, że wykorzysta Simona, aby mnie dopaść, ale ja poradziłem sobie z grzechami Simona. Sądził, że posłuży się Susannah, tak jakby to mogło podzielać. A przecież ona... - Susannah przerwała na chwilę - ... nic dla mnie nie znaczy”.

- Tak mi przykro mi, kochanie - szepnęła Talia. - Może nie czytaj już dalej.

- Nie. Chcę wiedzieć. „Ale dzisiaj... Napuścił na mnie Borensona. Następnym razem, kiedy wniosę oskarżenie, podsądni zaczną jęczeć, a Borenson ich wypuści, machając tylko ręką. Borenson jest słaby. Powiedziałem mu, żeby pozbył się tego idioty Aldermana, ale czy on mnie posłuchał? Nie. Wcześniej to była jego sprawa, bo Alderman mu groził. A teraz dobiera się do mnie. Do cholery, przecież utrzymanie domu pochłania mnóstwo pieniędzy. Rachunki są olbrzymie. Nie uda im się ograniczyć moich dochodów”.

Susannah była coraz bardziej przerażona.

- On to robił dla pieniędzy. Żeby utrzymać dom. Wiedział, co mi się przydarzyło.

Drżącymi rękami przewracała kartki dziennika, aż dotarła do owego pamiętnego stycznia, kiedy obudziła się w swojej kryjówce posiniaczona, zakrwawiona i odmieniona na zawsze.

- Najwyraźniej Charles Grant próbował szantażować mojego ojca, chcąc pozbawić go pieniędzy, które on z kolei wymuszał szantażem od pozwanych - powiedziała cicho, po czym znieruchomiała, gdy jej obawy znalazły potwierdzenie w tym, co czytała. - „Ten kutas Grant przyszedł dziś wieczorem ze zdjęciem, na którym Simon pieprzy Susannah. Myślał, że będę zażenowany. Przecież to kazirodztwo. Powiedziałem mu, żeby poszedł do diabła i zabrał ze sobą to zdjęcie, a Susannah sama sobie jest winna. Poza tym nie zgłosiła tego na policję; ta dziewczyna nie ma odwagi. A więc znowu wygrałem. Charles wyszedł z podwiniętym ogonem, grożąc mi jak zawsze: »Pożałujesz tego. Simon zrobi coś tak strasznego, że sam będziesz chciał się go pozbyć«. No tak. I zamierza dopaść mnie i mojego pieska. Powiedziałem mu, że może mieć Susannah. Nie jest mi potrzebna. A on na to: »Dziękuję«".

Susannah przymknęła powieki, bo łzy napłynęły jej do oczu.

- Chcę zniszczyć ten dziennik - powiedziała cicho. Talia podała jej chusteczkę.

- Tak mi przykro - szepnęła. Susannah roześmiała się gorzko.

- To nie jest żaden dowód. Nie potrafimy udowodnić, że Charles Grant zrobił coś złego. Wiadomo tylko, że wiedział o tym, że... zostałam zgwałcona.

- Namawiał do tego - odparła Talia. - Na pewno.

Susannah pokręciła głową, próbując podejść do sprawy obiektywnie.

- Nie mamy na to dowodu.

Przez długą siedziały chwilę w milczeniu, wreszcie Talia powiedziała:

- Wygląda na to, że twój ojciec i Grant walczyli ze sobą, a sędzia Bo-rensון był tylko pionkiem w grze, kartą przetargową. Ale wtedy nic się nie zdarzyło. Nie było żadnych awantur ani oskarżeń. Borensון odszedł na emeryturę i wyjechał w góry. Grant dalej uczył w szkole, a twój ojciec pracował jako sędzia i obaj nadal dopuszczali się wymuszeń. Nie było żadnych morderstw do czasu, aż Simon pojawił się znowu.

Susannah nagle wszystko zrozumiała.

- Musieli zawrzeć jakiś rozejm. - Jej dłonie już nie drżały, gdy przewracała strony. Wiedziała, co znajdzie. Dotarła do opisu sprawy związanej z zamordowaniem Alicii Tremarne i procesu Gary'ego Fulmore'a. - Moja matka wymusiła na Franku Loomisie, żeby sfałszował dowody rzeczowe, ale Grant również *maczał* w tym palce. Toby Granville był protegowanym Charlesa. Gdyby prawda o napadzie na Alicie wyszła na jaw, Toby zostałby oskarżony i trafiłby do więzienia.

- Więc Grant zmusił Borensóna, żeby zignorował fakt sfałszowania dowodów.

- Tak myślę. Marcy Linton została aresztowana i konflikt osiągnął szczytowe napięcie. Może mój ojciec wiedział, że Grant jest zamieszany w sprawę Marcy, ale Grant wykorzystał to, co miał na Borensóna, żeby zorganizować jej nowy proces i zmniejszyć wyrok.

- Twój ojciec nie był zadowolony. Jak więc mogli zawrzeć rozejm? Susannah odnalazła zapiski z dnia, w którym Simon „zginął w wypadku”.

- W dniu, kiedy Simon zniknął, słyszałam, jak kłócił się z ojcem. Ojciec znalazł zdjęcia ofiar klubu gwałcicieli i powiedział mu, że go wyda, jeśli Simon nie zniknie. Kilka dni później dowiedzieliśmy się, że Simon nie żyje. Pojechał do Meksyku i miał tam wypadek samochodowy.

- A to nie była prawda. Wcale nie zginął.

- Nie. Ojciec upozorował wszystko, bo wiedział, że matka nigdy nie przestanie szukać Simona, jeśli nie uwierzy, że on nie żyje. Wyjechał i wrócił z trumną, twierdząc, że zawiera ona szczątki Simona. Ciało było zwęglone, tak że trudno je było rozpoznać. Potrzebowali jednak świadectwa zgonu podpisanego przez lekarza sądowego.

- Słyszałam, że ciało w trumnie miało niecałe metr osiemdziesiąt, a Simon mierzył ponad metr dziewięćdziesiąt.

- Żaden lekarz sądowy nie uznałby tego ciała za zwłoki Simona. - Susannah podsunęła Talii dziennik. - Ojciec zapłacił za wydanie świadectwa zgonu lekarzowi sądowemu, który był też miejscowym lekarzem.

- A więc był w to zamieszany.

- Na to wygląda. Świadectwo zgonu ojciec uzyskał dzień po zniknięciu Simona. Czyli na dzień przed tym, jak dowiedział się o jego rzekomej śmierci w Meksyku. - Susannah nie była tym zaskoczona, a jednak czuła się wstrząśnięta. - Oni wszyscy wiedzieli, że Simon żyje.

- Więc po uznaniu tego fałszywego świadectwa zgonu Borenson odszedł na emeryturę i zaszył się na odludziu.

- Mój ojciec zażegnał niebezpieczeństwo i Grant znowu musiał ustąpić. Kilka miesięcy później wyjechałam do Nowego Jorku na studia.

- Ale Charles Grant ci nie odpuścił - stwierdziła Talia. - Należałaś do niego.

- Mogę się tylko domyślać, że urabiał Marcy, aż mnie w końcu znalazła. Pewnie nie nawidziła mnie za to, co mój ojciec zrobił jej i jej rodzinie.

Talia westchnęła ciężko.

- Teraz znamy wszystkie powiązania. Zadzwoń do Chase'a i powiem mu o tym. Zbierz te dzienniki. Pomogę ci je zanieść do samochodu.

Talia wstała i wyszła na korytarz, żeby zadzwonić, a Susannah wpatrywała się w pamiętniki swego ojca. Tyle cierpienia i tajemnic. A wszystko to z powodu chciwości i potrzeby dominacji. Traktowali to jak jakąś cholerną grę. A ona była w niej pionkiem.

Ze znużeniem wyciągała dzienniki z sejfu ukrytego w podłodze. Nagle znieruchomiała. Pod stertą papierów leżały pliki banknotów. Mnóstwo pieniędzy.

- Talio? Chodź tu i...

Przerwała w połowie zdania, bo spojrzała przez ramię i serce jej zamarło. W drzwiach stała Bobby, a nie Talia. Uśmiechała się złowrogo, trzymając w ręce pistolet z tłumikiem.

- Witaj w domu, siostrzyczko.

24

Dutton, poniedziałek, 5 lutego, godzina 13.20

Charles Grant siedział na składanym krześle z rękami złożonymi na główce swojej laski. Na innych pogrzebach zajmował bliższe miejsca, ale dziś znalazł się z tyłu wraz z dwoma innymi staruszkami, z którymi zwykle przesiadywał na ławce przed fryzjerem. Właściwie nawet lepiej, że tak się stało. Stąd mógł widzieć wszystkich, a także ukradkiem zerknąć na telefon, który akurat zawibrował mu w kieszeni.

Charles miał nadzieję, że to wiadomość od Paula potwierdzająca, że udało mu się ulokować Daniela Vartaniana i Alex Fallón w pokoju do przesłuchań w piwnicy. Spotkało go jednak rozczarowanie. Wiadomość pochodziła z komórki, którą dał Bobby zeszłego wieczoru. Rozczarowanie natychmiast zmieniło się w radość, kiedy Charles przeczytał: „Pora na przedstawienie”.

A więc Bobby dopadła Susannah. Muszę stąd wyjść, pomyślał. Zacisnął dłoń na lasce i skrzywił się, udając, że coś go boli.

- Znowu ta rwa kulszowa - szepnął do doktora Finka, emerytowanego dentysty siedzącego po jego prawej stronie. Wstał sztywno ze zbolałą miną. - Muszę się przejść.

Ruszył przed siebie, mrużąc słowa przeprosin, gdy przedzierał się przez tłum. Wreszcie nadszedł czas, by zobaczyć, jak Susannah umiera.

Ale najpierw musiał rozprawić się z Bobby. Stracił nad nią kontrolę, więc powinien ją zabić. Potarł główkę laski. Tak jak sześć lat temu uśmierciłem moją Darcy.

Dutton, poniedziałek, 5 lutego, godzina 13.30

- Psiakrew - warknął Luke. Okazało się, że Bobby wcale nie ukrywa się w domu Charlesa Granta.

Pete rozejrzał się po salonie.

- Jesteś gotowy, żeby zacząć rozkuwać ściany?

- Niezupełnie. Ale przynajmniej Grant jest wciąż na cmentarzu. - Germanio potwierdził to dziesięć minut wcześniej. - Nadal nie wie, że tu jesteśmy i że mamy coś na niego.

Dotarli tu ukradkiem, co nie było łatwe, gdyż na pogrzeb Janet Bo-wie zjechało się do Dutton mnóstwo dziennikarzy. Gdy Luke rozmawiał z Chase'em, nowy szeryf Dutton przeszukiwał dom Charlesa na wypadek, gdyby ukrywała się tam Bobby. Nie mieli pewności, czy jacyś inni skorumpowani policjanci nie ostrzegli jej albo Granta. Luke zadzwonił więc do szeryfa Arcadii Corchrana, który wybrał się ze swoim zaufanym zastępcą na dyskretny patrol. Corchran wyjaśnił wcześniej ekipie Luke'a, jak dojechać do domu Granta, by nie utknąć wśród samochodów zmierzających na pogrzeb.

Wchodząc do skromnego drewnianego domu położonego z dala od Main Street, Luke liczył na wiele. Teraz mógł tylko mieć nadzieję, że sam dom zawiera odpowiedź na ich pytania.

Ludzie z jego ekipy czekali zniecierpliwieni.

- Nakaz rewizji obejmuje miejsce ewentualnego pobytu Bobby i miejsca związane ze zbrodniami popełnionymi w bunkrze. - To było najlepsze, co Chloe zdołała uzyskać. - Szukajcie dalej.

Policjanci rozeszli się po domu. Pete poszedł na piętro, a Nancy do piwnicy. Luke zajął się salonem, ale nie znalazł niczego, co by wskazywało, że Grant jest kimś innym niż osobą, za którą się podawał - emerytowanym nauczycielem angielskiego w miejscowej szkole.

Grant prowadził też szkolne koło teatralne. W salonie wisiały plakaty ze sztuk, które reżyserował, między innymi ze szkolnego przedstawienia *Królowny Śnieżki* z Bobby w roli głównej. Luke pomyślał o małej Kate, „bezmyślnie” obsadzonej w roli wiewiórki, wskutek czego zyskała przezwisko „Rocky”. Czy rzeczywiście bezmyślnie? Garth powiedział, że Bobby dbała o Kate. Pozbawili ją poczucia własnej wartości tylko po to, by je potem odbudować, zapewniając sobie jej lojalność.

Półki regałów uginały się pod ciężarem setek książek. Luke zaczął je przeglądać. Homer, Plutarch, Dante... Westchnął. Nic, tylko mnóstwo słów.

- Luke! - zawołała Nancy. - Chodź tu i zobacz. Zbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz.

- Znalazłaś Bobby?

- Nie. - Nancy wskazała obite metalową płytą drzwi w betonowej ścianie. - To bunkier, taki sam jak ten, który znaleźliśmy w piwnicy Mansfielda. Przechowywał tam broń, amunicję i pornografię dziecięcą. A Charles Grant... no cóż, sam zobacz. - Otworzyła drzwi. Zapach, jaki się rozszedł, był nie do zniesienia. A widok okazał się jeszcze gorszy.

Była to izba tortur. Na ścianach wisiały kajdany, na półkach leżały starannie poukładane noże, a pośrodku stał stół sekcyjny, który przywodził na myśl laboratorium Frankensteina. Na stole leżał mężczyzna, czy raczej to, co z niego zostało po tym, jak został pocięty na kawałki.

- A więc Borenson nie żyje. - Luke przeszedł przez próg i rozejrzał się po pomieszczeniu. W kącie znajdował się fotel, a na stole pokrytym koronkową serwetą stała lampa.

- Mój Boże. Grant siedział tutaj i obserwował. Nancy wskazała odtwarzacz CD na małym stoliku.

- Słuchając Mozarta. Luke obejrzał zwłoki.

- Co takiego Borenson miał lub wiedział, że Grant tak go zmasakrował? - zastanawiał się Luke. - Był torturowany przez dłuższy czas. Niektóre z tych ran wyglądają, jakby zostały zadane wiele dni temu. - Wyszedł na korytarz. - Zamknij drzwi, żebyśmy mogli oddychać. Dobra robota, Nancy.

- Dzięki. Ten bunkier był ukryty. - Zamknęła ciężkie stalowe drzwi, po czym przesunęła drugie wzdłuż ściany. - Kiedy się je zasunie do końca, wyglądają jak ściana. U Mansfielda były do połowy otwarte, więc szybko znaleźliśmy jego bunkier. Kiedy zobaczyłam taką samą ścianę tutaj, od razu wiedziałam, co jest grane. W tym domu mogą być inne ukryte pomieszczenia.

- Więc może jednak Bobby gdzieś tu się ukrywa. Szukajmy dalej. Zanim wszedł na górę, odezwała się jego komórka. Dzwonił Chase, a odgłosy ruchu ulicznego wskazywały, że znajduje się w samochodzie.

- Bobby raczej tu nie ma - powiedział Luke - ale jest ciało Borensona. Torturowano go. Możemy zapuszkować Granta.

- Skontaktuj się z Germanio i każ mu go aresztować. Znalazłeś coś na Bobby?

- Nie, ale wciąż szukamy. - Luke wyczuł napięcie w głosie Chase'a. - Czy z Susannah wszystko w porządku? - Na myśl o tym, że znowu znalazła się w tamtym domu, robiło mu się niedobrze. Talia jednak uważała, że mogą znaleźć jakieś dowody w sprawie Darcy, więc Chase się zgodził, żeby tam pojechały. Luke raczej sam by nie wydał takiego pozwolenia, lecz w głębi duszy wiedział, że szef postąpił słusznie.

- Tak - odparł Chase. - Policjant, którego Grimes widział w Charlotte, to Paul Houston. Mamy jego zdjęcie. Luke, to ten facet, którego opisała Susannah.

Luke zdrętwiał.

- Co?! Policjant z Atlanty zgwałcił Susannah w Nowym Jorku?

- Na to wygląda. Ale jest coś jeszcze. Dziś rano wyznaczono go do pilnowania domu Daniela. Houston sam o to poprosił.

Luke poczuł, jak krew zastyga mu w żyłach.

- O mój Boże!

- Z Danielem wszystko w porządku. Skontaktowałem się z nim, kiedy tylko się o tym dowiedziałem. Był jakiś problem z psem, który narobił w domu bałaganu, ale twoja matka zadzwoniła do jednego z kuzynów.

Luke odetchnął z ulgą.

- Do Nicka. Prowadzi firmę, która czyści dywany. Czy wszystko z nim okej?

- Tak. Jeszcze tam nie dotarł, a Daniel i Alex sana razie u twojej matki. Ona też czuje się dobrze. Skontaktowałem się z wydziałem wewnętrznym policji w Atlancie, ale chciałem obserwować tego Houstona, więc pojechałem pod dom Daniela. Pięć minut temu odebrał jakiś telefon i teraz gdzieś jedzie. A ja za nim. Kieruje się na zachód i jedzie bardzo szybko.

- W naszym kierunku.

- Być może. Ściągnąłem grupę pościgową, żeby się nie zorientował, że ktoś go śledzi. Mam nadzieję, że jedzie na spotkanie z Bobby. Zadzwoń do Susannah i powiadom ją o tym. Skończcie przeszukiwać ten dom i nie wykraczajcie poza to, co jest w nakazie. Nie chcę, żeby Charles Grant wymknął nam się z rąk. Dam ci znać, kiedy tylko się dowiem, dokąd jedzie Paul Houston.

Dutton, poniedziałek, 5 lutego, godzina 13.30

Bobby nie mogła przestać się uśmiechać. Susannah Vartanian klęczała przed nią - dokładnie tak, jak Bobby zawsze pragnęła - a w dodatku klęczała obok stosu pieniędzy, co stanowiło dodatkową nagrodę.

- Gdzie Talia? - spytała Susannah lodowatym tonem.

Bobby musiała przyznać, że teraz, gdy pierwszy szok minął, nie okazywała najmniejszego strachu.

- Nie jest martwa, jeśli o to pytasz. Nawet jej nie postrzeliłam. - Zawiesiła głos. - Jeszcze nie.

Oczy Susannah się zwięziły. Ma szare oczy, pomyślała Bobby, a nie niebieskie jak jej ojciec, Daniel, Simon i ja.

- Ile pieniędzy jest w tym sejfie? Susannah wzruszyła ramionami.

- Kilka tysięcy. Może więcej. Weź je i idź sobie. Bobby uśmiechnęła się szerzej.

- Zrobię to. Ale najpierw otworzysz wszystkie sejfy w tym domu. Susannah uniosła głowę.

- Sama je sobie otwórz.

Bobby kopnęła ją w podbródek, a gdy Susannah przewróciła się na plecy, postawiła stopę na jej szyi.

- Zrobisz, co ci każe - warknęła, naciskając stopą mocniej i wycelowując pistolet w głowę Susannah. - Wstawaj. A jeśli będziesz pyskować, wpakuję agentce Scott kulę w łeb.

Chwyciła Susannah za włosy i pociągnęła, zmuszając do wstania. Susannah nawet nie jęknęła. Najwyraźniej jest twardsza, niż na to wygląda, i nie należy jej lekceważyć, pomyślała Bobby. Wypchnęła Susannah z gabinetu i przeprowadziła obok Talii Scott, którą wcześniej poraziła paralizatorem elektrycznym, zakneblowała, zakuła w kajdanki i związała.

W połowie schodów Bobby usłyszała cichy dzwonek. Susannah zatrzymała się i powiedziała:

- To moja komórka. Pewnie dzwoni agent Papadopoulos. Jeśli nie odbiorę, zaczniesz się niepokoić.

Bobby rozważyła jej słowa. Kiedy zabije Susannah, prędzej czy później będzie musiała uśmiercić też Papadopoulosa. Ten człowiek nie spocznie, dopóki ona, Bobby, nie zostanie ukarana, zwłaszcza jeśli Susannah zginie.

Wolała jednak zająć się nim w czasie i miejscu, które sama wybierze. Nietrudno rozprawić się z dwiema drobnymi kobietami. Papadopoulos to inna sprawa: jest silnym facetem i z pewnością nie przyjechałby sam.

- Czy twoja komórka ma głośnik?

- Tak.

- Możesz odebrać. - Bobby uklękła przy Talii i przyłożyła jej pistolet do głowy. - Ale uważaj na to, co mówisz, siostrzyczko, bo inaczej będziesz miała jej krew na rękach.

Z zadowoleniem dostrzegła, jak Susannah blednie.

- Telefon przestał dzwonić - powiedziała lekko drżącym głosem Susannah.

- Więc oddzwon do Papadopoulosa. Powiedz mu, że znalazłaś notatki, których szukałaś, i razem z agentką Scott wracasz zaraz do Atlanty. I ma to brzmieć przekonująco.

Susannah sięgnęła po torebkę.

- Chwila! - zawołała Bobby. - Pamiętam, że miałaś tę torebkę wczoraj.

- Nie jestem uzbrojona - odparła cicho Susannah. - Już nie.

- Nie zamierzam ryzykować. Otwórz torebkę i wysyp z niej wszystko na podłogę. No już. - Susannah wykonała polecenie i Bobby przejrzała jej rzeczy. Nie było pośród nich broni. - Dobra. Wyciągnij ręce.

Susannah zerknęła na Talię i wysunęła dłonie przed siebie. Odgłos zakładanych kajdanków wyraźnie sprawiał Bobby przyjemność.

- A teraz zadzwoń do swojego faceta. I włącz głośnik. Susannah znowu jej posłuchała.

- Luke, to ja. Przepraszam, że nie odebrałam, ale nie miałam pod ręką telefonu.

Odetchnął z ulgą.

- Zaczynałem się denerwować. Gdzie jesteś?

- W domu mamy i taty, ale już niedługo tu będę. Znalazłyśmy z Talią to, czego szukaliśmy, i zaraz wracamy do Atlanty.

- A więc znalazłyście te notatki?

- Tak. Do zobaczenia w twoim biurze.

- Susannah, poczekaj. Czy... ja jestem na głośniku?

- Tak, przepraszam. Mam zajęte ręce, więc go włączyłam.

- A gdzie Talia?

- Poszła do samochodu zanieść dokumenty, które znalazłyśmy w gabinecie taty - odparła gładko Susannah i Bobby skinęła z aprobatą głową.

- To czym masz zajęte ręce, skoro Talia wszystko zabrała?

- Mam... - Susannah lekko się zająknęła - mam tu pudło z różnymi rzeczami mojej mamy, które chciałabym zatrzymać. - Zawahała się i po chwili dodała cicho: - Kocham cię, Lukamou. Do zobaczenia wkrótce. - Drżącymi dłońmi wyłączyła telefon.

- Jak miło - rzekła Bobby z szyderczym uśmiechem.

Bez trudu zaciągnęła Talię do schowka pod schodami i zamknęła ją tam. Po chwili namysłu ponownie otworzyła drzwiczki i postrzeliła ją w nogę. Krzyk Talii stłumiła taśma zalepiająca jej usta. Bobby spojrzała z rozbawieniem na Susannah, która wreszcie wyglądała na wystraszoną.

- Leigh Smithson opisała mi wszystkich z ekipy GBI. Talia Scott to wyjątkowo groźna agentka i nie należy jej lekceważyć. Potrafi uwalniać się z więzów jak Houdini.

- Strzeliłaś do niej - rzuciła wściekle Susannah - chociaż ci nie zagrażała.

- Powiedziałam już, że nie zamierzam ryzykować. Postrzał w nogę nie pozwoli jej szybko uciekać, gdyby się na to zdecydowała. A teraz ruszaj na górę i przypomnij sobie daty urodzin wszystkich waszych krewnych, których nigdy nie poznałam. Mamy do otwarcia jeszcze cztery sejfy.

- Sześć - odparła Susannah posępnie. - Jest ich sześć.

Luke wyłączył telefon i na próżno usiłował zachować spokój.

- O nie! - jęknął. - Pete, chodź tutaj.

Pete przybiegł, trzymając w dłoniach oprawiony notatnik.

- Zobacz, co znalazłem za szafą w sypialni Granta. W ścianie znajduje się przesuwana boazeria, taka jak na filmach. Jest tam chyba ze sto takich tomów. Co się stało?

- Susannah. - Luke przełknął z trudem. - Chyba dopadła ją Bobby. Pete chwycił go za ramię.

- Co dokładnie powiedziała?

- Że jest z Talią „w domu mamy i taty”, że znalazły wszystkie zapiski „taty” i że zaraz wracają. Ale rozmawiała ze mną przez głośnik, bo ręce miała zajęte jakimiś rzeczami, które chce zabrać na pamiątkę po swojej mamie.

- Cholera! - zaklął Pete.

A potem powiedziała, że mnie kocha, tak jakby już nigdy nie miała okazji mi tego wyznać.

- Miałem powiedzieć jej o Paulu Houstonie, ale nie wiedziałem, kto jeszcze słucha naszej rozmowy.

- Sprytne.

Luke skinął głową.

- Jadę do domu Vartanianów.

- To już mniej rozsądne - stwierdził Pete i westchnął. - Jadę z tobą. Luke już biegł do samochodu.

- Zadzwoń do Germanio i powiedz mu, żeby aresztował Granta.

Pete zatrzasnął drzwiczki w momencie, gdy Luke ruszał z piskiem opon.

- O co go oskarżymy?

- Na początek o zamordowanie sędziego Borensona.

- Można dodać szantaż - powiedział Pete, pukając w notes Granta. - Charles posiadał kompromitujące informacje na temat wszystkich bogatych ludzi w mieście, a oni płacili mu kupę forsy za to, żeby nie wyjawiał ich paskudnych sekretów.

- Nie sądzę, żebyśmy mogli to wykorzystać. Nakaz rewizji nie obejmuje zajęcia tego notatnika. Zabójstwo Borensona na razie wystarczy - odparł Luke, gdy Pete wybierał numer Germanio.

- Hank, tu Pete. Zwińcie Charlesa Granta i przywieźcie go... - Ściągnął brwi. - Co to znaczy, do cholery, że straciliście go z oczu?

Luke chwycił komórkę Pete'a.

- Gdzie on jest?

- Wyszedł z cmentarza - odparł Germanio - i pojechał za miasto.

- I nie zadzwoniłeś do mnie? Niech to szlag.

- Miałem go na widoku, ale skręcił w boczną drogę i musiałem pojechać dalej, żeby się nie zorientował, że go śledzę. Kiedy zawróciłem, już go nie było. Przykro mi.

- Przykro?! Spieprzyłeś sprawę i mówisz, że jest ci przykro?! - Luke wziął głęboki oddech. - Gdzie teraz jesteś?

- Jakies osiem kilometrów od cmentarza, jadę z powrotem w stronę miasta.

- Zawróć i jedź do domu Vartanianow. To parę kilometrów dalej, stary dom sprzed wojny secesyjnej. Powinien stać przed nim samochód Talii. Podejdz cicho i czekaj na mnie. W środku jest Bobby z Talią i Susannah.

- Już tam jadę.

- Germanio, posłuchaj uważnie. Masz czekać na mnie, rozumiesz? - Luke oddał Pete'owi telefon. - Cholerny kowboj. Teraz Grant już wie, że my wiemy.

- Hank to nie jedyny kowboj - mruknął Pete. Luke spiorunował go wzrokiem.

- A gdyby twoją Ellie dopadł jakiś morderca?

Ellie, żona Pete'a, była szczupła i drobna. Haywood bardzo ją kochał i obchodził się z nią jak z jajkiem.

- A jak myślisz, dlaczego tu jestem? - spytał cicho. - Lepiej skup się na prowadzeniu. Zadzwoń do Chase'a.

Dutton, poniedziałek, 5 lutego, godzina 13.35

Charles bez trudu zgubił jakiegoś niezdarę z GBI, który go śledził, ale był mocno wkurzony. Więc wiedzą. Niech to diabli!

W głębi duszy zdawał sobie sprawę, że to tylko kwestia czasu. Próbował to odwlec, pomagając Danielowi złapać O'Briena. Mack niepotrzebnie ściągał zbyt wiele uwagi na Toby'ego Granville'a i innych chłopaków.

Wszystko, co dobre, kiedyś się kończy, ale Charles chciał zniknąć, zapiawszy wszystko na ostatni guzik. A Bobby była takim niedopiętym guzikiem. I jego dom. Grant nie był na tyle głupi, by liczyć na to, że ludzie z GBI nie znajdą jego dzienników, kiedy już zaczną szukać. Wszystko, co naprawdę miało dla niego wartość, nosił przy sobie w szkatułce z kości słoniowej, i wiedział, że jego dom musi przepaść. Niech Paul spali tę budę. Zadzwoił do niego na komórkę.

- Jesteś mi potrzebny w Dutton - powiedział.

- To dobrze - odparł Paul - bo właśnie tam jadę. Próbuję dodzwonić się do ciebie od godziny.

- Przecież ci mówiłem, że nie mogę odbierać telefonów na cmentarzu. Miałeś mi wysłać esemesa. Nawet Bobby to zrozumiała.

- Nie mogę pisać esemesów podczas jazdy - burknął Paul, wyraźnie zirytowany tym przytykiem. - Dostałem wiadomość z twojego systemu alarmowego. Ktoś jest w twoim domu.

Charles zaczerpnął powietrza.

- Co takiego?

- To, co powiedziałem. Sygnał systemu alarmowego odbieram ja, a nie firma ochroniarska. Ktoś wszedł do twojego domu przez tylne drzwi o trzynastej siedemnaście.

- Właśnie zgubiłem ogon z GBI - rzekł Charles. - Pewnie przeszukują dom. Za późno, żeby go spalić. Przeczytają wszystkie moje notatki. Dowiedzą się, co zrobiłem.

- Więc dokąd uciekniesz? - spytał Paul z nutką paniki w głosie.

- Do Meksyku, a potem do Azji Południowo-Wschodniej. Ale najpierw pojedę do domu Vartanianów. Jest tam Bobby. Muszę dopilnować, żeby nie przeżyła ani ona, ani Susannah, bo inaczej powiedzą o tobie. Będę na ciebie czekał za domem. Zabierzesz mnie stamtąd i pojedziemy na południe. Kiedy znajdę się w Meksyku, albo wrócisz do swojego życia, albo wybierzesz się ze mną, jeśli chcesz.

- Pojadę z tobą - zdecydował Paul. Charles oczywiście wiedział, że tak będzie.

Dutton, poniedziałek, 5 lutego, godzina 13.35

Pete wyłączył telefon.

- Posiłki w drodze. A teraz muszę ci powiedzieć, co jest w tym notatniku. Wściekniesz się, więc staraj się panować nad sobą, dobrze?

- Dobrze - zgodził się Luke. - Mówiłeś, że Grant szantażował bogaczy. Kogo?

- Wielu ludzi, ale ciebie zainteresują dwaj sędziowie.

- Borenson i Vartanian - mruknął Luke.

- Tak. Na ukrytej półce za szafą Granta znalazłem co najmniej pięćdziesiąt takich notesów. Były ułożone alfabetycznie. Trzy mają na grzbiecie literę „V”. Jeden z nich dotyczy Simona i Arthura, drugi Daniela i jego matki, a trzeci Grant poświęcił Susannah. Jest prawie cały zapisany. Posłuchaj.

Luke słuchał, a kostki na jego dłoniach zbieleły od zaciskania palców na kierownicy. Gotowała się w nim wściekłość tak silna, że aż się trząsał. To było niewiarygodne. Nie-wybaczalne. Nieludzkie. Życie Susannah zostało zrujnowane, ponieważ Charles Grant i Arthur Vartanian chcieli mieć władzę w tej zapadłej dziurze. Susannah była pionkiem w grze o wielkie stawki, której nigdy nie rozumiała.

- Mój Boże - szepnął Luke.

- Czy możemy wykorzystać te zapiski? - spytał Pete. - Nie ma tu żadnej wzmianki o bunkrze, ale...

- Musimy spytać Chloe - wychrypiął Luke. Każdy oddech sprawiał mu niemal fizyczny ból. - A jeśli w międzyczasie Charles Grant zginie, będzie to sprawa do dyskusji.

Pete milczał dłuższą chwilę.

- No właśnie - rzekł wreszcie. - Będę cię osłaniał. Luke przełknął z trudem.
- Pewnego dnia znajdę sposób, żeby ci się odwdzięczyć. Pete zaśmiał się ponuro.
- Nie w tym życiu, stary. Jedź szybciej.

Dutton, poniedziałek, 5 lutego, godzina 13.45

- Żadna z dat urodzin Vartanianow, jakie pamiętam, nie otwiera tego sejfu - powiedziała Susannah, wzdrygając się, kiedy Bobby trąciła ją lufą pistoletu w tył głowy.

- Zamknij się i próbuj dalej, siostrzyczko.

Susannah zacisnęła zęby. Udało jej się otworzyć trzy z sześciu sejfów na piętrze. Jeden był pusty, w drugim znajdowały się dokumenty związane z posesją, a w trzecim sztuczne brylanty Carol Vartanian. Bobby, myśląc, że są prawdziwe, aż zachichotała z uciechy, a Susannah nie zamierzała wyprowadzać jej z błędu.

Bobby gromadziła łupy w wysokim srebrnym dzbanku do herbaty, który należał niegdyś do babki Vartanianow i który najwyraźniej wydawał się jej niezwykle cenny.

Tego także Susannah nie próbowała zrozumieć. Chciała tylko zyskać na czasie, gdy tak klęczała na podłodze w sypialni rodziców, bezskutecznie próbując otworzyć kolejny sejf.

- Nie jesteś moją siostrą - wycedziła przez zęby. - I mówię ci, że ten sejf jest pusty. Daniel opróżnił go trzy tygodnie temu, kiedy szukał rodziców.

- Więc na pewno zna szyfr, co oznacza, że ty również powinnaś go znać. - Bobby znowu uderzyła ją kolbą pistoletu w głowę. - A ja jestem twoją siostrą, czy ci się to podoba, czy nie.

Susannah z trudem uniosła się na kolana, mrugając z bólu, jaki pulsował jej w głowie. Luke, gdzie jesteś? Była pewna, że zrozumiał, co chciała mu przekazać. Nigdy nie nazwała Arthura „tata”, a na samą myśl, by wziąć coś na pamiątkę po matce, robiło jej się niedobrze. Pomyślała o Talii i modliła się, żeby Luke tu dotarł, zanim wykrwawi się na śmierć.

Graj na zwłokę, powtarzała sobie w duchu. Daj mu czas.

- Nie jesteś moją siostrą. Nawet przyrodnią. Nie łączy nas żadne pokrewieństwo.

- Tak cholernie trudno to przyznać? - warknęła Bobby i z całej siły uderzyła ją w twarz.

Susannah zacisnęła powieki, żeby powstrzymać łzy napływające jej do oczu. Potem spojrzała na Bobby i odparła:

- Tak, bo to nieprawda. Twoim ojcem jest Arthur Vartanian, ale moja matka robiła to samo, co twoja. Zdradzała męża. Arthur Vartanian nie jest moim ojcem.

Bobby zamrugła kompletnie oszołomiona.

- Kłamiesz - wykrztusiła.

- Nie. Zrobiłam test na potwierdzenie ojcostwa. Moim ojcem był Frank Loomis.

Bobby spojrzała niepewnie na Susannah, po czym odchyliła głowę do tyłu i zaśmiała się gardłowo.

- A więc słodka Suzie Vartanian jest bękartem - powiedziała i dodała z ponurą miną:

- Wprowadź szyfr, Suzie, bo jak nie, to zejść na dół i odstrzelę łeb twojej przyjaciółce.

Susannah przełknęła z trudem.

- Nie znam szyfru do tego sejfu. Naprawdę. Bobby zmarszczyła brwi.

- To wstawaj.

Susannah podniosła się z ulgą, ale zeszywniała na dźwięk samochodu zatrzymującego się przed domem. Luke. Błagam, niech to będzie Luke. Bobby podeszła do okna.

- Cholera - mruknęła. - Mamy towarzystwo. Kto to jest?

Gdy Susannah nie ruszyła się z miejsca, przyciągnęła ją do okna, szarpiąc za włosy. Susannah zobaczyła Hanka Germanio, który ostrożnie podchodził do domu z pistoletem w dłoni.

- Nie wiem - skłamała gładko. - Nigdy go nie widziałam.

- Niezła z ciebie kłamczucha - stwierdziła Bobby cicho. - Na szczęście Leigh Smithson opowiedziała mi również o nim. To Hank Germanio. Po-rywczy gość, uwielbia się popisywać. Rusz się. - Pchnęła Susannah w stronę szczytu schodów. - Wołaj o pomoc.

- Nie - odparła Susannah. - Nie zwabię go tu. Możesz mnie zabić.

- Och, z pewnością to zrobię. Jak otworzysz wszystkie sejfy. A potem zacznę kasać facetów z GBI, po jednym na raz. - Bobby przyciągnęła Susannah, ustawiła przed sobą na szczycie schodów i przyłożywszy jej lufę do skroni, zaczęła krzyczeć: - Ratunku! Ona ma broń! O mój Boże, ona ma broń i chce zabić Susannah!

Germanio zajrzał przez boczne okienko przy frontowych drzwiach i zobaczył Susannah stojącą na schodach. Zawahał się.

- Nie! Nie wchodzić! To pułapka! - krzyknęła.

Ale było już za późno. Germanio wpadł do środka, a Bobby strzeliła i... roztrzaskała mu głowę. Był martwy, zanim upadł na podłogę. Przewrzenie Susannah zamieniło się w furję.

- Pieprzona suko! - wrzasnęła. - Niech cię piekło pochłonie! Uniosła skute ręce i z całej siły uderzyła Bobby w zranione ramię. Bobby

zawyła z bólu, a Susannah szarpała się z nią, aż tamta straciła równowagę. Gdy upadła, Susannah rzuciła się na nią i obie zaczęły zsuwać się po schodach.

Wciąż walczyły. Bobby złapała Susannah za włosy i pociągnęła. Susannah zdołała się wyrwać. Usiłowała wdrapać się z powrotem na górę, ale Bobby chwyciła ją za nogę i próbowała zepchnąć ze schodów.

Gdzie pistolet? Czy Bobby wciąż go ma? Nie. Gdyby tak było, strzeliłaby do mnie. Susannah kopnęła ją drugą nogą i obróciła się, by rozejrzeć się za pistoletem. Dostrzegła go w tej samej chwili co Bobby: leżał na dole schodów. Nie uda mi się. Ona złapie go pierwsza. I mnie zabije.

Bobby puściła ją i poczołgała się do miejsca, gdzie leżała broń, a Susannah ruszyła w górę schodów, z trudem łapiąc oddech.

Dutton, poniedziałek, 5 lutego, godzina 13.50

Byli już prawie na miejscu. Luke, przerażony i wściekły, koncentrował się na tym, co zrobi, gdy wreszcie tam dotrą. Najpierw rozprawi się z Bobby, a potem porachuje się z Grantem. Grant nie pojechał do domu, więc musi gdzieś tu być.

Docisnął pedał gazu i wzdrygnął się, gdy zadzwoniła jego komórka.

- Papadopoulos.

- Luke, tu Chase. Gdzie jesteś?

- Jakies dwie minuty od domu Vartanianów. Gdzie Paul Houston?

- Jechał w stronę Dutton, ale skręcił w jakąś boczną drogę. Luke wiedział, co to za trasa.

- Corchran radził nam, żeby jechać tamtędy, tyle że w przeciwnym kierunku, jeśli chcemy ominąć korki. Houston jedzie do domu Vartanianów. Ale po co? Żeby pomóc Bobby?

- Nie jej, tylko Charlesowi. Daj mi na głośnik, żeby Pete słyszał. Al Landers spotkał się z Michaelem Ellisem. Gdy pokazał mu portret pamięciowy, Ellis pękł. Paul Houston to jego syn. To on i Charles Grant zabili Darcy.

Luke zmarszczył brwi.

- Ellis przyznał się do winy, żeby ratować syna? Dlaczego?

- A czemu Houston zrobił własnego ojca? - spytał Pete.

- Spłata długów. Ellis był w Wietnamie w obozie jenieckim, tak jak Charles Grant.

Luke pokręcił głową.

- To niemożliwe. Sprawdziłem. Charles Grant nie służył w wojsku.

- Wtedy nazywał się Ray Kraemer. Był snajperem, trafił do niewoli w sześćdziesiątym siódmym. W obozie poznał Ellisa i razem uciekli. Ellis bardzo chciał wrócić do domu, bo dowiedział się, że jego dziewczyna urodziła mu syna, ale oddała go do adop-

cji. To był właśnie Paul. Gdy kończyło im się jedzenie, Ellis postrzelił Kraemera i zostawił go w dżungli na pewną śmierć.

- Sukinsyn - mruknął Luke. - Ale Kraemer jednak przeżył. I co dalej?

- Pojawił się osiemnaście lat później w Dutton pod nazwiskiem Charle-sa Granta. Wybrał Dutton, bo tam przeprowadziła się dziewczyna Ellisa po urodzeniu dziecka. Matka Paula to Angie Delacroix.

- O cholera! - Luke czuł się kompletnie skołowany. - Ale przecież powiedziała nam prawdę. Badanie DNA wykazało, że Loomis był ojcem Su-sannah, informacja o matce Bobby również się potwierdziła. Dlaczego Angie chciała nam pomóc w odnalezieniu Bobby? Przecież ona też współpracuje z Charlesem.

- Tego jeszcze nie wiem. Kazałem ją zatrzymać, ale nie chce mówić. Natomiast Ellis rozgadał się, kiedy Al Landers powiedział mu, że wiemy o Paulu i jego pracy w policji. Powiedział, że Kraemer odnalazł chłopca, gdy ten miał osiem lat. Został jego nauczycielem w ramach jakiegoś ochotniczego programu zajęć pozalekcyjnych i zrobił mu pranie mózgu. Nastawiał go przeciwko rodzicom, i biologicznym, i tym, którzy go adoptowali. Kiedy Paul miał dziesięć lat, uciekł z domu i zamieszkał z Charlesem. Ellis twierdzi, że będzie lojalny wobec Granta aż do śmierci.

- Czemu więc Ellis przyznał się do zamordowania Darcy? - spytał Pete.

- Żeby chronić Angie i syna. Charles zagroził, że każe Paulowi zabić matkę, jeśli Ellis się nie przyzna.

- To była zemsta Charlesa - stwierdził Luke. - Ellis przyznał się do zabicia Darcy, ale tak naprawdę płaci za to, co zrobił Grantowi czterdzieści lat temu.

- Otóż to - przyznał Chase. - Jestem jakieś dwadzieścia minut za miastem i wciąż śledzę Houstona. Włączył koguta, żeby ominąć korki, więc chyba nie ma pojęcia, że o nim wiemy. Wysłałem do was większość naszych agentów z cmentarza. Czekaście na nich.

Luke wrócił myślami do Susannah. Oby tylko przeżyła. Obym nie przyjechał za późno.

- Dojeżdżamy do domu Vartanianów. - Luke zauważył trzy radiowozy i karetkę zbliżające się z drugiej strony i podziękował w duchu Corchranowi. - Mamy wsparcie. Za parę minut wchodzimy do środka.

- Bądźcie ostrożni - odparł Chase. - Powodzenia.

- Dzięki. - Luke zwolnił, żeby poinstruować ludzi, którzy mieli ich wspierać, gdy nagle usłyszał strzał. Susannah! Docisnął pedał gazu, wjechał na podjazd i z piskiem opon zatrzymał się przy samochodzie Germanio. Wyskoczył z auta i ruszył biegiem, a Pete podążył za nim.

Dutton, poniedziałek, 5 lutego, godzina 13.50

Susannah z trudem wdrapywała się na schody. Chodnik był śliski, więc nie mogła się go dobrze uchwycić zakutymi rękami. Śmiech Bobby zmroził jej krew w żyłach.

- Mam go! - wykrzyknęła Bobby, podnosząc pistolet. - Już po tobie, Vartanian.

Rozległ się strzał. Susannah zamarła w oczekiwaniu na ból. Nie poczuła jednak nic.

Odwróciła się i jęknęła, wstrząśnięta tym, co zobaczyła. Bobby leżała na schodach, a jej szeroko otwarte niebieskie oczy spoglądały prosto na nią. Plama krwi na jej plecach wciąż się powiększała. Susannah patrzyła, jak Bobby unosi broń. Wtedy rozległ się drugi strzał. Bobby drgnęła, a potem opadła bezwładnie; z jej niebieskich oczu ziała pustka.

Wciąż wpatrując się w martwe oczy Bobby, Susannah pokonała jeszcze kilka stopni. Dopiero wtedy podniosła wzrok. W drzwiach stał Luke. Był blady i z trudem łapał oddech, a ręka, w której trzymał pistolet, zwisała bezwładnie z boku. Za nim, przy Hanku, klęczał Pete. Luke podszedł do schodów, pochylił się nad Bobby i wyjął broń z jej z dłoni. Sprawdził tętno, a potem spojrział na Susannah ciemnymi oczami, w których kipiała wściekłość pomieszana z lękiem.

- Nie żyje - szepnął.

Susannah osunęła się bezwładnie na schody. Luke pomógł jej wstać.

- Postrzeliła cię? - spytał drżącym głosem.

- Chyba nie. - Susannah wtuliła się w niego. Przerazenie ustąpiło na tyle, że mogła zaczerpnąć powietrza. Popatrzyła na Luke'a. - Hank nie żyje. Zabiła go. Widziałam, jak zginął.

- Wiem. Słyszałem strzał. Myślałem, że to ciebie zabiła. - Ciemne oczy Luke'a były pełne furii pomieszanej z rozpaczą. - Hank miał na mnie poczekać.

- Bobby go zwabiła. Próbowałam go ostrzec, ale było za późno. Chciał uratować mi życie, a teraz sam nie żyje. - Spojrzała na Pete'a, który wciąż klęczał przy Germanio. - Bobby postrzeliła Talię. Zamknęła ją w schowku pod schodami.

Pete natychmiast podbiegł do schowka. Drzwi były zamknięte, więc naparł na nie ramieniem. W holu pojawili się dwaj umundurowani policjanci.

Luke puścił Susannah i pomógł jej usiąść na schodach. Na dole rozległ się odgłos roztrzaskiwanej drewna. Pete wreszcie otworzył drzwi.

- Ona żyje! - zawołał, dysząc z wysiłku. - Cholera, Talia, ale ty wyglądasz!

Pochylił się i wsunął do schowka, a Luke zdjął Susannah kajdanki i delikatnie roztarł jej nadgarstki. Odetchnął głęboko, zanim zwrócił się do policjantów.

- Nie ma już zagrożenia - powiedział spokojnie. - Wezwiemy ludzi z kryminalistyki i lekarza sądowego. Powiedźcie kierowcy karetki, żeby podjechał pod dom. Trzeba zawieźć agentkę Scott do szpitala.

- Nie! - zawołała Talia ze schowka.

Susannah usłyszała jakieś gniewne szepty, a potem spod schodów wygramolił się Pete, trzymając kawałek taśmy zerwanej z ust Talii.

- Wszystko w porządku - powiedział do policjantów. - Dziękujemy. Kiedy wyszli, wyciągnął Talię ze schowka. Ręce i nogi wciąż miała skute i związane, spodnie zakrwawione, a oczy pełne zażenowania i złości.

- Zdejmij mi te cholerne kajdanki - wycedziła przez zęby. Pete rozkuł Talię i obrócił na plecy.

- Sanitariusze zaraz tu będą - powiedział.

- Nie. - Talia usiadła z wysiłkiem. - Wyjdę na własnych nogach. - Luke i Pete wzięli ją pod ręce i podnieśli. Skrzywiła się z bólu. - To poniżające - bąknęła pod nosem.

- Co się stało? - spytał Luke.

- Ta suka mnie zaskoczyła. Obezwładniła mnie paralizatorem.

- Jak to się stało? - zapytał Pete. Talia uniosła podbródek.

- Wpadło mi coś do oka.

To były łzy, pomyślała Susannah, przypominając sobie załamujący się głos Talii, kiedy agentka próbowała ją pocieszać.

- Ta suka jest martwa - powiedziała cicho. - Germanio też nie żyje. Gniewne spojrzenie Talii nagle złagodniało.

- Słyszałam. Słyszałam też, jak rozmawiasz z Lukiem przez telefon. Sprytnie to rozegrałaś. Luke, weź dzienniki Arthura z gabinetu. One wszystko wyjaśniają. Pete, proszę, pomóż mi stąd wyjść i postaraj się, żeby wyglądała tak, jakbym szła na własnych nogach.

Pete poprowadził ją do wyjścia. Wahał się chwilę, zanim przeniósł ją nad ciałem Germanio.

- Niech to diabli, Hank - rzekł cicho. - Zawiadomię o wszystkim Chase'a i dowiem się, gdzie są inni.

- Jacy inni? - spytała Susannah. - Czy chodzi o Charlesa Granta? Wiem o nim. Wszystko jest w dziennikach Arthura. Nie znaleźliście go?

- Jeszcze nie. Czy możesz chodzić? - zapytał ją Luke.

- Tak. - Chwyła się poręczy i przeszła obok ciała Bobby, powstrzymując się od chęci kopnięcia jej z całej siły. Luke pomógł jej zejść z ostatniego schodka i znowu przyciągnął do siebie.

- Nic mi nie jest - szepnęła.

- Wiem. - Wstrząsnął nim dreszcz. - Wciąż widzę, jak ona do ciebie celuje. Susannah, znaleźliśmy pewne rzeczy, które musisz przeczytać.

- Później - odparła znużona. - Przeczytałam już wystarczająco dużo jak na jeden dzień.

- Zawiozę cię do siebie. Tam znajdziesz trochę ciszy i spokoju.

- Nie potrzebuję ciszy. - Spojrzała na zwłoki Germanio i szybko odwróciła wzrok. - Nie chcę myśleć. Chcę... żeby ktoś mnie posklejał.

Spojrzał na nią pytająco.

- Co takiego? Popatrzyła mu w oczy.

- Czy możesz mnie zawieźć do domu swojej mamy? Proszę. Uśmiechnął się, choć w jego oczach nadal czaił się niepokój.

- To mogę zrobić. Poczekaaj tu. Wezmę tylko dzienniki Arthura, a potem cię stąd zabiorę. - Ruszył korytarzem w stronę gabinetu. - Cholera jasna! - zawołał po chwili. - Susannah, w tym sejfie są tysiące dolarów.

- Dzienniki są warte więcej - odparła. - Tyle co sprawiedliwość - dodała ciszej i w tym momencie zeszywniała, a krzyk zamarł jej w gardle, gdy czyjaś dłoń zakryła jej usta.

- I dlatego nigdy nie opuszczają tego domu - szepnął jej ktoś do ucha jedwabistym głosem. - Podobnie jak ty, moja droga.

Luke przykucnął, aby zebrać z podłogi dzienniki Arthura Vartaniana i poczuł, że ręce mu drżą, a wszystko przewraca się w żołądku. O Boże! Nigdy nie zapomni widoku Susannah wdrapującej się na schody i Bobby celującej jej w głowę. Teraz Susannah jest bezpieczna, powtarzał w myślach, lecz jego serce wciąż łomotało niespokojnie.

Wziął głęboki wdech i wstał, mając ręce pełne ksiąg i dzienników. Nagle poczuł ostry zapach benzyny. Odwrócił się i zamarł, a dzika furia szybko zastąpiła szok, jakiego doznał na widok kolejnego pistoletu wymierzonego w Susannah.

W drzwiach stał Charles Grant, trzymając lufę przy jej skroni. Obok postawił kanister z benzyną. Na ramieniu miał plecak i Luke dostrzegł przez płótno zarys przedmiotu o ostrych rogach - jakiegoś pudełka, które wyglądało na dość ciężkie. Laska Granta była zatknięta za pasek plecaka. Luke zerknął na jego stopy i zobaczył takie same buty, jakie widział wcześniej na zdjęciu z komputera Mansfielda.

- Agencie Papadopoulos - odezwał się Grant łagodnym głosem. - Przykro mi, że nie było mnie w domu dziś po południu, żeby was przywitać. Nie zapowiedzieliście swojej wizyty, a to niegrzecznie.

Luke myślał gorączkowo. Wykorzystaj to, co wiesz. Nie patrzył na Susannah. Jedno spojrzenie w jej kierunku sprawiłoby, że zatrzęsłoby się ze strachu.

- Nie potrzebowaliśmy przewodnika - odparł, wpatrując się w Granta. - Znaleźliśmy to, czego szukaliśmy. Wiemy wszystko, panie Grant.

Charles uśmiechnął się.

- Pewnie tak wam się wydaje. Luke przyjrzał mu się uważnie.

- Może ma pan rację. Może nie wiem wszystkiego. Na przykład tego, jak pan się tu dostał. Nasi ludzie pilnują wejścia.

- Na tyłach posiadłości jest droga, która tutaj prowadzi - wtrąciła cicho Susannah.

- Tędy docierali nocni goście sędziego Vartaniana - oznajmił Charles.

- Więc tak zamierza się pan stąd wydostać? - rzekł Luke. - Wyniknąć się chyłkiem tylnymi drzwiami jak zwykły kryminalista?

- Niezupełnie. Zostaw te dzienniki i połóż broń na podłodze. On czeka na Paula Houstona, pomyślał Luke.

- Nie zamierzam tego zrobić.

- A więc ona zginie.

- I tak ją zabijesz. Zawsze tego pragnąłeś.

- Nie masz pojęcia, czego zawsze pragnąłem - odparł Charles z pogardą.

- Chyba jednak mam. Wiem o tobie więcej, niż sądzisz. - Luke uniósł brew. - Nazywasz się Ray, prawda? Ray Kraemer.

Charles zeszywniał, a jego oczy błysnęły gniewnie.

- Teraz jej śmierć będzie bolesna.

- Z pewnością umiesz zabijać i zadawać ból. Znalazłem sędziego Bo-rensona. Jesteś pomyłonym draniem.

- Więc nie mam nic do stracenia, prawda? - stwierdził Charles. - Aresztujesz mnie za morderstwo.

Jego głos brzmiał łagodnie, ale kostki dłoni zaciśniętej na ramieniu Su-sannah zbielały.

- Za liczne morderstwa, Ray - odparł Luke. - Znaleźliśmy twoje dzienniki.

Oczy Charlesa znowu błysnęły, ale jego głos pozostał spokojny.

- W takim razie jakie znaczenie ma jedno zabójstwo więcej?

- I pan pisał dzienniki? - spytała Susannah. - Arthur też był na tyle niemądry.

- Być może - rzekł Charles, rozbawiony. - Twój ojciec był prawnikiem. Prowadził swoje zapiski wzorowo. A ja jestem nauczycielem angielskiego, moja droga. Pisanie dzienników to w pewnym sensie mój zawód.

- Arthur nie był moim ojcem, a pan jest okrutnym mordercą - powiedziała Susannah lodowatym tonem.

- Mówisz, jakby to było coś złego - odparł Charles, przeciągając samogłoski. - Zabijanie to sztuka. Rodzaj pasji. Kiedy ktoś robi to dobrze, czerpie z tego wielką satysfakcję.

- A kiedy manipuluje innymi, żeby dla niego mordowali? - spytała.

- To jeszcze lepsze, jak wisienka na torcie. Agencie Papadopoulos, odłóż broń. - Charles dźgnął mocniej Susannah lufą pistoletu. Skrzywiła się z bólu. - No już.

Luke ukląkł, ostrożnie kładąc księgi na podłodze. Zaryzykował i zerknął na Susannah. Jej szare oczy się zwęziły i obserwowały każdy jego ruch. Poruszał się powoli, licząc na to, że Grant nie strzeli do Susannah, bo chce wziąć ją na zakładniczkę, kiedy Paul Houston po niego przyjedzie.

- Gra pan na zwłokę, panie Grant - stwierdziła. - A raczej panie Kra-emer, czy jak się pan nazywa. Na co pan czeka? Trzyma pan pistolet przy mojej głowie. Czemu mnie pan nie zabije?

Luke wiedział, że Susannah celowo drażni Charlesa. Domyśliła się, że zamierzał naciskać Granta, i pomagała mu w tym. Mimo to jej słowa sprawiły, że poczuł suchość w ustach.

- Chcesz umrzeć, Susannah? - spytał Charles.

- Nie, ale zastanawiam się, dlaczego pan... zabija czas, zamiast mnie. Charles roześmiał się.

- Jesteś bystra jak Daniel i znacznie zdrowsza na umyśle od Simona.

- A propos Simona - rzekła ponuro - czy pan wie, że on żył przez te wszystkie lata? Zaśmiał się znowu.

- A jak myślisz, kto nauczył go tak dobrze grać rolę staruszka?

Luke poczuł, jak przewraca mu się w żołądku. Simon Vartanian zabijał swoje ofiary przebrany za starca. W takim przebraniu śledził też Susannah.

- Pan? - Susannah wciągnęła powietrze. - Pan go nauczył?

- O tak. Simonowi wydawało się, że to on wpadł na pomysł, żeby śledzić cię w parku. Najłatwiej było nim kierować, pozwalając, aby wierzył, że to wszystko jego pomysły, lecz tak naprawdę ja wszystko wymyślałem. A ty... z tobą mógłbym dokonać wspaniałych rzeczy, moja droga. - Jego uśmiech zniknął. - Ale nie chciałaś grać ze mną w tę grę. Unikałaś mnie.

- Byłam ofiarą gwałtu. - Jej głos drżał z wściekłości. - I wiedział pan o tym.

- Muszę przyznać, że zaskoczyłaś mnie, wyjawiając tę historię z Darcy. Przyznanie się przed wszystkimi, jaka jesteś zdeprawowana, musiało być dla ciebie niełatwe. Jakże nisko upadająwielnicy. Darcy zdołała na ciebie wpłynąć zaledwie w ciągu paru miesięcy.

Susannah zacisnęła dłonie w pięści.

- Zwerbował pan Marcy Linton i zmusił ją do wyłudzenia pieniędzy od bogatych facetów, którzy lubili seks z nastolatkami.

- To lepszy sposób zarabiania na studia niż praca kelnerki - odparł Charles bez emocji.

- Nigdy nie poszła na studia. Zamordował ją pan. Dlaczego? Czemu musiał ją pan zabijać?

Beznamiętna mina Charlesa znikła i zastąpiła ją lodowata furia.

- Z powodu ciebie. Ty zrujnowałaś jej życie. Sprawiałaś, że stała się słaba.

- Darcy zmieniła zdanie, prawda? Pamiętam tamtą ostatnią noc. Próbowwała namówić mnie, żebyśmy nigdzie nie wychodziły, ale to była szczególna data, rocznica tamtego dnia, kiedy zostałam zgwałcona - odparła Susannah z goryczą. - Chciałam udowodnić sobie i światu, że panuję nad wszystkim. Nigdy nie miałam nad niczym kontroli. Pan miał, aranżując całą tę cholerną sytuację. Co za draństwo! Namówił pan Simona i Toby'ego Granville'a, żeby mnie zgwałcili. Pieprzony tchórz.

Susannah szarpnęła się, a dłoń Granta na jej ramieniu nieco rozluźniła uścisk. Charles jednak nie stracił czujności. Chwycił Susannah mocniej, dźgnął ją lufą w głowę tak, że aż krzyknęła, i przycisnął przedramię do jej gardła. Wbiła w nie palce, aby móc oddychać. Luke mimowolnie zrobił krok do przodu, wciąż klęcząc na jednym kolanie.

- Suka - warknął Charles. - Papadopoulos, no już. Kładź broń na podłodze, bo jak nie, to skręcę jej kark. Nadal będzie wyglądała jak żywa i zasłonię się nią.

Luke położył pistolet na podłodze i rozchylił ręce.

- Nie jestem już uzbrojony.

- Zapasowy też.

- Nie mam zapasowej broni - skłamał Luke. - Noszę kozaki, a nie takie buty jak ty. Podobajami się twoje buty, Rayu Kraemerze. Pomogły nam cię zidentyfikować. - Mówił szybko, nie pozwalając Charlesowi ochłonać. - Mansfield zrobił w bunkrze kilka zdjęć, żeby mieć zabezpieczenie, a może nawet się zemścić. Na jednym widać faceta z laską którego lewy but ma grubszą podeszwę. Nosisz takie buty, bo Michael Ellis postrzelił cię w Wietnamie w nogę i zostawił jak psa, żebyś zdechł. Noga nie zagoiła się dobrze i dlatego chodzisz o lasce. - Miał nadzieję, że Susannah przysłuchuje się uważnie jego słowom.

- Zamknij się - warknął Charles przez zaciśnięte zęby.

- A więc zemściłeś się na Ellisie. Dopadłeś jego syna i przeciągnąłeś go na swoją stronę. Wciąż do ciebie należy, prawda, Rayu Kraemerze? - Charles wzdrygał się za każdym razem, kiedy Luke wypowiadał jego prawdziwe nazwisko. - Przydaje ci się, bo jest gliniarzem. Myślisz, że przyjedzie po ciebie teraz, ale się mylisz. Aresztowaliśmy Paula Houstona i pójdzie siedzieć na wiele lat. - Było to kłamstwo, ale na tym polegała cała sztuczka.

Twarz Charlesa poczerwieniała, a oddech stał się płytszy.

- Wcale go nie macie.

- Za późno, Rayu Kraemerze. Już go dopadłem. Paul jest mój. Nic ci nie zostało.

W tym momencie Susannah kopnęła Charlesa i oboje zwalili się na podłogę. Grant wylądował na plecaku, a ostre kanty pudła wbiły mu się w pierś, wyciskając powietrze z płuc. Susannah korzystała z okazji, drapiąc i gryząc jak rozwścieczony kot.

W chwili gdy się oswobodziła, Luke rzucił się do przodu, obiema rękami chwycił Charlesa za nadgarstek i wbił mu łokieć w gardło. Staruszek był jednak o wiele silniejszy, niż się wydawało. Luke czuł, jak dłonie pieką go z wysiłku, aż w końcu usłyszał trzask kości w ręce Granta i jego ochrypliły krzyk. Charles wypuścił pistolet, a Luke usiadł mu okrakiem na piersi i ścisnął za gardło.

- Cholerny gnoju - warknął. Zacisnął dłonie, potrząsając Grantem, aż ten zaczął charczeć. Nasilił ucisk i wyczuł, jak tchawica Charlesa się ugina. Zabij go. Opanował się z najwyższym trudem. Odsunął dłonie, po czym zastygł w bezruchu. Staruszek był obezwładniony. Ranny. Rozbrojony. Zabij go. Luke słyszał w głowie ów pierwotny śpiew, który wibrował w każdej komórce jego ciała. Zabij go. Zabij go gołymi rękami. Za to, co zrobił Susannah, Monice i Angel, Alicii Tremaine i wszystkim innym ofiarom.

Zaczekaj. Ten słaby głos w jego umyśle był cichy, lecz stanowczy. Nie jesteś taki. Ależ właśnie jest. Ale Luke nie chciał być takim człowiekiem. Zniesmaczony i Charlesem, i własnymi myślami, chwycił Granta za klapy, posadził i przysunął się do niego.

- Mam nadzieję, że jakiś więzień zabije cię jak psa.

Charles wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu i palący ból przeszył ramię Luke'a, który za późno zauważył, że Grant trzyma w dłoni ostrze. Sukinsyn.

- To ty jesteś tchórzem, a nie ja. Ja nigdy się nie poddam. Jesteś słaby. - Charles stęknął, przekręcając się, by chwycić pistolet wolną ręką. - Słaby powtórzył.

Luke chwycił go niezdarnie, po czym nagle znieruchomiał, słysząc mdlący odgłos miażdżonych kości.

Charles opadł na plecy, uderzając głową o dywan tak mocno, że aż podskoczyła. Jego ciało przestało się poruszać, a usta otworzyły się szeroko. Zdumiony Luke uniósł wzrok. Stała nad nim Susannah, trzymając w dłoniach laskę Granta niczym kij bejsbolowy. Ze wzburzeniem spoglądała na człowieka, który zrujnował jej życie.

- Nie jestem słaba - powiedziała. - Już nie. I już nigdy nie będę. Luke ujął ją delikatnie za nadgarstek i pociągnął, by spojrzeć mu w oczy.

- Nigdy nie byłaś słaba, Susannah. Nigdy. Jesteś najsilniejszą kobietą, jaką znam.

Ramiona jej opadły, oddychała z trudem.

- Czy ja go zabiłam? Proszę, powiedz, że tak. Luke przyłożył palce do szyi Charlesa.

- Tak, kochanie. Myślę, że tak.

- To dobrze - powiedziała i odrzuciła laskę. Przez chwilę po prostu spoglądali na siebie, łapiąc oddech. I wtedy usłyszeli głos Chase'a dochodzący z tyłu domu:

- Halo? Jest tu kto?

Luke odetchnął z ulgą i wstał. Draśnięte ramię okropnie go bolało i silnie krwawiło. Na szczęście Charles nie zadał mu innej poważnej rany.

- Jesteśmy tutaj, Chase. - Luke przyciągnął Susannah do siebie sprawną ręką i wtulił twarz w jej włosy. - Już po wszystkim.

Skinęła głową przy jego piersi.

- Jesteś ranny.

- Przeżyję.

Uniosła głowę, uśmiechając się drżącymi ustami.

- To dobrze. Odwzajemnił uśmiech.

- Ale mogłabyś założyć mi opatrunek. Podrzeć bluzkę, żeby zrobić bandaż, tak jak wtedy.

Jej oczy w końcu również się rozpogodziły.

- Sanitariusze z karetki mają prawdziwe bandaże. Ale zapamiętam twoją prośbę i pomyślę o tej bluzce później.

- O mój Boże! - Chase zatrzymał się w drzwiach z wyrazem oszołomienia na twarzy. - Co tu się wydarzyło?

- Co? Co się stało? - Jakiś inny mężczyzna przeszedł obok Chase'a. Luke już otworzył usta, by coś powiedzieć, ale uchwycił ostrzegawcze spojrzenie szefa.

- To funkcjonariusz Houston - rzekł Chase. - Szuka podejrzanego, którego śledził. Oczywiście zaoferowaliśmy mu pomoc. Houston, czy to ten człowiek?

Houston zbliżał się na chwiejnych nogach, przerażony.

- Nie.

- To nie jest ten człowiek? - spytał Chase ostrożnie. Houston padł na kolana przy ciele Charlesa.

- O Boże! Och, nie! - Podniósł wzrok i wbił go w Susannah, a w jego oczach widać było wściekłość i przerażenie.

- Ty go zabiłaś.

Jej i tak już blada twarz zrobiła się całkiem biała.

- To ty mnie zgwałciłaś. - Zdezorientowana spojrzała na Luke'a, a potem na Chase'a.

- To on. Zróbcie coś. Aresztujcie go.

- Zabiłaś go. - Houston wstał raptownie i rzucił się w stronę Susannah. - Ty suko!

Ale Chase już go dopadł, wraz z czterema innymi agentami, którzy pojawili się jakby znikąd. Szybko obezwładniony, Houston wciąż się szarpał i w końcu zaczął płakać.

- Zabiłaś go. Ty suko. On był mój. Mój.

- A teraz jest martwy - odparła z pogardą.

- Zabierzcie go - polecił Chase. - Nie zapomnijcie poinformować go o jego prawach.

- Odwrócił się do Susannah. - Przepraszam, ale musieliśmy wykazać, że Houston ma powiązanie z Charlesem, bo wszystko, co na niego mieliśmy, to zeznania przestępców, których szantażował. Wydział wewnętrzny chciał, żebyśmy przyłapali go na gorącym uczynku, a więc pozwoliliśmy mu tutaj przyjechać, mając nadzieję, że złapiemy ich obu naraz.

- Susannah uderzyła Charlesa, gdy próbował chwycić pistolet - oznajmił Luke. - W obronie własnej.

- Wiem - odparł Chase i zdjął z ucha słuchawkę. - Pete powiadomił mnie o wszystkim. - Wskazał okno. Haywood stał na dworze, przyglądając się, jak wyprowadzają Houstona. - Zobaczył, że Grant was tu ściągnął. Zorganizował wsparcie z GBI, a snajper przez cały czas miał Granta na muszce. Czekaliśmy tylko na odpowiednią okazję, żeby strzelić. - Dostrzegł ranę na ramieniu Luke'a i zakrwawiony nóż na dywanie. - Jesteś ranny.

- To drobiazg. - Nie była to prawda, ale Luke bardziej martwił się teraz o Susannah. -
Nic ci nie jest?

Nie - odparła, również kłamiąc. Uważnie obejrzała łaskę Granta. - Ta główka się zdejmuje. - Odkręciła ją i wzięła głęboki wdech. Wewnątrz znajdowała się swastyka takiej wielkości jak piętno na jej biodrze. - On był tam wtedy w nocy. - Spojrzała na plecak. - Chcę zobaczyć, co jest w środku. Muszę wiedzieć.

- I z pewnością się dowiesz - odparł Chase. - Kiedy tylko ludzie z kryminalistyki skończą badać to miejsce, a lekarz sądowy obejrzy ciała, spiszemy zeznania i oboje pojedziecie na pogotowie. I nawet nie próbujcie protestować. Wiedziałem, że Grant przyłożył ci pistolet do głowy, ale musiałem udawać, że nic się nie dzieje, aby zmylić Houstona. - Spojrzenie jego zmęczonych oczu wyraźnie świadczyło, jak trudne było to dla niego.

- Przepraszam, Chase - rzekła Susannah. - Masz rację. Luke bardziej niż ja potrzebuje pomocy lekarskiej. Czekałam trzynaście lat, żeby zrozumieć tę sprawę, więc mogę poczekać jeszcze kilka godzin.

Atlanta, poniedziałek, 5 lutego, godzina 17.30

- Puk, puk! - zawołała Susannah i Monica Cassidy z uśmiechem uniosła wzrok.

- Mamo, spójrz.

Pani Cassidy wstała, zdecydowanie spokojniejsza niż ostatnim razem, kiedy ją widzieli.

- Susannah, agencie Papadopoulos, wejdźcie. Co wam się stało?

Luke miał rękę na temblaku, bo na ranę, którą nazwał „lekkim zadrapaniem”, założono dwadzieścia szwów. Susannah miała podbite oko i złamane żebro w wyniku bijatyki z Bobby.

- Wpadliśmy w złe towarzystwo - odparła Susannah pogodnie. Monica spojrzała na nią.

- I co?

Susannah spoważniała.

- Daliśmy im kopa w tyłek. Monica uśmiechnęła się szeroko.

- I posłaliście ich do diabła?

- Raz na zawsze - wtrącił Luke. - Tę kobietę, która wiozła Genie, mężczyznę, którego słyszałaś wtedy w bunkrze. Oboje znaleźli się w piekle już się stamtąd nie wydostaną.

- To dobrze - odparła Monica. - A co z młodszymi siostrami Becky? Uśmiech Luke'a zbladł.

- Wciąż ich szukamy. Wywieźli je gdzieś. Przykro mi. Monica westchnęła.

- Wiem, że nie uda się panu ocalić ich wszystkich, agencie Papadopoulos, ale czy mógłby pan bardzo się postarać je odnaleźć? Proszę pana o to.

Luke skinął głową.

- Masz moje słowo.

- Dziękuję - szepnęła.

- Ale mamy też dobre wieści - powiedziała pani Cassidy, klepiąc córkę po dłoni. - Godzinę temu dzwonił do nas agent Grimes z Charlotte.

- Znaleźli mojego tatę. Jego samochód był na dnie jeziora, ale tata zdołał się z niego wydostać i dopłynąć do brzegu.

- Odnaleziono go bez żadnych dokumentów - dodała pani Cassidy. - Jakiś dobry samarytanin zawiózł go do szpitala. Odzyskał przytomność dopiero dziś rano. Jest podłączony do respiratora, więc nie mógł niczego powiedzieć. Jeden z kolegów agenta Grimesa objechał ze zdjęciem ojca Moniki wszystkie okoliczne szpitale, zanim go znalazł.

- Agent Grimes stwierdził, że w sprawie człowieka, który skrzywdził mojego tatę, toczy się śledztwo - oznajmiła Monica - i nie mogą nam na razie więcej powiedzieć. A czy wy możecie?

Luke skinął głową.

- Ten człowiek jest w areszcie. Gdy tylko stąd wyjdziemy, zadzwonię do agenta Grimesa i powiadomię go o tym. Cieszę się, że z twoim tatą wszystko w porządku, Monico. Ty też dobrze wyglądasz.

- Dziś rano wypuścili mnie z oddziału intensywnej opieki. Niedługo będę mogła normalnie jeść. - Spoważniała. - Tak bardzo wam dziękuję. Gdybyście nie zjawili się tam wtedy...

Susannah uścisnęła jej rękę.

- Ale się zjawiliśmy. Ocalałaś. Nie wracaj do przeszłości. Monica pokiwała głową.

- Nie będę do tego wracać, jeśli pani też nie będzie tego robić. Lepiej odrzucić poczucie winy.

Susannah poczuła ucisk w gardle.

- Spróbuję. - Cmoknęła Monice w czoło. - Wracaj do zdrowia.

- Pocałowała mnie tak pani, kiedy spałam. Pani myślała, że nie wiem, że pani tu jest - szepnęła Monica. - Ale ja wiedziałam. Dziękuję pani.

Susannah zmusiła się do uśmiechu.

- Nie czuj się wyobcowana, dziewczyno.

Luke potarł dłonią plecy Susannah.

- Za pół godziny mamy naradę i musimy już iść. W razie szę się nie wahać i do nas dzwonić.

W drodze na parking milczeli. Susannah odezwała się zanim dotarli do samochodu.

- Naprawdę chcesz to zrobić? - spytała. Spojrzał na nią zdezorientowany.
 - Co takiego?
 - Powiedziałaś Monice, że będziesz dalej szukać młodszych sióstr Becky. Poważnie o tym myślisz?
 - Dałem jej słowo - odparł Luke cicho. - Owszem, mam taki zamiar.
 - Czy to znaczy, że znowu będziesz się zajmować przestępstwami internetowymi?
 - Tak. Zrobiłem sobie tylko przerwę na tę sprawę, ale muszę wracać do tamtego po-koju. Może tak ma być. Przynajmniej na razie. - Jego oczy pociemniały. - Czy wtedy mówiłaś szczerze, czy był to tylko sposób na przekazanie mi zakodowanej wiadomości? Wiedziała, o co pytał. Kiedy myślała, że Bobby ją zabije, wyznanie mu miłości wy-dawało się czymś właściwym i koniecznym. A teraz...
 - Naprawdę tak czułam, na tyle, na ile potrafię. Ale może dla ciebie to za mało.
 - Kiedy słyszę, jak wygadujesz takie głupstwa, chce mi się krzyczeć. Masz w sobie tyle dobra, że nawet Arthur Vartanian i Charles Grant nie zdołali cię przekabacić. Nigdy nie mów, że nie jesteś dostatecznie dobra. Nigdy więcej tego nie powtarzaj.
 - Przeraza mnie to wszystko - wyznała. - Nie wiem, jak to jest być z kimś. Ale chcę się dowiedzieć.
 - Aja pragnę cię tego nauczyć. - Pocałował ją w policzek. - Jedźmy, bo spóźnimy się na otwarcie.
- Nie nawiązał do tego, co usłyszał od niej wtedy. Susannah nie wiedziała, czy odczu-wa z tego powodu ulgę, czy jest rozczarowana, odparła więc beztróskim tonem:
- Lepiej, żeby nie otwierali pudełka Granta, zanim tam dojedziemy.
 - Jestem pewien, że się nie ośmielą po tym wszystkim, co przeszłaś.

Dutton, poniedziałek, 5 lutego, godzina 18.00

Luke miał rację. Wszyscy zebrali się przy stole. Pete, Talia, Nancy, Chase, Ed i Chloe. W ostatnich kilku dniach Susannah zawierzyła im własne życie. Obok Chloe sta-ło puste krzesło. Ktoś udekorował je czarną szarfą na cześć Germanio. Widok ten przy-prawił Susannah o ból w piersi.

Na stole leżało pudełko z kości słoniowej należące do Charlesa Granta, obok stos dzienników Arthura Vartaniana i notesy znalezione w domu Granta, a koło tego wszystkiego zwykła szara koperta.

Susannah zajęła miejsce obok Luke'a.

- Czy zaglądaliście już do tego pudełka?

- Ed zajrzał - odparł Chase - żeby się upewnić, czy nic nie eksploduje, dosłownie lub w przenośni.

Twarz Eda była bez wyrazu i nic nie dało się z niej odczytać.

- Co jest w kopercie? - zapytał Luke.

- List Borensona - odrzekł Chase. - Zostawił dyspozycje: gdyby zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach albo zaginął, jego skrytka depozytowa powinna zostać udostępniona władzom.

- To do niej był ten klucz, który znaleźliśmy w ognioodpornym sejfie Granville'a - oświadczyła Nancy. - Pewnie Grant wysłał Granville'a, żeby odszukał akta, ale Toby znalazł tylko klucz. Pasuje do skrytki Borensona w banku w Charleston. Dlatego właśnie Grant torturował sędziego. Chciał wiedzieć, gdzie trzyma swoje papiery. Te, które obciążały ich wszystkich.

- Adwokat Borensona dowiedział się o jego zniknięciu dopiero dziś rano - podjął Chase - i podrzucił to, kiedy wszyscy byliśmy w Dutton. W papierach Borensona znajdują się szczegóły na temat rywalizacji Arthura z Charlesem i kilka innych ważnych dokumentów, na przykład prawdziwe świadectwo zgonu człowieka, który został pochowany jako Simon, oraz dowód świadczący o prawdziwej tożsamości Charlesa Granta, uzyskany dzięki Angie Delacroix. Wygląda na to, że ona też miała asa w rękawie.

- Szkoda, że nie wyjawili nam tych informacji wtedy, gdy miały znaczenie - odezwała się cicho Susannah. - Zanim tyle ludzi zginęło. Aresztowaliście Angie?

- Tak - odparła Chloe. - Brała udział w wyłudzeniach, których dopuszczał się Grant, dobrowolnie lub pod przymusem.

- I skłoniliśmy Hustona, żeby nam powiedział, jak zmusił Leigh do współpracy - oznajmił Pete ponuro.

Na wspomnienie Paula Houstona Susannah poczuła skurcz w żołądku.

- W jaki sposób?

- Jak go przekonaliśmy?

- Tak.

Pete zerknął na Chloe, która patrzyła w sufit.

- Paul mógł się potknąć się w drodze do samochodu... raz lub dwa. Tak bardzo rozpaczał z powodu śmierci Charlesa. Nie widział, dokąd idzie.

- To takie smutne, kiedy skorumpowani policjanci mają dwie lewe nogi - bąknęła Chloe.

- Trudna sprawa, prawda? - rzekł Pete posępnym głosem. - Dwa lata temu troje małych dzieci zginęło pod kołami samochodu jadącego z dużą prędkością. Dzieci znajdowały się na przejściu dla pieszych, a kierowca przejechał na czerwonym świetle i zbiegł z miejsca wypadku. Paul Houston prowadził śledztwo w tej sprawie.

Luke sapnął.

- To była Leigh?

- Tak. - Pete pokiwał głową. - Houston znalazł ją dość szybko, ale powiedział, że jej nie aresztuje. Dzięki temu miał ją w garści na wypadek, gdyby czegoś potrzebował. A taka sytuacja nadarzyła się w zeszłym tygodniu.

- Pokazaliśmy zdjęcie Houstona Jeffowi Katowsky'emu - powiedziała Chloe - temu pielęgniarzowi, który próbował zabić kapitana Beardsleya. Rozpoznał w nim policjanta, który go zatrzymał. Ta sama historia co z Leigh. Houston go puścił, licząc, że Katowsky w przyszłości wyświadczy mu jakieś przysługi.

- Czy Houston też prowadził dziennik? - zapytała Susannah z ironią. Pete uśmiechnął się cierpko.

- Nie, ale jest skłonny zeznawać. Boi się więzienia w Georgii.

- Nowojorskiego też - dodała Chloe. - Al Landers zamierza oskarżyć go o gwałt. Na tobie. Nie zdołasz już postawić przed sądem Granville'a i Simona, ale możesz rozprawić się z Houstonem.

Talia pochyliła się do przodu.

- Tylko wtedy, jeśli tego chcesz.

Susannah poczuła, że wszystkie mięśnie w jej ciele zastygają.

- Pewnie, że chcę. Dziękuję.

Wszyscy milczeli chwilę, po czym Chase wskazał na pudełko z kości słoniowej.

- Otwórz je.

Susannah założyła gumowe rękawiczki, które podał jej Ed, uniosła wieko i zajrzała do środka.

- Figury szachowe? - zdziwiła się. - To wszystko? Ed pokręcił głową.

- Pod hetmanem znajduje się mechanizm sprężynowy. Naciśnij go. Zrobiła to.

- Jego identyfikatory. - Wyciągnęła je z pudełka i zadyndały w jej dłoni. - Ray Kraemer.

- I kula - rzekł cicho Luke. - Wygląda na starą. Może to ta, którą Ellis postrzelił go w nogę.

- Może. Jest też zdjęcie. - Susannah wstrzymała oddech. - To młody Grant z jakimś starszym Azjatą w mnisiej szacie. O mój Boże, Grant już wtedy chodził o lasce. - Odwróciła fotografię i przeczytała: - „Ray Kraemer i Pham Duc Quam, Sajgon, 1975”.

Nancy przyjrzała się podpisowi na zdjęciu.

- To pismo Granta. Wiem, bo przez cały dzień czytałam jego dzienniki.

- Mam akta Raya Kraemera i Michaela Ellisa z wojska - powiedział Chase. - Kraemer trafił do niewoli w sześćdziesiątym siódmym, a Ellis rok później. Przypuszczano, że Ellisa złapał Wietkong, gdy próbował zdezerterować, ale nikt nie ma co do tego

pewności. Po ucieczce z obozu jenieckiego dotarł do naszej bazy wojskowej. Błąkał się po dżungli przez trzy tygodnie. A ponieważ nie zdołali udowodnić, że zdezerterował, zwolnili go honorowo z armii. Kraemer znalazł się na liście zaginionych. I jest na niej do dziś.

- Z tego zdjęcia wynika, że Grant nadal był w Wietnamie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku - zauważyła Susannah. - Wrócił rok później i został nauczycielem Paula. Co robił w międzyczasie? I kim jest ten drugi człowiek?

- Wyglądają tak, jakby się przyjaźnili - odparł Luke i podał zdjęcie dalej.

- W szafie Charlesa znaleźliśmy szaty podobne do tych - oznajmił Pete.

- Niedawno noszone.

- Tutaj też jest ten Azjata - stwierdziła Susannah, rozkładając zmięty kawałek papieru. - Ale w innym stroju. To wygląda jak ogłoszenie. Jest tu jego imię i słowa: *thdy bói*.

- Dałem to do tłumaczenia, kiedy byliście w szpitalu - powiedział Ed.

- Pham był wróżbiarzem.

- Po co Grant to trzymał? - spytała Susannah, ściągając brwi.

- Bo oprócz wyłudzenia pieniędzy od ludzi, którym zależało na utrzymaniu pewnych informacji w tajemnicy, Grant przepowiadał przyszłość wielu zamożnym kobietom z Dutton - odparła Nancy. - Zapisywał, ile mu płaciły i co im przepowiedział. Czasami płacił osobom trzecim za to, żeby jego wróżby się sprawdzały. Twoja matka była jedną z jego klientek.

- To ma sens. Arthur twierdził, że moja matka boi się azjatyckiego voodoo Granta.

- Z dzienników Arthura wynika, że Borenson dostarczył sfałszowane świadectwo zgonu na dzień przed tym, jak usłyszałaś o śmierci Simona - powiedziała Nancy. - A Grant napisał w swoim pamiętniku, że dzień wcześniej wywróżył twojej matce jakąś wielką tragedię w najbliższej przyszłości.

- Ponieważ Arthur zamierzał powiedzieć jej, że Simon nie żyje. Pewnie Borenson wyjawiał to Grantowi - stwierdziła Susannah, odwijając dalszą część złożonego papieru.

- Te kartki wyglądają jak plakaty.

Ed wziął je od niej ostrożnie.

- Na tym jest napisane, że Pham to uzdrowiciel. Atu, że wywołuje duchy. Jest też informacja, że można za opłatą słuchać jego wykładów.

- To jakiś szarlatan - podsumował Pete, spoglądając na Nancy spod uniesionych brwi.

Nancy jęknęła.

- Szarlatan Pham? O rany, Pete.

Susannah roześmiała się, po czym nagle spoważniała.

- Kolejny pamiętnik. - Był mały, niewiele większy od dłoni. - Bardzo drobne pismo. - Zmrużyła oczy. - Pierwszy wpis jest z grudnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku. „Dzisiaj uświadomiłem sobie, że nie umrę. Ale chcę na zawsze zapamiętać gniew, jaki odczuwam. Pewnego dnia się zemszczę na Stanach Zjednoczonych za to, że opuściły mnie w tym piekle, i na Mike'u Ellisie. Będzie żałował, że nie strzelił sobie wtedy w łeb, zamiast w moją nogę”. - Przebiegła wzrokiem po dalszych linijkach.

- Ray Kraemer wydhubał sobie kulę z nogi po tym, jak Ellis zostawił go na pastwę losu. Czołgał się przez dżunglę, aż zemdłał. Kiedy odzyskał przytomność, leżał w jakiejś chacie z wysoką gorączką, a opiekował się nim jakiś Wietnamczyk. „Nigdy nie przypuszczałem, że będę czuł wdzięczność wobec któregoś z nich, ale ten człowiek się mną zaopiekował. Nadal nie wiem dlaczego”. - Susannah przerzuciła kilka kartek. - „Nazywa się Pham. Daje mi jedzenie i dach nad głową. Po roku spędzonym w jednej z tych ich zapadłych dziur wreszcie czuję się najedzony i bezpieczny. Myślałem, że Pham jest lekarzem albo nauczycielem lub duchownym. Dziś uświadomiłem sobie, że to kanciarz. Kameleon. Ma niezwykłą zdolność wyczuwania, czego ludzie od niego potrzebują. Daje im coś o niewielkim znaczeniu, co ich uszczęśliwia, a potem ich naciąga. Najedliśmy się dziś wieczorem do syta”.

- I tak to się zaczęło - stwierdził cicho Chase, a Susannah czytała dalej.

- „Dzisiaj wreszcie zrozumiałem, czemu Pham mnie uratował. Zostałem jego ochroniarzem. Jestem wyższy od jego wrogów. Jakiś człowiek zaatakował dziś Phama, nazywając go złodziejem. Miał rację, oczywiście, ale to przecież niedopuszczalne. Chwyliłem go za kołnierz. Pham powiedział, żebym go zabił, więc skrzyłem facetowi kark i odrzuciłem go na bok. Poczułem się dobrze. Pełen mocy. Nikt w tym miasteczku nie będzie już napadał na Phama”. - Susannah przewróciła kilka stron. - Opisuje ich podróże, przygody, wszystkich ludzi, których zabił dla Phama. - Wzdrygnęła się przerażona.

- Dziesiątki osób. Mój Boże.

Luke wyjął notes z jej rąk i zajrzał na koniec.

- „Pham jest chory. To nie potrwa już długo. Powiedział, że powinienem jechać do domu i odnaleźć człowieka, który zostawił mnie w dżungli, żebym umarł. Chcę go zabić, ale Pham mówi, że są lepsze i mądrzejsze sposoby. Powinienem dowiedzieć się, co on kocha najbardziej, po czym mu to zabrać”. Trzy dni później Grant napisał: „Pham odszedł”. Dalsze zapiski pojawiają się dopiero po tygodniu: „Powinienem już dawno wyjechać do domu. Ellis tak bardzo chciał wracać i odszukać swojego syna. Odnajdę Ellisa, a jego syn zginie. Ellis będzie na to patrzył. I tak się na nim zemszczę”.

- Ale przecież Grant nie zabił Paula - zauważyła Chloe. - Dlaczego? Susannah sięgnęła do szufladki i wymacała z tyłu zdjęcie złożone na pół.

Wyjęła je. Widniał na nim Grant z małym Paulem.

- Przypuszczam, że zaczęło mu na nim zależeć. Wszystko tutaj, z wyjątkiem tego zdjęcia, to rzeczy związane z jego wcześniejszym życiem, zanim został Charlesem Grantem.

Talia westchnęła.

- Pewnie na swój sposób kochał Paula. Luke pokręcił stanowczo głową.

- Nie. Charles nim zawładnął. Wykorzystywał go. Manipulował nim dla własnych celów. To nie była miłość.

Talia wytrzeszczyła oczy, słysząc wzburzenie w jego głosie.

- No dobrze...

Susannah zrozumiała Luke'a właściwie. Obiecał, że będzie ją uczył. To była pierwsza lekcja. Chociaż nie, wcale nie pierwsza. Przez cały czas uczył ją miłości i przyzwoitości. Uścisnęła pod stołem jego kolano.

- Wszyscy udzieliliście mi wsparcia, jakiego potrzebowałem, kiedy znalazłam się na rozdrożu, i chcę wam za to podziękować - powiedziała.

Ed spoważniał.

- To brzmi jak pożegnanie, Susannah. Czy zamierzasz wrócić do domu?

- Do Nowego Jorku? Nie. Nic mnie tam nie trzyma. - Parsknęła śmiechem. - I z pewnością nie wrócę do Dutton. Mam dosyć tego miasta na całe życie.

- Tak jak my wszyscy - mruknął Chase. - Co będziesz robić?

- No cóż, Daniel i ja mamy wiele zaległości. - Luke ujął ją pod stołem za rękę. - Mam na myśli tych wszystkich ludzi, od których mój... to znaczy Arthur Vartanian wyłudzał pieniądze. Trzeba naprawić całe to zło. Zrekompensować je. Potrzebuję dobrego adwokata od spraw cywilnych. - Spojrzała na Chloe. - I od kryminalnych też.

- Zrezygnowaliśmy z postawienia ci zarzutów o nielegalne posiadanie broni, ponieważ pomagałaś nam w rozwiązaniu spraw związanych z przestępstwami Arthura Vartaniana. - Chloe uśmiechnęła się. - Miałaś dobrego adwokata.

Tętno Susannah stało się wolniejsze.

- Dziękuję.

Siedzący obok niej Luke odetchnął z ulgą.

- Dzięki, Chloe. - Wstał. - Moja matka nagotowała mnóstwo rzeczy i zaprasza wszystkich, którzy chcą przyjść. - Spojrzał na Susannah z uśmiechem, który rozgrzał ją od środka. - Czas na zadośćuczynienie znajdziemy jutro. A dziś świętujemy.

Dutton, czwartek, 8 lutego, godzina 14.45

Był to cichy pogrzeb, w którym uczestniczyło niewielu dziennikarzy i jeszcze mniej żałobników. Kilku zastępców szeryfa, którzy pracowali niegdyś pod kierownictwem Franka Loomisa, niosło jego trumnę. Nie było żadnych honorów, dwudziestu jeden salw ani pożegnalnego hejnału odegranego na sygnalówkach.

Daniel siedział w fotelu na kółkach, blady i poważny. Za nim stała Alex, a obok Susannah, którą Luke trzymał za rękę do końca pogrzebu.

- Był moim ojcem - rzekła cicho. - A wcale go nie znałam. Daniel spojrzał na nią z niemałą rozpaczą w oczach.

- Traktował mnie o wiele lepiej niż rodzony ojciec, Suze. Przykro mi, że go nie znałaś.

Na pogrzebie Franka Loomisa zjawiała się jeszcze jedna osoba: Angie Delacroix. Stała z boku, również blada i poważna. Pilnował jej policjant w cywilnym ubraniu.

Susannah uścisnęła rękę Daniela.

- Zaraz wrócę.

Luke poszedł z nią i była mu za to wdzięczna. Zatrzymali się oboje przed fryzjerką.

- Pani Angie - rzekła Susannah. - Chciałabym coś wiedzieć. Czy tamtego wieczoru powiedziała mi pani prawdę?

- Wszystko, co mówiłam, to prawda. Frank nie wiedział, co ci się przydarzyło. Gdyby było inaczej, zareagowałby jakoś. Wciąż go dręczyło, że jesteś jego córką, a on nie ubiega się o uznanie tego faktu.

Słowa te kołysły.

- Czemu pani mi o tym powiedziała?

- Bo Charles mi kazał. - Angie uniosła głowę. - Ale i tak bym to zrobiła. Dla Franka. Masz jego oczy. - Westchnęła. - Frank był lepszym człowiekiem, niż mu się wydawało.

Do tej pory Susannah przeczytała większość dzienników Charlesa. Wiedziała, że posługiwał się Angie Delacroix, kładąc jej wysłuchiwać plotek, które wykorzystywał w swoich szantażach, i przyprowadzać do siebie zamożne kobiety, które wierzyły w jego dar jasnowidzenia.

- Przyprowadziła pani do Charlesa moją matkę.

- Miała pieniądze. A on ich potrzebował. Tak mi przykro, że znalazłaś się pośród tego wszystkiego.

- Dlaczego wykonywała pani jego polecenia przez te wszystkie lata? Oczy Angie zasły łzami.

- Paul był moim synem, bez względu na to, co Charles z nim zrobił. Luke pociągnął Susannah za rękę.

- Chodź. Rodzina na nas czeka.

Rodzina. Słowa Luke'a wystarczyły, by odgonić smutek. Podeszli razem do miejsca, gdzie stali państwo Papadopoulos z Leo, Mitrą, Demi i Alex. Wszyscy objęli Susannah, którą ten zbiorowy uścisk tak wzruszył, że uśmiechała się i płakała jednocześnie. Ale czuła się z tym dobrze. Należę do nich. A oni do mnie. I jestem szczęśliwa, myślała.

- Chodź - powiedziała mama Papa, ujmując ją pod ramię. - Pojedziemy teraz do domu.

Mitra wsunęła dłoń pod drugie ramię Susannah.

- A potem wybierzemy się na zakupy. Luke pomachał do niej.

- Pomogę Danielowi z wózkiem. A ty i Alex możecie sobie porozmawiać z moimi siostrami w kobiecym gronie.

- Przyjemnie na to patrzeć - rzekł Daniel, kiedy kobiety zaczęły rozprawić, chcąc rozpoznać Susannah. - Suze nigdy wcześniej czegoś takiego nie zaznała.

- Będzie miała tego tyle, ile zapragnie - odparł Luke, pchając zdrową ręką wózek po miękkim gruncie.

- Co masz zamiar zrobić z moją siostrą? - zapytał Daniel.

Luke stłumił uśmiech. Dokładnie to, co zrobiłem zeszłej nocy i dziś rano, pomyślał. Odparł jednak poważnym głosem:

- Mógłbym stwierdzić, że to nie twoja sprawa.

- Ale tego nie zrobisz.

- Postaram się, żeby była szczęśliwa. I żeby już nigdy nie miała wątpliwości, gdzie jest jej rodzina.

Daniel skrzyżował ręce na piersi.

- Zdajesz sobie sprawę, że będziemy przez to spowinowaceni?

- Owszem. Ale poradzę sobie z tym, jeżeli ty dasz radę.

- Dam - odparł Daniel i milczał przez chwilę. - Nie mam nic przeciwko temu, że zostanę wujkiem... Tak tylko gadam.

Luke uśmiechnął się.

- W takim razie naprawdę muszę się postarać.